



LIBROS

MOCNA
SERIA

SREBRNA
WILCZYCA

BORCHARDT
Alice

Alice
BORCHARDT

SREBRNA WILCZYCA

Z angielskiego przełożył
Jacek Manioki

LiBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

*Mojemu
ukochanemu mężowi
Cliffordowi Burchardtowi*

*„Widzisz te świetliki tańczące? Oto czego pragnę:
tańczyć w księżycowej poświacie, śpiewać gwiazdom,
skakać aż do Księżyca”.*

Ja robiłam to z tobą.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Grzebień zwieńczonych akantem kolumn zrujnowanej świątyni ciął jego promienistą tarczę na cząstki rozjarzonej czerwieni. Noc już prawie - pomyślała dziewczyna i zadygotała w podmuchu chłodnego jesiennego powietrza, który wydarł się przez niezamknięte okno.

Okno było okratowane - solidnie okratowane. Pręty, osadzone w kamiennej ścianie maleńkiej izdebki, biegły na krzyż, poziomo i pionowo.

Mogła je zamknąć. Sięgnąć ręką przez kratę. Zatrzasnąć ciężkie okiennice, zaryglować je żelaznym bolcem. Ale wiedziona swoistą przekorą, odrzucała tę myśl. Widok wolności, choćby nieosiągalnej, zbyt był piękny, by z niego rezygnować.

Jeszcze nie - powtarzała sobie. Jeszcze chwilę. Jeszcze nie teraz.

Chłodny, przyprawiający o gęsią skórkę wietrzyk pieścił słodką wonią nozdrza. Nie, nie tylko pieścił. Przemawiał do niej. Każdy wonny podmuch, każda nieznaczną zmianą kierunku wiatru przywoływała z głębi podświadomości obrazy.

Gdzieś tam kwitł tymianek. W chłodnym wieczornym powietrzu unosił się zapach jego maleńkich niebieskich kwiatków. Z owym subtelnym aromatem mieszała się ciężka woń wilgotnego marmuru i granitu. Ten i wiele jeszcze innych zapachów składały się na paletę woni wydzielanych przez kwiaty i rośliny porastające rozbuchanym kożuchem zrujnowane pałace i świątynie starożytnego cesarstwa.

Ogromnego niespokojnego ducha tego największego z imperiów poskramiała w końcu czuła dłoń wielkiej zielonej matki.

Regeane, podążając do Rzymu, nie miała najmniejszego wyobrażenia o tej dumnej niegdyś stolicy świata. A już na pewno wyobraźnia nie podsuwała jej tego, co tu zastała.

Mieszkańcy, potomkowie rasy zdobywców, przypominali czeredę szczurów, które grasują po opuszczonym pałacu i kalają jego zgliszcza. Nie bacząc na otaczające ich dowody dawnej świetności, zażarcie rozdrapywali między sobą resztki bogactwa. Tyle, że niewiele pozostało po ogromnej rzece złota, która napływała niegdyś do wiecznego miasta. Teraz złoto przewijało się jedynie przez dłonie papieskich namiestników i zdobiło ołtarze licznych kościołów.

Matka Regeane, usiłując ratować - tak to postrzegała - duszę córki, w odruchu desperacji zastawiła u lichwiarza garstkę klejnotów ocalałych z dawnego

majątku. Pieniądzy wystarczyło na łapówki, bez których uzyskanie audiencji u papieża było nie do pomyślenia, oraz na opłacenie równie kosztownego papieskiego błogosławieństwa.

Regeane, idąc na spotkanie z najwyższym kapłanem Kościoła, pociała się obficie z przerażenia. Jedno nieopatrzne słowo matki, która jej towarzyszyła, a mogłaby zostać uznana za czarownicę i spłonąć na stosie albo być ukamienowana. Kiedy jednak stanęła przed obliczem Jego Świątobliwości, strach minął.

Mężczyzna ten był ruiną człowieka. Sterany wiekiem i chorobą, dożywał swych dni. Regeane wątpiła, by rozumiał wiele z tego, co doń mówiono. Matka, uderzając w szloch, jęła błagać głównego przedstawiciela Boga na ziemi o wstawiennictwo u Wszechmogącego. Regeane uklękła pokornie i pochyliła się, by pocałować jedwabny pantofel. Poczwała na głowie zgrzybiałe dłonie i w tej samej chwili w nozdrza uderzyła ją woń w niczym nie przypominająca duszącego aromatu kadzidła i greckich perfum, który unosił się w sali: był to zmurszały, suchy odór starzejącego się ciała i ludzkiego rozkładu.

Boże, jakże silny był ten odór! On umiera - pomyślała. Niebawem osobiście zanieśnie Bogu prośbę mojej matki. Wiedziała już, że tak samo jak wszystkie inne błogosławieństwa, dla których jej matka, Gizela, przewędrowała tyle świata i na które roztrwoniła cały swój majątek, to też na nic się nie zda.

Pryśła ostatnia nadzieja. Regeane to wiedziała. Ogarnęło ją przerażenie. Skoro sam papież nie jest w stanie zdjąć z niej tej dziwnej klątwy, by mogła żyć jak normalna kobieta, to u jakiej ziemskiej siły ma szukać pomocy? A ściślej: gdzie ma jej szukać matka?

Gizela gasła tak samo szybko jak ten aż za ludzki człowiek na Tronie Piotrowym. Była kobietą stosunkowo młodą, ale wycieńczyły ją bezowocne podróże, których tyle z Regeane odbyła, oraz jakaś tajemnicza dolegliwość przepelniająca jej umysł i serce bezgranicznym smutkiem.

Regeane skłamała. Matka jej uwierzyła. Po raz pierwszy od lat Regeane wyczuła, że ta drobna kobieta, która tyle podróżowała i dźwigała na swych barkach tak wiele brzemion, znalazła wreszcie ukojenie. Regeane okłamywała Gizelę do samego końca.

Trzy dni po audiencji u papieża poszła obudzić matkę i stwierdziła, że Gizela już się nigdy nie obudzi. A przynajmniej nie na tym świecie.

Regeane została sama.

Teraz odprowadzała wygłodniałym wzrokiem zachodzące słońce, a potem pozostała po nim łunę podświetlającą cyprysy przy Via Appia, którą wyparł w końcu granatowy jesienny zmierzch. Dopiero wtedy odwróciła się od okna, owinęła szczelniej w starą wełnianą opończę i podeszła do pryczy. Poza tym niskim wyrkiem i małym terakotowym dzbanem z przykrywką w kącie nie było w izbie niczego.

Regeane usiadła na łóżku, oparła się plecami o ścianę, odrzuciła w tył głowę i zamknęła oczy. Czekwała w milczeniu na wschód księżyca. Jego srebrny dysk wyłania się już pewnie zza siedmiu wzgórz. Niedługo, sunąc po niebie, zajrzy w jej okno i zaleje posadzkę kałużą srebra. A wtedy ona, nie zważając na kraty, będzie mogła pić z tej kałuży. Znowu odetchnie powietrzem wolności.

Trzasnęły drzwi w sąsiedniej izbie. Do diabła! Siedząca na pryczy dziewczyna szukała w pamięci dosadnego słowa. Nie... przekleństwa. Matka nie pozwalała jej przeklinać, ale czynić tego w myślach zabronić jej nie mogła. I Regeane klęła często w duchu. Och, jakże często, kiedy w pobliżu znalazło się tych dwóch. Byli gorsi od samotności. Wolą już ciszę i pustkę od obecności swojego wuja Gundabalda i jego syna Hugo.

- Dziś rano znowu sikałem krwią- poskarżył się piskliwie Hugo. — Czy nie ma już w tym mieście ani jednej niezapowietrzzonej ladacznicy?

Gundabald zarechotał hałaśliwie.

- Widać nie ma takiej wśród tych, które ty sobie wybierasz. A mówiłem, nie skąp grosza. Bierz sobie zawsze coś młodego i zdrowego. A przynajmniej młodego, bo jak po paru dniach zacnie cię swędzieć i piec, wiesz chociaż, że warto było. Ta, którą ostatnio sobie sprawiłeś, była tak stara, że tylko po ciemku mogła uprawiać swoją profesję. To, co oszczędzisz na zaspokojeniu chuci, wydasz później na leki na gnijące krocze.

- Też racja - przyznał z irytacją Hugo. - Tobie zawsze lepiej się wiedzie.

Gundabald westchnął.

- Od tego pouczania ciebie rzygać mi się już chce. Następnym razem, zanim, na którą wleziesz, przyjrzyj jej się w jasnym świetle.

- Chryste, ależ tu zimno! - Burknął gniewnie Hugo. W chwilę później Regeane usłyszała, jak woła ze szczytu schodów gospodarza i nakazuje mu wnieść na górę koksownik.

- To na nic, chłopcze - powiedział Gundabald. - Ona znowu zostawiła otwarte okno.

- Nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz - rzekł Hugo. – Mnie ciarki przechodzą po krzyżu, gdy tylko o niej pomyślę.

Gundabald znowu się roześmiał.

- Bez obawy. Te deski mają cal grubości. Nie wydostanie się stamtąd.

- A czy kiedyś... wyszła? - Zapytał Hugo ze strachem.

- Och, może raz czy dwa, kiedy była młodsza. Znacznie młodsza. Zanim wziętem sprawy w swoje ręce. Gizela była za miękka. Dobra była niewiasta z tej mojej siostry - zawsze robiła, co jej kazano - ale słaba, chłopcze, słaba. Żebyś tak, dajmy na to, widział, jak płakała po swoim pierwszym mężu, kiedy ich małżeństwo tak raptownie... się skończyło.

- Rozwiodła się z nim? — Zapytał Hugo.

- No tak. - W głosie Gundabalda pojawiło się zakłopotanie. — A ściślej mówiąc, rozwiodła się z nim, bo tak jej kazaliśmy. Nie miała w tej sprawie nic do gadania. Już wtedy każdy widział, że matka Karola zaczyna grać na dworze pierwsze skrzypce. Mnóstwo majątnych zalotników ubiegało się o rękę Gizeli. Drugie małżeństwo okazało się o wiele korzystniejsze i przyniosło nam wszystkim bogactwo.

- Po którym zostało już tylko wspomnienie - zauważył gorzko Hugo. - Roztrwoniliście je z Gizelą. Nasze szkatuły świecą teraz pustkami. Nie wiem, czy został w nich, choć jeden miedziak. Chciałeś być za pan brat ze wszystkimi wielkimi magnatami frankońskiego królestwa. Stroiłeś się w aksamity i brokaty. Wydawałeś huczne uczyty. Opadli cię jak stado wygłodniałych sępów i oskubali do cna. A potem, jak to sępy, kiedy oczyszczą padlinę, odlecieli cuchnącą chmarą i tyle ich wszystkich widziałeś. A na tym, co przeoczyli, rękę położyła Gizelą i przepuściła na egzorcyzmy, relikwie, błogosławieństwa i pielgrzymki, którymi próbowała zdjąć klątwę z tego swojego bachora. Powiedziałaś, żebyś wziął sobie coś młodsze. Mam wielką ochotę złożyć wizytę tej mojej kuzyneczce... tak po prawdzie... - Hugo wrzasnął przeraźliwie: — Ojczy, to boli!

- Tknij tylko tę dziewczkę - ryknął z furią Gundabald - a oszczędzę nam obu kłopotów i wydatków. Urznię ci przyrodzenie razem z jajami. Będiesz najgładszym eunuchem stąd do Konstantynopola. Przysięgam. Ona jest jedyną cenną rzeczą, jaka nam została, i... musi... wyjść za mąż. Słyszysz?!

Hugo znowu zawył.

- Słyszę, słyszę! Złamiesz mi rękę! O Boże, puść!

Gundabald puścił go zapewne, bo Hugo przestał wrzeszczeć. Kiedy jednak

przemówił, głos drżał mu jeszcze:

- A kto poślubi tę... stworzę?

Gundabald roześmiał się.

- W tej chwili mogę ci wyliczyć z tuzin takich, którzy nie cofną się przed niczym, byle tylko zdobyć jej rękę. W jej żyłach płynie najczystsza królewska krew Franków. Jej rodzice byli kuzynami samego wielkiego króla.

- I ci sami, którzy nie cofną się teraz przed niczym, byle tylko zdobyć jej ręką, rozsiekają mieczami i ciebie, i dziewczynę, kiedy wyjdzie na jaw, czym ona jest.

- Nie pojmuję, jak moje lędźwie mogły spłodzić takiego syna - warknął Gundabald. - Ale przecież twoja matka była głupią krową. Może to w nią się wdałeś.

Pomimo sadystycznej złośliwości w tonie Gundabalda Hugo nie chwycił przynęty. Ludzie z otoczenia Gundabalda szybko nauczyli się go bać. Hugo nie był wyjątkiem.

- Podobał ci się nasz tryb życia, kiedy opływaliśmy w dostatki. Sępy, powiadasz? Przyganiał kociół garnkowi. Gziłeś się całe noce, a całe dni obżerałeś i chlałeś z największymi z nich. Dam ci dobrą radę, sprawy, które cię przerastają, zostaw starszym i mądrzejszym od siebie. Trzymaj gębę na kłódkę! A teraz poślij po coś na ząb i po wino - dużo wina. Chcę zjeść wieczerzę i zapomnieć, co gnieździ się w izbie za tymi drzwiami.

- Błędem było sprowadzanie jej tutaj - odezwał się Hugo. Głos miał piskliwy i zdenerwowany. - Jest gorsza niż dawniej.

- Jezu Chryste! Boże! — ryknął Gundabald. — Nawet durne zwierzę ma dosyć oleju we łbie, by robić, co mu się każe. Głupcze z ptasim mózdzkiem! Stul wreszcie dziób i dawaj tu to wino. Boże mój! Umieram z pragnienia.

Wyjść za mąż - pomyślała apatycznie Regeane. Jak mogę wyjść za mąż? Nie wierzyła, by nawet taki przebiegły wąż jak Gundabald zdecydował się na coś tak niebezpiecznego. To by mu się nie udało, nawet gdyby się odważył. Po matce zostało jej jeszcze trochę ziem w królestwie Franków, parę walących się domów. Dochodu dawały tyle, że z ledwością starczało na jadło i przyodziewek dla nich trojga. Nie odziedziczyła jednak niczego, czym mogłaby zwrócić na siebie uwagę któregoś z wielmożów frankońskiego królestwa.

Co zaś do pokrewieństwa z Karolem - królem, którego zaczynano już nazywać wielkim — była to raczej odległa koneksja ze strony matki. Jaśnie pani Bertrada chyba nawet nie wiedziała o istnieniu Regeane. Prawda była taka, iż

Bertrada zdobyła serce króla Pepina Małego między innymi tym, że stało za nią całe plemię krewnych. Zjawili się na dworze gotowi robić mieczami za Kościół i króla, nie wspominając już o taborze z łupami, które jakimś dziwnym trafem nie zasiliły królewskiego skarbcza.

Regeane niknęła w tym tłumie. Nie miała nic do zaoferowania. Była biedna, była kobietą, nie odznaczała się urodą. Nie sądziła, by znalazło się wielu chętnych do ubiegania się o jej rękę. Gdyby jednak Gundabaldowi udało się znaleźć jakiegoś żalostnego desperata, to niewątpliwie przehandlowałby mu ją bez skrupułów, a potem pozostawił własnemu losowi. Ale nie wierzyła, że mu się to uda. Poza tym Gundabald miał, jak to się mówi, gorące gardło i zimne przyrodzenie. Przy każdej nadarzającej się okazji studził to pierwsze i rozgrzewał drugie. By folgować swoim słabostkom, potrzebował pieniędzy pochodzących z jej posiadłości. Sprzedałby Regeane z pewnością, ale nie tanio. Pozostawało tylko pytanie, czy uzyskałby swoją cenę. W tej chwili mało ją to obchodziło.

Kiedy papieskie błogosławieństwo nie przyniosło rezultatów, zbladł ów cień nadziei, który przywiódł ją tutaj zza Alp i podtrzymywał na duchu przez całą trudną drogę do Rzymu.

Ostatnim ciosem, który do szczętu pogrzebał tę nadzieję, była śmierć Gizeli. Tylko ona chroniła Regeane przed światem - który zniszczyłby ją natychmiast, gdyby się domyślał, jaką tajemnicę w sobie nosi - oraz przed najgorszymi przejawami zachłanności Gundabalda. Była jedyną powierniczką i towarzyszką Regeane. Poza nią Regeane nie miała żadnych innych przyjaciół, nikogo kochanego. Teraz była osierocona i zupełnie sama.

Regeane, nie uroniwszy jednej łzy, odprowadziła ciało matki do grobu. Przepęłniała ją rozpacz tak czarna, że jasny dzień wydawał jej się ponurą nocą.

Teraz na tle czarnej podłogi zamajaczył blady srebrny cień.

Nie pozostało nic, prócz blasku księżycy - pomyślała Regeane. Pij go, pław się w nim. Ona cię nie zgani. Nigdy więcej nie zobaczysz jej łez, nigdy już nie sprawią ci cierpienia. Cokolwiek się z tobą stanie, jesteś teraz sama.

Wstała, zrzuciła z siebie suknię i koszulę i zwróciła się twarzą ku srebrnej mgiełce. Przez okno wdarł się podmuch lodowatego wiatru, ale bez ostrego ukąszenia bólu nie byłoby przyjemności. Nawet krótka eksplozja orgazmu jest zbyt intensywna, by niosła ze sobą samą tylko rozkosz. Ta zimna pieśczęta była grą wstępną przelotnym brutalnym dotykiem, który poprzedza nadejście rozkoszy.

Regeane ruszyła śmiało naprzód, wiedząc, że za chwilę będzie jej ciepło. Wstąpiła naga w srebrną mgiełkę.

I pojawiła się tam wilczyca.

Regeane była, jak na wilczycę, wielka. Zachowała tę samą wagę, co dziewczyna - ponad sto funtów. Była o wiele silniejsza niż w swojej ludzkiej postaci - smukła, zwinna i potężna. Futro miała gładkie i gęste. Długa sierść połyskiwała srebrzyście w blasku księżycowej poświaty.

Serce wilczycy przepełniała radość i wdzięczność. Regeane nie przyznałaby tego nigdy w ludzkiej postaci, ale kochała tę wilczycę i bez względu na skuteczność papieskiego błogosławieństwa za nic by się z nią nie rozstała.

W głębi serca radowała ją ta przemiana. Czasami, pozostając w ludzkiej postaci, zastanawiała się, która z nich jest mądrzejsza, wilczyca czy ona. Wilczyca to wiedziała. Stając się z biegiem lat coraz piękniejsza i silniejsza, oczekiwała cierpliwie, aż Regeane dojrzeje do przyswojenia sobie i zrozumienia jej nauk.

Srebrna wilczyca stanęła na tylnych łapach, oparła się przednimi o parapet okna i wyjrzała na zewnątrz. Postrzegając wszystko nie tylko oczami, jak ci ułomni ludzie, ale również wrażliwymi uszami i nosem.

Świat oglądany przez ludzi jest jak fresk - bezwymiarowy niczym ścienne malowidło. Każdy obiekt, żeby zostać w pełni postrzeżonym przez wilka, musi mieć nie tylko kształt, ale również zapach, teksturę i smak.

Boże... jak pięknie! Świat jest pełen cudów.

Wieczorem musiał spaść deszcz. Wilczyca wyczuwała woń wilgotnej, czarnej ziemi pod kobiercem zieleni oraz błota zrytego końskimi kopytami na pobliskim gościńcu.

Kobieta tego nie zauważyła. Dzień upłynął jej na smutnych rozważaniach. Wilczyca skwitowała to krótkim przebłyskiem pogardy. Ale była stworzeniem, które żyje przede wszystkim terażniejszością, i nie potrafiła przejmować się długo tym, co było. Cieszyła się każdą chwilą. A ta była piękna.

W Rzymie zapachy związane z człowiekiem wybijały się nad wszystkie inne. Ten odór zastarzałego potu, przykra woń bijąca od zanieczyszczonego ściekami Tybru, smród ludzkich odchodów bez porównania bardziej odpychający od wydzielanego przez ekskrementy zwierząt. Wszystko to unosiło się w powietrzu i przytłaczało. Na te wyziewy nakładało się zatęchłe wszechobecne świadectwo bliskości ludzkich siedzib: swąd dymu, zapach wilgotnego drewna i kamienia.

Ale dzisiejszej nocy było inaczej. Od otwartych pól za miastem dął porywisty wiatr, pachnący suchą trawą i słodyczą dzikich ziół porastających stoki nadmorskich wzgórz.

Czasami wonny powiew od Kampanii przynosił z tamtejszych gospodarstw czyste zapachy trzody i bydła oraz ledwie wyczuwalny, podniecający aromat jelenia.

Noc tam w dole tętniła życiem. Koty zamieszkujące ruiny wyśpiewywały pośród zapomnianych pomników swoje odwieczne pieśni gniewu i namiętności. Tu i tam jej bystre oko wyławiało z mroku kształt przemykającego bezpańskiego psa, a czasami sylwetkę czającego się człowieka. Złodzieje i włóczędzy, czyhający na nieostrożnego przechodnia, stanowili w tej dzielnicy istną plagę.

Zastrzygła uszami, łowiąc nimi to, czego oczy nie mogły zobaczyć - miękki łopot skrzydeł sowy w locie, piski zwinnych nietoperzy ścigających owady w chłodnym nocnym powietrzu.

Szmery i szepty wydawane przez łowców i milczące aż do końca ofiary. Powietrze przeszył rozdzierający śmiertelny okrzyk ptaka, którego przydybał w gnieździe podczas snu zdziczały kot. Po nim rozległ się, zdławiony szybko, wrzask królika umierającego w szponach sowy.

Z tych i wielu innych odgłosów zmysły wilka tkwały bogatą materię o nieskończonej różnorodności i wiecznotrwałym pięknie.

Srebrna wilczyca z cichutkim, niemal niedostłyszalnym skowytem tęsknoty opadła przednimi łapami na posadzkę. Obnażyła kły, kiedy do jej świadomości dotarły odgłosy z sąsiedniej izby.

Hugo i Gundabald jedli. Woń pieczonego mięsa sprawiła, że wilczycy zaburczało w brzuchu. Była wygłodniała i spragniona, tęskniła za czystą wodą i posiłkiem.

Kobieta upomniała swe nocne wcielenie, by powściągnęło żądze. I tak niczego nie dostanie.

Wilczyca odpowiedziała. Wydostały się obie — kobieta ze swojego więzienia, wilczyca z klatki. Wilczyca stała nad czystym górskim jeziorem. W jego tafli odbijał się srebrny księżyc w pełni. Na tle gór połyskujących bielą wiecznych śniegów rysowały się ostro czarne sylwetki okalających jezioro drzew.

Wspomnienie zbladło. Wilczyca i kobieta znowu wpatrywały się w zamknięte drzwi.

Wilczyca i kobieta wiedziały, co to więzienie. Regeane większość swego

życia spędziła za zamkniętymi drzwiami. Już dawno poznała bolesną daremność szturmów na dąb i żelazo. Pogodziła się z tym, czego zmienić nie mogła, i uzbroiła się w cierpliwość.

Mówili o niej:

- Słyszałeś? - pytał przestraszony Hugo. Hugo miał lepszy od Gundabalda słuch. Do jego uszu musiał dotrzeć cichy skowyt protestu.

- Nic nie słyszałem - wymamrotał z pełnymi jadła ustami Gundabald. — Ja nie słyszałem i ty też nie słyszałeś. Coś ci się przywidziało. Ona rzadko hałasuje. Możemy być jej za to wdzięczni. Przynajmniej nie wyje po nocach jak prawdziwy wilk.

- Nie trzeba jej tu było sprowadzać - jęknął Hugo.

- Znowu zaczynasz? — westchnął z rezygnacją Gundabald.

- Bo to prawda — odparł Hugo z pijackim uporem. - Założycieli tego miasta wykarmiła własnym mlekiem wilczyca. Nazywali siebie kiedyś synami wilczycy. Od kiedy się dowiedziałem o jej przypadłości, często o tym myślę. Prawdziwa wilczyca nie przygarnęłaby ludzkich dzieci, ale taki stwór jak ona...

Gundabald zaniósł się ochrypłym rechotem.

- Bujda, którą wymyśliła pewnie jakaś zdzira, żeby wytłumaczyć pochodzenie dwójki bękartów. Nie byłaby pierwszą ani ostatnią, która układa durną historyjkę, żeby zatuszować swoją... rozwiązłość.

- Ty jesteś ślepy i głuchy - warknął rozdrażniony Hugo. - Stała się gorsza, od kiedy tu przybyliśmy. Nawet gdy umierała jej matka...

Srebrna wilczyca obnażyła kły. Zabłyły w blasku księżycy niczym noże z kości słoniowej. Słowa Hugo raniły nawet serce wilczycy.

Bezcelowy był ten tłący się gniew. Bezcelowy ten krótkotrwały bunt. Od prześladowców dzieliły ją grube drzwi. Od wspaniałego stworzenia i wolności - zakratowane okno.

Jęła krążyć po izbie, jak czyni to każde zamknięte w klatce zwierzę, posłuszna bezgłośnym rozkazom: Pozostań silna! Pozostań zdrowa! Pozostań czujna! Nie lękaj się, twój czas nadejdzie!

2

Maeniel był coraz bardziej zafrasowany. Miał dzisiaj po temu wiele powodów. Stał na zrujnowanym tarasie służącym ongiś wygodzie jakiegoś rzymskiego patrycjusza i zazdrościł temu człowiekowi, który też zapewne stał tu swego czasu jak on teraz, oddychał pełną piersią i lustrował z ukontentowaniem swoje rozległe włości. Dzisiaj Maeniel martwił się między innymi o łąki. Trawy nie dojrzewały chyba tak, jak powinny. A bez siana nie przetrwają przecież długiej i mroźnej zimy. Westchnął. Człowiek, który stał tu niegdyś na jego miejscu, był pewnie tak potężny, że nie musiał się martwić o siano. Prawdopodobnie zaprzętały go inne problemy, może nawet poważniejsze niż te Maeniela. Myśli zajmowała mu, dajmy na to, polityka Rzymu.

- Polityka Rzymu — mruknął pod nosem Maeniel.

Gavin, kapitan jego straży, siedział na ławeczce i drzemał wsparty plecami o fresk przedstawiający Perseusza uśmiercającego Meduzę. Spozierała na niego głowa gorgony trzymana przez herosa. Nie burzyło to Gavinowi spokoju ducha. Spokoju ducha Gavina nic nie było w stanie zmącić. Otworzył jedno oko i powtórzył:

- Jaka znowu polityka Rzymu?
- Przyszło mi właśnie do głowy, że rzymski patrycjusz, nawet jeśli nie martwił się tak jak ja o łąki, mógł się martwić o politykę Rzymu.

Gavin otworzył drugie oko.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, przestają cię interesować łąki, a zaczyna to, co gryzło dawno nieżyjącego Rzymianina, tak?

- Tak - przyznał Maeniel.
- No to sobie coś wyjaśniliśmy. — Gavin zamknął oczy. - A teraz zdrzemnę się jeszcze, jeśli pozwolisz.
- Nie dojrzewa chyba tak szybko jak zwykle - nie ustępował Maeniel.
- Trawa czy polityka Rzymu? - zapytał Gavin.
- Trawa. — Maeniel przygryzł wargę.

Gavin westchnął głęboko, otworzył oczy i potoczył wzrokiem po okolicy. Rozciągał się przed nim krajobraz skąpany w ciepłym złocie popołudniowego słońca, tchnący spokojnym, sielankowym wprost pięknem. W trzech schludnych wioskach, rozrzuconych wśród pól uprawnych u podnóża gór, bujna zieleń zaczynała już przybierać pierwsze odcienie soczystej jesiennej czerwieni, brązu i złota.

Wyżej, na zboczu, widać było stadka owiec, kóz i bydła, skubiące trawę na

letnim pastwisku. Górowały nad nimi nieziemsko piękne szczyty wznoszące się w błękitne niebo i przykryte śnieżnymi czapami.

- Po mojemu - odezwał się Gavin — trawa dojrzeła tak samo, jak to robiła zawsze, od kiedy tu przybyliśmy.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał z nadzieją w głosie Maeniel.

- Naprawdę — odparł Gavin, znowu zamykając oczy. Maeniel pokręcił głową.

- A mnie Klotylda mówiła, że zapowiada się ciężka zima. Podobno runo owiec jest dwa razy gęstsze niż zwykle, co...

- Nie - powiedział stanowczo Gavin. - Nie będę tego dłużej słuchał. Co roku o tej porze martwisz się o siano. Potem, po sianokosach, powstanie pytanie, czy starczy go nam dla inwentarza na całą zimę. Czy czasem nie posłać kogoś na niziny, by dla spokoju sumienia dokupił więcej? Potem zaczniesz się zamartwiać o drewno na opał. Czy nam go wystarczy? A jeśli spadną wielkie śniegi i zasypie nas tak, iż nie będziemy mogli narąbać więcej? Na wszelki wypadek lepiej narąbać więcej teraz i ułożyć w sagi tak wysokie, że w zimie przyjdzie nam spać na śniegu, bo w domach nie będzie już dla nas miejsca. Potem, brnąc przez zadymki i zawieje, będziesz odwiedzał każdą krowę, każdą maciorę, każdą owcę i każdą kozę z bólami. I trzymał je za kopytko, dopóki nie wydadzą na świat młodych. Ktoś kichnie, a ty usłyszysz to przez sen i obudzisz mnie, żebym mu współczuł razem z tobą. Potrzymaj latarnię, Gavinie. Z życiem machaj tą siekierą, Gavinie. Ciągnij, Gavinie. Pchaj, Gavinie. Weź swoich ludzi i przepędź tych zbójców, Gavinie. Wiem, Gavinie, że nie przekroczyli granicy mych ziem, ale nie życzę sobie, żeby grasowali tak blisko nich. Teraz znowu martwisz się o zmarłych Rzymian i o politykę, która nas tu, w górach, zupełnie nie dotyczy. Dziwiłem się z początku, że stary i chory Rieulf oddał swe dobra w twoje ręce. Ale po pierwszej zimie zrozumiałem, jak mądrego wyboru starzec dokonał. Dobrze wiedział, co czyni.

Maeniel słuchał pobłaźliwie tyrady Gavina. Byli starymi przyjaciółmi. Wystłuchiwał tego kilka razy w roku, ilekroć rozdrażnił swym zachowaniem Gavina.

- Znalazłbyś wreszcie kogoś - ciągnął Gavin - kto martwiłby się za ciebie o siano, owce, kozy, drewno i śnieżyce. Nie musiałbym wtedy tego wystłuchiwać. - Urwał i wciągnął powietrze w nozdrza. - Świeży chleb - wyszeptał. - Zapomniałem, że Matrona ma dzisiaj dzień pieczenia. - Węsząc, zaczął się dźwigać z ławy. Apetyczny aromat przyciągał go jak magnes.

Maeniel położył wielką dłoń na ramieniu Gavina i przytrzymał go na ławie.

- Matrona ma w dzień pieczenia mnóstwo roboty. Łatwo wtedy wpada w gniew. Pamiętasz, jak uratowałem ci kiedyś życie? Chciała cię wepchnąć nogami naprzód do pieca, a ty zapierałeś się stopami o ściankę po obu stronach drzwiczek i wrzeszczałeś wniebogłosy. Gdyby nie ja...

- Nie musiałeś mnie ratować - zaperzył się Gavin. - Jestem po prostu dobrze wychowany i nie chciałem jej zrobić krzywdy.

- Naturalnie - mruknął pojednawczo Maeniel - naturalnie. A wracając do tematu, miałeś rację... z tym zamartwianiem się.

- Co, kończysz z nim? - spytał Gavin.

- Nie - odparł Maeniel. - Mam nowe zamartwienie. — Podał Gavinowi list.

Gavin przebiegł pismo wzrokiem. Potem, uświadamiając sobie wagę jego treści, wrócił do początku zaczął czytać uważniej.

- Jak widzisz, rzecz nie w polityce Rzymu — powiedział Maeniel. - Rzecz w polityce królestwa Franków. Z polecenia Karola, samego Karola Wielkiego, przybywa tu niebawem pewna kobieta. Mam ją poślubić.

- Ja bym tego nie robił - orzekł Gavin, oddając mu list. - Powiedziałbym temu Karolowi Wielkiemu, żeby zajął się lepiej polowaniem z sokołami albo uganianiem za Sasami, albo czymś tam, u czarta, czym umilają sobie życie królowie. Wybij sobie z głowy małżeństwo. Kiedy nadciągnie tutaj jakaś królewska kuzyneczka ze swoim orszakiem, zarygluj wrota, naostrz miecz i życz im szczęśliwej drogi powrotnej w dolinę za przełęczą. Idę o zakład, że więcej o niej nie usłyszysz.

- Nie mogę przyjąć tego zakładu - powiedział cicho Maeniel. - Stawka jest za wysoka.

- Jaka tam wysoka! - zaproponował Gavin. - Siedzisz w niezdobytej warowni. Tej skały nikt nigdy nie wziął szturmem, nawet w czasach rzymskich.

- Ale Karol, jeśli naprawdę postanowi mnie stąd wyłuskać, dokona tego - odparł ponuro Maeniel. - Jak myślisz, dlaczego zapłaciłem mu okazałą daninę w srebrze? Co roku, na święta Bożego Narodzenia, ślę mu piękny podarek w złocie i klejnotach. Oczyszczam drogi ze złodziei i bandytów, nie zdieram z kupców korzystających ze szlaku przez przełęcz, I cały czas trzymam palce na krzyż. Do tej pory zostawiał mnie w spokoju. Stało się. Wystawiono mi rachunek, i to w formie, której nie mogę oprotestować. On oddaje mi rękę kobiety z królewskiego rodu. Nie śmiem tej oferty odrzucić. Z listu wynika, że to osóbką młoda, urodziwa i...

- Z listu — wpadł mu w słowo Gavin - można się dowiedzieć o tej damie wszystkiego: daty urodzin, pochodzenia, tak, wszystkiego, prócz tego najważniejszego. Co z nią jest nie w porządku!

- A co miałoby z nią być nie w porządku! - zachnął się Maeniel.

Gavin patrzył posępnie na wioskę.

- No i kto tu jest optymistą? Mnie, prócz skrajnego ubóstwa, przychodzi do głowy jeszcze kilka możliwych ułomności. Utracone dziewictwo, skłonność do trunków, pomieszanie zmysłów, nieuczciwość, głupota, trąd, bezduszość, chciwość. Poza tym ona okaże się zapewne garbatą karlicą z jednym zębem i bez piątej klepki.

- Czasami myślę, że twój ojciec popełnił wielki błąd, posyłając cię do szkół - powiedział Maeniel. - Niebywale rozbudzili Ci tam wyobraźnię.

- Wiem - przyznał Gavin. - Powtarzałem mu to co dnia i po jakimś czasie nie wiadomo już było, co pierwsze nie wytrzyma – jego ręka, jego pas czy moje siedzenie. No i skończyło się na tym, że podobnie jak ty uciekłem z domu, by szukać w świecie szczęścia. Znaleźliśmy je obaj, a teraz ty musisz poślubić tę... stworzę, żeby się z nim pożegnać.

- To niewielkie poświęcenie - zauważył Maeniel.

- Miejmy nadzieję - mruknął Gavin.

- Nawet jeśli okaże się garbatą karlicą, to może mieć przecież miłą osobowość. Jeśli jest niespełna rozumu, dopilnuję, żeby miała odpowiednią opiekę. Jeśli pije, to od czasu do czasu musi też trzeźwieć. Jeśli straciła cnotę, to nie musimy o tym na prawo i lewo rozpowiadać. Z bezduszością i chciwością da się walczyć. Nawet trąd, uchowaj Boże, można leczyć. Na tych wysokościach chory albo szybko zdrowieje, albo umiera.

- Otóż to - podchwycił Gavin. - Spójrzmy na sprawę od jasnej strony. Ona może tu nie przetrwać pierwszej zimy.

- A może jest taka, jak piszą w liście: młoda, urodziwa i miła. Może jej jedyną prawdziwą wadą jest ubóstwo.

- Nie - orzekł Gavin. - Gdyby istniał tylko ten jeden problem, nigdy nie oddaliby jej takiemu jak ty. Nisko urodzonemu irlandzkiemu najemnikowi. Gdyby nie Rieulf, do tej pory zarabialibyśmy na chleb, sprzedając swoje miecze komu popadnie. Ale ty dobrze mu służyłeś i pokochał cię. Miałeś szczęście...

- To prawda. - Maeniel spojrzał znowu w dolinę. Sprawa traw wciąż nie dawała mu spokoju. — Jak myślisz, Gavinie, może powinniśmy skosić teraz część

łaki i...

Od strony kuchni doleciał głośny wrzask.

Maeniel obejrzał się. Gavina za nim nie było. Zapach świeżego chleba okazał się pokusą zbyt silną, by kapitan zdołał się jej oprzeć.

Gavin na koniu, z mieczem w ręku, był postrachem każdego górskiego zbójcy, ale ze starcia z Matroną zawsze wychodził pokonany.

Maeniel postanowił pośpieszyć mu z odsieczą. Pozostawiając sprawę siana i przyszłości własnemu biegowi, ruszył w stronę rozbrzmiewającej wrzaskami kuchni.

3

Nazajutrz Regeane obudziła się na pryczy naga. Wilczyca krążyła po izbie aż do zachodu księżyca. Dopóki tamci dwaj w sąsiedniej izbie, zapadłszy w pijacki sen, nie zachrapali głośno. Wspięła się wtedy na pryczę, złożyła pysk na poduszce i zasnęła. Nie pamiętała, kiedy powróciła do ludzkiej postaci. Prycza pachniała jeszcze ciepłym zwierzęciem i człowiekiem.

Stara niebieska suknia leżała w nogach pryczy. Nazywała ją w myślach niebieską, ale prany tysiące razy materiał spłowiał i był teraz ziemistoszary.

Wkładając suknię, uświadomiła sobie, że ta, jeszcze kilka miesięcy temu za duża, staje się zbyt ciasna w ramionach i biuście. Kiedyś wlokła się za nią po podłodze, teraz ledwie zakrywała kostki.

Suknia była kiedyś bogato haftowana przy dekolcie i na rękawach. Złotą nicią. Nie uszło to uwagi Hugo i Gundabalda. Któryś z nich dawno temu wypruł drogocenne ścięgi.

Za oknem świtało. Powinni się już czuć bezpieczni - pomyślała Regeane.

Tak też najwyraźniej było. Ciężkie drzwi otworzyły się, kiedy je pchnęła.

Gundald siedział przy stole. Oczy miał przekrwione, na szczeciniastej czarnej brodzie zaschła mu ślina, ale z apetytem opychał się ciemnym chlebem, zagryzał serem i popijał kwaśne wino.

Hugo klęczał na podłodze i rzygał do nocnika. Pośrodku stołu leżał wielki okrągły bochen chleba. Regeane oderwała sobie solidny kawał. Chleb był zbity, pachniał dodaną do ciasta oliwą z oliwek i cebulą. Regeane zatopiła w nim łapczywie mocne, zdrowe zęby.

Z sera została tylko skórka. Jadła ją razem z chlebem, dwukrotnie przygryzając sobie przy tym palce.

Obok chleba stała terakotowa misa z figami. Sięgnęła po figę. Gundald trzasnął ją w grzbiet dłoni trzymanym na płask nożem. Zabolało.

Skrzywiła się i szybko cofnęła rękę. Spojrzała spłoszona na Gundabalda.

Parsknął śmiechem, siejąc wokół okruchami z ust

Dłoń Regeane nadal spoczywała na stole w pobliżu misy. Palce miała długie, zbiegające się lekko ku końcom, przez co nie rzucało się w oczy, że paznokcie są grube i zwężają się na czubkach do tępych ostrzy.

Gundabald uderzył ją znowu, tym razem pozostawiając pręgę na palcach Regeane. Nie mrugnęła okiem, nie cofnęła ręki. Gundabald uwielbiał zadawać ból. Okazywanie po sobie cierpienia tylko go zachęcało.

Patrzył przez chwilę na czerwone ślady po nożu, potem przeniósł wzrok na twarz Regeane. Jej opanowanie zbiło go chyba z tropu.

- No wcinaj ten chleb, wcinaj - burknął. - Nie zaszkodzi, jak nabierzesz trochę ciała, boś chuda jak szkielet.

Hugo przestał już wymiotować. Siedział teraz przy stole. Twarz miał zroszoną kropelkami potu. Ale zdobył się na wysiłek posłania Regeane pożądanego spojrzenia.

- I teraz nieźle się prezentuje - powiedział. - Te włosy. Te oczy. - Nalał sobie szklankę czerwonego wina. Pierwszy łyk cofnął mu się do ust. Zadławił się, charknął na podłogę, po czym wlał w siebie, jeden po drugim, parę kolejnych solidnych łyków.

Gundabald spiorunował go wzrokiem, a potem spojrzął na Regeane. Pewnych atutów nie można dziewczynie odmówić - pomyślał. Na przykład te włosy — długie i ciemne, prawie czarne od cebulek po szyję, a dalej jaśniejące stopniowo, nabierające srebrnego odcienia, by na końcach zupełnie pobieleć. Nigdy się nie splątywały. Sam widział, jak szarpnięte podmuchem wiatru unoszą się, a potem opadają z powrotem na swoje miejsce.

Oczy też miała piękne, wielkie, ciepłe i ciemne - dopóki nie padło na nie światło. Wtedy rozjarzały się złotem jak woda w promieniach zachodzącego słońca.

Poza tym nie było w niej niczego specjalnego. Chuda, blada, zahukana. Gundabald gustował w kobietach, które jest za co ucałować — w takich, które piszczą pod człowiekiem i jęczą, które potrafią wycisnąć z niego siódme poty. Wyczuwał, że ta tutaj jest pod tym względem do niczego. No i Boże miej w swojej opiece mężczyznę, który obudzi się z nią w łóżku przy blasku księżyca.

Ale za dnia jest tak samo bezbronna jak każda inna kobieta, i on musi ją jakoś chronić. Gwiazda Karola Wielkiego wschodzi, więc z tej dziewczyny może być jeszcze kiedyś pożytek.

Hugo znowu żłopnął wina. Podeszło mu z powrotem do gardła. Toczył przez chwilę niełatwą walkę z buntującym się żołądkiem. Wino było jakieś dziwne. Śmierdziało. Zagryzł chlebem. Jadł mniej i wolniej niż Regeane i Gundabald. Miał kilka zepsutych zębów.

Gundabald powoli, ostrożnie uniósł i podciągnął pod brodę zgiętą w kolanie nogę. Potem wyprostował ją znienacka, waląc piętą w krocze nieprzygotowanego na to Hugo.

Hugo ani pisnął. Musiało go zatkać - przemknęło przez myśl Regeane. Chwycił się instynktownie za przyrodzenie. Oczy wywróciły mu się białkami do góry. Runął z krzesłem do tyłu i z głośnym łomotem wyrzucił potylicą o drewnianą podłogę.

Gundabald wepchnął sobie do ust ostatni kawałek chleba, westchnął i podniósł się od stołu. Stał nad Hugo i nogą przewrócił rżęzącego syna na bok, żeby się nie udusił.

Z ust Hugo bluznęła na podłogę fontanna treści żołądkowej: chleb, wino, a na koniec, kiedy zmalretowane trzewia sięgnęły po nie strawione jeszcze resztki wieczornej kolacji, kawałki mięsa i rzepy.

Przerażona Regeane, przyciskając dłoń do piersi, wstała powoli z krzesła. Wiedziała, na co stać tych dwóch, ale to przekraczało już wszelkie granice.

Gundabald, patrząc na syna z góry, prychnął pogardliwie i rzucił mu przed nos kilka srebrnych monet.

- Znajdź jej służkę - warknął.

Hugo wydał z siebie bulgotliwy charkot, który miał chyba wyrażać zdziwienie.

- Najmij służkę. - Gundabald podniósł głos. - Masz znaleźć służkę dla swojej kuzynki Regeane.

Do izby weszła stara kobieta. Była drobna, przygarbiona i powykręcana chorobą, która, jak zauważyła Regeane, upodobała sobie wąskie uliczki miast. Twarz miała ospowata, nos złamany, a jedno ucho jak kalafior. Spod czepka wystawały pozlepiane strąki siwych włosów.

Skłęta Hugo za zapaskudzenie podłogi. Skłęta też Gundabalda, chyba za to, że w ogóle istnieje. Na Regeane nawet nie spojrzała. Mówiła dosadną gwarą rzymskich ulic, językiem, w odczuciu Regeane, wulgarnym, fascynującym, ekspresyjnym, czasami niemal pięknym, ale na pewno nie przypominającym już łaciny.

Gundabald nie rozumiał z tego ani słowa, pojmował tylko ogólny sens.

- Co ty tam jazgoczesz, stara wiedźmo?! - ryknął.

Ku zaskoczeniu Regeane kobieta zaczęła mówić wolniej. Cedząc słowa, opisała bardzo obrazowo któregoś z prawdopodobnych przodków Gundabalda.

Gundabald doskoczył do niej z uniesioną pięścią. W mgnieniu oka w jej dłoni

pojawił się sztylet. Ostrze było poczerniałe i wyżarte przez rdzę, ale dobrze naostrzone krawędzie połyskiwały złowróźnie.

Gundabald cofnął się szybko.

- Każdy dzisiaj jakiś nie w sosie — wyburczał. Zerknął na leżącego na podłodze Hugo i cisnął mu jeszcze kilka sztuk srebra. — Słyszałeś?! - krzyknął.

Hugo pokiwał skwapliwie głową. Nie był teraz w stanie bronić się przed gniewem ojca.

- Najmiesz służkę dla Regeane. Służkę możesz wychędożyć, jak dasz radę. Ale kuzynki nie waż się tknąć. Nie waż się pchać łap pod jej suknię ani chwycić jej za kolano. Rusz ją palcem, a utnę ci ten palec. Spróbuj choć raz okazać kuzynce swoje „względy”, a pozbawię cię męskości boleśnie i raz na zawsze. Zrozumiałeś?

Hugo znowu skwapliwie pokiwał głową.

Gundabald owinął się wystrzępioną aksamitną opończę i ruszył do drzwi.

Starucha wycierała szmatą podłogę. Przechodząc obok niej, Gundabald ze złośliwą premedytacją trącił czubkiem buta wiadro. Na izbę chlusnęła brudna woda.

W dłoni staruchy znowu pojawił się sztylet. Wymieniła zboczenie seksualne, którego istnienia Regeane nawet się nie domyślała, i przypisała je Gundabaldowi. Zarechotał i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Hugo zaczął pojękiwać i skamleć płacząco o pomoc. Regeane, nie zwracając na niego uwagi, usiadła.

Starucha, zerknąwszy na nią, wyszła. Wróciła po paru chwilach z kiełbasą i położyła ją przed dziewczyną. We wbijającej w kiełbasę zęby Regeane obudziła się na moment wilczyca, ale nawet nadwrażliwe zmysły zwierzęcia nie potrafiły rozpoznać rodzaju mięsa, którym to coś było nadziane. Regeane wcale by się nie zdziwiła, gdyby wyszło na jaw, że za surowiec posłużył jakiś gość noclegowni, który usiłował wymknąć się niepostrzeżenie, nie płacąc za kwatery. Tymianek, koper i czosnek zabijały wszystkie inne zapachy, ale ona była wściekle głodna. Oblepiła ten cuchnący smakołyk chlebem i łapczywie pochłonęła. Od razu poczuła się lepiej. Starucha z podziwu godną sprawnością kontynuowała sprzątanie.

Hugo pozbierał się z podłogi, usiadł na krześle i biorąc się za głowę, spojrzął z wyrzutem na Regeane, która dojadła resztkę chleba.

- Suko! - powiedział, opuszczając ręce. - Wszystko zeżarłaś.

Regeane zadarła dumnie brodę. Wilczyca wysuwała się powoli z mroku z opuszczonym łbem, szczerząc kły w morderczym uśmiechu budzącej się wściekłości.

To ona, nie Regeane, spojrzała Hugo w oczy. Wytrzymał to spojrzenie przez kilka sekund, potem odwrócił wzrok.

Przypomniał sobie o srebrze, które cisnął mu Gundabald. Wstał, pozbierał monety z podłogi i omijając szerokim łukiem staruchę, wymknął się z izby.

Stara wymruczała kilka wulgarnych słów w kierunku zamykających się drzwi, a potem zachichotała i powiedziała coś w miejscowym dialekcie.

- Nie mów tak - rzuciła Regeane. - Znam rzymski... - Urwała. Nie wiedziała, jak się nazywa miejscowy dialekt.

Stara znowu zachichotała.

- Nic mnie to nie obchodzi. On się ciebie boi. Nie dlaczego, ale się boi. Stary czort może być spokojny. Ten nędzny zarzyganiec nie waży się ciebie tknąć.

- Gundabald lubi bić ludzi - powiedziała bezbarwnie Regeane.

Starucha kiwnęła głową, jakby nie była to dla niej żadna nowina.

- Niech no popróbuje podnieść rękę na mnie. Urznię mu ją.

- Masz trochę wody? - spytała niepewnie Regeane. - Tak chce mi się pić, a wino...

- To świńskie szczyny - dokończyła za nią kobieta. Plasnęła szmatą o podłogę i wyszła. Wróciła po paru minutach z wielkim glinianym garncem. - Kiedy indziej - powiedziała - nie radziłabym ci brać w Rzymie wody do ust. Nawet najlepsze wino sprzedawane w gospodach jest bezpieczniejsze. Ale zeszłej nocy lało jak z cebra i w kadzi nzbierało się świeżej deszczówki.

Regeane uniosła garniec do ust. Gasiała pragnienie razem z wilczycą. Woda była chłodna, miała leciutki posmak wapna i pachniała zimowym niebem; zimnym, szarym niebem przesłoniętym kurtyną deszczu albo mgłą, która przed wschodem słońca zalega między wzgórzami i tak jest przesycona lodowatą rosą, że moczy do nitki odzienie wstających wcześniej w zimowe poranki. Gdzieś na szczycie wzgórza wysokie trawy falowały, tańczyły i kłaniały się burzowym wichrom, a po niebie pędziły ołowiane chmury.

Opróżniwszy garniec do dna, Regeane przymknęła oczy. Łączyła się w mrokach swej duszy z wilczycą. Wilczyca warknęła. Chciała powiedzieć Regeane, jak nienawidzi Hugo, Gundabalda i życia, które przyszło jej wieść. Była gotowa walczyć, uciec z pułapki, w której tkwiła. Od świata, który zamieszkiwały, lepsza już śmierć.

Regeane po raz pierwszy za dnia poczuła to leciutkie, zwiastujące nadejście

wilczycy zaburzenie, którego do tej pory doświadczała tylko przy blasku księżyca. Wzdrygnęła się przerażona na myśl o konsekwencjach buntu. Nie chciała wcale wiedzieć, jak bardzo nienawidzi Gundabalda, jak panicznie się go boi. Jej rodzina była odrażająca, ale mimo to trzymała się jej kurczowo. Wolała już życie przy wuju i jego synu niż męczeńską śmierć.

Opowieści o karach wymierzanych czarownicom przejmowały ją dreszczem przerażenia. Matka szeptała jej na ucho, w jakich cierpieniach rozstają się z tym światem kobiety skazane za oddawanie się nienaturalnym praktykom. Wsadzano je nagie do beczki nabijanej ćwiekami i toczono w tej beczce, dopóki nie ustały wrzaski. Palono na stosie. Zasywano w worze ze szczurem, psem i wężem, i wrzucano do rzeki. Słudzy Boga, gorliwi w walce z tym, co uznawali za zło, obmyślali kary gorsze od tortur, jakim diabły w piekle poddawały potępionych.

- Nie, nie - powiedziała Regeane do wilczycy. - Boję się. Nie mogę. Odejdź. Proszę cię, błagam, odejdź.

Wilczyca popatrzyła na Regeane ze smutkiem, zaskamląła rozczarowana i odeszła, rozplywając się w mroku.

- Co ci? - zapytała starucha. - Chora jesteś?

- Nie - odparła Regeane. - Tylko zmęczona. Dziękuję ci. - Uśmiechnęła się do kobiety, weszła do swojej izby i zaryglowała drzwi.

Wąska kamienna cela była lodowato zimna, ale słoneczna. Regeane położyła się na pryczy, opatuliła opończę i zasnęła.

Hugo najął służącą. Przyprowadził ją do domu nad ranem.

Regeane obudziło zamieszanie.

Gundabald późno położył się spać. Zabawiał się z kimś. Z chłopcem czy kobietą, Regeane nie potrafiła orzec. Mogła przywołać na pomoc wilczycę. Jej nosa nic by nie zwiodło, ale wilczyca była dziewicą, i to ortodoksyjną. Regeane nie wiedziałyby, jak sobie poradzić z jej zgorszeniem i głęboką odrazą. To nocne zwierzę uważało ludzi za istoty nadmiernie gustujące w rozkoszach cielesnych i wyczuwało, że jej ludzka partnerka zbyt ulega lubieżnej ciekawości.

Powietrze napływające przez szparę u dołu drzwi cuchnęło wyuzdanym seksem. Regeane zasypiała przy akompaniamencie postękiwań i pomruków rozkoszy.

Obudził ją nie dźwięk, lecz zapach. Była z nią wilczyca. Coś, nie, nie coś,

wąż polował wśród winorośli przy jej oknie. Woń gada zaniepokoiła lekko wilczycę, za to kobietę przyprawiła o dreszcz obrzydzenia. Regeane podniosła się z łóżka i stanęła w ciemnej izbie.

Cichy szmer, jaki temu towarzyszył, wystarczył, by przepłoszyć pełzającego wśród winnych pnączy drapieżcę. Jego woń osłabła. Regeane słyszała za oknem oddalający się szelest.

Do sąsiedniego pokoju wpadł z rumorem Hugo.

Ktoś pisnął.

- Sodomita! — wrzasnął Hugo.

A więc gościem Gundabalda był jednak chłopiec. Rozległ się tupot bosych stóp. Ktoś uciekał.

- Do kroćset! - ryknął Gundabald. - No i patrz, coś narobił. Ten mały zasraniec rąbnął mi sakiewkę.

Spadło uderzenie. Hugo zawył. Zawtórował mu żeński pisk, a potem nastąpiła seria czterech wrzasków.

Bum. Bum. Bum. Bum.

Regeane wstrzymała oddech i cofnęła się od drzwi. Rozpoznała ten dźwięk. To mieszkający pod nimi gospodarz walił kijem od szczotki w sufit.

Zaraz potem popłynęła wiązanka przekleństw, przeplatana groźbami, że wylecą na zbity pysk, jeśli nie przestaną hałasować.

W sąsiedniej izbie ucichło.

Hugo ubliżył niższym głosem Gundabaldowi.

Gundabald ubliżył Hugo.

Dziewczyna zawodziła.

- Stul ryło, duma wywołoko - wyszeptał chrapliwie Gundabald. - Przestań miauczeć, bo wykręcę ci drugi cycek. Ognia skrzęsaj. Ciemno tu jak w kobyliczym zadku.

Regeane usłyszała trzask stali uderzającej o krzemień.

- Boże miłosierny, a to co? - spytał Gundabald.

- Służka Regeane — odparł Hugo. — Znalazłem ją w gospodzie.

- Gdzie? W wychodku? Ciężarna koza to przy niej bogini piękności.

Nazajutrz, ujrzawszy swoją nową służącą, Regeane, chcąc nie chcąc, musiała przyznać Gundabaldowi rację.

Dziewczyna nazywała się Silve. Była krzywonoga, przeraźliwie chuda, szczerbata, zezowata i miała ziemistą cerę, na co jeszcze można było przymknąć oko, gdyby przy tym wszystkim odznaczała się inteligencją, miłym usposobieniem, albo przynajmniej pracowitością. Nic z tego. Kiedy nie spała w swojej alkowie przylegającej do głównej izby albo nie była brutalnie i hałaśliwie chędożona przez Hugo, razem z nim dokuczała Regeane.

Regeane, tak jak wcześniej matka, usiłowała zaprowadzić w ich życiu jaki taki ład. Przejęła codzienne obowiązki, które kiedyś dźwigała na swych barkach Gizela. Starła się jak najoszczędniej gospodarować pieniędzmi, którymi dysponowali. Gotowała proste, jednodaniowe posiłki dla nich czworga, nosiła rzeczy do prania, kiedy udało jej się wyżebrać u Gundabalda parę miedziaków na praczkę, i pomagała starej - nie znała jej imienia i zawsze nazywała ją starą— sprzątać po pozostałej trójce.

Stara była jedyną osobą, która potrafiła zmusić Silve do jakiegokolwiek roboty. Obrzucała ją mianowicie stekiem najgorszych wyzwisk, i dziewczyna, która bała się odpysknąć starej, rozładowywała swą złość w zapamiętłym szorowaniu i zmywaniu.

W wolnym czasie Regeane wycofywała się do swojej klitki i zdrętwiałymi z zimna palcami próbowała doprowadzać do porządku swoje nędzne odzienie. Nie miała ani jednej przyzwoitej igły do szycia. Tych kilka, które sporządziła sobie z kości, szybko się stępiło. Nie miała nici, pruć więc stare szmaty i uzyskanymi w ten sposób nićmi przerabiała sobie suknie.

Matkę pochowali w jedynej porządnej opończy i jedynej porządnej sukni, jakie miała. W tym przypadku Regeane - choć Gundald i Hugo przeklinali jej głupotę, utrzymując, że tam, dokąd udaje się Gizela, ciepły przyodziewek nie będzie jej potrzebny i wystarczy owinąć zwłoki w stare prześcieradło - postawiła na swoim. To, co pozostało z rzeczy jej i matki, było ponad wszelkie wyobrażenie znoszone.

Regeane godziła się z tą sytuacją. Ten sam problem miała większość kobiet. Tkaniny były drogie. Gdyby miała krosno, mogłaby utkać materiał sama, ale było to urządzenie duże i kosztowne. Niewiele rodzin mogło sobie na nie pozwolić, tak więc najczęściej kobiety, by okryć swą nagość, musiały łątać i cerować stare ubrania.

W miarę jak jesień przechodziła z wolna w zimę, Regeane coraz bardziej upadała na duchu. Noclegownia mieściła się w starych ruinach. Nawet właściciel nie wiedział, co tu było dawniej: W kamiennych izbach całymi dniami i nocami zawodził i pojękiwał lodowaty zimowy wiatr. Koksownik ogrzewał powietrze tylko w promieniu

paru cali. Ściany i podłogi pozostawały przeraźliwie zimne.

Gundabald i Hugo, choć utyskiwali, że są karmieni żarciem pospólstwa, pochłaniali łapczywie wszystko, co przyrządziła im Regeane. Kości rzucali pod stół, chrząstki wypluwali na podłogę. Oddając mocz, nie trafiali do nocnika i zostawiali po sobie cuchnące, żółte kałuże. Po posiłku Gundabald wychodził do gospody, by szukać tam rozrywki.

Hugo z Silve szli do łóżka i sprawdzali jego wytrzymałość. Gzili się do upadłego, zalewali do nieprzytomności i zapadali w pijacki letarg.

Gundabald wracał zwykle nad ranem i jeśli nie dopisało mu szczęście w grze w kości albo nie wyszło z chłopcami bądź z kobietami, budził Hugo i Silve, i gołych gonił po izbie z pasem. Kres tym wrzaskliwym burdom kładł zwykle rozwścieczony gospodarz, po czym wszyscy kładli się spać.

Rano któreś z nich - zazwyczaj Silve, bo ją najłatwiej było wypchnąć z ciepłego wyrka - wstawało wcześniej i wypuszczało Regeane, żeby posprzątała.

Problemy dręczące Regeane pogłębiał deszcz.

Wilczyca go uwielbiała. Wiatry oczyszczały miasto z ludzkiego smrodu. Tybr przybierał i unosił do morza spuszczone do niego nieczystości. Ulewy splukiwały bruk i ściany budynków. Na krótki czas miasto stawało się miejscem jasnym i kolorowym. W bladym zimowym słońcu błyszczał marmur. Jarzyły się pomarańczowo stiukowe ściany. Waleriana wypuszczała ze szczelin w spękanych frontonach długie wąsy, które powiewały na tle szarego zachmurzonego nieba niczym czerwonoróżowe proporce.

Rzymianie kochali kwiaty. W okiennych skrzynkach i balkonowych donicach pieńka się późno zakwitająca szałwia, złocisty krwawnik, wonny szarobiały rumianek i żółte jesienne stokrotki.

Na skwerach i placach miasta spotykało się nielicznych sprzedawców irysów, lawendy i późnych róż. Gromadzili się przeważnie wokół ognisk lub koksowników, grzejąc dłonie. Kwiaty prezentowały się jakoś niestosownie na tle zimnego, szarego bruku, lodowaty wiatr obrywał im płatki i unosił je.

W takie dni Regeane udawało się wyciągać Hugo i Silve z domu pod pozorem odwiedzenia kościoła. W rzeczywistości Regeane nie cierpiała kościołów. Miała po temu uzasadnione powody. Po pierwsze, rozgoryczona śmiercią matki i nieskutecznością papieskiego błogosławieństwa, uznała, że Bóg ją opuścił. Po drugie, widywała duchy.

Ich odwiedziny nie były częste, za to zawsze wytrącały ją z równowagi. Ukazywały jej się przeważnie przed kościołami. Zazwyczaj nie w środku, lecz przy drzwiach, kiedy tam wchodziła albo wychodziła.

Wilczycy to nie przeszkadzało. Kierowała się zwierzęcą logiką. Mimo wszystko co może uczynić żywy dla umarłego? Dla kobiety ujrzenie zmarłego stanowiło bolesne przeżycie.

Najgorszy był trup kobiety o widmowym obliczu, odziany w bogate szaty z aksamitu i brokatu. Te szaty butwiały, rozsypywały się na strzępy i cuchnęły wilgotnymi, gnijącymi szmatami i rozkładem. Zjawa szła za Regeane, zawodząc i załamując dłonie, które to wyglądały normalnie, to znów przeistaczały się w kościste szpony. Szlochy i jęki dobywały się z twarzy, która, podobnie jak dłonie, zmieniała się, przechodząc to w piękne, blade lico o arystokratycznych rysach - lecz z dziurami tam, gdzie powinny znajdować się oczy - to znów w zamglony zarys nagiej czaszki.

Duch ów terroryzował Regeane przez trzy dni i odszedł dopiero wtedy, kiedy Gizela, ulegając prośbom Regeane, przestała odwiedzać tę konkretną świątynię. Regeane miała wówczas szesnaście lat. Spróbowałaby dociec źródła tak wielkiej boleści widma, gdyby gnijący brokat i puste oczodoły zjawy nie wzbudzały w niej takiego przerażenia. Poza tym od okazałej kościelnej krypty, w której spoczywało ciało kobiety, wionęło złem. W jej płaczu nie było żalu i skruchy, lecz wściekłość za zasłużone polepienie - na los, któremu nie chciała stawić czoła sama.

Inne spotkania Regeane z duchami były krótkie i nie tak przerażające, ale wszystkie wspominała z dreszczem odrazy. Woląла omijać kościoły z dala.

Ten dzień rozpoczął się nawet pomyślnie. Regane udało się wyprosić od Gundabalda parę monet. Nie było tego wiele, ale wystarczyło na zakup kury na rosół, pęczka kopru, estragonu, pasternaku i wiechcia jakiejś bliżej nieokreślonej zieleniny. Stara dorzuciła od siebie czosnek i dosyć przywiędłą cebulę. Regeane wrzuciła to wszystko do garnka i zaczęła gotować na małym ogniu.

Ranek wstał mglisty, ale koło południa przetało się. Wyjrzało słońce. Zrobiło się prawie ciepło. Stara rozlała do misek zupę dla Regeane, Hugo, Silve i siebie; uznała, że słusznie się jej ona należy z uwagi na czosnek i cebulę, które dołożyła. Hugo i Silve chwycili ochoczo za łyżki. Żuli z apetytem smaczne kurze mięso, zagryzali pasternakiem i ciemnym chlebem, który maczali w wywarze.

Po posiłku Regeane, Silve i Hugo wybrali się do kościoła. Stara została w domu. Resztę zupy dla Gundabalda przelała do miski, przykryła ją i zabrała się do

sprzątania.

Kościół wybrany tego dnia przez Regeane był bardzo stary, podobno pamiętał jeszcze czasy apostołów. Wznosił się w atrium otoczonym wspaniałymi salami przyjęć starożytnej rzymskiej willi. Budowla była tak wiekowa, że mury osiadły i posadzka znajdowała się teraz trzy stopy poniżej poziomu ulicy. Schodziło się tam po kilku stopniach.

Tuż za drzwiami w dachu ział otwór. Pod nim znajdowała się mała sadzawka. W mdłym świetle kwitły jeszcze jakieś zielone rośliny i kilka purpurowych irysów.

Regeane uklękła na posadzce zasłanej cienką warstwą świeżej słomy. Od małego starożytnego atrium willi odbiegała długa sala z kolumnami po obu stronach. Sanktuarium znajdowało się na końcu szpaleru tych wysokich, wysmukłych korynckich kolumn.

Liście akantu na ich zwieńczeniach nosiły jeszcze ślady spłowiałej zielonej farby. Ściany i sufit zdobione były stiukiem. Tu i ówdzie spod odpadającego tynku wзираł ślad barwy. Tynk położono zapewne po to, by zakryć freski, czy to zbyt frywolne, czy też zbyt pogańskie jak na powstający tu dom boży.

Ołtarz - jak kazał ówczesny zwyczaj - miał formę skromnego, pustego prostokąta z marmurowym stołem pośrodku. Cztery małe kolumnienki z czystego marmuru podpirały prosty jedwabny baldachim rozpostarty nad ołtarzem.

Nad misą z wodą święconą płonęła lampka świątynna, zwracająca gościowi uwagę na fakt, że znajduje się w bezpośredniej bliskości Pana obecnego w poświęconej hostii.

Regeane domyślała się, że to miejsce zawsze było święte. Dawno temu, kiedy Rzym był jeszcze małą wioską nad Tybrem, żyła tu jakaś rodzina. Kobiety, dzieci, a nawet niewolnicy zbierali się pod przewodem patriarchy rodziny przy ołtarzu, by składać ofiary dobrem duchom ziemi i nieba. I żeby oddawać szacunek swoim zmarłym, z których większość grzebana była na polach i w sadach otaczających willę.

Czcili oni żywioły, bez których nie da się żyć, żywioły, które nadal były tu obecne: ziemię, powietrze, ogień i wodę.

Chleb powstaje z pszenicy, która rośnie na polu. Wino dojrzewa w zimnym, rześkim górskim powietrzu. Korzenie winorośli, czepiając się niczym pazury stromych zboczy, na których nic innego nie wyrośnie, wiążą glebę ze skałą. Czerwone i białe

winogrona dojrzewają, kiedy słońce swoimi promieniami ogrzewa ich serduszka, a chłodny wietrzyk chłodzi skórki. Płomyk migoczący w pobliżu ołtarza symbolizował podsycane przez kobietę ognisko domowe, a woda w misie upamiętniała źródło wszelkiego życia. Wokół małego atrium wyrosło z czasem miasto. Rodzina obrosła w dostatek. Willę rozbudowano, ale starożytne święte serce domostwa zostało zachowane.

Tam gdzie stał teraz ołtarz, siadywać musiał niegdyś właściciel willi, przyjmując swoich interesantów i dzierżawców. Dzierżawcy, klękając, wręczali mu pieniądze należne z racji opłat dzierżawnych i podatków. Interesanci, całując go w rękę, prosili o przysługę. W zamian wychwalali go na ulicach, podnosili jego prestiż w oczach rzymskiego ludu i gotowi byli unicestwić każdego z jego wrogów.

Płynął czas. Rodzina skurczyła się. Jej potęga przygasła. Odsprzedawano coraz więcej fragmentów willi, aż w końcu w rękach pierwotnych właścicieli pozostała tylko ta jej część. Po przejściu na chrześcijaństwo rozproszyli się. Jednak małe atrium nadal było święte i zawsze takim pozostanie.

Regeane pozdrowiła Chrystusa, ale niej ako przyjaciela. Nie sądziła, by kiedykolwiek stał się jej przyjacielem. Oddawała Mu jednak należny szacunek i nie czuła do Niego wrogości.

Podnosząc się z klęczek, zauważyła, że Silve stoi samotnie przy drzwiach.

- Gdzie Hugo? — spytała.
- Zmył się - odburknęła niechętnie dziewczyna. - Siedzi teraz pewnie w jakiejś winiarni i obmacuje dziewczki. Mam go poszukać?
- Nie - mruknęła Regeane. Wysłać Silve na poszukiwanie Hugo! Dobre sobie. Za kilka godzin spaliby już oboje w trocinach zaścielających podłogę jakiejś gospody.

Dostrzegła ławkę pod ścianą kościoła, bez wątpienia przeznaczoną niegdyś dla interesantów i petentów właściciela willi. Podeszły tam z Silve i usiadły.

W kościele panowała atmosfera spokoju. Teraźniejszość spoglądała tu bez wrogości na przeszłość. Było chłodno, ale nie aż tak jak na zewnątrz. Blade słońce padało na biały marmurowy ołtarz i na sadzawkę pod otworem w dachu atrium.

Teraz, kiedy oczy jej przywykły do mroku, Regeane dostrzegła pod słomą wspianą mozaikową posadzkę, której wzór układał się w przepiękne wiosenne kwiaty.

Silve wyciągnęła zza pazuchy opończy glinianą flaszkę, wyszarpnęła zębami

korek i pociągnęła długi łyk. Podała flaszkę Regeane.

Regeane pokręciła głową. Silve i Hugo gustowali w gospodach, gdzie do wina, w celu podbicia jego mocy, dodawano rozmaite podejrzone substancje. Zdarzało się, że bywalec takich przybytków po suto zakrapianej uczcie tracił na zawsze zmysły albo padał trupem. Regeane nie chciała dołączać do grona tych nieszczęśników.

Lekko szkliste oczy Silve świadczyły, że wino szybko uderzyło jej do głowy. Skomentowała pochodzenie Hugo i roześmiała się.

- Będzie musiał dać tyłka na zapleczu, żeby się napić - powiedziała. - Zapomniał, że ja mam wszystkie pieniądze. O, popatrz!

Regeane spojrzała. Silve pokazywała palcem na sadzawkę w atrium. W wodzie coś się ruszało.

- Karp — orzekła Silve. Zaczęła ściągać chustę z głowy. - Zaraz go złapiemy. Ja nastawię chustę, a ty zaganiaj. Będzie kolacja, że palce lizać. - Chciała już wstać, ale Regeane chwyciła ją za rękę i przytrzymała.

- To chyba nie jest ryba - zauważyła.

Stworzenie pływające w sadzawce uniosło łeppek ponad wodę. Wąż.

Silve wydała z siebie odgłos, który skojarzył się Regeane ze zgrzytem przeciążonej, nie naoliwionej osi, i zerwała się z ławy. Pobiegła w niewłaściwym kierunku, w stronę ołtarza, gdzie nie było wyjścia. Oparła się tam o jedną z kolumniek i dla kurażu pociągnęła znowu z flaszki.

Wąż wypełził tymczasem z sadzawki i zaczął sunąć ku Regeane po zasłanej słomą posadzce. Kobieta przestraszyła się, ale wilczyca pozostała niewzruszona, królewsko spokojna. Wiedziała, że wąż nie jest ani jadowity, ani rozdrażniony, tylko ciekawy.

Przyjmując to do wiadomości, Regeane zebrała się w sobie. Nie okaże strachu w obecności Silve. Jest mimo wszystko córką Wolfstana, saskiego księcia, zwanego przez lud Talizmanem, i Gizeli, krewnej Karola Martela, Młota Bożego. Nie poniży się w oczach dziewczyny z gminu.

Wąż pełził powoli, co dało jej czas na przygotowanie się na jego spotkanie. Przyjrząwszy się lepiej, stwierdziła, że stworzenie nie jest wcale odrażające. Łuski na grzbiecie układały się w piękną biało-niebiesko-zieloną mozaikę, przypominającą wodę, która skrzy się w promieniach słońca. Po bokach biegły ciemniejsze pasma.

Wilczyca obserwowała gada z uznaniem dla kamuflażu, jaki przybrał.

Pływając w słoneczny dzień w mulistym Tybrze, musiał być niemal niewidoczny.

Wąż podpełzł do Regeane i ruchliwym, rozwidlonym języczkiem zbadał kraj jej sukni. Wilczyca zachowała rezerwę, kobieta zaś wyciągnęła do niego rękę jakby do pocałowania.

Gad uniósł łepkę. Regeane poczuła na czubkach palców nieśmiałą pieszczotę jego języka. Wąż zawrócił z gracją i odpłynął w stronę wody.

- A! Aaa! Aaaaa! - doleciało od ołtarza wycie Silve. – Złożył ci hołd!
- Akurat! - odskrzyknęła Regeane. - Uznał, iż jestem za duża, żeby mnie zjeść. A ty tak nie wrzeszcz. Jeśli jest tu gdzieś jakiś kościelny albo ksiądz, to zaraz wypadnie, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Silve umilkła, ale chyba tylko dlatego, że nie mogła jednocześnie krzyczeć i pociągać z glinianej flaszki.

Regeane wstała z ławy i podeszła do sadzawki. Patrzyła za wężem wpływającym do uchodzącej prawdopodobnie do rzeki rury, tuk jakby wiedziała, dokąd się on udaje. Kiedy zniknął jej z oczu, uniosła głowę i dopiero teraz ujrzała tę kobietę.

Nad sadzawką stała mała marmurowa ławeczka. Siedziała na niej kobieta zapatrzona w nieruchomą wodę. Na kolanach trzymała dziecko - chłopczyka. Malec spał, wsparłszy kędzierzawą główkę na piersi matki.

Skąd się tu wzięli? I nagle Regeane uświadomiła sobie, że kobieta nie mogła przecież wejść niepostrzeżenie do kościoła i że poprzez ciała kobiety i jej synka widzi znajdującą się za nimi ścianę kościoła. Zrozumiała, co ma przed sobą. Wilczyca ziewnęła znudzona.

Regeane poczuła ukłucie zazdrości: twarz zjawy była pogodna, przepiętna miłością i spokojem.

Przez otwór w stropie prześwitywało niebo. Regeane spojrziała w górę. Kiedy przeniosła wzrok z powrotem na ławeczkę, kobiety już na niej nie było. Tak - pomyślała. To miejsce od zawsze jest święte.

Silve zawyla jak nieszczęśliwy, zmaltretowany pies.

- Och, na miłość boską! - krzyknęła Regeane. - Co tam znowu! Węża już nie ma.

- Patrzyłaś na kogoś siedzącego na tej ławeczce. Nikogo nie mogło tam być. Ale ja widziałam na niej... - Z jej krtani znowu wydobył się odgłos przypominający skrzywienie nie naoliwionej osi.

Regeane miała tego dosyć.

- Zamilcz!

Akustyka budowli była wspaniała. Stanowczy głos Regeane odbił się od sklepienia stukrotnym echem.

Silve parsknęła i zamilkła.

Regeane podeszła do niej szpalerem kolumn, chwyciła za ucho i pociągnęła w stronę drzwi.

- Hugo mówi... - skrzeknęła Silve.

- Weź z łaski swojej pod uwagę — wpadła jej w słowo Regeane - że pijecie z Hugo w tych samych winiarniach.

Wyszły z kościoła i wspięły się po kilku schodach na plac. Regeane spojrzała w niebo. Było ciemniejsze niż wcześniej. Drobnny kapuśniaczek rosił jej twarz.

Silve pochlipywała. Regeane puściła jej ucho.

- Umrę - zaskamlała Silve. — Z zimna i wilgoci. Ciebie to nic nie obchodzi. Ciebie nic nie obchodzi. Siedzisz sobie zamknięta w tej swojej małej kamiennej klitce z kamienną twarzą. Osądzasz nas. Zachoruuuuję! - Znowu zawyła. - Płuca wypełni mi śmierdząca ropa, i kaszląc będę pluła krwiooooo! Nie będę mogła chodzić ani wdrapywać się po schodach. Dostanę zapalenia. Szczeeeeeznę marnie!

Jeśli jest na świecie coś bardziej odpychającego od tej Silve -pomyślała Regeane — to plująca krwią Silve, cierpiąca na biegunkę i zasmradzająca naszą ciasną kwaterę. Silve niby to przypadkiem trąciła zameczek spinający sakiewkę Regeane. Regeane sięgnęła szybko do skórzanego woreczka przy pasku i wyłowiła zeń miedzianą monetę. Wcisnęła ją w dłoń Silve.

- Boże, Chryste Panie! W imię Jego Błogosławionej Matki i wszystkich świętych, idź, kup sobie wina.

- Dzięki - wybełkotała uszczęśliwiona Silve, zerwała się na równe nogi i już jej nie było. Zniknęła za rogiem, śpiesząc do najbliższej winiarni. Regeane została pod kościołem sama.

Niebo jeszcze bardziej pociemniało, poczuła na sobie czyjś wzrok. Wcale jej to nie zdziwiło. Rzymianie oglądali się pożądliwie za każdą kobietą, a co młodsze wprost rozbierali wzrokiem. W tym przypadku - pomyślała Regeane - patrzący będzie miał wielce utrudnione zadanie. Była w długich płóciennych majtkach spiętych z długimi płóciennymi pończochami. Biust podtrzymywał jej stanik. Matka kazała jej zawsze go nosić, strasząc, że bez niego piersi szybko jej obwisną. Do tego jedna

długa koszula bez rękawów i druga długa koszula z rękawami po same nadgarstki. Wierzchnia suknia z szerokimi rękawami do łokci. Ciemna wełniana opończa spowijająca całe ciało wraz z głową. I chusta, która przesłaniała większą część jej twarzy.

Rozejrzała się dyskretnie po placu, szukając wzrokiem obserwatora. Nikogo, tylko jakiś śpiący pod ścianą pobliskiego budynku okutany w łachmany żebrak czy żebraczka. Padało coraz mocniej.

Nadal czuła na sobie czyjś wzrok. Wydaje mi się — pomyślała kobieta. Wilczyca była przeciwnego zdania. Zjeżyła się. Regeane odnosiła wrażenie, że po plecach ścieka jej strumyczek zimnej deszczówki.

Spojrzenie było złe, lodowate i jakby... martwe.

Naciągnęła głębiej na głowę kaptur opończy i puściła się biegiem w ślad za Silve. Znalazła Silve siedzącą w kałuży błota przed winiarnią. Dziewczyna klęła na czym świat stoi. W jednej ręce trzymała dużą glinianą flaszkę, w drugiej swoje majtki i stanik. Pończochy opadły jej do kostek.

- Ostudź tam sobie tyłek, wy włóko! — krzyczał do niej właściciel winiarni.

- Patrzcie go, wymoczka niewydarzonego! - odcięła się Silve. - Wydaje mu się, że mi go rozgrzał.

Mężczyzna zniknął w środku, chyba pobiegł po jakąś broń. Regeane chwyciła Silve za rękę, pomogła jej wstać i pociągnęła za sobą. Pobiegły ulicą. Skręciły w pusty zaułek. Tam Silve zaczęła wkładać bieliznę.

- Co się stało? - spytała Regeane, wyglądając zza węgła, czy ulicą nikt za nimi nie biegnie.

- Dałam mu miedziaka - odparła Silve - a on na to, że za dopłatą w naturze sprzeda mi coś specjalnego: wino z wyciągiem z opium i cykuty.

Regeane przeszedł dreszcz przerażenia. Odebrała bardzo dobre wykształcenie. Wiedziała, jak umarł Sokrates.

- Z cykuty? - zapytała.

- To bardzo dobre. - Silve zadarła suknię, zarzuciła ją sobie na głowę i zapinała stanik. - Tak przyjemnie po tym mrowi.

- Wierzę na słowo — mruknęła Regeane. - Ale od tego mrowienia można umrzeć.

- No i poszliśmy do wychodka. Zrobiliśmy to na podłodze, a on, złącząc ze mnie, próbował mi odebrać flaszkę z winem. - Głos Silve przeszedł we wściekły

wrzask.

- I co? — zapytała Regeane.
- I wysmarowałam suczemu synowi łeb gównem.
- Oj!

Silve opłukała sobie ręce w kałuży deszczówki i pociągnęła łyk wina. Podała flaszkę Regeane.

- Nie, dziękuję — powiedziała Regeane. - I co teraz? Nie uśmiechało im się wracać do noclegowni. Silve wiedziała, że jeśli Gundabald ściągnął już do kwatery i jest w złym humorze, obje ją. To samo mogło ją czekać ze strony Hugo, jeśli ten sprzedał się za pieniądze na wino jakiemuś sodomicie.

Na Regeane nikt na razie nie podnosił ręki. Hugo nigdy by się nie poważył, a Gundabald wolał nie ryzykować, żeby biciem nie oszpecić dziewczyny. Podejrzewała jednak, że i na to przyjdzie czas, jeśli Gundabaldowi nie uda się jej korzystnie sprzedać. Co się odwlecze, to nie uciecze. Nie, nie oberwie dzisiaj. Ale Gundabald zamknie ją pewnie i nie poda kolacji. Będzie zły, że nie wróciła do domu, kiedy Hugo się od nich odłączył.

W powietrzu unosiła się wodna mgiełka. Regeane widziała ją, jak faluje na poziomie okien pierwszego piętra. Znowu poczuła na sobie to spojrzenie. Tym razem jakby z mniejszej odległości. Rozejrzała się po ulicy. Okiennice w oknach były szczelnie pozamykane. Domy nie miały tu drzwi; wokół wznosiły się ślepe ściany z wąskiej terakotowej cegły preferowanej przez Rzymian. Dalej uliczka zakręcała i niknęła we mgle.

- Poszukajmy może sprzedawcy pieczywa – zaproponowała Silve. - Masz jeszcze jakieś pieniądze?

- Parę miedziaków - odparła Regeane. Uwielbiały obie wypiekane przez Rzymian płaskie chlebki nadziewane oliwkami, cebulą, czosnkiem i smakowitymi kawałkami wieprzowiny. Regeane zaburczało w brzuchu.

Ruszyły na poszukiwanie sprzedawcy pieczywa. Znalazszy takiego, zapuściły się z zakupionymi przysmakami w wąskie, kręte uliczki sąsiadujące z Koloseum. Regeane dostrzegła szpaler wysokich cyprysów przy Via Appia i wkrótce szły już tą najsłynniejszą rzymską drogą.

Spoglądały z góry na miasto. Okrywała je warstwa opuszczających się deszczowych chmur. Pomiędzy niebem a ziemią dryfowały tumany mgły. Zapadał wieczór, wiatr był coraz chłodniejszy.

- Zatrzymajmy się tutaj i skończmy te chleby – powiedziała Silve. Zjadły już w marszu po jednym, każdej został jeszcze jeden.

- Nie ma tu gdzie usiąść - zauważyła Regeane.

- Nie bądź głupia. Jak wrócimy z nimi do domu, Gundabald i Hugo nam je odbiorą. - Silve wskazała na zrujnowany grobowiec przy drodze. - Tam możemy wejść.

W czasach rozkwitu rzymskiego imperium ludzie chowali tutaj swoich zmarłych. Teraz nie ostał się ani jeden nie sprofanowany grobowiec; wszystkie dawno splądrowano.

Ten musiał ongiś należeć do jakiegoś znacznego wielmoży, ale teraz ział pustką. Wywleczony z wnętrza sarkofag leżał na poboczu drogi. Pasterze pędzący tędy owce na targ używali go w charakterze koryta do pojenia swoich stad.

Sam grobowiec miał swego czasu formę małego domku ze spadzistym dachem, ale jedna ściana zawałiła się i obecnie budowla była z tej strony otwarta na żywioły. Jednak ocalały dach i niskie podwyższenie, na którym niegdyś spoczywał sarkofag, tworzyły suche schronienie, gdzie mogły przycupnąć i, patrząc na drogę, dokończyć swoje nadziewane chlebki.

Regeane była wściekle głodna. Z rosnącym żalem odgryzała kolejne kęsy. Mogłaby pochłonąć jeszcze kilka takich chlebków. Silve popijała swój bochenek winem. Była już porządnie pijana, oczy jej się szklily. Zaczęła się drapać bez opamiętania.

Regeane skończyła swój chlebek i oblizwała zatłuszczone palce. Daleko jej było do sytości. Rozumiała, dlaczego Silve i Hugo zalewają się szkodliwą mieszaniną wina z narkotykami - próbowali w ten sposób uśmierzyć ból ściskającego się z głodu żołądka. Korciło ją, by wychylić resztę zawartości flaszki Silve, ale oparła się pokusie. Było to trujące świństwo i prędzej czy później - prawdopodobnie prędzej - zabije ich oboje.

Silve drapała się wciąż jak najęta.

- Silve - mruknęła Regeane. - Pchły masz czy co?

- Nie - odburknęła Silve. - To od żucia maku.

Regeane rozejrzała się niespokojnie. Niebo jeszcze bardziej pociemniało.

- Wciórności — burknęła Silve. - Będzie lało przez całą noc. Chyba znajdę sobie jakąś dobrą gospodę i rozłożę na zapleczu nogi. Chodź no który! Wszyscy chodźcie!!! Po miedziaku od łba!

Przynajmniej prześpię z pół nocy. Właściciel zażąda ode mnie połowę utargu, ale nie poskapi wina, no i ten przeklęty Hugo nie obedrze mnie ze skóry, wypacając to, co przez cały dzień w siebie wlał. Temu suczemu synowi, kiedy się nachla, staje i nie chce opaść.

- Dlaczego od niego nie odejdziesz, skoro tak cię mierzi? - zapytała Regeane.

Silve roześmiała się.

- Bo jestem winna pieniądze właścicielowi jednej z dwóch najbliższych gospód. A właścicielka drugiej zagroziła, że jak będę jej zabierała nocnych klientów, to potnie mi twarz.

- Niedobrze — powiedziała współczująco Regeane.

- Co tam — burknęła Silve.

Via Appia lśniła w zapadającym zmierzchu jak wąska czarna wstęga. W oknach wiejskiego domu przy drodze zapaliło się światło.

- Chodźmy już - ponagliła Regeane. W jej głosie pojawił się niepokój. — Niezbyt tu bezpiecznie po zmroku. A poza tym, jeśli się spóźnimy, to mnie zamkną, a ciebie pewnie obiją.

- Niiieeee -jęknęła Silve. - Sucho tutaj. Cieeeepło. Ja chcę zostać. - Pociągnęła głośno nosem.

Regeane znowu odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Zerknęła na Silve i zobaczyła osę wędrującą po twarzy dziewczyny. Owad był opalizujący, niebiesko-czarny. Jego maleńki pancerzyk lśnił jak mroczna tęcza. Przyjrzała się bliżej i stwierdziła, że osy oblażyły cały prawy bok Silve. Przebierały niespiesznie nóżkami, na ich łebkach podrygiwały ciemne czułki. Nad skórą Silve kołysały się ich pękate brzuszki, zbrojne w jadowite żądła.

Regeane chwyciła Silve za ramię i wyciągnęła z grobowca. Dziewczyna dopiero teraz zauważyła osy. Wrzasnęła i jęła wymachiwać rękami, otrzepując się z roju.

Ku zaskoczeniu Regeane osy nie żądliły Silve. Odleciały ospale i zawisły nad wejściem do grobowca ciemną złowrogą chmurą. Pijana Silve, chwiejąc się na nogach, obmacywała sobie twarz i ciało.

Regeane spojrzała wzdłuż Via Appia i zobaczyła zbliżające się widmo.

- O, nie - wyszeptwała, a potem krzyknęła: - Uciekaj, Silve! Uciekaj!

- Uciekać? - wymamrotała Silve, rozglądając się błędnie. -Gdzie uciekać?

Mara zbliżała się coraz szybciej, gnała jak pierwsze kamyki lawiny, pędziła drogą w stronę Regeane. Bełkotała przy tym i trajkotała tysiącem głosów, a jednocześnie jakby jednym, który przepełniało szaleństwo i rozpacz. Cuchnęła płonącymi szmatami, płonącym drewnem, płonącymi kośćmi, płonącym ciałem. A kiedy była już blisko, Regeane uderzył w nozdrza fetor rozkładu i śmierci.

Słyszała, jak widmo wyje do niej, jak wrzeszczy:

- Gdzie ona? Widziałaś ją. Zaprowadź mnie do niej.

I już otoczyło Regeane ze wszech stron, a udręka w jego głosie była niemal nie do zniesienia.

- Powiedzieli, że ją zabiłem... ją i dziecko. A ja nigdy... nigdy... - upiór zajęczał.

Regeane zasłoniła sobie twarz opończą, by odgrodzić się od bijącego od maryl odoru. Znalazła się sam na sam pośród ciemności z tym wulkanem żalu i smutku.

- Nie potrafiłem ich wykarmić. - Rozpacz w tym głosie przesycona była bólem ściśniętym obręczą wieczności. - Nie mogłem patrzeć, jak przymierają głodem. — Ta rozpacz była tak wielka, że cały świat zdawał się w niej tonać. - Ból doprowadzał mnie do szaleństwa.

- Nie! - usłyszała własny krzyk Regeane. - Ciebie do szaleństwa doprowadziła duma. - Przypomniała sobie o kobiecie z dzieckiem, którą widziała w kościele. - Oni chcieli żyć - wrzasnęła do otaczającego ja potępieńca. - Chcieli żyć! Zabiłeś ich i poniosłeś za to zasłużoną karę.

Powietrze wokół śmierdziało zgnilizną.

- Zakuli mnie w łańcuchy i powiesili.

Regeane widziała to i czuła. Gnijący trup kołyszący się na szubienicy. Noga poruszająca się na nocnym wietrze jak żywa - same kości z dyndającymi przy nich strzępami ciała, które odrywają się jeden po drugim i padają w trawę. Tułów z otwartym brzuchem; odpadające biodra rozpryskują się o ziemię, wloką za sobą płuca i oddzierają skórę od żeber. I w końcu zwieszona głowa i ramiona; obrany z ciała czerep obija się o bruk i bucha fetorem zatykającym dech w piersiach. Niemal płynna masa, która niegdyś była człowiekiem, a teraz zamienia się w kałużę, krzepnie, by zostać wdeptana w pył drogi.

Osy zaatakowały, wbijając żądła poprzez opończę w twarz, w policzki i w język Regeane, poprzez suknię w ramiona i piersi, i co gorsza, w gałki oczne poprzez

zaciśnięte powieki.

Nie słyszała wycia wilczycy. Zagłuszyły je jej własne wrzaski. Wiedziała tylko, że ma nie dwie, lecz cztery nogi. Rozwarła pysk, by zawyc z wściekłości, i powietrze wokół niej wypełniło się ogniem.

Ocknęła się, leżąc na boku, z ramieniem w kałuży czystej deszczówki. Otworzyła oczy i powoli podźwignęła się na nogi. Suknię z jednej strony miała przemoczoną. Drżącymi palcami obmacała sobie twarz i szyję. Ani śladu opuchlizny. Ani śladu bólu. Czyżby to był tylko sen?

Spuściła wzrok. W błocie obok kałuży widniały odciski psich łap. Przypomniała sobie o wilczycy, która przybyła jej na odsiecz. Czy naprawdę się tu zjawiła?! Przemogła jakoś strach?! Regeane była zbyt oszołomiona, by zastanawiać się teraz nad implikacjami. Rozejrzała się. Silve nie było. Widocznie zdołała wziąć nogi za pas. I nagle uświadomiła sobie, że zniknął grobowiec, w którym zatrzymały się na posiłek. Po prostu już nie istniał.

Regeane, nie zwlekając dłużej, zadarła suknię i pobiegła co sił w nogach.

Zatrzymała się dopiero na przedmieściu. Nie z braku tchu. Była wytrzymalsza od większości ludzi. Natknęła się na grupę pracujących pod miastem robotników i wystraszyły ją ich spojrzenia. Widok porządnych samotnych kobiet należał tu do rzadkości. Ladacznice reklamowały swoje wdzięki, a więc nie uznano jej raczej za jedną z nich, ale mogła zostać wzięta za mężatkę, która wymyka się na schadzki z kochankiem. A to mogło zachęcić jakiegoś lubieżnika do zaczepienia domniemanej cudzołożnicy. Zatrzymała się, owinęła szczelniej w opończę, zasłoniła szalem twarz, pochyliła głowę i ruszyła wolnym krokiem przed siebie.

Wolała nie zapuszczać się o tej porze na zrujnowane Forum. Postanowiła dotrzeć do domu wąskimi uliczkami otaczającymi Panteon. Można było tamtędy przejść tylko pieszo. Na kamiennych schodach biegnących między ścianami z terakotowej cegły było ciemno jak w nocy.

Niebo miało sinoniebieską barwę. W mdłym świetle gasnącego dnia widać było tylko fale mżawki przemieszczające się na tle zatrzaśniętych okiennic.

Z naprzeciwka sunął kondukt pogrzebowy. W ostatnią drogę odprowadzano jakiegoś biedaka - trup owinięty w prześcieradło spoczywał na otwartych marach. W dłoniach garstki krewnych i przyjaciół zmarłego tkwiły pochodnie. Wiatr szarpał błękitnymi od wilgoci płomieniami.

Regeane przywarła do ściany, żeby ich przepuścić. I w tym momencie,

niczym nietoperz wylatujący z jaskini, z mroku wyprysła Silve.

– Czarownica! - wydarła się, pokazując palcem na Regeane. — Widźma! Przyszła tu skraść jego duszę. Zabić ją! Zabić! Zawlecze jego duszę do piekła i odsprzeda diablom za własną!

Regeane stała przez chwilę sparaliżowana strachem i zdumieniem. Potem zauważyła, że krewni zmarłego dają posłuch oskarżeniom Silve. Skłaniał ich do tego ból i autentyczne przerażenie w jej głosie. Nawet Regeane widziała, że Silve wierzy święcie w to, co wykrzykuje. Żałobnicy postawili mary na ziemi i rzucili i. do szukania w mrokach pocisków.

Regeane znowu puściła się biegiem. Ocalił ją tylko niedobór luźnych kamieni. Jeden ją dosięgnął. Poczowała bolesne uderzenie czymś twardym w plecy. O ramię otarł się ułomek dachówki. Zapiekł. Wybiegła spomiędzy murów na szerszy pasaż. Stąd do noclegowni miała już tylko parę kroków.

Zwolniła, nie chciała pokazywać po sobie, jak jest przestraszona. Była już prawie noc. Do ich kwatery prowadziły zewnętrzne schody z boku budowli. Wspinając się po nich, zauważyła, że ramię ma rozcięte, a dłoń zakrwawioną. Otarła ją w ciemną, niemal czarną opończę. Miała nadzieję, że krew nie będzie na niej widoczna. Zgięła rękę w łokciu, zaciskając ranę.

Otwierając drzwi, myślała tylko o ciepłe i bezpieczeństwie, jakie za nimi znajdzie. Wiedziała, że zamkną ją na noc, ale po tym, co dzisiaj przeżyła, nawet ta wąska kamienna izba zdawała się zacisznym azylem. Nie domyślała się, co ją czeka.

4

Po raz pierwszy od miesiąca w izbie było ciepło. We wszystkich kątach jarzyły się koksowniki. Na kominku buzował ogień.

Regeane opadła na stojący przed kominkiem fotel.

Hugo i Gundabald ucztowali przy stole.

Nos wilczycy błędził między zapachami szafranu, cynamonu, goździków i pieprzu - przypraw, których nie uświadczyło się w posiłkach ludzi prostych.

Gundabald rozrywał właśnie kapłona nadzianego farszem z peklowanych fig, doprawionego masłem, cynamonem i niewyobrażalnie drogim pieprzem. Policzki lśniły mu od tłuszczu. Wsadził sobie kawał soczystego, smakowitego mięsa w usta i łypnął gniewnie na Regeane.

- Gdzie cię diabli nosili?

Wyczuła, że jego gniew podszyty jest niepokojem. Ponieważ nigdy dotąd nie przejawiał najmniejszego zainteresowania nią, doszła do wniosku, że ta nagła troska musi być podyktowana jakąś zmianą w jej statusie.

- Widzę, że znalazłeś dla mnie partię, i to nie byle jaką — powiedziała.

- Patrzcie ją, jaka zmyślna! No, gdzie się szlajała? - Gundabald podnosił się od stołu.

Wilczyca ostrzegła ją. Nie posłuchała ani nie zareagowała dość szybko, ale wstała, kiedy się do niej zbliżył. Uderzył ją z całej siły na odlew w twarz. Głowa odleciała jej w tył jak popsutej lalce, pociemniało w oczach. Zawadziła stopą o nogę krzesła i runęła na wznak, waląc potylicą o podłogę. Po raz pierwszy poczuła na własnej skórze potęgę i destrukcyjny potencjał męskiej pięści. Były porażające.

Usiadła powoli i przytrzymując się poręczy fotela, podźwignęła na nogi. Krew buchała jej z nosa i ściekała z kącika ust.

Gundabald stał przed kominkiem, grzejąc sobie dłonie nad płomieniem.

Sięgnęła po jedną z leżących na stole serwetek.

- Wara! - warknął Gundabald. - Powalasz płótno.

Regeane otarła sobie krew z twarzy opończę.

- No, gdzieś się szwendała?

- Hugo nas zostawił - wykrztusiła.

Hugo, który miał akurat pełne usta, wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Stul pysk! - warknął Gundabald i dzielił go pięścią w głowę.

Hugo zadławił się i zaczął wykrztuszać to, co miał właśnie zamiar przełknąć.

- Otaczają mnie sami głupcy! - ciągnął Gundabald. - Nie waż się nigdy więcej zostawiać kuzynki samej na ulicy! Słyszysz?! - ryknął. - Bo to dopiero przedsmak tego, co cię czeka, jeśli jeszcze raz to zrobisz.

- Boże! Boże! Boże! Słyszę - zajęczał Hugo. - Jezu Chryste Odkupicielu, co w ciebie wstąpiło?! Najpierw próbujesz oszpecić ją, choć i tak uroda nie grzeszy... potem... walisz mnie... co...

- Stul pysk! - ryknął Gundabald.

Hugo zamilkł.

- Ty - ciągnął Gundabald -jesteś durniem, który nie widzi dalej niż czubek swego nosa. A ona - tu wskazał palcem na Regane - to wredna suka, która najchętniej widziałaby mnie i ciebie w piekle! Ale jest teraz dla nas bardzo cenna! Sprzedałem ją! I wytargowałem nielichą cenę. Nie! To nie jest żadna wielka partia. Na to nie było co liczyć. Dziewczyna jest biedna jak mysz kościelna. Ale przynajmniej wyjdzie za mąż bogato. Jej przyszły siedzi na górze złota. Król chce mu utrzyć nosa. Małżeństwo to sposób tańszy i o wiele mniej kłopotliwy od brania jego warowni szturmem. Król spodziewa się, że człek ten będzie mu głęboko i namacalnie wdzięczny za żonę z królewskiego rodu - Gundabald zachichotał - i ja też się tego spodziewam. Lichwiarzom, ledwie posłyszeli jego imię, od razu otworzyły się mieszki. Myślałeś, że całe to dobro spadło jak manna z nieba?!

Regeane nos przestał już krwawić, ale wciąż miała w ustach słony posmak krwi sączącej się z rozcięcia na wewnętrznej powierzchni policzka. Była jednak tak przerażona, że nie czuła bólu.

- A co z pełnią księżyca? - wyszeptała.

- Wilczyca się znalazła — wycedził pogardliwie Gundabald. — Bardziej suka, i to zbita.

Regane była mu wdzięczna, że nie uderzył jej po raz drugi i nienawidziła za to samej siebie. Gdzieś głęboko w mroku wilczyca miotła się w furii, ale kobieta trzymała ją z dala od swojej świadomości.

- Głupiaś i tyle - mówił Gundabald. - Ten człowiek kocha ciebie tak samo jak ty jego - znaczy wcale. Myślałaś, że co - że powita cię z otwartymi ramionami i padnie do nóżek?! Nędzarce narzuconej mu przez króla?! Potężnego króla! Króla, którego woli nie śmie się przeciwstawić!

Gundabald obrócił się, by ogrzać sobie przy kominku plecy Roześmiał się

chrapliwie.

- Boże, ależ ckliwą marzycielką była moja siostra! Żeby też wpaść na pomysł wychowania takiego jak ty stworza na prawdziwą damę. Jeśli jednak zważyć na okoliczności, może to i lepiej że jesteś, jaka jesteś. Tak, wierz mi, suko. Sekret, który w sobie nosisz, to najmniejsze z twoich zmartwień. Od chwili przestąpienia jego próg będziesz musiała dobrze uważać, co jesz i pijesz. Bo on będzie próbował pozbyć się ciebie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Regeane wpatrywała się w wuja szeroko otwartymi oczami, ściśnięty przerażeniem żołądek podchodził jej do gardła.

- Ocknij się, durna - ciągnął wesoło Gundabald. - Nic cię nie chroni. Ileż to żon odprawili już w hańbie mężowie, naznaczając je piętnem bezpłodności, choć ani razu nie legli z nimi w łóżu - Gundabald uśmiechnął się. W czarnej brodzie załśniły jego pożółkłe końskie zęby. - Bezpłodność - podjął. - Bezpłodność to łagodny, rzekłbym nawet: wielkoduszny pretekst. Czy wiesz, jak łatwo przychodzi wielkiemu panu ukartować splugawienie małżeńskiego łóża? Czeka do zmierzchu i posyła do izby żony krzepkiego sługę. Zostają przydybani. Mężczyzna - już opłacony - daje drapak. Ale ją następnego ranka wyprowadza się z postronkiem na szyi na odludzie. Jeśli nie ma rodziny, która by się za nią wstawiła, jest zgubiona. Wiesz się ją albo topi gdzieś w jeziorze lub też w bagnie. Słuch o niej ginie, błoto staje się jej grobem, przytoczyłem tu tylko dwa sposoby, jakich mężowie używają, by pozbyć się niewygodnych połowic. Są też inne, i to mnóstwo. Jeden fałszywy krok, jeden głupi przejaw arogancji, i on się z tobą rozprawi. - Gundabald wzruszył ramionami i uśmiechnął się znowu swoim straszonym uśmiechem. - Może nie będziesz mu się nawet musiała niczym narazić. Może ma już konkubinę, która mu dogadza. Przyznam, że im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem pewien swojego osądu sytuacji. Co zaś do ciebie, dziecko, to nie masz nic, czym mogłabyś zaimponować. Ani majątku. Ani wpływowych krewniaków. Gdyby chociaż krzyna urody, ale tą nie grzeszysz. Jesteś anemicznym, płaskim jak deska, głupim stworzeniem...

- Ojczy! — krzyknął Hugo. - Przestań! Spójrz tylko na nią. Błada jak trup. Chyba nie chcesz, żeby się obwiesiła, zanim jeszcze go zobaczy. Potrzebujemy pieniędzy!

Gundabald parsknął.

- A co mam czynić? Pozwolić, żeby szła do ołtarza z głową w chmurach? Większość mężczyzn jest taka jak ja, nawet ci dobrzy. Mają moralność byka albo

wołu. A ten nasz, ten musi mieć moralność szakala. Bo jak inaczej wykiłby się od płacenia daniny od pozycji, jaką teraz ma? Boże, ależ ta Gizela cię zepsuła! Najwyższa pora, żebyś zrozumiała, jaki jest ten świat i jakimi prawami się rządzi. Widzę, że mnie przypada rola otworzenia ci oczu, bo gdy nie będziesz tego wiedziała, mąż cię zabije, jeśli wcześniej nie spali cię Kościół.

Regeane dygotała na całym ciele. Nie panowała nad trzepoczącymi mięśniami żołądka. Przerazały ją nie tyle mroczne wizje roztaczane przez Gundabalda. Do nich zdążyła już przez całe swoje życie przywyknąć. Powodem była świadomość, że stoi oto w obliczu kłującego się zła. Gundabald należał do ludzi okrutnych, ale kiedy był trzeźwy, jego wybuchy niemal zawsze obliczone były na osiągnięcie jakiejś korzyści. Chciał czegoś od niej i zapewne nie było to nic dobrego.

Regeane otarła dłonią krew z warg i spojrzała na nią.

Gundabald zbliżył się i znowu uderzył ją w twarz. Nie tak mocno jak wcześniej, jednak z siłą wystarczającą, by zadzwoniło jej w uszach, a z nosa pociekło trochę krwi.

- Słuchaj, co mówię - rzekł z uśmiechem. - Ból to najlepszy środek na skupienie uwagi. Już ja to wiem. No, rozchmurz się - dodał łagodnie. — I nie lękaj się. Nie opuścimy cię w potrzebie.

Regeane ciekawa była, czy wuj jest aż takim egoistą, by uwierzyć, że to zapewnienie ją uspokoiło.

Gundabald nachylił się do niej. Poczwała na twarzy jego ciepły oddech przesycony wyszukaniem przyprawionym jadłem.

- Dobra tego człowieka rozciągają się po obu stronach jednej z przełęczy prowadzących przez Alpy. Bogatszym czyni go każdy kupiec i podróżny pokonujący tamtędy góry. Ale ten szubrawiec to parweniusz, herszt bandy najemników. Ich lojalność da się zapewne kupić, kiedy już jego szkatuły znajdą się w naszych rękach. Ale najpierw będziesz musiała zadbać o to, by jego śmierć wyglądała na nieszczęśliwy wypadek! A teraz... - Chwycił Regeane za przód sukni i unióśł z fotela. Kłykcie jego pięści wrażały jej się w mostek. Przysunął usta do jej ucha. - A teraz, dziewczyno — powiedział cicho - powiedz, czy mnie rozumiesz i czy zrobisz, co mówię. No! - Potrząsnął nią lekko. — Powtarzaj za mną: „Zrobię, jak każe mój wuj”. Powtórz!

Regeane oderwała dłonie od poręczy fotela. Paznokcie miała długie i ostre. Rozorała nimi do krwi aż po podbródek oba policzki Gundabalda.

Gundabald krzyknął z bólu. Poderwał dziewczynę jedną ręką w powietrze, a pięścią drugiej rąbnął ją w twarz.

Odleciała w tył, przewracając fotel. Spadła na podłogę i potoczyła się po niej. Usiłowała zapanować nad szalejącą w mrokach wilczycą. Zaślepienie szaleńcem zwierzę wyrwało się, by iść jej z odsieczą, ale ona miała po swojej stronie bardziej racjonalny kobiecy lęk - obawę, że jeśli wilczyca objawi się teraz w tym osłabionym stanie, Gundabald zdoła ją zabić.

Wilczyca zawahała się - wycofała w dzikie milczenie. Regeane odzyskała pełnię świadomości, klęcząc na czworakach.

Gundabald trzymał ją pełną garścią za włosy i smagał pasem. Dotkliwy ból wyzwolił instynkt obronny.

W zasięgu ręki miała koksownik. Porwała go i podbijając nogą, sygnęła węglami w Gundabalda.

Odskoczył pod ścianę i dobył miecza. Między nich wpadł Hugo.

Regeane dopiero teraz uświadomiła sobie powód ich przerażenia. Koksownik był wykonany z grubego żelaza. Żadna zwyczajna kobieta, a i niejedyn mężczyzna nie dałby rady unieść go i wysypać zawartości, tak jak przed chwilą uczyniła to ona.

- Budynek się zajmie - zapiszczał Hugo.

Nie zajmie się — pomyślała Regeane. Bardzo bym tego chciała, ale pożaru nie będzie.

Nie myliła się. Od kilku tygodni padało i każda szczapa drewna w świętym mieście przesiąkła wilgocią. Podłoga była od niej obślimaczona. Węgłe dymiły i syczały wściekle, ale jeden po drugim gasły.

- Na dworze już ciemno - zawył Hugo.

- Toż widzę - burknął Gundabald, machając niecierpliwie mieczem. - Jezu Chryste - dodał cicho, z podziwem w głosie. - Ona jest jak jej ojciec.

Regeane była już na nogach - słaniała się na nich lekko, ale stała.

- Dwa razy uderzyłem ją z całych sił pięścią - mówił Gundabald. - Każda normalna kobieta padłaby trupem, a już na pewno omdlała.

- Powiedz, jak było z moim ojcem - odezwała się Regeane.

Gundabald wzruszył ramionami. - Chcesz, by ten człowiek zginął gwałtowną śmiercią — ciągnęła. - Tak jak zginął mój ojciec. Trudno go było zabić, prawda?!

- Ledwieśmy dali radę. Nic by z tego nie wyszło, gdyby nie pomoc twojej

matki.

- O, nie! - krzyknęła Regeane. - W to nie uwierzę.
- A właśnie że tak - wycedził cynicznie Gundabald. — Pomogła nam świętoszkowata Gizela.
- Nieprawda — powiedziała Regeane, kręcąc głową gwałtownie jak maltretowane zwierzę. — Nie wierzę ci. I nie uwierzę. Nie mogę uwierzyć. Ona go kochała.

Gundabald wsunął miecz do pochwy, usiadł i nalał sobie wina. Znowu się uśmiechał. Uwielbiał zadawać ból, a z Regeane udało mu się to ponad wszelkie spodziewanie.

- Tak, tak, dwa razy próbowaliśmy. Jego organizm nie przyjmował trucizny. Miał wilczą zdolność natychmiastowego zwracania wszystkiego, co mu szkodziło. Nasłaliśmy na niego płatnych zabójców. Nie wrócili. Nie wiem, jaki los ich spotkał. — Gundabald pokręcił z niedowierzaniem głową. — Szukaliśmy, ale na próżno. Nic po nich nie zostało. Ani odzienia, ani broni, ani kości, czerepów, nawet - tfu, na psa urok - zębów. Jakby się pod ziemię zapadli. Dopiero wtedy udało nam się przekonać twoją matkę, że diabeł mu pomaga i że pójdzie razem z nim do piekła, jeśli nam nie pomoże. Zgodziła się. Trudno jej to przyszło. Chyba była między nimi ta cielesna chuć, którą niektórzy zwą miłością. W każdym razie twój ojciec padł ofiarą jej podstępów. Mieli takie ustronie nieopodal jego warowni - gniazdko miłości, do którego wymykali się tylko we dwoje, by zażywać ze sobą rozkoszy. Pewnego dnia wybraliśmy się wszyscy na polowanie - a trzeba ci wiedzieć, że zwyczajne polowania go nużyły - ona zwabiła go do tego ich specjalnego zakątka, a ja - tu Gundabald dla uzyskania lepszego efektu zawiesił głos i uśmiechnął się promiennie do Regeane -ja przeszyłem mu serce bełtem z kuszy. Wyzionął ducha, zanim zdołało go uzdrowić jego drugie ja.

Regeane, pochyliwszy głowę, wsparła czoło o oparcie fotela. Jakże długo wzbraniała się spojrzeć prawdzie w oczy, przyjąć to do wiadomości.

Życie upłynęło jej pod brzemieniem wyrzutów sumienia matki, przeplakanych nocy, samooskarżeń. Rozpacz matki była im nieodłączną towarzyszką, kiedy Gizela ciągała Regeane od kościoła do kościoła, od jednego świętego miejsca do innego. Gizela resztę swego życia spędziła na klęczkach, błagając Boga o odpuszczenie tego jedyne grzechu, do popełnienia którego nie śmiała się przyznać nawet przed Regeane - zamordowania mężczyzny, którego kochała.

- Byli jeszcze ci Sasi - ciągnął Gundabald. - Bałem się ich, ale i tu twoja matka okazała się nieoceniona. Jej rozpacz była tak wielka, że musieliśmy postawić przy niej straż, aby sobie czegoś nie zrobiła. To przekonało ludzi twego ojca, że nie mogliśmy przyłożyć ręki do jego śmierci. Kiedy zrozumieli, że jego ród wygaś, rozpaczali prawie tak bardzo jak twoja matka. Odeszli do swoich północnych kniei. Niestety, jak się później okazało, zabrali ze sobą większą część jego bogactw. Twojej matce zostało tylko to, czym obdarowano ją nazajutrz po zaślubinach. Nie powiem, sporo tego było. Przyzwoite zabezpieczenie dla kobiety, ale kropla w morzu, jeśli chodzi o potrzeby rodziny. Teraz masz okazję, uczynić nas majątymi. A ty udajesz głupią!

- Przepraszam — powiedziała cicho Regeane. Wilczyca zazgrzytała zębami, ale kobieta naprawdę starała się okazać skruchę — Nie przedstawiłeś mi dotąd w pełni sytuacji. Moja matka wypełniła swój obowiązek wobec rodziny. Ja też się postaram.

Bełtem z kuszy w serce. Nie widziała nigdy człowieka zastrzelonego z kuszy, ale była to broń znajdująca się w powszechnym użyciu. Przeważnie chodzono z nią na grubego zwierza, na tury, odyńce, niedźwiedzie. Widziała raz ustrzelonego z kuszy jelenia. Zwierzę, choć nie ugodzone śmiertelnie, padło ze strzaskaną łopatką. Zdechło parę chwil później z szoku i upływu krwi. Wzdrygnęła się wewnątrz na to wspomnienie. Wolfstan, umierając, wiedział, że został zdradzony przez kobietę, którą kochał.

Teraz zamierzali wykorzystać ją w taki sam sposób jak niegdyś matkę. Zdawała sobie sprawę, że nawet gdyby odmówiła współpracy, oni i tak knuć będą dalej swoją intrygę. Do matki zwrócili się; o pomoc dopiero wtedy, kiedy zawiodły inne sposoby zgładzenia Wolfstana.

Gundabald przyglądał się jej podejrzliwie. Za łatwo skapitulowała.

- Czyli zgadzasz się? - zapytał.
- Tak - odparła. - Czy mam zresztą wybór?

Gundabald zdjął pokrywę z miski z pikantną duszoną rybą, przyprawioną obficie cebulą, porem i palącymi jak ogień ziarnkami pieprzu.

- Chcesz? - spytał, napełniając chochlą płaski drewniany talerz i zabierając się do jedzenia palcami.

Aromat unoszący się z miski drażnił zmysł powonienia wilczycy.

- Nie. Nie jestem głodna. W głowie mi się kręci. - Regeane rozejrzała się.

W izbie gęsto było od dymu z dopalających się węgielków wysypanych z koksownika. Dogasał ogień na kominku, reszta koksowników też już stygła. Do izby zaczynał wkradać się chłód.

Ruszyła w stronę stołu. Gundabald nie zwracał na nią uwagi. Żarł łapczywie, popijając przednim czerwonym winem z dzbana.

Hugo, widząc zbliżającą się kuzynkę, przeniósł się czym prędzej na drugą stronę stołu. Rozdrażniony Gundabald przewrócił oczami.

- Gdzie twój miecz? - wymamrotał z pełnymi ustami.

Hugo stropił się.

- Zastawiłem go parę dni temu w gospodzie.

Regeane zatrzymała się przy stole.

- Zjedz coś - zachęcił ją Gundabald.

Regeane pokręciła głową.

- Napiałabym się tylko wina.

Hugo, bacząc, by się zanadto nie wychylić, podał jej przez stół napełniony kubek.

Upiła łyk na próbę. Bardzo dobre - pomyślała. Opróżniła kubek do dna i odstawiła go na stół. Dawało o sobie znać wyczerpanie.

- I pamiętaj - mruknął Gundabald.

- O czym? - spytała Regeane.

- Nie masz wyboru. - Twarz miał obrzmiałą, wysmarowaną tłuszcem, czerwoną od wina, jakie w siebie wlał. Na policzkach purpurowiały pręgi od jej paznokci. Chyba o nich zapomniał, ale przypomni sobie rano, budząc się z kacem. Wyczuwała, że humor mu się trochę poprawił. Teraz albo nigdy.

- Potrzeba mi trochę pieniędzy - wyrzuciła z siebie.

- Na co? - zapytał i połknął wielką, żółtą od szafranu krewetkę. - Wyśmienite! - wykrzyknął i popił sążnistym łykiem jakiegoś białego wina.

- Na ubranie! - odparła Regeane. - Spójrz na mnie. To mój najlepszy przyodziewek. Potrzeba mi chociaż jednej nowej opończy i dwóch porządnych sukien. Nie wspominając już o czymś, w czym wystąpię na weselnej uczcie.

- Nie ma pośpiechu - powiedział Gundabald. - On ściągnie do Rzymu nie wcześniej jak za parę miesięcy.

- Aleja muszę się już zacząć przygotowywać.

Gundabaldowi kurzyło się już z czuba. Był szczęśliwy, sprawy układały się

po jego myśli. Wiedział, że z dziewczyną mogą być jeszcze kłopoty, ale miał kilka miesięcy na skruszenie jej ducha.

Porywisty wiatr szturmował budynek. Jeden szczególnie silny podmuch szarpnął okiennicami. Huknęło, jakby ktoś uderzył w ścianę gigantycznym młotem. Gundabald wzdrygnął się. Następnym razem nie podniesie na nią ręki po zmroku. Twarz miała opuchniętą i posiniaczoną, suknię upstrzoną plamami zakrzepłej krwi, a nadal wyglądała tak, jakby była w stanie wiele jeszcze znieść.

Następnym razem rozprawi się z nią za dnia i oceni dokładniej, jaką karę można jej wymierzyć, nie okaleczając przy tym, a co gorsza, nie zabijając. Fizyczny, zadawany regularnie ból szybko ją zmiękczy i podporządkuje jego woli. Byle tylko nie pozostawić blizn.

Wygrzebał z sakiewki garść monet. Regeane dostrzegła wśród nich błysk złota. Wątpiła, że dostanie którąś z tych złotych. Nie myliła się. Na stole wylądowało około dwudziestu miedzaków i cztery srebrne denary. Dobre i to. Zgarnęła je szybko i wycofała się do swojej izdebki.

Ledwie drzwi zdążyły się za nią zamknąć, zgrzytnęły zasuwane rygle. Od swojej strony też miała rygiel. Zasunęła go. Kiedy zrzucała z siebie suknię i koszulę, wilczyca zwęszyła zapach jadła.

Wsunęła ręce pod koce i natrafiła na gliniany garnek. Pewnie Starara go tam umieściła. Był jeszcze ciepły, choć w izbie panował lodowaty ziąb. Okiennice w zakratowanym oknie nie stanowiły dla wiatru żadnej przeszkody.

Nie powstrzymywana już, wręcz przywoływana, objawiła się wilczyca. Umierała z głodu. Pochłonęła zawartość garnka o wiele szybciej, niż uczyniłaby to kobieta. Futro chroniło ją przed chłodem. Szorstkim językiem wylizała garnek do czysta.

Po skończonym posiłku kobieta powróciła i naga wdrapała się cicho na wyrko. Pobłogosławiła w myślach starą, która dorzuciła dodatkowy koc i zasłała pryczę czystym płóciennym prześcieradłem. Było połatanie i wytarte, ale gładkie i przyjemne w dotyku.

Wilczyca, odchodząc, uniosła ze sobą większość obrażeń Regeane. Zniknęła obolałość ciała, ale skrajne wyczerpanie pozostało. Jednak jej umysł nadal pracował.

Gundabald! Ten diabeł wcielony! Wiedziała, że to był dopiero przeddysmak udręki, jaka ją czeka.

Jak zdołali nakłonić matkę do pomocy w zgładzeniu kogoś, kto ją kochał i chronił?! Kimże był przy Wolfstanie Firminiusz, następny mąż matki?! Pamiętała tylko jego wyjątkową otyłość, indolencję i nienasyconą zachłanność.

Nie, nie może sobie wmawiać, że z Gundabaldem jakoś się jej ułoży, wszystko przemawiało za tym, że należy się go strzec. Musi jakoś uciec, ale jak? Z tą garstką pieniędzy, jakie jej dał, daleko nie ujdzie.

Wilczycę, dumne stworzenie, drażniło to ograniczenie wolności. Fizycznie była dojrzała, ale dojrzałością seksualną nie dorównywała kobiecie. Była jeszcze zwinną łowczynią - dostarczycielką mięsa dla watahy - zdolną doścignąć najsmiglejszego jelenia. Westalska dziewica księżycowej poświaty — samotna, nietknięta. Mogła stanąć w obronie kobiety w małżeńskim łożu.

O bogowie! - pomyślała kobieta. Prawdziwa katastrofa. Musi uciekać. Jak?! Dokąd?!

Nie dawała jej spokoju jakaś myśl kołacząca się na obrzeżach świadomości; była jak namolny żebrak szarpiący człowieka za rękaw. Wolfstan! Ludzie Wolfstana sądzili, że jego ród wygaś. Tak powiedział Gundabald. Ale ten ród nie wygaś. Była jeszcze ona, obdarzona tą samą co ojciec mocą. Nazywali go Talizmanem. Kto jej o tym opowiadał? Nie mogła sobie przypomnieć, a była zbyt zmęczona, by wyteżać teraz pamięć.

Podjęła decyzję i spłynął na nią spokój. Czy zdoła odszukać lud swego ojca? Gundabald i Hugo na pewno ruszą za nią w pościg. A niech ruszają. Z granicy jawy i snu patrzyła na nią rozjarzonymi oczami nocna łowczyni, zapraszając na drugą stronę.

Uda się jej albo zginie, ale spróbuje. Obie były co do tego zgodne. I Regeane podążyła za wilczycą odpływającą w cienistą krainę snów, gdzie będzie mogła biegać swobodnie ze swoją towarzyszką... po nieprzebytych puszczech marzeń.

Obudziła się wcześnie. Przez szpary w okiennicach przesączała się brudnosina poświata pierwszego brzasku. Wyciągnęła spod pryczy kosz, by poszukać czegoś czystego do ubrania się. Stara znowu jej nie zawiodła. Znalazła świeżo upraną szarą płócienną suknię i podniszczoną, ale przefarbowaną opończę. Stroju dopełniła bielizna i wytarty, prześwitujący w wielu miejscach szal matki.

Tak jak się obawiała, drzwi były zaryglowane, ale otworzyła jej Stara, która

krzątała się już w sąsiedniej izbie, jak zwykle sprząając.

Regeane wyciągnęła z łóżka Hugo. Trochę protestował, ale mając w pamięci przykazania Gundabalda, zgodził się jej towarzyszyć. Na korytarzu natknęła się na Starą, zamiatającą podłogę.

Hugo, który wyszedł pierwszy, zbiegał już po schodach. Regeane zatrzymała się i wcisnęła starej w dłoń jedną ze srebrnych monet.

Kobieta rozpoznała po omacku, że to coś więcej niż miedziak, zrobiła wielkie oczy i nie patrząc na pieniążek, szybko go schowała.

- Powodzenia - szepnęła. — Niech Przenajświętsza Dziewica cię prowadzi. Miej się na baczności. Ci dwaj to wieprze... - wymruczała jeszcze. - Wieprze!

Regeane zbiegła za Hugo po schodach. Niebo było szare.

- Jeszcze nawet nie świta - poskarżył się Hugo. - Dokąd idziemy?
- Na złodziejski targ - powiedziała Regeane.
- Zabiję tę wywłokę, Silve. Tyle mi kłopotu narobiła - wymruczał Hugo. -

Gdzie ją zostawiłaś? Szukałem jej wszędzie wczoraj wieczorem.

Pewnie Gundabald mu kazał - pomyślała Regeane.

- Nie znalazłem jej w żadnej z gospod, do których zwykle chadzamy. Zniknęła. Oj, moja głowa! - pociągnął nosem. — Język mam jak podłoga w szopie. Oczy pieką. Przy przełykaniu jadła pali mnie w gardle, ale jeszcze gorzej jest przy jego wydalaniu. Jakby ktoś polewał mi zadek gorącym tłuszczem.

- To pieprz. Czy dzban wina uśmierzy twoje dolegliwości? — spytała Regeane.

- Dzban wina uśmierzy wszystko - odparł Hugo.

Regeane dała mu kilka miedziaków.

- Tylko nie kupuj tego samego świństwa, które piła wczoraj Silve.
- A co to było? - zainteresował się Hugo.
- Powiedziała, że to wino z wyciągiem z maku i cykuty.
- Nie dziwota, że nie mogłem jej znaleźć - skomentował posępnie Hugo.

— Pewnie wyzionęła ducha i leży gdzieś pod płotem, a nikt jej do tej pory nie zauważył, bo nie zaczęła jeszcze śmierdzieć.

Regeane burczało w brzuchu z głodu.

- Idź już po to swoje wino — mruknęła z irytacją.

Hugo wrócił z bukłakiem. Pociągał z niego bez skrępowania po drodze na

targ. Humor mu się trochę poprawił, ale dalej utyskiwał.

- Tam jest niebezpiecznie - mówił - nawet dla mężczyzny. Możesz usłyszeć obelgi niestosowne dla uszu damy.

Regeane zatrzymała się tak raptownie, że Hugo wpadł na nią. Stali u wylotu placu targowego.

- Odejdź - wycodziła przez zęby Regeane. - Idź się zabawić. Wszystko jedno, jak, byłeś mi nie przeszkadzał w zakupach. No, idź już.

Hugo, zerknąwszy na nią lękliwie, oddalił się.

Mały plac targowy zapelniali przekupnie handlujący swoimi towarami z wózków ciągnionych przez muły, których przezornie nie wypręgano. Stanowili bardzo mobilną gromadę, gotową do szybkiej rejterady w przypadku pojawienia się gwardii papieskiej, jedynej skutecznej siły porządkowej w mieście, patrolującej okresowo Rzym. Było stąd blisko do rzeki. Plac otaczały popadające w ruinę budynki. Partery wielu z nich były nie zamieszkane ze względu na częste wylewanie Tybru i wszechobecną wilgoć.

Wózek handlarza starzyzną stał wciśnięty między wynędzniałe stadko handlarza niewolników i furę z połamanymi meblami, które zdaniem Regeane nadawały się tylko na podpałkę. Handlujący nimi mężczyzna był agresywny. Pierwszy zoczył Regeane i usiłował sprzedać jej „przepiękne” krzesło. Sprzęt w idealnym stanie - paplał radośnie - wymagający tylko dosztukowania jednej nogi, a on ma na składzie kilka takich, które będą pasowały. Odstąpi jej mebel po bardzo umiarkowanej cenie.

- Rupieć - burknęła Regeane.

Handlarz starzyzną zarechotał przymilnie, kiedy Regeane podeszła do jego dwukółki i zaczęła oglądać przewieszzone przez burty suknie.

Zerknęła na niewolników i szybko odwróciła wzrok. Przeszedł ją dreszcz. Widok był przygnębiający. Same kobiety. Za młode, za stare albo za szpetne, by znalazły nabywców na którymś z szanujących się większych targowisk prowadzących handel żywym towarem.

Suknie też były w przeważającej mierze beznadziejne. Większość była solidnie znoszona, wszystkie za małe. Regeane zaliczała się do kobiet wysokich. Najbardziej jednak rozczarowywał ją stan, w jakim się znajdowały. Silve mówiła, że można tu trafić prawdziwą okazję, ale ona nie widziała niczego wartego uwagi. Gdyby znalazła dla siebie coś w przyzwoitym stanie, mogłaby to spruć, przefarbować

i zszyć na nowo. Ale suknie tak zbutwiały, że rozłaziły się w rękach, do niczego się nie nadawały.

- Szmaty — wyszeptała.

Sprzedawca mebli posłał jej gniewne spojrzenie.

- Rupieć! - warknął. - Szmaty. Barbarzyńska wiedźma. Przydałaby się jej nauczka.

Znowu zarechotał i wyciągnął coś spod piętrzącej się na wózku kupy łąchmanów. Ta suknia, choć poplamiona u dołu, była piękna, zdobiona niebieskim brokatem, oblamowana białym futerkiem. Przekupień pomachał nią Regeane przed nosem.

- Ile? - spytała podejrzliwie Regeane.

- Jedyne sześć miedziaków - odparł handlarz starzyzną, podając jej suknię.

Tak, ta była w dobrym stanie. Regeane wprawnymi palcami badała materiał. Jedwab nie najprzedniejszego gatunku, ale czegoż innego można się było tutaj spodziewać. Gdyby plamy nie chciały zejść, to...

Świat się rozwiął. Poczula na szyi garotę i wiedziała, że jest martwa, jeszcze zanim ta się zacisnęła. Dłonie mężczyzny obracające za jej karkiem drewniane kołki były zbyt silne, by opór na coś się zdał. Drapała je do krwi paznokciami, chociaż wiedziała, że nie puszczą drutu i że ów przejaw jej agonii przynosi chyba ich właścicielowi swego rodzaju satysfakcję.

Stalowa nić przecięła tchawicę. Pociemniało jej w oczach. Zabrakło powietrza. Uszło z niej życie. Pozostał tylko krzyk... niemy krzyk rozbrzmiewający jedynie w jej mózgu, ten krzyk trwał, trwał, trwał...

Regeane odrzuciła od siebie suknię.

- Co, niedobrze ci?! - zawołał handlarz starzyzną. – Możeś brzemienna?

- Dlaczego tak jest? - odburknęła kwaśno Regeane. Opierała się o wózek, usiłując zapanować nad podchodzącym do gardła żołądkiem. - Dlaczego tak jest, że kiedy kobieta poblednie albo zasłabnie, a nie ma jeszcze siedemdziesięciu lat, to najbliższy mężczyzna pytają, czy jest brzemienna?

- Bo tak też często bywa — odpowiedział jej czyjś melodyjny głos. - Ale jeśli o ciebie chodzi, to podejrzewam, że masz niespotykany dar postrzegania.

Regeane odwróciła się i spojrzała na nieznaną. Kobieta trzymała wykwintną suknię na jednym palcu, z dała od siebie, jakby widziała w niej jakiś

plugawy łachman.

- Zabieraj to... coś - powiedziała do handlarza starzyzną - i wrzucić z powrotem do tej nie oznaczonej mogiły, w której spoczywa jej właścicielka. Zapłacę ci.

- O Boże! — zawołała Regeane. - Ale cuchnie! — Jęła ocierać dłonie o opończę. Czuła się zbrukana.

Handlarz starzyzną upchnął suknię głęboko pod stos szmat na wózku.

- Jej poprzednia właścicielka — ciągnęła z flegmą kobieta - wydała swojego kochanka człowiekowi nazwiskiem Paweł Afartha, który był szarą eminencją naszego zmarłego longobardzkiego papieża. Jej kochanek należał do stronnictwa obecnego papieża. Paweł poddał go torturom, ale, na nieszczęście dla niej, na śmierć nie skazał. Wypuszczono go na wolność, kiedy papieżem został Hadrian. Wyszedł z więzienia ślepy na jedno oko, brakowało mu też kilku palców, ale nadal miał jedno dobre oko i dwie dłonie. Udusił ją. Miała wtedy na sobie tę suknię.

- To zacny przyrodzivek - zaperzył się przekupień.

Tym razem w głosie kobiety pojawiły się ostre nutki:

- Zanieś tę suknię do mojego domu i oddaj służącej Susannie. Zapłaci ci i spali ją. Na rany Chrystusa, człowieku! Toż to plamy po jej ekskrementach, kiedy wypróżniała się, wydając ostatnie tchnienie. Rób, co mówię.

- Dobrze, pani — powiedział potulnie przekupień.

Regeane poczuła się nieswojo. Jej opończa leżała na ziemi, szal zwisał z ramion. Nieznajoma przebierała palcami w jej włosach. Ubrana była bogato i pachniała wykwintnymi perfumami.

Dwaj potężni mężczyźni, stojący po obu stronach damy, blokowali Regeane przejście. Spróbowała się wycofać, ale utknęła między wózkami handlarza starzyzną i sprzedawcy mebli, które stykały się tyłami.

- Czemu takie piękne stworzenie jak ty gmera w takich śmieciach? - spytała dama. - Mogłabym ci bez trudu znaleźć... opiekuna, który sprawiłby ci lepsze suknie.

- Nie chciałabym... nie wydaje mi się... nie wiem... —jąkała się Regeane, usiłując precyzyjnie się między damą a jej eskortą. Ale dama zastąpiła jej drogę. Wszyscy sprawiali wrażenie rozbawionych.

Regeane nigdy jeszcze nie znalazła się tak blisko kogoś tak dobrze ubranego, tak czystego i słodko pachnącego jak ta kobieta. Wilczyca była już

oczarowana i niemal zakochana.

- Ble, ble, ble - przedrzeźniał Regeane sprzedawca mebli. - Stójże spokojnie i rozmawiaj z Lucillą jak na kobietę przystało. — A zwracając się do Lucilli, dorzucił: - Wystraszona jak kurczak na podwórku pełnym kogutów.

Regeane doszła wreszcie do siebie i przyjrzała się kobiecie imieniem Lucillą.

Zrazu nieznajoma wydała jej się osobą młodą, ale teraz zauważała, że było to tylko złudzenie osiągnięte elegancją stroju i umiejętnymi zabiegami. Koszula z drobno tkanego egipskiego płótna, wyszywana białym jedwabiem. Suknia wierzchnia z jedwabistego adamaszku farbowanego na dwa odcienie zieleni tak świeże i soczyste, że przywodziły na myśl pierwsze wiosenne liście. Wysublimowany makijaż. Puder nałożony na twarz. Kobieta była wciąż piękna, ale drobniutkie kurze łapki w kącikach ust i oczu oraz ledwie zauważalna siateczka zmarszczek na czole i policzkach zdradzały, że nie jest już pierwszej młodości.

- Cóż za piękne włosy! Jakim sposobem to zrobiłaś? Na czym polega ta sztuka? - zapytała Lucillą. - Naucz mnie jej. Dobrze Ci zapłacę.

- To żadna sztuka - odparła Regeane. - Nie znam żadnych sztuk. Włosy mam takie, od kiedy pamiętam. — Jej włosy były jak futro srebrnej wilczycy, ciemne, rozjaśniające się stopniowo, by na końcach przejść w biel. Każde ich pasmo zdawało się skąpane w księżycowej poświacie.

- Żadna sztuka — powtórzyła Lucilla. - Zaiste. Niemądre pytanie. Od razu widać, żeś taka, jaką stworzyła cię natura. - Wypuściła włosy Regeane z palców i położyła dłonie na jej piersiach. Regeane wstrzymała oddech i spłonęła rumieńcem. - Nie nosisz nawet stanika.

- O Boże! - szepnęła Regeane. - Zapomniałam.

Mężczyźni towarzyszący Lucilli i dwaj przekupnie pokładali się ze śmiechu.

Lucilla ścisnęła dłoń jedną z piersi Regeane.

- O aniołowie! - powiedziała cicho. - Dojrzała brzoskwinia. Moje ty biedactwo, stanik ci niepotrzebny.

Regeane zdawała sobie sprawę, że powinna się oburzyć na taką poufałość wobec swojej osoby, ale dotyk damy wyzwolił rozkoszne żgnięcie w partii jej ciała znacznie oddalonej od piersi. Chwyliła Lucillę za nadgarstek, ale nie odepchnęła jej dłoni. Lucilla sama cofnęła rękę i powoli uwolniła nadgarstek z palców Regeane.

- Jesteś wolną kobietą? - spytała niespodziewanie.

- Wolną i wolno urodzoną - odparła Regeane dumnie i z nutką urazy w

głosie. Ta kobieta wzbudzała w niej lęk. Przyszło jej do głowy, żeby przywołać Hugo, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Dwaj najemnicy towarzyszący Lucilli byli uzbrojonymi po zęby, dobrze ubranymi, dobrze opłacanymi i bez wątpienia dobrze wyszkolonymi sługami szlchetnego domu. Każdy z nich potrafiłby jedną ręką zetrzeć Hugo na proch.

- Mężatka czy zaręczona? - dalej pytała Lucilla.
- Zaręczona - odrzekła bez przekonania Regeane.

Lucilla wychwyciła w jej głosie niezdecydowanie.

- Widzę, żeś mu nierada.
- Sama nie wiem - przyznała z zakłopotaniem Regeane. – Nie poznałam

go jeszcze ani nawet nie widziałam.

- Aaaa. - Lucilla uśmiechnęła się i przymrużyła oczy. Rzęsy miała smolistoczarne, same zaś powieki powleczone błękitnym cieniem.

- Może zatem przyjmiesz zaproszenie do mojego domu - powiedziała Lucilla. — Nakarmię cię dobrze, a potem udamy się do łożnicy. Rano moje służki dobiorą ci suknię, jakiej tutaj nie znajdziesz. A jeśli uznam, żeś była dla mnie szczególnie miła, a to chyba pewne, to i trochę złota ci skapnie.

Regeane, kiedy po chwili dotarł do niej sens tej propozycji, spłoniła się najpierw, a potem zła na siebie samą za ten rumieniec nie tyle zgorszenia, ile zawstydzienia, podjęła zdecydowaną próbę wydostania się z kąta, w którym ją zablokowano.

Lucilla i jej dwaj najemnicy rozstąpili się przed nią ze śmiechem. Chciała już rzucić się do ucieczki, ale przeszkodzono jej w tym niespodziewanie.

Handlarz starzyzną siedzący na koźle swojego wózka schylił się, chwycił ją od tyłu za sukienkę i potrząsnął lekko.

- To świeżo wyklute pisklątko. Nie bierz sobie do serca jej zachowania, Lucillo. Piórka ma jeszcze mokre. Nie rozumie, jak wspaniałą propozycję jej złożyłaś. Posłuchaj tego barbarzyńskiego akcentu w jej łacinie. To Frankonka.

- On ma rację, moja śliczna - potwierdziła Lucilla. — Nie uciekaj, dopóki nie będziesz całkowicie przekonana, że naprawdę chcesz to zrobić. Dziewczęta przechodzą z moich ramion do łożnic królów, kardynałów i papieży. — Wykonała pełen gracji gest. Dłonie miała wąskie, palce długie. — Majątkiem, jaki sama zgromadziłam, można by obdzielić kilka szlchetnych rodów.

Handlarz starzyzną puścił Regeane i poklepał ją po ramieniu.

- Masz przed sobą - powiedział, wskazując na Lucillę - najbogatszą i najsłynniejszą kurtyzanę Rzymu. Poczytuj sobie za za szczyt, że się tobą zainteresowała. Ach ci surowi, prawi barbarzyńcy. Jakże strzegą cnoty swych kobiet! Ona mi wygląda na dziewicę. Na pewno nią jest. - Wziął Regeane za rękę. - Skórę ma białą jak marmur. To na pewno dziewczica.

- Czy ja wiem? - mruknęła Lucilla, postukując paznokciem o ząb. — Jak wszyscy barbarzyńcy za dużo przebywa na powietrzu. Jest trochę opalona. To teraz niemodne.

- Opalona?! - zachnął się handlarz starzyzną. — Wcale nie jest opalona. Odrobina słońca, która muśnie skórę, wydobywa z niej cieplejsze tony. - Uniósł rękę Regeane, prezentując ją niczym trofeum. — Spójrz na to złote ciało, miększe od futerka nowo narodzonego kociątka. Patrz, jak lśni w promieniach słońca. - Poniosła go wyobraźnia. Niebo było zaciągnięte chmurami. Słońce nie wyglądało zza nich od tygodni. - Pomyśl tylko, jak będzie lśnić w blasku lampy, kiedy ona rozbierze się w twojej komnacie. Po myśl tylko, jak cudownie będzie wprowadzać tę młodą, zrodzoną z morskiej piany Wenus w arkana sztuki... Regeane miała tego dosyć. Więcej niż, dosyć.

- Co?! - krzyknęła, wrywając rękę handlarzowi starzyzną. — Próbujesz zapracować na prowizję?

Wszyscy mężczyźni roześmiali się.

- Tak - potwierdziła Lucilla. - Zaczął machać na mnie ręką, jak tylko podeszłaś do jego wózka, ale bez obawy, zapracował już na zapłatę. Podziwia cię. A oko ma dobre. I co, nadal chcesz uciekać?

Regeane wiedziała, co doradziłyby jej matka: „Popraw szal, podnieś z ziemi opończę i uciekaj! Ta kobieta to wymalowana rozpustnica. Ucieleśnienie grzechu”. Dobrze - pomyślała Regeane - a ty zamordowałaś mojego ojca. Zamordowałaś człowieka, który cię kochał i ufał tobie. W mgnieniu oka matka zniknęła i na Lucillę spojrziała wilczyca.

Kobieta, jakby wyczuwając obecność kogoś jeszcze, ściągnęła lekko brwi.

Tysiące wrażeń zalewało ludzko-wilcze zmysły Regeane. Nieszczerość cuchnie zdenerwowaniem, strachem, a rozkładające się wydzieliny ciała, które pod ich wpływem występują na skórę, sprawiają, że niegodziwiec po prostu śmierdzi. Tutaj niczego takiego nie czuła. Tylko wonne mydło, ciepłe ciało, zapach kobiecości spod pach i z krocza. Nie wykrywała mdlącej woni przygnębienia ani bólu... jedynie

spokój, ciszę, tylko gdzieś tam pod spodem czaił się smutek.

Wilczyca odeszła. Wiedziała coś, czego nie chciała albo nie potrafiła przekazać Regeane, ale ta nie odebrała żadnego sygnału dezaprobaty, tylko tęsknotę za dotykiem Lucilli. Oj - pomyślała Regeane - co mam w końcu do stracenia? Tylko wąską kamienną izbę i nieznanego narzeczonego, który może się okazać odpychającym okrutnikiem.

- No i co? - spytała znowu Lucilla. - Nadal chcesz uciekać?
- Nie! - odparła Regeane. - Nie wrócę już do domu.
- Proszę, proszę - powiedziała Lucilla. - Cóż za stanowczość! I to u

kogoś tak młodego. Powiedz mi...

- Ta mała suka mnie ugryzła! - dobiegł zza wózka wrzask Hugo.

Regeane spojrzała ponad zadami mułów na grupkę niewolnic. Lucilla zachichotała.

- Zdaje się, że któraś z niewolnic ugryzła klienta.
- Słyszałam - powiedziała Regeane. - Mojego kuzyna Hugo.

Lucilla zacmokała współczująco.

- Przykre.
- Wcale nie - mruknęła Regeane. - Mam nadzieję, że ugryzła go do krwi.

Spojrzały na Hugo handryczącego się z handlarzem niewolników.

- Gnido! — darł się na Hugo handlarz niewolników. — Czegoś obmacywał towar, skoro miedziaka nie masz przy duszy?

- Och, ty wypacykowany gównojadzie, rajfurze zatracony! - wrzasnął Hugo, dobywając sztyletu.

- O, nie! - krzyknęła Regeane i zerwała się, by iść Hugo w sukurs, ale drogę przegrodzili jej Lucilla ze swoją zbrojną eskortą.

- Oszalałaś! — syknęła tamta, chwytając Regeane za rękę. - Chcesz się w takim miejscu mieszać w awanturę? Moi krajanie może i zesłi na psy, mała barbarzynko, ale nie zapomnieli jeszcze, że niegdyś rządzą światem. - Wepchnęła Regeane między dwa wózki i przykazała jednemu ze swoich żołnierzy, żeby jej pilnował. Handlarz starzyzną i sprzedawca mebli zeskoczyli natychmiast ze swoich wózków i przyblokowali Regeane w ciasnym kącie między wózkami.

Dziewczyna ochłonęła. Lucilla miała rację. Wtrącenie się w tę scysję nic by nie dało. Mogłaby co najwyżej oberwać albo zostać zabita razem z Hugo.

Lucilla trąciła łokciem najemnika nie zajętego pilnowaniem Regeane.

- Szybko! — warknęła. — Daj temu durniowi w łeb i udobruchaj handlarza niewolników srebrnikiem — jeśli nie jest już za późno.

Na szczęście Hugo, który do najodważniejszych nie należał, oraz handlarz niewolników, który tak naprawdę nie miał zamiaru przekraczać granic utarczki słownej i wdawać się w bójkę, stali wciąż kilka stóp od siebie i obrzucali się wyzwiskami.

Repertuar mieli obaj bogaty. Hugo, choć w kulturalnej rozmowie ledwie potrafił się wysłowić, dukając łamaną łaciną, teraz wszystkimi najgorszymi obelgami rzymskiego motłochu bluzgał jak z nut. Handlarz niewolników również miał dobrze opanowany słownik wiązańek, od których wiedły uszy.

Gromadził się już tłum żądnych widowiska gapiów, którzy szczuli na siebie zwaśnionych w nadziei, że w końcu celnie wymierzona obelga przepelni czarę i któryś z antagonistów przejdzie do rękoczynów. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza.

Ale człowiek Lucilli przepchnął się na czas do Hugo i grzmotnął go ręką i mieczem w głowę. Hugo zatoczył się. Oczy zaszkliły mu się, a potem powoli zamknęły. Barczysty najemnik ucapił go za kołnierz koszuli i delikatnie ułożył na ziemi.

Do handlarza niewolników podeszła Lucilla. Mężczyzna nadal wymachiwał rękami i piekił się w amoku furii. Lucilla zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem, potem, wyrzucając z siebie potok słów tak szybko, że Regeane nic z tego nie rozumiała, zamknęła mu gębę wiązańką w ulicznym żargonie, a na koniec wcisnęła w rękę srebrnika.

- Która to ugryzła mojego kuzyna? - zapytała Regeane.

Handlarz niewolników obejrzał się na swój towar złożony z wynędzniałych kobiet i dzieci, i znowu podniósł wrzask.

- O co mu teraz chodzi? - zapytała przestraszona Regeane.

Lucilla westchnęła.

- Ta dziewczynka uciekła. - Ofuknęła handlarza niewolników jednym słowem, którego Regeane nie rozumiała, ale które podziałało na mężczyznę niczym kubeł zimnej wody.

Niepomny twardego bruku, padł na kolana.

- Jestem zrujnowany — zajęczał. - Moja żona umrze z głodu, a dzieci...

Lucilla w paru zdaniach, które zaparły Regeane dech w piersiach i wywołały rumieniec na jej licach, skomentowała stosunki łączące go z żoną, podała w

wątpliwość jego ojcostwo, a potem zajęła się organizowaniem poszukiwań dziecka.

- A może pozwolimy jej uciec? szepnęła Regeane.

Lucilla pokręciła głową,.

- Nie. Zastanów się. Wcześniej czy później ktoś ją schwyta. A wtedy dziecko czeka los gorszy niż to, co może się tutaj. Lepszy na pewno nie.

Regeane kiwnęła głową. Lucilla miała rację. Nawet najokrutniejszy opiekun był lepszy od przymierania głodem i żebrania pod kościołami.

Oczy i uszy Regeane nawiedziła wilczyca. Wywołany tym wstrząs sprawił, że dziewczyna zatoczyła się lekko. Światło dnia zalewające plac zintensywniało. Przytłoczył ją natłok niewyczuwalnych dotąd zapachów: mokry kamień, wilgotne powietrze, butwiejące ubrania, cały wachlarz woni potów od zastarzałego i lepkiego po świeży, dopiero co wydzielony porami skóry. Runął na nią istny potop dźwięków, z tym najważniejszym, dochodzącym gdzieś z bliska, na pierwszym planie. Szybki, przestraszony oddech w pobliżu wózka handlarza starzyzną.

Srebrna wilczyca pochyliła łeb i dotknęła nosem noska młodego, chwiejącego się jeszcze niepewnie na maleńkich łapkach. Nawiązała się między nimi nić zaufania. Wilczyca odeszła zadowolona.

Regeane stwierdziła, że oczy ma zamknięte. Otworzyła je i wysupłała z sakiewki trzy ostatnie srebrniki.

Handlarz niewolników lamentował wciąż i rwał włosy z głowy.

- Kupię tę dziewczynę — powiedziała Regeane. - Ile za nią chcesz?

Handlarz niewolników urwał swój lament w pół słowa.

- Co?! - zdumiała się Lucilla.

- Powiedziałam, że kupię to dziecko - powtórzyła Regeane. - Podaj cenę!

- Ścisnęła srebrne monety w garści.

Mężczyzna popatrzył na Regeane taksujące.

- Zaczekaj - odezwała się Lucilla. — Chcesz kupić zbiegłą niewolnicę, której nie widziałś na oczy. Chora jesteś?! Pozwól, że dotknę twego czoła. Pewnie masz gorączkę.

- Nie! — krzyknął handlarz niewolników. - Ona na pewno wie, dokąd uciekła ta mała. Musiały być w zмовie.

Tłum, który rozproszył się, by szukać niewolnej dziewczynki, gromadził się wokół nich ponownie, przywabiony zapowiedzią nowego przedstawienia.

- Gdzie ona jest, złodziejko?! - wydarł się na Regeane handlarz

niewolników.

- Bierziesz ode mnie pieniądze czy nie?! - krzyknęła Regeane.

Obserwowała walkę chciwości z wściekłością, toczącą się na twarzy mężczyzny. Wspomogła nieco chciwość. - Daję trzy srebrne denary.

- Zgoda - powiedział handlarz niewolników.

Regeane wbiła monety w wyciągniętą rękę.

- No i gdzie ona jest? - spytała Lucilla, biorąc się pod boki.

- Należy teraz do mnie. - odparła Regeane. - Jesteś świadkiem.

- Tak, zaświadczę. Jesteś właścicielką dziecka. Powiedz nam teraz, gdzie ukrywa się twój nowy nabytek.

Regeane zwróciła się twarzą do wózka handlarza starzyzną.

- Wychodź — rzuciła rozkazująco. — Wychodź natychmiast.

Tłum naparł bliżej. Wózek już przeszukano, wysondowano rękami i kijami jego ładunek. Nikt nie wierzył, by tam kryła się uciekiniarka. Z ciżby gapiów dobiegły pojedyncze kpiące parsknięcia.

- Wychodź - powtórzyła Regeane. - Z mojej strony nic ci nie grozi. Tym bardziej że ugryzłaś Hugo. - Obejrzała się na Hugo, który siedział na ziemi i mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem, trzymał się za głowę. - Często miałam ochotę zrobić to samo.

Spod jednej z sukien wiszących na burcie wózka zeskoczyła na ziemię dziewczynka. Była na tyle mała i na tyle silna, że wytrzymała tak długo pod suknią, uczepiona burty niczym mała małpka, podczas gdy ręce i kije szukały jej w kopie szmat na wózku. Jedynie Regeane i wilczyca słyszały jej przyśpieszony oddech.

Dziecko nie prezentowało się najatrakcyjniej. Miało skołtunione blond włosy, a usta i bródkę powalane krwią ściekającą dwiema strużkami ze spuchniętego noska. Było bose, a jej jedyny przydziewek stanowiła porwana szmata. Buzię małej wykrzywił buntowniczy grymas. Wyraz zawziętego oporu. Regeane ją rozumiała.

- Hyrrokkin wicca - wymruczała dziewczynka.

Wiedźma Hyrrokkin. Z umysłu wilczycy do świadomości kobiety przepłynął obraz: nieziemsko piękna twarz tak biała, że zdawała się ulepiona ze śniegu. Przeróżające oczy połyskiwały miriadami odcieni błękitów, zieleni i czerni lodowca. Ta ze śnieżnych pustkowi, gdzie nie postąpiła noga wiosny. „Nigdy nie narodzona”, starsza od bogów, czarodziejka — królowa górskich szczytów i lodowców uwięziona w wiecznej zimie. Ta, dla której jedyną odpowiednią ofiarą jest człowiek, zawsze

gotowa wybierać sobie ofiary: nieostrożnych wędrowców zwiedzionych piękną pogodą, podróżnych na wysokogórskich przełęczach, którzy kręcą się w kółko oślepieni bielą i oszalani z przerażenia. A kiedy w końcu padają wyczerpani w śnieg, przychodzą po nich wilki, jej wierni słudzy. Niektórzy mówią, a raczej tylko szepczą, że „zaglądali jej w oczy”.

Dziewczynka była Saksonką. Regeane знаła ten język. Nawet po śmierci ojca miała przez wiele lat piastunkę Saksonkę.

- Nie — odparła teraz w ojczyściej mowie dziecka. — Ona nigdy nie opuszcza swoich śniegów.

Ściągnęła szal i podała go małej.

- Idź, umyj sobie buzię. Pójdiesz ze mną. Będziemy towarzyszkami.

Dziewczynka wstała powoli. Przez chwilę przyglądała się badawczo twarzy Regeane, potem podbiegła z szalem do fontanny. Lucilla stała obok Regeane zakłopotana i trochę wzburzona.

- Ja nie zadaję się z dziećmi i nie chcę mieć nic do czynienia z tymi, którzy to robią - oświadczyła. Jeden rzut oka na obruszoną Regeane wystarczył. - Zapomnij, że to powiedziałam — poprosiła.

Regeane z Lucillą ruszyły za małą do fontanny. Dziewczynka zmyła już krew z twarzy, ale wierzchnia warstwa brudu pozostawała nie naruszona. Regeane wzięła od niej szal i sama zabrała się do szorowania buzi małej, burcząc:

- Aleś ty zapuszczona! Czy w ogóle dbasz o siebie? Boże, te włosy to szczurze gniazdo. Tutaj nic z nimi nie zrobię.

Dziewczynka zamknęła oczy i z godnością zносиła zabiegi Regeane.

- Mam tylko jedną twarz. Nie zmyj mi jej do cna.

- Chcę zobaczyć, jak wyglądasz pod tą warstwą brudu — powiedziała z uśmiechem Regeane. - No, mała. Już lepiej. Głodnaś?

- Ależ naturalnie, że tak - odezwała się Lucilla. - Dzieci zawsze są głodne.

- Mnie z tym dobrze - burknęła wyniośle dziewczynka.

- Jest Saksonką - wyjaśniła z dumą Regeane. — Oni prędzej umrą, niż się poskarżą.

Lucilla ujęła małą pod brodę i przyjrzała jej się ze znawstwem.

- Nieźle, lepiej, niż było. Paczuszek, i to jeszcze zielony, ale może w przyszłości wyrosnąć na piękność.

Dziewczynka wyrwała się Lucilli.

- Nie chcę być piękna! Chcę być mężczyzną. Żeby się zemścić na tym tam. - Patrzyła na Hugo, który już wstał. Ten sam żołnierz, który go ogłuszył, pomagał mu teraz dowlec się do fontanny.

- Nie odżegnuj się tak od swojej płci - powiedziała Lucilla, głaszcząc dziecko po główce. - Kobiety również mają okazje do brania rewanzu. Faj, co za włosy! Ona ma pewnie wszy.

- A jakże - podchwyciła dziewczynka. - Roi się od nich w moich włosach i na ubraniu też. W domu chodziłam czysta. Nienawidzę go. — Przeniosła wzrok z twarzy Regeane z powrotem na Hugo. - W domu - szepnęła - mój ojciec nauczyłby go, czym grozi obmacywanie córki tana.

Oczy małej napełniły się łzami.

- Płacę, choć nie chcę płakać. Płacz to słabość, ale ja chciałabym wrócić do domu.

Cichy szloch przejął Regeane do głębi. Serce jej się ścisnęło.

- Ale to za daleko - ciągnęła płaczką mała. - Trzeba żeglować statkiem tysiące mil. Nigdy już nie ujrzę domu.

Dom — pomyślała Regeane. Tak, ja też chciałabym wrócić do domu. Ty przynajmniej znasz do niego drogę, .la wiem tylko, że mój ojciec zwał się Wolfstan i że jego lud odszedł do puszczy.

Nie bacząc na brud i wszy, Regeane przyciągnęła małą do siebie i pozwoliła jej wyplakać smutek. Mała objęła ją rączkami i przytuliła się mocno.

Lucilla pokręciła głową.

- Widzę, że masz czułe serce - powiedziała. To smutne, ale takich jak ona są tysiące. Nie możesz pomóc wszystkim.

- Nie - przyznała Regeane — ale jej mogę. - Pociągając za sobą dziewczynkę, odsunęła się od Hugo, który zanurzał po raz głowę w wodzie i zlorzeczył pod nosem całemu wszechświatu. Regeane obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Idziesz ze mną? - spytała Lucilla.

- Tak — odparła Regeane, ocierając małej łzy wilgotnym szalem.

Lucilla westchnęła i podała jej czystą płócienną chusteczkę. Regeane odrzuciła szal. Upadł z cichym pacnięciem na ocembrowanie fontanny. Wzięła od Lucilli chusteczkę i wycierała dalej buzię dziecka, szepcząc:

- Nie płacz, mała. To nie tak daleko. Jeśli twój ojciec jest tanem, to może znajdziemy...

W tym momencie plac wypełnił się stukotem kopyt. Lucilla krzyknęła ostrzegawczo. Doskoczyli do niej natychmiast jej zbrojni.

- Milicja! - krzyknął ktoś.

Rzymska milicja — gwardia papieska podlegająca papieżowi Hadrianowi - była strażnikiem porządku publicznego w mieście. Wśród obywateli wzbudzała szacunek i strach zarazem.

- Nie - powiedziała cicho Lucilla. - To nie może być milicja. Wiedziałabym. Zresztą oni się tutaj nigdy nie zapuszczają. - Szepnęła coś do jednego ze swych zbrojnych. Mężczyzna kiwnął głową i znikł w zaułku. W jego ślady poszło paru przekupniów. Reszta rzuciła się do zbierania swojego towaru. Ci, którzy się z tym już uporali, wycofywali się do pobliskich budynków.

Regeane oparła się o fontannę. Czuła się naga. Jej opończa leżała na ziemi obok wózka handlarza starzyzną, szal był przemoczony.

Uzbrojeni ludzie rozproszyli się i ruszyli między wózki i stragany.

- A żeby ich hemoroidami pokarało - szepnęła Lucilla. — Żeby ich swędziało, piekło, żeby na zadkach usiedzieć nie mogli. Sucze syny blokują jedyne wyjście z placu. Chwytaj małą za rękę - rzuciła do Regeane. — Wezmą cię za jej matkę i mężatkę. Rzadko czepiają się do...

- Nie uciekajcie, głupcy! - wrzasnął jeden ze zbrojnych. – Nie chodzi nam o wasze śmieci.

- Chryste! - szepnął człowiek Lucilli. — To Bazyl Lombardczyk.

Lucilla chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Mężczyzna zatkał jej dłońią usta i wciągnął do najbliższego budynku.

Regeane stała ogłuszona. Dziewczynka szarpnęła ją za rękę.

- Nie patrz za nią - powiedziała. - Patrz przed siebie. Jak będziesz tam patrzyła, zorientują się, gdzie ona się ukryła.

Regeane była przerażona i ogłupiała zarazem.

Czego chcieli tu ci ludzie? Byli najemnikami. A z uzbrojenia i pancerzy wynikało, że doborowymi. Mieli na sobie nowe skórzane pancerze nałożone na grube, ciemne, płócienne tuniki. Nogi opinały im grube, przytrzymywane podwiązkami pończochy. Ścigali przekupniów z dobytymi mieczami. W szarym świetle połyskiwała ręcznie kuta i szlifowana stal. Z ramienia każdego zwisała tarcza

obciągnięta ciemną bawolą skórą.

Dowódca - człowiek ten ubrany był we wspaniałą opończę z czarnego aksamitu, narzuconą na pancerz, a więc Regeane uznała go za dowódcę - spiął konia przed wózkiem handlarza starzyzną. Jał rugać przekupnia, który padł na klęczki przed jego wierzchowcem, i o coś go wypytywać.

Odpowiedzi, jakie uzyskał, chyba go zadowoliły, bo cofnął konia. Handlarz starzyzną wstał. Dygotał na całym ciele, wyraźnie uszczęśliwiony, że groźny wojownik przestał go nagabywać.

Dowódca najemników znowu cofnął wierzchowca. Boże — pomyślała Regeane, ależ piękne zwierzę! Był to koń berberyjski, z tych, z których słynęły wciąż Grecja i Afryka Północna. Biały z szarymi pęciami, ogonem i pyskiem. Wspaniała, wygięta łukowato szyja, pięknie sklepiona pierś, umięśniony, ale wysoki w kłębie, długie, wysmukłe nogi. Nieco ciemniejsza grzywa i ogon falujące. Ogier. Z lędźwi zwiślał mu długi członek.

Koń był niespokojny. Regeane wiedziała, dlaczego. Była z nią wilczyca i koń to wyczuwał.

Na placu zaległa cisza. Ludzie i najemnicy czekali, co powie dowódca. Koń przestępował niespokojnie z nogi na nogę i parskał. Dosiadający go mężczyzna ściągnął mocno wodze i potoczył wzrokiem po placu.

Regeane miała teraz sposobność przyjrzeć się lepiej jego niezwykle przystojnej twarzy. Wielkie, ciemne oczy, orli rzymski profil, szeroki, silnie zarysowany nos, usta i podbródek. O, nie! -pomyślała. Nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka, ale często miewała już do czynienia z mężczyznami o tym typie urody.

Byli bezlitośni, niezdolni do miłości, samolubni - bała się bardzo, że właśnie tego rodzaju człowiekiem może się okazać jej przyszły mąż. Stworzyły ich nie kończące się wojny, tak jak załamujące się fale pianę.

Podczas swych wędrówek nauczyła się ich wystrzegać. Oni nie odrzucali dobroci, współczucia, życzliwości; większość ich po prostu nie wiedziała o istnieniu takich ludzkich cech. Dla nich świat był jednym wielkim, szarym, wytartym freskiem, na którym bezlice ludzkie postaci otaczają kręgiem jakiś zapomniany monument - z tym że te bezlice postaci czasami krwawiły.

Przez twarz jeźdźca, kiedy dostrzegł Regeane, przemknął trudny do odczytania grymas. Odwrócił się do handlarza starzyzną.

Regeane przygarnęła do siebie dziewczynkę i ukryła jej twarz w fałdach swojej sukni, żeby oszczędzić dziecku tego widoku.

Mężczyzna warknął coś niezrozumiale do stojącego obok żołnierza. Pierś handlarza starzyzną przeszła włócznia. Nieszczęśnik osunął się martwy na ziemię. Przypominał teraz jedną ze swoich znoszonych szmat. Jego twarz nie wyrażała strachu ani bólu, malowało się na niej tylko zdumienie.

Sprzedawca mebli z sąsiedniego wózka podniósł wrzask, wytykając palcem Regeane.

Regeane odepchnęła od siebie małą.

- Uciekaj! - krzyknęła.

Czyjeś ręce wciągnęły dziecko w tłum.

Najemnik dobył miecza, odwrócił konia i natarł na Regeane.

W Regeane obudziła się wilczyca, wlewając się w jej krew, mięśnie, kości, używając całej swojej zwierzęcej siły, przebiegłości, absolutnej koncentracji pewnego siebie zabójcy. Na placu rozpętało się piekło. Jedni próbowali uciekać, inni atakować zaimprovizowaną bronią: kijami, osiami, młotkami, wyrwanymi z bruku kamieniami.

Regeane stała w miejscu. Instynkt podpowiadał jej, że jeśli rzuci się do ucieczki, najemnik usiecze ją, nim zdąży ubiec kilka kroków.

Koń i jeździec przemknęli obok niej chmurą skóry i zapachu potu. Mężczyzna, kiedy uświadomił sobie, że pokpił sprawę, zdążył ją jeszcze rąbnąć w przelocie kolanem w głowę. Stała po jego lewej stronie, tuż przy fontannie. Nieporęcznie było mu ciąć ją mieczem.

Boże, co za uderzenie! Regeane zatoczyła się, pociemniało jej w oczach.

Ogier z niemal kocią zwinnością zawrócił, stanął dęba i młócąc powietrze przednimi kopytami, zmusił ją do oderwania się od fontanny.

Regeane odskoczyła na środek placu. Najemnik roześmiał się. Błysnęły białe zęby, nadając jego ogorzałej twarzy wyraz niemal dziecięcego zachwyty. Miał ją teraz. Był tego pewien.

Pozostawało jedno wyjście. Kiedy kopyta ogiera opadały, Regeane i wilczyca jednocześnie dostrzegły otwierającą się szansę. Regeane skoczyła naprzód. Dopadłszy konia, chwyciła prawą ręką za wędzidło. Silnym szarpnięciem odwróciła ogierowi łeb z taką gwałtownością, że ten stracił równowagę i ziemia usunęła mu się spod nóg.

Regeane dostrzegła jeszcze kątem oka unoszący się miecz, ale cios nie spadł. Koń wraz z jeźdźcem przewrócili się. Wylądowali z głuchym łomotem na bruku obok niej. Odskoczyła poza zasięg wierzgających kopyt. Mignęła jej jeszcze przed oczyma twarz mężczyzny wyrażająca ogłupiałe niedowierzanie

Usta jak aksamit — pomyślała, wpadając w jeden z wąskich zaułków odbiegających od placu. Prowadził pod górę. Z placu doleciał wściekły wrzask:

- Za nią! Na kości Chrystusa, ta suka krwią mi zapłaci!

Zaklekotały na kamieniach końskie kopyta. Regeane pędziła jak wiatr. Mroczny zaułek kończył się ślepa ścianą.

Domy miały tu grube drewniane drzwi, okna zabarykadowane były okiennicami.

W prawo odbiegały kamienne schodki, I tyły śliskie od wiecznej wilgoci ciągnącej od Tybru i wylewanych z okien nieczystości. Smród zapierał dech w piersiach wilczycy, ale kobieta, nie zważając na nic, wspinała się po nich jak kozica. Ślizgając się i potykając, Regeane wdrapała się na czworakach na sam szczyt. Ktoś krzyknął. Obejrzała się. Po schodach, biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegała za nią saksońska dziewczynka.

- Nie zatrzymuj się! - krzyczała. — Jeden jest tuż za mną.

Regeane nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Mała dopędziła ją po chwili.

- Dlaczego nie pobiegłaś do Lucilli? - wysapała z wyrzutem Regeane.

- Teraz będziesz mi robiła wymówki? - spytała dziewczynka. - Ukarzesz mnie później. - Wysforowała się przed Regeane.

Dały się słyszeć krzyki i przekleństwa jeźdźców, którzy natknęli się na schodki. Tętent kopyt przeszedł w tupot ciężko obutych nóg.

Regeane serce o mało nie wyskoczyło z piersi z przerażenia, zaułek zwężał się, teraz nie precisnęłoby się już nim dwoje ludzi idących obok siebie. A ściany dalej się zbiegały. Uliczka zakręciła ostro i skończyła się na ślepej ścianie.

Regeane odwróciła się na pięcie, przywarła plecami do muru i rozejrzała z rozpaczą. Domy miały tu po dwa piętra — gładkie dwupiętrowe pionowe urwiska z wąskiej terakotowej cegły, wznoszące się aż po zimne, szare niebo.

Wilczyca spróbowała przejąć inicjatywę, spróbowała nakłonić Regeane do przemiany i... nie zdołała. Była za słaba. Dała za wygraną, uświadamiając sobie chyba w głębi swego mrocznego serca, że odbiera tylko kobiecie siły.

Tupot nóg przybliżał się. Był teraz szybszy.

- Pssst! - syknął ktoś pod nogami Regeane. Otwór był tak zapchany śmieciami, że wcześniej go nie zauważyła.

- Szybciej! - zawołał dziecinny głosik. - Odpoczywaj tak dalej, to cię złapią.

- Ja nie odpoczywam — odpowiedziała Regeane syczącym szeptem. — Zmieszczę się tam?

- Chyba... tak... sama nie wiem. Wciskałam się tu tak szybko, że nie zwróciłam uwagi. Ale proszę...

U wylotu zaułka pojawił się najemnik. Zdjętej paniką Regeane wydał się trzy razy większy od niej. Jednocześnie wyobraźnia podsunęła jej makabryczną wizję, w której ona tkwi zaklinowana górną połową ciała w otworze, żołnierz zaś tnie ją mieczem po wystającej dolnej połowie i po nogach.

Przykucnęła i pośpiesznie oczyściła wylot dziury z przegniłych liści i patyków. Obyta z jamami wilczyca dokonała błyskawicznej kalkulacji. Regeane zanurkowała głową w otwór.

Żołnierz skoczył za nią z okrzykiem wściekłości. Tunel prowadził w dół, miał śliskie, obślizgane ściany. Dłoń mężczyzny zamknęła się na jej kostce. Regeane pisnęła i z desperacją wpiła się paznokciami w glinianą ściankę rury. Ścianka była za śliska, by się jej przytrzymać.

Ktoś chwycił ją za włosy i szarpnął. Wyprysnęła drugim końcem tunelu niczym natłuszczona świnia, i wylądowała u stóp dziewczynki. Jeden but został w dłoni żołnierza.

W rurze tłuło się echo wrzasków świadczących o bezsilnej furii mężczyzny.

- Puść moje włosy! — syknęła Regeane, dźwigając się na rozdygotane nogi.

- Masz szczęście, że cię za nie tak mocno ucapiłam - odburknęła obruszona mała. - Ślamazara z ciebie. Trzeba było od razu wskakiwać. - Dziewczynka próbowała zajrzeć do rury, w której wciąż rozbrzmiewały odgłosy wściekłości żołnierza. - Nie ma obawy — powiedziała. - Nie precieśnie się lody, dopóki nie zrzuci z siebie pancerza.

- A to mu wiele czasu nie zajmie - powiedziała z naciskiem Regeane, odciągając małą od otworu.

Dziedziniec, na którym się znajdowały, otoczony był piętrowymi budynkami.

Wszystkie drzwi i okna były na głucho pozamykane i okratowane. Regeane nie widziała drogi ucieczki.

- Na górę! — odpowiedziała mała, pokazując na rząd kamiennych balkoników biegnących wokół dziedzińca na poziomie pierwszego piętra. Balkoniki były maleńkie i płytkie, ale nawet w tej nędznej dzielnicy na każdym stała co najmniej jedna donica z ziołami albo kwiatami. Na najbliższym znajdowało się ich więcej. Można się było za nimi przynajmniej ukryć.

Regeane porwała dziewczynkę na ręce, podsadziła do balustrady, a potem podciągnęła się na balkon sama. Obmacała palcami okiennice. Solidne deski. U dołu, pośrodku i u góry rygle. Tędy nie było ucieczki.

Żołnierz wyślizgnął się z rury.

Regeane i mała przykucnęły za donicami kwiatów, starając się skulić do jak najmniejszych rozmiarów. Żołnierz krążył pod nimi w kółko, rozglądając się po pustym dziedzińcu. Pancierz co prawda zrzucił, ale w ręku dzierżył wielki, złowroźnie wyglądający miecz. Regeane przypomniał się handlarz starzyzną. Zadrzała.

- Niedobrze - powiedziała cicho. — Znajdzie nas.

Poczuła na przedramieniu zaciskającą się mocno dłoń dziewczynki. Wyrwała rękę z jej uścisku i podniosła się na równe nogi. Żołnierz stał pod ich balkonem.

Chwyliła donicę z szarą szałwią wypuszczającą długie, obsypane niebieskimi kwiatkami wicie i spuściła ją na głowę mężczyzny. Trafiała, ale nic to nie dało. Był w hełmie.

Odwrócił się z wściekłym rykiem i podskoczył do balustrady balkonu. Podciągał się na jednej ręce, opędzając się od Regeane trzymanym w drugiej mieczem.

Regeane chwyciła za uszy wielki dzban z różami i sparowała nim kolejne cięcie. Mężczyzna uderzył o dzban nadgarstkiem i rękojeścią miecza. Wrzasnął znowu, tym razem z bólu, i chciał się już puścić balustrady.

Regeane była szybsza. Z całych sił wyrzuciła go dnem dzbana w czoło.

Mężczyzna odpał od balkonu, za nim poleciał dzban. Wylądowali z głośnym trzaskiem na kamiennych płytach, którymi był wyłożony dziedziniec. Żołnierz przekręcił się na brzuch i podźwignął na czworaki pośród rozsypanej ziemi i glinianych skorup.

- O Boże - szepnęła Regeane. - Nie.

- A właśnie że tak — powiedziała dziewczynka i zacisnęła usta w wąską linię. - Jest bardzo odporny. — Wybrała glinianą donicę z rumiankiem. Tym razem żołnierz padł i już się nie poruszył.

Regeane oparła się o balustradę i chwyciła spazmatycznie powietrze, dygocząc na całym ciele.

- Dlaczego chcieli cię zabić? - spytała dziewczynka. - Co im zrobiłaś?

Regeane pokręciła głową.

- Nic — odparła. Niczego z tego nie rozumiała.

Dziewczynka przyglądała jej się z wyraźnym niedowierzaniem.

- A więc mi nie powiesz - mruknęła z głęboką urazą.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - przyznała Regeane. - Naprawdę nie wiem.

- Może masz rację — orzekło po chwili zastanowienia dziecko. - Myślisz pewnie, że jestem słaba, bo rozplakałam się tam, na placu. — Spojrzała na Regeane z niemal dorosłą wojowniczością. - Ale ja nie jestem słaba. - Wlaza na balustradę, zeskoczyła na ziemię i zabrała leżącemu mężczyźnie nóż.

- Regeane spuściła się szybko z balkonu i podbiegła do niej.

- Mała przykucnęła przy żołnierzu i chwyciła go za włosy.

- Nie rób tego! - krzyknęła Regeane. - Tak nie można. To niebezpieczne.

Ty nie jesteś jeszcze wolna, a ja nie pochodzę z tego kraju. Mogliby nas surowo ukarać.

Mała spojrzała na Regeane z rozgoryczeniem.

- Szukasz wymówek. Ale mi się trafiła opiekunka! Nie ma nawet odwagi podeznać człowiekowi gardła. Lepiej byłoby mi samej.

Regeane przyznała w duchu, że z wielu powodów tak rzeczywiście byłoby lepiej, ale ani myślała pozwolić dziecku na podjęcie takiego ryzyka. Konsekwencje były nie do przyjęcia. Widziała, jak karze się niewolników.

Chwyciła dziewczynkę za rękę i odciągnęła od nieprzytomnego mężczyzny.

- Nie, nie podezrzniesz mu gardła. Chodź. Spróbujemy się wydostać...

Urwała, bo w miejsce niezadowolenia na twarzy dziewczynki pojawiło się przerażenie.

5

- Co się stało? - spytała Regeane.

Dziewczynka wsunęła rękę za dekolt. Miała coś na szyi - mały kamyczek na rzemyku. Ścisnęła go w garści, wyszeptała krótką modlitwę w swoim ojczystym języku i zaczęła się szybko cofać.

Regeane usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się błyskawicznie. Z jej krtani wydobył się cichy skowyt przerażenia.

Indywidualność zbliżało się do niej, utykając na jedną nogę i powłócząc drugą. Większą część jego ciała okrywała gruba czarna opończa z kapturem, ale i tego, co pozostawało na widoku, wystarczało, by wzbudzić grozę. Kikutami palców przytrzymywało sobie kaptur zebrany przed dolną połową twarzy.

Spomiędzy dyndających strzępów siniego, gnijącego ciała wystawały kości. Pod czarnym kapturem majaczył nos zżarty przez chorobę tak, że widać było wyraźnie przegrodę nosową. Wilczyca wyczuwała wokół zapach śmierci, jednak znad tego koszmarnego nosa spoglądało na Regeane dwoje żywych oczu. Oczy te były niemal piękne: wielkie, piwne, ocienione ciemnymi rzęsami.

- Mój ogródek - wyszeptało monstrum. - Zniszczyłyście mój ogródek.

Zatrzymało się i przykucnęło przy rozbitej donicy z rumiankiem. Pośród rozsypanej ziemi i skorup pyszniły się dumnie niebieskie kwiatki. Postać pogładziła delikatnie płatki sinym, kościstym palcem wskazującym.

- Mój ogródek - zakwiliła cicho do siebie - mój biedny mały ogródek. Był wszystkim, co mi pozostało.

- Przepraszam - wykrztusiła Regeane - ale ścigał nas żołnierz.

- Mimo to nie miałyście prawa niszczyć ogródka Antoniusza! — krzyknął ktoś oskarżycielsko.

Ze wszystkich stron małego placu otwierały się drzwi. W jednych stanęła młoda kobieta. Włosy miała długie, farbowane henną na kolor jasnoczerwony, z czarnymi odrostami. Może byłaby ładna, gdyby nie duża, ziejąca w policzku dziura, przez którą widać było jak na dłoni dwa rzędy zębów.

Czyjaś ręka uniosła kraj sukni Regeane. Ktoś zachichotał. Spojrzała w dół.

Osobnik kuśtykał na kikutach nóg. Rękę miał długą, małą. Twarz spłaszczoną, jakby zmiażdżyła ją gigantyczna maczuga. Z nosa ciekł mu śluz, a z uśmiechniętych szeroko ust, wypełnionych pieńkami pożółkłych zębów - ślina.

Regeane wydała z siebie stłumiony pisk obrzydzenia i cofnęła się.

Kaleka ruszył za nią, wyciągając rękę i nucąc:

- Ładna pani. Ładna pani.

Wpadła tyłem na innego, ale ten tylko patrzył na nią poważnie. Był to chłopiec o plecach tak zdeformowanych garbem, że mógł się poruszać jedynie na czworakach. Oczy miał jakieś nieobecne. Wywijając się z jego rąk, zdała sobie sprawę, że jest ślepy.

Byli wszędzie, otaczali ją ze wszystkich stron. W każdych drzwiach, na każdym balkonie stał jakiś człekokształtny koszmar. Niektórzy nosili ślady tortur i okaleczeń - obcięte nosy, oberżnięte uszy, wyłupione oczy, kikuty zamiast dłoni albo stóp. Czy byli żywi? A może uciekając, trafiła przez przypadek do dzielnicy zamieszkannej przez samych umarłych?

Poczuła, że ktoś dopada do niej z drugiej strony. Szarpnęła się gwałtownie, ale zaraz odetchnęła z ulgą. Była to kupiona na targu dziewczynka. Mała przywarła do niej kurczowo, kryjąc buzię w fałdach sukni. Regeane otoczyła ją ramieniem.

- Nie podobamy się jej! — krzyknęła czerwonowłosa kobieta i roześmiała się piskliwie. - A kto cię prosił, żebyś tu przychodziła ze swoim ładnym liczkiem i przypominała nam, co utraciliśmy! Wynoś się! - Podniosła z ziemi skorupę z rozbitej donicy i cisnęła nią w Regeane.

Gromadzili się wokół Regeane, otaczając ją kręgiem. Ich głosy zlewały się w kakofonię idiotycznego bełkotu i chichotania, przetykaną raz po raz bardziej zatrważającymi okrzykami nienawiści albo gniewu.

Regeane ogarnęła dziwna słabość. Wilczyca podjęła próbę przejęcia kontroli. Wyczuła niezdecydowaną gotowość do przemiany, zlewanie się świata realnego z dryfującymi widmami nocy.

- Wstyďte się. - Głos był chrapliwy i władczy. Należał do tego, którego Regeane ujrzała najpierw, tego, który lamentował nad swoim zniszczonym ogródkiem. Wspierając się na długim kosturze, wystąpił przed innymi. Mocniej zbierał teraz w gnijących palcach dolną część kaptura, zakrywając nią sobie zniszczoną twarz, i Regeane widziała tylko tych dwoje dziwnie pięknych oczu, które spozierały na nią z mrocznych głębi czarnej opończy. - Wstyďte się - powtórzył gniewnie.

Zatrzymał się przy Regeane i zatoczył kosturem szeroki krąg, odpędzając tych, którzy zanadto się zbliżyli.

- Ona przyszła z zewnątrz szukać u nas gościny i ochrony. — Zakapturzona

głowa obróciła się i spojrzała na żołnierza leżącego wciąż na kamiennych płytach dziedzińca. - Czymkolwiek jesteśmy - podjął - nie wolno nam zatracać wszystkich ludzkich uczuć ani człowieczeństwa. Czym się staniemy, jeśli do tego dojdzie?

Tłum ucichł. Łagodne upomnienie zakapturzonego zdawało się mieć dla nich ogromną wagę.

- Ty, Drusisie — zwrócił się do beznogiego mężczyzny, który próbował zadzierać Regeane suknię — idź i sprowadź tu mojego brata. Zmyj śluz z twarzy. Nie raz swym widokiem oczu szlachetnej damy.

Ku zdumieniu Regeane Drusis zmieszał się. Zwiesił głowę i odkuśtykał szybko.

Antoniusz zwrócił się teraz do Regeane. Spojrzały na nią czyste, spokojne oczy.

- Drusis poszedł po mego brata - powiedział - on cię stąd wyprowadzi. Wybacz maniery mych przyjaciół. Nieczęsto ktoś obcy zapuszcza się w obręb... domu umarłych.

Mała Saksonka oderwała twarz od sukni Regeane i spojrzała na zakapturzoną postać.

- To ty jesteś umarły? - zapytała z lękiem.

Oczy zakapturzonego przesunęły się z twarzy Regeane na dziecko.

- Jeszcze nie - powiedział ich właściciel - ale wkrótce będę. Jestem trędowaty.

Pod Regeane ugięły się kolana. Lecz nie ze strachu. Z ulgi. Rozwiała się obawa, że zbłądziła do dzielnicy zamieszkaanej przez owe ulotne mary, które objawiały się jej pod kościołami albo w pobliżu cmentarzy. W porównaniu z nimi ci nieszczęśni, zdeformowani banici wzbudzali nie tyle grozę, ile litość.

- Och - westchnęła - dzięki Bogu. Bałam się... bałam się, że jesteście... kimś innym.

Piwnie oczy spoczęły znowu na jej twarzy i jeśli się nie myliła, pojawiło się w nich pytanie.

- Wzięłam was za duchy - wyjaśniła.

- Możesz być spokojna - odparł. - Jeszcze nimi nie jesteśmy, choć to tylko kwestia czasu. Często widzisz zjawy?

- Tak - przyznała z ociąganiem Regeane, ale zaraz się poprawiła. - No, nie tak często. Jakies dwa, trzy razy do roku, ale kiedy to się zdarza...

Tłum kalek zafalował. Przepychał się przez niego jakiś mężczyzna.

- Co, u licha... - zaczął, lecz na widok Regeane urwał zdumiony.
- Stefanie, bracie mój - powiedział zakapturzony trędowaty - ta dama i jej... - tu gestem ręki wskazał na dziewczynkę - ...mała przyjaciółka trafiły do nas, uciekając przed tym tam. - Wskazał na żołnierza, który leżał wciąż nieprzytomny pośród rozsypanej ziemi i glinianych skorup. - Odprowadź ją, z. laski swojej, w bezpieczne miejsce.

Stefan był wysokim mężczyzną o szczupłej twarzy, z szopą siwych włosów i równie siwą, starannie przyciętą, kędzierzawą brodą. Odziany był zwyczajnie, jak wieśniacy, których Regeane widywała co dzień pędzących swoje bydło i owce na targ - w prostą brązową tunikę z wełny i w sandały. Opończę, noszoną przez większość wolno urodzonych mężczyzn, zastępowało tradycyjne wierzchnie okrycie ludzi żyjących z roli - prostokątna płachta materiału z wyciętym na głowę otworem, ściągnięta w talii pasem. Jednak przy tej prostocie stroju było w nim, w jego postawie, w układzie ust pod zdecydowanie zarysowanym nosem, coś władczego, coś, co zdradzało człowieka nawykłego do wydawania rozkazów i wymagania, by były wykonywane.

- Krysta! - zwrócił się Stefan do kobiety z dziurą w policzku. - Czyj to człowiek?

Kobieta podeszła do żołnierza i przyjrzała mu się z bliska.

- To jeden z siepaczy Bazyla Lombardczyka. Nie potrafię wymienić imienia, ale jego panem jest na pewno Bazyl.

- Bazyl, powiadasz? - Między brwiami Stefana pojawiła się mała, pionowa bruzda. - Co on tu robi? - Wskazał na dwóch mężczyzn, z których jeden miał żelazne haki zamiast dłoni, a drugiemu brakowało nosa, uszu i części skalpu. Wy, Sykstusie i Numerusie, zabierzcie stąd tego śmiecia i gdzieś podrzućcie. Lepiej, żeby się tu nie ocknął. - Teraz Stefan zwrócił się do Regeane. - A ty, pani, chodź ze mną — powiedział.

- Odprowadzę cię - zaproponował nieśmiało Antoniusz, spoglądając na Regeane. - Chyba że źle się czujesz w mojej obecności.

- Ależ skąd - Regeane pokręciła energicznie głową. Była mu niezmiernie wdzięczna za wybawienie z opresji.

I naraz przypomniła sobie o kilku miedziakach, które zostały jej w sakiewce. Wygrzebała je pośpiesznie i podała na otwartej dłoni Antoniuszowi.

- Weź to, proszę - powiedziała. - To za twój ogródek, za twoje kwiaty. Przepraszam, że potłukłyśmy ci donice, ale zobaczysz, że kwiaty szybko odrosną.

Antoniusz nie poruszył się ani nie wyciągnął ręki po pieniądze. Zamiast tego zwrócił wzrok na swojego brata, Stefana.

- Wdowi grosz - mruknął. - Mam dobrą opiekę – powiedział do Regeane.
- Brat zaspokaja wszelkie moje potrzeby. Ja, ze swej strony, przepraszam cię, że strata paru donic wywołała u mnie tak dziecinną reakcję.

Regeane, spoglądając na Stefana, stwierdziła, że jego surowa twarz złagodniała i stała się życzliwa.

Zerknęła niespokojnie na żołnierza. Wyznaczeni przez Stefana ludzie wlekli go po ziemi za nogi. Dostyc obcesowe traktowanie - pomyślała. Potłuczona głowa mężczyzny podskakiwała na kamieniach.

- Czy grozi mi, że zostanę wezwana przed magistrat i oskarżona... o siebie się nie obawiam, ale to dziecko... ona... ona nie jest jeszcze osobą wolną.

- Nie - oznajmił stanowczo Stefan. - On w ogóle nie ma prawa tu przebywać. Gdybym nie był sługą Chrystusa, kazałbym go stracić na miejscu. Papież Hadrian nakazał stronnictwu Lombardczyków opuścić Rzym i...

- Wygląda na to - wpadł mu w słowo Antoniusz — że kontrolowanie ich poczynań nie jest takie proste, jak się Hadrianowi wydawało. - Zachichotał.

- Nie jest - przyznał z rozdrażnieniem Stefan. - Ale wierzę, że Hadrian, kiedy tylko zda sobie sprawę z wagi problemu, podejmie stosowne środki.

- Na to nie licz - odparł Antoniusz, poważniejąc. — Rzymskie rody nadal nie są zdecydowane, po czyjej stronie się opowiedzieć, i grają na dwa fronty. Kler prawdopodobnie też. Wierz mi, bracie, i zachowaj ostrożność - ostrzegł.

- Co to znaczy „grać na dwa fronty”? - spytała dziewczynka.

Regeane, która sama tego nie wiedziała, ofuknęła dziewczynkę za zadawanie tylu pytań. Mała zacisnęła usta i spojrzała buntowniczo na Regeane.

- Przecież zadałam tylko jedno - odparowała. - Mój ojciec mówi, że aby się czegokolwiek dowiedzieć, trzeba pytać.

- Ona ma rację - wtrącił Antoniusz. - Pytać trzeba, bez względu na to, czy uzyska się odpowiedź, czy nie. W tym przypadku „gra na dwa fronty” odnosi się do poprzedniego papieża, który był zdominowany przez działającą w Rzymie partię lombardzką. Obecny papież Hadrian zadeklarował swoją niezależność od króla

Longobardów Dezyderiusza i wygnał z miasta jego człowieka Pawła Afarthę^{*}. Bazyl był kapitanem Pawła Afarthę. Wiele z tych nieszczęsnych wraków ludzkich, które tu widzisz, doświadczonych zostało przez naturę, ale są wśród nich i tacy, którzy ucierpieli z rąk Pawła i Bazyla. Ich grzechem była przynależność do niewłaściwej partii. Rzymianie nadal nie są przekonani, czy polityka Hadriana odniesie sukces. Innymi słowy: obawiają się, że obecny papież również zostanie zdominowany przez Lombardczyków. Starają się więc być bardzo ostrożni i nikomu się nie narazić. To właśnie nazywa się grą na dwa fronty.

- Ale co to ma wspólnego ze mną? - spytała strapiona Regeane.

- Bracie - szepnął Antoniusz. - Gdybyśmy tak weszli do środka i usiedli, byłbym ci głęboko zobowiązany. Źle ostatnio znoszę zarówno upał, jak i ziąb. Męczy mnie nawet pokonanie paru stopni schodów. — Powiedział to rzeczowym tonem, w którym nie było śladu skargi, czy też uzalania się nad sobą.

- Przepraszam - zreflektował się Stefan. — Zapomniałem o swoich obowiązkach gospodarza.

Regeane nigdy by się nie zniżyła do żebrania, ale wiedziała, że dziewczynka musi być głodna. Wyglądała tak, jakby handlarz niewolników głodził ją celowo, by złamać jej niezależnego ducha.

- Przepraszam, panie, czy nie znalazłoby się coś do jedzenia dla tego dziecka?

- Myślę, że znajdzie się coś dla was obu. - powiedział Stefan. - Tędy, proszę.

Ruszył przez dziedziniec przodem, Antoniusz kuśtykał za nimi.

Weszli do małego kościółka, raczej skromnego, jak większość rzymskich kaplic służących biedocie.

Przez wąskie okna w gołych, pobielonych wapnem stiukowych ścianach wlewały się do wnętrza długie smugi światła. Jedyłą ozdobę stanowił fresk otaczający ołtarz w formie stołu z gołym marmurowym blatem, nad którym rozpościerał się baldachim.

Malowidło przedstawiało łąkę o świcie. Wśród zielonej trawy skrzyły się wiosenne kwiaty. Rubinowe czarki maku, dzwonki, delikatne fiołki, dzika bazylija, a

^{*} *W tym czasie Lombardia została opanowana przez germańskie plemię Longobardów. (przyp. red.).*

nad tym wszystkim jarzący się ametyst i złoto, pierwsze magiczne odcienie brzasku.

Scena ta, oświetlona przez promienie słońca wpadające przez otwór w kopule nad ołtarzem, wypełniała mały kościółek wonią wiosennego poranka i atmosferą wolności szerokich przestrzeni pod otwartym niebem.

- To świt - powiedziała Regeane.

- Nie - odparł idący za nią Antoniusz. — To zachód słońca. Wiem, bo ja to malowałem. Zachód łatwo pomylić ze świtem. Światło jest niemal takie samo.

- Jak to cudownie mieć talent do tworzenia czegoś tak pięknego! - zachwyciła się dziewczynka.

- Cicho - syknęła Regeane, przypominając sobie stan rąk Antoniusza, te białe kikuty kości sterczące z gnijącego ciała.

- Nic nie szkodzi — powiedział Antoniusz. - Ona nie rozumie.

Regeane szła przez kościół, prowadząc małą za rękę. Słowa Antoniusza sprawiły, że dziewczynka zatrzymała się jak wryta.

- Czego nie rozumiem? Jeśli czegoś nie rozumiem, to wyjaśnijcie mi to tak, żebym zrozumiała. - Na jej buzi malował się upór, wysunęła dolna wargę.

- Chodź - mruknęła z zakłopotaniem Regeane. -I przestań nudzić.

Sprawdziwszy siłę Regeane, mała zdecydowała, że lepiej iść z godnością niż być wleczoną.

- A więc to jedna z tych spraw, na zrozumienie których przyjdzie mi poczekać do czasu, kiedy będę starsza. Wszyscy wciąż mi to powtarzają! A ja pojęłabym to i teraz, gdyby tylko zechcieli mi wyjaśnić!

Regeane usłyszała za plecami chichot, który świadczył chyba, że Antoniusz nie poczuł się urażony.

- To nie może być twoja córka - powiedział. - Jesteś za młoda.

- Oczywiście, że nie jestem jej córką - obruszyła się dziewczynka. — Jestem Saksonką, a ona Frankonką. Nie widzisz różnicy?

- Kimkolwiek jesteś - odezwał się Stefan - niesforne z ciebie dziecko.

Mijali już ołtarz. Stefan pchnął drzwi w ścianie i przepuścił Regeane przodem. Przeszła próg i znalazła się w izbie stanowiącej przypuszczalnie jego kwaterę mieszkalną.

Dopiero teraz uświadomiła sobie swój opłakany stan. Opończa została na placu targowym. Wzdrygnęła się na wspomnienie wykrwawiającego się na niej na śmierć handlarza starzyzną. I tak już by jej nie założyła. Zniszczony szal

wykorzystała w charakterze szmaty do mycia. Pogubiła buty - jeden ściągnął jej żołnierz, drugi spadł z nogi, kiedy wspinała się na balkon. Spuściła wzrok i poruszyła dużymi palcami u nóg. Sukienka, którą na sobie miała, nie dość że była znoszona, to jeszcze zachlapana ulicznymi nieczystościami i powalana mazią oblepiającą ścianki tunelu. Włosy zwisały jej w strąkach, pozlepiane potem i brudem.

W izbie panował nieskazitelny ład i porządek, i pomimo skromnego umeblowania można w niej było śmiało przyjmować gości z podmiejskich patrycjuszowskich willi.

W alkowie stało łóże z zasłonami. Jak większość frankońskich łóżek była to zwyczajna drewniana skrzynia służąca jednocześnie za pojemnik na pierzynę i kołdrę. Ale kapa miała połysk jedwabiu, a obramowujący ją prosty wzór wyszyty był złotą nicią. Płócienne prześcieradła i zasłony były śnieżnobiałe i obwiedzione takim samym prostym wzorem jak narzuta, lecz wyszytym zwykłą nicią.

Przez całą długość izby ciągnął się stół. Na pierwszy rzut oka wydał się Regeane bardzo stary, ale gdy przyjrzała mu się lepiej, doszła do wniosku, że kiedyś musiał zdobić jakiś pałac. Był dębowy, twardy jak żelazo, z połyskiem, blat miał inkrustowany kością słoniową w zwijające się liście rożdżeńca.

Takiej samej przedniej jakości były stojące przy nim ławy, ozdobione tym samym motywem.

U szczytu stołu, przy kominku wbudowanym w kamienną ścianę, stało rzeźbione krzesło z wysokim oparciem, a przed nim pulpit do czytania. Na tym ostatnim leżała wielka otwarta księga. Oko Regeane wychwyciło na pergaminie błysk jasnego złota i niebieskiej iluminacji.

Jeden ze znajdujących się w pokoju sprzętów wyróżniał się spośród innych, a to dlatego, że nie przystawał jakością do reszty. Była to prosta drewniana ławeczka wyścielona słomą, stojąca u przeciwnego, niż rzeźbione krzesło, końca stołu.

Antoniusz wszedł do izby za Regeane i pokuśtykał prosto do niej.

- To moje miejsce — wyjaśnił — żebym miał gdzie siedzieć, kiedy... - Urwał na gorzką sekundę, gorzką, bo Regeane domyśliła się, czego nie dopowiedział. - Kiedy nie będzie mi już potrzebna, pójdzie do spalenia.

Poruszał się z trudnością, jakby sprawiało mu to ból. Regeane wyczuwała, że chwila spalenia ławeczki jest już bliska.

Jego łacina była czysta i piękna, bliższa języka cesarów niż niechlujnego dialektu rozbrzmiewającego na ulicach Rzymu. Czysta, precyzyjna, wymawiana z

akcentem człowieka dobrze urodzonego i dobrze wykształconego, a przy tym dziwnie bełkotliwie. Regeane wołała nie myśleć, w jakim stanie znajdują się usta, z których płyną te słowa.

Antoniusz głos miał młody, ale ruchy powolne, nacechowane cierpieniem i niezdarne, jakby dla ich wykonania mobilizować musiał całą siłę woli. Oczy brata śledziły go z miłością i pełnym rezygnacji smutkiem zarazem. Wyrażały dobitniej niż jakiegokolwiek słowa nieuchronność losu Antoniusza.

Regeane i dziewczynka stały niezdecydowanie w progu.

Antoniusz zatrzymał się przy swojej ławeczce.

- Wchodźcie, proszę. Zarazy możecie się nie obawiać. Przebywając w tej izbie, siaduję tylko na swojej ławeczce i nie dotykam niczego, co należy do mojego brata. On, chociaż opiekuje się mną i innymi takimi jak ja nieszczęśnikami, którzy znaleźli tu schronienie, nie jest i nigdy nie był zarażony.

- Och, nie! - krzyknęła Regeane. - Nie w tym rzecz. - Spuściła wzrok na swoją obszarpaną suknię i skołtunione włosy małej. — Tylko nasz stan...

- Jesteśmy brudne - oznajmiła rzeczowo dziewczynka - i przepraszamy, ale nie miałyśmy czasu się ogarnąć. Uciekałyśmy przed śmiercią. Handlarz niewolników, u którego byłam, nie pozwalał mi się myć. Więził mnie w łańcuchach. Bał się, że mu ucieknę. To był zły człowiek, ale nie mylił się. Uciekłabym, gdyby tylko nadarzyła się okazja, I - tu, z wyzwaniem w ciemnoniebieskich oczach, spojrzała na Stefana - nie jestem niesforna. Ojciec zawsze nazywał mnie dobrym, posłusznym dzieckiem. I taka właśnie jestem.

Antoniusz znowu zachichotał. Jego śmiech tłumiała gruba opończa.

Stefan powściągnął uśmiech i zaprowadził je do malej umywalni, gdzie Regeane i mała, najlepiej jak potrafiły, naprawiły szkody powstałe podczas ucieczki. Z czystymi dłońmi i twarzami wróciły do głównej izby.

Stefan postawił przed nimi wino, chleb i żółty ser, sam zaś, tylko z czarką rozcieńczonego wodą wina, usiadł u szczytu stołu na swoim wielkim krześle.

Widok i zapach jadła uświadomił Regeane, jak bardzo jest głodna. Robiła, co mogła, żeby nie rzucić się; na nie zachłannie. Stefan zaczekał, aż zaspokoi pierwszy głód, i dopiero kiedy odprężona sięgnęła po wino, zaczął ją wypytywać.

- Powiedz mi teraz: dlaczego ścigał cię; Bazyl Lombardczyk? - poprosił.

- Mnie nie chciała tego zdradzić - poinformowała go dziewczynka. - Może tobie powie.

Regeane poczuła przyływ irytacji.

- Rozumiem twój sceptycyzm, ale nie przesadzaj z nim. W zasadzie jestem prawdomówna. Obie wiemy, po czym poznać kłamcę.

Dziewczynka posłała jej spojrzenie.

- Przepraszam - powiedziała sztywno, pociągnęła nosem i zabrała się znowu do jedzenia.

- Bracie - odezwał się Antoniusz. - Wydaje mi się, że rzecz sprowadza się tu zwyczajnie do jej pięknej twarzy. Bazyl upatrywał ją sobie i...

- Nie — przerwała mu Regeane. - On chciał mnie zabić, jego najemnik natarł na mnie z mieczem w ręku i próbował usieć.

- Jak zdołałaś mu się wymknąć? - spytał Antoniusz.

- To było coś cudownego - wtrąciła się dziewczynka. - Chwyliła konia za wędzidło i obaliła na ziemię razem z jeźdźcem. Słyszałam o tym bojowym chwycie - ciągnęła z entuzjazmem — słyszałam, jak o podobnych wyczynach opowiadali ludzie mojego ojca, ale na własne oczy jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

- Kim jesteś? - spytał Stefan. - Mała powiedziała, żeś Frankonka. Jak się nazywasz?

Regeane spojrzała na niego.

- Regeane, córka Gizeli i... — Zawahała się, a potem dokończyła z dumą: - I Wolfstana.

- Gizeli od Pepina? — zapytał.

- Tak - odparła Regeane.

- Słyszałem, żeś zaręczona z barbarzyńcą Maenielem. Nic dziwnego, że Bazyl chciał cię zabić. - Stefan wyprostował się na swym krześle. Nie krył wzburzenia. - Do czego to podobne, żeby dama twojego stanu przechadzała się bez eskorty po ulicach Rzymu, mało tego, po złodziejskim targu!

- Chciałam sobie kupić suknię - wykrztusiła Regeane. - Bo my... my jesteśmy bardzo biedni i... A więc on się nazywa Maeniel. Gundabald nie wyjawiał mi jego imienia. Powiedział tylko, że to jakiś pan z gór.

- Tak — odparł Stefan. - Trochę tajemniczy osobnik z tego Maeniela, ale rzeczywiście siedzi na zamku panującym nad alpejską przełęczą.

- Bardzo ważna placówka - dodał Antoniusz. - Król Franków wyszukał ci dobrą partię.

- Czegoś tu nie rozumiem — przyznała Regeane. - Co Bazyl ma z tym

wspólnego?

Stefan odsunął się wraz z krzesłem od stołu.

- Takimi rzeczami nie musisz zaprzętać sobie głowy, dziewczyno. Powiedz mi, gdzie kwateruje twój wuj. Moi ludzie odprowadzą cię bezpiecznie do domu. Nie ruszaj się za próg, dopóki nie szepnę paru słów na ucho kilku moim przyjaciółom i nie dopilnuję, żeby tego Bazyla przepędzono z miasta.

- O nie! - krzyknęła Regeane, zrywając się z ławy tak gwałtownie, że o mało jej nie przewróciła. - Nie wrócę do domu. Co zaś do Maeniela, to niech sobie szuka innej kandydatki na żonę. Poznałam dzisiaj na placu kobietę imieniem Lucilla. Ona...

- Co ja słyszę! - krzyknął Stefan, waląc pięścią w stół. - Lucilla! Takaś głupia, taka naiwna, że nic wiesz, czego chce od ciebie Lucilla?!

Regeane spojrzała mu w oczy, zadzierając wyzywająco brodę. Namacała rączkę dziewczynki, ścisnęła ją i powiedziała z godnością:

- Nie jestem ani głupia, ani naiwna. Bardzo dobrze wiem, czego chce ode mnie Lucilla, ale lepsze już to niż zostać sprzedaną mężczyźnie, który będzie mnie nienawidził. Żyć w ciągłym strachu, bać się jeść i pić...

Stefan patrzył na nią ze zdumieniem.

- Co ty za bzdury wygadujesz? Kto ci nabił głowę takimi bredniami? Jak możesz wzgardzać zacnym narzeczonym i wiązać się z kurtyzaną pokroju Lucilli?

- Regeane - odezwał się Antoniusz, unosząc się ze swojej ławeczki. - Przestań krzyżeć i siadaj. Nikt tu do niczego nie będzie cię zmuszał.

Regeane zwróciła się w jego stronę. Nadal zasłaniał sobie twarz opończą, ale widoczne pod kapturem czarne oczy spozierały na nią spokojnie i wyrozumiale.

- Powiem ci - podjął Antoniusz, zwracając się do brata – że moim zdaniem jej lęk przed tym związkiem ma swoje podstawy. Weź przypadek córki Dezyderiusza. Jej małżeństwo również zapowiadało się wspaniale, miało jakoby zapewnić pokój i przyjaźń między dwoma wielkimi królestwami. Co z tego wynikło? Dziewczynę odesłano do domu, przegnano ją w niesławie z mężowskiego łoża ze zniszczoną na zawsze reputacją. A była wszak córką króla Lombardii. Są inne jeżące włos na głowie przykłady. Czasami kobiety kończą jeszcze gorzej. Regeane nie jest dzieckiem. Dziecku nie udałoby się wymknąć Bazylowi i...

Saksońska dziewczynka prychnęła dumnie.

- Ona obaliła go na ziemię. Koń wierzgał jak oszalały. Jeździec

wrzeszczał i kłął. Wszyscy zaczęli się bić. A ja skorzystałam z tego, przemknęłam na czworakach między nogami ludzi i uciekłam.

Stefan odchylił się na oparcie krzesła i przyłożył dłoń do czoła, zakrywając nią sobie twarz, ale Regeane zdążyła zauważyć, że się uśmiecha.

- No dobrze - powiedział Stefan, opuszczając rękę na stół i spoglądając znowu na Regeane. - Mój brat mająk zwykle rację. Niemal zawsze sprowadza mnie z powrotem na ścieżkę mądrości, ilekroć z niej zбочę. Te sprawy trzeba rozważać na chłodno, racjonalnie, siadaj więc. Nikt do niczego nie będzie cię zmuszał.

Regeane usiadła. Kolana nadal jej drżały.

Stefan pochylił się ku niej i złączył czubki palców.

- Co wiesz o polityce, dziewczyno?

Regeane pokręciła głową.

- Prawie nic.

- To dobrze - powiedział. - Nie będzie trzeba wybijać ci z głowy żadnych niemądrych poglądów. Słuchaj więc, jak się sprawy mają. Na Rzym, niegdyś dumną stolicę świata, przyszły złe czasy.

- Zauważyłam — bąknęła Regeane.

- Tak myślę — powiedział Stefan, unosząc ciemne brwi. — Do tego nie trzeba geniusza. Miasto jest w dwóch trzecich zrujnowane, mieszkańcy zmagają się z biedą i nieregularnymi dostawami żywności. Wspaniałe akwedukty, zbudowane przez moich przodków, zamknięto. Suche są nawet fontanny, które niegdyś tryskały czystą wodą. Jesteśmy niemal bezsilni. Wzięci w dwa ognie pomiędzy dwie potęgi — księstwo Spoleto i królestwo Longobardów. Jedni i drudzy, dodam, zmiotliby nas najchętniej z powierzchni ziemi, usiedli na rumowisku i dłubali w zębach naszymi kośćmi. Co ich przed tym powstrzymuje, dziewczyno?

Regeane spojrzała ze zdziwieniem na inteligentną, zastygłą w wyczekiwaniu twarz Stefana. Nie zwykła rozmawiać w ten sposób z kimś obytym i znacznym.

- Szacunek dla Świętego Kościoła — zaryzykowała.

Stefan parsknął pustym śmiechem.

- Nie, moja droga. Strach przed Frankami.

Regeane zrobiła wielkie oczy.

- Jak przed napaścią na was mogą ich powstrzymywać Frankowie? Przecież są daleko stąd.

- Ale to potęga — powiedział Stefan - której lękają się zarówno

Dezyderiusz, jak i księżę Spoleto. A utrzymanie kontroli nad alpejskimi przełęczami leży w najlepszym interesie króla Franków. Jeśli ją utraci, może się pewnego pięknego wiosennego poranka obudzić z longobardzką armią na karku. Rozumiesz więc, dlaczego Dezyderiusz chciałby zapobiec małżeństwu między kobietą z królewskiego rodu i górskim panem Maeniele. Bazyl jest zaufanym sługą i przyjacielem Dezyderiusza, króla Longobardów.

- Nadal nie rozumiem, czemu akurat ja - przyznała Regeane. — Czy król nie mógłby po prostu podsunąć temu Maenielowi innej kandydatki na żonę?

- Owszem - powiedział Stefan — ale są to sprawy delikatne, a tymczasem Dezyderiusz, widząc, że ten Maeniel pozostaje niezależny, mógłby ze swej strony podjąć kroki zmierzające do podporządkowania go królestwu Longobardii. Poza tym z pewnych względów nadajesz się idealnie do celów, jakie wytyczył sobie Karol.

Regeane spuściła wzrok na trzymaną w ręce kromkę chleba i jęła go kruszyć w palcach.

- Pewnie dlatego, że moja rodzina jest uboga i nie mam żadnych dumnych krewnych, którzy sprzeciwiliby się takiemu związkowi. Nie jestem też żadną wielką pięknosci; zatem...

- Wręcz przeciwnie - wpadł jej w słowo Stefan - mówiąc, że jesteś ideałem, miałem na myśli twą młodość i urodę.

- Mój wuj Gundabald mówi o mnie, że jestem „blada jak duch” i „płaska jak deska”.

- Doprawdy? - Oczy Stefana stwardniały. Zaciśnął mocno usta. - Mówi takie rzeczy pannie, która wkrótce ma wyjść za mąż?

Regeane podniosła na niego wzrok. Wystraszył ją ton, jakim to powiedział. Ten człowiek ma władzę - pomyślała. Nie wiedziała, jaką ani ile jej ma, ale w wyrazie jego twarzy dostrzegła absolutną pewność siebie władcy.

- On chce... - Urwała, uświadamiając sobie, że nie ma odwagi wyjawić tym ludziom planów Gundabalda. - ...Żeby mi pomogła... Oczekuje od tego pana dowodów wdzięczności za małżeństwo ze mną...

Stefan przymrużył oczy.

- Nie poznałem jeszcze tego Gundabalda, a już coraz mniej go lubię.

- Cóż za okrutna obelga - odezwał się cicho Antoniusz - a do tego bezpodstawna.

Regeane przeniosła na niego wzrok i napotkała spojrzenie jego pięknych oczu. Tlił się w nich cień niemal zapomnianego głodu.

- Nie masz co prawda biustu matrony, jesteś jednak gibką dziewczyną, do tego obdarzoną gracją. Rozsiewasz wokół siebie atmosferę wiosny. Jesteś pączkiem o aksamitnych płatkach, które dopiero się rozwiną, nie tkniętym jeszcze przez słońce miłości.

Komplement ten wypowiedziany został tak pięknie, z takim uczuciem, że Regeane bezwiednie poderwała dłonie do policzków.

- Innymi słowy - podjął Stefan - masz w sobie mnóstwo walorów, które powinny podbić serce twojego męża, między innymi urodę, młodość, oraz wnosisz w to małżeństwo potencjał, który pozwoli mu scementować związek z dworem królewskim i usankcjonować w ten sposób swoją pozycję.

- Do tego - dodał cicho Antoniusz — nie jesteś wcale tak pozbawiona opieki, jak ci się może wydawać.

- Jak to? - spytała Regeane.

- Karol jest bardzo potężnym królem. Gdyby doszło do jego uszu, że jesteś przez męża źle traktowana, mógłby uznać takie zachowanie za osobisty afront. A Karol, moja droga, nie należy do ludzi, którzy puszczejają zniewagi płazem.

Regeane pokręciła głową.

- Ale Karol mnie nie zna, a poza tym - Gundabald tak mi powiedział - mój przyszły mąż ma prawdopodobnie moralność szakala i prawdopodobnie żyje już z inną kobietą, którą przedkłada nade mnie. I zostanę otruta... — Regeane z przerażeniem poczuła, że do oczu napływają jej łzy. - Przepraszam, ale czy wy tego nie rozumiecie? Nie mogę żyć samymi owocami i źródlaną wodą...

- Przestań pleść bzdury - przerwała jej dziewczynka. — Robisz z siebie głupią gęś i wychodzisz w oczach tych ludzi na tchórza, podczas gdy w rzeczywistości jesteś tak samo nieustraszona jak ja. Zresztą nie możesz wyjść za mąż.

Antoniusz przekrzywił głowę.

- A to dlaczego?

- Ona nie ma piersi, a kobieta bez piersi nie wyjdzie za mąż, bo który mężczyzna na nią poleci?

- Co takiego?! - krzyknęła Regeane, zapominając w jednej chwili o swoim rozżaleniu.

Stefan odwrócił głowę., a Antoniusz naciągnął sobie kaptur na oczy.

- Coś się tak uwzięła, żeby wprawiać mnie na każdym kroku w zakłopotanie? - spytała rozsierdzona Regeane. - Jak śmiesz, ty...

- Zaczekaj! - wpadł jej w słowo Stefan. - Nie złość się. To jeszcze dziecko i mówi, co jej ślina na język przyniesie. Rozumiemy to. - Uśmiechnął się przewrotnie. — A swoją drogą, chętnie zbadałbym bliżej kwestię tych piersi.

- Bracie... - mruknął ostrzegawczo Antoniusz, który zdążył się już opanować.

Regeane spuściła wzrok.

- Raz odwiedziła nas moja kuzynka Matylda - zaczęła z ożywieniem dziewczynka, zwracając się do Stefana. - Miała wyjść niedługo za męża. Ciotka ustawiła nas obok siebie i okazało się, że ja jestem wyższa.

- Mmmm - mruknął Stefan. - No i co?

- Ano powiedzieli, iż to wstyd, że jestem laka duża i płaska i że biegam i bawię się z chłopcami, i że jak nic przestanę wkrótce rosnać i nie dostanę piersi, to nigdy nie wyjdę za męża. — Mała urwała i wzięła głęboki oddech. — Spytałam, po co mi piersi, a oni powiedzieli, że bez nich nie znajdę męża. Odparowałam im, że wcale mi na tym nie zależy, ale potem, kiedy zostałam sama, płakałam. Ale ojciec powiedział, że to za wcześnie, żebym się martwiła o piersi, że one nie są wcale ważne. Najważniejsze jest to, by być prawdomównym.

- Tak - odezwał się Antoniusz. - Ale dopuszcza się małe kłamstwa podyktowane taktem, prawda?

- Na przykład powiedzieć komuś, że jest ładny, choć wcale ładny nie jest, żeby nie sprawiać mu przykrości.

Antoniusz kiwnął głową.

- I ojciec powiedział mi jeszcze, że nie należy szastać obietnicami, ale kiedy już raz da się komuś słowo, to trzeba go dotrzymywać na dobre i złe.

- To prawda - przyznał Stefan.

- I - dziewczynka westchnęła — że trzeba być nieustraszonym w walce. Ona taka jest - mała pokazała na Regeane. - I ja też - dokończyła z dumą. - Ale wiecie, wciąż nie rozumiem, jak to jest z tymi piersiami.

- Ich o to nie pytaj - poradziła jej kwaśno Regeane. — Wyjaśnię ci, kiedy będziemy same. -I zwracając się do Stefana, ciągnęła: - Jest jeszcze niewinna. Nie mogę zabrać jej do domu. Ugryzła Hugo, a on uderzył ją w twarz. Bóg jeden wie, co

by jej zrobił. Nie miałby dla niego żadnego znaczenia fakt, że jest jeszcze dzieckiem.

- Niedobrze - westchnął Antoniusz. - Czy dostrzegasz, Stefanie, ile tu się nawarstwiło niegodziwości? Krewni terroryzują tę dziewczynę. I chyba rozumiesz, Regeane, dlaczego tak się dzieje?

- Tak - odparła z goryczą Regeane. — Są bardzo ubodzy i chcą, żebym im pomogła wydobyć pieniądze od mojego męża.

Stefan pokiwał głową.

- A co zrobią z tymi pieniędzmi, jeśli je dostaną?

Regeane wzruszyła ramionami.

- To, co robią teraz — przepuszczają na pijaństwa i na łajdaczenie się po wszystkich gospodach i domach uciech w Rzymie. Już chępią się, że na sam dźwięk imienia mojego przyszłego męża otwierają się mieszki lichwiarzy.

Regeane przygryzła wargę. Ubiegłej nocy podjęła decyzję. Obawiała się, że ten Stefan, kimkolwiek był, może kazać odprowadzić ją do domu siłą. Gdyby tak się stało, a ona powiedziała im teraz zbyt wiele, mogliby doradzić Gundabaldowi podjęcie stosownych środków w celu uniemożliwienia jej ucieczki. Jednak bardziej niż o siebie lękała się o dziecko. Jedna noc spędzona z Hugo, i dziewczynka obudziłaby się o wiele mniej przekonana do dobroci tego świata, niż była teraz. O jej bezpieczeństwo zadbać musi przede wszystkim.

- Umieście, proszę, to dziecko w saskiej kolonii w Rzymie - podjęła - a wrócę posłusznie do wuja, jeśli sobie tego życycie.

- Nie - odparł zdecydowanie Antoniusz. - Nie. Spójrz, bracie, na tę damę. Przyszła tu głodna, a suknia, którą ma na sobie, nie przystoi najniższej służce szacownego domu, a co dopiero damie tego stanu! I, Regeane, cokolwiek zadecyduje w twojej sprawie mój brat, dziecko może pozostać wśród nas. Nie wszyscy tutaj są dotknięci chorobą. Wielu z nas to ofiary okrucieństwa Pawła Afarthy. Ta kobieta, Krysta, ma ostry język, ale gołębie serce. Zajmie się dziewczynką.

Na Regeane spłynęła fala ulgi. Była pewna - i o dziwo, wilczyca również - że pod opieką Antoniusza mała będzie bezpieczna nawet tutaj.

- No, ja nie wiem - powiedział powoli Stefan. — Mężczyźni z jej rodziny są jej prawnymi i zwyczajowymi strażnikami.

Westchnienie, które wydał Antoniusz, wyduło zasłonę zakrywającą mu usta.

- Przez całe życie najdroższy był mi widok twojej i jeszcze czyjejś twarzy. Kiedy odejdę do królestwa cieni, prosić będę bogów, żeby zostawili mi pamięć tylko o

was dwojgu. Ale bywają, bracie, chwile, kiedy dyskutując z tobą, odnoszę wrażenie, że rozmawiam z gadającą księgą prawniczą. Jeśli ten górski pan zjedzie do Rzymu i zostanie swoją narzeczoną w tak opłakanym stanie, to więcej niż pewne, iż pomyśli sobie, że popadła w niełaskę u swojego królewskiego krewniaka i to małżeństwo nie jest pomyślane jako zaszczyt, lecz jako okrutny żart. Może nią wzgardzić i zwrócić się ku Lombardczykom. Błagam cię, bracie, niech skrupuły nie przyćmiewają ci zdrowego rozsądku. Odeślij tę dziewczynę do Lucilli.

Stefan popatrzył przeciągle na Antoniusza.

- Lucilla jest moją starą przyjaciółką. Zrobi, o co ją poproszę.

Regeane przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

- Nie rozumiem was. Przed chwilą mówiliście o Lucilli tak, jakby była kobietą... ulicy; a jej dom - domem... o złej reputacji.

Stefan pomachał ręką w geście zaprzeczenia.

- Nie. Bynajmniej. Podopieczne Lucilli nie są ulicznicami i nigdy się nimi nie staną. Zazwyczaj przychodzą do niej dziewczycami, a ona, po stosownym przeszkoleniu, przekazuje je dyskretnie w ramiona tego czy innego protektora, pod opieką którego pozostają często przez wiele lat. Zdarza się nawet, że całkiem dobrze wychodzą za mąż.

- To brzmi bosko - rzekła Regeane. - Chciałabym być taka wolna.

- Ale nie jesteś - uciął Stefan. - Twoje małżeństwo jest w pewnym sensie dynastyczne i król Franków oczekuje zapewne od nas...

- Bracie! — krzyknął ostro Antoniusz.

Regeane znowu zaczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego. Stefan omal nie zdradził jakiejś tajemnicy. Antoniusz w ostatniej chwili temu zapobiegł.

- Tak — podjął Stefan - pochodzimy z bratem ze szlacheckiego domu. Mamy dobre koneksje. Napiszę do Lucilli list wyjaśniający sytuację. Jest, jak już powiedziałem, inteligentną kobietą i moją przyjaciółką. Ona pierwsza pojmie znaczenie twojego małżeństwa zarówno dla ciebie, jak i dla miasta. Lucilla to lojalna stronniczka Stolicy Apostolskiej. - Przez usta Stefana przemknął dziwny uśmiezek. Posłał Antoniuszowi znaczące spojrzenie. - Podobnie jak ja, moja droga.

- A co do ciebie — tu spojrzął na dziewczynkę - to powiedz mi, dziecko, jak masz na imię i jak zwa twego ojca. Tu, w Rzymie, mieszka wielu Sasów. Mogę wśród nich popytać. Może ktoś zna twoją rodzinę.

Mała posłała Regeane pełne wyrzutu spojrzenie.

- O Boże, tak! - krzyknęła Regeane. - Kupując ją od handlarza niewolników, od razu wiedziałam, że głupio robię, ale, widzicie, ona ugryzła Hugo, a ja...

- Sama chciałaś go ugryźć — dokończyła za nią dziewczynka.

Regeane znowu zapiekły policzki. Zerknęła gniewnie na małą.

- Ja tego nie powiedziałam! - wykrzyknęła, a potem już ciszej dodała: - No, niezupełnie... - Płonęła jej cała twarz. Była pewna, że jest purpurowa. - Musisz powtarzać wszystko, co usłyszysz?

Niebieskie oczy patrzyły na nią z wyrzutem. Dolna warga znowu się wysunęła.

- A co mi zależy, skoro chcesz mnie porzucić jak brzemiennej kocię?

- Jak co? - zachnęła się Regeane.

- Mój ojciec mawia, że trzy najbardziej irytujące rzeczy na świecie to pijany mężczyzna, swarliwa kobieta i brzemiennej kocica. Mówi, że wszyscy chcą się ich pozbyć. Powiedział mi to, obwiązując kawałkiem skóry przyrodzenie naszego domowego kota.

Twarz Regeane mieniła się wszystkimi odcieniami czerwieni.

- Boże - jęknęła - na miłość boską, cicho bądź. - Nie miała odwagi spojrzeć na żadnego z mężczyzn.

- Czemu mam być cicho? - zaprotestowała mała. - Wszyscy wiedzą, jakie są koty. To bardzo jurne bestie. W każdym razie pomogło. Przez jakiś czas nie było miotów, ale potem znowu się zaczęły i ojciec powiedział, że pewnie znalazła sobie nowego zalotnika. Spytałam go, dlaczego nasz kot nie bronił swojego honoru, ale on powiedział... Auuuu! - Regeane kopnęła ją mocno w kostkę.

- Co ja znowu zrobiłam? - spytała dziewczynka zbolalym tonem, chwytając się za bosą stopę.

Regeane zerknęła ukradkowo na Stefana, a potem na Antoniusza.

Antoniusz patrzył w podłogę. Kaptur czarnej opończy zasłaniał mu większą część twarzy, ale trzęsły mu się ramiona. Stefan ukrywał uśmiech, zasłaniając sobie dłonią usta.

Regeane spiorunowała małą wzrokiem.

- Skończ z tym paplaniem o kotach, piersiach i innych głupstwach - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Powiedz nam, jak masz na imię, i to już! Słyszysz?

- Dobrze, dobrze. Właśnie miałam to zrobić. Elfgifa.

- Elfgifa - powtórzył Stefan.
- A twój ojciec? - zapytała Regeane.
- Eanwolf. Jest jednym z królewskich tanów - dodała z dumą.
- Dziękuję, Elfgifo - odezwał się Stefan. - Twój ojciec jest znacznym

człowiekiem, podejrzewam więc, że wśród Sasów mieszkających w Rzymie znajdzie się ktoś, kto go zna, i będzie my mogli odesłać cię do rodziny. Twoja pani nie chce cię porzucić, ale ma swoje własne obowiązki i musi się z nich wywiązać. - Mówił poważnie jak do kogoś dorosłego.

Dziewczynka kiwnęła głową.

Stefan wstał.

- A teraz - powiedział do Regeane - odeślę was do Lucilli. Ty zaś - tu spojrzął na Elfgifę - kiedy spotkasz się z Lucillą, spytaj ją koniecznie o piersi. Wyjaśni ci, do czego służą i jakie mają znaczenie. - Na jego twarz powrócił cień przekornego uśmiechu. - Możesz jej powiedzieć, że to ja ci poradziłem zwrócić się do niej z prośbą o udzielenie tych informacji.

6

Kilka godzin później Regeane płała w basenie w tepidarium willi Lucilli. Lucillą siedziała na skraju basenu i przyglądała się jej z nie skrywanym podziwem.

- Jaka szkoda! A miałabym dla ciebie idealnego mężczyznę. Jest trochę stary. Prawdę mówiąc, bardzo stary, ale przy tym realista. Wiedziałby, że nie dzielisz z nim łoża dla przyjemności. Obsypywałby cię podarkami, a gdyby twoja dyskrecja dorównywała urodzie, mogłabyś z czasem zostać kobietą majątną i wpływową.

Regeane przekręciła się na plecy i leżąc na wznak w ciepłej wodzie, patrzyła w sklepienie sufitu. Przez osadzone w nim świetliki z grubego szkła sączyło się miękkie, rozproszone, ale jasne światło. Czuła się idealnie rozluźniona i szczęśliwa. Przybywszy tu przed półgodziną, na przemian płakała i śmiała się z ulgi, znajdując Lucillę nie tylko żywą, ale również w dobrym zdrowiu i nastroju.

- Rozprawiliśmy się z przeklętnikami! Cóż za zuchwały szczur z tego Bazyla! Wjeżdżać do Rzymu wbrew zakazowi papieża! Zjawiała się gwardia papieska. Wysłałam za tobą i dzieckiem ludzi, ale nie natrafili na wasz ślad. Przepraszam, że tak was tam zostawiłam. Evoie, kapitan mojej gwardii, nie na żarty się przestraszył, ujrawszy Bazyla. Był przekonany, że Lombardczycy przybyli wykonać wyrok. I rzeczywiście tak było, ale to nie o mnie im chodziło.

Tymczasem gromadka służek Lucilli otoczyła Elfgifę. Ochom i achom nie było końca. Najbardziej obyta z nich orzekła, że dziewczynka jest śliczna, i Regeane była pewna, że Elfgifie, choć tego po sobie nie okazała, komplement ów bardzo pochlebił. Wszystkie zgodnie uznały, że trzeba ją solidnie wyszorować i przyodziać w nowe szaty.

Elfgifa zadała pytanie, zgodnie ze wskazówkami Stefana. Ubawiło to setnie wszystkich, z Lucillą włącznie. Służące, zanosząc się śmiechem, uprowadziły Elfgifę, by ją wykapać, nakarmić, odziać i ułożyć do snu.

Regeane odnosiła teraz wrażenie, że znajduje się we wnętrzu roziskrzonego klejnotu. Basen wyłożony był szarym, polerowanym marmurem i otoczony posadzką z marmuru w kolorze brzoskwini, alabastrowe ściany zdobiła mozaika z zielonego porfiru, układająca się w fantastyczne drzewa i wysokie paprocie.

Woda wirowała, kołysała ją, koła lęki i wysysała napięcie z mięśni. Unosiła się w niej zachwycona, rozleniwiona, spokojna.

- Chyba nie widziałam piękniejszego miejsca – powiedziała do Lucilli. —

Nie miałam pojęcia, że ludzie mogą tak mieszkać, opływać w takie luksusy. Myślałam, że tylko kościoły wyklada się lśniącem kamieniem, z taką dbałością ciętym i polerowanym.

Lucilla skwitowała uśmiechem szczerzy zachwyty Regeane.

- O tak. Wielu tak kiedyś żyło, a i teraz są tacy. Powiadają, że willę tę wznosił cesarz Hadrian dla swojej faworyty, czy może faworyta, trudno powiedzieć. W każdym razie miała to być spokojna, mała przystań, w której mógłby się zaszywać i odpoczywać z dala od zgrai dworzan, pochlebców, suplikantów i innych natrętów.

- Zbudował coś cudownego - wymruczała sennie Regeane, zamykając oczy i dryfując w letniej wodzie.

- Tak uważasz? - Lucilla z nieco cynicznym wyrazem twarzy powiodła wokół wzrokiem.

Słyszając dziwną zmianę w tonie, Regeane otworzyła oczy i spojrzała na nią pytająco.

- A ty nie?

- A gdybym ci powiedziała, że niegdyś w hipokaustonie, podgrzewającym ten basen, palili niewolnicy, którzy jak rok długi nie oglądali świata bożego? Nieszczęśliwcom tym nie dane było przeżywać najzwyklejszych nawet ludzkich radości. Ponieważ nikt nigdy nie wiedział, kiedy panu przyjdzie ochota zażyć kąpieli, woda musiała być bez przerwy ciepła, tak więc niewolnicy ci pracowali bez chwili wytchnienia.

Regeane przekręciła się z pluskiem na brzuch i wstała.

- O, przepraszam. - Lucilla uśmiechnęła się z łagodną przekorą. - Popsułam ci zabawę?

- Tak.

Woda była płytka, sięgała dziewczynie do ramion. Regeane, wiosłując w niej rękami, podeszła do Lucilli. W pięknej sali dało się nagle wyczuć pomrokę horroru.

Położyła dłonie na krawędzi basenu. Lucilla pochyliła się, zebrała w garść włosy Regeane i związała je w kok, który opadł dziewczynie na plecy.

- Nie chcę przyjemności okupionej takimi cierpieniami - powiedziała Regeane.

Lucilla roześmiała się.

- Nie bierz sobie tego tak do serca, malutka. To było dawno temu. Teraz za palenie w hipokaustonie płacę moim sługom dodatkowo, a oni aż się rwą do tej

roboty. Zarobione w ten sposób pieniądze wydają w rzymskich winiarniach i domach uciech. Świat zmienił się na lepsze. Chciałam ci tylko uzmysłwić, że to piękno i luksus nie wzięły się z powietrza. Wszystko ma swoją cenę.

Lucilla, podobnie jak Regeane naga, zsunęła się do wody i zaczęła myć dziewczynie włosy, masując palcami głowę, a następnie rozczesując splątane pasma stalowym grzebieniem.

Regeane, przyłożywszy policzek do marmurowego brzegu basenu, poddawała się cierpliwie zabiegom Lucilli. Drgnęła, kiedy dłonie Lucilli oderwały się od jej głowy i zaczęły pieścić delikatnie piersi.

- Rozumiem... to cena — mruknęła.

- Nie. - Lucilla roześmiała się cicho. - Bynajmniej. Przysłano cię do mnie z nie byle jaką rekomendacją. Stefan jest... - Lucilla urwała. - Jest potężnym człowiekiem. Potężnym protektorem. Nie musisz się ze mną kochać ani nawet mnie do siebie dopuszczać.

Powróciła do mycia włosów Regeane, a skończywszy, przerzuciła ich długie pasmo przez ramię dziewczyny. Stała za nią, napierając piersiami na jej plecy, a brzuchem na miękką obłość pośladków. Pochyliła głowę, przybliżając usta do ucha Regeane.

- Nie musisz poddawać się moim pieścizom, malutka, ale uczyni to. Moja miłość nie wyrządzi ci żadnej krzywdy. Nie uczynię cię brzemienią, nie zniewolę małżeństwem, do którego czujesz wstręt. Nie mogę ci nawet odebrać, och, jakże cenionego dziewictwa. - Lucilla roześmiała się cicho. - Nie mam czym.

Gdzieś głęboko w umyśle Regeane srebrna wilczyca drgnęła i obudziła się, powstając z otchłani pierwotnych ciemności, by z zadowoleniem powitać rozkosz wzniecaną dotykiem Lucilli. Zwierzę, roznamiętnione najśłodszym szczęściem życia, nie kieruje się ludzkim poczuciem przyzwoitości. Wilczyca zapalała pożądaniem. Pożądaniem bez zahamowań, bez pamięci, bez skrupułów.

Regeane pragnęła wilczycy tak samo jak pieścizot Lucilli. Były dla niej jednym i tym samym. Zamknęła oczy i odchyliła w tył głowę, składając ją na ramieniu Lucilli błędzącej długimi palcami po jej nagim ciele.

- Chodź - szepnęła Lucilla, pociągając Regeane ku schodkom na końcu basenu. - Wyjdźmy z wody, tam rozpalę cię pocałunkami.

Legły na płóciennych ręcznikach rozpostartych obok basenu. Lucilla, choć już niemłoda, nadal była piękna, wciąż miała gładką skórę, płaski, jędrny brzuch, a jej

duże nabrzmiałe piersi pozostawały pełne i sprężyste.

Wiek zdradzały jedynie ręce i twarz - kiedy pochyliła się nad młodym ciałem Regeane, uwidoczniły się niewielkie fałdki luźnej skóry na nadgarstkach, a w jej oczach pojawił się smutek.

- Ach, co za tortura! Czemuż ją sobie zadaję? — wyszeptała.
- Jaka tortura? — spytała Regeane, próbując odwzajemnić własnymi dłońmi niewysłowioną rozkosz, o którą przyprawiały ją łagodne, zręczne palce Lucilli.
- Sza! - mruknęła Lucilla, muskając ustami piersi Regeane. — Nic nie mów. Kochaj mnie. Otwórz się na mą miłość.

Regeane wydało się, że całe jej ciało bucha nagle drżącym płomieniem rozkoszy, i jednocześnie poczuła w sobie silną obecność wilczycy skowyczącej gdzieś głęboko w krtani.

Gęsta, ciepła i słodka wilgoć popłynęła jej spomiędzy nóg, kiedy Lucilla, rozchylając wargi, wysunęła różowy język i złożyła tam ten ostatni, najintymniejszy ze wszystkich pocałunek.

Ubrały się później w komnacie Lucilli. Lucilla dała Regeane prześwitującą jedwabną tunikę, sama włożyła podobną.

- A co się stało z moim ubraniem? - spytała Regeane.
- Tfu! Toż to były łachmany. Spaliłam je. - Lucilla zarzuciła na swoją tunikę stołę z miękkiego, białego płótna, wyszywaną przy szyi i na skraju złotem.

Regeane włożyła tunikę i przyjrzała się sobie.

- Nie mogę tak chodzić. To... nieprzyzwoite.

Lucilla uśmiechnęła się.

- Bez obawy. Dla ciebie też mam stołę, ale najpierw chcę Ci coś pokazać.

Pokój Lucilli był bardzo prosty i jak większość rzymskich sypialni skromnie urządzone. Miał bielone wapnem ściany. Jedyne odstępstwo od tej normy stanowiło wielkie, inkrustowane złotem łóżce z cedrowego drewna, z zasłonkami. Leżały na nim wygodne miękkie poduchy z gęsiego pierza i biała płócienna pościel.

— Tak — powiedziała Lucilla, przechwytyjąc spojrzenie Regeane. -My, Rzymianie, nauczyliśmy się czegoś od was, barbarzyńców z północy. I chwała wam za to. Sypiacie wygodniej od nas.

Spojrzała na Regeane niemal ze smutkiem i dotknęła delikatnie jej policzka.

- Dziel ze mną dzisiaj to łóżce, moja śliczna.

Regeane ujęła oburącz jej miękką dłoń i złożyła na niej pocałunek. Łzy napłynęły do oczu dziewczyny.

- Myślałam, że nigdy nie zaznam miłości, ale ty pokazałaś mi dzisiaj, czym ona jest. Cieszę się, że nadal mnie chcesz, cieszę się, że nie uznałaś mnie za zbyt... nieporadną.

- Za nieporadną? - Lucilla uwolniła rękę z uścisku Regeane, wzięła jej twarz w dłonie i pocałowała lekko w usta. - Może za niedoświadczoną. Doświadczenie przychodzi z czasem. Ale za nieporadną? Nie. Nigdy, moja słodka, ale teraz chodź.

Na łożu leżały dwa wianki uplecione z kwiatów - lili, róż, rozmarynu i tymianku.

Lucilla włożyła Regeane na głowę jeden z nich i podprowadziła ją do wiszącego na ścianie gobelinu. Pociągnęła za sznur i gobelin przesunął się w bok.

Regeane oniemiała. Nigdy nie widziała siebie całej w lustrze. Ta, która na nią z niego spoglądała, była piękna ponad wszelkie jej wyobrażenia.

Miękki owal twarzy zwieńczonyj kwiatami; łagodne oczy o złotych tęczówkach i świetliste czarnych źrenicach; usta koloru płatków róży; skóra swą świeżą aksamitną miękkością przywodząca na myśl blade lilie.

Ciało, tak jak mówił Antoniusz, miała smukłe, ale była to sprężona smukłość pączka gotowego lada chwila rozwinąć się w kwiat; drobne piersi o różowych sutkach wypychające jedwabną szatę; czarny trójkąt łona nad tajemnicą pożądania i płodności.

Regeane wyciągnęła rękę do srebrnego lustra, lecz go nie dotknęła; stojąca przed nią dziewczyna-kobieta musiała być malowidłem. To nie mogła być rzeczywistość, to nie mogła być ona.

Ale palce tej w lustrze powtarzały wiernie ruchy jej palców. Musnęła ich koniuszkami srebrną wypolerowaną powierzchnię zwierciadła.

Stojąca obok Lucilla uśmiechała się niczym wąż częstujący Ewę jabłkiem.

- Gundabald kłamał — wyszeptała Regeane.
- Twój wuj?
- Tak. Wmawiał mi, że jestem szpetna.
- Rajfur! - prychnęła pogardliwie Lucilla i pogłaskała Regeane po przerzuconej przez ramię kaskadzie włosów. - Tak właśnie czynią rajfurzy: okłamują dziewczyny, którymi kupczą. Poniżają je, by dowartościować siebie samych. Mówią:

„Tylko ja potrafię cię kochać”, żeby sobą pogardzały, bo wtedy łatwiej je kupować i sprzedawać. Ale ja nie jestem rajfurką. Moje kobiety znają swoją wartość. Ach, jak chciałabym wydać bankiet z twoim udziałem! Zaprosić synów najznamienitszych rzymskich rodów i obserwować z rozbawieniem, jak rywalizują o zaszczyt zostania tym pierwszym, który cię posiadzie, pierwszym, który weźmie cię w ramiona, nie wiedząc, że ja ich wszystkich ubiegłam. Ale dosyć. - Lucilla odsunęła się, szarpnęła za sznur i gobelin z powrotem przesłonił lustro. - To, czego dzisiaj doświadczyliśmy, jest tylko przedsmakiem, przekąską przed bankietem. Miało ci pokazać, czym jest rozkosz. Będę cię uczyła sztuki zaspokajania jego i siebie. A potem, na sam koniec, umiejętności wymagającej najwyższego taktu i wyczucia - uczenia go, jak ma się stać dla ciebie niewyczerpanym źródłem bezgranicznej przyjemności. Ale chodź, tę porę dnia lubię najbardziej. Usiądziemy w atrium i oddychając świeżym powietrzem, napawać się będziemy zachodem słońca. W lustro lepiej zbyt długo nie spoglądać. U ciebie mogłoby to wywołać nadmiar próżności; u mnie, moja droga, przygnębienie.

- Jesteś piękna - powiedziała Regeane, kiedy szły żwirową alejką nad basenem w atrium.

- Wiem - odparła Lucilla. - Chyba zostało mi coś z urody, jaką miałam, będąc w twoim wieku. I bez wątplenia potrafię jeszcze usidlać kochanków, ale weszłam już w ten etap życia, kiedy ceni się wypoczynek, ciche wieczory w ogrodzie w towarzystwie dobrego przyjaciela. Jestem dostatecznie bogata, by móc sobie na to pozwolić.

Zatrzymała się przy fontannie, która zasilala basen. Nimfa z pozieleniałego ze starości brązu lała czystą wodę na kamienną, porośniętą szmaragdowym mchem skarpę, która opadała stromo do podłużnego basenu. Nieruchoma woda odbijała zmieniające się odcienie wieczornego nieba i była teraz taflą złota przechodzącego z wolna, wraz z zapadającym zmierzchem, w turkus i fiolet.

Ogród willi był jak z bajki. Nad wodą kwitły purpurowe i żółte irysy, kępy lawendy, a tu i ówdzie róże.

Na grządkach za domem rosły kochające słońce zioła - żółto-grzebieniasty krwawnik, wonny rumianek o drobnych kwiatkach, wielkolistna bazylija i wysoka szalwia o szkarłatnych kwiatkach. Po kolumnach werandy pięły się kolczaste łodygi róży rdzawej, obwieszzone szkarłatnymi jesiennymi kwiatami.

Zewsząd napływał delikatny zapach ziół. Lucilla zatrzymywała się od czasu do czasu, by pogłaskać pieszczotliwie jakiś listek i wciągnąć w nozdrza jego aromat.

Regeane postępowała za nią jak we śnie. Doszły tak do kamiennej ławeczki. Stał na niej dzban i dwie czarki. Obie były arcydziełami sztuki szklarskiej.

Regeane obejrzała swoją przy gasnącym świetle dnia. Czarkę zdobił rysunek przedstawiający rozpląsany korowód młodzieńców i dziewcząt podążających za powozem panny młodej.

- Jakie piękne! - wyszeptła.

- I jakie a propos — dodała Lucilla, sięgając po srebrny dzban z winem, którego dziobek miał kształt wilczego łba.

Regeane, kiedy to sobie uświadomiła, wydało się, że ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Znalazła się w pułapce.

Czarka wyleciała jej z rąk i upadła w zagon tymianku. Wino wylało się., plamiąc białe kwiatki krwistą czerwienią.

Znalazła się w pułapce, pięknej, niebezpiecznej pułapce.

Mogła, co prawda, poddać się urodzie tego niebiańskiego ogrodu, pieśzcotom Lucilli. Ale idylla ta mogła mieć tylko jedno zakończenie. Zjawi się tu po nią górski pan i jedno z nich będzie musiało umrzeć!

- Boże! Co ci?! - wykrzyknęła Lucilla, odstawiając swoją czarkę i wyciągając do Regeane obie ręce.

Regeane, zgięta w pół, trzymała się za brzuch. Świat się zamazywał, czuła znowu pierwsze objawy tego, co działo się z nią zawsze tuż przed przemianą.

Walczyła z tym desperacko. Pełznące ku niej wieczorne cienie cofnęły się, kiedy poczuła na ramionach dłonie Lucilli.

- Co z tobą, dziewczyno? - zapytała z niepokojem Lucilla.

Regeane uświadomiła sobie, że przez krótką chwilę myślała jak normalna kobieta... wyobrażała sobie czekające ją małżeństwo i przyszłego małżonka tak, jak czyniłaby to każda inna młoda dziewczyna. Nie mogła sobie na to pozwalać. Nie wolno jej było.

Schyliła się po upuszczoną czarkę, pełna obawy, że ją rozbiła.

- Przepraszam - wyszeptła. - Twoja cudowna czarka.

- Do diabła z czarką! — rzekła Lucilla, zaciskając dłonie na ramionach Regeane. - Dobrze się czujesz? Nigdy jeszcze nie widziałam takiego przerażenia na ludzkiej twarzy. Co się stało? Cocię tak przestraszyło?

- Nie stłukła się dzięki Bogu. - Regeane podniosła leżącą w tymianku czarkę.

Lucilla wyjęła czarkę z dłoni Regeane, napełniła winem i przystawiła dziewczynie do ust.

- Już lepiej. Rumieniec wraca ci na policzki. Mów teraz, co się stało.

Regeane nie mogła jej tego powiedzieć. Nikt nie zrozumiałby srebrnej wilczycy, nawet kobieta tak światowa i mądra jak Lucilla. Pozbierała z wysiłkiem rozbiegane myśli. Żyła z wilczycą od dziecka i ukrywanie tego stało się jej drugą naturą. Odparowała pytanie Lucilli innym:

- A gdybym tak nie poddała się woli króla i została jak ty kurtyzaną?

Lucilla odwróciła wzrok i zapatrzyła się na ciemny ogród.

- Ja do tego ręki nie przyłożę.

- Dlaczego? - spytała z rozpaczą w głosie Regeane. - Czy Karol jest aż tak potężny?

- Tak - powiedziała Lucilla, spoglądając znowu na Regeane. — Aż tak. Wejście mu w drogę przypłaciłabym życiem.

Regeane poczuła znowu to samo przerażenie, które przyćmiewało jej umysł podczas ucieczki przed Bazylem, i rozpacz, jaka przepełniała jej serce po nocnej rozmowie z Gundabaldem.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiała z Lucilla na placu targowym, wydawało jej się, że znalazła cudowne wyjście z sytuacji. Wymagania stawiane kurtyzanie, sprzedawanie swojego ciała za pieniądze, napawały ją wstrętem. Ale gotowa była znosić takie życie, gdyby tylko zapewniało wolność pięknemu, milczącemu zwierzęciu, którym stawała się przy świetle księżyca.

Kurtyzana żyje samotnie. Znalazłaby jakieś wymówki, by oprzeć się kochankowi czy kochankom w te noce, kiedy pani niebios przejmowała kontrolę nad jej sercem.

Ale te drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem, kiedy spotkała Stefana i Antoniusza. Ponownie znalazła się w pułapce i jej jedyną nadzieją aby byli teraz Gundabald i Hugo. Nie miała jednak żadnej gwarancji, że będzie im mogła ufać, kiedy stanie się już ich współniczką. Nigdzie nie było powiedziane, że któryś z nich nie zdradzi jej z chciwości albo zwykłej złośliwości.

Lucilla, ściągając brwi, obserwowała twarz Regeane ocienioną zmierzchem, który zapadał nad ogrodem.

- Powiedz mi, malutka, czego tak panicznie się boisz. Może to nic takiego, może dałoby się temu zaradzić. Co? No, powiedz. Chodzi o dotyk

mężczyzny, o miłość z mężczyzną? Z tym nie jest tak źle, wierz mi. Pokażę ci, jak to jest. Większość kobiet boi się z początku, ale ten strach szybko przechodzi w znudzenie, albo, jeśli kobieta ma gorącą krew, a mężczyzna jest w miarę sprawny, w radość życia.

Przysunęła się bliżej i otoczyła Regeane ramieniem.

- Zdradzę ci pewien sekret. Mężczyźni kochają, by zadowolić swoje żony, i najnieporadniejszego, najgłupszego z nich można tak wyszkolić, by zaspokajał potrzeby nawet najbardziej wymagającej kobiety.

Wyraz rozpaczony nie spelzał z twarzy Regeane.

- Chodzi więc o poród?

Regeane pokręciła głową.

Lucilla odsunęła się od niej.

- No to nic już nie rozumiem.

- A jeśli są inne kobiety?

Lucilla parsknęła perlistym śmiechem.

- A więc o to tylko chodzi? - Poklepała Regeane po dłoni i cmoknęła ją w policzek. - Och, moja malutka, z twoimi walorami - urodą, gracją i wielkim nazwiskiem — nie będziesz się musiała przejmować istnieniem innych kobiet. — Zachichotała. — Zniewolisz go. Gwarantuję. Wystarczy, byś przyswoiła sobie drobną cząstkę mych nauk, a będziesz go miała u swych stóp.

Regeane udała, że ją to pokrzepiło. Upiła łyczek wina. Niebo pociemniało, ale nie było jeszcze czarne. Białe kwiaty w ogrodzie odcinały się wciąż wyraźnie od ciemniejszych mas zieleni. Tafla wody w basenie zaczynała się roziskrzać gwiazdami.

Z willi za jej plecami dolatywał szczeł talerzy i sztućców. Przez otwarte drzwi wylewał się blask lamp i pokrzykiwania służby nakrywającej do stołu.

Ochłodziło się. Ręka Lucilli obejmująca jej ramiona ogrzewała, i w jakimś sensie, pomimo że Regeane nie zwierzyła jej się ze wszystkich swoich lęków, dodawała otuchy.

- No i co, moja droga - odezwała się Lucilla, przygarniając ją mocniej do siebie — już ci lepiej?

- Tak - odparła cicho Regeane, unosząc do ust czarkę. — Ale mogłabyś nauczyć mnie jeszcze jednej sztuki - dodała z wahaniem.

- Jakiej?

- Sztuki, która skutkuje, kiedy zawodzą inne.

Lucilla patrzyła na nią przez chwilę pytająco, a potem w jej oczach pojawiło się zrozumienie. Cofnęła rękę i odsunęła się.

- Pojmuję - powiedziała chłodno. - Sama to wymyśliłaś czy wbił ci to do głowy ten twój wuj?

Regeane odstawiła czarkę na kamienną ławę i podniosła się. Stała przed Lucilla i popatrzyła na majaczącą w mroku twarz kobiety. Jej smukła, owinięta w białą stole sylwetka rysowała się ostro na tle jasnego prostokąta otwartych drzwi. Po policzkach dziewczyny płynęły łzy, łzy gniewu i rozżalenia.

- No dobrze - powiedziała łamiącym się głosem. - Boję się, ale nie mężczyzn ani rodzenia dzieci, ani niewierności mojego przyszłego małżonka. Prawda jest taka... O, Boże - głos się jej załamał. - Prawda jest taka, że nie mogę wyznać ci prawdy. Skąd możesz wiedzieć, jak wygląda moje życie? Tych kilka godzin, jakie z tobą spędziłam, to moje pierwsze chwile szczęścia od lat. Od pierwszego krwawienia, od dnia, kiedy stałam się kobietą, od... - Regeane zacisnęła pięści i spojrzała w bezksiężycowe niebo. - O Boże, jak mam ci to wyjaśnić?! - krzyknęła, zasłaniając twarz dłońmi i odwracając się, by rzucić się do ucieczki.

Ale Lucilla wstała, przyciągnęła do siebie drżącą na całym ciele dziewczynę i jęła ją uspokajać jak załęcznione dziecko, gładząc po włosach i poklepując delikatnie po plecach.

- No, no. Nie zadręczaj się tak. Wierzę, że się naprawdę czegoś boisz. Nie wiem, dlaczego nie chcesz mi wyznać swojego mrocznego sekretu, ale wierzę, że on istnieje, choćby tylko w twojej wyobraźni. Dobrze więc, jeśli w istocie tak bardzo chcesz, nauczę cię tej ostatecznej sztuki. To nic trudnego — w samym tym ogrodzie rośnie z pół tuzina roślin, które stosowane z umiarem pomagają naturze, w nadmiarze zaś szkodzą. Medycy rozpuszczają w winie kapsułkę z makiem. Ten, kto je wypije, uwalnia się od bólu i lepiej śpi; ale zbyt duża dawka tego specyfiku czyni ów sen wiecznym.

- Nie chcę tego dla niego - powiedziała Regeane - lecz dla siebie.
- Co?! - Lucilla cofnęła się. - Dla siebie?
- Różne są rodzaje śmierci, lepsze i gorsze — powiedziała z udręka

Regeane.

Lucilla badała wzrokiem zalaną łzami twarz Regeane. W końcu wymruczała:

- Szkoda, że nie chcesz mi się zwierzyć z tego straszego sekretu. Mam

przeczcucie, że chodzi tu o coś gorszego niż... — Urwała, bo w tym momencie podeszła do nich jedna ze służących.

- Pani, kolacja gotowa. Czy przyprowadzić dziecko?

- Ach, Elfgifę. Zapomniałam o niej, ale to nic. Tak, tak, przyprowadź ją.

Pewnie nie może się już doczekać, kiedy ją zawołamy.

Służąca uśmiechnęła się.

- Nie, pani. Zaraz po kąpieli zasnęła i dopiero co się obudziła. Zbliżyła się do nich druga służąca, prowadząc za rękę ziewającą Elfgifę.

- Chodź — powiedziała cicho Lucilla, ujmując dłoń wciąż przybitej Regeane. - Zanedbuję swoje obowiązki pani domu. Nie denerwuj się już. Porozmawiamy jutro. Teraz porzuć smutki. Przy kolacji poruszamy tylko błahe tematy. Mimo wszystko dopiero dzisiaj się poznałyśmy. Dlaczego miałybyś mi się od razu zwierzać z leżących ci na sercu tajemnic?

Podczas posiłku Regeane milczała. Jej lęki zeszły na plan dalszy, wyparte tam przez problemy, jakich nastęrczał nie znany jej rzymski styl biesiadowania.

Jadły, półleżąc na sofach, obsługiwane przez dziewczęta. Każde danie zajmowało osobny stolik. Dla Lucilli była to najprawdopodobniej skromna, nieformalna kolacyjka, ale dla Regeane wspaniała uczta.

Stojące przed nią stoliki przykryto białymi, wyszywanymi obrusami z płótna. Talerze i czarki były srebrne. U sufitu wisały lampy w kształcie alabastrowych gołębi, którym z dziobków buchały płomienie. Ściany komnaty ozdobiło malowidło przedstawiające ptaki w ogrodzie pełnym kwiatów.

Elfgifa, cicha jak nigdy dotąd, śledziła pilnie każdy ruch Lucilli i naśladowała ją we wszystkim. To samo czyniła Regeane.

Lucilla odnosiła się do obu z rozbawionym pobłażaniem i jak zapowiedziała, podtrzymywała luźną rozmowę. Jednak Regeane czuła się mimo to instruowana, większość bowiem tego, co mówiła Lucilla, dotyczyło złożonych spraw świętego miasta.

Potrawy były proste, ale pięknie przyrządzone. Na początek podano doprawione na ostro oliwki i biały kremowy ser posypyany pieprzem. Potem na stolikach pojawiła się pieczona wieprzowina, chleb, miód i czerwone wino.

Smak tego wina zachwycił Regeane.

- Jest cudowne - zwróciła się do Lucilli, oczarowana jego łagodnością i jedwabistą świeżością.

Lucilla roześmiała się.

- Och, wy, Frankowie, uważacie, że wino jest gotowe do picia, kiedy odpowiednia jego ilość zwala z nóg mężczyznę, ale my nasze sezonujemy w szczelnie zamkniętych glinianych dzbanach. To ma dopiero dziesięć lat, ale kosztowałam już win, które dojrzewały czterdzieści i więcej.

- I ono nie kwaśnieje? - spytała Regeane.

- Zdarza się - przyznała Lucilla — ale warto to robić choćby dla tych amfor, które się udadzą. W najgorszym przypadku wino zamienia się w ocet, a ten można wykorzystać w kuchni. To wino pochodzi z mojej posiadłości. Teraz nieliczni zawracają sobie głowę sezonowaniem win — wyjaśniła. - Uzyskanie dobrego rocznika sporo kosztuje. O wiele zyskowniejsze jest sprzedawanie wina młodego, kiedy tylko stanie się zdatne do picia. - Posmutniała. - Tak ta cywilizowana sztuka zanika, ale ja nastawiłam sobie kilka dzbanów na własny użytek.

Kiedy zaspokoili głód, stoliki wyniesiono, a one zaczęły się delektować schłodzonym białym winem podanym z miodowymi ciasteczkami. Było już bardzo późno i cicho jak na wsi, gdyż willa Lucilli stała w sporym oddaleniu od gwarne go serca Rzymu. Tę ciszę mąciły jedynie nocne pieśni owadów dolatujące z ogrodu przed domem oraz poszept chłodnego, orzeźwiającego wietrzyka wpadającego przez otwarte drzwi triklinium.

Pełen wrażeń dzień, pełny żołądek i pół czarki rozwodnionego wina, którym poczęstowała ją Lucilla, zrobiły swoje; Elfgifa zasnęła na sofie. Ocknęła się na krótko, kiedy Lucilla dała służącej znak, by ta zaniosiła ją do łóżka. Elfgifa zaprotestowała, ale okazało się, że chodzi jej tylko o pocałunek na dobranoc od Regeane.

Regeane spełniła to życzenie i Elfgifa udała się posłusznie na spoczynek. Kiedy wyszła, między Lucilla i Regeane zapadło na krótko niezręczne milczenie. Odezwały się niemal jednocześnie.

- Przepraszam... - zaczęła Regeane.

- Chciałam cię przeprosić, Regeane...

Roześmiały się.

- To ja powinnam przeprosić - powiedziała Regeane. - Zrobiłam z siebie idiotkę. Chyba za bardzo pozwalam swoim lękom żerować na umyśle.

- Wcale nie, moja droga. To ja nie powinnam na ciebie naciskać.

W tym momencie przez otwarte drzwi wpadła z ogrodu służąca.

- Pani, jacyś ludzie dobijają się do bramy!

Lucilla zerwała się z sofy i omijając dziewczynę, wybiegła do ogrodu.

W atrium stało pół tuzina mężczyzn. Blask pochodni, które trzymali, odbijał się w ciemnej wodzie basenu. Jeden wystąpił naprzód i Regeane zobaczyła twarz zapamiętaną z placu targowego.

- Tam jest! - ryknął mężczyzna, pokazując na nią palcem. - Brać ją!

Regeane przeszedł dreszcz. Odwróciła się, ale nie wiedziała, gdzie uciekać. W tej samej chwili Lucilla postąpiła krok i zagroziła mężczyźnie drogę.

- Oszalałeś, Bazylu? - powiedziała podniesionym głosem. - Znajdujemy się pod opieką samego Ojca Świętego!

Ludzie towarzyszący Bazylowi zawahali się. Lucilla, prężąc się na całą wysokość i zadzierając dumnie głowę, stała między Bazylem a Regeane.

- Zapłacicie mi za to najście głowami! Wszyscy! - zagroziła.

Ludzie Bazyla cofnęli się, spozierając po sobie niepewnie.

Lucilla, widząc, że uzyskała nad nimi chwilową przewagę, postanowiła to wykorzystać i postąpiła kolejny krok naprzód.

- Opuśćcie natychmiast mój dom, a zapomnę o tym przykrym incydencie.

Bazyl roześmiał się drwiąco. W jego ciemnej, brodatej twarzy błysnęły białe zęby.

- A to ci dopiero! I ty masz czelność straszyć nas kościołem i papieżem? Ty, największa ładaczka Rzymu. Ładaczka i stręczycielka!

Lucilla zeszywniała z gniewu. Twarz zastygła jej w piękną maskę furii. Odpowiedziała Bazylowi, cedząc chrapliwie złowieszcze ostrzeżenie:

- Jeszcze jeden krok, Bazylu, a już po tobie. Umrzesz w męczarniach.

Bazyl rzucił jej pogardliwe spojrzenie spod na wpółprzymkniętych powiek, a potem odwrócił się do swoich ludzi.

- A wy co?! Przestraszyliście się rozsierzonej kobiety?! Brać tę dziewczkę, powiedziałem! A co do ciebie, suko - zwrócił się do Lucilli - to wejdź mi jeszcze raz w drogę, a pošlę cię do piekła, byś tam uprawiała swoją profesję.

Ruszył na Regeane i Lucillę, jego ludzie za nim.

Lucilla chwyciła Regeane za nadgarstek i wyszeptała szybko:

- Nie jest dobrze. Nie powstrzymam ich. Gdzie, na Boga, są moi ludzie? Uciekajmy! - Pociągając za sobą Regeane, rzuciła się do przejścia prowadzącego z atrium w głąb ogrodu.

Nagle przejście z oświetlonego pochodniami atrium w mrok oślepiło na chwilę Regeane. Kiedy oczy przywykły jej do ciemności, obydwie były już w kuchennym ogrodzie. Zamajaczyły gałęzie drzew, rośliny, a potem wyrósł przed nimi mur.

Do ogrodu wpadł Bazyl na czele swoich ludzi. Blask pochodni rozproszył mrok.

Regeane potknęła się o coś. Lucilla schyliła się i podniosła z ziemi motykę.

Jeden z ludzi Bazyla już je dopędzał. Lucilla odwróciła się i z rozmachem rąbnęła go motyką prosto w krocze. Mężczyzna wydał z siebie nieludzki skowyt i zgiął się wpół.

- Uciekaj, dziewczyno, uciekaj! - krzyknęła Lucilla do Regeane.

Reszta siepaczy Bazyla zatrzymała się jak wryta i zbiła w gromadkę. Los towarzysza odebrał im na chwilę odwagę. Nie trwało to długo. Jeden z nich podskoczył, by wyrwać Lucilli motykę z rąk. To był błąd. Wyrznięta go drzewcem w skroń, a kiedy, chwytając się za głowę, padał na klęczki, z całych sił cięła ostrzem w twarz.

Regeane nie miała serca zostawić Lucilli samej sobie. Była przekonana, że Bazyl ją zabije.

Tamten dobył miecza i uchylając się przed kolejnym ciosem motyki, przemknął obok Lucilli. Ucapił Regeane za ramię. Pisnęła, wyrwała mu się i tracąc równowagę, upadła twarzą w spulchnioną grządkę. Miecz Bazyla zarył się w bruździe tuż obok jej czoła.

Regeane poderwała się na kolana. Bazyl, chwyciwszy dziewczynę za włosy, odciągnął w tył jej głowę i zamachnął się mieczem, mierząc w wyprężoną szyję. Regeane zaczerpnęła instynktownie garść ziemi i sypnęła mu nią w twarz. Bazyl ryknął wściekle i puścił ją, by przetrzeć sobie oczy.

Umysł Regeane zalała ciemność księżycy. Była wilczycą. Zatoczyła się zaskoczona i przerażona. Blask pochodni, łagodny dla oczu kobiety, raził ślepią bestii.

Zaskoczenie i przerażenie wyparła zaraz triumfalna furia. Bazyl tarł wciąż jedną ręką oczy, a trzymanym w drugiej mieczem siekał na ośleporzuconą suknię Regeane, przekonany, że dziewczyna nadal w niej jest.

Srebrna wilczyca skoczyła na niego niezdarnie. Kopnął ją w żebra. Nad kobiecym niezdecydowaniem, które tliło się jeszcze w wilczycy, górę wzięła furia.

Wilczyca prześlizgnęła się jak piskorz między nogami mężczyzny i rozerwała mu kłami łydkę.

Bazyl zawył z bólu i ciął mieczem, ale wilczyca zdążyła już odskoczyć.

Trzej jego ludzie szamotali się tymczasem z Lucillą. Jeden trzymał ją w pasie, dwaj usiłowali wyrwać motykę. Mieli pełne ręce roboty. Czwarty stał z boku, przyświecając im pochodnią.

- Przekłęci głupcy! - wrzasnął Bazyl. - Odpędźcie tego wściekłego psa.

Płomień podstawionej pod nos pochodni oślepił srebrną wilczycę.

- Jezu miłosierny! - krzyknął mężczyzna. - To nie pies!

Przysiadła na zadzie. Pochodnie! Pozbądź się tych pochodni! - podszeptęła jej kobieta. W ciemnościach jesteś silniejsza!

Wilczyca cofnęła się przed płomieniem. Mężczyzna z pochodni, I próbował gorączkowo dobyć miecza.

Rozwścieczona widokiem ognia wilczyca myślała tylko o dwóch rzeczach — o gardle i o kroczu. Z bezlitosną logiką zabójcy skoczyła do krocza. Do gardła miała za daleko. Nie była jeszcze do końca pewna swej sprawności.

Wystrzeliła w przód jak atakujący wąż. Nie dosięgła krocza, zdołała jednak zatrasnąć zęby na podudziu. Paszczę i nos wypełniły jej ciepła, słona krew i ciężka woń surowego mięsa.

Mężczyzna wydał z siebie przeszywający wrzask bólu, szarpnął się i dzielił wilczycę po grzbiecie płonąca pochodnią.

Wilczyca odskoczyła.

Mężczyzna zatoczył się, wpadając na Lucillę i szamocących się z nią napastników. Cała czwórka runęła na ziemię. Upuszczone pochodnie leżały na wilgotnej glebie, skwiercząc i przygasając. Ogród w jednej chwili pograżył się w ciemnościach.

Wilczyca skoczyła z wściekłym charkotem na mężczyzn przygniatających Lucillę. Rozpierzchli się na czworakach we wszystkie strony.

Bazyl podskoczył do najbliższej pochodni, a Lucillą zerwała się z ziemi z motyką w ręku. Grzmotnęła nią jednego z mężczyzn w pierś, przetrącając mu kilka żeber. Drugiego dzieliła w plecy. Padł na twarz, ryjąc nosem w błocie.

Wilczyca usłyszała za sobą krzyki. Nadbiegali jacyś ludzie z pochodniami.

- Gwardia papieska! - zawołał ktoś.

W ogrodzie zrobiło się jasno jak w dzień. Słudzy Lucilli przybywali swojej

pani z odsieczą.

Bazyl i jego ludzie rzucili się do ucieczki. Wilczyca poszła w ich ślady. Przedarła się przez rząd krzewów granatu i gnała dalej między pniami drzew owocowych ku niskiemu murkowi. Bazyl i jego ludzie przesadzili go w mgnieniu oka.

Wilczyca zawahała się, potem zebrała w sobie. Nigdy jeszcze nie biegła wolno. Jednym susem pokonała przeszkodę. Bazyl i jego ludzie zdążyli już dosiąść koni i oddalali się galopem.

Zatrzymała się w ciemnościach i znieruchomiła, robiąc ciężko bokami. Dopiero zbliżający się tętent kopyt kazał jej uskoczyć w pobliskie zarośla.

Drogą przemknął co koń wyskoczy oddział rzymskiej milicji obywatelskiej, ścigający Bazyla i jego ludzi.

Zapadła cisza. Srebrna wilczyca wysunęła się z krzaków i stanęła w kurzu gościńca. Dygotała jeszcze z podniecenia i strachu.

Za muru otaczającego willę dobiegał gwar głosów. Ruszyła przed siebie drogą, instynktownie szukając azylu pod osłoną ciemności.

Noc była bezksiężycowa, na niebie rozciągała się tylko jasna smuga Drogi Mlecznej. Nie wiedziała, co zdołali zobaczyć Lucilla i Bazyl. Bazyl miał piach w oczach. Lucilla walczyła o życie.

Jednego srebrna wilczyca była pewna. Nie chciała tam wracać. Była teraz wolna; oszołomiona, przestraszona, a mimo to upojona swoją wolnością. Wolna.

Sadziła długimi susami zwierzęcia, dla którego przebiegnięcie pięćdziesięciu mil to tyle, co nic.

Wilcze serce śpiewało. Stare wspomnienia sprawiały, że krew szybciej krążyła w żyłach. Nie były to jej wspomnienia. Och, wilcze serce pamiętało tamte lasy: strzeliste lasy porastające górskie zbocza, te sosny, jodły, świerki, ten krajobraz urozmaicany klejnotami błękitnych jezior pełnych ryb. Nizinne puszcze, a w nich dęby, jesiony, buki, wiązy i obfitość zwierzyny. Skąpane w blasku księżycy polany, na których pasą się rogate jelenie.

Polowała na nie przez dawno minione stulecia. Była śmigłą ostrozębą panią nocy, zbierającą w srebrzystej poświacie daninę z krwi. Umykała przez skąpane w słońcu równiny, czując w nozdrzach ostry swąd płonących traw. Ileż to pożarła zwierząt padłych podczas panicznej ucieczki przez płomienie!

Tropiła swoje ofiary po skutych mrozem, martwych pustkowiach. Z głodu burczało jej w brzuchu. Łapy pokaleczone wbijającymi się w poduszki lodowymi

drzazgami pozostawiały na śniegu krwawe ślady. Tęskniła wówczas za ciepłem, za krwawą euforią zabijania, za pełnym brzuchem i za snem.

Łączyła w sobie siłę, odwagę i wyzywające piękno. Jestem wilczycą czy kobietą? - pomyślała, zatrzymując się na szczycie niskiego wzgórza i chłonąc nieruchomość, idealny spokój nocy. Tuliła ją ona jak troskliwa matka dziecko.

Chłodny wiatr niósł orzeźwiający zapach zaczynającej się już osadzać rosy. Mierzwił jej rozkosznie sierść na karku i pysku. Kobieta drżałaby z zimna, ale wilczycy, chronionej przez futro, było ciepło. Legion gwiazd oblewał mdłym blaskiem krajobraz. Z jednej strony stoki pogrążonych w mroku wzgórz opadały łagodnie ku równinie Kampanii; z drugiej leżało miasto Rzym, przypominające gromadę świetlików, które obsiadły gładkiego, czarnego węża Tybru. Wiatr przynosił stamtąd smród otwartych ścieków.

Jestem kobietą czy wilczycą? - pomyślała znowu. Wilczyca i kobieta uzupełniały się wzajemnie. Jedna byłaby bez drugiej niekompletna. Jednak otwarte przestrzenie wzgórz, a nawet spustoszona przez wojny Kampania wzywały wilczycę. Pragnęła zwrócić się pod wiatr, zniknąć w wysokiej trawie i na zawsze już pozostać zwierzęciem pośród zwierząt.

Ale kobieta była rozsądniejsza. Kobieta wiedziała, że z nadejściem ranka ocknie się naga, bezbronna i samotna. Jej los związany był na dobre i złe z tymi, których światła migotały teraz w dolinie niczym gasnące węgielki.

Ani wilczycą, ani kobietą - pomyślała, lecz czymś więcej niż każda z nich, a może czymś mniej, ale na pewno ani jedną, ani drugą i przez to, być może, potępioną. Czy dokona żywota, płonąc na stosie, znieawidzona i wyklęta przez Kościół? Albo ukamienowana przez ludzi, którzy lękają się jej mocy? Przeszedł ją lodowaty dreszcz strachu, kiedy przypomniała sobie, jak szybko kondukt pogrzebowy dał posłuch oskarżeniom Silve. Inni mogli się okazać tak samo łatwowierni.

To, że żyła jeszcze, było wyzwaniem rzuconym ogólnie akceptowanemu porządkowi świata - wyzwaniem rzuconym śmierci. I będzie żyła, dopóki jej tego życia nie wydrą. Będzie żyła i nigdy nie wyda kobiety dla ratowania wilczycy ani wilczycy dla ratowania kobiety. Będzie żyła, by być sobą, by być wolną, albo umrze.

Wilczyca wybiegła truchtem na środek drogi i wciągnęła w nozdrza powietrze. Pośród zapachów koni oraz zwierzęcego i ludzkiego potu wyczuła woń krwi.

Powęszyła tuż przy ziemi. Zraniła jednego ze zbirów Bazyla. Nadal krwawił.

Podjęła pościg.

Bazyl i jego ludzie nie wrócili do miasta. Objechali je łukiem i skierowali się przez Kampanię ku morskemu wybrzeżu.

Na rozległej równinie Kampanii natura uśmiechała się niegdyś życzliwie do człowieka. Błogosławieństwo żyznych gleb, wulkanicznych szczytów, ciepłych lat i łagodnych zim czyniło z niej swego czasu krainę mlekiem i miodem płynącą. Ale to było kiedyś. Cztery wieki walk o stolicę imperium, tę perłę wśród zdobyczy, obróciło ją w pustkowie pełne moczarów i ruin.

W odróżnieniu od górzystych rejonów Italii Kampania była trudna do obrony. Forteca Cassino, górująca samotnie nad równiną, dawała schronienie nielicznym wędrowcom. W nocy tylko zbrojne grupy odważały się podróżować przez to odludzie.

Wilczyca ruszyła tropem krwi lekkimi susami polującego drapieżnika. Czuła już wyraźnie zapach koni i ludzi.

Zwęszyła swąd dymu, zanim jeszcze zobaczyła ognisko. Przyśpieszyła kroku.

Wznosiła się tu kiedyś świątynia Apolla, boga światła. Teraz wysokie kolumny leżały na ziemi, a z samej budowli pozostała tylko pusta skorupa. Znikł nawet posąg boga. Na frontonie pozostała tylko głowa strasliwego potwora z węzowymi włosami i językiem wywalonym z ust jakby po to, by zlizywać krew składanych tu ofiar.

W ruinach obozował Bazyl ze swoimi ludźmi. Siedzieli wokół ogniska płonącego przed wejściem do zrujnowanej świątyni.

Wilczyca podkraśniała się tam, przemykając między czarnymi pniami topoli rosnących na miejscu dawnego świętego gaju bogów. Zatrzymała się w wysokiej trawie, nasłuchując i obserwując. Czuła się zawiedziona. Bazylowi towarzyszyło teraz znacznie więcej ludzi niż podczas najścia na willę Lucilli.

Było ich zbyt wielu, by samotny wilk dał im radę.

Bazyl stał na spękanych marmurowych schodach prowadzących do świątyni i mówił do kogoś przesłanianego przez buzujący ogień.

- Nie pomoże ci już nic i temu twojemu bratu też. Mam go teraz w garści. Cokolwiek uczyni, uczyni to na swoją zgubę.

- Aż tak go nienawidzisz? - rozległ się głos z wejścia do zdewastowanej budowli.

Wilczyca знаła ten głos. Antoniusz. Przesunęła się ostrożnie w miejsce,

gdzie nie oślepiąły jej płomienie, i zobaczyła go. Był w czarnej opończy i jak zawsze zakrywał sobie twarz.

- Czy go nienawidzę? - parsknął Bazyl. - Chryste, skąd! Jego osoba ani mnie ziębi, ani grzeje. Kiedy zajmę miasto, będzie mógł zostać papieżem, jak długo zechce.

Papież! Wstrząsnęło to nawet wilczycą. Regeane domyślała się, że „Stefan” ma władzę. Ale nie wiedziała, jakiego rodzaju i jak wielką. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Stefan może być samym papieżem Hadrianem.

Podsunęła się bliżej i skryta wśród niskich krzaków i wysokiej trawy spojrzała na ludzi zgromadzonych przed świątynią.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał ze mnie wielki pożytek - powiedział Antoniusz z zabarwioną gniewem goryczą. — Umieram i żywię nadzieję, że mój brat jest na tyle rozsądny, by nie dać ci się szantażować groźbami wobec mojej gnijącej powłoki cielesnej.

- Bardzoś trafnie to ujął, przyjacielu - odparł Bazyl. - Rzeczywiście załatuje od ciebie kostnicą. Ale młodyś jeszcze i założę się, że przywiązany do krzyża długo jeszcze pociągniesz.

Dwoje oczu, to wszystko, co Antoniusz pokazywał światu, zamknęło się powoli. Mężczyzna przygarbił się, zrezygnowany. Po chwili wstał, podszedł do ogniska i wyłowił z niego płonąca gałąź.

- Zakładam - zwrócił się z godnością do Bazyla - że nawet więźniowi nie zabronisz ogrzać się przy ogniu.

Bazyl cofnął się szybko. Chyba bał się zarazić.

- Nie, nie zabronię. Mogę cię nawet nakarmić, jeśliś głodny.

- Nie jestem głodny.

- Twoja wola — mruknął obojętnie Bazyl. - Właż zatem do dziury i daj nam trochę odpocząć od swojego widoku i smrodu.

Świst, stuknięcie. W pniu drzewka tuż przy barku wilczycy tkwiła rozedrgana strzała. W mgnieniu oka wilczyca była już w głębokich ciemnościach, dwadzieścia stóp od tego miejsca. Trzeba było całej siły woli kobiety, by zapanować nad odruchami zwierzęcia.

- Co, u diabła! - doleciał od ogniska krzyk Bazyla.

- Widziałem ślepią! — odkrzyknął jeden z jego ludzi. — Ślepią jakiegoś zwierza. Obserwował nas z tamtych krzaków.

Srebrna wilczyca stała roztrzęsiona między drzewami.

- Dorzuć lepiej, człecze, do ognia i przestań szyć z łuku do cieni - wywarczał Bazyl.

Srebrna wilczyca przypadła do ziemi i odczołgała się dalej, bo do jej kryjówki zbliżało się kilku ludzi z pochodniami. Jeden roześmiał się.

- Patrz, Drusisie. Ustrzeliłeś drzewko.

- Widziałem ślepia - upierał się Drusis. — Tylko nie trafiłem.

- Jeśli nawet coś się tu czaiło, to teraz jest o milę stąd.

- Te ślepia były wielkie i wysoko nad ziemią. Ani chybi wilk. Polowałem już na wilki, to wiem.

- Ale nie polowałeś na nie w Kampanii - powiedział Bazyl. -To pewnie była sowa.

Spierając się. tak, wrócili do ogniska i jęli się układać do snu.

Srebrna wilczyca zaczekała, aż w obozowisku zapadnie cisza. Na straży zostawili tylko jednego człowieka, by podsyczał ogień. Siedział na stopniach świątyni i drzemał, pewien, że na otwartej przestrzeni nie zaskoczy ich żadna duża gromada ludzi.

W trakcie zamieszania Antoniusz wycofał się do wnętrza świątyni, by udać się na spoczynek.

Wilczyca zaskamlała i kłapnęła zębami, kiedy Regeane przejmowała nad nią kontrolę. Antoniusz znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i bystrzejszy umysł kobiety od razu to pojął.

Regeane była przekonana, że ani Hadrian, ani Antoniusz nie zmieniliby polityki państwa pod groźbą szantażu Bazyla. Bazyl był głupcem i samobójcą, jeśli .na to liczył. Antoniusza czekała śmierć w męczarniach.

A rozwścieczony Hadrian pomściłby go bez wątpienia, zabijając Bazyla. Ucierpieliby wszyscy, a nic by się nie zmieniło.

Wilczyca nie rozumiała meandrów ludzkiego okrucieństwa. Dla niej Antoniusz był po prostu przyjacielem. Bratem z watahy, który znalazł się w opałach i potrzebuje pomocy. Kobieta wycofała się i popuściła wodzy wilczycy, zdając się na jej instynkt.

Sunąc powoli i bezszelestnie, srebrna wilczyca zaszła świątynię od tyłu i znalazła tam to, czego szukała.

Budowla, choć obłożona z wierzchu marmurem, wzniesiona została z

wypalanej z gliny cegły. Jedno z drzew rosnących na miejscu dawnego gaju przewróciło się, wybijając dziurę w ścianie. Szeroki, zarośnięty zielskiem i krzakami jeżyny wyłom ział zaledwie kilka stóp nad ziemią.

Wilczyca przecisnęła się przezeń bez trudu i ujrzała Antoniusza.

Siedział obok wejścia ze zwieszoną głową, wsparty plecami o ścianę, przed nim płonęło małe ognisko.

Podeszła i zatrzymała się po drugiej stronie ognia. Antoniusz, pomimo że był sam, nadal zasłaniał sobie dolną część twarzy opończą, ale na widok tego, co z tej twarzy pozostawało odsłonięte, wilczyca zrozumiała, dlaczego.

Z warg po jednej stronie nic nie zostało; nie osłaniały już zębów. Ubytek ciała sięgał nosa. Obszar oszczędzony przez trąd zdradzał niegdysiejszą urodę.

Ta ludzka ruina przypominała Regeane zapomniany, zniszczony posąg starożytnego boga — którego lico, sieczone wiatrem i deszczem, uległo erozji - nadal noszący jednak ślady dawnej świetności. Jak powiedział Bazyl, Antoniusz był jeszcze młody.

Oczy miał zamknięte.

Srebrna wilczyca stała niezdecydowanie.

Wchodząc do budowli, nie miała żadnego sprecyzowanego planu, tylko nadzieję, że potrafi ułatwić mu jakoś ucieczkę z rąk Bazyla. Ucieczka. Niedorzeczny pomysł. Nie wiedziała nawet, jak mu przekazać, o co jej chodzi. Jak ma się z nim porozumieć? Jak nakłonić, by poświęcił jej swoją uwagę?

Kobieta nie miałaby z tym żadnego problemu. Wilczyca była zagubiona. Zaskamlała cicho, wyrażając tym swoją frustrację.

Antoniusz zamrugnął powiekami i spojrzał na nią ciekawie. Ale bez lęku.

Musiał wziąć ją początkowo za psa, wyciągnął bowiem rękę. Potem w oczy rzucił mu się długi, wilczy pysk, postawione uszy i wspaniała, srebrnoczarna kryza okalająca łeb. Cofnął rękę.

- Moja biedna przyjaciółko - powiedział - czyżbym zajął ci legowisko? To pewnie do twoich ślepi strzelał łucznik Bazyla.

Wilczyca ani drgnęła. Stała dalej, wlepiając w niego ślepią.

- O co chodzi? - podjął. - Chcesz czegoś ode mnie? Zjadłabyś coś? Chyba nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś to na mnie miała ochotę. Śmierć od twoich kłów i pazurów byłaby lżejsza niż długie konanie na bazylowym krzyżu.

Spojrzał w bok. Przy drzwiach leżała drewniana deszczułka, a na niej pół

bochenka chleba, parę oliwek i kozi ser. Wziął ją i postawił przed srebrną wilczycą.

- Proszę, częstuj się. Ja nie mam apetytu na bazyłowy posiłek. Im mniej będę jadł, tym szybciej uwolnię się od Bazyla i przestanę być ciężarem dla Stefana.

Srebrna wilczyca powąchała jedzenie na deszczułce i nie tknąwszy go, podbiegła do drzwi, omijając szerokim łukiem blask rozsiewany przez małe ognisko Antoniusza.

Wartownik, pochrapując cicho, drzemał oparty o podstawę jednej z przewróconych kolumn. Musiał niedawno dorzucić dREW do ogniska, bo płomienie strzelały wysoko, kołysząc się i plując iskrami na nocnym wietrze.

Wilczyca wróciła do ogniska Antoniusza i popatrzyła mu ponad płomieniami w oczy.

- Zaczynasz mnie bardzo intrygować, wilczyco. Twoje zachowanie nie pasuje do dzikiego zwierzęcia.

Wyciągnęła szyję, chwyciła go zębami za skraj opończy i pociągnęła lekko.

- O co ci chodzi? — spytał zdumiony. — Chcesz moją opończę?

W desperackiej próbie przekazania mu jakoś swoich intencji podskoczyła, złapała go delikatnie zębami za nadgarstek i znowu pociągnęła. Regeane należała do kobiet drobnych, ale wilczyca była duża.

Zaskoczony Antoniusz szarpnął się w tył.

Puściła jego rękę i cofnęła się kilka kroków.

Zdumiony popatrzył na nią, a potem na swój nadgarstek.

- Gdybyś chciała mnie zagryźć - powiedział cicho - bez trudu byś to zrobiła.

Z krtani wilczycy wydobyło się ciche, ponagłające warknięcie. Podbiegła do dziury w ścianie świątyni i wróciła do Antoniusza.

- To jakiś obłąd - mruknął Antoniusz. - Czym ty jesteś? Kim ty jesteś?

Ponownie chwyciła go za rąbek opończy i pociągnęła.

- Nie rozumiesz? - wyszeptał. - Oni mają konie. Dościgną mnie.

Tym razem warknęła głośniej i wyszczerzyła zęby.

Antoniusz wstał.

- Coś takiego - wymruczał - stoję i tłumaczę się przed wilczycą.

Szarpnęła go za opończę.

- Może i masz rację. Wszystko już lepsze od losu, jaki gotuje mi Bazyl.

Konia musiał osiodłać sobie sam. Do siodeł, kierując się silnym zapachem skóry, doprowadziła go poprzez ciemności wilczyca. Stała potem w mroku po zawietrznej stronie obozu, by nie spłoszyć koni, i wyczekiwała niecierpliwie odpowiedniego momentu, obserwując wartownika, który pochrapywał wciąż na schodach świątyni.

Konie były spętane długą liną przeciągniętą między dwoma drzewami. Przegryzła tę linę jednym kłapinięciem ostrych zębów. Najbliższy koń stanął dęba, rysując się czarną sylwetką na tle nieba. Odskoczyła w bok przed młócącymi powietrze kopytami.

Uwolnione, ale nadal powiązane ze sobą konie, zamiast się rozbiec, krążyły w kółko i wpadały na siebie.

Srebrna wilczyca zakłębaby, gdyby mogła. Z wściekłym warczeniem odskoczyła od kłębiących się zwierząt. Nie mogła się tam zbliżyć, by poprzegryzać łączącą je linę. Było to zbyt niebezpieczne.

Koń Antoniusza stanął dęba. Wilczyca zauważyła, że jeździec stracił nad nim kontrolę.

Tylko cudem utrzymał się w siodle.

Wartownik na schodach świątyni krzyknął ostrzegawczo.

Wilczyca wpadła w panikę.

Bazyl i jego ludzie zrywali się już z ziemi i chwyтали za broń i pochodnie.

Wilczyca położyła uszy po sobie, dopadła do najbliższych koni i jęła im podgryzać pęciny. Przerażone zwierzęta runęły zbitą kupą prosto na obóz Bazyla, koń z Antoniuszem na grzbiecie za nimi.

Bazyl i jego ludzie zaślepieni paniką rozpierzchli się na wszystkie strony, by uniknąć stratowania. Bazyl umknął na sam szczyt schodów świątyni i stamtąd, na ostatnim z przebiegających koni, dojrzał Antoniusza uczeponego kurczowo łąku siodła.

- Zatrzymać go! - wrzasnął.

Jego ogłupiali ludzie nie zareagowali. Bazyl poderwał do ramienia kuszę i zwolnił cięciwę.

Koń Antoniusza ugodzony bełtem w bok zatoczył się i potknął.

Bazyl chwycił za łuk. Wilczyca nie zwlekała już dłużej. Pomknęła ku niemu szlakiem przetartym przez spłoszone konie.

- Deus meus! — krzyknął ktoś. — To znowu ten pies. Pies z willi.

- Jaki tam pies?! — odkrzyknął ktoś inny. — To sama Lupa, wilczyca Rzymu.

Bazyl odwrócił się na pięcie i wziął na cel szarżujący na niego srebrny pocisk.

W blasku ogniska, które płonęło między nią a Bazylem, wilczyca ujrzała pełne wściekłości oczy i błysk ostrego grotu wymierzonej w nią strzały. Jednym susem przesadziła płomienie i przysiadła na zadzie, gotując się do skoku. W tym samym momencie śmignęła strzała.

Grot otarł się o jej grzbiet i utkwił w ognisku. Błyskając obnażonymi kłami, skoczyła Bazylowi do gardła.

Bazyl dzielił ją łukiem w kark. Potoczyła się po schodach.

- Zabić to przeklęte ścierwo, zabić! - wrzasnął do swoich ludzi.

Wilczyca zerwała się na cztery łapy i pomknęła śladem uciekających koni.

Kobieta usiłowała przejąć kontrolę nad wilczycą. Była przerażona, a jednocześnie szczęśliwa i radosna. Pozbawiła Bazyla ofiary i mało brakowało, a dopadłaby jego samego. Zwolniła, spojrzała w gwiazdy i uświadomiła sobie, że koń, którego dosiada Antoniusz, biegnie w niewłaściwym kierunku - gna przez bezdroża Kampanii w stronę wybrzeża, oddalając się od Rzymu.

Zatrzymała się, robiąc szybko bokami. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jest ranna. Strzała wypuszczona przez Bazyla zadrapała jej grzbiet w miejscu, do którego nie mogła dosięgnąć swoim uzdrowicielskim językiem. Skaleczenie swędziało i piekło. Otrząsnęła się. Sierść wzburzyła się i z powrotem opadła. Rana nie była śmiertelna. Nie była nawet poważna.

Jej uszu dobiegł z oddali wrzask Bazyla.

- Za nimi! - krzyczał do swoich ludzi. - Ranilem tego konia.

Wpakowałem mu bełt pod żebra. Antoniusz to kaleka i na własnych nogach daleko nie ujdzie.

Mężczyźni najwyraźniej nie kwapili się posłuchać rozkazu, bo Bazyl wydarł się znowu:

- Na Boga, dlaczego pokarało mnie takimi durniami?! Za pochodnie! To tylko dzikie zwierzę. Co z wami, strach was obleciał?!

Musiła odnaleźć Antoniusza, zanim uczyni to Bazyl. Opuściła łeb i z nosem przy ziemi zaczęła zataczać kręgi. Po chwili pędziła już tropem koni, czując w nozdrzach wyraźny zapach krwi tego ranionego. Nie nadażał za tabunem, zostawał z

tyłu. Wystrzelwane z kuszy bełty były śmiertcionośnymi pociskami. Wstrząs i utrata krwi szybko zabijają.

Wkrótce dopędziła Antoniusza. Stał obok rannego zwierzęcia. Koń, zwiesiwszy łeb, słaniał się na szeroko rozstawionych nogach i dyszał chrapliwie.

Antoniusz musiał dostrzec kątem oka jej srebrzysty cień, kiedy podbiegała, bo nie odwracając głowy, odezwał się:

- I co teraz, przyjaciółko? - Spojrzał za siebie. Równiną zbliżały się rozkołysane ogniki pochodni ludzi Bazyla.

Wsunęła się między niego a konia, odpychając go od zwierzęcia. Koń wyczuł jej zapach, przestąpił z nogi na nogę i z trudem dźwignął łeb. Zaśniło mętnie wytrzeszczone strachem oko.

Podskoczyła z groźnym charkotem i kłapnęła kłami tuż przy końskiej szyi.

Koń kwiknął z przerażenia i rzucił się na chwiejnych nogach do ucieczki.

Wilczyca nasłuchiwała przez chwilę cichnącego w oddali tętentu kopyt.

- Rozumiem — odezwał się Antoniusz, oglądając się znowu na jasne płomienie pochodni. - Pójdą za koniem.

Wilczyca zaskamlała cicho, a potem z jej krtani wydobyło się chrząknięcie.

- Matko Boska — wyszeptał Antoniusz. - Ty potrafisz myśleć.

Wilczyca nie siliła się nawet na odpowiedź. Była zdruzgotana tym, co przed chwilą zrobiła. To zwierzę zdychało. Czuła się rozdarta. W wilczym sercu więcej było współczucia dla konia niż dla człowieka.

Odwróciła się pod wiatr i poprowadziła Antoniusza, byle dalej od pochodni. Musiała znaleźć dla niego kryjówkę, bo rankiem wilczyca ją opuści. Sygnałem do tego będzie wschód słońca. Musi znaleźć kryjówkę, zanim na powrót stanie się kobietą. Ta myśl wisiała nad jej głową niczym miecz.

Noc śpiewała w uszach wilczycy tysiącem odgłosów.

Regeane przypomniał się pewien dzień z dzieciństwa, kiedy siedząc na kolanach matki, po raz pierwszy zobaczyła książkę.. Jakże zafascynowały ją wówczas maleńkie literki! Była przekonana, że kryją w sobie jakieś cudowne tajemnice, gdyby jeszcze wiedziała, jak je interpretować!

Tak samo czuła się teraz: odgłosy nocy były dla niej niczym księga otwarta przed więzionym w klatce zwierzęciem. Księga, której nie potrafiła odczytać. Za długo pozostawała w niewoli i jako wilczyca, i jako kobieta.

Wysforowała się przed Antoniusza i z uniesionym wysoko łbem jąta zataczać

szeroki krąg, wciągając powietrze w nozdrza. Wyczuwała zapach odległej wody i piżmową woń jelenia.

Musiła przypominać raz po raz zwierzęciu, że z nastaniem świtu radosne stworzenie odejdzie, pozostawiając ją na pastwę losu, nagą i samotną na bezdrożach Kampanii.

Do tego Antoniusz wyraźnie cierpiał. Ledwo powłóczył nogami, a szmaty, którymi miał obwiązane stopy, były już w strzępach. Zaskamlała cicho.

- Tak, Lupo — powiedział Antoniusz - mam nadzieję, że wiesz, co robisz, boja tego nie wiem. Nic z tego nie rozumiem.

Zbiegła z niskiego wzgórza i wdrapała się na sam szczyt następnego. Przystanęła tam, rysując się smukłą, ciemną sylwetką na tle gwiazd.

Zimny wiatr aż tutaj przynosił zapachy miasta. W nozdrza połaskotał ją czystszy zapach dymu z płonącego drewna. Czyżby pochodnie ludzi Bazyla? Nie, wysoko ponad równiną ujrzała odległe światła Monte Cassino. Może tam szukać schronienia dla Antoniusza? Z żalem, ale odrzuciła ten pomysł. Tam Bazyl będzie go szukał przede wszystkim. Nie miała wcale pewności, czy zakonnicy zdołaliby mu przeszkodzić w zabraniu kogoś pozostawionego pod ich opieką.

Uświadomiła sobie, że te wszystkie zapachy są dla niej niczym mapa Kampanii. Odległe miasto, Cassino na horyzoncie i wilgotna, przyprawiająca o zawrót głowy woń. Czego? Dolatywała z pobliskich ruin.

Wróciła do Antoniusza i poprowadziła go w tamtym kierunku.

W zagłębieniu terenu, nad brzegiem czystego strumyka sterczało kilka kominów obrośniętych niemal całkowicie bujną roślinnością.

Kobieta przypomniała sobie, że widziała kiedyś coś podobnego pod leżącym nad Sekwaną Paryżem. Huta szkła.

Opuściła łeb i zaczęła chleptać czystą wodę.

Antoniusz przykucnął obok niej.

- Gdzie mnie przyprowadziłaś, Lupo?

Wilczyca warknęła cicho.

Antoniusz czekał. Wilczyca zaspokoila pragnienie i znowu zaczęła krążyć. Po paru minutach znalazła tunel wentylacyjny. Piece do wytopu szkła napowietrzano od spodu, by płomień w nich osiągał temperaturę mogącą stopić piasek dla dmuchaczy.

Piece były dwa. Pierwszy tunel zapchany był ziemią i śmieciem, ale drugi

pozostał drożny. Przeprowadziła Antoniusza do wylotu tego drugiego.

Spojrzał z konsternacją w czarny otwór.

- Jesteś pewna, Lupo?

Niepokój wilczycy rósł. Było już późno, czas naglił. Przed brzaskiem musi być z powrotem w Rzymie. Zaskowytała ponaglająco.

Antoniusz wpęłł posłusznie do otworu. Tunel wentylacyjny prowadził na spód pieca w kształcie rzepy.

- Już rozumiem - powiedział cicho Antoniusz, dotarłszy tam.

Komin nad piecem był częściowo zwalony, otaczały go gęste krzaki i małe drzewka. Wylot tunelu zarośnięty był wybujałym zielskiem. Wilczyca znalazła go tylko dzięki temu, że kiedyś jakiś inny wilk miał w porzuconym piecu swoje legowisko. Trafiła tu po zapachu.

Miała nadzieję, że ludzie Bazyla, przeszukując tę okolicę, nie będą zaglądali do zrujnowanych pieców. Może nawet nie domyśla się, do czego służyły niegdyś te konstrukcje.

Upewniwszy się, że Antoniusz jest na razie bezpieczny, ruszyła biegiem w drogę powrotną do miasta.

Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Nie zdawała sobie sprawy, że tak bardzo oddaliła się od Rzymu. Dotarłszy do grobowców przy Via Appia, zrozumiała, że nie zdąży dobiec przed brzaskiem do willi Lucilli. Kiedy słońce wychynie zza widnokręgu i jego złote promienie rozproszą mroki nocy, stanie się znowu kobietą.

Jedyna nadzieja to poszukanie azylu w noclegowni, w której mieszkali Hugo z Gundabaldem. Tam miała stosunkowo blisko. Innego wyjścia nie było.

Wbiegając po zewnętrznych schodkach do ich kwatery, natknęła się na schodzącego na dół Hugo. Zrozpaczona, wyczerpana wilczyca nie zamierzała robić mu krzywdy. Chciała tylko przemknąć obok, ale Hugo o tym nie wiedział.

Zatrzymał się jak wryty, z rozdziawioną gębą. Nawet w szarówce przedświt widać było, że pozieleniał z grozy. Otrząsnął się szybko z pierwszego szoku, odwrócił na pięcie, wbiegł z powrotem po schodkach, wpadł do środka i chciał jej zatrasnąć drzwi przed nosem.

Srebrna wilczyca przysiadła na zadzie i skoczyła mu do gardła. Impet uderzenia był tak silny, że Hugo runął na wznak.

Stała mu przednimi łapami na piersi i spojrzała w przerażone oczy. Hugo otworzył usta. Chyba chciał krzyknąć, ale strach sparaliżował go tak, że nie mógł

dobyć z siebie głosu.

Gapił się tylko w zmarszczony pysk wypełniony długimi, białymi zębami. Gorący oddech wilczycy owiewał mu policzek, jej warkot rozbrzmiewał w uszach grzmotem gromu.

Miała teraz Hugo takim, jakim zawsze chciała go widzieć. Żałowała, że nie może przeciągnąć tej chwili. Hugo wyglądał tak, jakby lada moment miał umrzeć ze strachu.

Cóż za cudowny widok!

Szkoda — pomyślała - że za sekundę powrócę do ludzkiej postaci. Chętnie by go ugryzła, ale wtedy w ustach pozostałby jej bardzo niemiły posmak.

Wiedziała, że drogo przyjdzie jej zapłacić Gundabaldowi za tę chwilę satysfakcji, ale mniejsza z tym.

Hugo zsikał się w spodnie i zemdłał. Ciepłe światło wpłynęło przez otwarte drzwi. Regeane zerwała z niego opończę. Musiała się czymś okryć, obojętne czym. Na zewnątrz świeciło, a ona była naga.

7

Obudziła się po południu w swojej izbie. Klęczała skulona pod ścianą. Nigdy jeszcze nie czuła się do tego stopnia zwierzęciem. Postać miała ludzką, ale w jej umyśle buszowała wciąż wilczyca. Być może tylko dzięki niej jeszcze żyła.

Klęczała naga, przykuta do ściany łańcuchem biegnącym od żelaznej obroży, którą nałożono jej na szyję, do klamry wbitej w ścianę wąskiej, opróżnionej ze wszystkich sprzętów izby. Skórę miała siną z zimna, palce u rąk i nóg zdrętwiałe.

Klęczała ze zwieszoną głową, przywierając ramieniem do kamiennej ściany, i grzała się włosami, które spadały jej na piersi i plecy niczym peleryna.

Wstać nie mogła. Nie pozwalał na to zbyt krótki, mierzący zaledwie trzy stopy, łańcuch. Chropawe krawędzie ciężkiej żelaznej obroży przy każdym ruchu kaleczyły skórę i po piersiach na brzuch ściekały strużki krwi.

Cała była we krwi. Gdzieś tam krew zaschła już i ściemniała, w innych była jeszcze czerwona - dopiero krzepła. Zaśnij — radziła wilczyca - uciekaj od bólu i zimna, ale kobieta nie mogła zasnąć. Nie pozwalały jej na to zimno i ból.

Czuła ucisk w żołądku, plecy miała obolałe od razów Gundabalda.

Bała się go teraz niemal tak samo, jak Hugo bał się jej. Gundabald stracił nad sobą panowanie. Chwycił ją za włosy, przewrócił i przydeptując kark buciorem, wcisnął twarz w podłogę. Okładał ją pasem dopóty, dopóki opończa Hugo nie przesiąkła krwią, a jej krzyki nie obudziły gospodarza noclegowni.

Gundabald ani myślał otworzyć im drzwi. Ale gospodarz i jego żona stali pod nimi i złorzeczyli im obojgu tak strasznie — Regeane za krzyki i zakłócanie spokoju innym lokatorom, Gundabaldowi za prowokowanie tych krzyków — że Gundabald przestał w końcu bić Regeane.

- Myślałaś, że będę się bał cię tknąć, co? - wysyczał, zdzierając z niej opończę. - Ale ja wiem swoje. Przyjdzie ta stwora z piekła rodem i cię wykuruje?

Regeane, przekonana, że chce ją zgwałcić, broniła się rozpaczliwie, czym mogła - głosem, zębami, paznokciami.

Gospodarz znowu zaczął złorzeczyć i walić pięścią w drzwi.

Gundabald zapędził Regeane w kąt przy kominku. Regeane wołała o pomoc, krzyczała, że Gundabald chce ją zabić. Gundabald obiecywał gospodarzowi i jego żonie sztukę złota, jeśli zostawią ich w spokoju i odejdą.

Odeszli.

Gundabald zaczął grzmocić Regeane polanem. Po trzecim uderzeniu upadła, ale była jeszcze przytomna, kiedy włókł ją do jej izby i zatrzasnął żelazną obrożę na szyi.

Głowa ją łupała, lewą stronę twarzy miała opuchniętą. Pokręciła głową, tym razem z rozmysłem. Chropawą krawędź obroży potarła o obojczyk. Popłynęła krew - szkarłatna, ciepła, nawet gorąca w zetknięciu z posiniąłą skórą.

Zaczęła dochodzić do siebie dopiero wtedy, kiedy Gundabald zatrzasnął za sobą drzwi. Szarpała łańcuch, krzyczała, nadludzkim wysiłkiem próbowała wyrwać klamrę ze ściany, miotała się i tarosiła obrożę. Wszystko na nic. Kute żelazo nie poddawało się.

To był jakiś koszmar. Nie spodziewała się, że Gundabald posunie się tak daleko. Przeszła jej całkiem ochota do walki. Błagała z płaczem o trochę wody. O coś, choćby o strzęp szmaty do okrycia.

Nadaremno. Doszła w końcu do wniosku, że Hugo i Gundabald musieli wyjść z gospodarzem do pobliskiej gospody. Teraz wszyscy trzej byli już pewnie pijani i odsypiali poranną awanturę.

Żołądek podszedł jej do gardła. Odwróciła szybko głowę i ze zdławionym skowytym zwymiotowała pod siebie jasnozieloną mazią, która zaczęła ściekać po nierównej podłodze w kierunku ściany.

Zaraz potem obok rozlała się kałuża jasnożółtej cieczy. Przez cały ranek walczyła z parciem na pęcherz. Kiedy stało się nie do wytrzymania, popuściła.

Zamknęła oczy. Smród rozchodzący się po izbie drażnił zmysł powonienia zarówno wilczycy, jak kobiety. Ale po chwili powiew mroźnego wiatru przyniósł delikatny zapach *Rosa canina* — psiej róży.

Ujrzała twarz kobiety, a potem mężczyzny. On nie wyróżniał się niczym szczególnym. Przystrzyżone krótko włosy koloru piasku, szeroko rozstawione kości policzkowe, przekorny uśmiech. Na ulicy nie zwróciłaby na niego uwagi. Kobieta była drobna, odznaczała się tą samą kruchą, bladoróżową urodą, co róże obrastające bujnie altankę, w której się znajdowali.

Leżeli nadzy, spleceni w miłosnym uścisku. Na ich ciała rozpalone nie wygasającym erotycznym ogniem opadały powoli aksamitne płatki róż. On trzymał ją w ramionach. Przed chwilą się kochali. Świadczyło o tym niezbie jej omdlałe ciało. I jeśli za świadectwo uznać również ruchy jego rąk, to przygotowywał się właśnie, by wziąć ją po raz kolejny.

I naraz ujrzał ły na jej policzkach.

Obejrzał się. Był nagi. Bezbronny. Broń miał w zasięgu ręki, lecz nie zdążył po nią sięgnąć.

Regeane i wilczyca ocknęły się raptownie. Obroża wrzynała się w szyję. Kilka kropelek krwi pociekło po ramieniu.

Przez zakratowane okienko widziała skrawek ciemnoszarego nieba. Wilczyca, której zegar wewnętrzny zsynchronizowany był z obrotami sfer niebieskich, wiedziała, że to późne popołudnie. Kolejny pochmurny, deszczowy dzień miał się ku końcowi. Z nadejściem nocy zjawi się wilczyca, będzie próbowała ją uleczyć, chronić. Ale jak długo może to jeszcze trwać?

Wilczyca patrzyła na Regeane poprzez tumany śnieżnej zadymki. Nie był to południowy śnieg o wielkich płatkach, które tajałyby w zetknięciu z sierścią, a już na pewno z nosem. Ten śnieg przypominał lodowaty piasek, szorował skórę jak pumeks, a potem zamrażał krew ciekącą z rany.

Wilczyca oczy miała zamglone, żebra jej sterczały, grzbietem biegła guzłowata pręga kręgosłupa. Ona też tęskniła za pożywieniem, wodą, snem i ciepłem. Zemrze bez nich w końcu tak jak kobieta.

Regeane wiedziała, do czego zmierza Gundabald. Chciał z niej zrobić powolną sobie kukłę. Stworzenie tak pragnące go zadowolić, że wykona każde polecenie i udawać będzie, iż czyni to z radością, byle tylko nie narazić się na jego gniew i uniknąć kary.

Ileż jeszcze razy wuj powlecze ją za włosy do izby i przykuje do ściany łańcuchem? Ileż razy będzie ją głodził i nie dawał pić? Ileż razy poturbuje - a wilczyca wyleczy potem rany - zanim ją złamie i uczyni posłuszną? Żyjącą jak Hugo i Silve między flaszką a chędożeniem? Stosującą się do wszystkich jego poleceń ze strachu przed przeżywaniem na nowo tego horroru?

I nagle zjednoczyła się ze swoją koszmarną siostrą. Ślepią wilczycy patrzyły na nią z krainy, gdzie słońce, buchając purpurowym, szkarłatnym, fioletowym i złotym ogniem, zanurzyło się właśnie za horyzont. Jego promienie barwiły martwą, białą, skutą lodem równinę. Wraz z zachodem słońca wilczyca umarła. Dawno temu i tylko jedną ze swych śmierci. Leżała w śniegu, a ciała obrastającego kości nie starczało, by ogrzać ją w mroźną noc. Spoczęła w tym lodowym grobowcu na zawsze. Jej dusza uleciała do gwiazd.

Istniała szansa - jedna jedyna szansa na ocalenie. Lucilla. Ale Regeane

widziała przecież Antoniusza w rękach Bazyla i nie była wcale pewna, czy Hadrian jest jeszcze papieżem. Ani czy Lucilla jest w stanie ją uwolnić.

Jeśli jednak nie zdoła jej uwolnić Lucilla, to Regeane poradzi sobie sama. Było to w jej mocy. Pomacała ostre zadziory na krawędzi obroży. Przypomniała sobie nauki wilczycy o rzekach ciemnej i jasnej krwi pulsującej pod skórą.

Przymknęła oczy, jak uczyniłoby to chore, cierpiące zwierzę. Podjęła decyzję. Czekwała spokojnie, odpoczywając, zbierając siły na to, co miało nadejść.

Obudził ją głos Lucilli dolatujący z sąsiedniej izby.

- Do kroćset! — krzyczała Lucilla. - Napal w kominku. Nawet w katakumbach cieplej i przytulniej. Nie, śmierdzący głupcze! Nie skap szczap! Ten ogień ma buzować.

Gospodarz wybełkotał coś usprawiedliwiającym tonem, płaszcząc się wyraźnie przed rozsierdzoną Lucilla.

- I daj nam jeść. Nie! Nie chcę twoich odpadków. Widziałam przy tej ulicy gospodę. Sprzedaj ą tam jadło na wynos.

Gospodarz wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Co?! - krzyknęła Lucilla. - Nie chcę tego słuchać! Widzisz? To złoto. Nie jakaś tam miedź, nie srebro, lecz szczerze złoto. Pójdiesz z Eurykiem do tej gospody. Kupisz mi, co tam mają najlepszego - wino, mięso, chleb. Wszystko najlepsze. I czekam na resztę. Za sztukę złota tej wielkości można żywić przez rok całą rodzinę.

Skrzypnęły drzwi.

Regeane chciała zawołać, ale z jej ust wydobył się tylko chrapliwy szept:

- Lucillo.
- Ach, słyszę ją, a więc jest przytomna. Powiadasz, że ją bili?
- Tak, szlachetna pani. Krzyczała wniebogłosy. Przybiegliśmy z żoną na pomoc, ale jej wuj zabarykadował drzwi i nie mogliśmy...

Reszta odpowiedzi utonęła w zgrzycie i szczęku odsuwanych rygli.

Załgany wieprz - pomyślała Regeane. Bez wahania dał się przekupić Gundabaldowi.

Do izby weszła Lucilla. Na widok zmaltretowanej Regeane stanęła jak wryta i pobladła. Nogi wyraźnie się pod nią ugięły.

- Tylko nie zemdlej - wychrypiała Regeane. — Nie pozwól, żeby ci ludzie

zobaczyli mnie w takim stanie.

Drzwi były lekko uchylone. Lucilla zatrzasnęła je za sobą. Zamknęła oczy, odwróciła się do Regeane plecami i wsparła czołem o zamknięte drzwi.

- Czy twój wuj oszalał? - zapytała łamiącym się głosem.
- Nie - odparła Regeane. - Nie sądzę. Próbuje mnie tylko za wszelką cenę podporządkować sobie.

- Pani - dobiegł zza drzwi głos Euryka. - Może w czymś pomóc?
- Odejdźcie! - warknęła ostro Lucilla. - Wszyscy!
- Pani - powtórzył próbę Euryk. - Co się stało? - W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

- Nic - Lucilla zawahała się. - Nic takiego, z czym bym sobie nie poradziła. Idź z gospodarzem po jedzenie. Zaklinam cię, idź natychmiast, a przy drzwiach postaw dwóch ludzi, niech tu nikogo nie wpuszczają. Nie chcę zadźgać nożem jej wuja, gdyby wrócił niespodziewanie. No, idźże już! - krzyknęła i tupnęła nogą.

Niedługo potem Regeane siedziała w fotelu przed kominkiem, moczyła stopy w wiadrze z ciepłą wodą i pałaszowała treściwy rosół z kury. Miała na sobie wytartą suknię przeznaczoną dla kobiety w zaawansowanej ciąży, wiszącą na niej jak worek. Lucilla pochyliła się i przyjrzała jej twarzy.

- Boże - wyszeptała - przed chwilą jakoś gorzej mi to wyglądało.

Regeane wiedziała, że to skutek interwencji wilczycy.

- Co się z tobą działo wczorajszej nocy? - zmieniła temat Lucilla. Grzebała w stojącej w kącie skrzyni z rzeczami po Gizeli. - O Boże - powiedziała, unosząc w górę wystrzępioną suknię bliżej nieokreślonego koloru. - Czy twoja matka nie wiedziała, że rodzina miała obowiązek o nią dbać? Była jednak szlachcianką. Krewni powinni zapewnić jej przyzwoity przyodziewek, choćby mieli przez to chodzić głodni.

Regeane wstała. Posiłek ją rozgrzał. Skończyła rosół i zabrała się do następnego dania: gotowanego szpinaku okraszonego skwarkami z bekonu.

- Matka miała jedną ładną suknię - wymamrotała z pełnymi ustami. — Pochowałam ją w niej.

Lucilla wrzuciła suknię z powrotem do skrzyni. Posłała Regeane spojrzenie, którym można by ciąć szkło.

- Nie waż się mnie zwodzić, dziewczyno! - wycodziła. — Co się wydarzyło

wczorajszej nocy? Odpowiadaj, i to już!

Regeane miała przygotowaną historyjkę.

- Przestraszyłam się... Uciekłam. Było ciemno. Pobłądziłam... - Podniosła wzrok znad talerza i zerknęła na Lucillę, żeby sprawdzić, jak przyjmuje te wyjaśnienia.

Lucilla kiwnęła posępnie głową.

- Bardzo się bałam... świtało już, kiedy dotarłam do noclegowni. Wuj myślał, że byłam z mężczyzną... Wpadł w szal. Dzięki Bogu, że przysłaś. Myślałam, że umrę. — Zakończyła.

- No, no, no — powiedziała Lucilla głosem, który ociekał sarkazmem. -I to wszystko bez ubrania.

Regeane, czując na sobie wzrok Lucilli, kończyła w milczeniu szpinak. Nie przychodziło jej do głowy żadne przekonujące kłamstwo, a prawdy powiedzieć przecież nie mogła.

Wylizła talerz i sięgając po kromkę chleba nadziewanego czarnymi oliwkami, wymruczała pod nosem najwulgarniejsze przekleństwo, jakie słyszała z ust staruchy.

- O! - powiedziała Lucilla. - Tak już lepiej. - Pochyliła się znowu nad skrzynią. - Na ziemi w ogrodzie, na murku i na drodze jest mnóstwo śladów krwi. Ktoś... coś... musiało porządnie pokiereszować Bazyla i jego przyjaciół. Ale tobie nic o tym nie wiadomo, prawda? Ty, nie oglądając się za siebie, uciekałaś, gdzie oczy poniosą, naga, bez ubrania, w zimną, wilgotną noc.

- Nie drażmy lepiej tego tematu — mruknęła Regeane. Tym razem próbowała powiedzieć to z godnością.

- Do tego - ciągnęła Lucilla, przypatrując się badawczo jej twarzy - bardzo szybko goją ci się obrażenia. Obawiałam się zrazu, że zostałaś trwale oszpecona. Teraz widzę tylko niewielkie sińce. Ale kiedy wrócimy do willi, mimo wszystko każę cię zbadać mojemu medykowi.

Na Regeane spłynęła taka ulga, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Wracamy do willi?

- Naturalnie - odparła Lucilla. — Nie masz wyboru. Trzeba wyrzucić wrażenie na twoim górskim panu. A nie sądzę, żeby zauroczyła go narzeczona w tak opłakanym stanie. Papież powierzył mi zadanie przekonania Maeniela, że to małżeństwo jest dla niego zaszczytem. Mężczyźni nie cenią sobie tego, co łatwo

przychodzi. Trzeba cię więc nauczyć, jak się ubierać, zapoznać choć pobieżnie z zasadami właściwego zachowania w zacnym towarzystwie. Przybliżyć problemy, jakie wiążą się z prowadzeniem dużego domu, I na koniec zaprotegować. Na szczęście twój przyszły małżonek to niedomyty barbarzyńca, jego oczekiwania nie są więc zbyt wygórowane.

- Widzę, że jesteś na mnie zła - powiedziała pochmurnie Regeane. - Ale nie musisz z tego powodu obrażać mojego narzeczonego. A poza tym: co to znaczy zaprotegować?

- Protekcja to przedstawienie kogoś właściwym ludziom przez właściwych ludzi - odparła wyniośle Lucilla. - A wracając do Maeniela, zaczynam dochodzić do wniosku, że prawdopodobnie będziesz dla niego dobrą partią. Kimkolwiek on się okaże. To małżeństwo, choć tego nie wiesz, z dnia na dzień nabiera znaczenia. Jeszcze raz zwrócę się w twoim imieniu do lichwiarzy. Może wyłożą pieniądze na stosowny dla ciebie strój i klejnoty. No, kończ posiłek. Musimy już iść. Nie chcę, żeby doszło do jakiejś burdy między twoimi krewnymi a moimi ludźmi. Musze; pilnować, żeby nie wzięto cię na języki — czymkolwiek jesteś. Nie wolno też dopuścić, żeby ten twój potworny wuj okaleczył cię przed dojściem małżeństwa do skutku. Odpowiadam za ciebie, dopóki nie zostaniesz żoną Maeniela. Czasu zostało niewiele. Twój jurny barbarzyńca zjawi się wkrótce w Rzymie.

- W Rzymie?! - wykrzyknęła Regeane.

- Tak - odparła Lucilla. - Papież po niego posłał. Uznał, że niema czasu do stracenia.

Regeane wymruczała pod nosem jeszcze jedno słowo zasłyszane u starej.

- Regeane! - ofuknęła ją Lucilla- istnieją rozmaite sposoby na oczyszczenie języka młodej kobiety. Ostrzegam cię, że większość znam.

- Emocje mnie poniosły - odparła niewinnie Regeane.

- Regeane... - Lucilla urwała, słysząc zamieszanie za drzwiami. - Co tam?! - zawołała. - Jej wuj wrócił?

- Nie! - odkrzyknął jeden z żołnierzy stojących na zewnątrz. -To... jakby kobieta?

- Pewnie stara - powiedziała Regeane. - Chyba chce posprzątać. Wpuść ją.

Drzwi uchyliły się. Do izby wpełzła na czworakach Silve. Na widok Regeane

pisnęła, parsknęła jak koń, zabeczała jak owca i czmychnęła pod stół. Była tak przemoczona, że zostawiła za sobą ślad ciągnący się od drzwi do stołu.

- Co tu robisz? — warknęła Regeane. - Kiedy ostatnio cię widziałam, próbowałaś podjuzdzić przeciwko mnie kondukt pogrzebowy. Masz odwagę wracać...

- Chciałaś ukraść temu człowiekowi duuuuszę! Chciałaś! Chciałaś! Błagaaaam - bełkotała Silve. - Zimno mi! Głodnam! Hugo obił mnie i zabrał pieniądze, na które harowałam calušką nooooc... - Silve pociągnęła głośno nosem. - Już wychodziłam. Naprawdę. Naprawdę wychodziiiiłam. Nikomu nie powiem, nie powiem. Obiecuję! Zaklinam się. Przysięgam. Na głowę mojego ojca, na głowę matki, siostry...

- - Zamilcz! - przerwała jej Lucilla, zaglądając pod stół. - Co to za jedna?

- Moja służąca — wyjaśniła Regeane.

- Twoja służąca?! - powtórzyła wstrząśnięta Lucilla. - Toż to... - tu użyła określenia, którego Regeane nie słyszała nawet w ustach starej.

- Wcale nie - pisnęła Silve. - Zawsze biorę przynajmniej miedziaka.

- Chciałaś powiedzieć: najwyżej miedziaka - fuknęła pogardliwie Lucilla.

Silve wydała z siebie gulgot nieumiejętnie duszonego kurczaka, który wyrwał się z rąk oprawcy, zanim ten zdążył mu porządnie ukręcić łeb. Regeane wzięła ze stołu kawałek chleba, miskę zupy i pospiesznie podała je Silve.

Spod stołu dobiegło przeciągłe siorbnięcie, a po nim zachłanne mlaskanie.

- Co ona bredzi o tym kradzeniu komuś duszy? - zapytała rozsierdzona Lucilla. — Parasz się takimi rzeczami?

- Skąd! - zachnęła się Regeane, czerwieniąc się z oburzenia. - Zresztą na co mi czyjaś dusza? Wiem, że jestem inna, ale paktu z diabłem jeszcze nie zawarłam. Taka się już urodziłam. Nic na to nie poradzę. Matka nie mogła mi tego darować. Hugo i Gundabald nie uważają mnie za człowieka.

- Bo nie jesteś człowiekiem! - skrzeknęła Silve. - Wyczarowałaś miejsce, którego tam nie było. Miałaś zęby, wielkie zębiska. Stałaś cała w ogniu. Osy w nim umierały... i ta mara tak śmierdziała... spaliła się na węgielek i odleciała.

- Ty! - krzyknęła Regeane. - Ty! Ty... - nie znajdowała wystarczająco dosadnego epitetu. - Chroniłam cię przed tym koszmarem, ty niewdzięczna, podła latawico. Jak zaraz nie zamkniesz gęby, nie wyleziesz spod stołu i się nie uspokoisz, to... to... przemienię cię w ropuchę i resztę życia spędzisz w ruinach Forum, łapiąc

językiem muchy. Tak zrobię!

Lucilla wyrzuciła w górę rękę.

- Nic z tego nie rozumiem — powiedziała.

Silve wygramoliła się spod stołu i wciąż napychając sobie usta chlebem, usiadła na krześle.

- Tak - mruknęła, spoglądając na nią, Lucilla. - Boże, zamieniając ją w ropuchę, oddałabyś światu przysługę.

Silve zaczęła szlochać, dławiąc się chlebem.

- Nie strasz jej - rzekła Regeane. - Bo będzie jeszcze gorzej.

- Widzę - przyznała Lucilla i zwracając się do Silve, warknęła tonem nie znoszącym sprzeciwu: — Przestań miauczeć!

Silve uspokoiła się.

- Rozgrzałaś się? - spytała Lucilla.

- Tak - chlipnęła Silve.

- Najadłaś się?

- Tak - odparła Silve.

- Bardzo dobrze — orzekła Lucilla, zwracając się do Regeane i Silve. - A zatem idziemy. Na dole czeka mój powóz.

- Idziesz z nami, Silve - powiedziała Regeane i dodała szybko: — W powozie może siedzieć obok mnie. — Zdążyła już przywyknąć do zapachu bijącego od Silve. Prawdę mówiąc, pod tym jednym względem nie zgadzała się z wilczycą. Wilczyca uznawała ten zapach za interesujący. Regeane wołałaby go nie czuć.

- Moim powozem nie pojedzie! - powiedziała stanowczo Lucilla. - Robactwo, które pełza po źródle jej dochodów, jest z pewnością wystarczająco wyrosnięte i liczne, by wziąć szturmem warowne miasto. A parę ruchów grzebieniem, i wyczesałoby się go z jej włosów tyle, by skompletować załogę broniącą blanków. Poza tym podejrzewam, że w życiu się nie kąpała. Wołałabym już towarzystwo stosu gnijących na słońcu śmieci.

Silve rozdziawiła usta.

- Zamknij gębę - fuknęła Lucilla.

Silve posłuchała, ale zdołała jeszcze wyszeptać:

- Mogę sobie pójść.

- O nie, nie możesz. Nie masz tu nic do gadania. Będziesz robiła, co mówię. Albo... każę cię udusić, przywiązać do szyi kowadło i wrzucić do Tybru. -

Wargi Silve znowu się rozchyliły. - Albo... może... - ciągnęła Lucilla -jeśli dostatecznie wyprowadzisz mnie z równowagi, to nie każę cię udusić, tylko wrzucić do Tybru żywcem z kowadłem u szyi. W drodze na dno poodychasz sobie wodą.

Silve otworzyła szeroko usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Regeane podała jej starą opończę matki. Była wyblakła, postrzępiona, podarta i połatana, ale chroniła jeszcze przed zimnem.

- A teraz - powiedziała Lucilla - marsz na dół! Stań za moim powozem, nie odzywaj się do nikogo i czekaj. Ani mru-mru. Zrozumiałaś?

Silve nic nie odpowiedziała. Pokiwała tylko skwapliwie głową.

- Ruszaj! - Lucilla klasnęła w dłonie.

Silve już nie było.

- Nie wolno ich zostawiać samym sobie, prawda? - powiedziała Lucilla, zwracając się do Regeane.

- O kim mówisz? - spytała Regeane.

Lucilla po raz pierwszy się uśmiechnęła, pokazując wszystkie zęby.

- O ludziach, którzy za dużo o tobie wiedzą.

- To dlatego chcesz ją zabrać? - spytała z niepokojem Regeane.

- Dlatego - przytaknęła Lucilla.

Nadal szperała w skrzyni, szukając jakiegoś przyzwoitego stroju dla Regeane. Suknia, którą dziewczyna miała na sobie, choć obszerna, była stanowczo za krótka. W końcu Lucilla, tracąc nadzieję, że znajdzie coś stosownego, uniosła jej kraj.

- Może odpruję szybko jej skraj... Obcięta! - wykrzyknęła. - Kto to zrobił? — Spojrzała na Regeane.

- Hugo z Gundabaldem. - Regeane westchnęła. - Skraj sukni był pewnie wyszywany złotą albo srebrną nicią.

Lucilla parsknęła gniewnie.

- Strasząc Silve, że ją utopisz, mówiłaś poważnie? – spytała Regeane.

- Owszem - przyznała Lucilla, zarzucając jej na ramiona własną opończę.

- I mogę to jeszcze zrobić, jeśli nie będzie mi posłuszna. Nie chcę, żeby latała po ulicach i rozpowiadała komu popadnie niestworzone historie. Mogłyby dotrzeć do uszu twojego przyszłego męża, Lombardczyków, Bazyla, tych twoich nic nie wartych krewnych, a może nawet do papieża. A on ma teraz dosyć problemów. Twoje małżeństwo jest ważne, bardzo ważne. Królowi Karolowi i papieżowi bardzo zależy

na zabezpieczeniu alpejskich przełęczy. Dezyderiusz, król Longobardów, dał Bazyłowi wolną rękę, obiecując mu władzę nad miastem, jeśli zdoła obalić papieżu Hadriana albo go sobie podporządkować. Hadrian nie ważyłby się znieważyć wnuka Karola Młota. Nie mogę dopuścić, żeby obgadywano cię w każdym domu uciech i w każdej mordowni Rzymu. Ta dziewczyna nie będzie brukała twojego dobrego imienia. Ani twoi krewni. Jeśli będą mi sprawiali kłopoty, każę ich uciszyć! Zrozumiałaś?! Zrozumiałaś?!

- Zrozumiałam - odparła pośpiesznie Regeane.

Opończa była przepiękna, miękka w dotyku, miała kolor jesiennego brązu. Zdobit ją haft przedstawiający długie wierzbowe liście wyszywane na przemian złotą i srebrną nicią.

- Wierzby są smutne - szepnęła Regeane. - Płaczą nad umierającymi. Dlaczego nie cyprysy?

Lucilla zacisnęła mocno usta. Twarz jej stężała. Przez moment wyglądała na swój wiek, a może i starzej. Na stojącą nad grobem matronę.

- Nie czas jeszcze na cyprysy - rzekła. - One strzegą umarły h. Ale myślę, że może lepiej by ci było z nową służącą i gdybyś została osierocona.

- Dlaczego akurat z kowadłem u szyi? - spytała Regeane.

- Bo najzdatniejsze - powiedziała Lucilla. - Przytrzymuje trupa na dnie, dopóki zwłoki nie rozłożą się tak, że nikt ich już nie rozpozna. Chociaż wątpię, by w przypadku tej trójki ktoś się przejął ich zniknięciem. Ale tak zawsze bezpieczniej.

- A co robisz, kiedy nie masz pod ręką kowadła? - zapytała Regeane.

- Nie bądź zuchwałą — powiedziała Lucilla. - Rozgrzałaś się, najadłaś?

- Tak.

- Bardzo dobrze, to teraz na dół i prosto do powozu! Ruszaj!

Powóz Lucilli przypominał lektyki dawnych Rzymian: miał zasłony w oknach, od wewnątrz wybity był i wymoszczony jedwabiem i aksamitem. Dawni Rzymianie noszeni byli wysoko nad głowami tłuszczy na barkach muskularnych, spoconych niewolników. O płynność jazdy dbał nadzorca z wielkim batem.

Jazda powozem Lucilli do najpłynniejszych nie należała. Ciągnęły go przez korso cztery silne, szare muły. Koła o stalowych obręczach turkotały głośno i podskakiwały na kocich łbach. Powozem trzęsło niemiłosiernie. Ani jedwab, ani

aksamit nie wystarczały, by poprawić komfort jazdy.

Regeane siedziała wciśnięta w ką, z dala od Lucilli. Pomimo miękkich poduszek wylatywała w powietrze na każdej dziurze i wyboju. Spadając, odbijała sobie boleśnie tylną część ciała. Czasami traciła równowagę i ratując się przed twardym lądowaniem na podłodze, chwytła się grubych płóciennych zasłon.

Jedno z kół wpadło w głęboką dziurę. Regeane, machając rozpaczliwie rękami, przechyliła się w bok; oczyma wyobraźni widziała już siebie na bruku. Lucilla złapała ją w ostatniej chwili za nadgarstek i wciągnęła z powrotem do powozu.

- Spokojnie! - powiedziała z wrednym uśmiechem. — To jak jazda na koniu. Musisz naśladować jego ruchy. Szybciej! - zawołała do stangreta.

Regeane wpiła się palcami w wyściółkę siedzenia. Ale nie wiedzieć czemu powóz nie przyspieszył. Wprost przeciwnie, zwolnił i zatrzymał się. Coś uderzyło z głośnym pacnięciem o grube płócienne zasłony. Lucilla wyszeptała jakieś przekleństwo w rynsztokowej łacinie, a potem uchyliła zasłonę i wyjrzała.

Wokół powozu zgromadził się mały tłumek. Ludzie gapili się na wspaniały pojazd z mieszaniną podziwu, ciekawości i zawołowanej wrogości.

- Odsuń całkiem te zasłony, Lucillo! - krzyknął ktoś stojący z tyłu. — Niech się ludzie dobrze przypatrzą papieskiej nałożnicy.

Lucilla chwyciła pełną garścią zasłonę i odciągnęła ją z głośnym grzechotem żelaznych kółeczek.

— Proszę bardzo! - zawołała. - Oto jestem. A teraz ty, panie, wystąp, bym mogła przyrzeć się dobrze twemu licu... i zapamiętać je.

Mężczyzna, który przed chwilą wołał do Lucilli, wycofał się chyłkiem i znikł w jakimś zaułku.

- Pogratulować odwagi - skomentowała to głośno Lucilla, a potem, zwracając się do gapiów, zawołała: - Czy ktoś tu podziela jego opinię? To wasz znajomy? Potrafi mi ktoś podać jego nazwisko?

Nerwowy śmiech rozszedł się wśród wianuszka gapiów otaczającego powóz. Tłumek stopniał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Lucilla krzyknęła do stangreta, żeby ruszał, i gniewnym szarpnięciem zaciągnęła z powrotem zasłonę.

- Papieska nałożnica, tak? - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Szkoda, że mu się lepiej nie przyjrzałam. - Rzuciła Regeane twarde spojrzenie. - Nie widzę, żebyś była zaskoczona, iż ktoś nazwał mnie papieską nałożnicą.

- Bo nie jestem — przyznała Regeane. Pamiętała, jak ostatniej nocy Bazyl nazwał Antoniusza bratem papieża. Wynikało stąd, że Stefan jest papieżem. A Lucilla... Stefan, dowiedziawszy się, jakimi łotrami są Gundabald i Hugo, bez zastanowienia posłał ją do Lucilli, powiedział, że ona się nią zaopiekuje. - Podejrzewam — odezwała się - że od bardzo dawna jesteś kochanką papieża.

Lucilla popatrzyła na nią ze zdumieniem.

O zasłony zabębnił grad pocisków.

Lucilla przygryzła dolną wargę i zacisnęła pięści, ale zasłony już nie odsunęła. Dał się słyszeć stukot kopyt galopującego konia, a zaraz potem głośny wrzask bólu. Pewnie jeden z rzucających kamieniami został ukarany przez któregoś z ludzi z przybocznej straży Lucilli.

- Hydrogłowy potwór — wyszeptała gorzko Lucilla.

- Słucham? - zapytała Regeane.

- Mówię o rzymskim motłochu - wyjaśniła Lucilla.

- Co się stało?

- Nikt nie chce silnego papieża, Regeane - odparła Lucilla - a już najmniej Lombardczycy. Sługusy Bazyla rozpowiadają po kościołach, że Hadrian zaraził się brzydką chorobą i nie nadaje się już na papieża.

- Chcą wmówić ludziom, że jest trędowaty jak Antoniusz? - zapytała Regeane.

W tym momencie kryty powóz zatrzymał się przed willą Lucilli. Regeane wyskoczyła z niego z ulgą, Lucilla opuściła pojazd nieco stateczniej.

Kiedy weszły do atrium, jakaś mała postać śmignęła ku nim niczym pocisk wystrzelony z procy, uwiesiła się Regeane na szyi i oplotła ją w talii długimi nogami. Była to Elfgifa.

- Wróciłaś! Wiedziałam, że ona sprowadzi cię z powrotem. To ja cię odnalazłam. Mówiła ci już? - Mała patrzyła na Regeane wyczekująco.

- To naprawdę ona? — spytała Regeane, uwalniając się od Elfgify i spoglądając na Lucillę.

- Nieznośne, doprawdy nieznośne dziecko - fuknęła z czułością Lucilla. - Tak, ona. Kiedy usłyszała, że zniknęłaś, przelazła przez mur. Zjawiła się wkrótce potem, prowadząc najbrudniejszego chłopaka, jakiego w życiu widziałam. Zażądał srebrnej monety i kąpieli.

- Kąpieli? — zdziwiła się Regeane.

Elfgifa zerknęła na Regeane kokieteryjnie spod opuszczonych rzęs.

- Tak - potwierdziła z rozdrażnieniem Lucilla - kąpiel. Dostał tę kąpiel, srebrnika i - tu wzięła się pod boki i spiorunowała Elfgifę wzrokiem - wielkiego, soczystego całusa.

Elfgifa zacisnęła mocno usta i zawstydzona spuściła głowę.

- Obiecałam mu tego całusa, ale zastrzegłam, że takiego brudasa za nic w świecie nie pocałuję. - Potrząsnęła głową. - Mój ojciec mawia, że mężczyzna, który nie myje się przed pójściem do kobiety i potem, nie szanuje ani siebie, ani tej kobiety. Rozumiem, że „przed”, ale po co „potem”? Powiedziałam mu, że według mnie raz by wystarczyło, ale on powtórzył, że potem też trzeba. Możecie mi wyjaśnić, dlaczego?

- Czemu jego o to nie spytałaś? — Lucilli drgały usta.

Elfgifa ściągnęła brwi. Jej dolna warga zaczęła się wysuwać.

- Spytałam. Uśmiechnął się tak, jak ty się teraz uśmiechasz, i powiedział, że zrozumie to lepiej, kiedy już dorosnę.

- Tylko nie nudź znowu, że chcesz to zrozumieć już teraz - powiedziała pośpiesznie Regeane. - Narobiłaś mi wstydu w obecności Antoniusza i Stefana.

Elfgifa patrzyła na obie kobiety w milczeniu.

- Pamiętaj, że jesteś jeszcze dzieckiem — odezwała się Lucilla. - Są pewne sprawy, na których wyjaśnienie będziesz musiała poczekać.

Elfgifa westchnęła.

- Dziękuję za zwrócenie mi na to uwagi. Tak zbywa mnie zawsze mój ojciec, kiedy mówię mu coś, czego nie chce słyszeć. Wiem, że jestem dzieckiem, ale nie rozumiem... - Urwała, bo nagle coś się jej przypomniało. - A mój wuj Thungbrad i ciotka Huldigun często do siebie chodzili, i żadne nigdy się nie myło. Spytałam o to ojca. Powiedział, że oni oboje są na bakier z wodą. Tego też nie mogłam zrozumieć. Może chodziło o to, że upijali się oboje jak niektórzy ludzie mojego ojca, wpadali z nimi pod stół i...

- Wydaje mi się, że to właśnie miał na myśli twój ojciec - wpadła jej w słowo Lucilla.

- Że nawet do wina nie dolewają sobie wody? - spytała Elfgifa.

- Właśnie - przytaknęła Lucilla. — A teraz zmykaj. - Wezwałam swojego osobistego medyka, żeby zbadał Regeane.

- Czy on cię zbił? - spytała Elfgifa. - Postumous - to ten chłopiec, od którego dowiedziałam się, gdzie jesteś - powiedział, że niedaleko Forum mieszka

troje Franków, z których jeden nazywa się Hugo. Mówił, że dzisiaj rano słyszał, jak krzyczałaś.

Lucilla pchnęła delikatnie Regeane w stronę korytarza prowadzącego w głąb domu.

- Tak, zbił ją.
- Ojej - zatroskała się Elfgifa. - Mogę zobaczyć?
- Nie, nie możesz — ucięła stanowczo Lucilla.

Elfgifa ścisnęła mocno dłoń Regeane.

- Skoro mam być jej służką, to muszę...
- A kto ci, u licha, powiedział, że będziesz jej służką? - spytała Lucilla.
- Twoja służka Susanna - odparła Elfgifa. - I ja chcę. Susanna mówi, że to cudownie być służką. Wydaje się polecenia sługom mężczyznom, wszyscy kupcy obsypują cię drogimi podarkami za to, żebyś namówiła swoją panią do zostania ich stałą klientką. Można sobie brać, ile się chce, kochanków i nie trzeba wychodzić za mąż za jakiegoś zgrzybiałego starego dziada dla jego pieniędzy i... tylko tego, dlaczego miałyby się wychodzić za zgrzybiałego starego dziada dla jego pieniędzy, też nie rozumiem. Czy młodzi mężczyźni nie mają pieniędzy?

- Widzę — mruknęła Lucilla - że będę musiała rozmówić się z Susanna.
- Och, nie — wtrąciła Regeane. - Jestem pewna, że ta kobieta nie miała niczego złego na myśli. — Uścisk małej, ciepłej rączki działał na nią kojąco. - Proszę cię, nie odprawiaj Elfgify.

Lucilla popatrzyła surowo na dziewczynkę.

- Dobrze, nie odprawię jej, jeśli... jeśli obieca mi, że będzie siedziała w kącie cichutko jak mysz pod miotłą, kiedy medyk będzie cię badał. Jeśli chce zostać służką, to wpierw musi się nauczyć, kiedy wolno jej mówić, a kiedy ma milczeć.

- O tym Susanna mi nie wspominała - powiedziała Elfgifa.

- Nie? — mruknęła Lucilla. — Drogie podarki od kupców, powiadasz! Najwyraźniej ona też nie wszystkiego się jeszcze nauczyła.

Zjawił się medyk Pappolus, wysoki, dobrze ubrany człowiek, który pomimo młodego wieku roztaczał już wokół siebie aurę godności.

Regeane krępowała się zrazu rozebrać na oczach mężczyzny, ale ośmielona obecnością Lucilli, która stała nad nią jak smoczyca, i popatrującej ciekawie z kąta Elfgify, w końcu pokazała medykowi plecy.

Zbadał ją, pociągając nosem, a potem długimi, rozbudowanymi zdaniem,

które okraszał obficie bardzo mądrze brzmiącymi greckimi słowami, obwieścił swoją diagnozę, wziął zapłatę, zostawił maść do smarowania pleców Regeane, i poszedł sobie.

Lucilla powąchała podejrzliwie maść i wyrzuciła ją, mówiąc:

- Raz przepisał jednej z moich dziewcząt maść na oczy. Zamiast polepszyć pogorszyło się jej. Przeprowadziłam małe dochodzenie i wyszło na jaw, że według niego niezastąpionym lekiem na wszystko jest łajno hipopotama, które sprowadza z Egiptu w sproszkowanej postaci. Ledwie uratowałam dziewczynie wzrok. Muszę jednak przyznać, że ten człowiek zna się lepiej ode mnie na zapobieganiu tworzeniu się blizn. Dlatego poprosiłam go, żeby cię obejrzał.

Lucilla wmusiła w Regeane wywar na sen. Dziewczyna opierała się z początku, w końcu go wypła. Lucilla zaprowadziła ją do kubiculum. Pokoik był mały i ciemny nawet za dnia. Oświetlały go tylko lampa trzymana przez Lucillę i poświata sącząca się z nasłonecznionego atrium. Lucilla kazała Regeane wyciągnąć się na łożu.

Kładąc się, Regeane czuła, jak napój na sen zamula jej umysł i przytępia zmysły.

Lucilla stała nad nią z lampą w kształcie gołębic w ręku. W blasku płomienia Regeane widziała tylko jej odcieleśnioną twarz, rozpływającą się w chłodnym, przyjemnym mroku.

- Odpoczywaj - powiedziała Lucilla cicho, kojącym tonem. - Śpij. - A potem jeszcze ciszej: - Śpij.

Chociaż Lucilla starała się zachowywać jak najciszej, trzask zasuwanego rygla u ciężkich drzwi zabrzmiał głośno w uszach zarówno Regeane, jak i wilczycy.

Na wpół paraliżowały ją wywar na sen i kompletne wyczerpanie. Siły wilczycy nie były niewyczerpane. Ona też odczuwała zmęczenie. Było jej ciepło, była syta. Teraz tylko brakowało jej snu.

A Antoniusz? Jest teraz sam gdzieś w Kampanii. Bez jej pomocy umrze. Lucilla nie będzie jej co prawda głodziła ani torturowała, ale może ją uwięzić tak samo skutecznie jak Gundabald. A nawet skuteczniej, bo ma po temu lepsze warunki.

Regeane uniosła z trudem ciężkie powieki. Okienko sypialni było zakratowane tak samo solidnie jak to w noclegowni.

Na zewnątrz przejaśniło się. Pewnie deszcz przestał padać. Było wczesne

Borchardt Alice - Srebrna wilczyca - <http://chomikuj.pl/tigrisek>

popołudnie. Wilczyca ziewnęła. Teraz spać. Wszystko w swoim czasie. Musi zapaść noc.

8

Wilczyca obudziła ją o zmierzchu. Regeane uchyliła powieki, za oknem mrugały gwiazdy, maleńkie nakłucia na głęboko granatowymi aksamicie zapadającego zmroku. Leżała nieruchomo. Gdzieś obok rozmawiały dwie osoby.

- Z przykrością, ale odmawiam. Nie podam jej tego więcej. Mogłoby ją zabić. - Rozpoznała ten głos. Należał do medyka Pappolusa.

- Wątpię - odparła sceptycznie Lucilla. - Jest silna jak lwica. Nie uwierzyłybyś, w jakim stanie znalazłam ją dziś rano. Teraz jest niemal wykurowana. Ona ma w sobie coś nieludzkiego.

- Ha! - prychnął Pappolus. - Na Boga, kobieto, myślałem, żeś ponad pajęczą sieć przesądów, która pęta ręce i nogi większości kobiet. Zresztą mówiłem ci już: to nie na każdego działa.

- Tak, ale dlaczego nie zadziałało w tym akurat przypadku? Inni wyrzucają z siebie wszystko - swoje miłości, przyjaźnie, intrygi, pragnienia, a nawet niewyobrażalne pokłady zazdrości, zawiści i zwyczajnej nienawiści.

- Tak - przyznał Pappolus. - Część z tego jest prawdą, reszta to wyobraźnia.

- Ale ona zwyczajnie bredziła - uniosła się Lucilla.

- Te brednie przyprawiły mnie o gęsią skórę - odparował Pappolus. - Płatki różowobiałe, jak delikatna skóra kobiety, pochylające się nad kałużami krwi. O ile mi wiadomo, ona ma wyjść za mąż. Dołóż starań, żeby to się stało jak najszybciej. Pozbędzisz się jej.

- No i kto tu jest przesądny? - zapytała Lucilla.

- Ona może być tworem natury. Na świecie nie brakuje osobliwych i niebezpiecznych stworzeń. Sam, badając brzegi Nilu, widziałem żyrafę. A istnieje wiele dziwniejszych od żyrafy stworzeń. Zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Poza tym ona może wygadywać głupstwa, bo sama jest głupia. Zwracałem ci już kiedyś uwagę, że sądzisz inne kobiety po szlachetności własnego umysłu. Większość ich naprawdę jest głupia. Część filozofów widzi w nich, jak sama wiesz, zwierzęta, takie jak kotka czy krowa, które nauczyły się jakoś mówić. W zdolności myślenia abstrakcyjnego i cnoty wierności przewyższa je dobry koń czy pies. Jak Ci wiadomo, koń czy pies służy wiernie swojemu panu i broni go do ostatka. Natomiast kobiety aż za często nie doceniają tego, co zawdzięczają mężczyznom. Oszukują

ojców, zdradzają mężów i wymagają bezwarunkowej lojalności od synów. Zazwyczaj bez powodzenia. Zazwyczaj - zachichotał. — A teraz, moja pani, ośmielę się napomknąć, że czeka na mnie inny znamienity patron. Cierpi na podagrę. Pozwolisz więc, że cię pożegnam.

- Ależ naturalnie, idź - mruknęła posępnie Lucilla.

Słyszając trzask zamykanych drzwi, Regeane usiadła i otworzyła oczy.

- Ach - powiedziała Lucilla - pomyślałam, że już nie śpisz. Słyszałam, jak zmienił się twój oddech, kiedy tylko się ściemniło.

- Otumaniałś mnie czymś, żebyś wyznała ci moje tajemnice- odezwała się Regeane.

- Obawiam się, że niezbyt udatnie - przyznała Lucilla. Spojrzała wymownie na drzwi, którymi wyszedł przed chwilą medyk. - Dureń - mruknęła.

- Czego chciałaś się dowiedzieć? - spytała Regeane.

- Gdzie jest Antoniusz? - Lucilla wyżej uniosła lampę, żeby lepiej widzieć twarz Regeane.

- W kryjówce w Kampanii — odparła Regeane. - Powiem ci, gdzie, ale wątpię, czy nawet ty znajdziesz to miejsce. - Wytrzymała z niewinną miną baczne spojrzenie Lucilli. Skądś - z jakiegoś ciepła i jasności wilczyca popatrzyła na Regeane z jawną niechęcią.

- Cóż - powiedziała Lucilla - w każdym razie nie mogą go znaleźć ludzie Bazyla. Wiem od swoich informatorów, że coś - albo ktoś pomógł mu ostatniej nocy wyrwać się z rąk Bazyla i ukrył go tak dobrze, że te zbiry nie znalazły go, choć przeczesały dokładnie okolice starej świątyni Apolla.

- Tak, ale ja wiem, gdzie on jest - powiedziała Regeane.

Lucilla podeszła do drzwi i wyjrzała przez nie, żeby się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Na korytarzu nie było nikogo. Regeane usłyszała dobiegający gdzieś z dala szcęk garnków i patelni oraz kobiecy śmiech. Lucilla zamknęła z powrotem drzwi. Tym razem zaryglowała je od środka.

Pokój oświetlała tylko alabastrowa lampa w kształcie gołębicy, trzymana przez Lucillę. Przez przezroczyste boki ptaka widać było palący się w jego wnętrzu płomyk. Migotał i tańczył nad knotem i olejem, rzucając na ściany ruchliwe, kalejdoskopowe cienie.

Lucilla postawiła lampę na niskim stoliku obok łóżka. Jej twarz skrywały teraz ciemności.

Regeane czuła bijący od Lucilli kwaśny odór strachu tak silny, że wilczycy łzy napłynęły do oczu. Wcześniej tylko raz uderzył ją w nozdrza z podobną mocą. Rozsiewał go wówczas rzezimieszek schwytyany na Via Julia. Kiedy wjeżdżały z matką do Rzymu, żołnierze wyprowadzali go z miasta na egzekucję. Lucilla musiała być bardzo zdesperowana.

- Czego ode mnie chcesz? - spytała Regeane.
- Pora, by Antoniusz umarł - wyszeptała z mroku Lucilla.
- Nie jestem morderczynią- zachnęła się Regeane.
- I nie musisz nią być - wyszeptała Lucilla.

Regeane uświadomiła sobie, że Lucilla mówi szeptem, bo ma ściśnięte gardło.

- Czego więc ode mnie oczekujesz? - zapytała.
- Żebyś zaniósła mu truciznę. I... i... - Lucilla urwała i oddychała szybko, jak zgonione zwierzę.

- I co? - ponagliła ją Regeane.
- I żebyś mu powiedziała, że to ode mnie. Będzie wiedział, co i jak z nią zrobić. - Lucilla odetchnęła głęboko.
- On sam powinien decydować, czy ma żyć, czy umrzeć - zauważyła Regeane.

Lucilla nie odpowiedziała. Opadła na łóżko obok Regeane.

- No dobrze - powiedziała Regeane. — Spełnię twoją prośbę. Ale coś za coś.

- Naturalnie. - Lucilla wykonała ręką nieokreślony gest i znieruchomiła ze zwieszoną głową.

- Będzie mi potrzebna pomoc przy sporządzaniu kontraktu małżeńskiego - podjęła Regeane. - Chcę pisemnego zapewnienia, że będę mieszkała osobno i miała własną służbę.

- I straż - uzbrojonych ludzi, którym sama będziesz płaciła i którzy przez to będą wobec ciebie lojalni - dorzuciła Lucilla.

- Przenikliwa jesteś — zauważyła Regeane.

Lucilla uśmiechnęła się. Co za straszny uśmiech! - pomyślała Regeane. Uśmiech, który tej widmowolicej kobiecie zastępuje pewnie łzy albo gniew.

- Tak sądzisz? - spytała Lucilla.

Wilczyca zjeżyła się i odwróciła przestraszona.

- Bóg jeden wie, co wydarzyło się wczorajszej nocy - ciągnęła cicho Lucilla. - Znikłaś. Po prostu znikłaś. Widziałam, jak Bazyl zamierza się na ciebie mieczem, a w następnej sekundzie... już cię nie było. Za to ludzie Bazyla rzucili się z wrzaskiem do ucieczki i, sądząc po śladach krwi, zostali w jej trakcie poranieni.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Lucilla obrzuciła Regeane taksującym spojrzeniem.

- Jakżebyś chciała, żeby był tu teraz ten głupiec Karol. Nie usłyszeliśmy więcej o żadnych górskich panach. Sam chciałby zakosztować z tobą rozkoszy. Przynajmniej ten pierwszy raz. Potem umieściłabym cię na frankońskim dworze jako przyjaciółkę I Hadriana. Byłabyś kobietą bogatą, potężną, zdolną knuć wszelkie nikczemne intrygi, które...

Wilczyca nie słuchała. Była daleko. Odnalazła poranek. Gorące słońce świeciło jej prosto w oczy. Wchodziła na szczyt wzgórza. Wokół roztaczała się otwarta, zielona kraina. Trawa, po której stąpała, była szorstka, niska, ale bujna, strzelała tu i ówdzie kępami.

Niskie drzewa rosnące na wzgórzach miały grubą, głęboko pomarszczoną korę i małe, strzępiaste, zielone liście. I one, i trawa połyskiwały jeszcze rozsianymi wokół diamencikami porannej rosy. Zewsząd dobiegał śpiew ptaków. Głos wiatru to wznosił się, to opadał.

Wilczyca uniosła łeb. Zielone, falujące wzgórza ciągnęły się aż po horyzont, rozplywając się tam w bladoniebieskawe mgiełce.

- Idź się teraz wykapać - dotarł do niej głos Lucilli. - Zjemy i razem wieczerę i zanieziesz Antoniuszowi truciznę.

Na wychodzącą z basenu Regeane czekały dwie służące Lucilli. Ubrały ją w chiton, grecką szatę niebywalej piękności, która spowiła jej smukłą postać i spłynęła łagodnymi fałdami do samej posadzki.

Następnie służące Lucilli podsunęły jej biżuterię. Tu trzeba było więcej namysłu. Regeane wybrała w końcu antyczny srebrny naszyjnik wysadzany perłami. Ogniwa były duże, metal bardzo miękki. Mogłaby go giąć palcami. Na stopy wsunięto jej złote sandały, włosy związane złotą przepaską.

Przeglądając się w lustrze, doszła do wniosku, że wystrojono ją lak dla Lucilli. Miękkie, ściśle tkane płótno było prawie przezroczyste. Niezupełnie, ale prawie. Prześwitywały przez nie różowe sulki piersi i ciemny trójkąt włosów łonowych.

Regeane spytała, czy może zobaczyć Elgifę. Zaprowadzono ją do małej,

przytulnej komnaty. Elfgifa spała zwinięta w kłębuszek.

Przypominała brudną piłeczkę. Popołudnie upłynęło jej chyba na zabawie w ogrodzie. Na czoło opadło dziewczynce kilka kosmyków jasnoblond włosów. Regeane odgarnęła je i delikatnie pocałowała małą.

Służąca, która weszła z nią do pokoju Elfgify, była tęgą kobietą o siwiejących włosach.

- Kiedyś byłam piastunką Antoniusza - zwierzyła się, spoglądając na Regeane. - Od dawna nie mieliśmy w domu dziecka. Brakowało mi ich.

- Jak myślisz? - zapytała Regeane. — Czy niewola bardzo ją zepsuła?

- Nie - odparła kobieta. - Nie sędzę. Pochodzi, jak utrzymuje, ze szlacheckiego rodu. Chociaż czasem może się wydawać niesforna, to w rzeczywistości jest bardzo układna i posłuszna. Zawsze mówi „proszę” i „dziękuję” każdemu, kto jej usłuży. W domu rodzinnym była trochę rozpieszczana. Mówi, iż matka umarła tak dawno, że jej nie pamięta. Ojciec nie ożenił się powtórnie. Podejrzewam, że hołubił małą. Ona go uwielbia. Biedak musi teraz szaleć z rozpaczą. Mam nadzieję, że wkrótce się połączą. To okrutne, że ich rozdzielono.

Regeane kiwnęła głową.

- Nie jest twoim dzieckiem, a okazujesz jej tyle troski. - W drzwiach rysowała się ciemna sylwetka Lucilli. - Już sobie wyobrażam, jak byś ją kochała, gdyby była twoją córką.

Regeane nie odpowiedziała. Służąca chciała się wymknąć z pokoju, ale Lucilla zastąpiła jej drogę.

- Fausto! — powiedziała. - Kochałaś go tak samo jak ja. Nie zostawiaj mnie z moim smutkiem.

- Pani - odezwała się cicho Fausta - przed laty moja rodzina zaprowadziła mnie do handlarza niewolników. Matka popłakiwała, ojciec targował się o cenę. Miałam ledwie trzynaście wiosen. W mojej siostrze widzieli piękność, która złapie męża. W moim bracie osiłka zdolnego do pracy w polu. We mnie towar, za który dostaną pieniądze na nowego wołu. Kupiłaś mnie od handlarza niewolników, bo uznałaś, że mam miłą twarz. Pomagałam ci wychowywać syna. Wszystko, co było dobre w moim życiu, zawdzięczam tobie. Kochałam go. Kochałam ciebie. Ale nikt na świecie nie kocha Antoniusza tak jak ty. Jeśli dzisiejszej nocy pisana mu śmierć, razem z nim umrzesz i ty. Nie wymagaj ode mnie, żebym zdradzała tych, których kocham. Nie ty jedna pogrążona jesteś w żałobie. - Wyrzuciwszy to z siebie,

wymknęła się cicho z pokoju, zabierając lampę i zostawiając po sobie ciemność.

Choć zabrakło lampy, Regeane nadal bardzo dobrze widziała. Była z nią wilczyca.

Lucilla była wstrząśnięta. Twarz miała pustą, drżała.

Podmuch wiatru, który wdarł się przez uchylone okno, odepchnął od Regeane zapach Lucilli. Rada była z tego. Atmosfera otaczająca Lucillę przygnębiała nawet wilczycę.

- On jest twoim synem, Lucillo? - spytała Regeane. – Twoim synem?

Lucilla nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

- Idę się teraz wykapać - powiedziała. - Spotkamy się w jadalni. I... nie życzę sobie więcej poruszania tego tematu. Podjęłam decyzję. Gdybym nie kochała. Fausty, wypędziłabym ją jutro na ulicę, by zebrała o kawałek chleba pod kościołem i na starość chowała się przed deszczem po bramach.

Zanim Regeane zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Lucilla odwróciła się i odeszła. Nocne powietrze wpływające przez okno było chłodne. Regeane zamknęła okiennice, zarygłowała je i przykryła Elfgifę. Mała poruszyła się. Regeane pocałowała ją w mięciutki, usmolony policzek. Elfgifa westchnęła głęboko i rozprostowała się pod ciepłą kołdrą.

Regeane nie była przekonana, czy dziecko jest tu bezpieczne.

Wilczyca nie miała takich wątpliwości. W Fauście było coś -może ten opanowany głos, może ten zapach dojrzałego jabłka - co rozpraszało jej obawy. Fausta była wybornym członkiem watahy, może nie najzuchwalszym, lecz takim, na którym zawsze można polegać. Jedną z podpór.

Regeane ruszyła w stronę jadalni.

Jak obiecała Lucilla, jadły tylko we dwie. Siedziały naprzeciwko siebie na sofach dosuniętych do niskiego stolika zastawionego daniami, które należały najwyraźniej do codziennego jadłospisu Lucilli, za to dla Regeane składały się na wystawną ucztę: dziczyzna pieczona na wolnym ogniu i polana wytopionym tłuszczem; dorodny kapłon przyrządzony z miodem i migdałami; czarne oliwki; chleb i kilka gotowanych jajek.

Z pograżonego w ciemnościach ogrodu lekki wietrzyk przynosił wonne zapachy.

Pośrodku stolika stała srebrna taca, a na niej pucharki z czerwonego szkła i

taki sam dzban.

Lucilla napełniła jeden z pucharków winem i podała go Regeane.

- To mój najstarszy rocznik - powiedziała. - Trzymałam go na weselną ucztę mojego syna, ale nada się również na jego pogrzeb, bo on musi dzisiaj umrzeć. Powiedz mi, gdzie się ukrywa.

Regeane wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię. Znalazłam takie sekretne miejsce.

- Kłamiesz. - Lucilla nie spuszczała z niej wzroku.

- Nie — zaprzeczyła Regeane. — Ja nie jestem myśliwym. Nie jestem taka jak Bazyl i jego zbiry. Jestem... inna.

Z krtani Lucilli wyrwał się szloch. Opuściła głowę, pochyliła się i wsparła czoło o poduszkę leżącą na skraju sofy.

Regeane sięgnęła po kawał pieczeni, umaczała go w tłuszczu i poniosła do ust. Wilczyca przymierała głodem i ponaglała Regeane, by ta jak najszybciej go zaspokoila.

Odczucia wilczycy były zbyt silne, by kobiecy umysł zdołał je ująć w słowa. Wilczyca wiedziała tylko, że gdzieś w głębi duszy podjęła już decyzję.

Podjęła ją spontanicznie, bez zastanawiania, niemal bez wdawania się w analizę ewentualnych komplikacji czy konsekwencji. Postanowiła ocalić Antoniusza. Regeane jej przyklasnęła.

Z umysłem rozjaśnionym przez niemal histeryczne napięcie Regeane powiodła wzrokiem po pięknych, stwarzających wrażenie lekkości i przestronności freskach, które zdobiły ściany pokoju, po alabastrowych lampach, po purpurowoczerwonych obiciach sofy.

Lucilla nie jadła, trzymała tylko w dłoniach pucharek z ciemnym winem.

Jadalnia, która poprzedniej nocy wydała się Regeane taka wspaniała, raziła ją teraz krzykliwością i tandetą wystroju. Freski były poplamione i przyczernione przez czas i kopeć z lamp palonych tu podczas tysiąca wieczerzy. Tu i tam, spod łuszczącej się, odpadającej płatami farby, wзираł goły tynk.

Lamp w kształcie gołębic, tego szczytu bezguścia, nie powstydzilaby się chyba tylko rajfurka prowadząca dom rozpusty. Ale czyż Lucilla w końcu nią nie była? Obojętne, jakimi pięknymi słowami określałaby swoją profesję - była stręczycielką.

Regeane skończyła pieczeń. Oderwała kapłonowi skrzydełko z piersią i

zatopiła zęby w aromatycznym białym mięsie.

Nawet jeśli Lucilla obsługiwała najznamienitsze rody Rzymu, to jej boginią nadal pozostawała cielesna żądza. Złotopalca Afrodyta. Szlachetni panowie brali od niej dziewczyny, tak jak Maeniel weźmie Regeane. Lucilla pobierała zapłatę. I krew swego syna.

Regeane długo jadła w milczeniu. Miała wrażenie, że pobłądziła w labiryncie. Ta podróż rozpoczęła się, kiedy Gundabald powiedział jej, że ma wyjść za mąż, i dał do zrozumienia, jak ma postąpić z Maenielem po zaślubinach. Miała mu być posłuszną żoną, zwieść Maeniela, napełnić go fałszywym poczuciem bezpieczeństwa.

Aż nadejdzie noc pełni księżyca, albo nawet zwyczajna noc, a wtedy ona się przemieni. Przemieni się i rozerwie niechcianemu małżonkowi gardło. Zeszłej nocy ludzie w ogrodzie nie mieli w starciu z nią wielkich szans. Była nie tylko większa od zwyczajnej wilczycy, była od niej o wiele inteligentniejsza. Potrafiła wyczekiwać stosownego momentu i dopiero wtedy atakować.

Rozejrzała się znowu po zaniedbanym, luksusowym niegdyś wnętrzu. Mdlilo ją na samą myśl o gotowości Lucilli do zamordowania własnego syna tylko dlatego, że stał się politycznie niewygodny.

Z tych refleksji wyrwał ją głos Lucilli:

- Gdzie on jest?
- Dlaczego chcesz go zabić? - spytała Regeane.

Lucilla przechyliła się przez stolik i chwytając Regeane za włosy, potrząsnęła z furją jej głową.

- Czemu zadręczasz mnie tymi pytaniami?! - krzyknęła. — Co cię obchodzi Antoniusz? Jakie ma dla ciebie znaczenie, czy on będzie żył, czy umrze? Mów, gdzie on jest, i kończmy z tym.

Regeane ledwie powstrzymała wilczycę przed objawieniem się, ale zwierzę przemówiło i echo jego głosu rozbrzmiało w krtani Regeane. Jednocześnie ręka kobiety zatoczyła łuk i dłoń wylądowała z głośnym pacnięciem na policzku Lucilli.

Ten stłumiony charkot i odgłos uderzenia przebiły się poprzez wściekłość Lucilli. Wzdrygnęła się, cofnęła i wyszeptała:

- Chryste, co to było? Boże, czym ty jesteś?
- Nie waż się mnie dotykać - warknęła Regeane. — Nie... zaniosę...

Antoniuszowi... żadnej... trucizny.

- Przecież powiedziałaś... — zaczęła Lucilla.
- Nie! - krzyknęła Regeane, zrywając się z sofy i odskakując w lewo.
- Obiecałaś! - Głos Lucilli przypominał skrzek drapieżnego ptaka.
- Kłamałam! — wrzasnęła Regeane. — Musiałam wydostać się jakoś z

tego zaryglowanego pokoju. Musiałam... Nie wiem, czy potrafię pomóc Antoniuszowi, ale spróbuję. — Głowa Regeane odsunęła się gwałtownie do tyłu; to wilczyca próbowała przejąć nad nią kontrolę. Po chwili to stworzenie nocy, szczerząc kły, wycofało się, odpędzone brutalnie przez kobietę. Regeane znieruchomiała. Dyszała ciężko, po części zmęczona walką z wilczycą, po części ze zwyczajnej ludzkiej furii.

Lucilla wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma. Wstrząs odebrał jej głos.

- Regeane, Regeane - odezwała się po chwili. — Myślisz, że łatwo mi przychodzi zabić własnego syna?

- Nie - odparowała Regeane. - Myślę, że uznałaś, iż musisz to zrobić, Lucilla skinęła głową.

- Tak uznałam. Widziałaś wczoraj ten motłoch, widziałaś, jak szybko otoczyli mój powóz, słyszałaś obelgi, jakimi mnie obrzucali?

- Tak.

- Widzisz - ciągnęła Lucilla - jeśli ten motłoch naprawdę uwierzy, że ród Hadriana jest tak samo jak Antoniusz skażony, zniszczą go. Warchoły polityczne, moja droga, to nie tylko problem, z jakim boryka się to miasto, oni toczą je jak choroba. Dotąd powstrzymuje ich tylko to, że Hadrian cieszy się głębokim poważaniem wśród starych senatorskich rodów i jest uwielbiany przez lud. Gdyby jednak znaleziono Antoniusza i wystawiono na widok publiczny jako trędowatego, mogłoby to wystarczyć Bazyłowi do obalenia Hadriana.

Lucilla odwróciła się, przerzuciła nogi przez boczną krawędź sofy i wstała. Wyciągnęła ręce do Regeane.

- Ukrywamy go od trzech lat, od chwili, kiedy zaczęły się objawiać pierwsze symptomy choroby. Teraz... teraz nie mogę go już chronić. A nawet gdybym mogła, to, na Boga żywego, po co? Pytam cię, dziewczyno: po co? Przecież wkrótce proces gnilny sięgnie któregoś z niezbędnych do życia organów i on umrze powolną, męczeńską śmiercią.

Lucilla opuściła ręce. Potem poderwała jedną i chwyciła się za barwione włosy, jakby chciała wyrwać sobie z głowy ich garść.

- A może mam czekać, aż Antoniusz weźmie sprawy w swoje ręce i zrobi, co trzeba, żeby nie stać się narzędziem upadku Hadriana?

Regeane milczała. Przyznawała w duchu, że nie wie, co odpowiedzieć Lucilli. W kościach i mięśniach czuła zew nocy. Wilczyca chciała stąd odejść, poczuć znowu w nozdrzach czysty wiatr, sadzić długimi susami przez pola pod sklepieniem gwiazd. Znaleźć się daleko od ludzi takich jak Lucilla, którzy przez tyle lat więzili ją w wąskich kamiennych izbach z zakratowanymi okienkami. Daleko od ludzi, którzy parają się czymś tak strasznym i niepojętym jak polityka i wojna.

Światło w pokoju przygasło, w zapadających ciemnościach wilczyca powstała. I ona, i kobieta zwęszyły orzeźwiający nocny wietrzyk napływający od atrium.

Regeane podniosła wzrok na zawieszone u sufitu alabastrowe lampy w kształcie gołębic. W niektórych kończyła się już oliwa. Gasły powoli, jedna po drugiej.

Lucilla zatoczyła się na sofę.

- Boże - zajęczała. - Chryste, jestem wszystkim tym, co mówią - ladacznicą, suką, maciorą żywiącą się odpadkami, a mój syn... Boże, Antoniuszu!

Twarz jej poszarzała, na czoło wystąpiły kropelki potu.

Regeane cofnęła się. Zgasła kolejna lampka oliwna i w pokoju jeszcze bardziej pociemniało. Wilczyca podsunęła się bliżej.

Lucilla zachwiała się i osunęła na kolana. Wpatrywała się w Regeane błędnym wzrokiem.

- Dokąd idziesz? - wykrztusiła. - Co chcesz zrobić?

Regeane wycofała się w atramentowy mrok atrium. Postępująca przemiana paraliżowała jej gardło i język. Ledwie dobyła z siebie głos.

- Chcę się przewietrzyć - wychrypiała.

9

Palce papieskiego wysłannika zaciskały się kurczowo na srebrnym pucharze do wina z zastawy Maeniela. Spał jak zabity, rozwalony na stole pośród resztek wczorajszej uczyty.

Maeniel podrapał się po głowie. Nie mógł sobie przypomnieć imienia tego człowieka.

Matrona spoglądała na niego z drugiego krańca stołu.

- Powiedział, że jak się nazywa? — spytał Maeniel.
- Harek - burknęła Matrona.
- Harek - powtórzył Maeniel. - Ciekawe, a przysięgłbym, że to Rzymianin.

Matrona prychnęła pogardliwie. Prychnięcia są zawsze pogardliwe, ale to w wykonaniu Matrony wyrażało pogardę szczególną.

- U nich teraz co i jeden przybiera nasze barbarzyńskie imię - powiedziała. - Wydaje im się, że samo jego brzmienie uczyni ich twardszymi. — Uśmiechnęła się, ale był to nie tyle uśmiech, ile skrzywienie warg. - Temu, jak widać, dużo nie pomogło.

Maeniel kiwnął głową. Papieski posłaniec miał niespełna półtora metra wzrostu. Matrona przerastała go o głowę.

— Z początku był trochę sztywny - odezwał się Gorgo — ale potem się rozruszał.

- Aż za bardzo - mruknęła Matrona.
- Czy ja wiem - zastanowił się Gorgo.

Gorgo był potężnym mężczyzną o długich rudych włosach, gęstej brodzie i wąsach. Siedział nadal prosto, co było wyczynem nie lada po całonocnej pijatyce.

- A pamiętasz, jak gonił Sylwię dookoła stołu? - przypomniała mu Matrona.

- Sylwia przed nim uciekała? - zdziwił się Maeniel. - Złękła się go?
- Nie - odparła Matrona — przekomarzała się tylko.
- Może chciała go odciągnąć w ustronne miejsce – podsunął Gorgo.
- Nie bardzo wiem, po co - burknęła Matrona. - Nigdy wcześniej nie robiła

z tym takich ceregieli.

- Też prawda - przyznał Gorgo.
- Sylwia. - Maeniel rozważał przez chwilę to, co usłyszał, a potem spytał:

— I co, dopadł ją?

- W kuchni - odparła Matrona.
 - I dostał, co chciał? - zainteresował się Gorgo.
 - Trudno powiedzieć - odparła Matrona - ale nacierał dzielnie, wszystko ze stołu pozmiatał łapskami. Zupełnie jakby pływał.
 - Sylwia nie z tych, co dają sobie w kaszę dmuchać - powiedział Maeniel.
 - Sylwia - dorzucił Gorgo - to kawał dziewczuchy.
 - Prawda - przyznał Maeniel, przyglądając się z nowym zainteresowaniem małemu człowieczkowi na stole. - Mężny człek jak na Rzymianina.
 - W każdym razie - podjęła Matrona - zachowywali się oboje tak, jakby jednak dopiął swego.
 - Nie opisuj tego -jęknął Maeniel.
 - Szczęście, że mamy w kuchni kamienną posadzkę - kontynuowała Matrona.
 - Jego szczęście, że napalił się na Sylwię - orzekł Gorgo. - Miałem już sprawdzić, czy umie latać.
 - Tylko nie to — fuknął Maeniel.
 - Nie przez okno - uspokoił go Gorgo - tylko tutaj, w sali. Nazwał mnie barbarzyńcą, prymitywnym, tępym barbarzyńcą.
 - Jak sobie popije - zauważyła Matrona, popatrując gniewnie na Gorgo - to diabeł w niego wstępuje.
 - Nie ja wyrąbałem tę dziurę w powale - obruszył się Gorgo. - Ale sama powiedz: którędy ma ulecieć dym z paleniska, jak w powale nie ma dziury? Bo musi przecież którędyś ulatywać, żebyśmy się wszyscy nie podusili. Tak mu powiedziałem.
- Maeniel zerknął na dziurę w suficie i podrapał się po głowie.
- I nie pojmuję jeszcze, na co im tu było tyle miejsca - mruknął Gorgo.
- Sala jadalna rozmiarami, i nie tylko, przypominała małą rzymską bazylikę. Było to długie pomieszczenie w kształcie litery T, o sklepionym suficie przechodzącym w kopułę nad końcem długiego stołu. Ktoś kiedyś wziął oskard i wyrąbał dziurę w sklepieniu nad dłuższym ramieniem tego T. Pod tą dziurą podobnym narzędziem wykuto głęboki dół w marmurowej posadzce. Dogasało tam teraz wielkie ognisko.
- Wokół tego prymitywnego paleniska spali pokotem ludzie Maeniela. Spod stołu wystawało mnóstwo nóg.

- Gdzie Gavin? — spytał Maeniel.
- Diabli go tam wiedzą. - Matrona próbowała wydostać srebrny puchar z zaciśniętej kurczowo garści Hareka.
- Z tego, jak mu srebro do łap Ignie, od razu poznać, że kościelny - zauważył Gorgo.

Maeniel powiódł wzrokiem po śpiących przy palenisku. Gavina wśród nich nie było. Gdzie on się podział? Wstał i ruszył wzdłuż stołu, przyglądając się wystającym spod niego stopom. Jedne skierowane były w górę palcami, inne piętami, ale żadne nie należały do Gavina.

Znalazł go wreszcie na samym końcu stołu. Jego stopy skierowane piętami w górę spoczywały między większymi stopami Sylwii.

- Z Gavinem i papieskim wysłannikiem jednej nocy? — Maeniel spojrzał pytająco na Matronę.

- Gdzież tam! — Matrona nadal zajęta była wydzieraniem srebrnego pucharu z dłoni Hareka. - Włazł na nią, bo szukał ciepłego i wygodnego miejsca do spania. Nawet mnie spytał, czy może. Pozwoliłam.

- Przecież ze łba mu się już kurzyło, że hej.

Matronie udało się wreszcie odzyskać puchar i ruszyła do drzwi, żeby umieścić go pod kluczem z resztą srebrnej zastawy.

- Wiem - rzuciła przez ramię. - Dlatego mu pozwoliłam.

Biedny Gavin. No, ale biedny, nie biedny, muszą dzisiaj ruszać, a Gavin pozostawiony samemu sobie chrapałby do wieczoru. Maeniel chwycił go za kostki i bezceremonialnie wywłókł spod stołu.

- Ooooo! Świta! - zaryczał Gavin, wlaź na czworakach z powrotem pod stół i próbował zwalić się znowu na Sylwię.

Maeniel mu się nie dziwił. Dziewczyzna była pulchna, rozłożysta jak łożo i z pewnością wygodnie się na niej polegiwało. Jednak Sylwia już się budziła i nie chciała służyć Gavinowi za poślanie. Wyrznęła go pięścią w podbródek.

Gavin stoczył się z niej z jękiem i legł bokiem na lodowato zimnej, kamiennej posadzce. Chłód szybko przeniknął przez odzienie do ciała. Gavin zwinął się w kłębek niczym zraniona gąsienica i zakwilił cichutko.

Maeniel chwycił go za kostki i ponownie wyciągnął spod stołu.

- Boże! - pisnął Gavin, chwytając się za głowę.
- Mam cię wrzucić do fontanny? - zapytał Maeniel.

Fontanna na dziedzińcu zasilana była wodą z topniejących lodowców, które przykrywały szczyty nad przełęczą. Nawet w najcieplejsze dni woda w niej była lodowato zimna.

Gavin wzdrygnął się gwałtownie i natychmiast otrzeźwiał.

- Już nie śpię, Maenielu.
- To dobrze. - Maeniel puścił jego nogi.

Gavin podźwignął się z trudem. Był blady i mrużył oczy porażone blaskiem dnia.

- Jedziemy do Rzymu - powiedział Maeniel. - Ruszamy dzisiaj.
- O nie - jęknął Gavin. - Mówiłem ci, że z nią musi być coś nie tak, coś bardzo, ale to bardzo nie tak. I szydło wychodzi pomału z wora. Czytałeś list. Jej krewni to takie wredne łotry, że nawet sam papież się zgorszył. A trudno go chyba zgorszyć, skoro żyje tyle czasu między tymi rozpustnymi, zdeprawowanymi Rzymianami!

Maeniel potoczył wzrokiem po sali. Sylwia sapała, parskała i przewracała się pod stołem.

- Rzymianie rozpustnikami, powiadasz - mruknął, spoglądając na Gavina. — To czym my jesteśmy?

Gavin ruszył na chwiejnych nogach wzdłuż stołu, szukając jakiegoś dzbana, w którym zostałoby trochę piwa albo wina. W końcu znalazł taki. Uniósł go do ust. Grdyka chodziła mu to w górę, to w dół przez dobrą minutę.

- Szlachetnymi, czystego serca, cnotliwymi barbarzyńcami - powiedział, odstawiając dzban na stół. - Wiem, bo powiedział mi to papieski wysłannik. Tak wyraził się o nas podobno pewien mędrzec imieniem Tacyt.

Matrona wzięła się pod boki i ryknęła:

- Tylkoś wtedy cnotliwy, Gavinie, kiedy dziewczkę gonisz, a złapać jej nie możesz. Widziałam kupy gnoju czystsze od twojego serca, a co do szlacheckości, toś pewnie bękart dójki, co nie dość szybka była w nogach.

- Chwali mu się - wtrącił się Gorgo - że poszedł po rozum do głowy i nie napomknął o cnotcie trzeźwości.

Twarz Gavina przybrała niezdrowy, nie występujący w przyrodzie odcień zielonkawej purpury.

- Mój ojciec - wykrztusił zduszonym tonem - jest...

Matrona podwijała już rękawy.

- Słyszysz, Gorgo? - warknęła. - On znowu o tym swoim ojcu. Do fontanny z nim!

Gavin cofnął się i schował za Maeniela. Maeniel dopiero teraz zauważył, że Gavin ma podbite oko i rozciętą wargę.

- Kto śmiał poturbować mojego kapitana? - zapytał na poły żartobliwie. - Ty, Matrono?

Matrona zachichotała złośliwie.

- Nie, tym razem to nie ja.

Odezwał się milczący dotąd Józef, potężny drab o lubieżnej gębie i sumiastych wąsach.

- Pomylił mnie z Matrona.

- Nieprawda - dobiegło zza pleców Maeniela pełne urazy zaprzeczenie.

- Pomyliłeś — upierał się Józef, potrząsając głową. — No i z obawy, że pomylisz z nią jeszcze kogoś mniej wyrozumiałego, ułożyłem cię do snu.

Gavin zatoczył się, wymrukując coś pod nosem o braku szacunku i fałszywych przyjaciółach.

- Gorgo, Józefie — powiedział Maeniel - przynieście nasz skarbiec.

Ludzie śpiący wokół stołu budzili się pomału i czym prędzej przystępowali do szukania odtrutki na swe dolegliwości. Gorgo z Józefem wrócili, taszcząc wielką skrzynię.

- Ciężkie — stęknął Józef.

- Wysypcie to — rzucił Maeniel.

Wysypali. Na posadzce wyrosła góra złota i srebra. Były tam antyczne srebrne i złote monety, biżuteria wysadzana szlachetnymi i półszlachetnymi kamieniami, zdarzał się piękny wyrób ze szkła, zdobne sztucce, kielichy, talerze i misy.

Matrona przyniosła dwie pary skórzanych juków. Jęła je napełniać. Jedne biżuterią, drugie złotymi i srebrnymi monetami.

Wokół zgromadzili się domownicy Maeniela. Mężczyźni i kobiety zaczęli wybierać ze stosu biżuterię dla siebie, a niektórzy nie tylko dla siebie.

Gavin założył sobie na głowę pogięty diadem. Diadem jako taki był z miedzi, ale miał złotą obwódkę i ozdoby w postaci srebrnych ptaków w locie.

- Czy to należało do jakiegoś króla? - spytał Gavin.

- Nie - odparł Maeniel. - Do kapłana. - Wyglądał tak, jakby miał za chwilę

zemdleć.

- Do chrześcijańskiego kapłana? - zapytał zbity z tropu Gavin.
- Nie - burknął Maeniel. - Do pogańskiego. Do... — Szukał słowa. - Do druidzkiego. Zabieraj to z moich oczu. Bo to rzecz przeklęta i przekonasz się o tym wkrótce, jeśli ją ponosisz.

Gavin zerwał diadem z głowy i odrzucił go na stos. Maeniel klasnął w dłonie.

- Słuchajcie! Ruszamy dzisiaj do Rzymu. Ci z was, którzy chcą z nami jechać, niech wezmą ze sobą trochę srebrnych i złotych monet. Od czasu do czasu będziemy musieli popasać pod jakimś dachem. I, jak slysze, życie w świętym mieście sporo kosztuje. Matrono, kto tu zostanie i zajmie się inwentarzem?

Matrona, korzystając z zamieszania, zrzuciła suknię, by przybrać kostium, do którego akcesoria znalazła w skrzyni. Składał się z pęku złotych łańcuchów spływających z szyi na piersi i drugiego pęczka złotych łańcuszków, który opasywał jej biodra i przesłaniał łono. Matrona była kobietą wysoką, wciętą w tali, szeroką w biodrach i piersiastą. Karnację skóry miała ciemna, oczy wielkie, brązowe, o ciężkich, jakby sennością obciążanych powiekach, a usta zmysłowe, pięknie wykrojone.

Gavin gapił się na nią zbaraniały. Oczy miał maślane, gębę rozdziawioną.

- Matrono, co z inwentarzem! - powtórzył Maeniel. - Z bydłem, owcami, kozami, końmi? — Pstryknął palcami. — Pamiętałaś o nich?

— Są tu trzy rodziny z ciężarnymi kobietami - powiedziała Matrona. - Rozmawiałam z nimi. Wolą nie ryzykować podróży. Zostaną.

Józef popatrzył ze współczuciem na Gavina.

- Niech ona go zabierze do kuchni, panie. Znowu na rozum mu padło.

Maeniel dopiero teraz zauważył, że złote łańcuchy nie okrywają należycie wszystkich wdzięków Matrony.

- Wiesz co - zwrócił się do niej. - Obsłuż Gavina przed wyjazdem.

- Nie wiem czemu ja to robię - fuknęła Matrona. - Jemu ciągle to w głowie. - Kiwnęła na Gavina palcem i wyszła. Gavin podążył za nią jak byk ciągnięty za kółko osadzone w nosie.

- A co z papieskim wysłannikiem? - spytał Józef.

- Nie budźcie go — rzucił Maeniel, ruszając do wyjścia. - Wsadźcie człeka na Audovalda. Zniesie go bezpiecznie z gór.

Papieski wysłannik ocknął się, kiedy byli już w połowie drogi do doliny. Gavin

zasnął na swoim koniu. Matrona sypnęła mu śniegiem za kołnierz. Gavin wrzasnął. Jego krzyk obudził papieskiego wysłannika i z kolei ten wrzasnął, zobaczywszy, gdzie się znajduje.

- Cicho bądź - upomniał go Maeniel, który jechał za nim. - Nie strasz Audovalda. Nie wolno go rozpraszać. Ścieżka jest stroma.

- Tak, tak - wymamrotał papieski wysłannik. - Konia.

Ani mu w głowie było straszyć Audovalda. Ścieżka była nie tylko stroma i śliska. Biegła skrajem niemal pionowego, porośniętego tysiącami świerków urwiska, które opadało w kamienistą dolinę. Gdyby tam runął, gałęzie drzew posiekałyby go na strzępy. Te strzępy rozpaćkałyby się na papkę o głązy zalegające w dolinie, a to, co by z niego zostało, porwałby rwący tamtędy strumień.

- Dokąd zmierzamy? - spytał roztrzęsionym głosem.

- Do Rzymu - burknął beznamiętnie Maeniel.

- Ze wszystkimi twoimi domownikami?

- Towarzyszą mi wszędzie, gdzie się udaję - odparł Maeniel.

Papieski wysłannik sięgnął niepewnie do wodzy.

- Wędzidłem też nie drażnij Audovalda - ostrzegł go Maeniel. - Zna drogę.

Wilczyca mknęła przez noc. Była teraz w pełni zwierzęciem. Uciekała od pogrążonej w rozpacz Lucilli. Od dusznego miasta, od smrodu jego rynsztoków, od otaczających je murów. Od upiornego świata rządzonego przez ludzi takich jak Gundabald czy Hadrian. Świata, który zmuszał kobietę do zabicia własnego dziecka.

Mknęła szarą błyskawicą przez wysokie trawy Kampanii, zostawiając za sobą Rzym. Dzięki Ci, Boże - myślała Regeane. Dzięki Ci, Boże, za tę wilczycę. Wilczyca unosiła ją zawsze ku wolności, nawet kiedy była więziona. Dzięki wilczycy ucieczka zawsze była możliwa. Wilczyca kołał żal po utracie matki, rekompensowała poczucie odrębności, które prześladowało ją od chwili, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że żyje nie tylko na tym świecie, ale również na tamym.

Regeane rozmyślała. Regeane frasowała się. Regeane się bała. Regeane walczyła. Ale srebrna wilczyca po prostu była.

Zatrzymała się w wysokiej, rozkołysanej nocnym wiatrem trawie. Ciemności zalegające nad równiną rozpraszała nieco mdła poświata tańczących bez końca gwiazd.

Przed ślepiami wilczycy rozpościerało się połyskliwe, mroczne morze traw, falujący, satynowy kobierzec życia.

Czuła wieczne rytmy nocy generowane przez potrzeby dryfującej pod gwiazdami Ziemi. Wysuszona jesienna gleba oddawała swe ciepło chłodnemu nocnemu powietrzu i wzmagał się wiatr. Długie źdźbła traw tarły jedno o drugie, mącąc ciszę szelestem i szeptami.

Regeane słyszała łowieckie popiskiwanie nietoperzy uganiających się w górze za owadami.

Ludzie wynieśli się z Kampanii, ale wszystko tutaj tętniło nadal życiem. Szeleściła rozkołysana trawa, hałasowały insekty, urągając sobie, parząc się, walcząc, rodząc się i umierając w swym szybko przemijającym, miniaturowym światku. W bagnistych zagłębieniach przykrytych fałdami trawiastej sukni ziemi rechotały żaby, wyśpiewując swoje odwieczne pieśni.

Dla uszu wilczycy głośno brzmiał nawet aksamitny łopot sowich skrzydeł. Słyszała wyraźnie nerwowe piski i szuranie pazurków polnych myszy, przemykających ostrożnie między łodygami traw w poszukiwaniu pożywienia.

Czuła gdzieś blisko jelenia; jego zapach przemawiał do niej niczym słowa.

Czuła zanikającą woń zakrzepłej krwi, dolatującą z miejsca, gdzie gronostaj zaskoczył królika.

Regeane zdawała sobie sprawę, że wilczyca wie... że wilczyca postrzega to, co dla jej zmysłów jest niedostępne.

Wybiegając z willi Lucilli, nie miała żadnego określonego planu. Odruchowo zabrała wysadzany klejnotami naszyjnik. Pomyślała sobie, że odda go Antoniuszowi, żeby miał czym płacić za żywność i schronienie do czasu, kiedy ona znajdzie sposób na uratowanie go. Ale czy ten ratunek nie będzie czasem potrzebny jej?

Wilczyca zastygła w bezruchu, tak jak potrafi to tylko polujące dzikie zwierzę. Wzrokiem, słuchem i węchem przeczesywała Kampanię. Nasłuchiwała, wypatrywała, ale nade wszystko chłonęła napływające bodźce całym swym ciałem, aż w końcu nocny wiatr przyniósł do jej uszu odległe dźwięki muzyki.

Wilczyca puściła się pędem.

Regeane biegła, wiatr smagał jej twarz, w górze płonęły zimne ogniki gwiazd. Pęd przepelniał ją szczęściem. Rozkoszowała się miarową pracą mięśni potężnych barków wilczycy, ścięgien poruszających jej biodrami i udami.

Uciekała od świata ludzi w niezmierny, mroczny wszechświat, który patrzył obojętnie na szaleństwa rodzaju ludzkiego i z taką samą obojętnością, była tego pewna, patrzeć będzie na jego zagładę.

Umysł wilczycy połączył się z jej przodkami i powróciły wspomnienia innych gonitw pod innymi gwiazdami. Czasami przerażona i przymierająca głodem przemierzała biegiem jałowe pustynie. Kiedy indziej ścigała z radością w sercu zwierzynę, osaczała ją z resztą watahy, czuła w pysku smak ciepłej, świeżej krwi.

Biegała też w nocie miłości. Przez chwilę miała wrażenie, że nie biegnie sama. Obok pędził jakiś ciemny kształt. Miłość, ten krótkotrwały, rozdzierająco radosny akt miłosny, jakże niepodobny do ludzkiego, wolny od poczucia winy, strachu i wyrzutów sumienia.

Miłość, ta lanca ognia w lędźwiach; ta rozkosz przenikająca każda tkankę.

Miłość, ten zapach ciepłego mleka w norze, życie płynące z wymion do małych pyszczków. Przytulone do niej miękkie młode ciała, szukające komfortu i bezpieczeństwa.

Delektowała się tymi wspomnieniami, wspomnieniami bez słów, obrazami, sennymi fragmentami wyrwanymi z czasu. Obrazami świata, jakim ten był, jaki powinien być i jaki nigdy już nie będzie. Nie dla niej. Co do kobiety, to ta poślubi

mężczyznę, a on siłą pozbawi ją cnoty i być może zadawać będzie inne gwałty, jeśli ona wcześniej go nie zabije.

Była tak głęboko zatopiona w wilczych wspomnieniach, że wstrząs niemal ją sparaliżował, kiedy nagle uświadomiła sobie, że dotarła do celu. Ujrzała przed sobą procesję.

Wilczyca zatrzymała się gwałtownie, przysiadając na zadzie. Kobieta, kiedy zdała sobie sprawę, co widzi, wydała cichy skowyt rozpacz.

Ale wilczyca zignorowała ją. I kobieta, oplatana pajęczyną wilczej obojętności, po chwili ochłonęła. Tak pięknej muzyki jeszcze nie słyszała. Choć wykonujące ją dłonie i usta były prochem, choć instrumenty nieśli mężczyźni i kobiety będący teraz jedynie kośćmi złożonymi w ziemi.

Procesję otwierali kapłani i kapłanki tańczący radośnie przy dźwiękach liry, cytry i podwójnego fletu. Takt wybijał dudniący głucho bęben.

Za nimi szły zwierzęta przeznaczone na ofiarę: białe woły o pozłacanych rogach ozdobionych wieńcami z kwiatów i zieleni. Kroczyły dostojnie, pogodzone ze swym losem.

Dalej postępowali czwórkami wyznawcy bogów. Na głowach mieli korony ze złożonych liści laurowych i trzymali między sobą długie, wiosennozielone gałęzie przybrane stokrotkami, koniczyną, liliami i różami.

Po obu stronach pochodu sunęli ludzie z pochodniami, prowadząc ten milczący tłum przed ślepiami wilczycy.

Wszyscy mieli na sobie stroje z zamierzchłej przeszłości i przypominali Regeane postaci z nielicznych, pozostałych jeszcze w Rzymie, zniszczonych monumentów upamiętniających członków wysokich rodów w trakcie oddawania czci swoim bóstwom. Mężczyźni byli w togach, głowy mieli przykryte chustami. Towarzyszyły im żony owinięte w długie stole, zebrane wysoko włosy przytrzymywały diademami. Prowadzili bądź nieśli na rękach małe dzieci. Starsze z nich i młodzież szli przed nimi, starając się naśladować godne ruchy dorosłych.

Przypatrując się temu majestatycznemu pochodowi, Regeane przypomniła sobie pewien deszczowy dzień, kiedy zatrzymała się przed płaskorzeźbą jakiegoś nie znanego jej z imienia imperatora, z powagą prowadzącego swą rodzinę do stolicy na jakąś religijną uroczystość. Obok niej przystanął stary rolnik sprzedający swoje płody. Oparł dyszel ręcznego wózka o ziemię, popatrzył melancholijnie na płaskorzeźbę i zapytał:

- Czy my naprawdę stawaliśmy tak kiedyś... przed naszymi bogami?

Wilczyca chciała w pierwszym odruchu uciekać. To byli umarli. Umarli mieli prawo do spokoju i radowania się ciepłymi wspomnieniami. Nie godziło się im przypominać o udrękach i trudach życia.

W odróżnieniu od wielu mar, jakie widziała już wilczyca, ci umarli przecięli więzy łączące ich z ziemią. Z bólem i zgryzotami tych, którzy oddychali jeszcze, krwawili, cierpieli i kochali. Oni przemogli daremną rozpacz, która ogarnia człowieka w strasznej chwili umierania.

Jakie prawo miała ona, stworzenie księżycowej poświaty i ciemności, zwracać się do nich ze swą prośbą? Ale miała do nich prośbę. Była spragniona. Spragniona... sprawiedliwości. A wśród śmiertelnych nigdy nie będzie sprawiedliwości ani dla niej, ani dla Antoniusza.

Może znajdzie ją wśród umarłych. Może, kiedy końca dobiegną dni nieszczęsnego Antoniusza, przyjmą go przynajmniej z otwartymi rękami do swego grona.

Połykliwa procesja minęła ją. W powietrzu unosił się już przenikliwy chłód nadciągającej zimy. Gwiazdy migotały w gęstej, dostojnej samotności.

Ale zimny wiatr burzący futro wilczycy nie poruszał ani jedną fałdką ich strojów. W wieńcach zdobiących głowy płasających tancerzy pyszniły się kwiaty jakiejś zapomnianej wiosny. Procesja sunęła w ciepłym, nieruchomym powietrzu letniego wieczoru. Wilczyca podążyła za nią przez zimową noc.

Święta droga, którą szli, prowadziła na wysoką skałę, która górowała nad okolicą. Na jej szczycie wznosiła się biała jak kość świątynia. Jasne kolumny i fronton rysowały się ostro na tle nocnego nieba. Wilczyca z daleka widziała, że to ruina. Budowla nie miała dachu, kolumny były popękane i podziobane, fronton odarto z rzeźb, które zdobiły go niegdyś ku chwale narodu i jego bogów.

Ale trwała wciąż majestatyczna, skąpana w poświacie gwiazd, smagana wiatrem i deszczem, spoglądając z niezmaconym spokojem na brązową równinę i wieczny splendor widocznego z jej wyżyn granatowego morza.

Wilczyca zatrzymała się u stóp skały i zadana łeb. Stromy szlak prowadzący na szczyt, kiedyś wyłożony marmurem i biegnący wśród szpaleru posągów królów i cesarzy, bogów i bogiń, teraz był naga, zarośniętą zielskiem ścieżką.

Marmurową nawierzchnię zerwano dawno temu i wywieziono do Rzymu i Neapolu. Kilka posągów, które jeszcze stały, uległo okaleczeniu; jedne nie miały rąk,

inne głów. Większość leżała na ziemi obrośnięta winem.

Kobieta obecna w wilczycy ciekawa była, co widzą oczy umarłych. Czy postrzegają świątynię w jej starożytnym splendorze, czy też widzą to, co ona — opuszczoną ruinę? Czy robi im różnicę, co widzą? Czy ma to dla nich znaczenie?

Wilczyca powęszyła pod wiatr, poczuła w nozdrzach czystą, słodką bryzę od oceanu i już wiedziała, że to nie ma dla nich znaczenia. Oni istnieli poza czasem i żadne ziemskie błahostki nie były w stanie zmącić ich spokoju. Oni nie odróżniali teraźniejszości od przyszłości i przeszłości. Życie było dla nich jedną, wiecznie trwającą chwilą.

Pójdę tam - pomyślała - jako suplikantka. I poproszę o pomoc dla Antoniusza i... dla siebie.

Ścieżka prowadząca na wysoką skałę obrośnięta była po obu stronach krzewami wawrzynu. Wilczyca odgryzła gałązkę. Suplikant musi taką nieść. Zaczęła się piąć stromą ścieżką ku świątyni na szczycie, ku gwiazdom.

Święta droga obiegała spiralnie skałę i wznosząc się coraz wyżej i wyżej, docierała na sam szczyt, z którego roztaczał się widok na morze. Powietrze było przejrzyste, bryza wiała nieprzerwanie.

Świątynia stała ciemna i pusta. Wiatr zawodził cicho między prostymi, spękany kolumnami. Z niewygasającego ogniska bogów przed wejściem do świętej budowli pozostała stożkowa kupka szarego, martwego popiołu. Nieustająca bryza od morza rozwiewała ten popiół w tuman pyłu, który tańczył przed oczyma wilczycy w zimnym nocnym powietrzu.

Wilczyca zatrzymała się, ściskając mocno w szczękach wawrzynową gałązkę. W jej głowie zatliła się iskierka ironicznego śmiechu, tak błada, że nie była pewna, czy to śmiech jej, czy kogoś innego.

„Bałaś się przeszkadzać umarłym. Teraz wszystkie twoje lęki uleciały. Patrz, jak łatwo cię opuszczają, jeśli tylko tego chcą”. -Te słowa sformułowały się nie wiedzieć skąd w głowie Regeane. Miała pewien ograniczony kontakt z wilczycą. Ale przecież wilczyca, choć też potrafiła myśleć, to tylko obrazami i skojarzeniami, a nie, jak ludzie, słowami.

Gdzieś w zakamarkach wilczego umysłu znalazła potrzebne symbole. Ulepiła z nich słowa i krzyknęła bezgłośnie:

„Przychodzę jako suplikantka. Wysłuchajcie mnie. Odpowiedzcie mi. Pomóżcie”.

Wiatr przybrał na chwilę na sile. Zakręcił wirem wokół wygasłego ogniska, podrywając w powietrze obłoczek starożytnego popiołu, i załkał w potrzaskanych kolumnach świątyni.

Głosy. Ten wiatr niósł głosy. Głosy spoza czasu. Głosy wydobywające się z ust, które obróciły się już w proch.

Jedne pełne były potępienia. Inne kpiny. Jeszcze inne zaśmiewały się, dolatując jakby z ogromnej dali długim, spiralnym korytarzem wieczności, z miejsca, gdzie zapomniały już, że należały niegdyś do ludzi.

Głosy. Bezślówkowe, szepczące głosy. Zanikające i odpływające w końcu w ciszę.

Regeane zmobilizowała wilczy umysł i znowu bezgłośnie krzyknęła:

„Czy nikt nie wysłucha suplikantki?”

Odpowiedź napłynęła cieniem dźwięku. Był to jakby zbłąkany oddech nieustającego w ruchu powietrza, które zawiroowało i przygłnęło do skruszonego piedestału, na którym stał kiedyś posąg boga.

„Zamilcz - nakazał głos - bo tam, gdzie przebywam, zawsze wysłuchuje się suplikantów”.

Słodki zapach zatoki zdał się nasilić w nozdrzach wilczycy.

Od drugiego końca świątyni w stronę Regeane sunęła zjawa odziana w długi biały chiton i peplos kobiety. Peplos okrywał jej głowę i spływał na ramiona. Nie widać było spod niego nawet dłoni.

Zjawa miała kobiece kształty i wzbudzające grozę oblicze. W poświęconym gwiazd połyskiwała naga kość czaszki.

Wilczyca, uzbrojona w zwierzęcą obojętność, zaskamlała cicho.

W jej umyśle rozbrzmiał głos mary:

„Ktoś ty? Czemu przychodzisz do Cumae niepokoić szlachetną, świętą śmierć?”

Głosy na wietrze nasiliły się, jęczały, szlochały, klęły i wyły. Jego podmuch zmierzwił sierść wilczycy i zaszeleścił listkami gałązki, którą trzymała w pysku.

Widmo było coraz bliżej.

Jestem wilczycą - pomyślała Regeane, czując, że jej świadomość podejmuje rozpaczliwą próbę oddzielenia się od świadomości wilczycy. Kobięcy umysł wił się i skręcał, usiłując nakłonić wilcze mięśnie do panicznej ucieczki przed zbliżającym się upiorem.

Wilczyca zdusiła obcą osobowość i siłą przejęła nad nią kontrolę. W podwójnej świadomości rozszalała się czerwona furia.

Regeane odleciała w ślepy mrok. Nie widziała już ani nie słyszała. Krzyząc bezgłośnie, unosiła się w bezświetlnej pustce odarta ze zmysłów smaku i dotyku. Ich zjednoczenie było tak nagle i jednocześnie jak rozbłysk błyskawicy zlewający się z grzmotem pioruna w oku burzy.

Przed chwilą unosiła się w ciemnościach; teraz stała naga z gałązką wawrzynu w dłoni, ni to kobieta, ni wilczyca, na pokruszonych stopniach przed zrujnowaną świątynią i jej wygasłym ogniskiem.

Była kobietą i wilczycą zarazem. Nie wiedziała dotąd, że to możliwe. Dygotała wewnątrz z napięcia, niczym sznur przeciągnięty pomiędzy dwoma przeciwnymi biegunami swojej natury, niczym naprężona do ostatnich granic struna harfy, która wyda za chwilę swą najpiękniejszą nutę... albo pęknie.

Spojrzała na zbliżający się nadprzyrodzony koszmar.

Zjawa zatrzymała się.

Nocny wiatr niczym zimna woda omywał nagie ciało Regeane. Wiatr od morza był jak połyskliwa kąpiel. Regeane wyciągnęła do zjawy rękę z wawrzynową gałązką. Nadal czuła w nozdrzach zapach jej liści.

- Przychodzę do ciebie - powiedziała - jako suplikantka, a ty witasz mnie pod tak upiorną postacią.

- Wzywałaś mnie - rozległ się głos. - Cóż ci za różnica, co widzisz? - Spomiędzy wyszczerzonych zębów czaszki wysunął się rozdwojony język. Za oczodołami, w czerni pustego czerepu, wił się długi wąż. - Kim jesteś, że przychodzisz tu odziana tylko w ciało, naga niczym sama bogini i z jej naszyjnikiem na szyi?

- Zrodziłam się z ciemności - odparła Regeane. - Oczy mego ojca zamknęły się, zanim otworzyły się moje. Nie jestem z tego ani z tamtego świata i mam prawo być, czym jestem.

Trupiołowa kobieta znikła w skracającej się, falującej czerni i przed Regeane wyprężył się wąż. Jego ciemny, trójkątny łeb rysował się cieniem między nią a gwiazdami zagładającymi przez zerwany dach.

Ale kobieta, która nie była ani Regeane, ani wilczycą, nie cofnęła się. Patrzyła śmiało, bez drgnienia powieki, i na jej oczach wąż rozplynał się powoli w powietrzu. Zostały tylko gwiazdy. Przed Regeane stanęła pokręcona, pomarszczona

starucha.

Rozbłysk jasności poraził oczy Regeane. Świątynia otworzyła się przed nią raptownie tak piękna, jaką była w dniach swojej świetności. Oświetlały ją blask pochodni i migotliwe płomyki tysiąca lamp udekorowanych zielonymi wiankami. Świątujący wyznawcy stali równymi szeregami, na głowach mieli pozłacane wieńce laurowe, trzymali naręcza bajecznie kolorowych wiosennych kwiatów.

Zastygli w bezruchu, jakby przybycie tej intruzki spoza świata przerwało im niespodziewanie ceremonię, i patrzyli na Regeane z kamienną obojętnością umarłych.

Górował nad nimi posąg boga odzianego, jak Regeane, w pierwotną nagość, i promieniującego pięknem młodości. Uśmiechał się ze swych wyżyn do adorujących go niegdyś żywych, teraz na zawsze pozostających w zaświatach.

Regeane obeszła ognisko i zbliżyła się do wejścia.

– Suplikantka zostanie wysłuchana - wyszeptła starucha - ale nie idź dalej, bo za tym progiem zaczyna się kraina umarłych.

Och, jak tam pięknie! - pomyślała Regeane, wytrzymując nieruchome spojrzenia tłumu. Bo tutaj wabi czekający chaos, piękno zaś może być maską horroru, a horror bramą do niewyobrażalnego. Regeane spojrzała znowu na stojącą w wejściu staruchę. Ale czy ona naprawdę była stara? Nawet dla obdarzonego mocą stworzenia, jakim stała się Regeane, oblicze tej kobiety zdawało się falować i zmieniać.

Młodość i starość przemykały przez nie niczym cienie. Gładka skóra wiotczała i pokrywała się zmarszczkami. Ujmujący uśmiech przechodził w szczerbaty wredny grymas. Lśniące włosy przeredzały się, zostawało po nich parę prostych kosmyków na wstrętnej, tysięcej głowie.

A potem wszystko zaczynało się od początku, i tak bez końca.

– Widzę cię, a jakbym nie widziała - powiedziała Regeane.

– I tak ma być - odpowiedział głos. - Nikt mnie nigdy nie widzi. Mów. Czego pragniesz? Bo czasu masz niewiele. Powiedziałaś, że przychodzisz jako suplikantka. Wysłucham cię. Mów.

– Chcę prosić o życie dla mężczyzny - zaczęła Regeane. – Chcę prosić o odnowienie jego ciała, o uzdrowienie go.

Cała zatłoczona świątynia gruchnęła śmiechem. Płacz umarłych jest straszny - pomyślała Regeane, bo często przed nim uciekała. Serce się od niego

kraje, ale ich śmiech jest jeszcze gorszy, ohydny ponad wszelkie wyobrażenie, bo nie pozostało w nim nic ludzkiego. Tylko zimne, dźwięczące szyderstwo.

Regcane miała ochotę uciec przed tym śmiechem, ale nie pozwoliły jej na to duma i siła, jaką w sobie czuła.

Postać stojąca w wejściu nie śmiała się. Jej twarz, nie licząc zachodzących na niej powolnych, cyklicznych zmian od pączkującej urody po starczy uwiąd, pozostawała niewzruszona i Regeane uświadomiła sobie, że każda z twarzy przybieranych przez tę pokręconą jędzę jest inna, a zarazem tak samo niszczy ją czas. Przechodziły płynnie jedna w drugą w nieprzerwanej sekwencji, i kto wie, czy nie trwało to od samego początku świata. I czy nie będzie trwać do jego końca. Istota nie roześmiała się, skinęła tylko głową.

- Twoja prośba jest bardzo prosta do spełnienia - odezwał się głos. - Ten ogień za tobą wciąż płonie, choć już nie ziemskim płomieniem. Przynieś go tutaj, złóż w palenisku, a potem przestąp próg. Może stamtąd wyjdiesz, może nie, ale to, o co prosisz, stanie się.

Przestąpić próg - pomyślała Regeane. Wejść do krainy umarłych. Wzdrygnęła się. Triumfalna siła woli, która utrzymywała ją na miejscu, załamała się, i Regeane rzuciła się do ucieczki.

Nie pamiętała potem, kiedy zamiast na dwóch nogach zaczęła biec na czterech, w każdym razie to przejście gdzieś w trakcie owej panicznej ucieczki nastąpiło, bo przez Kampanię, oddychając głęboko czystym powietrzem i zostawiając za sobą skałę, pędziła już wilczyca.

Robiło się coraz zimniej. Wilczyca rozpoznawała to po zapachu wiatru i powolnej zmianie zachodzącej na rozgwieżdżonym niebie. Na trawie, po której mknęła, zaczynała się osadzać rosa.

Biegła do Antoniusza.

Śmierć. Wiedziała, że śmierć nie jest końcem wszystkiego, ale nie pojmowała jeszcze, co to właściwie znaczy. Groza niewyczerpanych możliwości. Popelniała grzech wobec ludzkości, myśląc jak umarli. Jedną z najważniejszych rzeczy w życiu człowieka jest przewidywalność. Słońce wschodzi. Słońce zachodzi. Poddani kłaniają się swoim panom, panowie królom i imperatorom.

Rzymianie byli ciemiężcami, niewolili całe narody. Ale ich oparte na jasno określonych prawach rządy czyniły przynajmniej życie przewidywalnym. Ludy żyjące pod ich jarzmem wiedziały, czego się spodziewać.

A kto wie, czego się spodziewać w tym tyglu narodów, gdzie Lombardczycy wadzą się z papieżem, gdzie Frankowie i Sasi¹ mieszają się ze starożytnymi Galami, a wszyscy walczą między sobą o dominację i władzę?

Ona była dla nich, dla rodzaju ludzkiego, istotą wymykającą się wszelkim definicjom... czymś nieokreślonym jak noc czy wszechświat. Uosobieniem niemożliwości. Była czymś niewiadomym, a przez to nieprzewidywalnym, i dlatego właśnie ludzie chcieli ją zniszczyć. I zniszczą, jeśli ją złapią.

Potrafili zaakceptować kobietę, potrafili wilczycę, ale obie w jednej?! Nigdy!

Zwolniła w pobliżu fabryczki szkła. Wyczuwała już zapach Antoniusza, wyczuwała jego strach i nieubłagane postępy choroby, która zżerała powoli jego ciało.

Wilczyca zatrzymała się. Futro miała wilgotne od rosy. Robiła ciężko bokami, zmęczona długim biegiem przez noc. Była spragniona.

Ugasiła pragnienie, chłepcząc srebrzystą wodę ze strumyka, z którego niegdyś korzystali szklarze. Następnie otrząsnęła się, by wygładzić futro.

Śmierć. Tak, zabiliby ją, gdyby ją złapali. Wzdrygnęła się na myśl o męczarniach, w jakich umierali ludzie skazani za uprawianie czarnej magii - topienie, palenie.

Ale kresem tych cierpień była zawsze śmierć, i śmierć należała jeszcze do przewidywalnego wszechświata.

Potem... Któż to wie?

Być może największym horrorem dla umarłych jest to, że nie mogą umrzeć. Że dryfują po niezbadanym oceanie życia po śmierci. Dryfują w nieskończoność po morzu wieczności.

¹ Sasi - plemię zachodnio-germańskie osiadłe na pn. od dolnej Łaby. Później opanowało Dolną Saksonię. Część z nich dokonała inwazji na Brytanię. Część w przymierzu z Frankami opanowała Turynię. Sami zostali po zaciętych walkach ujarzmieni przez Karola W. i zmuszeni do przyjęcia chrześcijaństwa. (przyp. red.).

Antoniusz leżał okutany w opończę. Wilczyca przysiadła nad nim i siedziała tak kilka chwil, rozdygotana.

- To ty, Lupa - westchnął, kiedy podsunęła się bliżej i trąciła go nosem. - A więc wróciłaś. Nie wiedziałem, czy się radować, czy smucić. Przychodziło mi nawet do głowy, że ten mały piec stanie się moim grobowcem. Z początku myśl ta napawała mnie przerażeniem, ale po jakimś czasie przywykłem do niej. Mógłbym tak tu leżeć i obserwować za dnia jaskółki uwijające się w górze, aż moje ciało wsiąkłoby w ziemię, a kości się rozpuściły - mrucał. - Bo tu są jaskółki, wiesz? Uwiły sobie gniazdo na kominie. Wychowały w nim już pewnie parę pokoleń młodych.

Tak - pomyślały Regeane i wilczyca — gdyby Bazyl i jego ludzie nie byli zaślepieni głupotą, zorientowaliby się po obecności tych jaskółek, że muszą tu gdzieś być jakieś ruiny. I już by tu byli.

- I gwiazdy. Kiedy ktoś, tak jak ja, nie rusza się z miasta, to zapomina o gwiazdach, zapomina, jakie są piękne, kiedy Droga Mleczna rozpina się mostem na nocnym niebie. Nie ma artysty, który zdołałby oddać ich glorię. Może gdybym leżał tu, gnijąc, przez parę wieków, czegoś bym się o nich dowiedział. - Antoniusz zachichotał cichutko, jakby rozbawiony swoimi myślami, tą wizją nadciągającej śmierci i rozkładu.

Wilczycy to nie bawiło. Dla niej był to zwyczajny defetyzm. Zerwała się i wyszczerzyła zęby.

Z cienia zalegającego pod kapturem opończy spojrzały na nią piękne oczy Antoniusza.

- O co chodzi, Lupo, co to miało być? Rozkaz czy ostrzeżenie?

Jedno i drugie - pomyślała Regeane, podbiegając truchtem do jego stóp. Kłapnęła zębami.

Antoniusz usiadł. Przyglądał się wilczycy w bladej poświacie gwiazd.

- Lupo - powiedział cicho - czy nie rozumiesz, że ja nie mogę stąd wyjść? Nigdzie mi nie będzie tak dobrze jak tu. Bazyl mnie tu nie znajdzie i nie będzie mógł wykorzystać przeciwko Stefanowi. Mam tu wodę. Mogę do niej podpełznąć i napić się, kiedy czuję pragnienie. Ostatnio rzadko bywam głodny. Za kilka dni w ogóle przestanę odczuwać nieśmiałe skargi mego pustego żołądka. A potem jeszcze kilka dni i będzie mi już wszystko jedno.

Regeane, która teraz była bardziej wilczycą niż kobietą, ogarnęła furia. O mało nie przekroczyła dla niego bramy wieczności, a on mówi o umieraniu tak spokojnie, jakby chodziło o zajście do najbliższej winiarni.

Przysiadła na zadzie i skoczyła na niego z wściekłym warczeniem, które odbiło się niczym grzmot od ścian pieca. Wylądowała tuż przed nim na ziemi.

Antoniusz podźwignął się na nogi. Wilczyca cofnęła się, ułagodzona.

Antoniusz przyglądał się jej przez chwilę uważnie.

- O co chodzi, Lupo? - spytał z niepokojem. Wilczyca podbiegła do tunelu, który prowadził z pieca na zewnątrz. - Widzę, że nie dane mi w spokoju dokonać żywota.

O dziwo, zdawał się przyjmować tę perspektywę z takim samym spokojem i rozbawieniem, z jakim mówił przed chwilą o pozostaniu na zawsze w tym małym sanktuarium. Uśmiechnął się, zakrywając sobie opończą dolną połowę okaleczonej twarzy. Wilczyca bardziej wyczuła ten uśmiech - tę spokojną promiennosc — niż go zobaczyła.

- No dobrze. Podporządkuję ci się. Prowadź.

Kilka godzin później Regeane natknęła się na pasterza. Obawiała się konfrontacji z jego psami, ale kiedy stanęła oko w oko z tymi parszywymi kundlami, okazało się, że niepotrzebnie.

Miały już do czynienia z wilkami, ale nigdy z takimi jak ona. Srebrna wilczyca, w odróżnieniu od bojaźliwych szarych wilków z Kampanii, była stworzeniem o niebywałej sile. Nabitą mięśniami, skrzącą się w poświęcie księżycy bestią dwa razy większą od największego wilka, jakiego dotąd widziały.

Psy zatrzymały się jak wryte, warkot zamarł im w krtaniach. Położyły uszy po sobie, podkuliły ogony i czmychnęły, by przywarować w bezpiecznym sąsiedztwie białej masy owiec.

Owce, czując niebezpieczeństwo i szukając ochrony przed nocnym chłodem, zbiły się w ciasną gromadę. Srebrna wilczyca wiedziała, że gdyby je zaatakowała, zdesperowane psy stanęłyby w obronie swoich podopiecznych. Nie zrobią jednak nic, jeśli zostawi owce w spokoju. Nie zaalarmują nawet młodego pasterza, którego widziała przed prowizorycznym szałasem wzniesionym na pagórku po drugiej stronie stada. Spał na boku zwinięty w kłębek przy małym ognisku.

Wilczyca popatrzyła ze wzgardą na psy. Jeden odruchowo wyszczerzył na

nią zęby, ale nawet nie warknął.

Srebrna wilczyca ze wstrząsem uświadomiła sobie potęgę, jaka w niej drzemie. Słyszała pokrzepiający, miarowy stukot swojego serca. Czuła, jak mięśnie klatki piersiowej i zadu napinają się, gotowe wprowadzić w ruch ścięgnię poruszające jej nogami.

Nie była zwyczajnym wilkiem. Była stworzeniem o niezrównanej sile, rozpieranym energią. Psy dobrze wiedziały, że gdyby tylko chciała, bez trudu najpierw rozprawiłaby się z nimi, a potem rozerwała gardła tylu owcom, ilu by się jej zamarzyło. A pierwszą ofiarą tej nowo odkrytej siły mógłby paść bezbronny pasterz.

A czemu by nie?

Jego szalas, odzienie, zapas żywności mogłyby się przydać Antoniuszowi. Gdyby jadła było za mało, mogłaby zagryźć kilka owiec.

Srebrna wilczyca podbiegła truchtem do śpiącej na pagórku postaci. Pasterz był jeszcze chłopcem, co najwyżej kilkunastoletnim wyrostkiem. Twarz, jak wszyscy śpiący, miał pogodną i niewinną. Och, ta ujmująca i przerażająca zarazem bezbronność rodzaju ludzkiego podczas odpoczynku! Ta wrodzona bezradność wobec matki nocy i wiecznych gwiazd!

Wilczyca, bezwzględna arystokratka pośród zabójców, nie miała skrupułów. Mało brakowało, a chłopiec umarłby, zanim zdążyłby się całkiem wybudzić. Powstrzymała ją Regeane. Wilczyca potrząsnęła gniewnie łbem. Kobieta wiedziała, że chłopiec jest najprawdopodobniej najmłodszym synem któregoś z małorolnych chłopów wegetujących w cieniu wielkich posiadłości.

Ludzie tacy żyli w nędzy tak absolutnej, że Regeane na samą myśl o tym robiło się słabo. Jak można było wieść życie tak odarte z wszelkich przyjemności, szczęścia, a nawet nadziei! Wielu nawet nie próbowało wychowywać swoich dzieci. Te, które nie umarły w niemowlęctwie, sprzedawali w niewolę bogaczom, kiedy tylko stawały się zdolne do pracy. O tego tutaj nie dbał zapewne nawet jego właściciel. Przeżyje, dobrze, nie przeżyje, trudno.

Srebrna wilczyca stała z opuszczonym łbem tuż poza kręgiem blasku bijącego od ogniska. Owce wierciły się i pobekiwały, zaniepokojone zapachem wilka. Jeden z psów zebrał się na odwagę i dopiero teraz zaszczekał.

Pasterz obudził się i dostrzegł czającą się w mroku wilczycę. Chwycił jedną ręką za kij, a drugą za ostatnią płonącą jeszcze gałąź. Była przepalona i rozpadła mu się w dłoni, parząc palce. Chciał zerwać się na nogi, ale poślizgnął się i opadł na

klęczki.

Poruszona gałąź buchnęła nowym płomieniem. W jego blasku chłopiec zobaczył, że w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą widział wilczycę, stoi... kobieta.

Piękna naga kobieta ze srebrnym, wysadzonym perłami naszyjnikiem na szyi.

Młody pasterz pokłonił się jej, bijąc czołem o ziemię.

- O, królowo nocy - wykrztusił - czemu do mnie przysłaś?

Umysł Regeane, choć przybrała przed chwilą postać kobiety, zdominowany był nadal przez wilczycę i przepelniony wilczą butą. Plan miała prowizoryczny, zaledwie w części przemyślany. Zamierzała przekupić chłopca naszyjnikiem. A gdyby to się nie udało - przedzierzgnąć się z powrotem w wilczycę i nastraszyć tak, by stał się jej powolny.

Podeszła bliżej i zatrzymała się po drugiej stronie ogniska. Chłopiec zakrywał sobie dłońmi oczy, ale zerkał na nią poprzez rozchylone palce.

Kobieta-wilczyca roześmiała się.

- Nie obawiasz się, że oślepniesz, patrząc na nagą boginię?

Ku jej zaskoczeniu chłopiec uniósł głowę i spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Powiadają, że ten, kto ujrzy panią nocy, pożądany będzie potem przez wszystkie kobiety i do końca swych dni zachowa młodą twarz. A ten, kto jej dotknie...

Coś musiało się zmienić w wyrazie twarzy Regeane, bo chłopca opuściła nagle odwaga.

- Miej litość! - zawołał, padając na twarz. — Nie zabijaj!

Regeane było zimno. Zwalczyła pokusę przedzierzgnięcia się z powrotem w wilczycę. Zaciśnęła zęby. Starła się opanować drżenie. Jesteś teraz boginią - pomyślała. Użyj swej mocy!

- Nie obawiaj się - powiedziała, zdejmując naszyjnik Lucilli. - Nie nastaję na twoje życie. Chcę, żebyś dał schronienie komuś, kogo kocham, i zaopiekował się nim.

Ogłupiały chłopiec oderwał od ziemi twarz i wziął od Regeane naszyjnik. Nie miał odwagi spojrzeć kobiecie znowu w oczy. Skupił wzrok na wyciągniętej do niego drobnej kobiecej dłoni. Dłoni, która mogłaby należeć do każdej młodej dziewczyny.

Regeane zaczęła się cofać od ogniska.

- Zaczekaj - wykrztusił chrapliwie chłopiec. - Nic takiego jeszcze mi się w

życiu nie przytrafiło.

Regeane zatrzymała się. Oscylowała na krawędzi przemiany. Niemal czuła na skórze kaskadę promieni księżyca.

- Czego chcesz? - wyszeptała. Ogień znowu przygał. Ledwie widziała twarz chłopca.

- O, pani nocy, dotknij mnie tylko, bym nigdy nie doznał zawodu w miłości.

- Zamknij oczy i unieś głowę - powiedziała Regeane.

Chłopiec posłuchał. Dygotał na całym ciele. Obłok jej włosów, których końce rozsrebrzał księżyc, spłynął mu na twarz, a jej wargi musnęły jego usta w przelotnym, słodkim pocałunku.

Cofając się, Regeane zauważyła ze zdumieniem, że obok stoi Antoniusz. Zasłaniał sobie twarz zgrzebną, czarną opończę, ale jego szeroko otwarte oczy patrzyły na nią ze zdumieniem i lękiem. Trwało to tylko moment. Potem spłynął przez nią mrok księżyca, i znowu była wilczycą.

Młody pasterz pokłonił się znowu nisko, zaciskając mocno powieki, ale Antoniusz dalej patrzył jej w ślepie.

- Dlaczego, Lupo? - zapytał cicho. - Dlaczego?

Ale Regeane już przy nim nie było. Srebrzysty cień mknął przez Kampanię w stronę Rzymu.

Z silnym postanowieniem, że nie da się zaskoczyć tak jak poprzedniej nocy, utrzymywała mordercze tempo, dopóki nie ujrzała przed sobą świateł miasta i nie poczuła w nozdrzach swądu dymu i smrodu śmieci utrzymujących się zawsze w pobliżu ludzkich siedzib. Przeszła w trucht i tak dobiegła do domu Lucilli.

Kiedy przeskakiwała przez mur okalający ogród, nad wschodnim widnokregiem zajaśniała wąziutka smuga bieli. Wbiegła do atrium i zapominając o ostrożności, pochyliła łeb nad basenem.

W szarówce przedświt zobaczyła w wodzie odbicie swego pyska - głębokie, żółte ślepie, srebrzyste futro, gęstą kryzę wokół szyi — i nagle przeszedł ją dreszcz ciemności, a w następnej chwili klęczała nad basenem, patrząc na swoją ludzką twarz, na ciemne włosy spływające na ramiona, w swoje dziwne, smutne oczy.

Wyczerpana, zahipnotyzowana pięknem cichego ogrodu, pozostała tak pośród irysów i kaskad jesiennych stokrotek aż do pierwszego brzasku.

Basen odbijał barwy wschodu, głęboki błękit przechodził w róż. Kwiaty, ciężkie od porannej rosy, zaczynały wysyłać w chłodne poranne powietrze swe zapachy. Wokół rozchodził się aromat mięty i rumianku.

Regeane zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Boże - powiedział ktoś cicho. — O mój słodki, miłosierny Boże! Teraz się nie dziwię, że nie chcesz wyjść za mąż. - Na jednej z ławeczek otaczających basen siedziała Lucilla.

- A więc widziałaś - wyszeptwała Regeane. - Już wiesz.

- Widziałam... - Lucilla poderwała rękę do policzka i odwróciła głowę. - Boże, widziałam... choć nie wierzę w to, co widziały moje oczy. - Spojrzała znowu na dziewczynę.

Regeane podniosła się powoli z klęczek i podeszła do niej wykładaną kamiennymi płytami ścieżką.

- Użyczysz mi swojej opończy? - spytała. — Zimno mi, a poza tym może się tu zaraz zjawić któraś ze służących. Jestem naga.

- Nie da się ukryć - przyznała Lucilla, patrząc na nią z niedowierzaniem. — Nie da się ukryć, naga jak nimfa. Myślałam przez chwilę, że wzrok mnie myli. Oczy płatają takie figle starzejącym się ludziom - ciągnęła. - Pomyślałam sobie: „Wilk? Skąd się tu wziął wilk? Trzeba wezwać sługi, niech go przepędzą”. I naraz do mnie dotarło: „Stara kobieto, to żaden wilk, lecz ogrodowa rzeźba klęcząca wśród kwiatów”. I wtedy... - Lucilla, ze ściętą przerażeniem twarzą, cofnęła się gwałtownie przed Regeane. - I wtedy... i wtedy... ty się poruszyłaś.

Regeane dzielił od Lucilli zaledwie krok. Wyciągnęła rękę.

- Daj mi opończę, proszę. Zimno mi.

Lucilla odruchowo, wciąż wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w Regeane, zsunęła z ramion ciepłą opończę i podała ją dziewczynie.

Regeane owinęła się nią gorączkowo.

- Dziękuję.

- Nie patrz na mnie takim wzrokiem - fuknęła Lucilla. - Wiem, że wyglądam okropnie, ale mam swoją dumę, a za sobą bezsenną noc.

- Zadenuncjujesz mnie? — spytała Regeane.

- Czy cię zadenuncjuję? - zachnęła się Lucilla. - A niby w związku z czym miałabym cię zadenuncjować?

- W związku z tym, że jestem wiedźmą, czarownicą.

Lucilla roześmiała się piskliwie, niemal histerycznie.

- Co też ci przychodzi do głowy! — powiedziała. - Nigdy nikogo nie zadenuncjowałam. Wyjątkiem są ci, którzy spiskują przeciwko Hadrianowi. Każdy wie, że zbyt długo żyłam poza prawem, by sympatyzować teraz z tymi najwyższymi sędziami, tymi żołnierzami o żelaznych pięściach, którzy...

Regeane usiadła obok niej na ławeczce. Lucilla wzięła ją w ramiona.

- Och, kochanie! Och, moje biedne kochanie! - I nagle spojrzała na Regeane z troską. - Całą noc spędziłaś w Kampanii?

Regeane wyprostowała się.

- Tak, z Antoniuszem. Jest bezpieczny. Zostawiłam go pod opieką pasterza.

Lucilla ukryła twarz w dłoniach. Westchnęła głęboko, potem opuściła ręce na podolek i spojrzała ponad odbijającym niebo basenem. Ku zaskoczeniu Regeane zachichotała.

- A więc uważasz siebie za wiedźmę? - zapytała.

- Sama nie wiem, czym jestem - odparła Regeane.

- Czy potrafisz robić... to, co widziałam... na zawołanie? - spytała Lucilla.

- Nie - powiedziała Regeane. - To znaczy nie wiem. - Zaczynała się plątać. - Nigdy o tym nie myślałam. Z matką nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Nie rozmawialiście, bo ona tego nie chciała, prawda? - zauważyła Lucilla. - To by wyjaśniało, dlaczego twój wuj miał nad nią taką władzę. Dlaczego przyzwalała, żeby on i jego rozwiązły synalek ubierali ją w łachmany, a sami przepijali jej pieniądze.

- Nie - wykrztusiła Regeane.

- Tak - powiedziała z naciskiem Lucilla. - I to by też wyjaśniało władzę, jaką ma nad tobą wuj. - Zamilkła na chwilę i siedziała ze spuszczonym wzrokiem, machinalnie przebierając w palcach fałdy sukni. - Już widzę tę twoją matkę idiotkę - podjęła w końcu. - Odgradzającą się od świata świętoszkę. Czyż nie tak mi ją przedstawiłaś? Zamykała cię, prawda? Ukrywała, niczym jakąś grzeszną tajemnicę. I pośród tych krat, rygli, ciasnych cel widziałaś tylko kościelne gromnice i ołtarzyki przyozdobione zasuszonymi ciałami rozmaitych świętych i błogosławionych.

- Przestań - wykrztusiła zdławionym szeptem Regeane. Wzięła głęboki oddech. - Przestań. Nie przypominaj mi. Czasami rzeczywiście przynosiła kawałki martwego ciała, drzazgi kości. Ucierała to na proszek i kazała mi pić.

- Tfu! - Lucilla splunęła. - Jak ten głupi medyk ze swoim hipopotamim

nawozem.

- Staralam się zażywać te jej mikstury - przyznała Regeane ze ściśniętą z obrzydzenia krtanią. Rozpłakała się. Łzy pociekły jej po policzkach. - Tak bardzo cierpiała. Chciałam jej jakoś ulżyć w tym cierpieniu.

- Dla mnie to nie ona, lecz ty cierpiełaś - wyrzuciła z siebie. - I to tylko dlatego, że ona nie potrafiła, nie chciała pogodzić się z zaistniałą sytuacją i nie próbowała cię jakoś chronić.

- Tak - przyznała niepewnie Regeane - ale kto by to potrafił, kto by chciał!

- Ja potrafię - odparła Lucilla. - I podejmę się tego. Już zdecydowałam. I ona też by mogła, gdyby miała choć odrobinę ikry.

- Lucillo - wyszłochała Regeane. - Przestań, proszę. Ja kochałam swoją matkę.

- Oj, dziecko, dziecko - westchnęła Lucilla. Przechadzała się tam i z powrotem przed ławeczka. - Wszyscy kochamy nasze matki. Ja swoją też kochałam, ale ona była taka sama jak twoja. Skamlała i płaszczyła się przed Chrystusem i jego świętymi, i żyła w nieustannym strachu przed pięścią i butem mego ojca. Rodziła dziecko po dziecku. Nie pamiętam już, ile ich było. Umierały często w maleńkości, zanim zdążyły posmakować życia. Kto wie, może i na swoje szczęście.

Jej twarz skuła maska gorzkości.

- Życie chłopca w Abruzji jest straszne, potrafi złamać najtwardszego ducha. Wiem to, bo omal nie skruszyło mojego. Ale mniejsza z tym. O tobie i o twoim duchu przecież mówimy. O twoim życiu i twojej przyszłości. Po pierwsze, jak ta... jak ta zdolność do przemiany się u ciebie objawiła?

- Ja... - Regeane zająknęła się - Ja... sama...

Lucilla zatrzymała się. Stała, przytupując obutą w sandał stopą.

- No, no - naciskała. - Kiedy to się stało?

- Z pierwszym krwawieniem, kiedy stałam się kobietą. Wtedy... - Regeane westchnęła - ...wtedy po raz pierwszy się zmieniłam.

- Ach, tak. - Lucilla przymrużyła oczy. - Ach, tak - powtórzyła. - A więc ta twoja umiejętność jest, jak te twoje przepiękne włosy, nie dziełem sztuki, lecz darem natury.

- Chyba już się z tym urodziłam — powiedziała Regeane. — Mój ojciec też to miał.

Wesoły chichot Lucilli znowu zaskoczył Regeane.

- Moja ty śliczna, miałam już do czynienia z wiedźmami. I to z niejedną. Kobieta uprawiająca moją profesję, chce czy nie, wdaje się w rozmaite ciemne sprawy. I wiedz, że każda z tych bab, wiedząc, co potrafisz, zzieleniałaby z zawiści. To cuchnące staruchy, mieszające swoje wywary, żerujące na najbardziej odrażających przesądach wynikających z naiwności ludzkiej. Ale ty? Nie, prawdziwa moc jest w tobie, dziewczyno.

- Moc? - zachnęła się Regeane. - Chyba przekleństwo.

- Moc, jeśli będziesz z niej korzystać; przekleństwo, jeśli będziesz się temu opierać - powiedziała Lucilla. - Pomyśleć tylko. Kiedy się poznałyśmy, widziałam, jak czytasz przeszłość z kawałka zetłatej tkaniny. Potrafisz zmieniać postać i stawać się stworzeniem nocy. Powiedz mi, co jeszcze potrafisz?

Regeane wstała i owinęła się szczelniej opończą. W głowie miała kłębowisko myśli.

- Moc - wymruczała.

Zatoczyła się nagle, twarz Lucilli odpłynęła gdzieś w dal. Żołądek podszedł Regeane do gardła, krtań się ścisnęła, pot wystąpił na całe ciało.

Kiedy doszła do siebie, siedziała na ławeczce z głową między kolanami. Lucilla otaczała ją ręką. Regeane uniosła z trudem głowę i wsparła ją o ramię Lucilli.

- Muszę coś zjeść - wymamrotała. - Zjeść i przespać się. Ta przemiana... ta księżycowa pomroka wysysa ze mnie siły.

- Księżycowa pomroka - powtórzyła Lucilla. - Tak to nazywasz? Księżycową pomroka?

- Tak, bo ten impuls jest najsilniejszy w czasie pełni. Wtedy rzadko udaje mi się mu oprzeć i chociaż moja matka z tym walczyła postem i modlitwą, ja zawsze się zmieniałam.

- Tą poszcząką byłaś ty, jak mniemam - zauważyła oschle Lucilla - a ona się tylko modliła.

- Tak, ale to nic nie pomagało.

Lucilla kiwnęła głową i tuląc Regeane do siebie, zapatrzyła się na ogród.

Promienie wstającego słońca wlewały się już do atrium, a róż i granat brzasku wypierały złoto. Powietrze rozbrzmiewało śpiewem ptaków, podobne do klejnotów kolibry przemykały między kwiatami, spijając z nich podgrzany słońcem nektar.

- Trzymanie w zamknięciu, bicie, głodzenie, obrzydlistwa wlewane do gardła, i wszystko to w imię oczyszczenia — wymruczała Lucilla. - I wszystko nadaremno. To mi przygotowanie do życia! Ale chodź, trzeba zaspokoić twój głód i pragnienie. Wieczorem Susanna stawia w moim pokoju tacę z posiłkiem na jedną osobę.

Regeane zatrzymała się, żeby podnieść z ziemi suknię i sandały, które zrzuciła wieczorem.

- Nie - powstrzymała ją ostro Lucilla. - Zostaw te szatki nierządnicy tam, gdzie leżą. Chodź za mną.

Poprowadziła ją przez inny ogród. Ten był jakiś sztywny, otoczony starannie przystrzyżonymi bukszpanowymi żywopłotami, wiodła przez niego wyłożona ozdobnymi marmurowymi płytami alejka. Stały tu liczne postumenty. Same postumenty, bez rzeźb.

Regeane patrzyła na nie ze zdziwieniem.

- Tak - powiedziała Lucilla. - Ogród ten pełen był niegdyś pięknych, odlanych w brązie posągów. Poprzedni lokator, niejaki biskup Maxtentus, kazał je przetopić, uznawszy za gorsząco pogańskie.

- Och - zachnęła się Regeane. - Jaka szkoda!

- Nie oplakuj tych posągów, kochanie, szkoda łez. Hadrian podejrzewa, i ja zresztą też, że Maxtentus uznał je za gorsząco cenne i sprzedał co do jednego jakiemuś greckiemu kupcowi, który odpłynął z nimi do Konstantynopola. Hadriana uraczył dosyć zgrabną opowiastką o pogaństwie, kiedy jednak ten zapytał go, co zrobił z brązem, Maxtentus zaczął się strasznie plątać w wyjaśnieniach. Przyjrawszy się innym jego sprawkom, Hadrian odkrył, że ro cenniejsze przedmioty, jakich dotknął, kleiły mu się zawsze do palców, przynajmniej dopóty, dopóki z zyskiem ich nie sprzedał.

- I co zrobił? - spytała Regeane.

- Maxtentus?

- Nie, Hadrian.

Lucilla zachichotała.

Maxtentus jest teraz biskupem w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu w krainie Sasów. Siedzi tam pośród wielkich, włochatych, żłopiających piwo wojów i piersiastych kobiet o blond włosach, które nigdy się nie myją i smarują sobie włosy masłem, Zna tylko łacinę. Jego owczarnia jest najwyraźniej rada, że taki trafił jej się pasterz. Dalej oddają cześć drzewom, studniom i rzekom. Maxtentus usiłuje im

wyperswadować te starodawne tradycje, przemawiając do nich uparcie w języku, z którego nie rozumieją ani słowa, ale on uważa, że potrafiliby go zrozumieć, gdyby tylko... chcieli.

Regeane roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nie będzie próbował ukraść czegoś Sasom - powiedziała. - Obcieliby mu ręce.

- I dobrze by zrobili - orzekła Lucilla. - Te posągi należały do kościoła i były bardzo piękne. No, ale basen się ostał. - Wskazała na olbrzymi basen, w którym odbijał się błękit porannego nieba. - Hoduję w nim karpie. - Pokazała na stojący nieopodal słój, na którego dnie, wachlując leniwie płetwami, pływały dwie wielkie ryby.

Regeane popatrzyła na nie wygłodniałym wzrokiem i przełknęła głośno ślinę.

- To na śniadanie? - spytała z nadzieją.

- Oho! - Lucilla sprawiała wrażenie trochę zaskoczonej. - Na surowo czy gotowane?

- W tej chwili - odparła niecierpliwie Regeane - wszystko mi jedno.

- No tak - powiedziała Lucilla, odsuwając rygle. - Zapomniałam, że biegałaś całą noc na czworakach.

Otworzyła drzwi. Pokój był mały, ciemny, pachniał cedrem i środkiem do polerowania mebli. Okno wychodziło na prywatny, otoczony murem ogród.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy Regeane, to przykryta serwetą taca, stojąca na okrągłym stoliczku pośrodku pokoju. Rzuciła się do niej.

- Zaczekaj! — powstrzymała ją Lucilla. - Nie ucieknie ci. Podnieś ręce do góry.

Opończa zsunęła się Regeane z ramion na podłogę. Lucilla wdziała jej przez głowę grubą lnianą suknię.

Dziewczyna podeszła do stolika. Znalazła na tacy dojrzałe gruszki, kremowy ser przyprawiony ziołami, chleb i dzban białego wina. Z tego wszystkiego nie tknęła tylko wina.

Lucilla naląła sobie wina i rozcieńczyła je nieco wodą.

- Co z Antoniuszem? - spytała.

Regeane przerwała na chwilę jedzenie. Musiała wziąć głęboki oddech, żeby dobrać z siebie głos.

- Jest... zdrowy. No, może nie tyle zdrowy, ile...

- Na tyle zdrowy, co zawsze — dokończyła za nią Lucilla.
- Tak, nawet fakt, że został uprowadzony przez Bazyla, nie wytrącił go...

z równowagi.

Lucilla pokręciła głową i westchnęła. Wzięła czarkę z winem, wyszła na ganek i zapatrzyła się na ogród.

- Tak, oczywiście. Jego nawet egzekucja nie wytrąciłaby z równowagi. Potrafisz mu pomóc?

Pytanie to zadane zostało głosem tak cichym, że Regeane ledwie je dosłyszała. Kiedy jednak przebiło się do jej świadomości, znowu przerwała jedzenie.

- Tak - odparła.

Lucilla odwróciła się twarzą do niej.

- W jaki sposób?

- Uuuuuu... - zająknęła się Regeane.

- Regeane, czyżby przytrafiła ci się ta sama przypadłość co Maxtentusowi, kiedy tłumaczył się przed Hadrianem?

- Trzeba by tu dużo wyjaśniać - powiedziała Regeane.

- Rozumiem - mruknęła Lucilla. Skłoniła się lekko przed Regeane i znowu odwróciła do niej plecami.

Dziewczyna wróciła do przerwanego posiłku. Czują, jak z każdym kęsem wracają jej siły. W końcu, syta, odprężona, rozejrzała się po pokoju Lucilli.

Atmosfera panowała tu trochę dostojniejsza niż w przeładowanej ozdobami jadalni. Pod ścianami stały półki. We wbudowanych w nie uchwytych w kształcie diamentów tkwiły cylindry z papirusowymi zwojami, półki wypełnione były księgami i nie oprawionymi plikami papieru. Przez okienko w suficie wlewało się światło pogodnego poranka, padając na stół, przy którym siedziała Regeane. Portyk wychodził na ogród.

Z fontanny w ścianie tryskała do basenu woda. Brązowa głowica fontanny rzeźbiona była w liście akantu ułożone tak, jakby skrywały twarz wyglądającego spomiędzy nich boga. Brąz lśnił w słońcu złotem, woda się skrzyła. Nad resztą ogrodu, nad klombami pod murem obrośniętymi bujnie rumiankiem, walerianą i makiem, zalegał chłodny poranny cień.

- Co to za miejsce? - spytała Regeane.

- Miejsce, do którego rzadko, jeśli kiedykolwiek kogoś, nawet z przyjaciół, zapraszam - odparła Lucilla. Podeszła do półki, wzięła z niej brązowy cylinder i

podała go Regeane.

Regeane wyjęła z cylindra zwój papirusu i rozwinęła go.

- To po grecku - powiedziała z rozczarowaniem. - Nie znam greckiego. - Obejrzała dokładnie zwój. Papirus był tak stary, że kruszył się już po brzegach na proszek, podklejono go więc dla bezpieczeństwa nowym welinem.

- Ja też nie znam — przyznała Lucilla - ale mam tu łacińskie tłumaczenie. Regeane bardzo ostrożnie wsunęła zwój z powrotem do cylindra.

- Jest bardzo stary i pewnie bardzo cenny.

Lucilla kiwnęła głową i odłożyła cylinder na półkę.

- To list napisany przez królową Egiptu Kleopatę do Juliusza Cezara w sprawie kalendarza. Przytacza w nim przychylną opinię egipskiego mędrca Sostumeusa oraz własny punkt widzenia. Podsuwa mu też parę sugestii, które później wykorzystał. Uważa się, że to jedyny pisany ręką królowej list, jaki ocalał z pożaru biblioteki Aleksandryjskiej.

- Och! - Regeane wpatrywała się szeroko rozwartymi oczami w Lucillę. - I co tu jeszcze masz?

- Tutaj - Lucilla pokazała na wyższą półkę - Arete, pierwszą, która napisała studium o prawach natury odnoszących się do kobiet. Jej ziomkowie z Cyreny zmienili według jej sugestii obowiązujące tam prawo małżeńskie. Nazywa się ją prawodawczynią.

Tutaj stoją poezje Mytris, Erinny, Anyte. To Greczynki. A tutaj kilku Rzymianek: Sulpicja...

- To wszystko kobiety - zauważyła Regeane.

- Owszem, ale książki napisane przez mężczyzn też mam, i to wiele, ale nie tutaj. Możesz tu wchodzić i czytać do woli. Nie wynoś tylko książek z tego pokoju. Tobie ufam, ale do innych zaufania nie mam. Widziałam już mężczyzn, którzy znajdując książkę napisaną przez kobietę, czym prędzej kazali ją spalić. Póki żyję, chronię ten księgozbiór, ale wątpię, czy przetrwa, kiedy mnie już zabraknie.

Regeane skinęła głową.

- Jestem zaszczyczona. Ale ty chyba nie spałaś.

- Nie - przyznała Lucilla. Oczy miała podkrążone, w rozpuszczonych blond włosach przerzuconych przez jedno ramię srebrzyły się pasemka siwizny.

- Mam moc - powiedziała Regeane. - Spróbuję ocalić Antoniusza.

- Tak, wiem — mruknęła Lucilla. - Ale jednej poetki tu nie ma. Nie

natrafiłam dotąd na ani jeden ocalały zbiór jej poezji. Księża dobrze wywiązali się ze swej roboty. Ale pamięć o niej chyba nie zaginie, bo to jej pierwszej udało się dotknąć najważniejszej struny samotności i tęsknoty istniejącej w duszy każdego człowieka. Myślałam o niej dzisiaj w nocy.

Księżyc zaszedł.

I Plejady:

To nocy sam środek,

I czas płynie,

Tak, płynie...

A ja leżę sama

Regeane piekły oczy, ale łzy z nich nie płynęły. Bolała ją głowa.

- Ona go zabiła - wyrzuciła z siebie. — Gundabald jej pomagał. Ona pomagała Gundabaldowi... Chyba nieważne, które z nich... Był moim ojcem. To po nim mam tę moc. Tylko że ona nazywała ją przekleństwem i była przekonana, że jest przeklęta... przeze mnie.

- Tak - powiedziała Lucilla. - Właśnie o tym mamrotałaś pod wpływem napoju Pappolusa. O płatkach róży pochylających się nad kałużami krwi. Ależ byliśmy głupcami, że nie pojęliśmy, o co chodzi.

- Nie mogę ci niczego obiecać - powiedziała Regeane - bo nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie moja moc.

- Wiem. - Lucilla wzięła ją za rękę. - Chodź teraz do łóża. Dziś wieczorem rozpoczynamy naukę. Jesz wiesz z papieżem.

Regeane wyciągnęła się na wielkim łóżu Lucilli. Lucilla, która położyła się obok, odpłynęła w sen, ledwie jej głowa dotknęła poduszki. Jednak Regeane jeszcze przez kilka pięknych chwil leżała z otwartymi oczyma. Odwiedziła ją wilczyca.

Szła ze swymi współbraćmi wąską plażą pod niebotycznymi urwiskami. Skąła była czarna jak zakrzepła krew, miejscami poplamiona czerwienią i purpurą, popękana wzdłuż pryzmatycznych linii niczym wzniesiona z kamiennych bloków ściana jakiejś budowli. Brązową wstęgę piasku znaczyły długie, ciemniejsze smugi bogatych w minerały kamieni. Po niebie płynęły ciemnoszare, poszarpane burzowe chmury. Nad morzem zalegała gęsta jak dym mgła.

Szare, spokojne na pełnym morzu fale, zbliżając się do brzegu, pęczniały,

błękitniały, by na koniec narosnąć do zielonych grzywaczy, które pluły wilkom pod łapy płatami białej piany.

Od czasu do czasu musiały odskakiwać przed kościanobiałymi i srebrnymi kawałkami wyrzucanego na brzeg drewna. W końcu dotarły do wysuniętego daleko w morze cypla.

Wiatr dmący od oceanu był rześki i chłodny, niósł z sobą tchnienie wieczności. Poprzez mgłę zaczęły się przebijać długie świetliste smugi. A wilki stały jak jeden i obserwowały słońce wynurzające się w wielkim splendorze... spoza krawędzi świata.

12

Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Regeane w życiu widziała. Obrzuciła Regeane spojrzeniem pełnym arystokratycznej wzgardy.

- To ta dziewczyna, matko?
- Regeane - powiedziała Lucilla. - Pozwól, że ci przedstawię moją córkę,

Augustę.

Regeane dygnęła najgłębiej, jak jej na to pozwalała szata ze sztywnego, biało-złotego brokatu, którą miała na sobie.

Augusta, nie spuszczać z Regeane pięknych fioletowych oczu, dotknęła warg palcem o lakierowanym paznokciu i zwilżywszy go śliną, wygładziła sobie jedną z modnych, sztucznie uniesionych brwi, potem drugą.

- Widzę, że jest ułożona, matko - skomentowała i ciągnęła: — Powiedz mi, proszę, Regeane, z jakiego rodu się wywodzisz.

Regeane, tak jak ją tego uczono, zaczęła wyliczać swoich przodków, poczynając od niejakiego Lupranda, który był nieślubnym synem Karola Martela i który, pomimo że został opatem, spłodził siedmioro dzieci.

Augusta przerwała jej, zanim doszła do końca pierwszego pokolenia.

- Wspaniale, moja droga. Widzę, że wszystkich swoich przodków masz w małym palcu. I tak powinno być, znakomity ród, chociaż... bez tradycji.

- Bez tradycji? - zdumiała się Regeane.

- Ród mego męża - ciągnęła wyniosłe Augusta - sięga korzeniami do czasów samego boskiego Juliusza.

- Tak, kochanie - wtrąciła ubawiona Lucilla. - Wiemy. Wcześniej czy później każdemu o tym mówisz, zazwyczaj wcześniej.

- Nie bądź złośliwa, matko - prychnęła Augusta.

- Nie będę, kochanie - odparła Lucilla — ale wybacz nam teraz, muszę dać Regeane kilka ostatnich instrukcji.

Augusta udało się przybrać minę, która wyrażała jednocześnie pobłażliwe znużenie i irytację, po czym odwróciła się i zeszła ze ścieżki, zatrzymując się na chwilę nad basenem w atrium, by podelektować się swoim odbiciem w ciemnej wodzie.

Regeane musiała przyznać, że było się czym napawać. Smukłe, powabne ciało Augusty obleczone było w suknię z blad różowego jedwabiu, wyszywaną

bogato złotem i orientalnymi perłami. Kasztanowe włosy zebrane miała w kok, ujęty w siateczkę ze złotych łańcuszków i przyozdobiony szmaragdami.

Jej twarz również była ucztą dla oka. Szczupła, o wydatnych kościach policzkowych, z charakterystycznym małym, wąskim noskiem i wielkimi oczami o ciężkich powiekach, które subtelnie i pięknie sugerowały tłumioną namiętność.

-- Ojej - zdumiała się Regeane. - Sam boski Juliusz. Czy ona naprawdę...?

- Nie bądź niemądra, dziecko - powiedziała Lucilla. - Ona jest moją córką. Chełpi się rodziną swojego męża. Muszę jednak przyznać, że patrząc teraz na nią, nikt by nie odgadł, że jej babką była zawszona chłopka z Abruzji, która sypiała na wypchanym słomą sienniku.

Regeane zachichotała.

- Matko! - zawołała przez ramię Augusta. - Co ty tam opowiadasz tej dziewczynie?

Lucilla westchnęła głęboko.

- Nic takiego, kochanie — powiedziała słodko. — Jeszcze trochę cierpliwości. Zaraz kończymy.

- Pośpieszcie się, bo spóźnimy się na ucztę. A to nie do pomyślenia, matko.

Lucilla ściągnęła na moment brwi, ale szybko pokryła swoją irytację kolejnym głębokim westchnieniem.

- Dobrze, kochanie! - zawołała i zgrzytając zębami, zwróciła się do Regeane: - Nic na to nie poradzimy, dziecko. Augusta jest nam potrzebna, jeśli chcemy cię zaprezentować rzymskiej szlachcie. W krąg notabli tego miasta możesz zostać wprowadzona tylko przez kogoś powszechnie szanowanego, i moja córka idealnie się na kogoś takiego nadaje. — Lucilla parsknęła gniewnie. — Sama nie wiem, jak do tego doszło. Ród, w którym jest chłopka i nierządnica, wydał wzór cnót starożytnego Rzymu w osobie mojej córki Augusty. Nie tylko wspaniale wyszła za mąż, ale też jej imienia nie splamił nigdy cień skandalu.

- Rodzina spokrewniona z boskim Juliuszem Cezarem... - zaczęła Regeane.

- Podejrzewam — wpadła jej w słowo Lucilla - że związki rodziny jej męża z pierwszym cesarzem są bardziej mityczne niż faktyczne. Ale nigdy nic nie wiadomo - rodzina Juliusza była liczna - i całkiem możliwe, że są oni rzeczywiście potomkami jakichś dalekich krewnych tego wielkiego człowieka. Ale — dodała

zgrzyźliwie - to samo można powiedzieć o wielu innych. Tak czy inaczej, wegetowali w biedzie i zapomnieniu w jakiejś zabitej deskami wioszczynie na wzgórzach Sabine, ubierając się w zgrzebną wełnę. Stali niewiele wyżej od swoich sług, aż przed pięćdziesięciu laty wypłynęli szczęśliwie dzięki skoligaceni z pewną lombardzką księżniczką. Kobieta ta miała wysokie aspiracje społeczne, żelazną wolę i przyprowadziła ze sobą dwa wozy złota. Regeane, ku swemu przerażeniu, znowu zachichotała.

- Lucillo - powiedziała - jeśli mam zachować szacunek, nie opowiadaj mi lepiej takich...

- Tak. Tak, oczywiście, że chcę, byś okazywała szacunek – to znaczy oficjalnie. Podjęłam się nauczyć cię światowych manier, a w ich zakres wchodzi sztuka hipokryzji. Poza tym, moja mała, musisz znać korzenie społecznych i politycznych eminencji; musisz wiedzieć, że wyrosli z tej samej kupy gnoju, z której wszyscy się wywodzimy. Niech więc cię nie zwiodą wspaniałe rodowody, piękne stroje, wyszukane maniery. Ucz się dostrzegać pod nimi ludzi.

Regeane kiwnęła z powagą głową.

- Jak to było z tą lombardzką księżniczką?

- Miała żelazną wolę i równie silnie trzymała w garści rzemyki swojej sakiewki. Rodzina mojego zięcia szybko nauczyła się stawać na baczność na każde jej pstryknięcie palcami. Wyszukała wspaniałe partie dla braci i sióstr swojego nowego męża, nie wspominając już o jego licznych kuzynach. O ile mi wiadomo, w trakcie swoich zabiegów wyciągnęła parę osób z zakonów i klasztorów, i wkrótce wszyscy oni zaliczali się już do najpierwszych rodów Rzymu.

- Matko! - zawołała Augusta, ruszając w ich stronę. - Naprawdę zmuszona jestem nalegać...

- Nie cierpię, kiedy się mnie popędza - szepnęła Lucilla do Regeane głosem ociekającym cichą furią - ale jeśli trzeba, to trzeba. Przedstawię cię papieżowi, ale pozostanę w cieniu i pozwolę, żeby reszty prezentacji dokonała Augusta. Ona, nie ja, będzie twoją sponsorką. Spróbuj zyskać sobie jej przychylność. Na szczęście nie takie to trudne. Wystarczy wiedzieć, że nudzi ją wszystki prócz rozmów o strojach, klejnotach i kłopotach ze służbą — Lucilla przewróciła oczami - o wysokich cenach niewolników. Poruszaj z nią te tematy, a na pewno ci się uda. Kiedy znajdziecie się już w willi papieża, oddaj Auguście całą inicjatywę. Niech ona mówi. Ty spuszczaaj skromnie wzrok, nie odzywaj się, ale oczy i uszy miej otwarte. Goście

będą czekać na rozpoczęcie uczyty w ogrodzie, umilając sobie czas rozmową. Mogą się znaleźć wśród nich mężczyźni, którzy będą cię próbowali odciągnąć w ustronne miejsce pod pretekstem oprowadzenia po willi. Nie zostawaj z żadnym z nich sam na sam. Trzymaj się blisko Augusty i naśladowuj ją we wszystkim.

Augusta była już blisko i Regeane domyśliła się, że te ostatnie słowa przeznaczone były dla jej uszu.

- Dobrze mówisz, matko - powiedziała Augusta.

Do atrium wyszła Elfgifa. Włosy miała jeszcze wilgotne po kąpieli, ubrana była jak Regeane w płócienną koszulę, wierzchnią suknię z grubego, haftowanego jedwabiu oraz w sztywny brokatowy kaftanik z długimi rękawami.

Skrzywiła się i spojrzała na Regeane z buntem w oczach.

- Drapie mnie ta suknia.

- Okaż trochę wdzięczności - powiedziała Regeane. — Tyle masz tylko do powiedzenia przyjaciółce, która tak wiele dla ciebie zrobiła? Co by powiedział na to twój ojciec? Lucilla ubrała cię na tę ucztę na własny koszt. Sprawiała ci piękną nową suknię, a ty, zamiast być jej za to wdzięczna, narzekasz, że cię drapie. Dygnij i podziękuj.

Elfgifa dygnęła, a właściwie przygięła tylko trochę kolana.

- Dziękuję — powiedziała. - Nie chciałam sprawiać ci przykrości. Mój ojciec mawia, że trzeba kochać przyjaciół i tych, którzy są dla nas dobrzy, ale... — przesunęła palcami po grubej atłasowej sukni - ...dlaczego szorstka strona jest od spodu, a gładka z wierzchu? Drapią mnie końce tych złotych nici.

- Suknię nosi się gładką stroną na zewnątrz, bo tak jest ładniej — odparła Lucilla.

- A dlaczego nie mogę włożyć jej na drogę gładką stroną do wewnątrz, a potem zdjąć i założyć na odwrót? - spytała dziewczynka.

- Bo nie możesz - rzekła Lucilla. - Jak by to wyglądało, gdybyś na ulicy, przed willą papieża, ściągnęła z siebie suknię i założyła ją na drugą stronę?

- Jeszcze gorzej wypadnie, gdy zacznę się drapać — zauważyła Elfgifa. — A do tego... - Urwała nagle i kichnęła na suknię Augusty. - Ona pachnie.

- Zapomniałaś powiedzieć, że ładnie pachnie — mruknęła kwaśno Lucilla.

- Ładnie - przyznała Elfgifa - ale tak, że aż w nosie kręci. Fiołkami.

Regeane już wcześniej zauważyła, że Augusta roztacza wokół siebie silny zapach fiołków.

Augusta spojrzała z góry na Elfgifę.

- Te perfumy są prawie jak mój podpis. Moja służąca przyrządza je według własnej receptury z płatków świeżych kwiatów zrywanych każdej wiosny. Słyszałam już wiele pochwał... — Urwała i fuknęła ze zniecierpliwieniem: - Ale czemu ja się tłumaczę przed dzieckiem? Matko, czy to absolutnie konieczne, żeby ona nam towarzyszyła?

- Tak, absolutnie - odparła Lucilla. - Mam nadzieję znaleźć kogoś z jej krewnych wśród Sasów mieszkających w Rzymie. Na ucztach będzie przeorysza zakonu z saskiej dzielnicy.

Elfgifa spojrzała na nią z niepokojem. Wyrwała rękę z dłoni Regeane.

- Ja nie chcę wracać do domu - powiedziała. - Chcę zostać tutaj i bawić się z Postumousem.

- Czy ona gdzieś wychodziła? - spytała Regeane.

- A i owszem, wychodziła — przyznała Lucilla. - Kiedy spałaś, znowu przelazła przez mur. Moi słudzy znaleźli ją kilka godzin później tarzającą się w rynsztoku z tym brudnym, małym ulicznikiem.

- Uczył mnie walki wręcz — powiedziała z dumą Elfgifa. — Jest taka sztuczka, którą można człowieka oślepić, i jeszcze takie miejsce, za które się łapie i ściska. - Wsunęła sobie rękę między nogi, żeby zademonstrować ten chwyt.

- Matko -jęknęła ze zgrozą Augusta.

Lucilla chwyciła Elfgifę za rękę.

- Moja panno - powiedziała — nie sądzę, żebyśmy były ciekawe perełek wiedzy przekazanych ci przez Postumousa.

- A dlaczego? - spytała Elfgifa. — Nauczył mnie też paru słów...

- Ani mi się waży ich powtarzać! - wycodziła kamiennym głosem Lucilla.

- A dlaczego? - zdziwiła się. Elfgifa.

- Bo nie! - Lucilla pchnęła Elfgifę w stronę wejścia do willi. - Ty, Regeane, zabierzesz się z Augusta. Elfgifa pojedzie ze mną. Musimy porozmawiać.

Powóz Augusty był tak samo luksusowy jak Lucilli i zaprzężony w białe muły. Ponieważ zatłoczona dzielnica biedoty znajdowała się daleko stąd, zasłonki w oknach były odsunięte. Augusta wolała wolniejszą jazdę, dzięki czemu Regeane podróżowało się o wiele wygodniej niż wcześniej z Lucilla.

Muły ciągnęły powóz wąską, krętą uliczką biegnącą między murami ogrodów

otaczających okazałe wille bogaczy.

- To najgorzej wychowane i niesforne dziecko, jakie widziałam - odezwała się Augusta. Przeglądała się w lusterku, by korzystając z gasnącego dnia, upewnić się po raz ostatni, czy aby puder albo pomadka nie rozsmarowały się jej na twarzy i czy wszystkie włosy wypracowanej fryzury znajdują się na swoim miejscu.

Z mroków umysłu Regeane wychynęła wilczyca, przyjrzała się uważnie Auguście i prychnęła z odrazą. Silny zapach fiołków był naprawdę nie do wytrzymania.

Augusta usłyszała to prychnięcie.

- O co chodzi? - spytała.

Regeane fuknęła w duchu na wilczycę. Jednak ta, ośmielona gęstniejącym zmrokiem, ani myślała się wycofywać. Pragnęła wyskoczyć z powozu na ulicę i przesadzając wysokie mury willi, penetrować wzrokiem i węchem kryjące się za nimi zielone ogrody. Pragnęła rozkoszować się zmianami zachodzącymi w zapadającym powoli wieczorze. Płynnym przechodzeniem dnia ze złocistości poprzez róż w spokojną szarówkę zmierzchu. Pragnęła buszować między fontannami i kwiatami, wychwytywać z powietrza zapach sosny i cyprysów.

I wilczycy nie chciało się myśleć. Chciała żyć i smakować uroki świata niedostępne zbyt długo i wilkom i kobietom.

- O co chodzi? - powtórzyła Augusta, wrywając Regeane z rozmarzenia.

- Nie, nic - odparła pośpiesznie Regeane.

Augusta przyjrzała się krytycznie Regeane.

- Atrakcyjna jesteś, ale co młodość, to młodość. Powiedz mi: czy twoja matka roztyła się na starość?

Regeane przywołała z pamięci bladą, zahukaną matkę. Kiedy weszła tego ostatniego poranka do izby, żeby ją obudzić, ledwie było widać, że pod kocem ktoś leży. Gdyby nie głowa na poduszce i dłonie pod policzkiem, można by pomyśleć, że w łóżku nikogo nie ma.

Regeane nie musiała dotykać Gizeli, by wiedzieć, że jej długa walka z nie kończącą się procesją zgryzot dobiegła wreszcie końca. Dotknęła jednak jej policzka i ze zgrozą stwierdziła, że to kojarzy się z ciałem świeżo zarżniętego kurczaka: policzek był zimny i trochę wilgotny od nocnej rosy. Rosa nie osadza się na ciepłej, żywej skórze. Stała przez dłuższą chwilę, szukając w sobie krzyku albo łez, ale bezskutecznie. Stała tak, wiedząc, że skończyło się wreszcie coś, czego nie potrafiła

nazwać, coś ważnego.

Stała cicho, usiłując sobie przypomnieć, jak bardzo niegdyś kochała to leżące na łóżku truchło, i nie znajdowała w sobie wspomnienia tej miłości, tak samo jak nie znajdowała łez. A potem poszła do Gundabalda i posłali Hugo po księdza.

- Co z tobą? - zapytała Augusta.

Regeane uświadomiła sobie, że te myśli muszą się odbijać na jej twarzy.

- Moja matka niedawno zmarła - powiedziała cicho. - Ale odpowiadając na twoje pytanie, to nie, nie roztyła się, przez całe życie była szczupłą.

- Przykro mi, że swoją ciekawością niechcący sprawiłam Ci ból - powiedziała Augusta.

Z jej tonu wcale nie wynikało, że jest jej przykro. Znowu uniosła lusterko i przejrzała się w nim.

- Ale niewątpliwie znajdziesz pocieszenie w swoich szczęśliwych zrzękowinach.

Regeane omal nie wybuchnęła śmiechem. Pohamowała się w ostatniej chwili.

- Taka młoda jak ty dziewczyna nie powinna zbyt długo oddawać się żałobie, obnosić się ze swoim smutkiem i chodzić w czerni. Omijają ją przeróżne okazje.

- Tak - odparła mechanicznie Regeane.

Powóz zaskrzypiał na zakręcie. Oczom Regeane ukazał się na chwilę cały Rzym. Tybr przypominał wstęgę ognia, a budynki spowijała rozjarzona złota mgiełka zachodzącego słońca.

- Rodzina dobrze robi, że próbuje zaradzić twej żałobie - ciągnęła Augusta. - Ten górski pan Maeniel jest, jak słyszałam, bardzo zamożnym człowiekiem.

Wilczyca znowu się obudziła. Nastawiła czujnie ucha, wyostrzyła wszystkie zmysły. Regeane zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Lecz co?

- Też tak słyszałam - odparła ostrożnie.

Zaprzężony w muły powóz minął zakręt i zalane blaskiem słońca miasto znikło jej z oczu. W wąską, biegnącą między wysokimi murami uliczkę wsączył się szary zmierzch. Po kamieniach pełgała czerwona poświata rozsiewana przez pochodnie, które dzierżyli w dłoniach żołnierze Augusty.

Regeane próbowała gorączkowo obmyślić sposób ucieczki, przedarcia się

przez żołnierzy jadących przed i za powozem.

W pewnej chwili uświadomiła sobie, że siedzi zeszywniała, z zaciśniętymi pięściami, wtłoczona w miękkie oparcie. Spróbowała się rozluźnić, rozprostowała powoli palce. Na szczęście Augusta, nadal zaabsorbowana swoim odbiciem w lusterku, niczego nie zauważyła.

Regeane miała już pewność, że coś jej grozi. Nie wiedziała jeszcze, skąd to przeświadczenie ani co to za zagrożenie, ale pamiętała przecież tekst liściku z prośbą o sponsorowanie jej, Regeane, który wysłała do Augusty Lucilla. Była też obecna podczas rozmowy Lucilli z Augusta. Co prawda Lucilla wspomniała w trakcie niej, że Regeane jest zaręczona, ale ani razu nie wymieniła imienia Maeniel. Według Regeane Augusta tylko od jednego człowieka mogła usłyszeć to imię...

Od Gundabalda.

13

Przez resztę drogi do pałacu Laterańskiego Regeane próbowała zachowywać zimną krew. Wmawiała sobie, że Augusta mogła usłyszeć imię Maeniela nie tylko od Gundabalda, lecz jeszcze z tuzina innych źródeł.

Może plotka o zbliżającym się ślubie krążyła już wśród rzymskiej szlachty. Może Lucilla już wcześniej o tym z Augusta rozmawiała. Może...

Ale nie zapyta Augusty, skąd zna imię Maeniela. Nie da też po sobie poznać słowem ani zachowaniem, że zauważyła w tej rozmowie coś niezwykłego.

Mimo wszystko mogło się okazać, że jej obawy nie są płonne, a w takim przypadku lepiej nie zdradzać się przed Augusta, że coś podejrzewa.

Kiedy dojeżdżały do pałacu Laterańskiego, było już ciemno i Regeane zapomniała na razie o niebezpieczeństwie. Na taki przepych nie była przygotowana. Zwaliła się na nią lawina wrażeń.

Pałac Laterański, jak wiele innych rzymskich domów, demonstrował ulicy prostą, nieprzystępną fasadę, ale za otoczonym kolumnami portykiem rządy przejmował luksus.

Z westybulu z freskami przedstawiającymi trzy Gracje i dziewięć muz wyszły do wspaniałego, perystylowego ogrodu o ścieżkach i kwiatowych klombach oświetlonych rzęście pochodniami zatkniętymi między wysokimi cyprysami. Roilo się tu od strojnych mężczyzn, kobiet i dzieci reprezentujących najpierwsze rzymskie rody, połyskiwały i pluskały sadzawki i fontanny, w których odbijały się klejnoty gości i płomienie pochodni.

Augusta wzięła Regeane za rękę i niczym wspaniała królewska motyl zaczęła ją przeprowadzać od grupki do grupki ludzi zgromadzonych w ogrodzie.

Regeane była z początku speszona. Zdawała sobie sprawę, że bardzo mało wie o niuansach zachowania obowiązującego wśród tego przyprawiającego o zawrót głowy tłumu, o sprawach etykiety i protokołu.

Szybko jednak zauważyła, że niewiele się tu od niej wymaga poza zachowaniem skromności i cierpliwym znoszeniem komplementów, jakie jej prawiono.

A tych komplementów było bez liku. Przez kilka minut pobytu w ogrodzie nasłuchiwała się ich więcej niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Augusta podkreślała królewskie koneksje swojej podopiecznej, unikając skrzętnie

wspominania o jej aktualnym ubóstwie, i pozostawała z każdą grupą tylko tyle, ile trzeba było, by Regeane została zauważona i doceniona, bo w dłuższej rozmowie mogłaby wyjść na jaw jej żenująca nieznajomość rzymskich realiów.

Zresztą ci ludzie nie oczekiwali chyba wielkiej oglądy od dziewczyny w tak młodym wieku, po raz pierwszy przedstawianej w towarzystwie.

Augusta zatrzymała się przy omszałej fontannie, żeby dać Regeane chwilę wytchnienia.

- Cóż to, zakręciło ci się w głowie od nadmiaru wrażeń?

Regeane rozpoznała głos Lucilli. Dobiegał z cienia zalegające go za fontanną.

- Nie - odparła Regeane. - Czuję się tylko trochę oszołomiona. Jest tu nawet wesoło.

Lucilla zaśmiała się cicho.

- Owszem, ale ja do tego towarzystwa raczej nie pasuję. W każdym razie nie tak jak Augusta. Większość ludzi odnosi się do mnie uprzejmie. Nigdy nie wiadomo, kiedy może im się przydać moja zażyłość z Hadrianem. Inni traktują mnie jak powietrze. Ale mam tu kilkoro prawdziwych przyjaciół i dla nich przychodzę na tego rodzaju imprezy.

- Doprawdy, matko. Jesteś niemożliwa - fuknęła Augusta. - Prawie wszyscy tutaj są dla ciebie co najmniej grzeczni.

- Tak - westchnęła Lucilla. - Chyba masz rację. Czas robi swoje. A ja jestem przecież niemal instytucją, jak ta urocza fontanna za tobą... przypatrz jej się dobrze, moje dziecko – zwróciła się do Regeane.

- Nie czyń tego! - ostrzegła ją Augusta. - Ta fontanna nie jest przeznaczona dla oczu dziewicy.

Ale Regeane patrzyła już z wypiekami na twarzy.

Fontanna pod murem przedstawiała grupę satyrów i nimf. Jeden z rogatych mężczyzn z kopytami zamiast stóp siusiał entuzjastycznie do basenu. Woda tryskała strumieniem z jego nabrzmiątego członka. Inny obejmował jedną ręką nimfę, a zawartość trzymanego w drugiej dzbana wylewał do wody. Reszta spółkowała z wyuzdanym zapamiętaniem, ich nagie ciała spletały się w każdej z możliwych do wyobrażenia pozycji.

- O! - zawołała cicho Regeane - Ooooo!

Lucilla roześmiała się.

Augusta odepchnęła od siebie rękę Regeane i oddaliła się sztywnym krokiem w stronę zgromadzonego w ogrodzie tłumu.

- Pogniewała się - zauważyła Regeane. - Przepraszam. Nie powinnam była patrzeć.

- Bzdura! - fuknęła Lucilla. - Możesz oglądać wszystko, co zechcesz. Poza tym celowo rozsierdziłam Augustę. Ilekroć się spotykamy, robię to co najmniej raz. A dzisiaj szczególnie sobie na to zasłużyła. Chciałam, żeby szlachetnie urodzeni z tego miasta zobaczyli cię w jej, nie w moim, towarzystwie. Zobaczyli cię, a więc jej rola skończona. Na uczcie, która niebawem się rozpocznie, ty i Elfgifa będziecie siedziały obok niej. Ona nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Miejsca wyznacza gościom papież. A ty pochodzisz mimo wszystko z królewskiego rodu.

Regeane zerknęła jeszcze raz na fontannę i ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Wyglądają na takich szczęśliwych - powiedziała cicho.

- Miłość uszczęśliwia - odparła Lucilla. - Doświadczyłam tego na sobie i mam nadzieję, że pewnego dnia ty również doświadczysz. Ale teraz chodź. Czasu mamy niewiele, a chcę, żebyś przed ucztą spotkała się prywatnie z Hadrianem.

- Lucillo, skąd Augusta zna imię Maeniela? - spytała Regeane. - Od ciebie? Wymieniła je w powozie, kiedy najechałyśmy.

Lucilla zatrzymała się i przymrużyła oczy.

- Nie, ode mnie go nie usłyszała. Wychodzę z założenia, że im Augusta mniej wie o moich sprawach, tym lepiej dla nas obu. Jest konformistką, panicznie boi się jakiegoś towarzyskiego potknięcia. Trzęsie się ze strachu na samą myśl, że mogłaby się w czymś narazić niewiarygodnie snobistycznej rodzinie swojego męża. Jest moją ukochaną córką, ale to nie zmienia faktu, że mam ją za osobę słabego charakteru i niezbyt inteligentną. Nie wierzę, by coś knuła. Mnie również boi się narazić. Ale na wszelki wypadek będę ją miała na oku. To imię mógł jej zdradzić ktoś inny. Plotki rozchodzą się w Rzymie lotem błyskawicy. To, co powiedziano na Lateranie, po godzinie powtarzane jest już w Watykanie. Nikt nie potrafi utrzymać języka na wodzy - a już najmniej ze wszystkich Augusta.

Lucilla odwróciła się plecami do jasno oświetlonego ogrodu i poprowadziła Regeane przez małe, pogrążone w ciszy dziedzińce, gdzie mrok rozpraszała jedynie poświata gwiazd. Oddalały się od wspaniałych sal, zdążając ku prywatnemu sercu willi.

Czekał na nich na ławeczce w małym, cichym ogrodzie. Na ławce obok niego stała zapalona lampa. Karcił chlebem karpie pływające w sadzawce, nad którą siedział.

Ryby wabione chlebem i światłem poruszały się jak cienie, zdradzał je tylko odbłask ognia to w oku, to na lśniącej łusce.

— Mój drogi - powiedziała cicho Lucilla.

Hadrian, wrzucając resztkę chleba do sadzawki, uniósł głowę.

- Lucillo – wymruczał.

I Regeane usłyszała w tym słowie, w sposobie, w jaki zostało wypowiedziane, to, co chciało powiedzieć jego serce.

Lucilla podeszła do papieża z wyciągniętymi rękami.

Ujął ją za dłonie, przez długą chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy, a potem się objęli i Lucilla złożyła głowę na jego ramieniu.

- Mój drogi - powtórzyła Lucilla - mój najdroższy. Czemu siedzisz tu samotnie?

- Odwiedzam starych przyjaciół - powiedział, wskazując oczami na ryby w sadzawce - i czekam na jeszcze jedną przyjaciółkę. - Wypuścił ją z objęć. Stali obok siebie, trzymając się za ręce i obserwując ryby.

- Przeprowadziłam ze sobą jeszcze jedną przyjaciółkę - powiedziała Lucilla i skinęła na Regeane.

Regeane wkroczyła w krąg światła. Zbliżywszy się do papieża, uniosła sztywną brokatową suknię, by przyklęknąć i pocałować pierścień na jego palcu.

Ale Hadrian - Stefan - chwycił ją za łokieć, przytrzymał i pocałował delikatnie w czoło.

- O, tak - powiedział, zwracając się do stojącej obok Lucilli. - To o wiele lepsze od podstawiania do całowania pierścienia. I o wiele przyjemniejsze - dorzucił, puszczając do Lucilli oko.

Wziął Regeane za ramiona i odsunął od siebie na długość wyciągniętych rąk, by dobrze się jej przyjrzeć.

- Słyszałem od Lucilli, że udało ci się wyrwać Antoniusza z rąk Bazyla i znaleźć mu bezpieczną kryjówkę.

- Tak - odparła niepewnie, myśląc gorączkowo: „Ile powiedziała mi Lucilla? Czy teraz zażąda ode mnie wyjaśnień?”

Ale nie zażądał. Mierzył ją tylko wzrokiem od stóp do głów, kiwając

aprobująco głową. W końcu poklepał ją po policzku i zwrócił się do Lucilli:

- Zupełnie odmieniona. Dokonałaś cudu, moja droga. Lucilla wzruszyła lekko ramionami i uśmiechnęła się.

- Trochę ładnych szmatek, nowe uczesanie. Urodziła się piękną. Ma wrodzoną grację, która objawia się nawet w najdziwniejszym otoczeniu. Ciekawa jestem, czy ten frankoński król wie, że ma taki klejnot wśród dam swojego rodu? Jeśli tak, to może znajdzie jej partię lepszą niż ten...

- Nie, nie - wpadł jej w słowo Hadrian. - To małżeństwo jest bardzo ważne. Chodźmy do mojej biblioteki, tam wszystko wam wyłuszczę.

Wzdłuż ścian biblioteki, oddzielonej od ogrodu prostą kolumnadą, ciągnęły się półki pełne oprawnych w skórę ksiąg, w niszach spoczywały papiusowe zwoje.

Hadrian i Lucilla zatrzymali się, słysząc cichy okrzyk zachwytu, jaki wyrwał się z piersi Regeane.

- Moja biblioteka też jej się podobała - powiedziała Lucilla.

- Ta specjalna? - spytał Hadrian.

Lucilla skinęła głową.

- Mój Boże, takim wzrokiem nie patrzyła nawet na naszą małą fontannę.

- Doprawdy? — Hadrian uniósł brwi. A potem uderzył w ton Augusty. - Pokazałaś jej naszą fontannę? To nie jest widok dla dziewic.

- Ta dziewczyna stanie się wkrótce kobietą zamężną. Musi wiedzieć, co ją czeka - odparowała kąśliwie Lucilla.

- Wątpię, Lucillo - odezwała się z powagą Regeane - by czekały mnie miłosne uniesienia.

- Nigdy nie wiadomo... - zaczęła Lucilla.

- Tak, nie wiadomo — wpadł jej w słowo Hadrian. - Z drugiej jednak strony to chyba dobrze, że dziewczyna uczy się przedkładać spokojniejsze niezależne rozkosze intelektualnych dociekań. Przynoszą często ukojenie skołataney duszy, kiedy świat wokół przewraca się na nice. A więc lubisz czytać? - zwrócił się do Regeane.

- Tak - odparła. — Kiedy byłam młodsza - tu rzuciła Lucilli ukradkowe, wymowne spojrzenie - często zostawiano mnie na długo samą. Mój ojczym miał wielką bibliotekę — ponad sześćdziesiąt ksiąg. Dawały mi, jak powiedziałaś, wielkie ukojenie... umilały samotność.

Hadrian wskazał szerokim gestem na półki.

- Księgi są po to, by je czytać. Moje, niestety, od kiedy zajęty sprawami państwa nie mam dla nich wiele czasu, najczęściej stoją tu tylko i pokrywają się kurzem. Jeśli więc któraś z nich szczególnie cię interesuje, rad będę...

- Masz coś o życiu Aleksandra? — wyrzuciła z siebie Regeane. - Często czytałam o czynach tego największego z Macedończyków. Chciałabym czegoś więcej się o nim dowiedzieć.

- Mam tu trzy dobre biografie Aleksandra - powiedział Hadrian. — Prześlę ci jedną. Powiadasz, że twój ojczym miał sześćdziesiąt ksiąg. To spora biblioteka jak na laika. Co się z nimi stało?

Regeane spuściła wzrok.

- Gundabald sprzedał je ze wszystkim innym - powiedziała.

- Znowu ten Gundabald... - wymruczał papież i podrapał się po brodzie. - Ale mniejsza z tym, siadajcie. Nie mamy wiele czasu. Wkrótce będę musiał wyjść do gości.

Lucilla i Hadrian usiedli obok siebie na wyściełanej ławeczce, Regeane zajęła miejsce naprzeciwko nich na krześle z wysokim oparciem.

- Zauważyłaś pewnie, Regeane - zaczął Hadrian - że nazywam cię swoją przyjaciółką i traktuję jak bliską sobie osobę. Wiesz, dlaczego?

Regeane pokręciła głową.

- Ponieważ — podjął - swoją przyjaciółką nazywa cię Lucilla. A ona niewiele osób zaszczyca tym mianem, rezerwując je tylko dla tych, którzy wyświadczyli jej jakąś wielką przysługę albo których uważa za absolutnie lojalnych. Rozumiesz?

Regeane kiwnęła głową.

Hadrian i Lucilla wzięli się za ręce, splótły się ich palce. Popatrzyli sobie z uśmiechem w oczy. Potem Hadrian spojrzał znowu na Regeane.

- Skoro Lucilla nazywa cię swoją przyjaciółką, ja również ci zaufam. Ale to, co teraz powiem, nie może nigdy wyjść poza ściany tego pomieszczenia. Rozumiesz?

- Tak — powiedziała Regeane.

- Bardzo dobrze. Wiedz zatem, że wiosną Karol, król Franków, przeprawi się przez Alpy i wyda w moim imieniu wojnę Lombardczykom. I dlatego, Regeane, taką przywiązuję wagę do twojego małżeństwa. Księżewko Maeniela leży na trasie jego pochodu. Przed wiosenną kampanią trzeba zabezpieczyć to przejście. Maeniela

musi się podporządkować Karolowi.

Lucilla zerwała się z ławeczki i podeszła szybkim krokiem do kolumnady oddzielającej bibliotekę od ogrodu. Spojrzała w gwiazdy.

- Udało się - powiedziała cicho, jakby do siebie. A potem powtórzyła głośniej: - Udało się. - Uniosła ręce, zacisnęła pięści i krzyknęła: - Udało się!

- Tak - powiedział spokojnie Hadrian. - Udało.

Regeane czuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a policzki drętwieją. Miała wrażenie, że słyszy szcęk zatraskujących się sideł.

- Czyli nie ma innej rady — wymamrotała przez zaciśnięte zęby. - Muszę go poślubić.

- Tak. - Lucilla posłała Regeane pełne uniesienia spojrzenie. - Ale jak długo przetrwa takie małżeństwo, kiedy Karol zajmie Lombardię, to już zupełnie inna kwestia.

Lucilla podeszła do Hadriana. Kroczyła jak królowa, promieniejąc władzą.

- Udało się nam — powiedziała - a chłopka z Abruzji trzyma w swych rękach los narodów. Nie do wiary. Ale dlaczego ceną jest mój Antoniusz?

Hadrian ujął ją za rękę, pociągnął z powrotem na ławeczkę i pocałował w usta.

- Dlaczego jest takie ważne, żeby ten frankoński król zwyciężył? - spytała Regeane.

- Bo to zapewni pokój - odparł Hadrian.

- Pokój?

- Rozejrzyj się wokół siebie, dziewczyno. Nie masz oczu? Ponad połowa tego miasta, niegdyś najludniejszego miasta świata, leży w gruzach. Każdego dnia biedni gromadzą się pod kościołami i przytułkami, wyciągają ręce, żebrzą o chleb. Fontanny, które tryskały niegdyś krystalicznie czystą wodą z górskich strumieni, stoją zapuszczone i wypełnia je tylko zielona deszczówka. Akwedukty, które je zasilają, już nie działają albo znajdują się w rękach naszych wrogów. Barbarzyńscy królowie walczą między sobą o papieską tiarę jak psy o kość. Każdy chce posadzić swojego kandydata na tronie pierwszego apostoła i wykorzystywać Kościół jako narzędzie do realizacji własnych ambicji.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego Karol miałby być lepszy od Dezyderiusza, władcy Spoleto, czy innego z królów — wyznała Regeane.

- Czy nie za wiele sobie pozwalasz, Regeane? - upomniała ją Lucilla.

- Nie, nie, nie - powiedział szybko Hadrian. - Dobrze, że pyta. Widać, że nie jest głupią gąską. Przypomina mi ciebie, kiedy byłaś w jej wieku i byłaś tak samo dociekliwa.

Lucilla uśmiechnęła się.

- Tak, chyba masz rację. Na początku zasypywałam cię pytaniami.

Hadrian też się uśmiechnął. Przyciągnął ją bliżej i pocałował w czoło.

- Tak, jej pytanie jest bardzo dobre. - Otoczył Lucillę ramieniem i zwrócił się znowu do Regeane. - Karol jest taki sam jak cała reszta. To bardzo ambitny człowiek i też ma sprecyzowane poglądy na rolę Kościoła w sprawowaniu władzy. Ale - uniósł palec - zagwarantował mi już niezależność jako władcy księstwa rzymskiego i obiecał zwrócić ziemie zagrabione przez Dezyderiusza i innych lombardzkich władców. A do tego — dodał triumfalnie - jest bardzo daleko stąd. Krótko mówiąc, Rzymem nie da się rządzić z państwa frankońskiego ani państwem Franków nie da się rządzić z Rzymu.

- Teraz rozumiem — powiedziała powoli Regeane. Hadrian wygrywał jedno odległe państwo przeciwko drugiemu, bliższemu. - Bardzo niebezpieczną grę prowadzisz - ciągnęła. — Kiedy lombardzki król dowie się o twoim układzie z Frankami - a dowie się na pewno, bo nie da się tego utrzymać w tajemnicy - wpadnie we wściekłość. Zrobi wszystko, by cię zniszczyć.

Lucilla roześmiała się.

- Och, dziecko, dziecko. On już wie.

- Tak - podchwycił Hadrian. - A dlaczego, twoim zdaniem, porwał Antoniusza i groził, że go ukrzyżuje?

Regeane pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

Hadrian nachylił się ku niej.

- Za cenę życia Antoniusza chciał mnie zmusić do namaszczenia synów Karlomana, nieżyjącego już brata Karola, na królów. Ci dwaj mali chłopcy staliby się wtedy pretendentami i rywalami do tronu, na którym zasiada teraz Karol. Staliby się zarzewiem wszelkich rebelii i niezadowolenia. Każdy wicherzyciel i malkontent próbowałby wykorzystywać ich pozycję. Karol jest jeszcze młody, i chociaż wszystko wskazuje na to, że zostanie wielkim królem, są tacy, co nadal w niego wątpią. Niektórzy jednak są skłonni go sprawdzić. Jedni z chęci zysku, inni z żądzy władzy. Krótko mówiąc, moja interwencja, gdybym został do niej nakłoniony bądź zmuszony

przez Dezyderiusza, mogłaby wstrząsnąć tronem Karola. Archimedes powiedział podobno: „Dajcie mi punkt podparcia, a sam jeden poruszę z posad Ziemię”. Otóż Ci dwaj chłopcy są punktem podparcia dla dźwigni, za pomocą której ściągam Karola z Alp, by pomógł mi w wojnie przeciwko Lombardczykom. Ulegając żądaniu Dezyderiusza i namaszczając jego bratanków na królów, zniszczyłbym wszystkie swoje misternie ułożone plany i prawdopodobnie postradałbym życie.

Lucilla odsunęła się od Hadriana i złożyła, głowę na poręczy ławeczki.

- Rozumiesz już, dlaczego Antoniusz musi umrzeć?

- A więc dlatego mnie tu przyprowadziłaś - wybuchnęła Regeane - żeby wciągnąć mnie w planowane morderstwo?! - Kątem oka dostrzegła, jak niebo rozświetla odległa błyskawica. Było za daleko, by dotarł tutaj odgłos gromu, ale podmuch wiatru wydał zasłony oddzielające bibliotekę od ogrodu.

- Spokojnie, dziewczyno - powiedział stanowczo Hadrian. — Zabijanie Antoniusza czy kogokolwiek innego nie wchodzi w rachubę. - Wyciągnął rękę i dotknął dłonią twarzy Lucilli. - Nie, moja droga. Nie wydam takiego rozkazu i ty też tego nie uczynisz.

- Ależ musisz! — wykrzyknęła z rozpaczą, niemal histerycznie Lucilla. - Musisz. Boże, wczoraj... - Chwyliła go za ramiona i potrząsnęła lekko. — Nie dalej jak wczoraj motłoch otoczył mój powóz i ciskając kamieniami, wyzywał mnie od papieskich nałożnic, a o tobie wyrzaskiwał, żeś splugawiony diabelską klątwą, wstydliwą chorobą. Myślisz, Hadrianie, że nie kocham Antoniusza?

Chciał ją objąć, ale odtrąciła jego rękę.

- Kiedyś świata poza nim nie widziałam. Był całym moim życiem. Ale nie mogę pozwolić, żeby ciążył ci ten żywy trup, ten człowiek gnijący za życia, i nie dopuszczę do tego.

Regeane zadrżała pod wpływem zarówno zimnego powiewu powietrza pchanego przez nadciągającą burzę, jak i wspomnienia duchów oczekujących w swej świątyni wysoko ponad morzem.

- Nie - powtórzył nieprzejednanie Hadrian. - Nie wydam takiego rozkazu ani ty tego nie uczynisz. Nie tylko dlatego, że kocham was oboje, ale również dlatego, że znam siebie i wiem, ile potrafi znieść moje sumienie. Nie. O wiele za długo pozwalałem światu uważać go za swojego brata i tak go nazywałem. Poza tym nigdzie nie jest powiedziane, że jego śmierć by mnie ocaliła. Krążą już pogłoski o przygotowaniach do zwołania synodu biskupów - bez wątpienia z inspiracji moich

dobrych przyjaciół Dezyderiusza i Bazyla Lombardczyka - który ma mnie osądzić i określić, czy nadaję się na najwyższego kapłana. Gdyby uznano, że jestem zakażony chorobą Antoniusza, wtedy...

Przyciągnął Lucillę do siebie, a ona niczym zmęczone dziecko złożyła głowę na jego ramieniu. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Tak więc — zapytała — doszliśmy aż tak daleko, by na koniec ponieść porażkę?

- Być może - odparł Hadrian, muskając wargami jej włosy. - Być może, ale przegramy tak, jak zaczynaliśmy, z honorem, uczciwie, bo jakkolwiek... niewłaściwa mogła się wydawać światu nasza miłość, była ona zawsze czysta i szczerą.

Lucilla odsunęła się od niego nieco i uśmiechnęła poprzez łzy.

- Tak, to prawda. Staraliśmy się oboje robić, co w naszej mocy, dla tego udręczonego, wyniszczonego wojnami miasta i jego mieszkańców, nieprawdaż? Hadrian skinął głową.

- Tak, przyjaciółko. Staraliśmy się i dlatego nie ulegnę ani tobie, ani Dezyderiuszowi. Mówiłaś przed chwilą, że w twoich rękach spoczywają losy ludzi i narodów.

- A czy los Antoniusza nie jest aby karą za moje ambicje? - spytała.

- Nie - odparł Hadrian - ale jest ich ceną, ceną odpowiedzialności. Jeśli dojdzie do najgorszego, abdykuję. Lepsze to niż dopuścić, by tobie albo Antoniuszowi stała się jakaś krzywda. Mimo wszystko inni mogą pociągnąć dalej moje dzieło, i kto wie, czy nie uczynią tego lepiej. Człowiekowi zajmującemu moją pozycję łatwo jest uznać siebie za niezastąpionego. - Zachichotał. — Wszak wielu już takich zasiadało na Tronie Piotrowym i bez wątpienia jeszcze więcej będzie siedziało na moim miejscu i próbowało wmawiać sobie, że są tymi jedynymi wybrańcami Boga, których nie można zastąpić. Ale ja nie jestem taki naiwny, Lucillo. Doskonale rozumiem, że jestem tylko ogniwem w ludzkim łańcuchu, którego początki nikną w pomroce dziejów i który sięga w przyszłość ku jeszcze nie narodzonym pokoleniom. Nie będę się ratował za cenę niesławy.

- Niesławy, nie - zaczęła Regeane - ale...

Hadrian i Lucilla spojrzeli na nią, a Regeane zdała sobie sprawę, że niemal zapomnieli o jej obecności.

- Uważam — podjęła powoli - że potrafię pomóc Antoniuszowi, może

nawet go ocalę. Tylko nie... — Zająknęła się, uświadamiając sobie, że gra idzie tu o jej przyszłość. Zdjął ją strach. Zebrała się na odwagę i dokończyła: - Tylko nie pytajcie mnie, proszę, jak zamierzam to zrobić...

Hadrian uśmiechnął się i chociaż biblioteka pogrążona była w półmroku, Regeane dostrzegła w jego oczach ten sam błysk władczości, który widziała, kiedy po raz pierwszy się spotkali.

- Mamy nie pytać, powiadasz?
- Proszę o to — wybąkała.
- Nie ma obawy - odparł z uśmiechem. - Jak już mówiłem, wiem z wieloletniego doświadczenia, że ci, których Lucilla nazywa swoimi przyjaciółmi, są dyskretni i godni zaufania. Wiem również, że nie należy zadawać zbyt wielu pytań co do ich poczynąń. Regeane odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję.
- Grzeczna dziewczyna - zauważył ironicznie Hadrian.
- Niezwykła dziewczyna - dorzuciła Lucilla. - Bardzo niezwykła.

Hadrian spojrział na nią, unosząc brew.

- Błagam cię, miłości moja - ciągnęła Lucilla. – Wysłuchaj uważnie tego, co ma ci do powiedzenia.

Regeane wzięła głęboki oddech.

- Chciałam cię o coś prosić.
- O co? - spytał Hadrian.
- Chciałam cię prosić - wyrzuciła z siebie Regeane - żebyś to ty, nie mój wuj Gundabald, spisał kontrakt małżeński; i chciałabym, żeby w tym kontrakcie była klauzula pozwalająca mi mieć własną siedzibę, własną służbę, własnych zbrojnych.

Papież przyjrzał jej się spód przymrużonych powiek.

- Aż tak się boisz tego człowieka? Aż tak, że chcesz mieszkać oddzielnie?

- Tak - przyznała szczerze Regeane. - Boję się go.

Hadrian ściągnął brwi i przez chwilę popatrywał to na Lucillę, to na Regeane.

- Dla Antoniusza nie ma ratunku.

Lucilla nic nie powiedziała. Wstała. Była, jak reszta gości papieża, ubrana pięknie w długą suknię z zielonego jedwabiu, haftowaną w białe róże, która podkreślała wspaniały kolor jej blond włosów i mleczną cerę. Podeszła do drzwi w drugim kącie biblioteki.

- Płakałam — powiedziała. — Muszę doprowadzić twarz do porządku. Potrzebne mi lustro.

- Jesteś śliczna jak zawsze - zaproponował z galanterią Hadrian. - Jeśli jednak nie dajesz wiary moim zapewnieniom, to lustro znajdziesz na stole przy drzwiach. - Zwrócił się do Regeane. - Rozumiem - powiedział — że żadna z was nie zamierza mi powiedzieć nic więcej o swoich planach.

Regeane milczała. Trzymała dłonie na kolanach, zaciskając mocno pięści.

- Nie - powiedziała Lucilla, podchodząc do stołu. Był zavalony książkami, pergaminami, woskowymi tabliczkami, piórami, kałamarzami i innymi przyborami kancelaryjnymi. - Tutaj trzymasz lustro?

- Dużo pracuję w tej komnacie - odparł Hadrian. — Wszystkie przedmioty, których używam, w końcu tam lądują.

- Ale żeby lustro? - zdziwiła się Lucilla, przystępując do sortowania tego, co leżało na stole.

Niebo znowu przecięła błyskawica. W oddali zagrzmiało.

Kolejny powiew wiatru poruszył kotarami. Regeane poczuła rodzący się, cichy bunt wilczycy.

Cóż ona miała wspólnego z polityką, wystawnymi ucztami i kosztownymi strojami?

Nad Kampanią pewnie już lało. Wilczyca pragnęła biec w deszczu, obserwować błyskawice rozświetlające niebo, słuchać grzmotu spływającego z chmur. Stać się częścią majestatu burzy przetaczającej się nad zimowym krajobrazem.

Ale kobieta odepchnęła ją stanowczo. Nie uzyskała jeszcze od Hadriana odpowiedzi.

- Co zatem będzie z tym kontraktem małżeńskim? — spytała.

- No właśnie - podchwycił papież - kontrakt małżeński. Powiedz mi, jaką część majątku tego mężczyzny chcesz przejąć. Jedną trzecią? Jedną czwartą? Tyle, ile skłonny będzie dać za przywilej poślubienia kobiety z królewskiego rodu?

Wpatrywał się w Regeane chłodnym wzrokiem.

- Jego majątek? — zachnęła się Regeane, sama zaskoczona oburzeniem w swoim głosie. - Ani mi w głowie jego pieniądze. — To ostatnie słowo wypowiedziała z najwyższą pogardą. — Chcę tylko zapewnić sobie bezpieczeństwo. Bo ja się boję. Boję! - krzyknęła. - Czyż nie widzisz mojego przerażenia?

Hadrian odwrócił wzrok.

- Owszem, widzę. Twój strach jest ogromny. Nie bardzo pojmuję, skąd się bierze, ale owszem, widzę go.

- Może to dlatego — wtrąciła Lucilla — że nigdy nie byłeś kobietą.

- Tak — przyznał Hadrian - i być może dlatego, że ty i ta dziewczyna o uroczej, niewinnej twarzy knujecie coś tak nikczemnego, iż nie śmiecie podzielić się ze mną szczegółami.

Lucilla znalazła wreszcie lustro i ruszyła z nim ku Hadrianowi, przyciskając do piersi srebrny krążek.

- Przypominam sobie - ciągnął Hadrian - jak wzięłaś w swoje ręce sprawę Pawła Afarthy i podpisałaś na niego wyrok śmierci.

- Niczego nie podpisywałam - zaproponowała Lucilla. — Dałam tylko do zrozumienia biskupowi Rawenny, że nie rwałbyś sobie włosów z głowy, gdyby Paweł umarł nagłą śmiercią. No i tak umarł - nagłą śmiercią — dokończyła z chłodną satysfakcją w głosie.

- Tak nagłą - zauważył Hadrian - że nie miał nawet czasu na wyrażenie skruchy.

Te słowa wprawiły Lucillę w furję.

- Na Boga, Hadrianie! A ileż czasu dał Paweł na wyrażenie skruchy Sergusowi? Oślepił go, skatował, na wpół udusił i wciąż się duszącego wrzucił do grobowca, by umarł tam w cierpieniu i rozpacz. Przypominam ci, że Sergus był twoim i moim przyjacielem.

Hadrian w jednej chwili jakby się postarzał.

- No dobrze - powiedział cicho. - Rzecz załatwiona. Warunki kontraktu małżeńskiego będą takie, jakich sobie życzyście.

Regeane odetchnęła głęboko.

Lucilla spojrzała w trzymane w dłoni lustro i pisnęła. Odrzuciła je od siebie jak żywego węża. Potoczyło się z klekotem po kamiennej posadzce i zatrzymało u stóp Regeane. Dziewczyna pochyliła się na krześle i spojrzała w srebrną lustrzaną powierzchnię.

Twarz, którą tam ujrzała, nie należała do niej. Odrywając oczy od lusterka, odchyliła się gwałtownie na oparcie. Błyskawica przecięła niebo i oświetliła komnatę. Zastłony wydęły się na wietrze.

- Lusterko Adrasty! - krzyknęła Lucilla. - To lusterko Adrasty! - Twarz

miała szara jak popiół, usta i oprawę oczu sine. Regeane wydało się, że wyczuwa w komnacie czyjąś niewidzialną obecność.

- Bzdura - warknął niecierpliwie Hadrian. - Uspokój się, Lucillo. Skąd wzięłoby się tutaj lustro Adrasty?

Lucilla stała przez chwilę nieruchomo, przyciskając dłoń do piersi, potem wyraźnym wysiłkiem woli opanowała się. Z oddali dobiegły stłumione dźwięki muzyki.

Wielkie, tłuste krople deszczu zaczęły się rozpryskiwać o kamienne płyty ogrodowej alejki i wpadać z pluskiem do sadzawki.

Hadrian podniósł się z ławeczki.

- Pora na nas - powiedział. - Goście zbierają się już w triklinium, czekają, kiedy do nich wyjdę.

Regeane podniosła lustro z ziemi. Czuła to samo, co w Cumae. Takie samo przyprawiające o zawrót głowy wrażenie nierealności ogarniało ją, kiedy obserwowała przechodzącą procesję widm. Wiedziała, że to lustro przeznaczone jest dla niej, że zostało jej jakoś przesłane, ale po co, nie miała pojęcia. Podniosła je jednak i schowała pod wierzchnią suknię.

Hadrian zatrzymał się przy Lucilli i pocałował ją.

- Dzisiaj po uczcie - powiedział ze smutkiem - będziemy się mogli spotkać sam na sam.

Ich twarze, sposób, w jaki na siebie patrzyli, przywodziły Regeane na myśl stare małżeństwo, które ma za sobą wiele odmian losu, wiele trudnych chwil, ale nadal trzyma się razem, połączone zacieśniającymi się przez całe życie więzami i miłością, śmiechem i łzami, małżeństwo, które rozumie się już tak dobrze, że żaden kryzys nie jest w stanie go rozbić.

- Kochany - powiedziała Lucilla, dotykając jego policzka, I Hadrian wyszedł, zostawiając je same. - Chodź — zwróciła się Lucilla do Regeane. - Hadrian ma rację. Pora na nas. — Wzięła ze stołu lampę i ruszyła przodem przez labirynt ciemnych komnat, prowadząc dziewczynę do triklinium, w którym miała się odbyć uczta.

Na długim, krytym ganku z kolumnami Lucilla zatrzymała się i osłoniła dłonią płomień lampy, by zaczekać, aż uspokoi się wiatr, zacinający deszcz wdzierając się na ganek i ściekał srebrnymi kurtynami z gzymsu.

Stały tak przez chwilę, patrząc, jak wiatr tarłosi moknące na deszczu drzewa i krzewy w ogrodzie.

- Nie wiem, co zamierzasz — odezwała się cicho Lucilla – ale radziłabym ci trzymać Antoniusza w kryjówce. - Ujęła Regeane za ramię i ta poczuła paznokcie wbijające się jej w ciało. - A jeśli chcesz mnie terroryzować swoją drugą postacią, to dobrze się zastanów. Nie boję się wilków. Widywałam je często, pasąc w górach stada ojca. To tchórzliwe zwierzęta, które można odegnać kamieniami i krzykiem.

Regeane wyszarpnęła rękę z uścisku Lucilli.

- Mnie nie da się odegnać kamieniami ani krzykiem — powiedziała.

Wiatr ścielił. Deszcz lał dalej gęstym, szumiącym wodospadem. Burza osiągnęła swoje apogeum. Wodna mgiełka unosząca się nad gankiem osiadała Regeane na włosach.

Lucilla odsunęła się od niej.

- Nie stój tak blisko - mruknęła. - Gnieciesz mi suknię.

Regeane nie ruszyła się z miejsca. Czuła w sobie budzącą się, niespokojną wilczycę.

- Coś jest nie tak - wyszeptała. - W powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo. Wilczyca je wyczuwa. Ja również.

- Naturalnie, że w powietrzu wisi niebezpieczeństwo. W tej chwili grozi ono tobie z mojej strony. Ja nie jestem Hadrianem. Hadrian to mężczyzna. Jemu wolno być zadowolonym z siebie. Tłum płakałby, gdyby on abdykował, ale ten sam tłum obwiniłby o to mnie, wdarłby się do mojej willi i powłókł mnie ulicami przed lombardzki trybunał, który bez wahania skazałby mnie na śmierć. I może do tego dojść, jeśli Antoniusz zostanie odnaleziony. Moje życie zależy od ciebie, a ja nie wiem nawet, kim naprawdę jesteś.

- Może cię pocieszy - odparła Regeane — że ja sama tego nie wiem. Nie miałam dotąd okazji, by się dowiedzieć.

Odwróciła się do Lucilli i ta cofnęła się o krok ze zduszonym okrzykiem.

- Nie... nie patrz tak na mnie - wykrztusiła. - Twoje oczy odbijają światło lampy jak... ślepia zwierzęcia.

- Jak ślepia wilka — powiedziała Regeane. Słyszała chrapliwy oddech Lucilli. — Lucillo - ciągnęła. — Proszę cię... — Wyciągnęła rękę, ale Lucilla znowu się cofnęła. - Tracisz zimną krew, Lucillo? Co się stało?

- Dlaczego wzięłaś lusterko Adrasty? Wiem, że to jej lusterko. Jest na nim jej znak. Kazała je tak oznaczyć rzemieślnikowi, który je robił. Ten sam znak nosiły wszystkie jej rzeczy osobiste.

– Wzięłam je, bo było dla mnie przeznaczone, mnie je przysłano - odparła Regeane, postępując znowu krok w stronę Lucilli.

- Nie zbliżaj się. Nie podchodź do mnie - wyszeptała Lucilla. - Ostatni raz widziałam to lustro w trumnie Adrasty. Potem nakryli na zawsze kamienną płytą sarkofagu to lustro i piękną, złą, zachłanną twarz Adrasty. Wiem, skąd to lustro pochodzi... bo sama je wsuwałam w jej martwe dłonie.

Regeane szła przez triklinium do swojej stołowej sofy po dywanie z kwiatów, którymi usłana była marmurowa posadzka z zielonych i białych płyt. Tak pięknej sali nigdy jeszcze nie widziała.

Dwa ogromne stoły w kształcie półksiężyców otoczone były sofami obitymi czerwonym aksamitem. Sofa papieża stała na podwyższeniu pod ścianą, między końcami obu stołów.

Muzycy zajmowali miejsce w wolnej przestrzeni między półokrągłymi stołami. Kaskada cichych dźwięków harfy i cytry mieszała się z płaczącym zawodzeniem fletu.

Na gości odzianych w błyszczące jedwabie i aksamity patrzyło z fresków pokrywających ściany dwunastu apostołów. Mozaika za sofą papieża przedstawiała sztywnego bizantyjskiego Chrystusa z uniesioną ręką, błogosławiącego najwyższego kapłana przy wieczerzy.

Apostołowie z fresków nie byli tak sztywni i formalni. Przechadzali się grupkami po skąpanym w promieniach letniego słońca Rzymie. Odpoczywali jak wieśniacy w porze sjeisty w cieniu drzew uginających się pod ciężarem owoców i listowia. Spoglądali na zielone łąki przetykane czerwonymi plamkami maków i na złotą pszenicę dojrzewającą na polach uprawnych. Lew św. Marka dokazywał jak kotek w wysokiej, zielonej trawie. Orzeł św. Jana szybował w górze niczym polujący sokół. Piotr z kluczami u pasa siedział oparty o pień drzewa, obok leżał miecz, a także złożone sieci.

- Antoniusz! - powiedziała ze smutkiem Regeane.

- Tak - odparła Lucilla. - Kiedy zaczął się włóczyć po pracowniach tych zwariowanych malarzy, mieszać barwniki, eksperymentować z gipsem i stiukiem, myślałam, że oszalał. Miał przecież w osobie Hadriana sponsora. Mógłby daleko zejść w służbie dla Kościoła. Ale potem zobaczyłam jego prace... Niestety my, Rzymianie, tonąc w morzu barbarzyństwa, potrafimy nadal podziwiać piękno. Jakby to było ważne — dodała z goryczą.

- Bo jest - powiedziała Regeane, wpatrzona we wspaniałe malowidła.

- Tak - przyznała Lucilla. - Tak, masz rację. Być może dzieła te są naszą nieśmiertelnością. Może to właśnie dzięki nim pamięć o nas nie zaginie, kiedy wszystko inne obróci się w proch.

Obok sofy Regeane stała Elfgifa. Krzątały się przy niej przyjaciółki Augusty. Ubrana jak dorosła, z włosami przyozdobionymi perłami, wyglądała jak laleczka.

Przez otaczający je tłum przepchnęła się tęga kobieta w zgrzebnym habicie zakonnicy.

- Jestem przeorysza Emilia - przedstawiła się. — A to, jeśli się nie mylę - tu wskazała palcem dziewczynę - Elfgifa.

Damy zgromadzone wokół Elfgify rozstały się, przepuszczając przeoryszkę Emilię. Emilia stanęła przed Elfgifa i wzięła się pod boki. Na jej twarzy malowało się niezadowolenie.

- Ciotka Emilia - powiedziała Elfgifa.

- Nie nazywaj mnie ciotką Emilią, niesforne dziecko. Twój ojciec szaleje z rozpacz po tobie.

Dolna warga Elfgify zaczęła się wysuwać do przodu. Regeane wiedziała, że to niebezpieczny znak.

- To nie moja wina, że porwali mnie piraci.

- Owszem, twoja! - huknęła Emilia. - Dobrze wiesz, że zakazano ci zabaw z synami rybaków. Na naszym wybrzeżu nie jest bezpiecznie - wyjaśniła przysłuchującym się tej rozmowie kobietom. — Grasuują tam wikingowie żądni łupu, porywają w niewolę naszych ludzi i sprzedają ich Grekom. Twój ojciec obawiał się, że już cię nie zobaczy. Prawdę mówiąc — Emilia pogroziła Elfgifie palcem — wyrosłaś tak bardzo, że nie wiem, czyby cię poznał, nawet gdyby ciebie znalazł.

- Czemu wszyscy wciąż tak się dziwią, że wyrosłam? — Elfgifa spojrzała na Regeane i wzniosła oczy do nieba. — Czego się spodziewali? Że zmaleję? Ty też wyrosłaś — zwróciła się do Emilii. — Wszerz. - Rozpostarła ramiona. - Nabrałaś ciała.

Kilka z kobiet otaczających Emilię zachichotało cicho.

- Oburzające! — fuknęła Lucilla. — Ani słowa więcej, młoda damo. Przywitaj się z ciotką jak należy, ucałuj ją. W drodze tutaj rozmawialiśmy chyba o różnicach w zachowaniu we własnym domu i pomiędzy ludźmi.

— Pamiętam — bąknęła Elfgifa, robiąc skruszoną minę. Emilia założyła ręce na piersi i spoglądała na małą z góry.

- Tak, to cała Elfgifa. — Uśmiechnęła się i uszczypnęła dziewczynkę w policzek. - Chciałaś powiedzieć, że się roztyłam.

- Ojciec mawia — odparowała z oburzeniem Elfgifa - iż nie wypada

mówić komuś, że się roztył. Lepiej powiedzieć, że nabrał ciała.

Emilia parsknęła śmiechem.

- Nieodrodna córka mojego brata. On zawsze mi docina z powodu mojej tuszy. To znaczy, kiedy się widujemy, a ostatnio było to przed kilkoma laty. Boże, miej go w swej opiece. Odpowiadam mu, że ja nie z tych, dla których pobożność to umartwianie się. Kobiety z mojego zakonu zajmują się działalnością charytatywną. Opiekujemy się sierotami, odwiedzamy chorych, karmimy i dajemy schronienie wędrowcom, którzy pukają do naszych drzwi. Wierzcie mi, że dziewczyna, która przez całe noce czuwa u łóżka umierającego albo jak dzień długi naucza bandę rozbrykanych wyrostków, nie może żyć o chlebie i wodzie. My, robotnice w winnicach Chrystusa, musimy dbać o to, by nie opaść z sił.

- Tak, z pewnością — mruknęła Augusta. - A co do tego dziecka...

Elfgifa obróciła się na pięcie i spojrzała oskarżycielsko na Regeane.

- Chcesz mnie odesłać, tak? - Podbiegła do Regeane i rzuciła się jej w ramiona.

Regeane chwyciła małą na ręce. Elfgifa objęła ją za szyję i przywarła policzkiem do jej policzka.

Regeane przepełniło na chwilę uczucie niewystłowionej miłości. Było tak silne, że aż zadrżała.

- Nie chcesz wracać do domu? - spytała. — Ciotka Emilia zaopiekuje się tobą do czasu przybycia twojego ojca. To dobra kobieta, prawda?

- Dobra - przyznała. Elfgifa - ale każe mi ślęczeć nad książkami. I poucza mnie bez przerwy, co jest dobre, a co złe. Kiedy wymykam się z domu, żeby się pobawić, traktuje to jak najcięższy grzech i uważa, że najlepiej by było, gdybym pracowała w kuchni i szorowała garnki. Nie pozwala mi łązić po drzewach, a podczas deszczu muszę siedzieć w domu. „Trzymaj się prosto - strofuje mnie - bo garb ci wyrośnie”. „Nie brudź sukni”. Ojciec mawia, że ubranie nosi się po to, żeby się brudziło i...

Lucilla klasnęła w dłonie, kładąc kres tyradzie Elfgify.

- Powinnaś się nazywać Papla, nie Elfgifa. Regeane cię kocha. Postaraj się nie zadawać jej więcej bólu, niż to konieczne. Poza tym trochę pracy i dyscypliny dobrze ci zrobi. Wkrótce wrócisz do ojca i znowu przy nim zdziczejesz.

- Wielkie nieba! - zawołała Emilia, wyrzucając w górę ramiona. - Święta prawda. On traktuje to dziecko jak jednego ze swoich nieokrzesanych ludzi. Traktuje

ją tak, jakby jej myśli i opinie miały jakieś znaczenie.

- Bo mają - powiedziała Lucilla. - Jest córką tana czy nie? W najgorszym przypadku zostanie panią wielkiego domu.

Emilia stropiła się, ale zaraz uśmiechnęła się do Lucilli.

- Nigdy tak o tym nie myślałam, ale chyba masz rację.

Lucilla zwróciła się do Elfgify:

- Regeane oddaje cię w ręce Emilii, bo... bo to teraz o wiele bezpieczniejsze. Kocha cię i chce dla ciebie jak najlepiej.

Dziewczynka cofnęła głowę i spojrzała na Regeane posmutniałymi niebieskimi oczami.

Regeane pogładziła wolną ręką jedwabiste pukle opadające Elfgifie na plecy.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa i żeby nic ci się nie stało, malutka - powiedziała bardzo cicho - a ze mną nie będziesz ani szczęśliwa, ani bezpieczna. Chcę mieć pewność, że jesteś wśród ludzi, którzy cię kochają i którzy zapewnią ci odpowiednią opiekę. — Pokręciła głową. - W zaistniałych okolicznościach... — Głos się jej załamał, w oczach zakręciły się łzy. - W zaistniałych okolicznościach ja ci jej zapewnić nie mogę.

Elfgifa przyglądała się przez chwilę Regeane z powagą, potem znowu objęła ją mocno za szyję. W lekkim pocałunku, jaki złożyła na jej policzku, było wyznanie miłości i zaufania.

- Będę grzeczna - obiecała — i postaram się słuchać we wszystkim ciotki Emilii.

- Matko - odezwała się Augusta. — Papież kieruje się już ku swojej sofie. Uczta się zaczyna. Musimy zająć miejsca.

Regeane postawiła Elfgifę na ziemi i niespodziewanie znalazła się w objęciach Emilii.

- Dziękuję ci, za twoje dobre serce - powiedziała przeorysza. - Nawet nie wiesz, jak się cieszymy z odzyskania tego dziecka. Mój brat ją uwielbia. Zaskarbiłaś sobie naszą dozgonną wdzięczność. - Wypowiedziawszy te słowa, oddaliła się pospiesznie, by usiąść z innymi zakonniceami po drugiej stronie sali.

Lucilla skinęła Regeane głową jak przygodnej znajomej i również odeszła na swoje miejsce w pobliżu końca stołu.

Regeane, trzymając Elfgifę za rękę, stała obok Augusty i odprowadzała Lucillę wzrokiem.

- Jakie to dziwne! - mruknęła. — Jest chyba jedną z najbardziej wpływowych kobiet w tym mieście, a sadza się ją...

- Zamilcz - syknęła Augusta, rozglądając się szybko w koło. — Ktoś mógłby usłyszeć. Moja matka jest dla mnie nieustannym źródłem wstydu i zakłopotania - dodała z nutką udręczenia. — Z fortuną, jaką zgromadziła, mogłaby żyć przyzwoicie - jak na rzymską matronę przystało - i poświęcić się Kościołowi, opiece nad biednymi. Ale ona zadaje się otwarcie z najgorszym elementem tego miasta. Para się polityką i innymi sprawami, którymi szanująca się kobieta nie powinna się interesować. A przede wszystkim widuje się wciąż z mężczyzną, którego towarzystwa powinna unikać jak ognia, bo każde takie spotkanie to okazja do grzechu.

Regeane przełknęła ripostę, która cisnęła się jej na usta.

- Znowu będziemy jadły na leżąco? - spytała Elfgifa.

- Tak - mruknęła Regeane. - Taki tu zwyczaj i jako goście musimy go uszanować.

- Ja nie mam nic przeciwko - powiedziała dziewczynka urażonym tonem.

- Pytałam tylko.

Muzyka była piękna i kojąca, rozmowy między gośćmi kulturalne i przyciszone. Potrawy i wiele gatunków win składały się na skomplikowaną, oszałamiającą swoim bogactwem paletę barw, aromatów i smaków.

Regeane była zachwycona pierwszymi daniami uczyty. Zajadały się z Elfgifą drozdami duszonymi w sosie z białego wina. Delikatne mięso przesycone było słodkim smakiem fig, którymi ptaki tuczono.

Augusta popatrywała na nie z dezaprobatą i sama delectowała się sałatką z cykorii i rukwi, przyprawionych oliwą z dodatkiem miodu i wina.

- W moim wieku muszę pilnować wagi - mówiła. - A wy też powinnyście uważać. Ukształtowane teraz nawyki żywieniowe pozostaną wam na całe życie.

Elfgifą posłusznie spróbowała sałatki i skrzywiła się z niesmakiem.

Siedziały niedaleko papieża i Regeane zauważyła, jak ten uśmiecha się na widok reakcji Elfgify i przywołuje sługę.

- To dla dziecka - powiedział z uśmiechem sługa, stawiając po chwili przed Elfgifą talerz z daniem ze stołu papieża.

Augusta, zerknąwszy na zawartość talerza, wzdrygnęła się z obrzydzenia. Były to gruszki gotowane w miodzie cynamonowym i winie, polane lekkim sosem zagęszczonym kilkoma tylko żółtkami jaj.

Elfgifą puściła mimo uszu ostrzeżenie Augusty, że jedząc to, popsuje sobie apetyt, i rzuciła się zachłannie na gruszki.

- Co mi tam! - wymamrotała z pełnymi ustami. - Smakuje mi, to jem.

Po jakimś czasie słudzy uprzątnęli ze stołów ciężką srebrną zastawę i przyszła pora na obmycie rąk. Sługa polał im dłonie różaną wodą. Jej zapach przyprawił Elfgifę o atak kichania. Sztywna z wściekłości Augusta leżała, wspierając się na prawym łokciu, i udawała, że dla niej Elfgifą nie istnieje, natomiast purpurowa z zażenowania Regeane usiłowała zaradzić sytuacji i powstrzymać kichanie, przecierając Elfgifie buzię serwetką umoczoną w wodzie różanej.

- Na miłość boską - szepnęła zrozpaczona. - Nie możesz choć przez chwilę zachowywać się normalnie?

Mała twarzyczka Elfgify wykrzywiła się w płaczącym grymasie i Regeane natychmiast ruszyło sumienie.

- Przepraszam - wymamrotała Elfgifą. - Ale nic na to nie poradzę. Ta

woda tak ładnie pachnie, że aż w nosie mi się zakręciło...

- No już dobrze — powiedziała Regeane, biorąc buzię dziewczynki w dłonie i całując małą w czoło. — Grzeczna dziewczynka. Nie płacz.

Elfgifą odsunęła się od niej i zwiesiła głowę.

- To dlatego chcesz się mnie pozbyć, tak? Bo nie jestem grzeczna? Wszyscy wciąż mi mówią, co mam robić, a czego nie i... oooo! Patrz, jakie ładne! - zawołała, zapominając w jednej chwili o swoim przygnębieniu.

Sługa rozstawiał przed gośćmi pucharki. Były ze szkła i każdy miał kształt innego kwiatu.

- Mogę sobie wybrać, jaki chcę? - spytała Elfgifą, kiedy sługa zatrzymał się przed nimi z pełną szklą tacą. Mężczyzna kiwnął głową. Elfgifą podskoczyła z radości na sofie. - Daj mi słonecznik. Nie, dzwonek. Nie, sama nie wiem, co. Ta lilia taka śliczna.

- Nie wierzgaj tak - zganiła ją Augusta. - Zdecyduj się wreszcie i uważaj, żeby go nie stłuc.

Elfgifą uspokoiła się natychmiast i w jej wielkich niebieskich oczach zakręciły się łzy.

- Nie bądź okrutna, Augusto - fuknęła Regeane. - To jeszcze dziecko.

- Zauważyłam - wysyczała tamta. — Okropne, rozpuszczone, nieznośne...

Przestraszona Elfgifą przytuliła się do Regeane. Rozgniewanej Regeane krew odpłynęła z twarzy. Otoczyła dziewczynkę ramieniem.

- Tak - powiedziała do niej cicho. — Możesz sobie wybrać, jaki chcesz.

- Chyba najbardziej podoba mi się dzwonek — wyszeptała do Regeane uspokojona już Elfgifą, zerkając lękliwie na Augustę.

Regeane spojrzała na sługę, przystojnego, młodego mężczyznę, który popatrywał z niechęcią na Augustę.

- Dobrze — powiedziała. - W takim razie ja wezmę lilię, bo ona też ci się podoba, a Augusta - dodała złośliwie — słonecznik.

Lilia Regeane wykonana była z rzadkiego, przezroczystego kryształu, a każdy płatek obwiedziony był bielą. Dzwonek Elfgify był bładoniebieski z ciemniejszymi szafirowymi smugami, podkreślającymi delikatne ubarwienie tych wiosennych kwiatów.

Do pucharków rozlewano już deserowe wina. Regeane wybrała ciemne i

słodkie, Elfgifa pachnące różami, a Augusta, jak to było do przewidzenia — fiołkami.

W wolną przestrzeń między stołami wkroczyła młoda dziewczyna i zatrzymała się przy muzykach.

Rozmowy w triklinium ścieliły. Goście czekali na rozpoczęcie występu śpiewaczki.

- Piękna to ona nie jest, prawda? — zauważyła Augusta.

Rzeczywiście, skromnie odziana dziewczyna prezentowała się pospolicie, Regeane przemknęło nawet przez myśl, że jest brzydka. Miała ciemne włosy, wydatne kości policzkowe, haczykowany nos, kiedy jednak zaczęła śpiewać, Regeane zapomniała o jej tyczkowatej postaci i niemal szpetnej twarzy. Głos dziewczyny był jak piękna złota nić, wijąca się pomiędzy strunami. Akompaniujący jej flet wygrywał smutną, rytmiczną melodię.

Śpiewała o poecie, który błaga bogów, by darowali życie jego ukochanej. Głos śpiewaczki i poetycki tekst pieśni malowały rozdzierający serce portret bezradnej, ślicznej dziewczyny dotkniętej groźną i straszną chorobą, opisywały przerażenie oraz rozpacz jej kochanka.

Regeane łzy napłynęły do oczu, ale na Augustę muzyka zdawała się nie działać. Kiedy dziewczyna, skończywszy pieśń, skłoniła się i wyniknęła z sali, Augusta parsknęła wzgardliwie i powiedziała:

- To Dulcina, jeszcze jedna podopieczna matki. Śpiewała kiedyś po tawernach. Była niewolnicą i jej właściciel źle ją karmił. Nie umarła z głodu tylko dzięki tym paru miedzakom, które zawsze ktoś jej rzucił. Teraz znajduje się pod patronatem matki i jest najpopularniejszą w Rzymie śpiewaczką. Ale żeby Propercjusz tutaj?

- Jaki Propercjusz? - spytała Regeane.

- Poeta, autor wiersza, do którego Dulcina ułożyła tę muzykę. Te pełne namiętności strofy o jego Cyntii, jakież to gorszące! Wielu duchownych się na nie oburza. Ale taka już jest moja matka. Tyle w niej sentymentalizmu! Chociaż w rozmowie może się wydawać cyniczna, nadal wierzy w miłość.

Regeane przypomnieli się Hadrian i Lucilla zjednoczeni w trosce o Antoniusza oraz w obliczu porażki, a kto wie, czy nie klęski.

- Może to dlatego, że zaznała miłości — powiedziała.

- Ha! - prychnęła Augusta. — Bzdura. Ten ohydny, ale przyznać muszę, korzystny związek należało zerwać już przed laty. Teraz jest dla nich obojga tylko

źródłem kłopotów. Ona nie tyle kocha, ile, jak powiedziałam, jest sentymentalna. Z tym że sentymenty nigdy nie przeszkadzają jej w niszczeniu wrogów.

Regeane nie odpowiedziała, ale w duchu, choć niechętnie, zgodziła się z Augusta. Wyczuwała u Lucilli jakąś bezwzględność i podejrzewała, że jeśli nie uda jej się znaleźć dla Antoniusza lekarstwa albo ukryć go skutecznie przed prześladowcami, Lucilla prawdopodobnie dopilnuje, żeby za to zapłaciła.

Elfgifa znowu zaczęła się wiercić.

- Lubię ładną muzykę - powiedziała. — I ten pucharek też ładny, ale czy dadzą nam coś jeszcze do jedzenia?

Wargi Augusty zacisnęły się w cienką linię. Spiorunowała Elfgifę wzrokiem.

- Myślałam, że napchawszy się jak świnia tymi gruszkami, będziesz miała...

- Jak świnia?! - krzyknęła Elfgifa i Regeane wydawało się przez moment, że w rysach jej twarzyczki widzi tego dzikiego barbarzyńskiego wodza, który był jej ojcem. Dziewczynka zaciskała gniewnie usta, w jej niebieskich oczach pojawiło się stalowe lśnienie.

Regeane przetoczyła się po sofie do Elfgify i przycisnęła ją ciężarem ciała.

- Przestań - syknęła do ucha szamoczącej się małej. — Przestań w tej chwili. Nie rób tu scen.

- Nazwała mnie świnia... — poskarżyła się Elfgifa.

- Nic mnie nie obchodzi, jak cię nazwała - powiedziała chrapliwym, gniewnym szeptem Regeane. — Zresztą wcale nie nazwała cię świnia. Chciała tylko powiedzieć, że zjadłaś dużo gruszek, i tak rzeczywiście było.

- Coś podobnego - rzekła Augusta. - Jak mogłyście do spótki z moją lekkomyślną matką tak rozpuścić to dziecko? Przydałoby się jej...

Regeane przechwyciła spojrzenie Hadriana, obserwującego je z przekornym uśmiechem. To, co działo się na ich sofie, zdawało się go bawić tak samo jak gra muzyków, a może nawet bardziej. Spłonęła rumieńcem.

- Na miłość boską, przestańcie się handryczyć — powiedziała błagalnie. - Papież na nas patrzy. Robicie z siebie widowisko.

- Ja nigdy nie robię z siebie widowiska — odparowała Augusta, przeszywając Regeane i Elfgifę pogardliwym spojrzeniem.

- Dobrze już, dobrze - westchnęła niechętnie Elfgifa, odwzajemniając się Auguste równie wzgardliwym spojrzeniem. - Zrobię to dla ciebie i puszcę jej to

plazem.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała z sarkazmem Regeane i odetchnęła z ulgą na widok sług wnoszących na salę główne danie.

Skromnie odziany młodzieniec, zbierający ze stołów pucharki w kształcie kwiatów, zatrzymał się przed nimi i przyciszonym głosem zwrócił się do Regeane:

- Ponieważ tej młodej damie - tu wskazał ruchem głowy Elfgifę - tak bardzo podoba się pucharek, który wybrała, Jego Świątobliwość daruje go jej w prezencie.

Elfgifa rzuciła Augustcie wyzywające, triumfalne spojrzenie i przycisnęła pucharek do piersi.

Augusta przeszła ją wzrokiem.

Regeane, bardzo już zmęczona rolą rozjemczyni, skupiła się na wybieraniu dań z bogatej oferty. Zdecydowała się na polędwicę młodego, dzikiego niedźwiedzia, polaną wybornym sosem śliwkowym, oraz na miseczkę pieprznych jeżowców.

Augusta zadowoliła się smażonym pstrągiem w sosie z miodu i migdałów.

Elfgifa, podobnie jak Regeane, wzięła sobie porcję niedźwiedziej polędwicy, ale rybą i jeżowcami wzgardziła.

Regeane, poczuwszy w ustach smak dziczyzny, przymknęła z rozkoszy powieki i zapomniała na chwilę o Elfgifie i Augustcie. Zatraciła się w delektowaniu się wyśmienitym daniem i westchnęła z żalem, kiedy się skończyło.

Przewidywania Augusty nie spełniły się. Gruszki nie stępiły Elfgifie apetytu. Widząc, że dziewczynka spałaszowała już swoje mięso i rozgląda się za czymś jeszcze, Regeane zaproponowała, by skosztowała jeżowców, ale tu wtrąciła się Augusta.

- Młoda, niezamężna kobieta nie powinna jeść publicznie takich dań, moja droga - powiedziała protekcyjnie. - Jeżowce są podobno jeszcze silniejszymi afrodyzjakami niż ostrygi.

- A co to są afrodyzjaki? - zainteresowała się Elfgifa.

Mięśnie na skroniach Regeane zadrgały. To wilczyca próbowała bez powodzenia położyć uszy po sobie.

- Mniejsza z tym - mruknęła pośpiesznie Regeane i sięgając po talerz oliwek, dostrzegła Gundabalda.

Dreszcz przerażenia przebiegł jej po krzyżu, pociemniało w oczach.

Wuj zajmował miejsce w samym końcu przeciwległego stołu, obok niego

siedział Hugo. Zaabsorbowana zarówno jedzeniem, jak i potyczkami Augusty z Elfgifa, do tej pory go nie zauważyła.

Przechwyił jej spojrzenie i z uśmiechem samozadowolenia na twarzy uniósł w górę pucharek.

Regeane wbiła palce w aksamit sofy. Ślepa panika, jaką poczuła na widok wuja, oraz świadomość złowróbnego znaczenia tego uśmiešku kazały jej zerwać się na równe nogi i uciekać.

Stwierdziła jednak, że nie ma na to sił. Sala wirowała. Skurcze odruchu wymiotnego szarpały mięśniami brzucha. Zalewał ją zimny pot.

Wilczyca próbowała przyjść Regeane z pomocą, ale światło więziło ją w skręcającym się ciele dziewczyny. Na ścianach płonęły pochodnie. W zwisającym u sklepienia świeczniku paliły się świece. Lichtarze na kolumnach oddzielały salę jadalną od ciemnego ogrodu. Świec w tych lichtarzach było tyle, że kolumny zdawały się płonąć. Zgiełk przytłaczał, dźwięki muzyki mieszały się z gwarem bełkotliwych głosów.

Regeane uświadomiła sobie, że wilczyca jest już w jej oczach i uszach, i że przeraża ją jasno oświetlona sala. Światła oślepiły zwierzę. Zbita masa ludzkich ciał, odór potu zmieszany z ostrym zapachem przypraw i słodkim aromatem perfum, głosy brzmiące niczym górski potok — wszystko to porażało zmysły zwierzęcia.

Głowa opadła jej na poduszkę. Przesycony nieszczerem współczuciem głos Augusty zagrzmiął jej w uszach hukiem fali przyboju:

- Biedactwo, za dużo wina?

Za dużo wina? Nie, nie wypła go wiele, zaledwie kilka łyczków, na pewno nie tyle, żeby się upić. Chyba że coś w nim było. Fale ciemności zalewały jej mózg, rozmazywała się rzeczywistość. Ze ściśniętą krtanią walczyła z przerażoną wilczycą. Walczyła z nią o kontrolę nad swoim ciałem.

Głosy otaczały ją teraz zewsząd i naraz uświadomiła sobie, że pośród tej huczącej wrzawy słyszy Gundabalda i Hugo, słyszy, jak rozmawiają, wyławia ich głosy z wszechobecnego gwaru. I wilczyca nastawiła ucha, słuchała ze skupieniem właściwym zwierzęciu, które słyszy szelest skrzydełek ómy i mysz przemykającą w trawie, i stapanie skradającego się kota.

- Wygląda już na gotową. - mówił Gundabald. - Nasi patroni dobrze się spisali. Nie będzie stawiała oporu...

Potem moc wilczycy osłabła i Regeane przestała ich słyszeć. Cała sala

zdawała się kołysać, światła były rozmazanymi plamami jasności, ale nudności na razie ustąpiły.

Regeane zmobilizowała się do walki z sennością, która ją ogarniała, i spróbowała zebrać myśli.

Leżąca obok Elfgifa patrzyła na nią z przestachem. Na twarzy Augusty malował się wyraz samozadowolenia. Regeane pochyliła się do ucha Elfgify.

- Idź do papieża — wyszeptała. - Powiedz mu, żeby postawił na nogi strażę. Zaraz nas napadną.

Elfgifa patrzyła przez chwilę na Regeane z konsternacją, potem bez słowa zsunęła się z sofy.

Augusta krzyknęła za nią, żeby wracała, ale dziewczynka była już pod stołem. Wynurzyła się spod niego trzy sofy dalej i omijając muzyków, ruszyła ku podwyższeniu, na którym siedział papież. Oczy Augusty pobiegły w tamtym kierunku, widać było, że gorączkowo i bezskutecznie szuka w myślach sposobu zatrzymania dziewczynki. Regeane roześmiałyby się, gdyby nie śmiertelny strach, który ją paraliżował. Zanurkowanie pod stół w pogoni za małą było poniżej godności Augusty.

Zamiast tego chwyciła pucharek w kształcie dzwonka, który tak się dziecku podobał, i ściągając na siebie wzrok Elfgify, uniosła go nad marmurową posadzką.

Elfgifa zatrzymała się jak wryta. Walka ze sobą, którą wywołał w niej wymowny gest Augusty, była krótka, ale zacięta.

Przez buzię dziewczynki przemknęła kawalkada emocji: konsternacja, potem strach o swój skarb, potem żal i w końcu gniew. Mała zeszywniała i w rysach jej twarzyczki Regeane dostrzegła znowu saskiego wodza, który był jej ojcem.

Oczy Elfgify rozbłysły błękitnym ogniem. Odwróciła się, ignorując zarówno pucharek, jak i Augustę, i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę podwyższenia.

Kiedy od sofy papieża dzieliło ją już tylko kilka kroków, dał się słyszeć trzask rozbijającego się o posadzkę pucharka. Elfgifa drgnęła, ale nawet się nie obejrzała.

Jeden z mężczyzn siedzących nieopodal Hadriana poderwał się czujnie, żeby zatrzymać Elfgifę, ale papież uspokoił go gestem ręki i wskazał dziewczynce miejsce obok siebie. W chwilę potem szeptała mu już coś na ucho.

Wysłuchawszy ją, Hadrian spojrział na siedzącego obok laika o kamiennej twarzy i coś do niego powiedział. Mężczyzna wstał i oddalił się pośpiesznie.

Gwar rozmów przycichł na moment, potem znowu narósł. Podnieceni goście komentowali między sobą incydent. Czyżby to dziecko przyniosło gospodarzowi

jakąś ważną wieść?

Regeane ponownie spróbowała wstać.

- Ani się waż — warknęła Augusta, popychając ją z powrotem na sofę. —

Nie wypada wstawać podczas uczyty, dopóki gospodarz pierwszy tego nie uczyni.

W tym momencie papież wstał i zwrócił się do biesiadników:

- Przyjaciele moi... — zaczął.

Regeane szarpnęła się, próbując uwolnić rękę z uścisku Augusty. Sala zakołysała się.

Na brukowanej ulicy prowadzącej do placu przed pałacem Laterańskim zadudniły końskie kopyta.

Lombardczycy! - krzyknął ktoś z przerażeniem. - To Lombardczycy!

Wśród zebranych wybuchła panika. Goście zerwali się z miejsc i rzucili tłumnie do ucieczki, przewracając sofy i stoły. Wielka sala szybko pustoszała. Zaślepieni przerażeniem goście tratowali się w przejściach.

Ktoś poderwał Regeane z sofy i wykręcił jej rękę do tyłu. Był to Hugo.

Przed oczyma Regeane zamajaczyła brodata, ospowata gęba Gundabalda. Poklepał ją lekko po policzku.

- Mam klatkę dla wilka - powiedział cicho — klatkę i żelazną obrozę. Tym razem mi nie umkniesz.

Uderzył dziewczynę na odlew w twarz z taką siłą, że głowa odskoczyła jej do tyłu. Błyskawica bólu przeszła czaszkę. Na chwilę oślepta i ogłuchła, potem dławiąca fala krwi wypełniła jej usta i krtań.

- Szybciej, ojciec - zapiszczał Hugo - szybciej, zanim ona się przemieni.

- Nie przemieni się - uspokoił go ze złośliwym chichotem Gundabald. -

Za jasno tu.

Regeane poczuła na szyi zimny dotyk żelaznych okowów. Oszalała z przerażenia szarpnęła się i uchyliła głowę, by uniknąć obroży z przytwierdzonym do niej łańcuchem. Kątem oka dostrzegła, jak Gundabald unosi rękę do kolejnego uderzenia.

I nagle poczuła, że Hugo ją puścił.

- Palę się — powiedział niedowierzającym tonem. — Palę się - powtórzył ze zdumieniem. - Ja się palę! - zawył i rzucił się do wyjścia, by szukać ratunku w tryskających na zewnątrz fontannach.

Wilczyca w mózgu Regeane oszalała. Dziewczyna rzuciła się na

Gundabalda, by wydrapać mu paznokciami oczy.

Odskakując, zamachnął się trzymanym w rękę łańcuchem, ale stracił równowagę i runął na wznak na marmurową posadzkę.

Regeane odwróciła się na pięcie. Korytarz wiodący w głąb willi wabił swoim mrokiem. Nieopodal Elfgifa podskakiwała radośnie i wykrzykiwała:

- Podpaliłam go! Rzuciłam w niego lampą oliwną!

Regeane chwyciła małą za rękę i pobiegła w stronę wylotu korytarza. Pokonując bezwład pętający nogi, zastanawiała się, czego dodała jej do wina Augusta. W jej odczuciu upłynęła cała wieczność, zanim skryły ją zbawcze ciemności. Tam zwolniła, czuła, jak opuszczają ją siły.

- Uciekaj, jeśli ci życie miłe! — krzyknęła do Elfgify, pchając dziewczynkę do przodu. — Hugo ci nie daruje!

Wśluchiwała się przez chwilę w oddalający się tupot biegnących stóp. Po chwili z głębi korytarza dobiegł pełen ulgi okrzyk Emilii.

Skręciła za róg i znalazła się w kompletnych ciemnościach. Oczy kobiety niczego już nie widziały.

Ulegając wilczycy, padła na posadzkę. Przemiana dokonała się gwałtownie. Tym razem nie spłynął na nią całunem łagodny, wieczny mrok księżyca. Tym razem runęła na nią straszliwa srebrna fala, która uniosła ją w czerni szaleństwa.

Wiła się w konwulsjach, jęcząc i skamłąc. Trucizna wypaliła się z jej ciała w jednym rozbłysku jasności.

Wilczyca wyplątała łapy z jedwabi i brokatów sukni i stanęła triumfująca. Zanim jednak zdążyła się rozejrzeć, Gundabald podetknął jej pod nos płonącą pochodnię. Blask ognia oślepił ją na chwilę, ale czuła go - czuła zapach jedzenia i zwierzęcych perfum, a pod nimi kwaśny odór ciała, który tak dobrze znała.

Powitała go warczeniem tak przepojonym pierwotną furją, że zdawało się wstrząsać otaczającymi ich ścianami. Przez chwilę walczyła z pragnieniem zatopienia kłów w jego miękkim gardle. Gundabald cofnął się. Twarz nawet w blasku pochodni miał białą jak papier. Potem odwrócił się i rzucił do ucieczki, by szukać schronienia w bezpiecznym triklinium.

Wilczyca biegła w kierunku Bazyliki Laterańskiej. Powietrze było tu bardziej świeże niż w pałacu. Ślepa furia i ból, który przeszywał jej serce, zepchnęły kobietę tak głęboko jak nigdy jeszcze. Umykała do czystych, zielonych wzgórz za miastem.

Wkrótce cwałowała już między wysokimi kolumnami podpierającymi sklepienie kościoła. Ślepiom wilczycy jawiły się one jako marmurowy las.

Olbrzymi gmach świątyni przesycony był zapachami woskowych gromnic i kadzidła, przemieszanych z chłodną, wilgotną wonią stęchlizny właściwą budowli, do której od dawna nie zawitał promień słońca. Było to miejsce tak samo niewinne jak leśne polany, które nawiedzały sny kobiety. I nagle ślepiec poraził jej blask pochodni napływający zza portali Bazyliki.

Serce wilczycy wciąż płonęło wściekłością. Skręciła w stronę tych pochodni, sama nie wiedząc, po co - szukać wroga czy może wolności?

Zatrzymała się z poślizgiem w cieniu obok Hadriana stojącego przed Lombardczykami. Był sam. Kobieta, będąca teraz bliżej nieokreśloną postacią w umyśle wilczycy, nie ostrzegła go w porę.

Dziedziniec wypełniali uzbrojeni po zęby konni Lombardczycy. Hadrian unosił ręce w geście nakazującym milczenie.

- Po co tu przybyliście?! - krzyknął. - Jak śmiecie napastować samego namiestnika Chrystusa?

Żołdacy jakby się zmieszali i stropieni słowami papieża, zbili się w gromadę. Ale Bazyl wyjechał niewzruszony przed swoich ludzi.

- Twój czas dobiegł końca! - odkrzyknął do Hadriana. - Zajęliśmy twierdze Nepi, Palestrea i Piastem, a teraz Rzym. Poddaj się, zanim rozniesiemy cię na mieczach.

Skryta w cieniu wilczyca obserwowała profil Hadriana. Przypominał jej dumną głowę cezara ze srebrnej monety. Mocno zaciśnięte usta, wąski nos, oczy jak z kamienia, odbijające blask pochodni. Sługa boży i wojownik w jednej osobie. Wiedziała, że nie ugnie się ani dobrowolnie, ani pod groźbą miecza.

Dał się słyszeć trzask pękającego drewna i łoskot walących się kamieni. Z ciemności otaczających plac dobiegły okrzyki. W każdym oknie, na każdym balkonie rozbłyły światła. Zbierał się tłum, ściągający ze wszystkich zakątków miasta. Rzymianie spieszyli z odsieczą swojemu papieżowi.

Konni za plecami Bazyla popatrywali na nich niespokojnie, ale Bazyl ruszył w kierunku szczupłej, odzianej w biel postaci.

Wilczyca nie zwlekała dłużej. Wskoczyła z cienia i stanęła przed Hadrianem. Przypominała bezcielesne widmo, srebrną marę utkaną z księżycowej poświaty i czarnego cienia. Opuściła nisko łeb, jej kły połyskiwały w blasku pochodni złotem. - To sama Lupa, wilczyca Rzymu - zaszemrał tłum. Potem na moment zaległo milczenie. Słysząc było tylko stukot kopyt zaniepokojonych koni o bruk.

Nie tak powinno to brzmieć - przemknęło przez myśl wilczycy. To powinien być tętent.

Tak było, gdy kiedyś na nie polowała. Ach, równiny były wtedy jak morze, a wiatr wygrywał w wysokich trawach pieśń wolności, pieśń bezkresnej krainy, gdzie po niebie suną masy puszystych, białych obłoków, rzucających długie, chłodne cienie na zieloną wieczność. Konie biegały po tych trawiastych łąkach tabunami ogromnymi jak same chmury na niebie. W słońcu połyskiwała ich skóra, maść siwa mieszała się z karą, gniada z jabłkowitą. Były ofiarami, a jednocześnie towarzyszami w wolności. Myśliwego i ofiarę łączyła niekwestionowana więź, byli jedno dla drugiego wyzwaniem, ich serca przepełniało umiłowanie wolności.

Ogier Bazyla stanął dęba i zarżał wyzywająco. Wyczuła, że walczył już kiedyś z jej pobratymcami. Zaślepiła go wściekłość i żądza unicestwienia wilczycy. Wyprysnęła w przód jak strzała wypuszczona z łuku. Kopyta ogiera opadły, mierząc w jej łeb. Uskoczyła w ostatniej chwili i skoczyła do pęciny zwierzęcia. Ogier wierzgnął zadnimi nogami, trafiając ją kopytem w bark. Zatoczyła łuk w powietrzu, spadła na bruk i potoczyła się po nim.

Ten koń był groźnym, naprawdę niebezpiecznym przeciwnikiem. Wilczyca pozostawiona samej sobie dałaby za wygraną. Pozbierała się z ziemi i zatoczyła. Ból w żebrach był straszny. Kilka chyba pękło. Kontrolę przejęła teraz kobieta. Jeśli zdoła jeszcze bardziej rozwścieczyć konia, ten może zrzuci z siebie Bazyla. A wtedy człowiek będzie wydany na pastwę jej kłów. Chciała go zabić. Czowała jeszcze ucisk żelaznej obroży na szyi. Z zimnym, wyrachowanym zapamiętaniem zaatakowała ponownie ogiera.

Ten znowu stanął dęba i zakwicział przeraźliwie. Skoczyła, mierząc zębami w miękkie, wrażliwe chrapy.

Rozjuszony ogier z niewiary godną jak na takie wielkie zwierzę szybkością zawierzgał przednimi nogami, gotów wziąć wilczycę pod siebie i stratować ją na

krwawą miazgę. Ale dosiadający go człowiek zniweczył ten wysiłek.

Ogier gwałtownym wygięciem grzbietu zrzucił z siebie Bazyla. Mężczyzna z łomotem zbroi, rycząc z furii, wylądował u stóp schodów Bazyliki Laterańskiej. Koń, krzesząc kopytami skry, zaszarżował galopem na wilczycę. Uskoczyła w ostatniej chwili.

- Zabić tę sukę z piekła rodem! - darł się Bazyl. - Zabić ją... zabić!

Ale Lombardczycy mieli własne problemy. Panika szerzyła się wśród ich wierzchowców lotem błyskawicy; stanowiły teraz skłębioną, wierzgającą, kwiczącą masę.

Ogier Bazyla oszalał. Nikt i nic nie chciało stanąć na jego drodze. Z wyjątkiem wilczycy. Kobieta i wilczyca stopiły się w jedno. Połączyły się w logice i woli walki. Dosyć uskakiwania i uników. Teraz będzie to pojedynek na śmierć i życie.

Wilczyca rzuciła się znowu do pęciny konia, by przegryźć mu ścięgna. Jęli zataczać wokół siebie kręgi w dzikim wilczo-końskim młynie, przybliżając się w tym tańcu coraz bardziej do środka dziedzińca, który pustoszał, w miarę jak ustępowali ludzie Bazyla, a zgromadzona gawiedź wycofywała się stopniowo przed rozjuszonymi zwierzętami.

Do podświadomości zaabsorbowanej walką wilczycy docierały okrzyki dopingującego ją, zagrzewającego do boju tłumu: - Lupa! Lupa! Ale koń był szybki, silny.

Ilekoć do niego doskoczyła, witały ją młócające kopyta, wierzgające zadnie nogi i wyszczerzone zęby, i musiała przed nimi odskakiwać, by uniknąć śmierci. Wiedziała jednak, że wcześniej czy później któreś z nich popełni błąd.

W pewnej chwili ogier pośliznął się na wilgotnym bruku. Nie przewrócił się, ale zachwiał.

To wystarczyło. W mgnieniu oka wilczyca siedziała mu już na zadzie. Moment później szybowwała w powietrzu. Lądując na karku zwierzęcia, zatopiła zęby w jego kręgosłupie tuż poniżej łba, tam gdzie jest on najbardziej kruchy.

Koń stanął dęba, a zaraz potem przykląkł na przednie nogi i zarzucił zadem, przerzucając sobie wilczycę przez łeb. Wyrznęła grzbietem o ziemię, ale szczęk nie rozwarła.

Światła pochodni zawirowały jej przed ślepiami. Ogier, targając łbem, trzepał nią jak gałganem o bruk. Świat znikł. Znikł strach. Pozostał tylko ucisk szczęk na karku zwierzęcia, szczęk, które były w stanie zmiażdżyć kość udową człowieka,

najdłuższą, najtwardszą kość ludzkiego szkieletu. Zwarła je jeszcze mocniej. Kręgosłup pękł pod jej kłami z cichym trzaskiem. Zdychający koń zakwiczął przeraźliwie i rzucił konwulsyjnie łbem.

Wilczyca, która zdążyła już rozewrzeć szczęki, odleciała od niego i potoczyła się po bruku. Paszczę miała pełną krwi, tym razem nie własnej.

Pozbierała się, zdyszana, na cztery łapy. Ludzie Bazyla kłębili się wciąż po drugiej stronie placu, za martwym ogierem, usiłując bezskutecznie okiełznać ogarnięte paniką wierzchowce.

Wilczyca nie wahała się ani chwili. Z opuszczonym łbem, ze zbroczonym krwią pyskiem, pomknęła jak strzała w kierunku bazyłowej jazdy. Prysły resztki dyscypliny, jakie utrzymywały dotąd konie na miejscu. Ogarnięte szaleństwem, wierzgając kopytami, stając dęba, kwicząc w pierwotnym zwierzęcym strachu, rozpierzchły się na wszystkie strony.

I w tym momencie u wylotu jednej z uliczek odbiegających od dziedzińca pojawiły się nowe pochodnie. To nadciągała gwardia papieska. Zdążyli na czas dzięki interwencji wilczycy. Runęli z marszu taranem na rozproszoną jazdę Bazyla, zgromadzona na placu gawieź poszła w ich ślady.

Wywiązała się zacięta walka. Wilczyca uznała, że teraz nic tu po niej. Klucząc, lawirując, uskakując przed gradem kopyt i nóg, uniknęła w bezpieczne mroki laterańskiej świątyni. W jej zwierzęcym i ludzkim zarazem sercu przerażenie toczyło wojnę z egzaltacją. Regeane nie pamiętała potem, jak wilczyca odnalazła porzucone w ciemnym korytarzu odzienie. Ocknęła się, klęcząc nad nim, w jej żyłach grały jeszcze echa dzikości wilczego serca. Czuła się naga i bezbronna. Wciągnęła na siebie czym prędzej obowiązkowe trzy warstwy sukni, noszone przez każdą szanującą się rzymską kobietę.

Cała była obolała, twarz i wargi miała we krwi. Dygocząc w ciemnościach, martwiła się, że poplami sobie nią suknię. Krew zdawała się być wszędzie. Jej ciepły, słodkawy smak wypełniał usta. Jako wilczyca delectowała się nim, jako kobieta czuła się splugawiona.

Zabiła. Odebrała życie. Świeża końska posoka na twarzy i rękach cuchnęła i parowała. Poprzez grube mury docierały tu stłumione odgłosy walki toczonej z Lombardczykami przez gwardię papieską i rzymski lud.

Regeane podźwignęła się z trudem na nogi, zatoczyła i oparła o ścianę. Ruszyła po omacku wyludnionym, cichym korytarzem. Zaprowadził ją na mały

dziedziniec z fontanną. W mdłej poświacie gwiazd odróżniła głowę gorgony, z ust której woda spływała do misy w kształcie muszli. Wodna mgiełka unosząca się nad fontanną zraszała klomb słodko pachnącego kopru.

Obmyła sobie w niej usta, twarz i ręce, a potem osunęła się na klęczki i przyłożyła policzek do zimnej marmurowej misy. Delikatna woń lukrecji działała na nią odprężająco, koła zszarpane nerwy.

Wilczyca w jej umyśle znowu uniosła łeb, tym razem spokojnie, nie próbując już przejąć nad nią kontroli, zaznaczając tylko swoją obecność. Ona też rozkoszowała się spokojem panującym w ciemnym ogrodzie. Nos wilczycy powiedział Regeane, że rosną tu również inne zioła. Ich zapach dawało się wyczuć w wilgotnym mroku. Czuła zawieszistą, słodką woń mięty i ostry aromat tymianku.

Kobieta próbowała zapytać o coś swoją mroczną towarzyszkę, ale wilczyca nie odpowiedziała. Po prostu była. I jak zawsze żyła tylko chwilą obecną. Wyczuwała cierpienie kobiety i starała się ją uspokoić.

Tutaj, nareszcie razem w tym małym skrawku dziczy, uwikłane w ogromną sieć ludzkich intryg, bezpieczne i same, stały się jednym.

Dla wilczycy nie istniała prawda ani fałsz, dobro ani zło. Odbierała świat takim, jaki jest, i wiedziała, że stanowi jego część. Ocenianie było obce jej naturze, tak samo jak uczucia nadziei i rozpacz.

Dla wilczycy świat był zbiorowiskiem zjawisk i rzeczy zastanych - szkarłatnych, przechodzących w złoto wschodów słońca; purpurowo-granatowych zachodów; równin porośniętych wysoką trawą i gór dryfujących na tle błękitnego nieba; szarych burz, które rodzą się pozornie z niczego wysoko w górze, rozdierając powietrze grzmotami, zraszając ziemię deszczem i wyładowując swoją wściekłość dzikimi zygzakami błyskawic.

Częstkami jej świata były również życie i śmierć, krew i ból. I był to świat piękny, zawsze pozostający w harmonii, świat, który kochała. Nienawiść, smutek, rozpacz były jej obce, stanowiły wytwory nikczemniejszych, zalęknionych umysłów, starających się okroić całe wspaniałe spektrum rzeczywistości tak szerokie, że jego granic wilczyca nawet nie próbowała ogarnąć.

Wilczyca wycofała się powoli, pozostawiając Regeane rozbudzoną, wciąż pytającą, ale już spokojną.

Klęczała przy fontannie, wsłuchując się w muzykę spadającej wody, wdychając wonne powietrze oczyszczone kilka godzin wcześniej przez burzę.

Jestem istotą ludzką — wmawiała sobie — i to bardziej niż wilczycą. A może mniej? Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie i nie ważyła się nawet próbować.

Zawsze czujne uszy wilczycy powiedziały jej, że ktoś nadchodzi. Kobieta znała te kroki.

Lucilla.

Lucilla uniosła pochodnię i jej blask wyłowił z mroku klęczącą przy fontannie Regeane.

- No, no, ładnie dbasz o odzienie - wymruczała, obrzucając krytycznym spojrzeniem brudną, poplamioną suknię Regeane.

- Przepraszam - powiedziała Regeane, podnosząc się z klęczek. - Następnym razem włożę coś ciemniejszego, żeby plamy tak się nie odznaczały.

- Czyja to krew? - zapytała Lucilla. - Twoja czy konia?

- Głównie moja - odparła Regeane. - Gundabald mnie uderzył. Rozciął mi wargę, rozbił nos. Chce mnie zakuć w łańcuchy i na zawsze uwięzić.

- To mu się nie uda - zapewniła ją Lucilla. - Już na to za późno. Tylko on jeszcze o tym nie wie. Wyrwawszy się na wolność, zabiłabyś go.

- Tak — mruknęła z przekąsem Regeane. - Na pewno.

- Czemuś taka przybita? — zapytała Lucilla. — Dlaczego miałabyś go nie zabić?

Pochodnia oświetlała jej stężałą twarz. Widać było wyraźnie bruzdy zmęczenia wokół ust.

- Nie chciałam zabić tego konia - powiedziała Regeane. — Aż do dzisiaj co najwyżej ukręcałam łebki kurczakom.

- No to najwyższa pora, żebyś się nauczyła - rzuciła ostro Lucilla. - Czasami to konieczne. Masz. - Wcisnęła Regeane w dłoń grzebień i perłową siateczkę na włosy. — Ogarnij się i doprowadź do porządku. Nie możesz stanąć tak przed papieżem. Poza tym zabiłaś zwierzę, nie człowieka.

- Wszyscy jesteśmy zwierzętami - odparowała Regeane. — Ni mniej, ni więcej. - Rozczesała grzebieniem splecione włosy i naciągnęła na nie siateczkę.

- Być może — przyznała Lucilla. - Nie powiem. Ale wierz mi, że człowiek tak łatwo nie umiera. Dłużej wierzga nogami, dyndając na stryczku. Ten koń przynajmniej umarł szybko i nie cierpiał. Założę się, że gdyby cię pojmano, nie mogłabyś liczyć na tak bezbolesną śmierć. - Regeane wzdrygnęła się na te słowa. - Przestań! - warknęła Lucilla, widząc jej konsternację. Wzięła kilka głębokich oddechów. Strach Regeane był zaraźliwy. - Uspokój się - podjęła. - Całe miasto w ogniu. Zamieszki się rozszerzają. Muszę ci znaleźć jakąś kryjówkę. Mój dom nie jest już bezpieczny.

- Nie rozumiem - wybąkała Regeane. - Co się stało? Czyżby gwardia papieska nie zdołała przepędzić Bazyla i jego ludzi?

- Lucilla zaśmiała się cicho. Był to śmiech straszny, śmiech, który zastępuje łzy i krzyk rozpacz. Odsunęła w bok rękę z pochodnią i wzięła Regeane pod brodę.

- Nie rozumiesz, powiadasz?

Regeane spróbowała cofnąć głowę, ale uścisk Lucilli był silny.

- Tak - wymamrotała zatrwożona przez zaciśnięte zęby.

- Posłuchaj zatem - powiedziała Lucilla. Zawiesiła głos i Regeane poczuła, jak jej palce i całe ciało drżą pod wpływem kontrolowanego siłą woli przerażenia. — Unosi nas fala pływowa i nie wiemy, czy doniesie nas ona bezpiecznie do brzegu, czy pogąrzy. Przez długi czas to miasto rządziło się samo. I jego mieszkańcy pamiętają, że obalali już papieży i zrzucali z tronu cesarzy. Boją się ich nawet Dezyderiusz i Bazyl.

- Dzisiaj pomogli gwardii papieskiej wyprzeć z miasta Bazyla -ciągnęła - jeśli jednak jutro Hadrian zostanie zdyskredytowany, mogą otworzyć przed Bazylem i królem Longobardczyków bramy i powitać ich jako wybawców. Jeśli... jeśli, jak powiedziałam, Hadrian zostanie zdyskredytowany. Na razie to oni, lud, tu rządzą. Nie mam wątpliwości, że teraz, w tej właśnie chwili, plądrują willę Bazyla. Jutro mogą splądrować moją, a nawet cały Lateran, jeśli tylko uwierzą, że Hadrian jest zarażony chorobą Antoniusza. A. żeby uwierzyli, wystarczy im pokazać Antoniusza w jego obecnym stanie, żywego albo martwego! Ty... — tu potrząsnęła lekko głową Regeane dla lepszego podkreślenia swych słów — ...ty dopilnujesz, żeby do tego nie doszło, bo inaczej, idąc na dno, pociągnę cię za sobą.

Puściła brodę dziewczyny.

- Nie musisz mi grozić, Lucillo - powiedziała Regeane, cofając się. - Tak samo jak ty nie mam wyboru. Chroni mnie tylko obietnica papieża. Na dobre czy złe, wóz albo przewóz, jesteśmy razem. Ale - ciągnęła - nie będę w stanie nikomu pomóc, jeśli Gundabald dostanie mnie w swoje łapy. Powiedział mi, że ma klatkę dla wilka. I ty wiesz, że to prawda. Jeśli zdoła przekonać Hadriana, już nigdy nie będę mogła nikomu pomóc. Nie rozumiesz? — W jej głosie pojawiła się rozpacz. — Będzie mnie torturował, aż zabije we mnie duszę i złamie wolę. Na zawsze. Skończę jak moja matka, będąc mu we wszystkim posłuszna.

- Gundabald! — Lucilla wyrzuciła z siebie wiązaną łącińskich

przekleństw. - W jaki sposób dopadł cię dzisiaj?

- Z pomocą Augusty - odparła Regeane. - Nie wiedziałaś, że Augusta mnie zdradziła?

Lucilla zacisnęła zęby.

- Suka, dziwka - wyszeptała. - Córka, nie córka, wyrwę jej za to serce. Jak śmiała mieszać się w moje plany...

Lucilla urwała. Pobladła, twarz jej się ściągnęła, tak jakby uświadomiła sobie nagle coś strasznego.

- Chryste - wyszeptała - Gundabald prawdopodobnie przedstawia teraz swoją sprawę papieżowi. Musimy cię stąd zabrać. Ukryć gdzieś. Bóg jeden wie, co ten łotr powie Hadrianowi, a będąc widzem tego, co wydarzyło się dzisiaj na placu, papież mu uwierzy.

I w tym momencie wilczyca usłyszała kroki.

- Szybciej! - szepnęła Regeane. - Ktoś nadchodzi.

Lucilla uniosła pochodnię i rozejrzała się gorączkowo po małym dziedzińcu. Regeane zdała sobie sprawę, że wpadła w pułapkę. Było stąd tylko jedno wyjście.

W chwilę później Lucillę i Regeane otoczyli żołnierze z pochodniami. Wysoki mężczyzna w bogato zdobionej zbroi skłonił się Lucilli.

- Widzę, że ją znalazłaś, pani. Jego Świątobliwość prosi, byście niezwłocznie wróciły do triklinium. Jest tam jej wuj i... – zawiesił na chwilę głos - ...i wysuwa jakieś bardzo poważne oskarżenia.

Blask pochodni wydał się Regeane nienaturalnie jasny i dopiero teraz uświadomiła sobie, że wilczyca jest nadal obecna. Zwierzę wytrzymało tę torturę tylko przez kilka uderzeń serca, po czym z rezygnacją i poczuciem klęski wycofało się w głąb Regeane, pozostawiając przygotowującą się na najgorsze kobietę samą sobie.

Regeane spojrzała z lękiem na swoją zniszczoną suknię. Jakie wrażenie w niej wywrze? A przecież musi przekonać Hadriana, by nie wydawał jej Gundabaldowi.

- Chyba nie wypada mi pokazywać się w takim stanie papieżowi - powiedziała cicho. - Czy mogę...

Widząc zaciskające się usta żołnierza, zorientowała się, że zaraz jej odmówi, przeformułowała więc szybko swoją prośbę:

- Czy mogę pożyczyć od kogoś opończę?

Jeden z żołnierzy podał jej ciemną opończę z grubej wełny. Zarzuciła ją sobie na ramiona, owinęła się szczelnie i weszła za gwardzistami do willi. Lucilla zamykała pochód.

W wielkiej sali było ciemniej niż podczas uczty. Wiele lamp wypaliło się, świece dogasały w lichtarzach. Wśród rozsypanego po posadzce jedzenia, kałuż wina, potłuczonych naczyń i rozrzuconych sztućców leżały przewracane stoły i sofy.

Ściany i kąty skrywał mrok. Blask palących się jeszcze lamp i świec padał na papieża siedzącego na swojej sofie na podwyższeniu pod mozaiką przedstawiającą bizantyjskiego Chrystusa. Otaczali go odziani na czerwono kardynałowie.

Pobojowisko we wspaniałej jeszcze niedawno sali wydało się Regeane przedłużeniem tumultu panującego nadal na placu. Słyszała wyraźnie dobiegające stamtąd krzyki i wrzaski rozgorączkowanego motłochu, upojonego zwycięstwem i grabiącego zabitych Lombardczyków.

Napotkała wzrok papieża. Poczowała ucisk w żołądku, przez ciało przebiegł zimny dreszcz.

Ciemne, srogie oczy wpijały się w jej twarz, tak jakby próbowały wejrzeć w jej duszę i wydobyć na światło dzienne skryte tam sekrety.

On już wie - pomyślała. Może wolałby nie wiedzieć albo nie do końca daje wiarę, ale wie.

Uniosła dumnie głowę i wytrzymała bez drgnienia powieki wzrok papieża. Jestem niewinna - myślała. Niewinna i winna zarazem. Nie ja powołałam tę wilczycę do istnienia, ale ona jest we mnie i muszę jej bronić. Jej i siebie. Stanowimy jedno i czymkolwiek jestem, nie mam wyboru. Nie odwrócę się od niej ani od ciebie, ani od Antoniusza. Próbowała przekazać te myśli wzrokiem bezpośrednio do umysłu Hadriana. Chroń mnie, proszę, chroń mnie przed tym człowiekiem, bo on chce mnie zniszczyć.

Hadrian pierwszy spuścił oczy, a potem spojrzął pytająco na Gundabalda.

Regeane poczuła, że coś ociera się o jej opończę, i kątem oka dostrzegła zatrzymującą się obok Lucillę.

- On jest niebezpieczny - szepnęła do niej z lękiem.
- Tak, moja droga - przyznała Lucilla. - Niebezpieczny, jak każdy człowiek z zasadami. Niebezpieczny dla samego siebie.

Regeane rozejrzała się ukradkiem. Na sali znajdowała się nadal większość

biesiadników. Podobnie jak ona narzucili opończe na sponiewierane w zamieszaniu odzienie. Skupili się wokół palących się jeszcze lamp i krzepili się obecnością papieża.

- To twoja siostrzenica, jak mniemam, panie - zwrócił się papież do Gundabalda.

Regeane serce o mało nie wyskoczyło z piersi.

- Moja droga siostrzenico! - zawołał Gundabald, ruszając ku niej z wyciągniętymi ramionami.

Regeane zdębiała; dopiero po chwili zrozumiała grę, jaką prowadzi wuj, i postanowiła ją podjąć.

Podawała mu rękę, spojrzała w oczy. Oczy diabelskie, nie tyle złe, ile zimne i mroczne jak wejście do grobowca. Ścisnął jej dłonie coraz mocniej, tak jakby chciał je zmiażdżyć. Zgięła palce, i paznokcie, dłuższe i ostrzejsze niż u przeciętnej kobiety, wbiły się w miękkie ciało poduszek jego dłoni.

Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy, oczy nie zmieniły wyrazu, ale poluźnił uścisk i wyszczerzył wielkie, pożółkłe zęby w czymś, co według niego miało chyba być czułym uśmiechem.

Regeane odwzajemniła mu się takim samym grymasem.

- Ach, wuju - powiedziała - tak się bałam, że pogubiliśmy się w tym zamieszaniu.

- Niepotrzebnie, moja słodka siostrzenico - odparł serdecznie - czekamy tu, żeby zabrać cię do domu.

Regeane uwolniła rękę z uścisku Gundabalda, obeszła go i padła na kolana przed Hadrianem.

- Wasza Świątobliwość, błagam! - zaszlochała. - Wysłuchaj nicj prośby!

Hidrian ściągnął brwi i spojrzał na nią pytająco spod przymrużonych powiek.

- Mów - powiedział, wyraźnie zaskoczony.

- Och, błagam, wiem, że mój krewniak chce dla mnie jak najlepiej ale proszę... och, proszę... ja się boję. Nie, boję się to za mało powiedziane. - Wyciągnęła do papieża dłonie poduszkami do góry w geście pokornego błagania. - Jestem przerażona rozruchami i niepokojami, które trwają w tym nieszczęsnym mieście. Czy nie ma jakiegoś klasztoru, jakiegoś przybytku dla świętych dziewic oddanych Chrystusowi, gdzie mogłabym znaleźć schronienia do czasu, kiedy zapanuje tu spokój? Darzę moich krewniaków bezgranicznym zaufaniem i

szacunkiem, ale ich jest tylko dwóch.

Załamana ręce i, ku własnemu zdumieniu, wycisnęła z oczu łzy, które spłynęły jej po policzkach.

- Bo co się stanie, jeśli nie zdołają mnie obronić? - ciągnęła płaczliwie. — Są odważni, ale dwaj mężczyźni łatwo mogą ulec przewadze liczebnej, a wtedy czekałby mnie okrutny los, a ponadto nigdy nie wybaczyłabym sobie, że zginęli przeze mnie. Och, błagam - złożyła ręce jak do modlitwy - znajdź mi, ojcze, jakiś spokojny azyl pomiędzy bogobojnymi niewiastami, bezpieczną przystań, gdzie będę mogła przeczekać ten niespokojny czas.

- Ależ, Wasza Świątobliwość! - wykrzyknął Gundabald zdławionym głosem. - Myślałem, że sprawa zakwaterowania mojej siostrzenicy została już ustalona.

- Tak myślałeś? - mruknął Hadrian, nie odrywając matowych oczu od Regeane. - Bo ja nie. Obiecałem tylko, że wysłucham twojej petycji. I wysłuchałem. Niczego więcej nie obiecywałem.

- Ależ, ojcze - wyrzucił z siebie Gundabald — mówiłem przecież. Ona... Ta dziewczyna jest dzika, a matka miała na nią zgubny wpływ... - Gundabald wyraźnie się zaplątał.

Tego było już za wiele. Regeane, zapominając o patosie, zerwała się z klęczek.

- Jak śmiesz! - wysyczała z furią i niedowierzaniem. — Upokarzałeś moją matkę. Dręczyłeś ją...

- To już szczyt bezczelności — przerwał jej ktoś. Regeane rozpoznała głos Augusty. - Jak ci nie wstyd udawać przestraszone niewiniątko! - ciągnęła Augusta. — Ona się wcale nie boi. Ona... uuu... - Augustynie oczy wyszły z orbit, otwierała i zamykała usta jak wyciągnięta z wody ryba. To stojąca obok Lucilla silnym szturchańcem w brzuch pozbawiła córkę tchu.

Z mroków zalegających w wejściu do triklinium wypadła przeorysza Emilia, ciągnąc za sobą Elfgifę. Przywodziła Regeane na myśl wojenną galerę pod pełnymi żaglami z małą rybacką łódką na holu.

- Wasza Świątobliwość, wybacz śmiałość. Mam wszelkie powody sadzić, że obawy tej młodej damy są... - zatrzymała się przed papieżem i posławszy Gundabaldowi i Hugo miażdżące spojrzenie, dokończyła: - ...w pełni uzasadnione.

Regeane przemknęło przez myśl, że do ingerencji tej musiał się przyczynić długi język Elfgify.

- Jeśli ta młoda dama naprawdę pragnie schronić się w klasztorze - ciągnęła jednym tchem Emilia - to chętnie przyjmujemy ją...

Przerwał jej ryk furii. Hugo rozpoznał Elfgifę. Ruszył na nią z pałającymi wściekłością oczami.

Elfgifa skryła się za Emilię. Hugo próbował ją stamtąd wyciągnąć. Emilia trzepnęła go z rozmachem w ucho. Była kobietą postawną, silną i miała dobre oko. Odgłos pacnięcia rozszedł się echem po sali. Pod Hugo ugięły się nogi. Klapnął ciężko na posadzkę, oczy miał szkliste.

Gundabald podskoczył do Regeane. Był purpurowy z wściekłości i roztaczał wokół siebie tę aurę dzikiej brutalności, która tak ją zawsze przerażała. Najchętniej czmychnęłaby teraz gdzie pieprz rośnie, ale nie uczyniła tego. Zdała sobie sprawę, że jeśli mu się teraz nie przeciwstawi, przegra;

- Stój - powiedziała cicho, dygocząc na całym ciele.

Gundabald zatrzymał się jak wryty, jego wyciągnięte ręce niemal jej dotykały. Patrzyli sobie w oczy.

- Tknij mnie palcem - wyszeptała ochryple Regeane - a zginiesz. Wiem, że potem mnie stracą, ale nie zawaham się zapłacić tej ceny za widok ciebie wijącego się w konwulsjach z rozerwaną gardzielią. Tknij mnie palcem, a już po tobie. Przysięgam.

Nienawiść i uraza wiszące między nimi były niemal namacalne.

Gundabald wyszczerzył zęby. Regeane widziała, że wuj hamuje się ostatkiem sił, że tylko patrzeć, jak wpadnie w morderczy, ślepy szal.

- Ty diabelski pomocie - wycedził. — Ukatrupię.

Wiem - przemknęło przez myśl Regeane. Może nie teraz, ale przy najbliższej okazji na pewno.

Ostry trzask, który rozległ się w tym momencie za jej plecami, poraził uszy wilczycy niczym odgłos gromu. Odwróciła się na pięcie i spoglądając na papieża, stwierdziła, że ten złożył tylko dłoń.

- Zakończcie natychmiast wasze swary. Ja tu rządę i dopóki żyję i pozostaję na tym tronie, do mnie należy decyzja. Powiedz mi teraz, o co, w Imię Boże, ci chodzi? — spytał, wymierzając palce w Hugo.

Hugo wciąż siedział otumaniony na posadzce i mrugając oczyma, wracał do przytomności. Wskazał dygoczącym palcem na Elfgifę.

- Ona... ona...

Gundabald trzepnął go w drugie ucho.

- Stul gębę, ośle — wywarczał.
- Wygląda na to, że ten człowiek ma do dziecka jakąś urazę - Zauważyła Emilia. - Jeśli tak, to chciałabym usłyszeć, jaką. - Założyła ręce na piersiach i spojrzała pogardliwie na Hugo.

Hugo podźwignął się na roztrzęsione nogi i zerkając lękliwie to na Emilię, to na Gundabalda, zaczął się cofać, mamrocząc:

- Nic... nic...

- Zaiste, ograniczony zasób słów — skomentowała jego dukanie Lucilla.

Hadrian zgromił ją spojrzeniem, od którego zapłonęłoby ognisko.

- Augusto - powiedział - tu chodzi o reputację i bezpieczeństwo tych dwóch dam. Jeśli masz w tej sprawie coś istotnego do powiedzenia, mów. A przez określenie „istotne” nie rozumiem bynajmniej głupich plotek i bezpodstawnych zarzutów. Żądam faktów.

Augusta pokręciła powoli głową.

- No tak - mruknął Hadrian i zwrócił się znowu do Gundabalda: - Oba nam zależy na uchronieniu tej młodej damy przed zagrożeniami i pokusami tego świata, i sądzę, że najlepszy będzie tu klasztor. Przeoryszo Emilio, czy dysponujecie celą pokutną? Na twarzy Emilii pojawiło się zakłopotanie.

- Nie wiem... rzadko występuje taka potrzeba...

Przerażona Regeane miała przez chwilę wrażenie, że przeoryszy nie uśmiecha się zmieniać swego klasztoru w więzienie, ale ta w końcu wykrztusiła:

- Tak. Mamy chyba kilka cel z drzwiami, w których rygle są na zewnątrz. Czy o taką kwaterę dla tej młodej damy ci chodzi, ojczy?

- Właśnie o taką - odparł Hadrian. - Nie wolno jej stamtąd wychodzić, nie wolno przyjmować wizyt. - Tu zerknął na Lucillę. - Żadnych wizyt. Ma tam siedzieć pod kluczem aż do podpisania kontraktu małżeńskiego, kiedy to zostanie wydana panu młodemu.

Rygiel był trochę, zardzewiały i zgrzytnął głośno, kiedy Emilia go przesuwiała.

Dla Regeane był to dźwięk aż za znajomy. Stała wsłuchana w oddalające się kroki Emilii. Potem zaległa cisza.

Wróciły do klasztoru pod silną eskortą. Papieska gwardia otaczała potrójnym kręgiem ciągniony przez muły powóz z Regeane, przeoryszą Emilią i Elfgifą.

Zdawało się, że cały Rzym wyległ na ulice. Rozbawione tłumy tańczyły, piły, gziły się bez żenady. Gospody i domy uciech pękały w szwach, przed ich drzwiami kłębili się ci, dla których nie starczyło miejsc. Przechodnie wiwatowali na cześć żołnierzy z gwardii papieskiej i ustępowali im z drogi. Kobiety rzucały kwiaty z balkonów, słały pocałunki, niejedna wołała, by zsiadli z koni i wpadli na chwilę, obiecując bezwstydnie rozrywki bardziej intymnej natury.

Ale Regeane ani na chwilę nie dała się zwieść tej świątecznej atmosferze. Dwukrotnie przejeżdżali przez gęsty dym ciągnący od podpalonych willi. Rozpaczliwe krzyki dolatujące zza wysokich murów otaczających ogarnięte pożogą domy napawały ją grozą. Jakże pragnęła teraz pozbyć się wilczycy! Stworzenie, z którym dzieliła swe ciało, słuch miało aż za dobry.

Widziała z okien powozu niejedną zrujnowaną gospodę i skład win, który nie dość szybko otworzył swe podwoje przed rozhukanym motłochem.

Okna wielu prywatnych domów były zamknięte na głucho i ciemne. Ludzie kryjący się za ich zabarykadowanymi drzwiami bali się zapalać światła, by nie ściągać na siebie uwagi nieobliczalnej gawiedzi.

Przeorysza Emilia siedziała z zamkniętymi oczami, obejmując ramieniem Elfgifę i poruszając ustami w bezgłośnie modlitwie.

Regeane, dla odmiany, wyglądała przez szparę między zasłonkami, zatrwożona i jednocześnie zafascynowana widowiskiem. Przez cały czas czuła milczące zdumienie, w jakie to niepojęte ludzkie szaleństwo wprowadzało wilczycę.

Kiedy dotarli do bram dzielnicy saskiej, Emilia otworzyła oczy, przeżegnała się znakiem krzyża.

- Chwała Bogu - wyszeptała.

Tutaj na ulicach panował spokój, porządku pilnowali na nich słudzy szlacheckich saskich rodów mieszkających w pobliżu Watykanu.

- Ta rzymska tłuszcza nie ma za grosz rozumu. Tak się starają pokazać

Lombardczykom, że się ich nie boją, iż gotowi zrównać z ziemią i puścić z dymem własne miasto, zanim jeszcze wróg podejdzie pod jego mury — powiedziała Emilia.

Powóz zatrzymał się przed bramą klasztoru. Regeane wyskoczyła pierwsza i wzięła od Emilii Elfgifę.

- Boże Wszchemogący - wysapała Emilia, gramoląc się z powozu. — To nieszczęsne miasto i tak w przeważającej mierze leży już w ruinach — ciągnęła, biorąc Elfgifę za rękę i ruszając przodem. - Nie widzę żadnego powodu, by jeszcze bardziej je rujnować. A Jego Świątobliwość, Boże miej go w swej opiece, nie lepszy od całej reszty. Połowa jego ludzi bierze udział w tej dewastacji, druga połowa, Boże miej ich w swej opiece... - Puściła rękę Elfgify, żeby znowu się przeżegnać. - Siedzi pod łózkami i trzęsie się ze strachu. Ten twój nic niewarty kuzyn to hultaj nie grzeszący odwagą. A ten twój wuj Gundabald... - Ponownie się przeżegnała. - Wystarczy popatrzeć mu w oczy i już się wie, że sprzedałby Chrystusa szybciej niż Judasz. Sam Lucyfer mógłby u niego pobierać nauki. A... a... — Posadziła Regeane i Elfgifę przy stole, postawiła przed nimi chleb, ser i wino. - A Jego Świątobliwość - podjęła swój monolog - też dobry. Jedyna niewinna w całym tym bałaganie, a on akurat ją każe zamykać w celi.

- Przecież... — zaczęła Regeane.

Ale Emilia jakby jej nie słyszała.

- Głowa do góry, dziewczyno — perorowała dalej. - Są rzeczy gorsze od małżeństwa. Wiesz, że sama byłam swego czasu mężatką?

- Ooo? - wykrztusiła Regeane.

- A tak, tak - ciągnęła Emilia. - Moja droga, cały tydzień przepłakałam przed zaślubinami. O mało nie padłam trupem, kiedy go po raz pierwszy ujrzałam. Był gruby, łysy, stary i pryszczaty jak ropucha. A śmierdział jak pełny nocnik.

- Och... - wyrwało się Regeane.

- Nie, nie, moja droga - powiedziała wesoło Emilia. - Jak widzisz, dobrze się wszystko skończyło. Tydzień po zaślubinach, jeszcze w trakcie uczyty weselnej, zeżarłszy więcej niż połowę wołu i wyżłopawszy dwie i pół baryłki wyśmienitego piwa mojego ojca, wpadł pod stół i zadławił się własnymi rzygowinami, a ja zostałam bogatą i niezależną wdową. Życzę ci tego samego. Mężczyźni - parsknęła przeorysza Emilia. - Nie wiem, po co Bóg w ogóle ich stworzył - westchnęła. - Chyba z tego samego powodu, dla którego stworzył szczury, komary i pchły. Jako jeszcze jeden krzyż do dźwignia dla kobiet, by tym słodsze było dla nich zbawienie, kiedy go

w końcu dostąpią. Wiem, że do tego i owego są dobrzy, ale gdybyś mnie spytała, do czego konkretnie, nie potrafiłabym odpowiedzieć. Myślę, że stanowczo za dużo ich na tym świecie. Powiadają, że w niebie nie będzie małżeństw, a to by oznaczało, że tam zaznamy wreszcie spokoju. Czekam z niecierpliwością na przejście w ten błogi stan. Nie, nie trap się, moja droga. Bez względu na to, co mówi Jego Świątobliwość, jesteś tu mile widziana i uczynię, co w mojej mocy, żeby było ci wśród nas dobrze.

I Emilia wywiązała się z tej obietnicy.

Cela była, co prawda, wąska, ale spora, jak na klasztorne możliwości. Na wygodnej, zasłanej lnianym prześcieradłem pryczy leżały grube koce, pierzyna i pękata poducha. Żelazny koksownik w kącie wypełniały rozżarzone do czerwoności węgielki. Na stole przy łóżku stała księga na podpórce, a obok wysoka świeca oświetlająca małe pomieszczenie. Było tu ciepło i przytulnie.

Regeane ogarnęło znużenie. Zaczęła ściągać z siebie zniszczoną suknię i naraz namacała w jej fałdach coś twardego. Przypomniała sobie o lusterku Adrasty. Wydobyła je ostrożnie. Nie miała ochoty spoglądać ponownie w jego wypolerowaną srebrną powierzchnię. Nie tutaj. Nie w samotności, przy blasku świecy.

Srebro było w dotyku lodowato zimne. Nie ogrzewało się nawet od jej ciepłych palców.

Podziwiała przez chwilę kwiatowy motyw zdobiący tylną ściankę. Czerwona Waleriana. Kwiat Rzymu. Rosła dziko wszędzie, jej różowe kwiatki pieniły się w ruinach, zapuszczały korzonki w szczelinach ceglanych murów opuszczonych budynków.

Kwiatki na lusterku inkrustowane były koralem. Stanowiły majstersztyk sztuki rzemieślniczej.

Ładne cacko - pomyślała Regeane - kosztowny drobiazg, który zdobił niegdyś toaletkę modnej damy. Kim była owa Adrasta i dlaczego przysłała mi to lusterko?

Pogładziła tylną ściankę lusterka i w tym samym momencie poczuła czyjąś obecność, obecność ledwie uchwytną, podtrzymywaną jedynie siłą jej woli.

Odłożyła lusterko na stolik obok świecy i wrażenie czyjejs obecności zbladło jak cień, kiedy chmura przysłania słońce.

Cela miała jedno wąskie okienko, a właściwie była to szczelina w ścianie tak wąska, że nie przecisnąłby się przez nią człowiek. Wychodziło na ogród i dachy leżącej poniżej dzielnicy saskiej. Dalej widać było Tybr i resztę miasta rozciągającego się na łagodnych wzgórzach.

Uszy wilczycy łowiły odległe odgłosy tumultu i zgiełku. Na tle nocnego nieba odcinały się ostro ognie pożarów. Mieszkańcy tego starożytnego miasta zabijali z taką samą łatwością, z jaką potrafili śmiać się i śpiewać.

Waśnili się o to miasto dwaj królowie, Dezyderisz i Karol; obaj pragnęli uzyskać wpływ na papieską politykę.

Urbi et Orbi, miastu i światu - pomyślała Regeane. „Tyś jest Piotr i na tej Skale... zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”².

Papież, papieństwo - rzeczy nie z tego świata, ale na tym świecie istniejące. A czymże jest ona, jeśli nie stworzeniem nie całkiem z tego świata?

Silny, mroźny wiatr wdarł się do celi. Przyniósł swąd spalenizny znad miasta. Smuga dymu zaszczypała ją w oczy, ale powie trze zaraz się oczyściło. Wilczyca poczuła zapach śniegu i szronu przyniesiony na skrzydłach wiatru spoza miasta. Celę wypełniło powietrze z odległych gór, gdzie na niebie jarzą się miliony gwiazd. Ujrzała wysokie szczyty, czyste i niedostępne jak sen bóstwa. Granitowe urwiska obłożone roziskrzonym lodowcem i połacie białego, nie zdeptanego śniegu. Słońce sunące po nieboskłonie, odbijając się od niego, oślepia raz po raz oszołomionego wędrowca wszystkimi barwami tęczy. Kiedy indziej wokół szczytów kłębią się burzowe chmury albo spowija je poranna mgła.

Doliny, które wiosną są niczym misy kwiecia wstawione w śnieg, zielenieją powoli podczas długich letnich dni, a potem brązowieją jesienią, kiedy z góry schodzi na nie zima.

Serce wilczycy przepełniła niewysłowiona tęsknota. Regeane ścisnęła się krtań, do oczu napłynęły łzy. Bez wahania porzuciłaby teraz świat ludzi i nie oglądając się za siebie pomknęła przez Kampanię.

Teraz, kiedy zerwał się wiatr, robiło się tam coraz zimniej. Podczas tych najchłodniejszych godzin przedświt snująca się przy ziemi mgła osiada na trawie i długie źdźbła pokrywają się kryształkami szronu. Biegając, słyszałaby, jak chrzęszczą pod jej łapami. Znalazłaby sobie zaciszne miejsce, położyła się i zasnęła. Miejsce, w którym delikatne ciało kobiety nie wyziębiłoby się podczas długich godzin dziennego światła. Z nadejściem nocy pobiegłaby dalej przez zielone odludzie tych głębokich dolin ku milczącym szczytom na horyzoncie.

Regeane otworzyła oczy i sen uleciał.

² *Biblia Tysiąclecia, Mt 16, 18. Wydawnictwo Pallottinum, 1982.*

Jej życiem były rygle i kraty. Wąskie cele, jak ta tutaj. O wolności wśród gór i lasów mogła tylko śnić. Konwenanse pętały jej ręce i nogi, dyktowały, co kobieta musi robić i czym być. Nie dla niej krystalicznie czyste potoki i burze rozpalające nocne niebo. Być może jedyne, co ma jej do zaoferowania świat, to żelazna obroża i łańcuch. Pewnego dnia stanie może na stosie i modlić się będzie o suche drewno, lekki wietrzyk i gorące płomienie.

Zmęczona podeszła do pryczy. Och, spać. Błogosławiony sen. Zrzuciła z siebie odzienie i z westchnieniem ulgi wślizgnęła się pod pierzynę. Pomimo jarzących się w koszu węgla w celi robiło się; coraz zimniej. Nakryła się po brodę. Złożyła głowę na poduszce. Spłynął na nią sen. Wilczyca śniła o górach. Polowała w mrocznych, zasypanych śniegiem jodłowych lasach, pod powleczonymi lodem sosnami, których długie igiełki połyskiwały niczym sztylety... pod sennym księżycem.

Smutek, jakież smutek! Przejmujący ból w tym niemym głosie był tak straszny, że Regeane ocknęła się. Pomyślała o Elfgifie. dziewczynka nocowała w sali sypialnej z sierotami, którymi opiekowały się zakonnice. Może wybudził ją jakiś senny koszmar i płacze teraz, przywołując Regeane?

Regeane przekręciła się na drugi bok i wpatrzyła w ciemności. Rozpraszała je tylko poświata gwiazd sącząca się przez wąskie okno. Świeca już się wypaliła. Płomień pogrzebała kaskada stwardniałego wosku.

Ale wilczyca wiedziała, która to godzina. Rozpoznawała porę dnia po kącie padania słonecznych promieni, a porę nocy po zapachach i dźwiękach, po położeniu gwiazd na obracających się sferach niebieskich. Porównała je teraz z wzorcem wrytym w jej sercu i umyśle przed początkiem czasu. Był przedświt, ta najciemniejsza godzina, kiedy nawet cztery wiatry zdają się odczuwać ciężar nocy, a martwa cisza poprzedza nadciągający brzask. W celi było przeraźliwie zimno i Regeane widziała obłoczek pary wodnej, w którą zamieniał się jej własny oddech.

Nastawiła ucha i stwierdziła, że nawet wilczyca nic nie słyszy. To był tylko sen - pomyślała. Sama miałam koszmarne sen.

Z ciemności dobiegło westchnienie. Regeane zmartwiała. Nie — przemknęło jej przez myśl. Przypomniała sobie twarz w lusterku. O, nie. Wiedziała jednak, że to umarła wzywa ją z zaświatów.

Kolejne westchnienie - tym razem głośniejsze, a potem cichy śmiech, suchy i okrutny, jakby kpiący z jej strachu. Cienie obok stołu i leżącego na nim lusterka

zaczęły gęstnieć, ciemnieć.

Nadchodzi — pomyślała ze zgrozą - nadchodzi z wizytą. Zrobiło się jeszcze zimniej. Cienie przybrały konsystencję wstrętnej, fosforyzującej mgiełki. Mgiełki koloru pogrzebowej gromnicy.

Po celi rozszedł się odór rozkładu. Był niemal nie do zniesienia. Regeane, dławiąc się i wstrzymując oddech, odrzuciła pierzynę i zerwała się z pryczy.

Przejmujący chłód przeniknął ją natychmiast do szpiku kości. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie może uciec. Była zamknięta z tą marą na trzy spusty. Wycofała się pod drzwi. Okropny smród wprost zatykał. Zacznę krzyżeć - pomyślała. Zacznę walić pięściami w drzwi. Ktoś na pewno przyjdzie.

No dobrze, ale co o niej pomyślą te zacne niewiasty? Zjawa nabierała tymczasem kształtów, można już było odróżnić widmowy zarys ludzkiej postaci.

Regeane przywarła plecami do drzwi i patrzyła ze zgrozą. Mara stawała się coraz bardziej materialna. Postąpiła krok i dało się słyszeć ciche klaśnięcie. Była wilgotna, oślizła, przypominała ochłap gnijącego mięsa. Regeane uświadomiła sobie, że był to krok wstecz. Zjawa cofała się.

Aromat perfum, który rozszedł się nagle w powietrzu, zawrócił jej w głowie tak samo jak przed chwilą smród. Był ostry, a przy tym słodki i świeży - mięta zmieszana z czymś jeszcze słodszy. Zapach kwitnącego sadu albo łąki na wiosnę, chłodnym rankiem, kiedy rosa pokrywa jeszcze trawę.

W powietrzu coś się zmieniło, zdawało się teraz wypełnione obietnicą jak wtedy, kiedy Bóg po raz pierwszy dotknął Swoją dłońią żyznej, płodnej ziemi i stworzył życie.

Regeane uświadomiła sobie, że widzi wyraźnie celę. Światło wsączało się szparą pod drzwiami i szczelinami wokół framugi.

Ktoś stoi w korytarzu z pochodnią albo latarnią - pomyślała niezdolnie. Zaraz jednak dotarło do niej, że to niemożliwe. Pochodnia ani latarnia nie mogłaby dawać tyle światła. Światła tak intensywnego, że tych kilka promieni, które przeciskały się przez szpary wokół masywnych drzwi, wystarczało, by rozjaśnić całą celę.

Ohydna mara była już tylko cieniem. Wydała jeszcze jeden jęk wyrażający osamotnienie i poczucie straty, a potem zbladła i rozplynęła się w nicość.

W celi znowu zrobiło się zimno i ciemno. Ale był to tylko chłód zimowego ranka, ciemność głuchoj nocy.

Regeane, dygocząc na całym ciele i szczękając zębami, dowlokła się po

omacku do pryczy i wpełzła pod pierzynę. Tamten świat znowu po nią sięgał. Była pewna, że już teraz nie zaśnie i kto wie, czy kiedykolwiek jej się to jeszcze uda. Kiedy jednak ponownie otworzyła oczy, przez okienną szczelinę wpadała złota smuga czystego słonecznego światła. I słychać było gruchanie gołębi witających wstający dzień.

Emilia przysłała jej chleb, ser, mocno rozcieńczone wino oraz konfitury z poziomek i fig. Chleb był prosto z pieca, a konfitury lak słodkie, że Regeane zjadła wszystko i wylizała miskę. Na stole znalazła miękką płócienną koszulę i habit z cienkiej brązowej wełny.

Zakonnica w takim samym habicie przyniosła jej miednicę z wodą do mycia. Była to kobieta o marsowej minie, z oczami bystrymi jak u orła. Jej pomarszczona twarz miała ten sam profil drapieżnego ptaka, który dominował w zabytkowych monumentach rozsianych po mieście.

- Jestem Barbara - powiedziała - i chociaż moje imię na to nie wskazuje, urodziłam się i wychowałam w Rzymie. Przydzielono mi ciebie do pomocy w kuchni. Umyj się i odziej. Jużem spóźniona z robotą. Czekam na ciebie. Pośpiesz się. - Wyszła.

Regeane ogarnęła się szybko i zeszła do kuchni. Siostra Barbara dała jej fartuch i kazała pilnować mięsa piekącego się nad paleniskiem na podwórku.

Regeane spędziła większość życia w zamknięciu albo towarzyszyła matce w jej nie kończących się pielgrzymkach. Jadała w przydrożnych karczmach i zajazdach dla pątników. Nie znała się na przyrządzaniu posiłków.

Mięso zaczęło się przypiekać. Barbara od razu zwęszyła swąd spalenizny i jak burza wypadła z kuchni. Posławszy Regeane piorunujące spojrzenie, uniosła nadzianą na rożen pieczeń o sześć nacięć wyżej.

- Czy ty w ogóle coś potrafisz? — spytała opryskliwie.
- To chyba za wysoko - zaprotestowała Regeane. - Nie upiecze się.
- Chciałaś powiedzieć, że się nie spali - wywarczała Barbara. - Mięso musi dochodzić powoli. Gorący dym uszczelnia wierzchnią warstewkę. Środek dusi się we własnych sokach. Nie pouczaj mnie. Jestem najlepszą kucharką w Rzymie. A kto wie, czy nie na całym świecie. Studiowałam frankońską sztukę kulinarną. Znam kilka prymitywnych, ale dających dobre rezultaty innowacji Sasów i mam w małym palcu sekrety naszej tradycyjnej rzymskiej kuchni. Biegnij teraz po zioła. Żywo! Potrzeba mi szaławii, bazylii, tymianku i rozmarynu do pieczenia na wieczerzę. I nazrywaj tyle, żeby nie trzeba było drugi raz po coś obracać. – Klasnęła w ręce. - No rusz się! Nie ma chwili do stracenia. To najlepsza pora dnia na ich zrywanie. Obeschły już z rosy, a słońce nie wyciągnęło z nich jeszcze aromatu.

Regeane nie wiedziała, ile ziół potrzeba Barbarze. Wyrwała z korzeniami bazylię i szałwię i zabierała się właśnie do krzewu rozmarynu, kiedy u jej boku niczym spadający na ofiarę jastrzęb wyrosła Barbara.

Wybuch gniewu zakonnicy odrzucił tym razem Regeane, ściskającą nieszczęsne rośliny w dłoni, kilka kroków w tył. Siostra Barbara musiała zauważyć jej konsternację, bo urwała w pół zdania swoją połajankę i spojrzała na Regeane z zaciekawieniem.

- Co? - spytała. - Nie płaczesz? Inne zwykle zalewają się już łzami albo purpurowieją z gniewu. Ty nie łypiesz na mnie spode łba — zajrzała Regeane w twarz - nie wyglądasz nawet na urażoną. Widzę, że twarda z ciebie sztuka.

Regeane była zła. Czowała, jak zaczynają jej płonąć policzki, ale skonsultowawszy się z wilczycą, stwierdziła ze zdziwieniem, że ta jest rozbawiona. W mrocznym umyśle zwierzęcia napotkała wizję strzykającej cuchnącą wydzieliną, nadymającej się ropuchy, próbującej w ten sposób przekonać właściciela pary szczęk z długimi zębami, że jest groźna, a przy tym niejadalna. Jednym słowem, kamuflaż.

- Widzę - ciągnęła Barbara - że jesteś zupełną neofitką i trzeba cię wszystkiego uczyć od początku.

Odebrała Regeane rośliny, wetknęła je z powrotem w grządkę i udeptała ziemię wokół korzonków.

- Myślisz, że będą dalej rosły? - spytała z troską Regeane.

- Ha... któż to wie? — Barbara rozłożyła ręce. — Chyba tak. Nie różnią się wiele od swoich dzikich krewnych kwitnących na równinach Kampanii albo na nadmorskich wzgórzach. Jeśli nawet uschną, to mam tu jeszcze pod dostatkiem innych.

Rzeczywiście miała. Zioła rosły na obwiedzionych ceglami rabatkach, między którymi biegly starannie zamiecione alejki wyłożone płytami z piaskowca.

Barbara spojrzała na mięso piekące się powoli nad paleniskiem przy drzwiach kuchni, a potem powiodła Regeane do altanki pod murem. Usiadły tam, by porozkoszować się chwilę pięknymi, delikatnymi aromatami ogrodu o poranku.

- Oto moje królestwo - podjęła Barbara, pokazując na kuchnię i na przylegający do niej ogród. - Jestem tu panią i władczynią absolutną.

Przy altance rosły dwa drzewa. Regeane wyciągnęła nieśmiało rękę i dotknęła jednego z liści.

- Śmiało, dziecko - zachęciła ją Barbara. - Zerwij go i powąchaj.

Regeane posłuchała.

- Laur - orzekła. Zapach ten przypomniał wilczycy noc, kiedy pchana jakąś nieodpartą siłą wspiwała się do widmowej świątyni na szczycie nadmorskiego wzgórza.

- Tak — przyznała Barbara. - Roślina, z której wijemy wieńce na skronie wielkich tego świata i którą przyprawiamy duszoną wołowinę.

Regeane roześmiała się.

- A które z tych zastosowań bardziej ci odpowiada?

- Cóż, to drugie, ma się rozumieć, ale nie z tego powodu, co myślisz. Nie dlatego, że jestem kucharką.

- A dlaczego?

- Bo wielcy ludzie przychodzą i odchodzą, a duszona wołowina jest wieczna.

- Nic podobnego — zachnęła się Regeane. - Zjada się ją wkrótce po uduszeniu.

- Wprost przeciwnie. Już sam Wielki Cezar zachwycał się smakiem mięsa duszonego z grzybami w winie, a i za tysiąc lat ludzie będą pielgrzymować do miejsca, gdzie można zjeść przyrządzony w ten sposób posiłek. Wierz mi, moja droga, człowiek wielki to efemeryda, natomiast duszona wołowina jest wieczna. Dlatego właśnie Chrystus w swojej mądrości uczynił prosty posiłek najważniejszym sakramentem. Rzecz tu nie tyle w odżywianiu, ile w zacieśnianiu więzi międzyludzkich. Ludzie trzy razy dziennie siadają razem, by dzielić się darami ziemi i owocami swojej znoјnej pracy.

Papież jada w otoczeniu kardynałów ze srebrnego talerza, robotnik zaś siada w towarzystwie sobie równych na kamieniu z pajdą chleba w garści i dzbanem podłego wina w drugiej, ale obaj dziękują Bogu za to samo. I kto wie? - W oczach siostry Barbary pojawił się wesoły błysk. - Być może robotnikowi suchy chleb smakuje bardziej niż papieżowi jego frykasy. Mawiają, że najlepszym sosem jest apetyt. Tak czy owak, Emilia kazała mi uczyć cię tej największej i najstarszej ze sztuk.

Regeane patrzyła w zadumie na grządkę kopru. Jego baldaszkowe końce były już prawie dojrzałe i gotowe do zrzucenia twardych, brązowych nasion.

- Nie wiem, jak długo będę mogła pobierać u ciebie nauki. Wychodzę

wkrótce za męż.

- Tak — mruknęła Barbara — słyszałam. Za możnego górskiego pana. To bez wątpienia jakiś zapity gbur sypiający w buciorach.

Regeane westchnęła głęboko, a potem roześmiała się w głos.

- Więc ty też?

- Widzę, że Emilia opowiedziała ci historię swojego małżeństwa - zauważyła Barbara.

- Tak, wczoraj wieczorem, kiedy wróciliśmy z Lateranu.

- Mam nadzieję, że w skróconej wersji - wymruczała Barbara. - Czasami opowiada ze szczegółami, jak to najpierw zbladł, potem poszarzał, potem zsiniał, a potem... - Barbara wyrzuciła w górę ręce. - Szczerniał! - wykrzyknęła. - Jak ucapił się za gardło. - Chwyciła się teatralnym gestem za gardło. - Jak wygiął się w tył. - Wygięła się w tył.

- Och, przestań! - zawołała Regeane, biorąc się pod boki. Łzy płynęły jej po policzkach. - Przestań. To wcale nie jest zabawne. Ten biedak umarł!

- Oczywiście - przytaknęła Barbara. - Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. Ale jeśli choć połowa z tego, co opowiada o nim Emilia, jest prawdą, to wątpię, by Bóg nagroził go wiecznym odpoczynkiem. — Poklepała Regeane po kolanie. - Nie przejmuj się tak, moja droga. Czego tu oczekiwać po grupce kobiet, które ukryły się przed światem za klasztornym murem! Wszystkie... większość nas ma po temu swoje powody. Poza tym: czy nie sądzisz, że dobrze przygotować się na najgorsze? Jakże często spotyka nas zawód, kiedy oczekujemy najlepszego! — Uśmiechnęła się do Regeane.

Ale Regeane patrzyła ponad jej ramieniem na zegar słoneczny stojący pośrodku ogrodu na grządce nagietków. Wśród kwiatków przypominających małe rozbłyśki słońca uwijały się pracowite pszczoły, wskazówka rzucała długi poranny cień na marmurową tarczę.

Barbara wzięła ją za rękę.

- Och, rozchmurz się - powiedziała. - Nie bierz sobie tak do serca mojej paplaniny. Poza tym, jeśli on nawet jest taki, jak powiedziałam, to z pewnością potrafisz go rozbroić swoją urodą i wdziękiem. A co do gotowania, to skoro twój mąż jest bogaty, wystarczy ci tylko dobrze ułożyć sobie stosunki z kucharzem. Mogę ci zdradzić, jak tego dokonać.

- Jak? - zainteresowała się Regeane.

- Pochlebstwem — odparła Barbara. - Bo chociaż przyrządzanie posiłków to najwspanialsza i najstarsza ze wszystkich sztuk, jest ona zarazem sztuką najmniej docenianą i pochwała, nawet dla najskromniejszego jej adepta, jest rzadsza od złota i cenniejsza od rubinów. Chwal go, a da z siebie wszystko, by tylko dogodzić tobie i twojemu mężowi. Co zaś do tej drugiej rzeczy, do której mężczyźni mają takie upodobanie, to słuchaj pilnie Lucilli i stosuj się ściśle do jej rad, a zaskarbisz sobie względy męża. Ten prostak musi być wniebowzięty, że dostaje za żonę kobietę z królewskiego rodu. Będzie cię nosił na rękach. Na wszelki wypadek możesz mu jednak delikatnie - bardzo delikatnie - zasugerować, że jeśli nie będzie ci okazywał należytego szacunku, frankoński król może to sobie poczytać za osobistą zniewagę. Jestem przekonana, że weźmie to sobie do serca. — Barbara uśmiechnęła się słodko.

Regeane patrzyła na nią podejrzliwie.

- Skąd wiesz o Lucilli? - zapytała.

- Moja droga, a któż by nie słyszał o Lucilli? Nie obawiaj się. Znajomość z Lucillą nie zepsuje ci reputacji. Przyjaźni się z nią wiele kobiet z tego miasta. Zarówno tych wpływowych, jak i ubogich i nic nie znaczących. Lucillą cieszy się wielkim poważaniem, czasami chyba nawet sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Papież zabronił jej mnie odwiedzać — powiedziała Regeane.

- Słyszałam - odparła Barbara, wyciągając z kieszeni habitu nożyce i wręczając je Regeane. - Natnij mi teraz ziół, o które cię prosiłam, i nie śpiesz się. Zapoznaj się z moimi pięknymi, rosnącymi tu przyjaciółmi.

Regeane wzięła nożyce i wyszła z altanki. Zioła i kwiaty Barbary oczarowały zarówno ją, jak i wilczycę. Kiedy wracała do kuchni, cień na tarczy zegara słonecznego był już o wiele krótszy. Zastała Barbarę ugniatającą w dzieży ciasto na chleb.

Położyła nacięte zioła na krajalnicy i zajęła się tym, w czym czuła się bardzo pewnie - szorowaniem garnków i patelni.

Barbara skończyła formowanie ciasta w bochenki i przystąpiła do siekania ziół zakrzywionym nożem z dwoma trzonkami.

- Bazylika - powiedziała w pewnej chwili, unosząc jedną z gałązek do nosa - a tu cynamon i goździk. Mam nadzieję, że je rozróżniasz — zwróciła się do Regeane.

- Rozróżniam. Przepraszam, jeśli naścinałam ich za dużo. Mam nadzieję,

że się nie zmarnują.

- Nie ma obawy. Cynamon i goździki będą w sam raz do przyprawienia pieczonych jabłek, które planuję na drugie śniadanie. O, szałwia, ciekawy wybór, moja droga. Tymianek. Ruta; ździebko ruty złagodzi słodycz sosu winnego. Rozmaryn, niezastąpiony w kuchni, dodam jeszcze trochę czosnku i okruszków chleba, i gotowe. Wieczorem przekonamy się, czy masz wyczucie w doborze przypraw.

Regeane spojrzała na nią z przestraszonym wyrazem twarzy.

- Jak to, chcesz się zdać na mój wybór?

- Nie do końca - odparła Barbara, wprawnie operując nożem. - Ale jak już powiedziałam, gotowanie jest sztuką i nawet początkującemu trzeba zezwolić na trochę eksperymentowania, bo inaczej niczego sienie nauczy. Na razie jednak, skoro skończyłaś już z tymi garnkami, wyszoruj podłogę.

- Barbaro, co to, u licha, ma znaczyć? - Rozległ się wzburzony głos Emilii, która weszła w tym momencie do kuchni.

- Jak to co? Pracujemy - odburknęła Barbara. - Kazałaś mi nauczyć ja gotowania.

- Właśnie, gotowania! - zawołała ze zgrozą Emilia. - A ty robisz z niej pomywaczkę. Toż to dama z królewskiego rodu. Myślałam, że każesz jej zbierać zioła, no, co najwyżej obrać rzepę...

- Co takiego?! - oburzyła się Barbara. - Jeśli ja, córka jednego z najpierwszych rzymskich rodów, mogę tu sobie urabiać ręce po łokcie, to jej też korona z głowy nie spadnie.

Emilia jęknęła i chwyciła się za serce. Potem porwała Regeane za rękę i wyciągnęła ją z kuchni na korytarz, mamrocząc pod nosem:

- Co sobie pomyśli Jego Świątobliwość?

Regeane chciała coś powiedzieć, ale Emilianie dopuściła jej do słowa.

- Co król sobie pomyśli?

- Posłuchaj... - zaczęła Regeane.

- Co - niemal wykrzyczała Emilia - pomyśli sobie Lucilla?

Kiedy wstępowały na schody, Regeane zatrzymała się i zapała, chwytając się słupka balustrady.

- O co chodzi? - spytała Emilia.

- Proszę cię, Emilio - powiedziała błagalnie Regeane. - Daj mi umyć ręce

i twarz.

- Ręce i twarz? - spytała Emilia z takim zdziwieniem, jakby zapomniała znaczenia tych słów. - Ach, tak. Oczywiście, ręce i twarz. Tak, umyj ręce i twarz.

- Dziękuję. I nie przejmuj się tak moim królewskim pochodzeniem. Nikogo z tego rodu nie znam.

- Czy ty nic nie rozumiesz? - jęknęła Emilia. - To nieważne, czy ich znasz, czy nie. Najważniejsze, że oni ciebie znają. Chodź, zobaczymy, czy spodobaś się siostrze Angelice. Ona uczy umiejętności, która bardziej damie przystoi — haftowania.

- No, nie - mruknęła Regeane.

Regeane nie spodobała się siostrze Angelice. Było to widoczne na pierwszy rzut oka. Zakonnica, nawykła do uczenia młodszych i zręczniejszych dziewcząt z biednych domów, z miejsca zapalała niechęcią do tej szlachcianki.

Obrzuciła Regeane lodowatym spojrzeniem i nie tracąc czasu, przystąpiła do oceny jej umiejętności posługiwania się igłą. Szybko doszła do wniosku, że te są praktycznie żadne - że ograniczają się do nawlekania nitki, cerowania i łatania. Kazała więc dziewczynie na próbę obrzucić prostym krzyżowym ścięciem brzeg Inianego obrusa do nakrywania ołtarza.

Regeane usiadła przy stole z innymi dziewczętami i zabrała się posłusznie do pracy, ale nie wkładała w nią serca. Wolałaby szorować podłogę w kuchni w towarzystwie Barbary. Z nią przynajmniej można było porozmawiać, podczas gdy tutaj traktowano ją jak powietrze.

Obszuty przez nią obrus nie znalazł uznania w oczach siostry Angeliki i ta, po konsultacji z Emilią, odesłała Regeane z powrotem do siostry Barbary.

Zbliżała się pora posiłku i Barbara zabrała ją do refektarza, długiej, niskiej sali o belkowanym suficie. Refektarz nie miał okien, ale był otwarty na ogród z późno kwitnącymi różami, do którego wychodziło się przez ganek z daszkiem wspartym na drewnianych kolumnkach. Różane krzewy tworzyły krąg wokół fontanny z omszałych kamieni.

Regeane wyszła na ganek i popatrzyła tęsknie na zalany słońcem ogród.

- Och, jak tu pięknie! - westchnęła. - Nie wiedziałam, że istnieją róże kwitnące o tak późnej porze roku.

- Jak widzisz, istnieją - powiedziała Barbara. - Nazywane są różami podwójnej wiosny. To ulubiony ogród przeoryszy Hildegardy. Wybierając się tutaj z

misją założenia naszego zakonu, zabrała ze sobą kilka sadzonek białych róż kwitnących w północnej krainie, z której pochodziła. Wszyscy mówili, że się nie przyjmą w ciepłym południowym klimacie, ale się mylili. Kwiatom się tu spodobało, i to do tego stopnia, że zaczęły się krzyżować z naszymi rodzimymi odmianami, i teraz mamy kilka takich, jakich wcześniej oko ludzkie nie widziało. Przychodzą do nas ludzie z całego Rzymu i proszą o ich sadzonki. Ale chodź teraz. Musimy nakryć do stołu. Niedługo trzeba będzie uderzyć w dzwon obiadowy.

Przez całą długość refektarza ciągnął się prosty drewniany stół, a wzdłuż obu jego boków biegły drewniane ławy. Pod ścianą przeciwną do wyjścia na ogród stał duży kredens, w którym przechowywano talerze, kubki, łyżki i półmiski.

- Nakryj dla czternastu osób - powiedziała Barbara. - Każda dostaje talerz, miskę, łyżkę, kubek i serwetkę.

Regeane wykonała polecenie i Barbara nagrodziła ją pochwałą. Przyniosły jedzenie.

Barbara uderzyła w dzwon i siostry zbiegły się na posiłek. Regeane musiała przyznać, że Barbara ani trochę nie przesadzała, twierdząc, iż jest najlepszą na świecie kucharką. Pierwsze danie stanowiła gęsta zupa z soczewicy z ziołami i kawałkami szynki, na drugie była pieczeń polana tłuszczem z kasztanami i grzybami oraz wino. Na deser podano pieczone jabłka, przyprawione lekko cynamonem i bazylią i polaną gęstą śmietaną.

Regeane najadła się do syta, a potem pomogła Barbarze posprzątać ze stołu. Zakonnice wychodziły powoli z refektarza, by oddać się popołudniowej sjeście. Wkrótce w sali zostały tylko Emilia, Barbara i Regeane.

- No i jak smakowało? - spytała Barbara Emilię.
- Pyszności, jak zawsze - odparła Emilia. Była wyraźnie markotna.
- Co się stało? - zapytała Barbara, która to zauważyła.
- Nic - powiedziała szybko Emilia. - Zastanawiam się tylko, co począć z tą dziewczyną.
- To proste. Poślij ją do Cecelii. Niech spędzi z nią spokojne popołudnie.
- Sama nie wiem - mruknęła bez przekonania Emilia. – Taki motyl z tej Cecelii. Nigdy nie potrafi się rozliczyć z wydatków, miesiącami muszę ją prosić, zanim napisze jakiś list...
- Ale kochają ją wszystkie uczennice - zauważyła Barbara.
- Tak - przyznała Emilia - bo nabija im głowy marzeniami.

- Nie widzę niczego zdrożnego w marzeniach, Emilio - powiedziała Barbara, zerkając na Regeane - zwłaszcza w jej wieku. Lepsze marzenia niż koszmary.

- No dobrze. To będzie chyba najlepsze dla niej miejsce. Opowiedz jej b siostrze Cecelii i poślij na górę do skrytorium. Potem zajdź do mnie. Muszę omówić z tobą pewną ważną sprawę.

- Rozumiem — powiedziała Barbara. - Chodźmy do kuchni, Regeane. Przygotuję ci tacę dla Cecelii.

Wróciły do kuchni i Barbara odkroiła kilka plastrów pieczeni, które ułożyła na srebrnej tacy.

- Zaniesiesz to teraz Cecelii - zwróciła się do Regeane. – Nie zdziw się na jej widok. Cecelia zasłania sobie dolną połowę twarzy grubą woalką.

- Dlaczego? - spytała Regeane, polewając śmietaną pieczone jabłka.

- Bo nie ma nosa.

Regeane z lekkim drżeniem serca weszła z tacą do skrytorium. W kącie, obok półki z książkami, siedziała zawałowana kobieta.

- Ach, moja droga Regeane - odezwała się kobieta na jej widok. - Barbara obiecała mi, że postara się przysłać cię do mnie przed końcem dnia. Postaw tacę na stoliku i siadaj, proszę. Mam nadzieję, że tej pieczeni starczy dla dwóch osób. Jak widzisz, mam gościa.

Regeane rozejrzała się zdziwiona i dopiero teraz zauważyła Dulcinę, śpiewaczkę, która występowała poprzedniego wieczoru na uczcie u papieża.

- Jak znam Barbarę - powiedziała z uśmiechem Dulcina – to wystarczy tego dla trzech. - Wstała, odebrała tacę i postawiwszy ją na stole, objęła Regeane.

Zmieszana Regeane zeszywniała w pierwszej chwili i chciała się cofnąć, ale tkwiąca w niej wilczyca zaskamlała niesłyszalnie i dziewczyna rozluźniła się w serdecznych objęciach Dulciny.

Jej umysł wypełniły wspomnienia w pełni rozbudzonej wilczycy. Wspomnienia o śpiewakach z zamierzchłej przeszłości. Śpiewakach tak wspaniałych, żyjących w takiej harmonii z naturą, że swoimi głosami wywabiali dzikie wilcze watahy z ich górskich legowisk na chłodne, zielone łąki. Sama leżała nieraz zasłuchana, tkwiąc z innymi wilkami u stóp któregoś z tych śpiewaków. Czar ich pieśni tłumił w zwierzętach wszelką agresję.

- Witaj, córko Orfeusza — zwróciła się do niej Regeane. Cecelia zaklaskała cicho w dłonie.

- Wspaniale - powiedziała. - Gdybyśmy wszyscy nie przyjęli chrześcijaństwa, Orfeusz rzeczywiście byłby twoim patronem, Dulcino.

Regeane przyglądała się Dulcinie. Pamiętała, co usłyszała o niej od Augusty. Na szczupłej twarzy dziewczyny widać było wciąż ślady nędzy, w jakiej kiedyś żyła, śpiewając po tawernach za parę miedziaków, by nie umrzeć z głodu. Nie wiedzieć czemu jej rysy wydały się Regeane bardziej arystokratyczne niż twarz Augusty. Ale w błyszczących, podobnych do klejnotów oczach w kącikach pięknie wykrojonych ust nadal czaił się cień smutku.

Komplement wyraźnie ją stropił.

- Ale jesteśmy teraz chrześcijanami i córka Orfeusza nie ma wśród nas czego szukać - odparła.

- Bzdury. - Cecelia zaniósła się wesołym śmiechem, śmiechem szczęśliwego dziecka.

Oczy wzierające sponad woalki miała dziecinne - czyste, błękitne, szeroko otwarte i niewinne. Patrzyły na świat z tym samym nic skrywanym zachwytem jak oczy Elfgify. Tak jakby zawsze była gotowa do radowania się każdym nowym doświadczeniem. Musiała być kiedyś piękną kobietą.

Ujęła obiema dłońmi rękę Regeane.

- Moja droga, w pełni zgadzam się z Lucillą. Nic nie przesadziła, opisując ciebie: inteligentna, wrażliwa i piękna. Siadaj z nami. Dulcina ma dla ciebie wiadomość od Lucilli.

- Tak - podchwyciła Dulcina, zajmując miejsce przy stole. - Mam ci przekazać, że jej dom jest już znowu bezpieczny. Strzeże go oddział frankońskich najemników. Możesz się tam schronić, kiedy tylko będziesz chciała.

- Dziękuję ci — mruknęła Regeane.

- Mądra kobieta z tej Lucilli, chociaż czasami przewrotna — wtrąciła Cecelia. - Ale chyba musi taka być, zważywszy na jej dwuznaczną pozycję towarzyską w Rzymie.

To prawda - pomyślała Regeane.

- Moja miła Dulcino - ciągnęła Cecelia - mam nadzieję, że nie opuścisz mnie jeszcze, choć wypełniłaś już swoją misję.

Błede policzki Dulciny spłonęły rumieńcem. Spuściła oczy.

- Dla Lucilli zrobiłabym wszystko - powiedziała cicho. - Szlachetna pani, jeśli uważasz, że cię wykorzystałam, to przepraszam. Cóż więcej mogę rzec?

- Zdumiałam się bardzo, widząc w swoich progach najpierwszą śpiewaczkę Rzymu - powiedziała Cecelia. - Zrozumiałam, w czym rzecz, kiedy poprosiłaś o widzenie z Regeane. I nie tłumacz się przede mną ze swojej lojalności wobec patronki. To postawa godna naśladowania. Wiedz też, że nie mam żadnych obiekcji względem wykorzystywania mojej osoby w tak szlachetnej sprawie jak pomaganie Hadrianowi w utrzymaniu się na papieskim tronie.

Regeane spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Skąd wiedziałaś... — zaczęła.

Cecelia uciszyła ją machnięciem ręki.

- Od lat wiadomo - powiedziała - że Lucilla wspiera Hadriana na wszelkie możliwe sposoby. To przede wszystkim dzięki jej intrygom został wybrany na

papieża. Przekaż jej, Dulcino, moje najlepsze życzenia i poproś, żeby mnie kiedyś odwiedziła, bo od dawna obserwuję jej karierę i bardzo chcę ją poznać.

Odpowiedź Dulciny była równie formalna:

- Ona chyba też pragnie ciebie poznać, ale boi się, że zostanie odtrącona. Wielu doznało już tego upokorzenia. Prędeż dopuszczasz do siebie biednych niż starych przyjaciół. Uczysz dziewczęta z ubogich domów literatury i muzyki, a zamykasz drzwi przed możnymi.

Cecelia westchnęła.

- Tak. To prawda, że zerwałam sporo starych znajomości. Ale obawiam się, że wielu z tych, którzy się do mnie dobijają, chce tylko zaspokoić swoją niezdrową ciekawość, szuka tematu do poplotkowania o moim... - Westchnęła. - O moim wielkim nieszczęściu. Już ich słyszę: „Och, pomyśleć tylko. Jak ona to znosi? To prawda, że jest teraz równie szpetna, jak niegdyś piękna? Czy rzeczywiście nigdy nie odsłania twarzy? I wyrzuciła wszystkie lustra?” Być obiektem takiego zainteresowania jest, skromnie mówiąc, przykre.

Dulcina uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Pani — powiedziała - uważam, żeś jest ponad tę, jak ją nazwałeś, niezdrową ciekawość. W czasach, kiedy udzielałaś się w rzymskich kręgach towarzyskich, uchodziłaś za wyrocznie piękna i dobrego smaku. Teraz każdy początkujący poeta i artysta zabiega o twoje poparcie, często nadaremnie.

- To prawda - przyznała Cecelia. - Ale przecież wszyscy poeci i artyści dążą do nieosiągalnego. - Westchnęła. - Widać moja pochwała stała się jeszcze jedną rzeczą nieosiągalną.

- Trudno powiedzieć - mruknęła Dulcina. — Wiem tylko, że ludzie z jednej strony zabiegając kontakt z tobą, z drugiej lękają się twojej opinii. Cieszysz się sławą najsurowszego krytyka Rzymu. Mówisz jakiemuś poecie: „za długie”, i ten, ze strachu przed tobą, szybko skraca swój wiersz. „Pretensjonalne” — mówisz drugiemu, i ten natychmiast poprawia swoje strofy. Ale cenią cię.

- Dziękuję ci - powiedziała Cecelia. - Naturalnie, jestem tak samo próżna jak każda kobieta. Może nawet bardziej. Lubię pochlebstwa. Ale - tu położyła dłoń na ramieniu Regeane - w tej konwersacji pomiędzy Herą a Ateną zapomnieliśmy o Afrodycie.

Regeane splonęła rumieńcem.

- Och, tylko nie Afrodycie.

- A do kogo byś się przyrównała? - zapytała Cecelia.

- Do Diany - odparła Regeane. - Bogini dziewicy, kochającej wszystko, co dzikie, mieszkanki lasów, patronki i obrończyni niewinnych dziewcząt, pani księżycowej poświaty.

- Diana łowczyni - Cecelia popatrzyła na nią z namysłem.

Regeane usiadła na skrzyni pod przesłoniętym żaluzją oknem, wychodzącym na różany ogród. Przez szpary między listewkami żaluzji przesączały się smugi dziennego światła, tworząc na podłodze złocistą drabinkę.

W tę mozaikę światłocienia wstąpiła Dulcina z lirą w rękach.

- Znasz Propercjusza, moja droga? - zwróciła się Cecelia do Regeane.

- Tylko ze słyszenia. Opowiadała mi o nim Augusta, córka Lucilli.

- Wiem, kim jest Augusta - powiedziała Cecelia. - Wiem również, że nie szczyli się ona pokrewieństwem z tą wątpliwej reputacji kobietą.

- Tak - przyznała Regeane. - Wstydzi się jej. Tak czy inaczej, powiedziała mi podczas uczy, że autorem tekstu pieśni śpiewanej tam przez Dulcinę jest Propercjusz.

- Ułożyłam muzykę do wielu jego wierszy - odezwała się Dulcina. - Chciałabym wam teraz zaprezentować kilka z tych pieśni. - To mówiąc, trąciła struny liry i zaczęła śpiewać.

Stopniowo, niemal niezauważalnie, Regeane przeniosła się w przeszłość. Do czasów, w których Roma była wspaniałą królową miast i zaszczytem było zaliczać się w poczet jej mieszkańców. Dulcina śpiewała o młodym poecie, który przybył właśnie z prowincji do Rzymu i opowiadał własnymi słowami, jak dostrzegł swój los w oczach i twarzy najurodziwszej z kobiet, Cyntii. Z tekstu pieśni biła wibrująca w powietrzu moc.

Muzyka tej poezji była tak żywa, tak dla Regeane wyrazista i realna, jak w dniu, kiedy poeta przelewał ją na papier. Ów świat urzekał ją tak samo jak niegdyś autora tych strof.

W świecie tym zdobywcy podbijali całe kontynenty, ludzie pili najlepsze wina, polegiwali na obitych jedwabiem sofach w splendorze barwnych marmurów, patrzyli na malowidła najlepszych artystów, raczyli się delikatesami, które doprawiano do smaku przyprawami z krain tak dalekich, że aż legendarnych.

W świecie tym mężatki takie jak Cyntia stroiły się w jedwabie i najszlachetniejsze płótno. Obwieszane klejnotami, ignorowały zadowolonych z siebie

mężów i obdarzały swymi względami, kogo i kiedy chciały.

W świecie tym lampy paliły się przez całą noc, a kochanek i jego wybranka mogli pić do świtu, a potem spólkować z dziką namiętnością na tej samej sofie, na której ucztowali.

Taki właśnie świat był tłem dla dramatycznej historii miłości poety do Cyntii.

Regeane słuchała oczarowana.

- Napijmy się wina — zaproponowała Cecelia, kiedy Dulcina skończyła.

Rozmarzona Regeane przeciągnęła się z westchnieniem, a potem wstała i napełniła winem trzy czarki.

- Jak się wam podobało? - zapytała Dulcina, chowając lirę do futerału.

- Niepotrzebne ci moje pochwały - odparła Cecelia. - Na pewno sama wiesz, jaka jesteś dobra. Polecę cię najznamienitszym i rzymskim domom. I nie odezwę się więcej do nikogo, kto nie zaprosi cię pod swój dach. Ale teraz skosztujmy specjałów Barbary. Usiadły przy stole. Pieczeń była jeszcze ciepła i nie straciła nic ze swojego pierwotnego smaku. Zabrały się do niej ochoczo.

- Wygląda na to - powiedziała Regeane, unosząc do ust szczególnie soczysty plaster - że miłość ogromnie pobudza apetyt.

- Trudno mi powiedzieć - przyznała Dulcina. - Nigdy jej nie zaznałam.

- Doprawdy? - Cecelia wsunęła sobie pod woalkę łyżkę z kawałkiem pieczonego jabłka. - Masz przecież kochanka.

- Myślisz o Albinusie? - spytała Dulcina. - Pani, ten człowiek dobiega siedemdziesiątki. Nie stara się nawet ukrywać swojej łysiny i nie przejmuje się rosnącym brzuchem. Nadmiar miłosnej ekstazy mógłby go zabić. Jestem artystką. Mogę śpiewać o miłości i śpiewając, wierzyć w nią, ale nie układam sobie wokół niej życia. Zbyt jestem praktyczna.

- A ty, Regeane? - spytała Cecelia.

- Wychodzę wkrótce za mąż za człowieka, który sprawuje kontrolę nad przełęczą w Alpach - odparła Regeane.

- Och, biedactwo — zatroskała się Cecelia. - To pewnie jakiś nieokrzesany barbarzyńca. Ale wielu tych wojowników z północy to mężczyźni wysocy i przystojni, szanujący swoje kobiety — dodała szybko, chcąc chyba złagodzić swoją opinię. - Kto wie, może go pokochasz.

- Mam nadzieję, że nie - wymknęło się Regeane, zanim zdążyła pomyśleć. - Nie zamierzam go pokochać. Traktuję to małżeństwo jako zło konieczne.

- Bardzo mądrze, moja droga — pochwaliła ją Cecelia.

Dulcina pokiwała potakująco głową.

- Spójrz na miłość Propercjusza - powiedziała. - Miłość to temat dla poetów, choroba duszy, przekleństwo.

- Ale czyż my, kobiety, nie żyjemy dla miłości – zauważyła Cecelia — i nie budujemy wokół niej swego życia?

- Pewien król i pewien wojownik zamierzają zawrzeć pakt, którego ja mam być spoiwem - odparła Regeane. — Nie bardzo widzę, wokół czego zatem miałabym budować swoje życie.

- Widzę, że rozsądna z ciebie kobieta - zauważyła Dulcina. - Co do mnie, to Albinusa wynalazła mi Lucilla. „To bardzo przyzwoity mężczyzna - powiedziała. — Naturalnie w hierarchii jego uczuć będziesz się plasowała gdzieś pomiędzy organami wodnymi a starożytną cytra, którą kupił zeszłego roku w Grecji. Niech więc jego umizgi nie uderzą ci zbyt do głowy. Ale jest szczodry i jeśli tylko wykazesz się rozwagą i sprytem, na pewno nie będziesz narzekała". Miała rację. Albinus jest dla mnie dobry i troskliwy, a to się liczy dla kogoś, kto zaznał w życiu tylu co ja upokorzeń.

- Mówisz o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie? – spytała Cecelia.

- Nieszczęśliwym to mało powiedziane, pani - odparła Dulcina. - Krępię się wypowiadać przy tobie słowo, jakim sama je określam. Dzień, w którym w moje życie wkroczyła Lucilla, pamiętam tak dobrze, jakby to było wczoraj.

W oczach Dulciny zakręciły się łzy.

- Dała mi wtedy srebrnika, żebym jej zaśpiewała. Pamiętam, jak wyrwałam jej tę monetę i schowałam w zaciśniętej pięści za plecami. Bo bałam się, że nie spodoba jej się mój głos i odbierze mi pieniądze, a wiedziałam, że dzięki niemu będę się mogła kłaść przez kilka nocy pod rząd z pełnym brzuchem w psiej budzie, w której podówczas sypiałam. Nie wyobrażacie sobie nawet, ile to wtedy dla mnie znaczyło. Zaśpiewałam jej najładniejszą piosenkę, jaką znałam. Wulgarną, nieobyczajną śpiewkę, której nauczyli mnie poganiacze mułów pijący w gospodzie. Lubili uczyć mnie najohydniejszych śpiewek, bo bawiły ich nieprzyzwoite słowa padające z ust niewinnego dziecka. Ale Lucilla nie śmiała się ani nie rumieniła. Kiedy skończyłam, wcisnęła mi w garść jeszcze jednego srebrnika i poszła porozmawiać z moim panem. A potem zaprowadziła mnie do raj. Tak, dla mnie był to raj. Czysta pościel, dobre jedło i przebywanie wśród ludzi, którzy nie bili mnie dla rozrywki, jak to

czynił właściciel gospody.

- I pomyśleć, że w twych żyłach płynie krew jednego z najznamienitszych rzymskich rodów - powiedziała Cecelia.

- Jak to? - spytała Regeane.

- To ty nic nie wiesz, moja droga? - zdziwiła się Cecelia.

- Skąd ma wiedzieć? — wtrąciła Dulcina. - Pochodzi z barbarzyńskiego ludu. U nich też się to z pewnością zdarza, ale o takich przypadkach nie mówi się głośno ani się ich nie pochwała. Otóż - Zwróciła się do Regeane - wiele rodzin pozbywa się swoich dzieci.

- A możni są pod tym względem gorsi od biedoty — wtrąciła Cecelia. — Często czynią to, by uniknąć podziału majątku albo płacenia wiana. Porzucają więc dziecko w jakimś publicznym miejscu. Zdarza się, że sieroty te są przygarniane przez handlarzy niewolników, którzy wychowują je, żeby potem sprzedać.

- Byłoby dla tych dzieci lepiej, gdyby zamiast skazywać je na upodlenie, jakie stało się moim udziałem, duszono je zaraz po przyjściu na świat - podjęła Dulcina. - Wierz mi, w takich okolicznościach życie jest najbardziej wątpliwym z darów.

- A gdybyś urodziła się piękną? — spytała Cecelia.

- Tym gorzej dla mnie — odparła Dulcina. - Wtedy właścicielka domu uciech nie odsprzedałaby mnie do gospody, gdzie nauczyłam się śpiewać i zwróciłam na siebie uwagę Lucilli. Prawdę mówiąc, to zwróciłam tam również na siebie uwagę klientów i trzeba było wielu lat, zanim dotyk mężczyzny przestał mnie przejmować dreszczem obrzydzenia.

- Dziwne - mruknęła Regeane. — Przecież żyjesz ze starcem Albinusem.

- Albinusa się nie boję i czuję się przy nim bezpieczna. Wiem, że nigdy mnie nie skrzywdzi. Nie potrafię go tylko pokochać.

- Ale lubisz go? - ni to spytała, ni stwierdziła Cecelia.

- Owszem — przyznała Dulcina, spuszczać wzrok na czarkę wina. - Jeszcze trochę tego trunku, a odwiozą mnie do domu nieprzytomną.

Cecelia podsunęła jej tacę.

- Zjedz jeszcze trochę, moja droga. No, a ty, Regeane? Co dziewczyna bogini myśli o miłości?

Regeane uniosła czym prędzej czarkę do ust, by zasłonić nią sobie twarz. Przypomniał jej się ten pierwszy pocałunek, który ofiarowała bezimiennemu

pasterzowi na Kampanii. Wtedy było jej tylko żal tego chłopca, jednak do tej pory pamiętała jedwabiste muśnięcie jego miękkich warg na ustach. Śniła potem o pieśczętach o wiele bardziej intymnych.

Pomyślała o długich, samotnie spędzonych nocach, kiedy to dryfując pomiędzy jawą a snem, przemierzała z wilczycą świat piękna, oczarowania i wolności. Kiedy biegała z innymi wilkami po śnieżnych bezdrożach, przeprowiała się z nimi przez górskie przełęcze, dokazywała w księżycowej poświacie na płycznach rzek zawsze... pamiętała to jak przez mgłę... zawsze w ich towarzystwie. W towarzystwie braci, sióstr, przyjaciół. Ale czy ta dzika, srebrzysta piękność miała kochanków? Tego wilczyca nie wiedziała albo nie pamiętała. Czyjej ciepła, drżąca, spragniona pustka pożądania samicy zaznała kiedyś gorącej, pulsującej samczej siły?

I nagle świadomość tego zwała się na nią z mocą wodospadu. Naturalnie, że wilczyca miała za sobą takie doświadczenia. I pewnego dnia, ale jeszcze nie teraz... Tak, nie teraz, ale niebawem, wkrótce, będzie chciała... czego?

Regeane zerwała się od stołu, odwróciła i podeszła szybko do przestłoniętego żaluzjowymi okiennicami okna. O Boże, a to ci komplikacja, o tym dotąd nie pomyślała.

Pchnęła okiennice i spojrzała na ogród. W nozdrza uderzył ją silny, odurzający zapach róż.

Wilczyca stanęła w niej na tylnych łapach i oglądała świat jej oczyma. Samcowi, który chciałby ją pojąć, nie wystarczyłoby postraszyć rywali wyszczerzonymi kłami. Musiałby dowieść w pojedynku, że jest najlepszy ze wszystkich, bo tylko takiemu skłonna się była oddać. Kobietę można brać siłą, traktować ją jak pionek na szachownicy męskich rozgrywek, ale wilczyca była wolna. Ta smukła, srebrna bestia uległaby tylko najlepszemu, najsilniejszemu z zalotników.

Z tych rozważań wyrwał ją głos Cecelii:

- Wybacz, moja droga. Czy byłam niedyskretna? Czy spytałam o coś, o co nie powinnam była pytać? Może masz kochanka?

Regeane pokręciła głową i zacisnęła pięści.

- Nie mam - odparła. - Zbyt bym ryzykowała. Nie wiem, czy mój przyszły mąż będzie o mnie zazdrosny, ale takiej plamy na honorze z pewnością by nie zniósł. Nie, zamyśliłam się tylko. Często śniłam o miłości, ale kiedy się budziłam, moja poduszka była mokra od łez. Bo jeśli wzięcie sobie kochanka byłoby dla mnie

niebezpieczne, to jeszcze bardziej niebezpieczne byłoby pokochanie męża. Czas trwania mojego małżeństwa zależy od tego, jak długo świecić będzie gwiazda mego sławnego krewniaka Karola. Jestem przekonana, że gdyby przestało mu się wieść, mój małżonek poszukałby sobie innej kandydatki na żonę. Rozwody są wśród Franków na porządku dziennym, tak samo rozwiązanie... rozwiązanie mniej kosztowne od rozwodu - morderstwo. Dulcina wybuchnęła śmiechem.

- Wielkie nieba - rzekła - jesteś jeszcze większą ode mnie realistką.
- A przecież twoja poduszka była mokra od łez – zauważyła Cecelia.

Regeane odwróciła się od okna i spojrzała na nią. Cecelia siedziała u szczytu stołu, mrużąc chabrowe, szeroko rozstawione oczy przed padającymi skośnie promieniami zachodzącego słońca.

- Ciekawam, co pomyśleliby sobie o naszym małym sympozjum starożytni - zastanowiła się Regeane.

- Może masz na myśli Platona? - Dulcina skrzywiła się. – Już sobie wyobrażam gromadę głupich mężczyzn, siedzących wokół slotu i dyskutujących o miłości, która jest dla nich pojęciem zupełnie abstrakcyjnym. Miłość jest zawsze czymś indywidualnym, nie można jej uogólniać.

- Jakiś filozof powiedział podobno — dodała Regeane - że kobiety nigdy nie rozmawiając naturze miłości, lecz o kochankach.

- No właśnie - wtrąciła Cecelia - Dulcina ma chyba rację. Filozofowie nic nie wiedzą o miłości.

- Otóż to - podchwyciła Dulcina. - Każda kobieta, która powiła kiedyś dziecko, karmiła je piersią, obmywała, pielęgnowała przez lata, wie o miłości więcej niż najinteligentniejszy z tych durniów. Ale co my tak o tej miłości? Spójrzcie na biednego Propercjusza. Miłość go zabiła, tak przynajmniej powiadają. Ja pogardzam miłością. Tobie, Cecelio, zmarnowała ona życie, a ta dziewczyna - tu wskazała na Regeane — lęka się jej.

Cecelia skrzywiła się i Dulcina zakryła sobie dłonią usta.

- O Boże —jęknęła. - Przepraszam. Za dużo wypłam wina. To ono rozwiązało mi język.

- Nie przepraszaj, moja droga - powiedziała Cecelia. - Zachęcam zawsze moich podopiecznych, żeby mówili, co myślą. Chcę wiedzieć, co wynoszą z lektury Liwiusza czy Cicerona. Chętnie słucham, kiedy opowiadają mi o swoim życiu, swoich marzeniach, aspiracjach. Zwierzają mi się często ze swoich kłopotów. Czasami

proszą o radę. Treść naszych rozmów nigdy nie wychodzi poza cztery ściany tego pokoju. Ja również często im się zwierzam. Nieraz opowiadałam im swoją historię. Jeśli dotąd jej nie słyszałyście, to świadectwo, że są bardziej dyskretni, niż myślałam. Ród mój jest bardzo stary, sięga swymi korzeniami do czasów imperium. Wywodzi się z niego nawet kilku cesarzy. Jesteśmy podobno najczystszej krwi Rzymianami. Ale z czasem zubożeliśmy. Dawno straciliśmy swoje wielkie posiadłości w Galii i Brytanii, resztę skonfiskowali nam Longobardzcy. Z niegdysiejszego bogactwa pozostała nam tylko willa na Via Latia oraz parę winnic pod Nepi. Zachowaliśmy jednak swoją wysoką pozycję społeczną, nie zdziwiło nas więc, kiedy jeden z najbogatszych ludzi w Rzymie poprosił o moją rękę. Był dobre trzydzieści lat starszy ode mnie, ale ja znałam swoje obowiązki wobec rodziny. Obiecał przywrócić naszemu rodowi majątek.

- Tak - odezwała się Dulcina - znamienici przodkowie nie naprawią przeciekającego dachu, nie kupią nowych ubrań ani nie wyłożą chleba na stół.

- Otóż to — przytaknęła Cecelia. - Szłam do ołtarza w sukni ślubnej mojej babki. Nie została jeszcze sprzedana tylko dlatego, że wyszywana była drobnymi perłami, które nie były w cenie, i nie znalazł się na nią kupiec. Po ślubie nie mogłam narzekać na brak pięknych strojów i wspaniałych klejnotów. Szczodrość męża zdumiewała mnie z początku, słyszał bowiem ze swojego skąpstwa. I było tak aż do dnia, kiedy sprezentował mi wielką czarną perłę. Tego wieczoru odbywała się wielka uczta, a ja jej nie założyłam. Kiedy goście w końcu wyszli i z sali powynoszono stoły, poczułam ciężar jego ręki. Wtedy zrozumiałam. Nie byłam dla niego żoną, nie byłam dla niego nawet istotą ludzką, byłam dla niego rzeczą, tak jak jego ogromna willa, jak jego konie, jak jego psy. Byłam koroną jego pozycji. Byłam naocznym dowodem sukcesu, jaki odniósł w życiu. Pozbierawszy się z posadzki, przeprosiłam go za to, że ze swojej strony nie wywiązałam się z układu. Powiedziałam mu, że nie przypinając sobie perły, którą mi podarował, nie chciałam mu zrobić afrontu. Po prostu nie pasowała do sukni, którą przygotowałam sobie na tę okazję. Uderzył mnie znowu i krzyknął: „Trzeba było włożyć inną suknię”. I wtedy zrozumiałam, co dla niego znacę.

„Dobrze - powiedziałam mu. — Sprawię, że cały Rzym będzie ci zazdrościł. Twój dom stanie się obiektem powszechnego podziwu. Posadzki z najszlachetniejszego marmuru, freski na ścianach i meble wywoływać będą okrzyki zachwytu. Postawa moja będzie bez zarzutu. Do twoich, podejrzanych często,

znajomych odnosić się będę, jak przykażesz, do jednych chłodno, do innych serdecznie. Ale nigdy, nigdy więcej nie waż się mnie tknąć... z jakichkolwiek pobudek... czy to powodowany chucią, czy nienawiścią, bo tego samego dnia odejdę od ciebie, cokolwiek byś mówił lub czynił, I nigdy już nie wrócę". Powiem tylko, że potem dotrzyśmy oboje warunków tego układu, choć nie sądzę, by jemu doskwierał brak mojego towarzystwa. Byłam kobietą dojrzałą, co w jego oczach stanowiło wadę. Kiedy chciał się zabawić, brał sobie zawsze młodszą ode mnie dziewczynę ewentualnie chłopca.

Regeane zauważyła, że Dulcina na chwilę zamarła, a twarz ściągnęło jej obrzydzenie; potem skuliła się i przygryzła dolną wargę.

- Co do mnie - ciągnęła Cecelia - to moje życie straciło sens. Skrywałam swoje cierpienie pod maską dowcipu i dobrego ułożenia. Czułam się jednak samotna jak ta nieskromna, zamurowana żywcem westalka. Tak było do dnia, kiedy przy naszym stole pojawił się Rufus. Nie był szczególnie przystojny, ale silny, dobrze zbudowany i miał przemiły uśmiech. Był pełen życia, zawsze wesół i skory do żartów. Ilekroć spjrzałam w jego zielone oczy, zapominałam o swoich strapieniach i osamotnieniu. Od pierwszego spotkania zwrócił na mnie uwagę. Z początku było to bardzo niewinne. Drobnie podarunki, kwiaty, tomiki poezji, krótkie odwiedziny, kiedy mój mąż opuszczał w interesach dom. Zawsze towarzyszyła nam służba. Ani mi w głowie było spoufalać się z barbarzyńcą. Bo Rufus - lombardzki pan - choć możny i potężny, w istocie nim był. Ale z biegiem czasu jego wizyty stawały się coraz dłuższe. Spędzaliśmy razem całe popołudnia, zafascynowani sobą nawzajem. Bo, widzicie, Rufus był inny niż mój mąż, którego interesowało jedynie pomnażanie bogactwa. Cały świat był jego prowincją. Z nim mogłam być sobą. Plotkowaliśmy godzinami o zawiłościach polityki tego wielkiego miasta i charakterach stojących za nią ludzi. Prowadził korespondencję z wieloma osobami z dalekich krain i zawsze przychodził z jakąś nową, zajmującą opowieścią o poczynaniach królów w Galii albo w Brytanii, o intrygach na tamtejszych barbarzyńskich dworach, o ludziach, których gwiazda wschodzi albo zachodzi, o przegranych i wygranych bitwach. Bo trzeba wam wiedzieć, moje drogie, że kiedy próbowałam rozmawiać o tych sprawach ze swoim mężem, narażałam się zawsze na jego drwiny albo gniew. Rufus nigdy się na mnie nie złościł. Nigdy ze mnie nie pokpiwał, nawet kiedy na to zasługiwałam. Jego podarunki również stawały się coraz bardziej wyszukane i kosztowne. Wykwintna bizantyjska koronka nie do zdobycia w Rzymie; paczuszki jakiejś cennej wonnej

przyprawy z Dalekiego Wschodu, której na straganach tutejszych kramarzy nie uświadczysz; psalterz przepięknie iluminowany przez tych celtyckich mnichów, którzy wiodą pustelniczy żywot w maleńkich celach nad burzliwymi północnymi morzami. Otwierał przede mną świat. Moja udręczona, zalękniona dusza zaczęła rozkwitać niczym kwiat o poranku. Ani się obejrzałam, a już go kochałam. W końcu, zdesperowana, spytałam męża, czy mój związek z Rufusem jest mu obojętny. Odpowiedział mi jednym słowem: „Całkowicie”. W tydzień później Rufus zaprosił nas oboje do swojej willi na wsi. W dniu, kiedy tam przybyliśmy, wybraliśmy się wszyscy na łowy. Mój koń okulał. Rufus został ze mną.

Cecelia urwała, odwróciła się i spojrzała na bukiet róż w stojącym obok niej wazonie.

Regeane, która dopiero teraz zwróciła na nie uwagę, przemknęło przez myśl, że muszą pochodzić z jakiegoś innego miejsca niż ogród za oknem. Róże w klasztorным ogrodzie były w większości pojedyncze i albo różowe, albo białe. Te zaś były podwójne i tak czerwone, że w ciemnym pokoju wydawały się niemal czarne.

I dopiero muśnięte promieniem słońca, przesączającym się przez żaluzje, ujawniały swój prawdziwy kolor i rozjarzały się niczym szkarłatne węgielki podświetlane od wewnątrz przez dogasający żar.

Cecelia wyciągnęła rękę i pogładziła palcami aksamitnie miękki płatek.

- Kiedy mój małżonek powrócił z łowów - podjęła - byłam już, cudzołożnicą. Zdradziłam go z Rufusem. Mąż gonił dalej za bogactwem. Ja z Rufusem nie widzieliśmy świata poza sobą. Kochaliśmy się za dnia i w nocy, w poświacie księżyca i gwiazd, kochaliśmy się o świcie i o zmierzchu. Wykorzystywaliśmy każdą sposobność, by zespalać się ciałami i umysłami. Bo byliśmy nie tylko kochankami, lecz również przyjaciółmi. Sam widok jego twarzy i dotyk jego dłoni napełniał mnie niewysłowionym szczęściem. I tak, jak z bicia strzelił, minęło kilka lat. Kiedy pewnego deszczowego popołudnia wróciłam do domu, przed drzwiami czekał na mnie jakiś człowiek. Suplikant. Błagał, bym go wpuściła i wysłuchała jego prośby. Słuchałam go z początku cierpliwie, potem już tylko dlatego, że dobył nóż z rękawa i zagroził, iż na moich oczach wytnie sobie serce, jeśli nie będę go słuchała. Słuchałam więc. Nie potrafię powtórzyć wam dokładnie jego słów. Mówił niezbornie, czasami był to zwyczajny bełkot, ale oto sens tego, co mi powiedział. Wiele możliwych rodzin czerpie dochody z ziem w okolicach Rzymu dzierżawionych od Kościoła. Opłaty uiszczają Kościołowi w naturze. Pozyskanymi w ten sposób płodami rolnymi

diecezja rzymska karmi pielgrzymów i biednych. Jeśli Lombardczycy najechali na dzierżawców w czasie żniw, ci nie mogli oddać części zbiorów w naturze i musieli się zapożyczać, by spłacić zobowiązania brzęczącą monetą. Jeśli takich najazdów było więcej, dzierżawcy bankrutowali i tracili wszystko. Otóż mój mąż był znanym lichwiarzem. Wiele znaczących rodów zaciągnęło u niego dług. Mój kochanek był lombardzkim hrabią. Muszę mówić dalej?

- Twój mąż wykorzystywał twojego kochanka do systematycznego rujnowania, jednego po drugim, swoich dłużników - odpowiedziała Dulcina.

- W samej rzeczy - przytaknęła Cecelia - a ja zostałam sprzedana i kupiona niczym najpodlejsza nierządnicą w całym chrześcijańskim świecie, moje szczęście zaś zbudowane było na ludzkiej niedoli i zdradzie. Nie pamiętam, co się działo przez kilka godzin od czasu, gdy otworzyły mi się na to oczy, wiem tylko, że służba musiała pochować przede mną wszystkie noże i ostre przedmioty. Próbowałam się powiesić w swojej sypialni, ale odcięli mnie. Ochłonawszy nieco, podjęłam decyzję. Wezwałam wszystkich dłużników mojego męża, o których było mi wiadomo, i rozdałam między nich zawartość jego kufrów. Mieliśmy w naszej willi cudowne rzeczy. Znałam się na tym i potrafiłam wybierać to, co najlepsze. Mąż miał pieniądze i kupował wszystko, czego zażądałam. Zgromadziłam te skarby w atrium. Gobeliny, cenne szkło, antyczne rzeźby, iluminowane manuskrypty, wykwintne stroje, i kazałam im wybierać. Kiedy mój mąż wrócił do domu, cóż... doprawdy wolałabym o tym nie opowiadać.

Słońce stało już nisko. Między listwami żaluzji przeciskały się jego wydłużone promienie. Sprzęty rzucały gęste, ciemne cienie.

Regeane wpatrywała się jak urzeczona w Cecelię, w jej umyśle formowało się straszne podejrzenie.

- Sama to sobie zrobiłaś? - spytała.

- Tak — odparła Cecelia. — Bystra jesteś, moja droga. Niewielu się domyśla. Możesz mi powiedzieć, skąd wiesz?

- Twój mąż by się na to nie poważył. Rufus naprawdę cię kochał. Zabiłby Maximusa. Twój mąż był człowiekiem zbyt zimnym, zbyt wyrachowanym, by cię okaleczyć.

- Tak — przyznała Cecelia - masz rację. To, co uczyniłam, specjalnie mu nie zaszkodziło. Większość swojego bogactwa zainwestował w rozmaite przedsięwzięcia, w swoje ziemie, winnice i sady. Tak, roześmiał się tylko i powiedział:

„Co?! Muchy w nosie?! U kogo, jak u kogo, ale u ciebie? Nie bądź głupia. Rano do niego wrócisz”. Ale ja nie wróciłam. Nie mogłam i nigdy już nie będę mogła. Czyniąc to, stałabym się ich współniczką, a tego bym nie zniosła.

- Ale zemściłaś się - odezwała się Dulcina. - I nikt nie powie, że nie miałaś do tego prawa.

- Kiedy przyszłam tutaj szukać schronienia przed światem, który w ciągu jednego okropnego dnia stał się dla mnie taki nieprzyjazny, przeorysza Hildegarda powiedziała mi: „Będiesz teraz miała dużo czasu na obmyślanie zemsty”. I wykorzystałam ten czas.

- Co się stało z twoim mężem? — spytała Regeane.

- O to zadbał już Rufus. Rezydencje mego męża były równie łatwą pożywką dla płomieni jak domy jego dłużników. Umarł jako żebrak. Znalaziono go pewnego ranka przy schodach pałacu laterańskiego, gdzie wydaje się nędzaczomienne racje chleba i mięsa. Był w łachmanach, deszcz zalewał mu otwarte oczy.

- A Rufus? - zaniepokoiła się Regeane.

Cecelia znowu spojrzała na róże.

- Dziwne - powiedziała. - Przynoszą mi je każdego roku od chwili, kiedy zaczynają kwitnąć w całym Rzymie, aż do czasu, kiedy zimny jesienny wiatr poobrywa im zwiędnięte, zbrązowiałe płatki. Przynoszące niemal codziennie. Bukiet za bukietem. Z początku przychodziły z nimi liściki. Naturalnie, paliłam je, nie czylając.

- Naturalnie?! - wykrzyknęła Regeane. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Naturalnie — powtórzyła stanowczo Cecelia — ale od paru lat listy już nie przychodzą. Tylko same róże. A ja pamiętam, jak niewątpliwie pamięta i on, że przez sześć pięknych lat byłam najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

- W Bogu nadzieja — wyszeptła Regeane, zakrywając dłońmi oczy - że ja nigdy niczego ani nikogo nie będę aż tak kochała ani nienawidziła.

- Będziesz, i ja również - odezwała się posępnie Dulcina, unosząc do ust czarę z winem. - Tylko że ja nie mam odwagi Cecelii, a może po prostu nie jestem pewna, czy okaleczając się, sprawiłabym przykrość właścicielce domu uciech, która mnie wychowała, a potem sprzedawała na ulicach, albo karczmarzowi, który mnie głodził. Moją najlepszą i jedyną zemstą jest sukces.

A moją- westchnęła Regeane - zwycięstwo nad śmiercią. Cecelia znowu odwróciła się do stojących na stoliku róż.

- Bez miłości — powiedziała — jesteśmy jak kościelne witraże, których nie podświetla słońce. Miłość ubarwia nasze życie. Kiedy jej promienie przestają rozjaśniać nasze dni, stajemy się niczym. Czy pogardzamy różą za to, że jej piękno jest przemijające? Niektórzy tak, i ci szukają pociechy w szkłe albo w marmurze. Ale prawdziwa miłość jest bliska boskości i jak wszystko, co stworzył Bóg, jej piękno promieniuje od wewnątrz. Szkło się tłucze, marmur nadgryza ząb czasu. Ale róża zakwita każdej wiosny i będzie tak przez Bóg jeden wie ile jeszcze niezliczonych stuleci. Ty, Dulcino, masz swoją Lucillę i swoje pieśni. Regeane ma coś, czego nie potrafi nazwać, a ja... ja mam swoje róże.

Delikatnie pogładziła palcem jeden z kwiatów. Odpadł od niego szkarłatny płatek. Osiadł na blacie stolika obok jej ręki, czerwony jak kropla krwi.

Kiedy Regeane odprowadzała Dulcinę do drzwi, zbliżała się już pora wieczery.

Dulcina uściskała ją, a potem cofnęła się, ale nadal trzymała dłonie na ramionach Regeane. Na jej szczupłej twarzy malowała się powaga, zaciskała usta w wąską linię.

- Uważaj na siebie - powiedziała. - Nie, nie obawiaj się. Lucilla nic mi o tobie nie powiedziała. Ona potrafi dotrzymywać sekretów. Musi. Prawdopodobnie wie tyle, że mogłaby zrujnować połowę Rzymu. Po prostu dziwnie się zachowywała, prosząc mnie, bym zaniósł ci wiadomość. Nie obawiaj się schronić u niej, gdybyś musiała.

- Dziękuję ci - odparła Regeane.

- Nie ma za co. To popołudnie spędzone z Cecelią jest cenniejsze od rubinów. Teraz drzwi kariery stoją przede mną otworem. Odtąd nie odbędzie się bez mnie żadne wystawne przyjęcie. W ciągu miesiąca podwoją się stawki, jakie mi wypłacają. - Jeszcze raz ucisnęła mocno Regeane i wyszła.

Regeane pośpieszyła pomóc Barbarze w nakrywaniu do stołu.

- No i jak podobała ci się Cecelią? - spytała Barbara.

- Tak mi jej żal. - Regeane omal nie upuściła półmiska.

- Nie marnuj na nią swojego współczucia ani moich talerzy - mruknęła Barbara. — Ona jest na swój sposób szczęśliwa. Doprowadziła do śmierci swojego niegodziwego męża, a co do biednego Rufusa, to nieczęsto zdarza się spotkać mężczyznę tak stałego w uczuciach. A ona z powodzeniem dręczy go od ponad dziesięciu lat. Na tych przeklętych różach się nie kończy. On co roku prosi nas o wstawiennictwo, i co roku przekazujemy mu tę samą odpowiedź. Czy wygłosiła swój słynny wykład o miłości?

- Eee... tak — odparła z wahaniem Regeane.

- Ha! - prychnęła Barbara. — Gdyby taka miała być miłość, to ja wolałabym już wieść żywot bezdomnego kocura.

Regeane o mało co nie parsknęła śmiechem.

- Przestań, Barbaro - poprosiła, zakrywając twarz fartuchem. — Nie mów tak.

- Po wizycie u Cecelii odrobina zdrowego rozsądku dobrze Ci zrobi -

odparła Barbara.

Do sali zaczęły wchodzić zakonnice. Regeane pobiegła do kuchni po koszyk z chlebem. Wróciwszy, zamarła na chwilę z przerażenia, widząc, że za mało rozstawiła nakryć. Wszystkie miejsca przy stole były już zajęte, a do sali wkraczała właśnie jeszcze jedna zakonnica. Była to staruszka, której wiek przygarbił plecy. Utykała, podpierając się grubym, sękatym kosturem. Ubrana była w taki sam jak inne zakonnice brązowy wełniany habit, zmierzała w kierunku końca ławy od strony pulpitu, by zająć miejsce naprzeciwko Emilii.

Mijając Regeane, spojrzała na nią. Twarz miała pomarszczoną i pobrużdżoną jak zwiędły liść, ale uśmiech ujmujący i przepojony miłością. Rozjaśniał jej starczą twarz niczym płomień prześwitujący przez przezroczysty kamień alabastrowej lampy.

- Ojej! - wykrzyknęła Regeane. Postawiła koszyk z chlebem na stole i podbiegła do kredensu po jeszcze jeden komplet zastawy. Stara zakonnica usadowiła się tymczasem przy stole.

Regeane postawiła przed nią talerz, łyżkę, dzban z wodą oraz kubek, który gorliwie napełniła winem.

Zakonnica podziękowała dziewczynie pięknym uśmiechem i pobłogosławiła ją, kreśląc dłonią znak krzyża w powietrzu.

Regeane dygnęła zgrabnie. Nie ulegało wątpliwości, że staruszkę jest kimś ważnym, skoro zasługuje na takie zaszczytne miejsce przy stole. I nagle uświadomiła sobie, że w sali panuje grobowa cisza, a Emilia patrzy na nią ze zgrozą w oczach.

- Co się stało? - spytała Regeane.

Emilia, miast odpowiedzieć, zerwała się na równe nogi, to samo uczyniły inne zakonnice po jej stronie stołu. Ława, którą zajmowały, runęła z hukiem na podłogę, a one ratowały się przed upadkiem, chwytając jedna drugą za habit. Wlepiły w Regeane rozszerzone przerażeniem oczy.

Regeane zerknęła na starą zakonnice, ale na jej miejscu nikogo nie było. Zobaczyła tylko talerz, łyżkę, dzban z wodą i napełniony do połowy winem kubek.

- O, nie! - krzyknęła. - Nie! - Cofnęła się od stołu, miętoszając w garściach fartuch. — Widuję ich czasami - mamrotała - ale prawie zawsze rozpoznaję. Ta nie była podobna do innych... była taka spokojna... łagodna...

- Kogo widzisz, Regeane?

Pytanie to zadała Barbara stojąca w drzwiach do kuchni z półmiskiem pieczeni w rękach.

- Umarłych! - krzyknęła histerycznie Regeane.

Barbara pokiwała głową.

- A jak wyglądała ta?

- Była stara, ubrana jak wy wszystkie. Utykała i wspierała się na grubym, sękatym kosturze.

- Przeorysza Hildegarda — wyszeptła Emilia. Przymknęła powieki i nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

- Tak - poparła ją Barbara. - Przez ostatnie dziesięć lat życia prawie się z tym kosturem nie rozstawała. Stare kości odmawiały jej posłuszeństwa. Dobrze wiedzieć, że o nas pamięta i od czasu do czasu odwiedza. Trochę to deprymujące, ale miłe. No, siadajmy do wieczerzy.

- Wielkie nieba, Barbaro! - krzyknęła siostra Angelica. – Jak możesz tak łatwo przechodzić nad tym do porządku dziennego? Hildegarda z pewnością nie odwiedziła nas bez powodu.

Siostra Angelica, bliska hysterii, runęła na podłogę jak ścięte drzewo. Dwie siostry próbowały ją podnieść, trzecia wachlowała ją energicznie.

- I trzeba coś zrobić z tą dziewczyną! - zapiszczała Angelica, pokazując palcem na Regeane. - Nie potrafi haftować i nakrywa do stołu dla umarłych!

- Trudno mieć do niej pretensję, że stara się być uprzejma - odparła Barbara z przekąsem. - Nie wiedziała, że Hildegarda nie żyje.

- Nie wypowiadaj więcej tego słowa! - zawyła Emilia.

- Jakiego słowa? - spytała niewinnie Barbara, ruszając z pieczeniem w kierunku stołu. Kiedy mijala Regeane, ta skuliła się. - Nie obawiaj się- uspokoiła ją Barbara-ja jestem jak najbardziej żywa.

- Nie! - wykrztusiła Regeane, odwracając głowę. - To ta pieczeń! Nic nie czujesz? - Żołądek podszedł jej do gardła. Zakryła dłonią usta. - Strasznie cuchnie.

Barbara zatrzymała się i wyszeptła przekleństwo tak wulgarne, że chyba nawet Lucilli nie przeszłoby przez usta.

- Od razu wydało mi się podejrzanе, że rzeźnik tak mało za nie żąda.

Postawiła półmisek na stole i zaczęła ostrożnie przecinać nożem grubą chrupiącą skórę powstałą na mięsie podczas pieczenia na wolnym ogniu. Pod spodem pieczeń była ponacinana, a w nacięciach tych tkwiły zielone listki jakiejś rośliny.

Barbara wydlubała jeden czubkiem noża i obejrzała uważnie, liść pociemniał i

skurczył się od gorąca, ale był wciąż rozpoznawalny.

- Co to? - spytała Emilia, sięgając po liść.

Barbara uderzyła ją obróconym na płask nożem po grzbiecie dłoni.

- Nie dotykaj go. To śmiertcionośna roślina. Gdybyśmy zjadły tę smakowicie wyglądającą pieczeń, byłoby już po nas. Zastanawim się, czy to nie sprawka Bazyla.

Emilia cofnęła rękę i znowu nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

- A więc Hildegarda miała jednak powód, by się ukazać. Jak nazywa się ten liść?

- Tojad mordownik - powiedziała Barbara.

Wilcze ziele — pomyślała Regeane i po raz pierwszy w życiu ugięły się pod nią nogi. Nie było to miłe uczucie. Zrobiło jej się niedobrze, zakręciło się w głowie, a potem wszystko zaczęło czernieć.

Jak zwykle ocaliła ją wilczyca. Wilki nie mdleją. Otrząsnęła się i pobudzona zapragnęła wypaść przez kuchnię do ogrodu, przeskoczyć otaczający go mur i szukać Bazyla. Wilczyca wyobrażała już sobie kąsane ciało, tryskającą krew i pękające kości. Regeane zdążyła nad nią zapanować tylko dzięki temu, że w sali było jasno.

- To o mnie chodziło - powiedziała.

Barbara obejrzała się na nią od stołu.

- Chyba zbytńo sobie pochlebiasz, Regeane.

- Nie, Barbaro, muszę stąd odejść.

Barbara pokręciła nieznacznie głową, jakby chciała dać jej do zrozumienia, żeby nie mówiła o tym tutaj i teraz. Przerwał im głośny pisk.

- Otruli!

- O, nie — westchnęła Emilia.

- Och, to droga siostra Angelica - prychnęła pogardliwie Barbara.

Siostra Angelica histeryzowała już w najlepsze.

Barbara postukała trzonkiem noża kłykcie zapatrzonej Regeane.

- Przyglądaj się uważnie, moja droga. Każda kobieta powinna to potrafić. Wykorzystujesz tę umiejętność, kiedy chcesz pogorszyć i tak już złą sytuację albo, jeszcze lepiej, obrócić ją w zupełny chaos i skłonić wszystkich mężczyzn z najbliższego sąsiedztwa do sięgnięcia po trunek.

- Otruli! — wrzasnęła znowu siostra Angelica.

W tym momencie ktoś zadzwonił do bramy.

Angelica klęczała z rękami wzniesionymi do nieba, podtrzymywana przez Emilię i wachlowana przez młodą zakonnice.

- Przestań robić tu przeciąg, Cornelio - zwróciła się do tej ostatniej Barbara - i idź otworzyć.

Chwilę później Cornelia wprowadziła do sali dwóch żołnierzy w czerwono-złoty barwach gwardii papieskiej oraz dwóch małych chłopców, jasno- i ciemnowłosego.

Ten jasnowłosy przypadł natychmiast do Regeane.

Chwyając go odruchowo w ramiona, Regeane rozpoznała w chłopcu Elfgifę.

- Coś ty zrobiła z włosami? - spytała, wybałuszając na małą oczy.

- Obcięła mi je matka Postumousa - wyjaśniła Elfgifa. — Powiedziała, że jako chłopiec będę bezpieczniejsza. Na ulicach trwały zamieszki, jednego mężczyznę przecięli na pół, wszędzie była krew i szukali nas Lombardzycy.

- Zamilcz - przerwała jej Regeane. — Przede wszystkim co robiłaś na ulicy Postumousa? Miałaś przecież siedzieć z innymi dziećmi i...

- Od rana jej nie było - wtrąciła się Barbara.

- I nic mi nie powiedziałaś? - spytała z wyrzutem Regeane.

Barbara wzruszyła ramionami.

- A po co miałam cię martwić? I tak byś nic na to nie poradziła. Kazałyśmy jej szukać żołnierzom papieża.

- A oni znaleźli mnie dopiero przed paroma minutami, kiedy przeszliśmy przez most i oznajmiłam im, kim jestem - powiedziała Elfgifa. Przytuliła się do Regeane i szepnęła jej na ucho: - Wymknęłam się, żeby zobaczyć się z Postumousem, bo to mój przyjaciel, a ojciec mawia, że przyjaźń to rzecz święta, ale ja nie to chciałam ci powiedzieć. Posłuchaj teraz, proszę. To ważne. Wiem, że ważne.

Przerwał jej kolejny wrzask Angeliki.

- Czemu ona tak się drze? - spytała Elfgifa.

Regeane postawiła dziewczynkę na podłodze, wzięła ją za rękę i poprowadziła krótkim korytarzykiem do kuchni. Barbara weszła tam zaraz za nimi i postawiła półmisek z pieczenia na stole.

- No, cóż to za ważna sprawa? - spytała Regeane.

- Pamiętasz to miejsce, do którego trafiłyśmy, uciekając przed

żołnierzem, miejsce, gdzie spotkałyśmy Antoniusza? Lucilla zabroniła mi o nim mówić. To tajemnica, ale przecież nie dla ciebie.

- Tak, nie dla mnie - przyznała Regeane. - No więc o co chodzi?

- Powiedziałałam o tym miejscu Postumousowi – wyrzuciła z siebie jednym tchem Elfgifa - i on chciał je zobaczyć. Zaprowadziłam go więc do dziury, którą się tam dostałyśmy, ale tam coś się stało. Cały podwórzec był we krwi i leżały na nim trupy. Potem zobaczyli nas żołnierze. Uciekliśmy. Żołnierze ścigali nas aż do domu Postumousa, ale byli Lombardczykami i ludzie na ulicy nie przepuścili ich dalej. Wywiązała się walka i jeden mężczyzna został przecięty na pół, i matka Postumousa obcięła mi włosy. - Elfgifie zabrakło tchu i zamilkła.

Regeane wstała. W kuchni było ciemno. Wyjrzała przez okno. Ostatnie promienie zachodzącego słońca podświetlały pasmo chmur nad horyzontem. Na indygowie niebo wspinał się alabastrowy sierp księżyca w nowiu, zapalały się pierwsze gwiazdy. Nadciągająca noc wabiła.

Czego mogli chcieć Lombardczycy od tych nieszczęsnych ludzi, którymi opiekowali się Hadrian z Antoniuszem? - pomyślała. I naraz przypomniała sobie, że wkrótce w mieście ma się zebrać synod biskupów, by zbadać zdatność Hadriana do zasiadania na papieskim tronie. Pokazanie im Antoniusza mogło go pogрузić.

- Barbaro - wyszeptwała Regeane. - Muszę iść.

Barbara odwróciła się od pieca z lampą w ręku. Płomyk był nikły, oświetlał tylko ich trzy twarze. Z sali jadalnej dobiegało wciąż histeryczne zawodzenie Angeliki.

- Nie pozwolę ci na to - powiedziała Barbara.

- Nie możesz mnie zatrzymać - odparła Regeane. - Nikt nie może.

Obok pieca stało wiadro z wodą. Regeane chwyciła je i chlusnęła zawartością w płomień. Z paleniska uniosła się mieszanka dymu, pary i popiołu i wypełniła duszącą chmurą kuchnię.

Do głosu doszła wilczyca. Przemiana nastąpiła tak szybko, że Regeane nie zdążyła nawet zareagować. Barbara krztusiła się i zanosila kaszlem, Elfgifa piszczala z zachwytu.

Regeane wyprysnęła przez kuchenne drzwi do ogrodu. Sadząc długimi susami, dopadła w mgnieniu oka do muru i przeskoczyła go bez wysiłku. Znalazła się nad brzegiem Tybru. Po drugiej stronie rzeki rozciągał się Rzym.

Wilczyca zastygła na moment, węsząc w ciemnościach pod wiatr. Wstrętny odór wyziewów napływający od miasta i rzeki budził w niej odrazę. Przypomniała sobie słowa Lucilli. Teraz pewnie rządził tam motłoch. Widziała ognie pożarów i słyszała odgłosy walki.

Wabiły ją zielone otwarte przestrzenie Kampanii i góry za nią. Wiejący od wody wietrzyk przyniósł jeszcze wstrętniejszy odór. Jej zwierzęce ślepia wypatrzyły zarysy wzdętych trupów, które utknęły na błotnistych łąkach niedaleko brzegu.

Znała swój obowiązek. Nawet wilczyca uznawała prawo tak stare, że nie pamiętała, kiedy zostało ustanowione - nie opuszczamy swoich w potrzebie. Walka Antoniusza i Lucilli była teraz jej walką. Takiego dokonała wyboru jako kobieta i jako wilczyca, i musi w nim wytrwać. Obiegła cuchnące trupy i wskoczyła w nurt.

Prąd zniósł ją w kierunku gęsto zaludnionego serca miasta, w okolice korso. Wyszła z wody i otrzepała się. Miała przed sobą plątaninę uliczek nad samym Tybrem. Występująca z brzegów i rzeka zalewała te tereny tak często, że mieszkali tu tylko najubożsi z biednych.

Wąskie, brukowane kocimi łbami ulice były wilgotne i śliskie od uryny. Wyrzucane z domów rupiecie i gnijące śmieci zalegały w rynsztokach. Smród bijący od plugawych ludzkich siedzib porażał jej zmysły.

Walki musiały być zażarte, bo co parę kroków natykała się na trupa. Jeden, leżący w jakimś zaułku, dolną część ciała miał nietkniętą, za to z głowy została krwawa miazga. Inny, zwisający za nogi z balkonu, głowę miał obciętą, a z rozplatanego brzucha wylewały mu się oślizłe, połyskujące w księżycowej poświacie wnętrzności.

Srebrna wilczyca biegła dalej, rada, że te niebezpieczne ulice są teraz niemal całkowicie wyludnione. W pewnej chwili ujrzała przed sobą oświetlone okna winiarni niedaleko korso.

Uskoczyła w cień, by przemknąć niepostrzeżenie przed drzwiami... I wtedy go zobaczyła.

Wzięła go zrazu za wielkiego psa, może mastyfa. Ze zjeżonymi na karku włosami przygotowała się do stoczenia walki, ale szybko dotarło do niej, że ma przed sobą przedstawiciela swojego rodzaju.

W pierwszej chwili zmyliła ją jego maść. Była brązowa, przechodząca w

czerwień. Po wąskim pysku, ciemniejszej sierści na łbie i skośnych oczach rozpoznała jednak wilka. Nie zwracał na nią uwagi. Chyba jej nawet nie zauważył.

Siedział pod drzwiami winiarni, strzygąc uszami. Ślepią miał czujne, wyczekujące. Z otwartego w szerokim psim uśmiechu pyska zwisał czerwony jęzor.

Z winiarni, podtrzymując się nawzajem, wytoczyło się dwóch mężczyzn. Wilk nie zwrócił na nich uwagi.

Następną parę opuszczającą winiarnię stanowili młoda kobieta o wymalowanej twarzy, w obszarpanej jedwabnej sukni, prowadząca o wiele starszego od siebie żołnierza - ladacznica z klientem.

Żołnierz zatoczył się i wsparł ciężko na ramieniu towarzyszki.

Wilk zanurkował i z wyrazem błęgiego zachwytu na pysku wsunął jej łeb pod suknię.

Srebrna wilczyca dostrzegła na twarzy dziewczyny zaskoczenie, a zaraz potem konsternację, kiedy zimny nos i wilgotny jęzor dosięgły celu. Odskoczyła z piskiem, puszczając żołnierza, i ten, tracąc punkt oparcia, runął jak długi na bruk.

Kopnięty przez dziewczynę wilk czmychnął w mroczny zaułek przy winiarni.

Ladacznica pochyliła się nad leżącym na ziemi klientem, żeby pomóc mu wstać. Błąd - przemknęło przez myśl srebrnej wilczycy na widok wilczego łba wysuwającego się zza węgła budynku.

W tej pozycji kobieta stanowiła nieodpartą pokusę. W sekundę później łeb wilka znalazł się znowu pod jej spódnicą. Dziewczyna przewróciła się z przeraźliwym piskiem na żołnierza, przeturlali się oboje po bruku.

Żołnierz dźwignął się na kłęczki i dobył miecza. Machnął nim na oślep, ale klinga przecięła tylko powietrze i skrzesała iskry, zawadzając o bruk. Tymczasem rudy wilk był już za nim i zatapiał kły w pośladku. Żołnierz wrzasnął z bólu, wypuścił miecz z ręki i chwycił się za siedzenie. Rudy wilk odskoczył z powrotem w ciemny zaułek, usiadł tam i jak gdyby nigdy nic zaczął się drapać zadnią łapą za uchem.

Obok niego pojawiły się dwa inne wilki. Jeden był szary i ledwie widoczny w ciemnościach, drugi tak czarny, że w mroku zaułka błyszczała tylko para jego ślepi.

Żołnierz i dziewczyna pozbierali się z ziemi. Stali przez chwilę, rozglądając się z ogłupiałymi minami dookoła, potem wbiegli do domu noclegowego sąsiadującego z winiarnią.

Trzy wilki wśliznęły się cicho w smugę światła wylewającego się z okna gospody i zastygły, dopiero teraz dostrzegając srebrną wilczycę. Rudy wilk

uśmiechnął się. Jęzor zwisał mu z pyska tak jak wcześniej, kiedy czatował na swoje ofiary. Ruszył w jej kierunku. Osadziła go w miejscu warknięciem tak złowieszczym, że zaskoczyło nawet ją samą. Gotowa była rozszarpać rudzielca na strzępy, gdyby spróbował się do niej zanadto zbliżyć.

Rudy wilk zamknął paszczę, zaskamlał cicho, co miało chyba oznaczać przeprosiny, i wycofał się do dwójki swoich towarzyszy. Teraz ruszył ku niej szary. Było to najwspanialsze stworzenie, jakie w życiu widziała. Sierść miał srebrzystoszara przywodzącą na myśl cień na śniegu, brzuch i łapy białe, barki i pierś masywne, pięknie wysklepione. Sunął lekko jak tancerz. Jego łeb i postawione uszy otaczała gęsta kryza, wyraziste ślepia przywodziły na myśl kochanka wpatrującego się w ukochaną.

Srebrną wilczycę przeszedł dreszcz. Rozluźniła napięte podświadomie mięśnie i uniosła wysoko łeb.

Czyżby byli tacy jak ja? - pomyślała. Tak, na pewno. To nie te drobne, płochliwe wilki spotykane na Kampanii, to olbrzymi górscy drapieżcy.

Wydało jej się, że w ślepiach tego szarego dostrzega wspomnienie ukwieconych łąk, zboczy porośniętych przysypanymi śniegiem, smukłymi jodłami i świerkami. Zimna tak dojmującego, że oczyszczało powietrze ze wszelkich zapachów i przepajało każdy oddech czystą lekkością.

Stając na tylnych łapach, przewyższałby przeciętnego człowieka o dobrą głowę. I byłby groźnym przeciwnikiem nawet dla niedźwiedzia.

Wiedziała jednak, że ona nie musi się go obawiać. I to wcale nie dlatego, że dorównywała mu szybkością i siłą szczęk. Patrząc na niego jak urzeczona, poczuła naraz żar rozpalający się w łędźwiach. Zadrżała.

Z krtani szarego wilka dobył się cichy bulgot. Nie było to warczenie, lecz coś przypominającego pomruk wielkiego kota. Kryza otaczająca mu szyję rozwinęła się niczym wachlarz, jakby chciał powiedzieć: „Przyjrzyj mi się. Czyż nie jestem spełnieniem twoich pragnień?”

Srebrna wilczyca patrzyła z zachwytem. Kobieta była przerażona. Przez umysł wilczycy przewijały się zmysłowe obrazy, które zawstydzaly kobietę i jednocześnie napawały ją lękiem.

Nagle jej oczy poraził rozbłysk jasnego światła, a uszy gwar podniesionych głosów. Drzwi gospody stanęły otworem. Kolejny z klientów wytaczał się na ulicę.

Srebrna wilczyca zerwała się instynktownie do biegu. Pełna ścierających się

emocji, skręciła za węgiel i rozpląnęła w atramentowym mroku przecznicy.

Trójka, która jeszcze przed chwilą hasała pod postaciami wilków, wdziała ubrania pośród nadpalonych, poczerniałych belek strawionego ogniem domu.

- Nie widzę niczego zdrożnego w pozwoleniu sobie na odrobinę uciechy - powiedział ten, który był rudym wilkiem. - Co mi z tego, że potrafię zmieniać kształt, jeśli nie mogę przy tej okazji trochę podokazywać?

- Gębę sobie lepiej umyj - warknęła kobieta, która była czarną wilczycą. - Cuchniesz tymi kobietami.

- Oooh, jak ja uwielbiam nimi cuchnąć! - zajęczał z zachwytu rudy wilk. Mężczyzna, który był szarym wilkiem, zapinał pas z mieczem.

- Czyż nie była piękna? - zapytał.

- Wspaniała — przytaknął rudy wilk.

- Prawdziwa dama — wtrąciła czarna wilczyca.

- Nie wpadłem jej w oko - powiedział rudy wilk.

- Wcale się nie dziwię - burknęła czarna wilczyca. – Jeszcze jeden krok, a powyrywałaby ci łapy.

- Na pewno jest jedną z nas - odezwał się rozmarzonym głosem szary wilk - tylko nie wie jeszcze, jak się porozumiewać. Nie rozumie...

- O, rozumie, rozumie - rzekła czarna wilczyca. - Już ja to wiem.

- Muszę ją mieć - oznajmił szary wilk, patrząc poprzez zgliszcza na błądy księżyc.

- Ależ cię wzięło — mruknęła czarna wilczyca. - Nie do wiary. Nigdy cię takim nie widziała.

- Nocami krew we mnie wrze - podjął szary wilk. – Niewiele wtedy we mnie z człowieka i pragnę towarzyszyki, w której płonie taki sam jak we mnie żar namiętności.

- Toś źle wybrał - powiedziała czarna wilczyca. — Ona wygląda mi na taką, co uważa siebie za ludzką kobietę. A ludzkie kobiety mają w sobie jeszcze więcej wiernopoddańczości niż nasi kuzyni psy. - Splunęła w popiół pod nogami. - Idę o zakład, że jest żoną jakiegoś łotra, który tłucze ją za dnia i bierze gwałtem po nocach.

- Mam nadzieję, że się mylisz - mruknął złowieszczo szary wilk. - A jeśli jest, jak mówisz, to zawrze on bliską znajomość z moimi zębami.

Kobieta, która była czarną wilczycą, zachichotała.

- Nie jesteście czasem głodni? - wtrącił rudy wilk.

- Posilaliśmy się już dzisiaj - przypomniała mu czarna wilczyca. - Ścierwem tego zbója, który próbował dźgnąć go sztyletem pod żebra. - Wskazała na szarego wilka. - Smaczny był. Trochę za tłusty, jak na mój gust, ale mięso miał delikatne.

- Hmm - mruknął rudzielec - a może poszukalibyśmy jeszcze jakiegoś? Konam z głodu.

- Spróbujmy — podchwycił szary wilk. - Może spotkamy znowu tę srebrną piękność. Może uda nam się ustalić, gdzie mieszka, i jeśli się okaże, że jej mąż usposobienie ma takie jak większość rodzaju ludzkiego, połamię mu gnaty i wyszę z nich szpik.

Srebrna wilczyca przecięła korso i zatrzymała się, by powęszyć pod wiatr. W nozdrza uderzyła ją mieszanina zapachów, która oprawiła w konsternację wilczycę i napełniła strachem kobietę. Wmieście szalało co najmniej tuzin pożarów. Pod wszechobecnym swędem spalenizny zalegał odór śmierci i rozkładu. To miasto nie należało ani do papieża, ani do Lombardczyków, należało do siebie samego.

Przewalił się przez nie korowód cesarów, barbarzyńskich łupieżców i królów, ale jego rzeczywistymi władcami byli zawsze niepokorni, uparci ludzie, którzy tu mieszkali. Teraz też sprawowali tu rządy. Wkrótce jednak magnaci władający ziemią, które żywią miasto i jego gniewnych, niezależnych mieszkańców, wybiorą pomiędzy Lombardczykami a papieżem.

Srebrna wilczyca wróciła myślami do trójki pobratymców, których spotkała pod gospodą. Czy naprawdę uznali ją za swoją? Przez moment miała wrażenie, że oto ziścił się sen, w który święcie wierzyła, sen o miłości. Kim był ten szary wilk? Jakiego rodzaju człowiekiem był za dnia? Duchownym, wojownikiem, złodziejem, a może szaleńcem?

Srebrna wilczyca zapragnęła zawrócić i odszukać swojego zalotnika. Odszukać go i zainicjować długie gody, które skończą się... właśnie, czym? Czy akt miłości u osobników jej rodzaju, łączących w sobie naturę zarówno człowieka, jak i zwierzęcia, wygląda jak u ludzi, czy jak u wilków? A może w ich spółkowaniu kryje się jakieś tajemne piękno, którego nie doświadczają ani ludzie, ani zwierzęta? Coś, co jest zarezerwowane tylko dla nich?

Podjeżdżała, że tak właśnie jest. Wolne serce wilczycy wrywało się do szarego wilka, ponaglało ją, by dowiedziała się, kim i czym jest. Przez jej mózg przepływały swobodnie obrazy. Mogliby odprawiać swój taniec miłości w świecie, który jest dla nich ogrodem. Mogliby skonsumować swój związek wysoko na górskim szczycie, gdzie nie powstała jeszcze ludzka noga. Tam, gdzie chłód zabiłby człowieka w kilka minut, gdzie drzewa są tak wysokie i pnie mają tak grube, że niestraszna im siekiera, para wilczych kochanków wyznaczyłaby sobie schadzkę. Tam, na skąpanych w blasku księżycy polankach, mogliby dawać upust swoim żądom i czcić wspólnie panią nocy. Boże, jakież realny był to sen!

Kobieta wzdrygnęła się. Kimkolwiek on był za dnia, z pewnością nie uchroniłby jej przed gniewem dwóch królów i papieża. Zapragnęli siebie nawzajem od pierwszego wejrzenia, ale ona nie może go narażać.

Nie, zatnie zęby i pójdzie do ołtarza z narzuconym jej mężczyzną. I spróbuje zapomnieć o tajemnicach księżycowej poświęty.

Smród rzeźni wyrwał wilczycę z tych rozważań.

Przemykając z cienia w cień, sunęła wzdłuż korso. Zwiwszy ten okropny odór, uświadomiła sobie, że bije on z przytułku, w którym mieszkał Antoniusz z grupą innych okaleczonych wyrzutek miasta. Drzwi pilnowali dwaj lombardzcy żołnierze. Ulicę oświetlały jasno dwie pochodnie wetknięte w przytwierdzone do ścian uchwyty.

Ich blask poraził wilczycę. Wycofała się z powrotem w cień, przypominając sobie o rurze ściekowej prowadzącej na teren przytułku. Straciła kilka minut na poszukiwanie, ale w końcu ją znalazła.

Wahała się przez chwilę, skamłując cicho i powarkując na kobietę, która kazała jej się wcisnąć w wąski otwór. W końcu uległa.

Podwórzec zasłany był zakrwawionymi trupami. Pomimo zalegających tu ciemności wilczyca rozpoznawała kilka z nich.

Temu z kikutami nóg obcięto głowę. Wcześniej go wykastrowano. Między jego nogami zakrzepła wielka kałuża krwi. Czemu to zrobili? Nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia. Może dla zabawy?

Dziewczyna z dziurą w policzku zwiwała głową do dołu z balkonu. Ona również skończyła w męczarniach. Powieszono ją za nogi, a następnie zachłostano na śmierć. Suknię miała w strzępach, ciało posiekane do żywego mięsa. Nie poruszała się już, ale krew wciąż z niej wyciekała, skapując kropla za kroplą na kamienne płyty dziedzińca.

Garbatego idiotę wypatroszono i pozostawiono, by skonał. Wilczyca widziała i czuła cuchnący trop, jaki pozostawił na kamieniach, miotając się w męczarniach, dopóki wpływ krwi nie położył im kresu.

Wśród trupów leżało też kilku żołnierzy w barwach papieskiej gwardii. Ci zginęli przynajmniej w walce. Hadrian próbował bronić tego miejsca.

Kobieta wtopiła się idealnie w wilczycę, stały się jednym. Czworonożna śmierć pomknęła w kierunku wejścia do kościoła. Z zalegających przed nią ciemności doleciał krzyk. Był to straszny wrzask, bardziej zwierzęcy niż ludzki, wrzask nieopisanego bólu. Urwał się, przechodząc w zdławione spazmy.

Wilczyca przemknęła jak błyskawica przez kościół i zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do prywatnej izby Hadriana.

Jej ślepią w sekundę ogarnęły sytuację.

Schludną kiedyś i pięknie urządzoną izbę ograbiono ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Został tylko stół. Leżał na nim na wznak młody pasterz, pod którego opieką pozostawiła Antoniusza.

Był przywiązany do blatu, ale jedną rękę miał wolną. Czarnobrody żołdak trzymał go za nadgarstek. Dwa zmiażdżone palce spływały krwią. Mężczyzna gotował się właśnie do zgniecenia żelaznymi szczypcami trzeciego.

- Błagam - zaskamlał udręczony chłopiec, przewracając oczami. - Błagam, szlachetni panowie. Ja nic nie wiem.

Wilczyca rozpoznała czarnobrodego żołnierza. Był to jeden z ludzi Bazyla - to on ścigał ją zaułkiem. Uciekła wtedy przed nim przez rurę ściekową. Elfgifa miała rację, chcąc mu poderżnąć gardło. Hadrian też nie powinien puszczać go żywego.

- Może zachować paru przy życiu, Sirusie - odezwał się drugi, stojący obok mężczyzna.

- A po co? - warknął czarnobrody. - Myślisz, że synod dałby posłuch bredzeniu takich jak oni, nawet gdyby zgodzili się zeznawać przeciwko swojemu panu, swojemu opiekunowi? Wydawało mi się, że ta dziewczyna coś wie, ale za szybko wyzionęła ducha. - Spojrzał z uśmiechem na przywiązanego do stołu chłopca. - Z tym tutaj obejdę się trochę ostrożniej. - No! - Potrząsnął jakimś srebrnym, zatkniętym za pas łańcuchem. Był to naszyjnik Lucilli. - Gadaj, skąd u takiego chudopachołka, jak ty, takie cenne klejnoty.

Chłopiec uniósł głowę i wilczyca dostrzegła w jego oczach zwierzęcy strach. Nie odpowiadał, wlepiął tylko przerażony wzrok w szczypce, które czarnobrody

żołnierz dzierżył w drugiej ręce.

- Jak chcesz - westchnął Sirius. - Może staniesz się rozmowniejszy, kiedy pogruchoczę ci jeszcze parę paluchów. Unieś wyżej tę latarnię! - krzyknął do swojego kompana, dociskając rękę chłopca do krawędzi stołu i ujmując w szczypce kolejny palec.

Chłopiec zacisnął mocno powieki i szarpnął się w więzach.

Wilczyca napięła mięśnie i skoczyła. Miała wrażenie, że szybuje w powietrzu bardzo wolno. Za cel obrała sobie najpierw gardło tego, który trzymał latarnię.

Żołnierz zatoczył się pod ścianę. Chciał krzyknąć, ale z jego krtani wydobył się tylko bulgot. Umierając, patrzył z bezbieżnym zdumieniem na krew, która bryzgała mu z rozerwanego gardła.

Latarnia upadła z trzaskiem na posadzkę. Rozlany olej zajął się widmowym płomieniem, który rozpełzł się po kamieniach. Izbę zalało purpurowe światło zmierzchu.

W chwilę później na posadzce leżał również Sirius z przegryzionymi ścięgnami w obu kolanach. Wilczyca zatopiła kły w jego karku jak w dojrzałym owocu. Uważała, żeby nie przegryźć mu rdzenia kręgowego. Nie chciała go uśmiercać od razu.

Zaciskając coraz mocniej szczęki na gardle ofiary i dusząc ją powoli, myślała o dziewczynie z dziurą w policzku. Pamiętała nawet jej imię - Krysta.

Przywiązanemu do stołu chłopcu wydawało się, że rzeźnienie i zdławione spazmy trwają całą wieczność. W końcu jednak odgłosy te ścichły i słychać było tylko bębnienie obcasów o posadzkę. Potem i ono ustało. Zapadła cisza.

Kilka cięć nożem uwolniło go z więzów. Stoczył się ze stołu, padł na klęczki i trzymając się za nadgarstek okaleczonej ręki, zasłonił nią sobie oczy, by nie patrzeć na nagie ciało wyzwolicielki. Regeane wyszarpnęła naszyjnik Lucilli zza pasa Sirusa i przełożyła go sobie przez głowę.

Leżąca na posadzce latarnia zapłonęła jaśniejszym światłem i po ścianach zatańczyły chybotliwe cienie.

- Nic im nie powiedziałem, pani — wyszeptał chłopiec, zerkając na nią poprzez rozchylone palce.

Widział w Regeane boginię. Długie, ciemne, przechodzące na końcach w srebro włosy okrywały jej nagość, światłocienie, których źródłem była paląca się na posadzce latarnia, pływały po krągłościach piersi i brzucha. Zniewalało go spojrzenie jej oczu. Lśniły w pogrążonej w cieniu twarzy i zdawały się zaglądać w głąb jego

duszy.

- Nic im nie powiedziałem, pani - załkał znowu. - Nie powiem, że powodowała mną lojalność wobec ciebie, pani, albo wobec tego trędowatego, Antoniusza. Ja się tylko bałem, że zabiją mnie, kiedy powiem to, czego chcieli się dowiedzieć. Że zabiją mnie w taki sam sposób, jak zabili tamtych. - Łzy potoczyły mu się po policzkach. - Dlaczego byli tacy okrutni?

Właśnie, dlaczego? - pomyślała Regeane, starając się oddzielić swoje myśli od euforii, która przepęłniała wilczycę. Co ich opętało?

- Skąd się tu wzięłeś? — spytała.

- Przysłał mnie Antoniusz — odparł chłopiec. - Kazał mi ostrzec księży. Powiedzieć im, gdzie się skrył.

No tak - uświadomiła sobie Regeane. Antoniuszowi zależy, żeby Hadrian znał miejsce jego pobytu.

- Ale kiedy tu przyszedłem - ciągnął chłopiec - nie było tu żadnego księdza. Tylko żołnierze, a potem zjawili się Lombardczycy... - Chłopiec zachichotał histerycznie. Otarł grzbietem zdrowej dłoni nos. Tę okaleczoną trzymał wciąż przed oczyma, płochliwie spozierając między palcami na Regeane.

- Mnie się upiekło, bo najpierw zajęli się tamtą dziewczyną... zachłostali ją na śmierć.

- Gdzie Antoniusz? — spytała Regeane.

- W Cumae. Wiele tam jaskiń. Nikt nie zapuszcza się tam po nocy. Mówią, że to nawiedzone miejsce.

- I mają rację - mruknęła Regeane. - Trzymaj. - Zdjęła naszyjnik i przełożyła go chłopcu przez głowę. - Zasłużyłeś sobie na niego, i to w dwójnasób. Znasz drogę do willi niejakiej Lucilli?

- Tej papieskiej... — Chłopiec zawiesił głos. Nie śmiał wypowiadać tego słowa w obecności bogini.

- Tak. Ona ci pomoże.

- Bylebym się stąd wydostał. Na ulicy nic mi już nie będzie groziło — powiedział chłopiec. — Rzymianie nie lubią Lombardczyków.

- Ci dwaj przed wejściem też brali w tym udział? — spytała Regeane.

Chłopiec kiwnął głową.

- Wpadli tu całą kupą, zabili papieskich gwardzistów, a potem zostawili tych czterech, żeby wzięli na spytki jeńców. Bili dziewczynę na zmianę.

- Zgaś latarnię - powiedziała Regeane. - Potem odrygluj drzwi i zawołaj ich tutaj.

Chłopiec spojrzał na nią z lękiem.

- Są uzbrojeni.

- Wiem, ale to bez znaczenia.

Chłopiec drżącą ręką podniósł z posadzki latarnię. Wciągając w płuca powietrze, by zdmuchnąć płomień, podniósł wzrok. Tam, gdzie przed chwilą stała kobieta, zobaczył wilczycę. W blasku doi ającej latarni połyskiwały wyszczerzone zęby bestii, ślepia jarzyły się czerwienią.

23

Wierzchołki drzew w sadzie szarzały już, kiedy Regeane przesadzała mur okalający willę Lucilli. Sunęła bezgłośnie przez ciemny ogród. Pamiętała, że willa jest teraz strzeżona przez oddział frankońskich najemników, i nie chciała, żeby któryś, zauważywszy ją, wszczął alarm.

Zajrzała ostrożnie do atrium i zobaczyła Lucillę przechadzającą się nerwowo nad basenem. Panujące tam ciemności rozpraszał jedynie sierp księżycy w nowiu, odbijający się w nieruchomej tafli wody.

Tym razem przemiana nastąpiła niemal natychmiast. Po sekundzie Regeane podniosła się z ziemi już jako kobieta i ruszyła ku Lucilli.

Lucilla dostrzegła zbliżającą się postać i zaskoczona zamrugła powiekami.

- To ty, Regeane? Czy może jakaś zjawa?
- To ja - odparła Regeane. - Na mnie czekasz?
- Tak. — Lucilla westchnęła i dotknęła Regeane, tak jakby chciała się upewnić, że naprawdę ma do czynienia z realną osobą. Cofnęła rękę jak oparzona. - Chryste! - szepnęła, patrząc szeroko otwartymi oczyma na zakrwawione palce.

- To nie moja krew — uspokoiła ją Regeane.
- A czyja?
- Nie znam ich imion. Wiem tylko, że byli ludźmi Bazyla. Napadli na przytułek, w którym mieszkał Antoniusz. Wyrznęli tam wszystkich do nogi. Niektórzy skonali w męczarniach. - Dopiero teraz, kiedy uwolniła się od wilczej obojętności na gwałt, zrobiło jej się słabo z przerażenia. - Zaskoczyłam ich, kiedy torturowali... pewnego chłopca... Tego pasterza, pod którego pieczęą zostawiłam Antoniusza, dając mu za fatygę twój naszyjnik. Wilczyca... nie, zagryzłyśmy ich pospołu, ja i wilczyca. Pasterza posłałam do ciebie. Może tu być lada chwila. Poznasz go po zmiążdżonych palcach. Przyjmij go, proszę, pod swój dach i o nic nie wpytuj. I tak nie będzie znał miejsca pobytu Antoniusza, bo znajdę mu wkrótce inną kryjówkę.

To mówiąc, Regeane przedzierzgnęła się ponownie w wilczycę i wskoczyła do basenu, by się opłukać.

Lucilla wydała zdławiony okrzyk i odwróciła się, zasłaniając sobie twarz opończę.

Wilczyca otrzepała się z wody jak pies i w sekundę potem przed Lucilla stała znowu Regeane.

- Boże! — wyszeptła Lucilla. Dyszała ciężko, przyciskając dłoń do piersi. Była blada.

- Przepraszam - bąknęła Regeane. - Wystraszyłam cię?

- Czy mnie wystraszyłaś?! - zachnęła się Lucilla. — O, niewątpliwie. To mało powiedziane, że mnie wystraszyłaś.

- Co widziałaś? - spytała Regeane. - Mnie nie jest dane oglądać momentu przemiany. Jestem w niej.

- Nic nie widziałam — odparła Lucilla. - Ale czyż można dostrzec skrzydełka kolibra w locie? To tylko migotanie, rozmyte skrzywienie, coś jak odbicie księżycy w rozkołysanej wodzie.

- Zimno mi — powiedziała Regeane. - W dwójnasób zimno, odkąd nie ma ze mną wilczycy, bo zabiłam, choć nie chciałam.

- Tam, na ławce, leży druga opończa i stoi dzban z winem. - Lucilla wskazała na ławeczkę obok wejścia do triklinium.

Regeane owinęła się opończą i naląła sobie czarnekę wina. Dzban był ten sam co tamtego wieczoru, kiedy była tu po raz pierwszy. Ten z dzióbkiem w kształcie wilczego łba.

- Pamiętasz ten dzban, prawda? — zapytała Lucilla. - Przestraszyłaś się wtedy na jego widok.

- Tak, pamiętam. Na krótki czas udało mi się zapomnieć o mojej prawdziwej naturze, ale widok tego dzbana odświeżył wspomnienia.

- Wciąż, jak widzę, usiłujesz wypierać się samej siebie — powiedziała Lucilla. - Łzy kręcą ci się w oczach. Skąd one? Bolejesz nad ludźmi, których zabiłaś?!

Regeane drżała. Ujęła oburącz czarnekę z winem i pociągnęła długi łyk.

- Sama nie wiem.

- Zastanów się - powiedziała ze smutkiem Lucilla. — Czy miał;is inne wyjście?

Regeane pokręciła głową.

- Nie. Nie mogłam dopuścić, żeby wymusili z tego chłopca prawdę. Nie mogłam też patrzeć, jak go torturują... nie potrafiłam przejść do porządku dziennego nad zbrodniami, których się tam jeszcze dopuścili... Są niewyobrażalne. Zabili wszystkich tych nieszczęsnych kalekich ludzi dla zabawy. Zasłużyli sobie na śmierć. Wilczyca to wiedziała. Ja również. Ale wilczyca nie pamięta, jak w ich oczach gasło

światło życia. Dla niej to bez znaczenia. Dla niej wszystko jest proste. Robić, co trzeba. Ochronia mnie, kiedy z nią jestem. - Twarz Regeane wykrzywił grymas bólu. - Ale ja nie jestem w pełni nią. Jestem również sobą, a więc cierpię.

- Nie potrafię ci pomóc — przyznała Lucilla. - Skoro zdolna jesteś do takich rzeczy, musisz się nauczyć z tym żyć. Ja też musiałam.

- Ty?

Lucilla roześmiała się.

- Pamiętasz, co powiedział Hadrian na temat Pawła Afarthy? Że go zamordowałam.

- Nie zaprzeczyłaś.

- A co by to dało? Połowa Rzymu wie, że tak było, i nie on pierwszy mi to zarzucił. Paweł był człowiekiem lombardzkiego króla i przez jakiś czas trząś Tronem Piotrowym, tak jakby sam na nim siedział. Kiedy rzymska szlachta zbuntowała się, wypowiedziała mu posłuszeństwo i wybrała Hadriana, Paweł poprzysiągł, że zawlecze go na postronku przed oblicze Dezyderiusza. Ale nie zdołał tego dokonać. Byłam szybsza i doprowadziłam do przymierza Franków ze Stolicą Apostolską. Antoniusz był moim ambasadorem na dworze frankońskiego króla. Między innymi dlatego Hadrian tak go kocha. Obawiając się wojny z Frankami, Dezyderiusz nie przysłał swoich żołnierzy na pomoc Pawłowi i ten musiał uchodzić. Był jednak głupcem i uciekł do Rawenny, której arcybiskup, jeśli to w ogóle możliwe, przepadał za nim jeszcze mniej niż ja. Uwięził Pawła. Hadrian skłaniał się do wytoczenia mu publicznego procesu i skazania na wygnanie. Udałam się w tajemnicy do Rawenny i dałam arcybiskupowi Comusowi do zrozumienia, że bynajmniej nie rwałabym włosów z głowy, gdyby Pawłowi coś złego się przytrafiło. Ale ten głupiec okazał się tak samo tchórzem podszyty jak Hadrian. Ach, ci mężczyźni! Z tym swoim perorowaniem o prawie i uczciwym procesie! - Lucilla splunęła pogardliwie pod nogi. - Bzdura. Czyż taki Paweł Afartha lękał się prawa! Sam by się na prawo nie oglądał, gdyby nasze przymierze z Frankami nie doszło do skutku i dostał mnie albo Hadriana w swoje łapy.

Regeane było już cieplej. Rozgrzało ją krążące w żyłach wino. Pociągnęła kolejny łyk.

- I co zrobiłaś?

Lucilla zachichotała, jakby rozbawiona własną przebiegłością.

- Wynajęłam wielki dom i wydałam ucztę na cześć arcybiskupa oraz

Pawła i jego ludzi. Sprowadziłam prawie wszystkie ladaczniczki z Rawenny, żeby ich zabawiały. Wcale ich tym nie zaskoczyłam. Jestem, mimo wszystko, bardzo rozwiązłą Lucilla. Kiedy dobrze już im się ze łbów kurzyło i oddawali się cielesnym rozkoszom - na każdego mężczyznę przypadała tam nie jedna, lecz trzy hoże dziewczki — kazałam swoim ludziom zawlec Pawła do lochów biskupiego pałacu, zesłałam tam za nimi i zgarotowałam go. — Lucilla spuściła wzrok na swoje dłonie. — Obracałam kijkiem, dopóki kark mu nie trzasnął. Nie ułatwiał mi zadania. - W jej głosie pojawiło się drzenie. - Prosił, błagał, składał nic niewarte obietnice. Umarł w końcu najbardziej haniebną ze śmierci. Arcybiskup Comus wolał wziąć na siebie przedwczesne zejście Pawła niż przyznać, że zgładziła go kobieta.

- Zabijanie mierzi cię tak samo jak mnie - zauważyła Regeane.

- Tak - przyznała Lucilla, spoglądając na nią bezradnie. - Mierzi. Nie zwierzyłabym ci się ze swojego postępuku, gdyby było inaczej.

- Niestety, nie mogę udzielić ci rozgrzeszenia.

- Ani ja tobie.

Regeane pociągnęła następny łyk.

- Jak mam zabić swojego męża? Jak wiesz, Gundabald chce, żebym się go pozbyła.

- Zrób to tak, żeby nie zostać przyłapaną - powiedziała Lucilla - i jedynie wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne. Tylko takiej rady mogę ci udzielić. I nigdy nie gloryfikuj śmierci, jak to czynią niektórzy mężczyźni. Kobiety mają władzę nad życiem i śmiercią. Mimo wszystko to my dajemy życie i los ludzkości spoczywa w naszych rękach. Dlatego właśnie mężczyźni tak bardzo się starają nad nami dominować, moja droga. Wiedzą, że gdybyśmy przejrzały na oczy i zrozumiały, co zrobili z ludzkiej egzystencji, mogłybyśmy zewrzeć nogi i skończyć całą tę komedię, nie dopuszczając ich do siebie.

- Naprawdę byś to zrobiła, Lucillo?

Lucilla odrzuciła w tył głowę i przez jej twarz przemknął grymas niewysłowionego bólu.

- Nie. Pamiętam, jak poczułam w swoim łonie pierwsze kopnięcie Antoniusza. Uwierzyłam wówczas, że wszystko jest możliwe. Och, Boże Wszechmogący, on był moim życiem. Moje życie się w nim tliło. Wróciła mi nadzieja, którą dawno już utraciłam. Nad nami, kobietami, ciąży przekleństwo życia. Krępuje nas i uparcie wierzymy, że dla każdego dziecka, jakie w sobie nosimy, świat będzie

lepszy niż dla poprzednich, że przyjmie je z miłością.

- A nie zawsze tak bywa - mruknęła Regeane.

- Nigdy tak nie bywa - odrzekła Lucilla. - Dziecko, moja droga, postrzegane jest często jako jeszcze jedna gęba do wyżywienia. Być może mamy szczęście, jeśli jakiś mężczyzna poczyta sobie za honor, że to od jego nasienia rośnie nam brzuch. I uzna za stosowne otoczyć nas opieką.

Zerwał się wiatr. Sunące po niebie chmury przesłaniały raz po raz księżyc.

- Północny wiatr - powiedziała Lucilla. - Jutro na trawie osadzi się szron i nawet kwiaty w moim ogrodzie odczują chłód.

- Kim była ta Adrasta i dlaczego do moich rąk trafiło jej lustro? - spytała Regeane.

- Adrasta nie żyje, a była ladacznicą. Czemu się nią interesujesz?

- Sama nie wiem - odparła Regeane - ale odnoszę wrażenie, że umarli są w tym wszystkim tak samo ważni jak żywi. Opowiedz mi o niej, Lucillo.

Lucilla wzruszyła ramionami.

- Skoro tak ci na tym zależy, mogę ci ją nawet pokazać. Na ławeczce, obok dzbanka z winem, stała lampa. Lucilla przypaliła ją iskrą, którą skrzesała, uderzając stalowym pierścieniem o krzemień.

- Mam tu jeszcze jedną salę jadalną. — Ostoniła płomień przed wiatrem. - Od dawna z niej nie korzystam. - Roześmiała się. Pobrzmiewało w tym śmiechu jakieś okrucieństwo.

Ruszyła przodem. Okrążyły basen i przez zasłonięte kotarą wejście po jego drugiej stronie wkroczyły do triklinium. Kotara opadła i znalazły się w niemal smolistych ciemnościach. Mały płomyczek niewiele dawał światła. Lucilla podeszła do ściany i unosząc lampę, powiedziała:

- Masz tu Adrastę. — Odwróciła głowę i zakryła twarz.

Fresk przedstawiał Adrastę siedzącą w pozie Wenus na wyściełanym krześle przed toaletką. Była naga, otaczały ją służące. Jedna stała za nią i układała jej długie blond włosy. Inna piękność podawała jej klejnoty. Jeszcze inna wiązała sandały na małych, białych stopkach swojej pani, sama zaś Adrasta przeglądała się w srebrnym lustrze.

Regeane rozpoznała to lustro. Przeniosła wzrok na twarz Adrasty i uświadomiła sobie, że nie patrzy na wyidealizowaną wizję artysty, lecz na oblicze żywej kobiety. W wielkich zielonych oczach tliły się figlarne iskiereczki, piękny, kształtny

nosek usiany był drobnymi piegami. Trochę za pełne usta uśmiechały się zapraszająco. Nagie piersi były duże i jędrne, talia wcięta, brzuch płaski, wznórek łonowy porastała kędzierzawa gęstwa miedziano-blond włosów.

- Antoniusz musiał ją bardzo kochać - powiedziała cicho Regeane.

- Tak - przyznała Lucilla. — Nie mogę znieść widoku tego malowidła, ale jednocześnie nie mam siły go zniszczyć. Należy do ostatnich, jakie namalował, zanim zaraził się chorobą, która go zrujnowała. Adrasta przybyła ze Wschodu. Powiedziała, że ucieka przed okrutnym i niebezpiecznym kochankiem, który zajmuje wysoką pozycję na dworze. Nie powinnam jej była przyjmować pod swój dach. Powinnam była pamiętać, że z Konstantynopola nie dociera do nas nic dobrego. Ci przekłęci Grecy potrafią tylko mącić. Że też nie omotała żadnego innego mężczyzny w Rzymie - tak, choćby nawet mojego Hadriana - lecz upatrzyła sobie mojego syna! Bo, widzisz, ona wiedziała. Ta suka, idąc pierwszy raz do łóżka z moim synem, wiedziała, że nosi w sobie chorobę, która odbierze jej urodę i życie. Kiedy mój syn zapadł na zdrowiu, zaczęłam dochodzić przyczyny jego choroby. Napisałam do pewnego człowieka z cesarskiego dworu w Konstantynopolu, z którym korespondowałam. Zapytałam go w liście o Adrastę. Okazało się, iż jej ostatni kochanek nie tylko nie był żadną wysoko postawioną osobistością, ale snuł się już po gościńcach w czarnej opończy i z kołatką w ręce. Kazałam wywlec ją z domu, pięknego domu, który sama jej kupiłam. Bo trzeba ci wiedzieć, że ulegałam we wszystkim Antoniuszowi. Sprowadziłam ją tutaj. Moje służące zmyły jej farbę z twarzy i z ciała. Cała była w liszajach, w tych sinych martwych znamionach, które powoli zżerają ciało trędowatego.

Lucilla urwała. Dyszała ciężko z gniewu. Jej oświetlona płomykiem lampy twarz była jak z kamienia. Oczy błyszczały jak ostrza sztyletu.

- Przyznam jej jedno. Swój koniec przyjęła lepiej niż ten zarzygany Paweł Arfatha. Okazała skruczę. Nie błagała o darowanie życia. Tłumaczyła się, że Antoniusz był jej ostatnią nadzieją, ostatnim rozbłyskiem gasnącej lampy, zanim wyczerpie się olej i zewrą mroki nocy. Nie twierdzę, że mnie to wzruszyło. Pragnęłam patrzeć, jak umiera, wrzeszcząc z bólu. Z drugiej jednak strony nie chciałam, żeby Antoniusz mnie znieawdził. Pozostawiłam jej więc ten sam wybór, jaki Cezar oferował swoim wrogom - sztylet albo kat. Ona wybrała arszenik. Wyprawiłam jej wspianiały pogrzeb. Tego życzył sobie Antoniusz.

- Czy on wie? - spytała Regeane.

- Trudno powiedzieć — odparła Lucilla. - Nigdy o niej ze sobą nie rozmawialiśmy.

Wyszła na środek sali i cisnęła lampą o podłogę. Lampa rozbiła się, płomień strzeliły niemal pod sam sufit.

Dwie kobiety patrzyły na siebie. Ta z malowidła, zastygła w czasie, uchwycona w tych ostatnich chwilach, zanim choroba i śmierć zabiorą jej urodę. I Lucilla, żywa kobieta, stojąca po drugiej stronie płomieni z twarzą ściągniętą w maskę bólu.

- Synu mój, synu! - krzyknęła Lucilla. - Zabrała mi ciebie ta suka. Czy to za moje grzechy, Regeane? Czy Antoniusz płaci za to, co robiłam? Czy za to cierpi?

Regeane wycofała się do kotary przesłaniającej wejście i odgarnęła ją. Wiatr zatargał jej opończą. Czuła przemianę zbliżającą się, jak cień chmury sunący po równinie.

- Nie wyznaję się na grzechach, Lucillo. Nigdy ich nie rozumiałam. To sprawa Kościoła. Mam wierzyć w Kościół, który napiętnuje mnie jako czarownicę i spali na stosie. Nie potrafię. Nie zdołały mnie przekonać lata spędzone na klęczkach ani pokuty, jakie zadawała mnie i sobie moja matka, i to się już nie zmieni. Mam tylko nadzieję, że potrafię ci jakoś zwrócić syna.

Na oczach Lucilli Regeane otoczyło nagle coś podobnego do poblasku letniej błyskawicy i wilczyca pomknęła przed siebie lotem srebrnej strzały, nieuchwytna jak obłoki tańczące z księżycem po niebie.

- No i co, moja srebrzysta? - spytała wilczycę kobieta. Zespolone w jedno mknęły przez Kampanię. - Porwiesz się teraz na niemożliwe?

Wilczyca nie potrafiła odpowiedzieć na to słowami, ale kobieta zrozumiała jej beztruską odpowiedź.

- A czemu by nie? Sama jestem czymś niemożliwym.

Wilczyca zatrzymała się na szczycie wysokiego wzgórza, by ogarnąć wzrokiem swoje królestwo. Za sobą miała światła Rzymu. Napastowany przez chmury księżyc świecił jej w ślepiach jasnym światłem. Poniżej rozciągało się morze traw, mącone jedynie szeregami małych krzewów i niskich drzew porastających skraje jarów i wodnych cieków, gdzie wilczyca mogła, gdyby chciała, szukać odświeżenia albo ofiary. Pamiętała o tym w swoim dzikim sercu radowała się.

Wyraziste wspomnienia wypełniające świadomość kobiety były niemal nie do zniesienia. Wilczyca pamiętała nie tylko radość, ale i ból oraz kończącą czasami ten ból śmierć, częstokroć śmierć gwałtowną od twardych, młócących kopyt upragnionej ofiary. Śmierć równie szybką jak ruch długich, białych kłów i szczęk miażdżących kości stworzeń jej własnego rodzaju. Śmierć, której najbardziej się obawiała, powolne konanie w chorobie.

Pamiętała również życie, ale nie takie, jakie przypada czasami w udziale ludziom - nie tę szarą egzystencję w ciągłym poczuciu zagrożenia i lęku przed jutrem, przed popadnięciem w niełaskę u wielkich i potężnych tego świata - lecz życie pełne, wiedzione pośród watahy, obfitujące w chwile wielkich uniesień i gorzkich rozczarowań.

Życie na przemian kłujące zębami głodu i rozleniwiające pełną sytością. Życie pełne żądzy i namiętności znajdującej swe rozładowanie w aktach miłości nie skażonej poczuciem winy ani żalem. Życie kształtowane przez wolność, za którą tak tęskniła kobieta, przez poczucie władzy nad sobą i swoim światem, przez dziką siłę, która nie przejdzie nigdy w bezmyślne ludzkie barbarzyństwo.

Kobietę i wilczycę można było zabić. Mogła zginąć nawet dzisiaj jako jedna albo druga. Ale nie padnie, nienawidząc życia ani otaczającego ją świata. I nie da się ujarzmić. Będzie wolna, wolna jak wilczyca.

Po raz ostatni wilczyca i kobieta spojrzały na księżyc, a potem z ledwie dosłyszalnym westchnieniem Regeane podporządkowała się wilczycy i pomknęła

nieustraszona w kierunku Cumae.

Chmury gęstniały i lodowata mgła pełzała nad Kampanią, kiedy wilczyca dotarła do podnóża skały. Na tle nocnego nieba rysowała się pusta skorupa świątyni na szczycie.

Wilczyca jęła się pięć świętą ścieżką. Przed samym szczytem dostrzegła dwie nieruchome, zakapturzone postaci w czerni. Nie miały pochodni ani latarni. W blasku księżycowej poświaty przesączającej się przez rozstępy w gęstej powłoce chmur cienie wydawały się jeszcze czarniejsze.

- Powiedział, że nadejdzie wilczyca, bracie - odezwała się na jej widok jedna z postaci.

- Tak - odparła druga. - Wilczyca większa i potężniejsza niż te z Kampanii. Wilczyca, która zachowaniem swoim nie przypomina wilka.

- Witamy cię, Lupo. - Pierwsza z postaci uniosła rękę.

Srebrna wilczyca zatrzymała się i spojrzała na nich dumnie.

- Nie wszyscy zapomnieli, że Bóg kiedyś tu przemówił - powiedziała druga postać. - Są tacy, co jeszcze o tym pamiętają. Pójdź z nami. On czeka na ciebie przy ognisku.

Antoniusz siedział przy wysokim stożku popiołu pozostałego po świętym ogniu. Wyciągnął do Regeane ręce w powitalnym geście.

- Lupa! — zawołał. - Co cię do mnie sprowadza?

Regeane stanęła przed nim pod postacią kobiety. Zimny wiatr przenikał ją do szpiku kości i rozwiewał długie włosy. Dwaj zakapturzeni hierofanci zakryli twarze opończami i pokłonili się jej.

- Przyszłam cię uzdrowić - powiedziała Regeane - jeśli to możliwe.

- Dla mnie jedynym lekiem jest śmierć - odparł Antoniusz, podnosząc się z ziemi i stając przed nią. Twarz zakrywał sobie opończą. - A nawet gdyby ci się udało, Regeane, to i tak przepięknym jak ty stworzeniu nadal będę szpetny.

Regeane spojrzała w dół. Równinę, jak okiem sięgnąć, pokrywał gęstniejący całun mgły mieniającej się w niestałym blasku księżyca. Górą sunęły chmury. Wydało jej się, że wraz ze skałą i wzniesioną na niej świątynią zawieszona jest między niebem a ziemią. Czy może raczej między dwoma innymi, potężniejszymi bytami.

- Dla wilczycy szpetota i piękno nie istnieją, Antoniuszu - powiedziała. - W każdym razie nie postrzega ich ona tak jak ty swoim okiem artysty.

Włosy rozwiane porywem wiatru oplotły jej twarz niczym płomień. Antoniusz pochylił głowę, by osłonić oczy przed popiołem, który poderwał się z wypalonego ogniska i pokrył mu opończę.

- Byłeś - podjęła Regeane - moim pierwszym przyjacielem. Ty pierwszy mi pomogłeś. Nie zapomnę ci tego ani jako kobieta, ani jako wilczyca. Zdaj się na mnie. Spróbuję cię uzdrowić.

- W jaki sposób?

- Zabierając cię tam, gdzie odchodzą zmarli.

Odwróciła się od niego, stając twarzą do wejścia do świątyni. Dwaj hierofanci w czarnych szatach zajęli swoje miejsca po obu stronach portalu, drzwi, które otwierały się teraz w mrok.

Po chwili wewnątrz świątyni pojaśniało, ciemności rozproszyły się, odsłaniając szerokie szczeliny w ścianach, pokruszoną posadzkę, spękany piedestał. Tam, gdzie niegdyś stał posąg boga, ziała teraz pustka. Jasność emanowała z przygarbionej postaci wspierającej się na grubym kosturze. Kiedy postać ta zbliżyła się, Regeane rozpoznała w niej przeoryszkę Hildegardę.

Uniosła rękę w geście pozdrowienia. Zgarbiona staruszka zatrzymała się w progu świątyni i przemówiła:

- Nie mogłam pozwolić, byś stawiała czoło siłom nocy bez przygotowania. Nie wyobrażaj sobie, że my ze światów poza granicą śmierci wszyscy jesteśmy tacy sami. Ponieważ kochałaś moje siostry, przebywając wśród nich, zabierz ze sobą moje błogosławieństwo i błogosławieństwo Boga. — Uniosła rękę.

Kłękając na stopniach świątyni, Regeane poczuła ukąszenie zimnego marmuru. Wiatr przybrał na sile. Mgła zdawała się unosić szybciej. Jej długie pasma snuły się między wysokimi, białymi kolumnami.

- Niech Bóg chroni cię w twojej podróży - powiedziała Hildegarda i nakreśliwszy palcami znak krzyża w powietrzu, zniknęła.

Przed Regeane stała kobieta spoza czasu. Starość i młodość przemykały przez jej twarz niczym zmiana pór roku w umyśle Boga.

- Czy jesteś stworzeniem z czasu? - zapytała Regeane, podnosząc się z klęczek.

- Jestem tym - odparła kobieta - czym jest czas wobec wieczności. Każda rzecz nosi w sobie nasiono własnej destrukcji. Wadę tę kompensuje moment odrodzenia.

- Nie rozumiem - powiedziała Regeane.
- Wiem - padła odpowiedź. - I nigdy nie zrozumiesz, boś śmiertelna. Czy gotowa jesteś do podróży?

Regeane wyciągnęła przed siebie ramiona.

- Gotowa. Możesz mi zdradzić, czy kiedykolwiek z niej powrócę?

Za Regeane rozległ się chichot odzianych w łachmany duchów. Zabrzmiał jak pisk nietoperzy. Ale oblicze stworzenia stojącego przed Regeane pozostało niewzruszone. Starzało się tylko i młodniało na przemian.

- Jedni wracają — odparła zjawa. — Inni nie. Jeszcze innym to obojętne. Tak wielkie jest ich przygnębienie. Podążaj za nami albo nie, nam to bez różnicy.

Regeane zawahała się. Poszukała wsparcia u swojej zwierzęcej towarzyszki, ale stwierdziła, że wilczyca też się boi. Zatraciła się na chwilę w wilczych wspomnieniach. Ujrzała destrukcję jako wznieconą uderzeniem pioruna pożogę, rozlewającą się po równinie, zabijającą na swej drodze wszystko, co nie zdążyło umknąć, ujrzała ją jako lawinę schodzącą niczym chmura z górskiego zbocza, niosącą trupy ludzi i zwierząt, grzebiącą je, pogodzone w śmierci, w dolinie poniżej. Ziemia zadrżała i rozpękała się pod jej stopami, ogień trysnął z wierzchołka góry. Z nieba opadał parzący, zabójczy popiół.

Na ileż sposobów można było umierać! Wszechświat był śmiercią i śmierć nim rządziła. Wszelkie życie zmierzało tysiącami dróg ku zagładzie. A mimo to wciąż istniało, skrzyło się, błyszczało, płonęło niczym kaganek w grobowcu. Zapadał zmierzch. Na horyzoncie rozbłysła gwiazda; powracała wskrzeszona jak róża w ogrodzie Cecelii.

Regeane nigdy jeszcze nie czuła się bardziej kobietą ani też bardziej wilczycą.

Wilczyca, nie zważając na nieustający chichot duchów, wbiegła po stopniach i przekroczyła próg.

Regeane jeszcze w dzieciństwie odkryła w sobie wilczycę. Mieszła wtedy w posiadłości ojczyma w Austrazji. Była samotnym dzieckiem. Matka, wciąż piękna, nie odstępowała na krok ojczyma Firminiusza. Ten ambitny, korpulentny łotr prowadził ją ze sobą wszędzie, traktując jak ozdobę.

Regeane często zostawała sama. Wieczorami, czekając, aż któraś ze służek matki ułoży ją do snu, podziwiała zachód słońca przez wąskie okno swojej komnaty. W ostatnich promieniach dziennej gwiazdy rozjarzała się złotem mgiełka nad

prowadzącą do willi drogą. Regeane marzyła, że wyruszy kiedyś tą drogą w świat pozłacanego przepychu. Z utęsknieniem wyczekiwała chwili, kiedy będzie mogła rzucić się w to nieznane królestwo, którego naturę jeszcze nie w pełni rozumiała.

I w ten sam sposób Regeane rozpoczęła teraz swoją dziką podróż, gnając niczym strzała w blask złotego światła.

Stanęła naga, znów pod postacią kobiety, w mrocznej świątyni. Kolumny w sali zdawały się sięgać nieba. Gardziel u szczytu każdej ziała ryczącym ogniem i czarnym dymem. Atramentowy całun tego dymu przesłaniał gwiazdy. Płomienie odbijały się krwawymi plamami w posadzce z czarnego, polerowanego szkła.

- Witaj w wyniszczonej krainie — rozległ się głos.

Regeane uzmysłowiła sobie, że stoi pośród dworu. Świta władczyni i ona sama napawały grozą. Widziała ich wyraźnie w blasku ogni płonących u szczytu kolumn. Przed sobą miała tron. Siedziała na nim ta sama kobieta o trupiej głowie, która powitała ją podczas pierwszej bytności w świątyni. Tym razem jednak mara ubrana była nie w opończę, lecz w prześwitującą suknię podkreślającą jej bujne kobiece kształty. Cienki materiał wypychały ciemne sutki dużych piersi. Ciało kończyło się na poziomie szyi, z której sterczała naga, poczerniała czaszka. Wąż, oplatający od szyi po talię ciało kobiety, wciskał łeb głęboko między jej uda.

Głos rozbrzmiał znowu echem w umyśle Regeane: „Ja, Królowa Umarłych, witam cię w swych progach. Bo wiedz, Kobieto-Wilczyco, że droga do raju wiedzie przez bramy piekła”.

Otoczający ją dworzanie byli tak samo straszni jak ich królowa. Jedni wyglądali na umarłych, bo z pewnością nie mogła tak wyglądać żadna żywa istota. Puste, czarne oczodoły, strzępy ciała zwisające z czerwonych kości. Przywodzili na myśl trupy po rozdziobowane przez sępy.

Inni jarzyli się złowrogim sinym światłem rozpadu. Wzdęci procesami gnilnymi, ociekający wydzielinami rozkładającego się ciała, poruszali się jednak w jakiejś potwornej parodii życia. Śmiejąc się, wyjąc, szlochając, otaczali tłumnie tron swojej pani. Na zewnątrz, za kolumnami świątyni królowej umarłych rozciągał się przynębiający, zryty dołami i kraterami krajobraz. Atramentowy mrok rozpraszały jedynie łuny odległych pożarów

Regeane rozpoznawała część z obecnych. Oto beznogi ślepy Drusis z przytułku Antoniusza z wylewającymi się z rozprutego brzucha wnętrznościami. Ten z poczerniałą twarzą i wybałuszonymi oczarn, to jeden z jego morderców, Sirus,

którego powoli, zgryzła. W jej kierunku, zostawiając za sobą krwawy ślad pełzła zachłostana na śmierć Krysta

Zły sen. To pewnie jakiś zły sen – wmawiała sobie zdjęta grozą Regeane

- Nie ma niczego - ciągnął dudniący głos królowej siedzącej na tronie z czarnego kamienia – niczego pomiędzy tobą a tym, czego się lękasz.

Lada chwila zaleje ją ten tłum przerażających zjaw. Poczucie na swym nagim ciele ochohydne, gnijące łapska. Regeane wstrzymała oddech i spróbowała się przemienić, ale tym razem wilczyca zawiodła. Nie pospieszyła jej z pomocą. Była sama.

Kolana same się pod nią ugięły, zaczęła się osuwać na klęczki Ręce, niczym macki pokonujące opór jakiejś gęstej mazi, unosiły się same, wbrew jej woli, do oczu. Nie po to, by je zasłonić, lecz by wyłupić z oczodołów. Kolana dotknęły lodowato zimnej posadzki jej nagie ciało przeszedł bolesny dreszcz.

Wieczność. Umysł Regeane szukał po omacku znaczenia tego pojęcia. Sparaliżowana przerażeniem, bliska obłędu, klęczała nieruchomo, wpatrzona w zbliżających się umarłych, którzy nadaremno starali, się jej dosięgnąć. Czy tak będzie już zawsze?

I nagle poczuła w sobie wilczycę. A więc jednak nie opuściła jej w potrzebie. Pozostała w niej i patrzyła teraz jej oczami na demomczny tłum. Kobięce serceomal nie pękło z wdzięczność Była czymś więcej niż wilczycą i kobietą, była kobietą-wilczycą. Ani jedną, ani drugą, lecz obiemą w jednym ciele, stworzeniem niewypowiedzianie silniejszym niż każda z nich z osobna, niewypowiedzianie potężniejszym.

Wilczyca, jak już to powiedziała Antoniuszowi, nie postrzegала szpetoty ani piękna tak jak kobieta. Widziała jedynie człowieczeństwo zakute w kajdany czasu.

Czas sprawia, że umarli obracają się w proch, czas okalecza. Czas zabija. Czas degeneruje. Tutaj, u progu wieczności, umarli noszą nadal nie tylko blizny swej podróży poprzez czas, ale również rany, które my, ludzie, w swej pysze, zadajemy jeden drugiemu.

I nagle poczucie grozy osłabło, a otaczający Regeane tłum zaczął wzrastać wzwyż i blaknąć. Stawał się coraz żałośniejszy i coraz bardziej nieszkodliwy. Po chwili znikł jak kłaczek dymu porwany podmuchem wiatru. Pozostał po nim tylko upiorny zgiełk, swąd ogni płonących na szczytach kolumn oraz nie kończący się poświst wichru, zdającego się roznosić jakąś straszną klątwę nad ugięciem. Zniknęli

wszyscy, prócz bezokiego widma dziewczyny, którą zachłostano na śmierć w przytułku. Dziewczyny, która przeklęła kiedyś Regeane za jej młodość i urodę. Dziewczyny, którą Regeane pomściła. Dziewczyny imieniem Krysta.

Nie wzbudzała już grozy. Regeane widziała ją taką, jaką była za młodu - odzianą na biało, w wianku z kwiatów na głowie, z mieczem w dłoni.

I pozostał ktoś jeszcze. Herofilia siedziała nadal na swym tronie. Ona również uległa przemianie. Nie była już tą łączącą w sobie obsceniczną zmysłowość i śmierć upiorzycą, której przed chwilą Regeane spoglądała w oczodoły, lecz ubraną na biało kapłanką w laurowym wieńcu na głowie, strażniczką przejścia do podziemnego świata. Kobieta uniosła rękę i skinęła na Regeane.

- Zbliź się do mego tronu, dziewczyno — powiedziała. - Bo masz dar widzenia. Nie patrzyłaś na umarłych okiem lęku, lecz okiem prawdy, dzięki czemu uniknęłaś pierwszego niebezpieczeństwa w swej obecnej sytuacji.

Regeane ruszyła w kierunku tronu długim przejściem między rzędami kolumn. Czuła pod bosymi stopami zimny kamień, pył nawiewany przez wiatr znad pustyni otaczającej świątynię żądlił boleśnie jej nagie ciało. Za nią sunęło widmo Krysty z mieczem w dłoni.

Wycie wiatru wzmogło się, tumany pyłu wirowały na obrzeżach świątyni i siekły posadzkę. Regeane uniosła rękę, by przetrzeć załzawione oczy.

- Nie płacz — szepnęła Krysta - za katuszami, jakie cierpimy w marnej ludzkiej powłoce. Bo znalazłaś się tam, gdzie nie ma wstępu żadne żywe ciało.

Regeane zatrzymała się przed tronem, podniosła wzrok i spojrzała z bliska na twarz siedzącej na nim kobiety. Była to twarz ani młoda, ani stara; jej wieku nie dało się określić.

- Czego sobie życzysz? - spytała kapłanka.
- Proszę o uzdrowienie Antoniusza - powiedziała Regeane.
- Skoro tak - odparła Herofilia - to musisz poszukać kogoś, kto go uzdrowi.

Pobiegła wzrokiem wzdłuż szpaleru wysokich pylonów, które przywodziły na myśl uschnięte drzewa, zrzucające liście płomieni, i zapatrzyła się na rozległą pustynię. Zerwał się znowu gorący, suchy wiatr i Regeane usłyszała płaczliwe zawodzenie, to samo zawodzenie, które obudziło ją w nocy w klasztornej celi. Był w tym płaczu smutek tak dojmujący, tak gorzki, że chyba nawet miłość nie zdołałaby go ukoić. Był to pełen rozpacz, osamotniony płacz kogoś skazanego na wieczną

tułaczkę, kto nie ma najmniejszej nadziei na pocieszenie ani na odpoczynek.

- Wzywa cię ta, która poprowadzi cię tam - do niego - do tego, w kim twoja nadzieja.

Regeane obejrzała się. W blasku płonących w świątyni ogni zobaczyła tylko bezludną piaszczystą pustynię, usianą okruchami skał.

- Nikogo nie widzę - odparła.

- Ona tam jest - powiedziała Krysta - czeka. Dałaś jej lusterko i nadzieję.

- Wyciągnęła miecz w stronę Regeane.

Regeane odwróciła się i spojrzała jej w oczy. Wcześniej widziała tylko piękne, lecz mgliste widmo. Teraz patrzyła na kobietę z krwi i kości, o kasztanowych włosach, orzechowych oczach i mlecznobiałej cerze. Krysta uśmiechnęła się do Regeane niemal figlarnie, ale twarz zaraz jej spoważniała i znieruchomiła.

- Niełatwo przyjdzie mi to, co muszę uczynić — rzekła. - Muszę bowiem utoczyć ci krwi, by ta dusza, wypiwszy ją, mogła stać się jedną z nas, i żebyś ty, krwawiąc, znaczyła sobie drogę powrotu. Podążysz pod postacią wilczycy do ogrodu i twoja przednia łapa, ilekroć dotknie ziemi, składać będzie na niej ofiarę. Ten krwawy trop znaczyć będzie drogę powrotu. Ale zanim to uczynię, zawrzyjmy pokój. Znienawidziłam cię od pierwszego wejrzenia. Twoja uroda przypomniła mi, jaka byłam i już nigdy nie będę. Czy wybaczasz mi moją szorstkość? Kiedy umarłam, moja skołatana dusza długo nie opuszczała tego miejsca, medytując nad okrucieństwem i niesprawiedliwością świata, przekonana, że wieczność jest taka sama jak życie. Ale potem zjawiłaś się ty.

- Pomściłam cię - powiedziała Regeane.

- Nie - odparła Krysta. - Wymierzyłaś im sprawiedliwość.

Sprawiedliwość? Regeane stanęła przed oczami krwawa jatka, jaką urządziła żołnierzom Bazyla w przytułku. Przemknęło jej przez myśl, że czasami nawet umarłym mieszają się pojęcia. To miała być sprawiedliwość? Może i tak. Na pewno nie okazywała litości.

Herofilia odczytała jej myśli. Pochyliła się i podparła pod brodę.

- My też, nawet tutaj, prowadzimy dyskusje i różnimy się w poglądach — powiedziała. - Biedna dusza, która cię wzywa, prosi o wybawienie, widzi w tobie wybawicielkę. Bo nasze grzechy nie zawsze nas odnajdują, Regeane. Czasami stajemy się grzechem, który popełniamy, i to jest kara zań. Jej kara polega na tym, że nie może zapomnieć swojego ziemskiego życia. Ty, jak już powiedziałam, jesteś

jej nadzieją na wybawienie. Powiedz, czy jej nie zawiedziesz.

- Nie zawiodę — odparła Regeane i wyciągnęła rękę.

Czubek miecza Krysty rozciął jej głęboko dłoń. Po palcach pociekła krew. W czerwonej poświacie otaczającej trzy kobiety wśliznął się jakiś cień i zaczął ją chłeptać łapczywie. W chwilę później na nadgarstku Regeane zacisnęły się zimne, kościste dłonie.

Regeane zniosła to bez drgnięcia i nie cofnęła ręki. Na jej oczach coś się materializowało. Najpierw zobaczyła szkielet; potem ten kościec zaczął powoli obrastać ciałem — sinym, ziemistym ciałem trupa. Pojawiła się straszna twarz o poczerniałych, zapadniętych policzkach, nadgniłych, ściągniętych wargach, z dziurami bez powiek tam, gdzie powinny być oczy. Ale w miarę jak stwór pił krew, wstępowało w niego życie. Wargi goiły się stopniowo, w czarnych oczodołach zabłyśły oczy, przykryły je miękkie, pocięte siateczką niebieskich żyłek powieki i w końcu przed Regeane klęczała kobieta piękna jak za życia. Puściła rękę Regeane.

Była umalowana, obwieszona klejnotami, miała na sobie jedwabną suknię. Taką pewnie składała ją do grobu Lucilla.

Wstała i uradowana zakręciła się wokół własnej osi, przeglądając w lusterku.

- Znowu jestem sobą.

Siedząca na tronie Herofilia westchnęła głęboko.

- No, Adrasto — zapytała - tego pragnęłaś?

- Tak - wyszeptała Adrasta. Nie mogła oderwać oczu od swojego odbicia w lusterku. - Wróciła mi cała uroda. Pozostanie mi już na wieczność.

Regeane zwinęła w pięść zranioną dłoń i przycisnęła ją do piersi. Fale bólu przepływały przez rękę, pozbawiając ją nieomal przytomności.

- Powiedz mi, Adrasto - wyszeptała, z trudem poruszając spierzchniętymi wargami - jak mogę uzdrowić Antoniusza?

- Odszukaj ogród Dedala - odparła niemal od niechcienia Adrasta, nie odrywając oczu od lusterka. - Podążaj przez pustynię, aż natrafisz na rzekę ognia. Mnóstwo dusz koczuje na jej brzegu. Nie potrafią się przez nią przeprawić. Jedne cię nie zobaczą. Inne nie zwrócą na ciebie uwagi. Ale musisz odszukać wśród nich taką, która zgodzi się przenieść cię na drugi brzeg. Tylko uważaj. Jeśli zamienisz choć jedno słowo z tym błąkającym się tłumem albo odezwiesz się zagadnięta, lub jeśli ktoś z nich zagadnięty przez ciebie odezwie się do ciebie, będziesz zgubiona i zostaniesz wśród nich na zawsze. Po drugiej stronie rzeki znajduje się ogród Dedala.

- Antoniusz cię przejrzał, prawda? - zapytała Regeane. - Malując cię z lusterkiem w dłoni, wiedział, że jest dla ciebie jeszcze jednym lusterkiem.

Adrasta po raz pierwszy oderwała oczy od lusterka i posłała Regeane niechętnie spojrzenie.

- Tym jest dla ciebie miłość, prawda? - ciągnęła Regeane. - Pragniesz tylko widzieć swoją urodę odbijającą się w zachwyconej twarzy i oczach kogoś innego. To dlatego wybrałaś go na swojego kochanka i na ofiarę.

- Wynaturzony stworze - zapiszczała Adrasta. - Aniś ty zwierz, ani człowiek, jakie więc masz prawo mnie osądzać?! Ty, której przeznaczone nigdy nie zaznać miłości, chyba że takiej, która prowadzi do śmierci.

Wyrzuciwszy to z siebie, spojrzała znowu w lusterko i uśmiechnęła się, nucąc cicho pod nosem:

- Mam swoją urodę. Tylko tego pragnęłam, a gdybym w nią zwątpiła, wystarczy, że zerknę w lusterko i zaraz ją tam zobaczę.

Zaczęła powoli znikać i w miarę jak odpływała, jej ciało zmieniało się z powrotem w trupie truchło. Jednak odbicie w lusterku pozostawało niezmienione - widniała w nim młoda i piękna na zawsze twarz.

Po chwili od prądów powietrza hulających bez końca nad pustynią odłączył się zefir i porwał ją jak zeschnięty liść w niezmiernie przestrzenie wieczności.

- Ona jest w piekle i nawet o tym nie wie - powiedziała Regeane, zwracając się do Herofilii i Krysty.

- Nie zaprzeczę - odparła Herofilia. - Ale może z czasem pozna siebie lepiej.

- Przecież tutaj nie ma czasu - zaproponowała Regeane.

- To prawda - przyznała Herofilia. - Nie ma czasu, za to jest wiele tajemnic. Tak więc istnieje nadzieja, że pewnego dnia ona odrzuci samouwielbienie na rzecz współodczuwania i skruchy. Ale byłaby to bolesna przemiana, przypuszczam więc, że pozostanie, jaka jest. Wiedz bowiem, Regeane, że ceną dostąpienia raju jest cierpienie. A teraz, skoro taka twoja wola, idź szukać ratunku dla Antoniusza.

Z tymi słowami znikła. Gdziekolwiek odeszła, zabrała tam ze sobą Krystę, i Regeane została sama. Słyszała tylko nieustające zawodzenie wiatru i ryk płomieni tryskających ze szczytów pylonów.

Opuściła ją też wola pozostawania pod postacią kobiety. Przedzierzgnęła się

znowu w wilczycę i ruszyła przez pustynię, którą Herofilia nazwała wyniszczoną krainą. Ból przy każdym stąpieniu na skaleczoną łapę był taki, jakby we wrażliwą opuszkę wrażał się rozpalony do czerwoności szpikulec, ale wilczyca, gnana wolą kobiety, nie ustawała w biegu.

Wyniszczona kraina była piaszczystą, usianą kamieniami pustynią, nad którą wisało ciemne, bezgwiazdne niebo, i drogę oświetlały Regeane jedynie łuny bijące od płonących miast. Zbliżając się do każdego z nich, stwierdzała, że są zamieszkane, że tętnią bezrozumnym okrucieństwem i ślepą tragedią, które towarzyszą człowiekowi od zarania czasu.

Na ulicach, w blasku jęzorów ognia strzelających z dachów i okien płonących domów, żony rozpaczały nad poległymi mężami, a mężczyźni wygrażali niebu, klęcząc nad pohańbionymi i zamordowanymi matkami i córkami.

Tu i ówdzie rynsztoki spływały krwią zaszlachtowanych, a pijani nienawiścią zwycięzcy płaśali pośród tej rzezi i zgliszcz, chociaż i oni padali od zarazy i rzucali się jeden na miecz drugiego, by uciec od bólu puchnących brzuchów i lędźwi, który doprowadzał ich do szaleństwa. Inni poddawani byli torturom ćwiartowania, piętnowania, oślepiania, palenia żywcem, obdzierania ze skóry, i ci, wijąc się w męczarniach, zwracali się przeciwko swoim katom, by zadawać im te same katusze.

Wszystkie te widoki przygnębiały pędzącą przed siebie wilczycę. Nie dawała jej spokoju myśl, że ogląda prawdziwe dusze uwięzione w nieskończonej pętli okrucieństwa, bólu i rozpacz. Pocieszała się jednak, że to tylko wspomnienie tego, co było, a dusze tych cierpiących są już wolne.

Z ostatniego miasta pozostała tylko kupa gruzów pełna wzdętych, oblepionych muchami trupów, rozszarpywanych przez psy. Ujrzała przed sobą las, a przez ten las płynęła rzeka ognia.

Wilczyca przyśpieszyła. Serce wyrywało jej się do drzew, do ochłody pod ciężkimi konarami. Wszechobecny popiół był dla niej niemal taką samą torturą jak zraniona łapa. Może znajdzie w lesie czystą wodę do picia i poczuje wreszcie w nozdrzach coś innego, prócz dymu i swędu palących się ciał.

Jednak zbliżywszy się do lasu, stwierdziła, że on również jest wyniszczony. Opalone, martwe drzewa wyciągały płataninę bezlistnych gałęzi do posępnego nieba, w którym odbijała się krwawa łuna płonących miast. Zapuszczała się ostrożnie coraz głębiej. Kruche, przegniłe gałązki mijanych krzaków łamały się z suchym trzaskiem, kiedy się o nie ocierała.

Zaczęła się spuszczać po stromym zboczu ku brzegowi rzeki ognia. Wiele drzew leżało na ziemi. Ich splątane gałęzie i najeżone cierniami poszycie stanowiły złowrogie pułapki dla jej zmęczonych łąp.

Znalazła wodę, ale była to śmierdząca stęchlizną kałuża, gęsta od taniny wydzielanej przez gnijące drewno. Z pni stojących jeszcze drzew kora zwisała płatami jak mięso odłóżące od kości trupa. Ten las nie dawał żadnego schronienia. Schodziła jednak dalej ku rzece. Widziała między pniami jej płomienisty nurt.

Na skalistym brzegu napotkała dusze, o których mówiła Adrasta. Jedne widziała, ale nawet wilczyca odwracała od nich ślepią. Inne tylko wyczuwała, bo snuły się niewidzialne. Jedne zawodziły albo miotały się w szale, zgrzytając zębami i przeklinając swój los. Inne były tylko smutnymi, samotnymi głosami unoszącymi się na wietrze. Te głosy raniły jej uszy, prosiły, by się do nich odezwała, błagały o kilka chociaż słów pociechy.

Opowiadały ze szlochaniem rozdzierającą serce tragedię bycia człowiekiem. I Regeane, dusza uwięziona w ciele wilczycy, łkała cicho, że jej wilczy kształt nie może złączyć się z nimi w łzach bólu.

- Umarłam w kołysce... —jęczał dziewczęcy głosik. — Och, ten ból... ten ból.

- Mnie porwano i sprzedano w niewolę! - krzyczał w udręce jakiś męski głos. — Nie mogłem żyć bez wolności. Umarłem na mękach po trzeciej próbie ucieczki.

- Ja umarłem z głodu! - wył dziecinny głosik. — Matka zagłodziła mnie na śmierć, kiedy opuścił nas ojciec.

Nie - pomyślała wilczyca. O, nie. I nie zważając na ból w zranionej łapie, puściła się biegiem wzdłuż skalistego brzegu, byle dalej od tego kotła człowieczej niedoli. Żar bijący od płonącej rzeki osmalał jej bok.

Głosy podążyły za nią niczym rój furii, kładąc jej do uszu swoje żale.

- Kochałam swoich synów - zawodził kobiecy głos — a oni otruli mnie dla mojego złota.

- Mnie uduszono - charczał ktoś inny. - Mąż zarzucił mi zdradę. Byłam niewinna, ale on i tak kazał mnie udusić, bo upatrzył sobie inną, bogatszą ode mnie.

Nie — pomyślała wilczyca, i skręciła, by schronić się przed tymi głosami z powrotem pod marną osłoną martwych drzew. Drogę zagroziła jej nieprzebyta gęstwa ciernistych krzewów.

I nagle stała się znowu kobietą. Gorące, nagrzane od ognistej rzeki kamienie parzyły ją w bosc stopy. Zaległa błogosławiona cisza.

Obok niej majaczyła postać mężczyzny. Był tylko cieniem podświetlanym przez płomienie. Dziwne, ale spośród wszystkich snujących się wokół mar tylko on zdawał się ją widzieć.

- Jestem Wolfstan, wilk kamień - odezwał się.

Ojcie! — chciała wykrzyknąć Regeane, ale tego nie uczyniła. Nie wolno jej było odezwać się tu słowem.

- Nic nie mów - powiedział mężczyzna. — Pamiętaj o ostrzeżeniu Adrasty i zachowaj milczenie. Tylko jedno z nas może być tutaj słyszane.

Zmienił nieco pozycję i w blasku ognia Regeane zobaczyła rozległą ranę od bełta kuszy, który wydarł życie z jego piersi.

- Ile to już wschodów i zachodów słońca, Regeane, od chwili, kiedy wyrzastaś na świat z łona matki? Byłem przy tobie, od kiedy po raz pierwszy otworzyłaś oczy. Pamiętałem i kochałem cię, i czekałem tu na ciebie.

Regeane była teraz kobietą i mogła płakać. Podeszła do zjawy. Łzy płynęły jej strumieniami po policzkach.

- Złóż dłonie w muszelkę - ciągnął duch — bym mógł się z nich napić i poczuć znowu swoją śmiertelność.

Regeane posłuchała. Usta ducha dotknęły jej zakrwawionych dłoni. Zmaterializował się, przybierając postać mężczyzny.

Pierwsze, co zrobił, to ściągnął z siebie opończę i okrył nią jej nagość. Regeane zapomniała o przestrodze Adrasty. Potok słów cisnął się jej na usta. Tylko gorzki ból wzruszenia ściskający gardło sprawił, że zachowała milczenie.

- Nic nie mów i nie ruszaj się. - Mężczyzna położył Regeane palec na ustach. - Nic nie mów. Byłem przy tobie każdego dnia twójgo życia. Nie tylko podczas wschodów i zachodów słońca, lecz również przez długie nocne godziny, kiedy gwiazdy suną w ciszy nad światem. Byłem przy tobie za dnia, kiedy słońce paliło ci kark, a nad złotymi polami unosiła się migotliwa mgiełka skwaru. Słyszałem twój głos na letnim wietrze i podczas samotnych zimowych nocy, kiedy wielkie drzewa pękają z hukiem na mrozie, a śnieżna pierzyna wycisza ziemię. Znałem wszystkie twoje marzenia i obawy. Zaglądałem ci przez ramię, kiedy uczyłaś się sylabizować słowa zapisane w księgach. I razem z tobą zmagaliśmy się z osamotnieniem i bólem. Cóрко moja, moja umiłowana córeczko, ani przez chwilę nie

byłaś sama. Oglądałem twoimi oczami budzącą się wiosnę, kiedy zieloną mgiełką kielkowały nowe liście na drzewach i trawa na łąkach, oraz jesień, kiedy liście tworzą wesołą paletę barw nad brązową ziemią. Byłem przy tobie i kochałem cię każdego dnia twego życia. I czekałem tu na ciebie cierpliwie, wyrzekając się własnego spokoju.

To mówiąc, wziął Regeane na rękę i wszedł z nią w ryczące płomienie ognistej rzeki. Czuła, jak żar wokół narasta, sięgając mackami ognia, by wyłuskać ją z ramion ojca. Przeszli jednak bezpiecznie na drugą stronę i znaleźli się na łące jarzącej się w blasku wschodzącego słońca.

Wolfstan postawił Regeane w trawie i ujął w dłonie jej twarz. Podniosła nań wzrok. Był wysokim mężczyzną z gęstą grzywą piaskowych włosów. Zdziwiło ją, że twarz ma tak pospolitą. A była to twarz życzliwego, silnego mężczyzny o wielkim nosie nieraz złamanym w bójkach, pobliżniona w bitwach, które stoczył.

- Twoja matka - powiedział - nigdy nie zrozumiała mojej podwójnej natury. Nienawidziła i lękała się jej. Niech Bóg jej wybaczy! Dla twojej matki Wszzechmogący nosił zawsze twarz Gundabalda. Ale tutaj, na brzegu tej rzeki - tej przepaści pomiędzy ułudą a wiecznością — trzeba nie tylko odrzucić tęsknotę za doczesnością, ale również bunt przeciwko jej niesprawiedliwościom. Dopiero wtedy można wyruszyć na poszukiwanie światła wiecznego. Tak więc zostawiam tu swoją zdradzoną miłość, swoje poczucie straty i swoją gorycz.

Regeane chciała coś powiedzieć, ale poczuła znowu jego palec na swoich ustach.

- Sza, bo widzę twoje łzy, i one są jak gwiazdy, które oświetlać mi będą drogę we wszystkich moich wędrówkach... już zawsze.

Z tymi słowy zniknął, a na jego miejscu pojawił się wielki, szary wilk. Wilk odwrócił się i pobiegł ku skrajowi łąki, gdzie zaczynał się zielony las. Tam obejrzał się jeszcze, popatrzył na Regeane, a potem zniknął między drzewami. Jego nieprzemijająca, wieczna miłość omyła ją niczym fala.

Stała w milczeniu przed ścianą zielonego, żyjącego lasu, wciągając w płuca rześkie, czyste powietrze poranka.

Przez długi czas drżała zarówno z żalu, jak i radości. Opończa Wolfstana utkana była ze zgrzebnej, grubej wełny i obrębiona wąskim złotym haftem. Być może stanowiła część królewskiego stroju łowieckiego. Regeane owinęła się w nią i ruszyła, nie oglądając się za siebie.

Stąpiła po miękkiej, lekko wilgotnej od porannej rosy trawie. Promienie wschodzącego słońca podświetlały od spodu strzępiaste obłoczki sunące nad szczytem wzgórza. Krople krwi skapujące z jej zranionej dłoni skrzyły się i jarzyły rubinowo na źdźbłach zielonej trawy.

Podążając śladem wilka, doszła do skraju lasu. Było tu mroczno. Puszysty mech oblepiający korę drzew błyszczał intensywnym szmaragdem. W nieruchomości poranka nie śpiewał żaden ptak.

Giętkie, ciemnozielone liście paproci pochylały się pod jej ostrożnie stawianymi stopami, by zaraz potem powrócić sprężyste do poprzedniego położenia i zatrzeć ślady. Pasma lasu było wąskie. Wkrótce wyszła spomiędzy drzew i stanęła na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na ogród wciśnięty pomiędzy łagodnie, zalesione pagórki niczym dziecko wtulone w piersi matki. Dotarła do celu.

Stała tak przez chwilę, zapatrzona w dal. Słońce wynurzyło się już spod widnokrzęgu i w jego promieniach błyszczało coś jeszcze jaśniejszego. Czyżby jakieś piękne białe miasto, które ściąga na siebie całe światło? Trudno było dociec, słońce bowiem raziło ją w oczy.

Zaczęła schodzić stokiem wzgórza ku ogrodowi. Omal się nie rozplakała, kiedy tam dotarła. Ogród otoczony był żywopłotem z jeżyn o twardych, czarnych, ciemnych łodygach, obsypanych miękkimi, czteropłatkowymi, białymi kwiatkami.

Zatrzymała się. Dawało już o sobie znać zmęczenie. Dłoń pulsowała zimnym, tęnym bólem. Nie miała pewności, jak długo jeszcze zdoła go znosić, wyciągnęła jednak zranioną rękę i sztywne, ciemnozielone łodygi rozstały się ulegle pod jej dotknięciem.

Ruszyła wyłożoną kamiennymi płytami alejką, prowadzącą do tryskającej w głębi ogrodu fontanny. Po obu stronach alejki rosły kwiaty. Pieniły się wszędzie obficie, obojętne na porę roku. Niektóre rozpoznawała i potrafiła nazwać. Tu aksamitno-purpurowa lawenda, tam gęsta kępa szaławii, bratki, mlecze, maki, lilie...

Ja już tutaj bywałam — przemknęło przez myśl Regeane. Spacerowałam tu w najgłębszych snach. Pamiętam te sny jak przez mgłę. Spacerowałam tutaj i moje skołatanе serce tęskniło zawsze za tym miejscem. Za tą rzeźkością, za tym spokojem. A jego znajdę przy fontannie. I tak też się stało.

Włosy miał białe jak śnieg, brodę szpakowatą, a rysy twarzy tak samo piękne jak Herofilia. Musiał usłyszeć zbliżającą się Regeane albo przechwycić jej myśli, bo podniósł oczy znad księgi, którą czytał, i spojrzął na nią.

- Ty jesteś Dedalem? - zapytała Regeane.
- Tak, to ja, a cóż sprowadza do mnie tak piękne stworzenie?
- Chcę prosić o uzdrowienie pewnego człowieka - odparła. - Czy to w twojej mocy?

- Owszem, choć niewiele tu znaczę.

Skoro on niewiele tu znaczy - pomyślała Regeane — to jak wyglądają ci bardziej znaczący? Nie zadała jednak tego pytania. Usiadła z lubością na kamiennej ławeczce i spojrzała na skrzącą się w słońcu wodę, tryskającą z fontanny. Była bardzo spragniona.

- Czy mogę się napić? - spytała.

- Pij - odparł Dedal. - Ale nie zanurzaj w tej wodzie swojej zranionej dłoni - ostrzegł - bo to woda życia, a tylko ta rana łączy cię z ziemią. Jeśli się zagoi, możesz tam już nie wrócić.

- Sama nie wiem, czy chcę wracać — powiedziała cicho Regeane.

Dedal uśmiechnął się.

- Widzę, że jesteś bardzo młodym stworzeniem i ciężkie miałaś życie, ale nie obawiaj się, twój los może się wkrótce odmienić. Gdybyś tu jednak została, nic by się dla ciebie nie zmieniło. Ani na lepsze, ani na gorsze. Ja przybyłem tutaj jako posunięty w latach, wypalony wrak człowieka. Miałem powody sądzić, że doświadczyłem już wszystkiego, co życie ma do zaoferowania. Wzrok mi szwankował, a moje uszy ledwo słyszały grzmot gromu. Moja dusza była tak samo wypalona i zmęczona jak cała reszta. Świat nie miał już pożytku ze mnie, a ja z niego. Dawno już zapomniałem o swojej młodości i jej rozterkach. Zgorzknienie ogarnęło mą duszę. Wysuszyłem do dna czarę życia. Jedyne, czego pragnąłem, to odpoczywać tu w słońcu.

Regeane uklękła przed fontanną i zaczęła pić. Z każdym łykiem opuszczało ją zmęczenie, a serce nabrzmiewało poczuciem zwycięstwa. Antoniusz będzie taki jak dawniej, a światu przywrócona zostanie poetyka jego talentu. Nie na darmo przelała krew, nie na darmo cierpiała.

- Gdzie on jest? - spytał Dedal, odkładając księgę. - Ten, o którego uzdrowienie prosisz?

- W Cumae — odparła Regeane.

- Ach, Cumae - powiedział Dedal. - Mieszkałem tam długi czas i kochałem tamtejszą kapłankę. Pamiętam Akropol, sanktuarium wznoszące się na

wysokiej skale, nad ciemnym jak wino morzem Homera.

Kłęcząca przed fontanną Regeane spojrzała na niego ze smutkiem w oczach.

- To teraz ruiny — powiedziała.

Dedal ściągnął brwi.

- Tak, wiem od Ikara.

- Od Ikara?

- To mój syn. Powiedz mi, co mówią o nim ludzie.

- Mówią, że... - Regeane urwała, bo wydało jej się dziwne opowiadać legendzie o legendzie. — Mówią, że wleciał za wysoko - podjęła po chwili - słońce stopiło wosk w jego skrzydłach i spadł do morza.

Dedal roześmiał się.

- Bzdura. Skrzydła, owszem, były, ale nie z wosku. Nie, Ikar był z tych, co to muszą zbadać granice wszystkiego. Szybowałem w powietrzu jak statki pod pełnymi żaglami po morzu. Ikar badał możliwości mojej maszyny latającej i rozbił się na skałach. Ale tylko w jednym ze swoich żyć. Od tamtego czasu miał wiele innych.

- Kiedy ty przebywałeś tutaj?

- Tak - odparł Dedal. - Widzisz, moja droga, niektórym ludziom jedno życie wystarczy aż nadto, ale są i tacy, dla których i tysiąc to za mało. Ikar należy do tych ostatnich. Odwiedza mnie tu i przynosi wieści ze świata, z którego dawno temu odszedłem. Ze świata, który, przyznaję, zadziwia mnie niezmiernie. Niezbyt często opuszczam mój ogród i rzadko zdarza mi się spotkać taką jak ty istotę.

- Widzisz mnie taką, jaka jestem? - spytała z wahaniem Regeane.

- Tak. Widzę urodziwą, mądrą kobietę i widzę twoją chyżą nocną towarzyszkę. Tę, która kocha wolność księżycowej poświaty. Za życia uważałem podobnych do ciebie za istoty z sennych marzeń i wytwór fantazji. Kiedy jednak zamieszkałem tutaj, zrozumiałem. Ludzie postrzegają świat poprzez filtr racjonalizmu. Nie istniał nigdy gorszy od racjonalizmu władca ani tyran. Bo kto zostanie przezeń oślepiiony, nie widzi tego, co majaczy na skraju jego pola widzenia.

- Racjonalni ludzie przywiązaliby mnie do słupa i spalili - powiedziała Regeane.

- Otóż to. Jak mogliby znieść taką moc u kobiety? To trąci czarami.

- Czy to naprawdę takie straszne być czarownicą? – spytała Regeane.

- Nie. - Dedal uśmiechnął się. - Bo ziemia jest jak piękna kobieta, a czarownica jest jej głosem.

Dedał zamilkł i patrzył w dal oczyma, które nie widziały już Regeane.

Regeane wstała, owinęła się szczelniej ojcowską opończą i odrzuciwszy w tył głowę, odetchnęła głęboko czystym porannym powietrzem. Spojrzała na swoją dłoń. Wciąż krwawiła. Czerwone krople skapywały na płyty alejki.

- Pora na nas - powiedziała. — Chyba niewiele czasu mi zostało. Wciąż krwawię.

Rozejrzała się po ogrodzie, chłonąc jego piękno: kolorowe kwiaty na tle zielonej trawy, wysokie cyprysy przesłaniające pomarańczową kulę światła nad widnokrzem.

- Chcę zapamiętać to miejsce - powiedziała cicho. - Wszystko zapamiętać.

- Żeby któregoś dnia tu powrócić?

- Tak - przyznała Regeane. - Żeby któregoś dnia powrócić.

Dedał ujął jej zranioną dłoń. Poczwała potężne szarpnięcie, ból.

Nie wiedziała nic o rodzeniu, ale tak je sobie właśnie wyobrażała. W następnej chwili stali obok siebie na skale w Cumae przed świętym paleniskiem. Mgła się roziała, niebo usiane było gwiazdami, wiatr szarpał ojcowską opończą. Ogród był już tylko wspomnieniem.

Antoniusz leżał nagi w popiele wygasłego ogniska. Wyglądał na umarłego. Oczy miał zamknięte, a skórę posiniałą z zimna. Widać było jak na dłoni spustoszenia, których dokonała na jego ciele choroba: zniszczone palce u rąk i nóg, biały, odpadający nos, brak warg. A jednak unosił się wciąż nad nim cień dawnej urody.

Księżyc już zaszedł i krainę u stóp wzgórza spowijały ciemności. Po duchach nie pozostał ślad. Za Regeane majaczyła pusta skorupa świątyni.

Na schodach, niczym dwa posągi u wejścia do grobowca, stali nieruchomo dwaj hierofanci w czarnych opończach.

Wiatr nagle ustał i wszystko znieruchomiło. Regeane miała wrażenie, że słyszy ciszę.

Dedał opuścił ręce, a potem zaczął je powoli unosić. Na otoczonym kamieniami świętym palenisku buchnął ogień. Płomienie wyglądały jak prawdziwe i zaskoczona Regeane patrzyła na nie z przerażeniem.

Ale po chwili uświadomiła sobie, że od ognia nie bije ciepło. Antoniusz unosił się pośród niego niczym żyjąca w płomieniach salamandra, nie doznając żadnego

uszczerbku. W miarę jak ramiona Dedala unosiły się coraz wyżej, ogień białął, by w końcu nabrać oślepiającej jasności, a potem znikł.

Kiedy spojrzała znowu na Antoniusza, zobaczyła w popiele paleniska zdrowego młodego mężczyznę. Na jej oczach wzdrygnął się z zimna, przekręcił na bok i podciągnął kolana pod brodę.

Regeane zdjęła opończę i okryła nagiego Antoniusza. Dedal podszedł do niej i wziął znowu za zranioną dłoń.

- Wracasz ze mną do mojego ogrodu? — spytał.

- Nie — odparła. – Zanim zasnę, chcę się przekonać, jaki los szykuje mi ten świat.

- Aha. - Dedal cofnął się. - A więc nadeszła chwila pożegnania, śliczna pani księżycowej poświaty. Patrząc na ciebie, rozumiem, dlaczego nieśmiertelni bogowie szukają rozkoszy w ramionach śmiertelnych kobiet. I czemu mój nierozważny syn pija raz po raz z fontanny życia.

Z tymi słowy zniknął, pozostawiając Regeane samą pod gwiazdami, pośród zimnej zimowej nocy. Odwróciła się do dwóch hierofantów czekających na stopniach świątyni i wskazała na Antoniusza.

- Kiedy się ocknie - powiedziała - odprowadźcie go do matki.

W następnej chwili była już wilczycą. Utykając na krwawiącą wciąż łapę, schodziła świętą ścieżką w stronę Rzymu.

Regeane weszła do strumienia, krusząc cienką warstewkę lodu, jaka utworzyła się przy brzegu. Noc była przenikliwie zimna. Regeane zdawała sobie sprawę, że siły ją opuszczają. Nie miała pewności, czy zdoła przed świtem dotrzeć do Rzymu i schronić się w willi Lucilli.

Zatrzymała się na drugim brzegu i rozejrzała po bezludnej Kampanii. Mgła, kotłująca się wcześniej nad równiną, przywarła do ziemi i zestaliła się w szron pokrywający teraz żdźbła traw, które trzeszczały pod łapami wilczycy. W górze błyszcząły zimnym światłem miriady gwiazd.

Kobieta była zmęczona niemal tak samo jak wilczyca. Wcześniej czy później — myślała - śmierć i tak mnie dopadnie. Czemu nie miałyby się to stać tutaj i teraz? Ale co potem? Ogród Dedala? Któż to wie? Tak myślała, spoglądając na lodowy splendor rozpościerający się nad jej głową. W świetle za progiem świątyni szpetota mieszała się na równi z pięknem, tylko co z tej szpetoty i piękna było realne, a co iluzją? Z tym pytaniem umysł kobiety uwięziony w wąskiej czaszce wilczycy nie potrafił sobie poradzić. Ale nic to.

Igła bólu przeszła przy stąpieniu zranioną łapę. To przynajmniej jest realne - pomyślała Regeane. Wyczerpanie wsączało się w każdy mięsień ciała. Korciło ją, by położyć się w oszronionej trawie i zasnąć. Wspomnienia wilczycy były jak muzyka, układały się w nieprzerwany strumień obrazów, który zaczynał przyćmiewać umysł kobiety.

Kobieta była zbyt rozkojarzona i zniechęcona, by stawiać im opór. Opadała z sił. Chłód, który nigdy dotąd nie robił na niej większego wrażenia, przesączał się teraz przez grube futro i przenikał do szpiku kości.

Rzym - pomyślała kobieta i spróbowała poderwać się do biegu. Wiedziała jednak, że do Rzymu jest daleko. Obrazy nakładające się na jej świadomość zwiastowały rychłą śmierć. Nie uniknie jej na pewno, jeśli dzień zaskoczy ją nagą i samą w tej głuszy. Za wiele sił, za wiele krwi poświęciła dla ratowania Antoniusza. To już chyba koniec.

Ku rozczarowaniu kobiety zawsze pewna siebie wilczyca zdawała się godzić z tą myślą. Skoro tak, to po co walczyć do końca? Lepiej położyć się od razu na brzegu strumienia. Trochę bólu, a potem nadciągnie ciemność, ciemność niewiele różniąca się od snu, i będzie mogła biegać już zawsze u boku ojca po

niezmierzonych przestrzeniach wieczności.

Pochyliła łeb nad przepływającym obok strumieniem. Napije się jeszcze, a potem położy. Krew będzie wyciekała powoli w zmrożoną trawę. Otępiąta, zaczęła chłeptać lodowatą wodę.

Szok termiczny otrzeźwił ją. Picie tak zimnej wody w jej obecnym stanie było śmiertelnie niebezpieczne. Uniosła łeb i cofnęła się od strumienia, szczerząc zęby i kładąc po sobie uszy. Nie, ta woda byłaby praktycznie wyrokiem śmierci dla jej wyziębionego ciała.

Owładnęła nią furia. Zadarła łeb w górę i po raz pierwszy w życiu podniosła głos na ten potwornie niesprawiedliwy świat, na okrutny wszechświat i na dalekie, obojętne gwiazdy.

Z jej krtani wydobył się najpierw ryk wściekłości, który przeszedł z wolna w zboląły skowyt. Zew ten poniósł się przez noc nad równiną niczym sygnał trąbki. Opuściła łeb i zatoczyła się, po raz pierwszy uświadamiając sobie w pełni - jako wilczyca i jako kobieta — co mówi jej własne ciało. Nie była w stanie biec dalej, I naraz zdrętwiała z przerażenia. Usłyszała odzew! Wycie stłumione przez odległość, ale wyraźnie słyszalne w nocnej ciszy.

Zaczęła dygotać na całym ciele. W pierwszym odruchu chciała zerwać się do biegu, ledwie jednak stąpnęła na zranioną łapę, sparaliżował ją ból. Nie miała już sił.

Bezgłośny, ironiczny chichot przemknął przez świadomość kobiety. Wykrzyczała swoje wyzwanie śmierci, a zyskała tylko tyle, że ją do siebie przywołała. Potem myśli wilczycy przyćmiła biała furia, spychając na dalszy plan kobietę i jej ucywilizowanie. Warknęła pogardliwie na to biadolące stworzenie, które odwraca oczy od krwi i panicznie boi się śmierci.

Ona była świadoma swej siły, zachowała jej pod dostatkiem pomimo zranionej łapy. Sto dziesięć funtów twardych mięśni i prężnych ścięgien, kły zdolne rozerwać gardziel bykowi, szczęki, pod naciskiem których pękała jak patyk ludzka kość udowa. Wystarczy tego aż nadto, by stawić czoło każdemu zwyczajnemu wilkowi.

Wycie znowu się odezwało. Tym razem było bliższe, głośniejsze. I z zaskoczeniem wychwyciła w nim jakby prośbę, żeby odpowiedziała, żeby zdradziła, gdzie jest.

Niech tak będzie - pomyślała. Wóz albo przewóz. Może ulegnie przed liczebną przewagą. Nic to, lepiej zginąć w walce niż konać powolną śmiercią z zimna. Przez umysł wilczycy przewijały się wizje ciepłej krwi i gorącego czerwonego

mięsa, parującego w mroźnym powietrzu. Jeśli zwycięży, naje się do syta i zregeneruje siły.

Zadarła łeb i zawyła znowu. Był to niezmierny zew niosący w sobie zarówno wyzwanie, jak i zaproszenie. W chwilę potem usłyszała cichy, zbliżający się chrzęst, z jakim pękały pod ich łapami skruszałe na mrozie źdźbła trawy.

Pokuśtykała z powrotem do strumienia. Woląta go mieć za sobą, gdyby próbowały ją otoczyć. Ledwie zajęła pozycję, na szczycie wzgórza zamajaczyły czarne sylwetki o żółtych ślepiach. Zwolniły, zbiegły truchtem po zboczu i zatrzymały się u stóp pagórka.

Były to te same trzy wilki, które wcześniej spotkała w mieście. Rudy, szary i czarny. W pierwszej chwili odczuła ogromną ulgę, ale zaraz potem przyszło otrzeźwienie i obudziła się w niej nieufność. Wtedy nie zachowywały się nieprzyjaźnie, mało tego, ten szary olbrzym jakby się do niej zalecał, ale co zrobią teraz, widząc, że jest okulawiona? Dotrzymywała im jednak pola z dumnie uniesioną głową i postawionymi uszami, podwijając pod siebie zranioną łapę.

Przez dłuższą chwilę cała czwórka mierzyła się tylko spojrzeniami. Potem szary olbrzym odwrócił się do czarnej wilczycy i trącił ją ponaglająco nosem w nos. Wilczyca machnęła zgodnie ogonem. Rudy wilk, pamiętając chyba wrogość Regeane, trzymał się z tyłu. Przysiadł na zadzie i z szerokim psim uśmiechem na pysku zaczął się zapamiętale drapać tylną łapą za uchem.

Ma pchły - pomyślała z odrazą srebrna wilczyca. Jak takie szlachetne zwierzę mogło upaść tak nisko, żeby nabawić się pcheł?

Czarna wilczyca zbliżyła się do niej powoli, wyciągając szyję. Jej intencje były oczywiste: „Chcesz się zaprzyjaźnić?”

Chciała. Nie wiedziała, czy potrafią jej pomóc; nie wiedziała, czy ktokolwiek jest w stanie jej pomóc. Ale woląta cierpieć w ich towarzystwie. Wyciągnęła szyję do czarnej wilczycy.

Zetknęły się nosami. Srebrną wilczycę zaskoczył zapach, jaki poczuła. Wychwyciła w nim woń czerwonego mięsa, mroźnego nocnego powietrza uwięzionego w sierści, słodkiego oddechu oraz aromat świeżego chleba.

W krtani czarnej zabulgotało cicho. Zupełnie jakby mówiła: „Witaj”. Potem łagodnie przesunęła nosem wzdłuż pyska srebrnej wilczycy i położyła łeb na jej barku.

Srebrna wilczyca nie wiedziała z początku, jak na to zareagować. Dopiero po

chwili zrozumiała. W tej pozycji gardło czarnej było łatwym celem dla jej zębów. Gest ten oznaczał: „ufam ci”.

Teraz srebrna wilczyca złożyła łeb na barkach czarnej. Stały pierś w pierś, ciało czarnej wilczycy na wprost wyziębionej srebrzystej. Dygotała z zimna, z podniecenia, ze strachu. Czuła zapach ciepłego, czystego futra czarnej i łagodną aurę kobiecości, która unosiła się wokół tamtej niczym aromat egzotycznych perfum.

Czarna pierwsza zerwała kontakt. Cofając się, oblizwała pysk srebrnej wilczycy ruchem tak szybkim, że ta nie zdążyła zareagować na ów, zdaniem Regeane, przejaw zbytniego spoufalenia, a potem opuściła łeb i obwąchała zranioną łapę nowej przyjaciółki.

Srebrna wilczyca zjeżyła się i warknęła bardziej z obawy niż z gniewu. Z obawy przed bólem. Wielka czarna wilczyca podniosła na nią wzrok. Było w tym spojrzeniu współczucie i coś na kształt rozbawienia. Potem polizała delikatnie krwawiącą opuszkę. Dotyk języka uśmierzył spazmy bólu towarzyszące srebrnej wilczycy przez całą drogę od Cumae.

Wyprostowała łapę i podsunęła ją pod uzdrawiający język czarnej wilczycy, a sama skierowała uwagę na szarego olbrzyma.

Jeszcze przed chwilą obserwował bacznie scenę jej zaprzyjaźniania się z czarną wilczycą. Teraz krążył z nosem przy ziemi wśród wysokiej trawy i niskich zarośli porastających brzeg strumienia, i węszył, strzygąc uszami.

Nagle skoczył i przygniół coś przednimi łapami. Jego wielkie szczęki zatrzasnęły się z głośnym kłapaniem. W chwilę później targnął łbem, rzucając coś w jej kierunku. Przed srebrną wilczycą wylądowała polna mysz z przegryzionym karkiem, podrygująca jeszcze w śmiertelnych konwulsjach. Wilczyca cofnęła się odruchowo, wstępując zadnią nogą w lodowaty strumień. Wyskoczyła z niego błyskawicznie z przenikliwym skowytom.

Czarna wilczyca warknęła cicho i odwróciła łeb. Rudy wilk nie krył rozbawienia. Wyrzucił w powietrze zad, fiknął kozła i legł na grzbiecie, przebierając w powietrzu wszystkimi czterema łapami; przypominał do złudzenia skręcającego się ze śmiechu człowieka. Obok pierwszej wylądowała druga mysz, a zaraz potem trzecia. Czarna wilczyca popatrzyła na srebrzystą, po czym pochyliła łeb i popchnęła nosem jedną z myszy w jej kierunku. Wymowa tego gestu była oczywista.

Szary zerknął na tarzającego się wciąż po ziemi rudzielca i warknął. Potem przeniósł wzrok na srebrną wilczycę i spojrzał na nią rozkazująco.

O dziwo, decyzji nie podjęła wilczyca, lecz kobieta. Wilczyca była na swój sposób tradycjonalistką, ale kobieta wiedziała, że umiera z głodu. Mysz, nie mysz, coś zjeść trzeba. Poza tym gorszymi rzeczami żywiła się już pod postacią kobiety.

Przełknęła łapczywie pierwszą mysz. Nie była wcale taka zła - orzechowa w smaku, chrupka, bardziej grzyb niż ssak. Drugą jadła wolniej. Trzecią już się delectowała. Niezłe - pomyślała. Jaka delikatna! Całkiem niezła. Ciekawe, co powiedziała by Barbara, kucharka z klasztoru, gdyby ją teraz zobaczyła.

Po piątej myszy zaczęły jej wracać siły. Dotknęła zranioną łapą ziemi i zdumiał ją cud, jakiego dokonał język czarnej wilczycy. Opuszka była jeszcze obolała, ale mogła chodzić - i to swobodnie. Już nie utykała.

Szary olbrzym popatrzył na nią z uznaniem i poprowadził małą watahę brzegiem strumienia, szukając dalej myszy. Następną zjadł sam, posyłając srebrnej wilczycy przeciągłe, znaczące spojrzenie.

Przepęłniło ją dzikie podniecenie. On chciał ją nauczyć polowania. Następną mysz podchodził powoli, demonstrując, jak to należy robić.

Trzeba sunąć przez trawę wolno, cicho, oczy i uszy mieć otwarte na najmniejsze poruszenie, na najcichszy szelest. Potem błyskawiczny skok, i zdobycz złowiona.

Srebrna wilczyca zaczęła naśladować jego ruchy. Z nosem przy ziemi sondowała wzrokiem i węchem gęste zarośla i wyschnięte, uśmiercone przez zimę zielsko. Zastygła, ujrawszy swoją pierwszą ofiarę — tłuste brązowe stworzonko obgryzające zeschnięty słonecznik. Skoczyła i trafiła łapami w pustkę.

Mysz uskoczyła, wpadając prosto w otwartą paszczę rudego wilka. Schrupał ją z lubością i nagroził srebrzystą wilczycę szerokim psim uśmiechem.

Z następną myszą też jej się nie powiodło. Umknęła jej spod łap, by paść ofiarą czarnej.

Srebrna wilczyca zacisnęła zęby i dalej naśladowała szarego olbrzyma. Zauważyła poruszenie, skoczyła i przednimi łapami przygwoździła do ziemi zająca. Wyrwał się jej, odbił od pyska i wykorzystując moment, kiedy oszołomiona niespodziewanym uderzeniem w nos mrugała ślepiami i potrząsała głową, czmychnął, kicając.

Jej przygoda najwyraźniej setnie ubawiła rudzielca. Wyskoczył w powietrze, opadł na ziemię i jął się po niej tarzać. Szary zawrócił zwinnie i ugryzł go w zad. Rudy zaskowytał i znowu podskoczył, ale tym razem nie z rozbawienia. Potem usiadł

i zaczął sobie oblizywać ugryzione miejsce, zerkając raz po raz z wyrzutem na szarego olbrzyma.

Szary spojrział na srebrną wilczycę pytająco, tak jakby chciał powiedzieć: „Kontynuujemy?” Następna próba uwieńczona została powodzeniem. Pod jej łapami wiło się coś miękkiego i porośniętego futerkiem. Zatrzasnęła szczęki. Mysz, i to jaka smaczna! Od tej chwili polowanie przychodziło jej już z łatwością. Miała wrodzoną, właściwą wszystkim drapieżnikom, umiejętność całkowitej koncentracji. Wystarczyło tylko zdać się na zmysły. Wkrótce, ku konsternacji rudzielca i zadowoleniu szarego olbrzyma, okazało się, że jest w tej zabawie najlepsza.

Kiedy myszy już im się przejadły, szary poprowadził ich na równinę. Srebrna wilczyca, najedzona już i wypoczęta, bez trudu dotrzymywała im kroku.

Cztery wilki sunęły jak cienie po zmrożonych wzgórzach. Cały świat wokół nich zdawał się pogrążony we śnie. To noc, o jakiej zawsze marzyłam - myślała srebrna wilczyca. Tak musiało być przed nastaniem człowieka z jego miastami, jego okrucieństwem, jego wojnami... Pierwotna niewinność. Towarzystwa dotrzymywały im tylko gwiazdy.

Wypłoszyły łanię śpiącą w kępie drzew nieopodal opuszczonej chaty i ruszyły w pościg bardziej dla zabawy niż z zamiarem jej powalenia. Srebrna wilczyca wyciągnęła się w biegu, upojona szybkością, jaką była w stanie rozwinąć.

Dopędziła umykającą ofiarę, zrównała się z nią, spojrzała w szeroko rozwarte ciemne oko, na szyję pulsującą krwią i życiem. Wciągnęła w nozdrza kwaśny odór śmiertelnego przerażenia. I naraz zauważyła, że łania jest brzemienna.

Kobieta powstrzymała stanowczo wilczycę. i zaniechała pościgu i zwolniła, by zaczekać na resztę.

I w tym momencie wychwytiła w powietrzu zapach miasta. Rzym - przemknęło jej przez myśl - i willa Lucilli. Pora ha nią, jeśli chce tam dotrzeć przed brzaskiem. Noc się kończyła.

Wilki skręciły w stronę wyludnionej wioski wciśniętej w fałdę wzgórza. Do miasta było stąd już blisko. Srebrna wilczyca wyczuła swąd dymu dolatujący z jednej z pogrążonych w mroku, rozsypujących się chat. Domyśliła się, że to kryjówka jej nowych znajomych. Tu zostawili swoje odzienie, a teraz wracają po nie, by się ubrać i ogrzać przy ogniu przed powrotem do miasta. Był to ich bezpieczny przystanek pomiędzy światami ludzi i wilków.

Zatrzymała się na skraju wioski. Reszta wilków też przystanąła. Odwróciły się

i patrzyły na nią. Srebrna wilczyca zrozumiała, że ją zapraszają. Szary olbrzym postąpił krok w jej stronę.

Pożądanie rozpało umysł kobiety. W odróżnieniu od wilczycy kobieta była już gotowa do inicjacji w sztuce miłości. Więcej niż gotowa. W chacie szary olbrzym stałby się mężczyzną, a ona kobietą. Pozostała dwójka ubrałaby się szybko i wyszła. Zostaliby sami. On nie musiałby się do niej odzywać. Ona nie odezwałaby się do niego.

Patrzyliby sobie, jak teraz, w oczy, zdradzali jedno drugiemu bez słów tajemnice swoich osobistych wszechświatów. On okazałby się wspaniałym i silnym mężczyzną. Zaczęłyby ją pieścić.

Wiedziała, że znalazłszy się w jego ramionach, niczego już by mu nie odmówiła. Oddałaby się mu całkowicie, chętnie i bez poczucia wstydu.

Ale ta trójka była bezpieczna w swoich obu wcieleniach, czego nie można było powiedzieć o niej. Nie chciała, by z jej powodu nagle zaczął na nich polować król albo papież.

Podbiegła do niej czarna wilczyca. Dotknęła nosem jej nosa, położyła jej łeb na barku. Gest miłości i zaufania. Błogosławieństwo. Pożegnanie.

Srebrna wilczyca odwróciła się i nie oglądając się za siebie, ruszyła biegiem. Kiedy ze szczytu pierwszego pagórka zobaczyła miasto, niebo na wschodzie już jaśniało; gwiazdy bladły.

Lucilla czekała na nią pod brzoskwiniami z latarnią w ręce. Na widok wilczycy, która przesadzała mur okalający willę, zdmuchnęła płomień.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła z ulgą.

Regeane zatrzymała się przed nią już pod postacią kobiety. Lucilla narzuciła jej na ramiona opończę i wprowadziła do willi.

- Co z Antoniuszem? - spytała.

- Jest już zdrow — odparła Regeane. - Przekonasz się, kiedy wróci. Jestem wyczerpana. - Dopiero teraz uświadamiała sobie, jak bardzo jest zmęczona. Furia, która uchroniła ją przed śmiercią nad strumieniem, i euforia, z jaką przemierzała Kampanię z trzema napotkanymi wilkami, ulotniły się bez śladu.

- Półtora dnia nie zmrzyłam oka - zwierzyła się Lucilli, wchodząc za nią do kubikulum.

Usiadła na brzegu łóżka. Lucilla podała jej czarę wina.

- Powiadasz, że jest zdrów? - spytała z niedowierzaniem. - Jak to możliwe?

- Błagam cię, Lucillo - jęknęła Regeane. - Nie mam sił. Powiem ci tylko, że tej nocy zrobiłam wszystko, o co mnie prosiłaś, a nawet więcej. Teraz pozwól mi, na Boga, odpocząć.

- Dobrze już, dobrze — ustąpiła Lucilla. — Zjesz coś? Głodnaś? Regeane pokręciła głową.

- Jadłam już - powiedziała z uśmiechem.

Lucilla wzruszyła ramionami.

- Wolę nie pytać, gdzie i co.

Regeane zachichotała, wsunęła się pod kołdrę i ziewnęła.

- Tylko myszy - powiedziała.

- Myszy?! - krzyknęła ze zgrozą Lucilla. - Myszy – szepnęła zaintrygowana. - Myszy? To wilki jedzą myszy?

- Czasami - odparła Regeane i w chwilę później już spała.

Trzy postaci, jeszcze przed chwilą trzy wilki, ubierały się przy małym ognisku rozpalonym na klepisku chłopskiej chaty.

- Boże Wszechmogący! Na wszystkich bogów, widzieliście, jak ona biegła? - wyszeptał ten, który był szarym olbrzymem. - Ależ byłaby z niej łowczyni! Dopadłaby tę łanię, gdyby tylko chciała.

- Piękna — przyznał ten, który był rudzielcem — ale zbyt narowista. Ciągnie ją do siebie. To widać. Mógłbyś się z nią nieźle zabawić.

- W tym przypadku chodzi mi o coś więcej niż o zabawienie się — odparł szary. - Choć, na Boga, smakowity z niej kąsek.

- A mnie się wydaje - wtrąciła kobieta-czarna wilczyca, wciągając suknię - że ta srebrzysta nie rozumie, jak bardzo jest wolna. Brak jej pewności siebie. Wyczułam to. I nie zdaje sobie sprawy, jaka moc w niej drzemie. Zwyczajne polowanie na myszy było dla niej objawieniem.

- Nie daje mi spokoju ta rana - powiedział szary. - Niewiele jest ran, które nie goją się na nas podczas przemiany.

- Tak, to nie była zwyczajna rana - przyznała czarna. - Zorientowałam się od razu, ledwie dotknęłam jej językiem. Bóg jeden wie, przez co przeszła, zanim ją spotkaliśmy. Nie spodziewała się istot swojego rodzaju, lecz naszych dzikich kuzynów. Co ci kazało poprowadzić nas dziś w nocy na Kampanię? — zwróciła się do szarego.

- Miałem swoje powody - odparł. - Żywiłem nadzieję, że tują spotkamy. Gdybym mieszkał w tym cuchnącym mieście, właśnie tutaj bym biegał.

- Czy ja wiem? — odezwał się rudzielec. - To miasto nie jest wcale takie straszne. Zaczyna mi się tu podobać.

- O, tak - mruknęła z przekąsem czarna. - Już ja wiem, co Ci się tu podoba. To stąd u ciebie te pchły?

- Nie mam żadnych pcheł - zachnął się rudy i natychmiast zadał kłam własnym słowom, wsuwając rękę pod koszulę, żeby się podrapać.

- Tak czy owak — powiedziała czarna - trzymaj się ode mnie z dala, dopóki się nie wykąpiesz i nie okadzisz.

- Straszny z ciebie abnegat, Gavinie, jak na zmiennokształtnego — wtrącił szary.

- Taki już się urodziłem, Maenieliu - odparł Gavin. - I nie zmienia to faktu, że mam powodzenie.

- Między innymi u pcheł - wtrąciła Matrona.

- Zaraz pierwszej nocy — ciągnął Gavin, puszczać tę uwagę mimo uszu - zapoznałem jedną taką ślicznotkę, co mieszka przy Forum.

- Sukę czy kobietę? - spytał Maenieli.

- Jak się okazało, jedną i drugą - odparł Gavin. – Zrobiliśmy to na jeden sposób, potem na drugi, a potem na oba naraz. Zaimponowało jej, jak rozprawiłem się z rywalami. Nie była specjalnie zadbana, ale cóż to znaczy parę pcheł między kochankami.

- Zboczeniec — fuknęła Matrona.

Regeane dwa razy wybudzała się z długiego snu. Podczas pierwszego z tych przebudzeń zobaczyła nad sobą pochylającego się Antoniusza, obok którego stała Lucilla. Po chorobie, która toczyła dotąd jego ciało, nie pozostał żaden ślad.

Pocałował ją w czoło, a ona odpłynęła z powrotem w sen. Po raz drugi obudziła się w objęciach Elfgify. Gdzieś z boku dolatywał strofujący głos Lucilli. Znowu zasnęła.

Po raz trzeci obudziła się już sama. Przez wąskie okno wlewała się smuga dziennego światła. Usiadła na łożu i rozejrzała się. Lucilla przygotowała dla niej odzienie. Na oparciu krzesła wisiła biała koszula i suknia.

Ziewnęła i wstała. Kiedy się ubierała, do pokoju weszła Lucilla.

- No, nareszcie! - zawołała. - Kończ szybko i chodź. Siadam właśnie do porannego posiłku. Mamy wiele do omówienia.

Poprowadziła Regeane do małego ogródka z dala od atrium. Było tu ustronnie i zacisznie. Na rabatkach otaczających sadzawkę z rybami kwitła wonna marzanna.

- Rankami bywam zła jak osa - powiedziała Lucilla — i służba rzadko mnie tu niepokoi.

Obok sadzawki stał marmurowy stół, do którego przystawiono dwa wygodne, wyściełane krzesła. Zajęły miejsca.

- Podejrzewam - podjęła Lucilla - że uznasz ten posiłek za trochę bardziej pożywny od tradycyjnych rzymskich śniadań. Nie jestem zwolenniczką rozpoczynania dnia od suchego chleba, kwaśnego wina i paru fig. Nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki przyniesie dzień, a ja wolę stawić im czoło z pełnym

brzuchem.

Posiłek składał się z plastrów zimnej pieczeni z piersi kapłona w winnym sosie rodzynkowym, świeżego, ciepłego jeszcze chleba, z miodu, masła i białego sera. Do tego łagodne białe wino pachnące lekko bazylią.

- Jak długo spałam? - zapytała z pełnymi ustami Regeane.
- Cały wczorajszy dzień — odparła Lucilla - i całą noc.

Regeane westchnęła.

- Byłam bardzo zmęczona.

Zamilkły i już do końca posiłku nie odezwały się ani słowem.

- Mam dla ciebie złe wieści - zaczęła znowu Lucilla, kiedy syte odpoczywały, delektując się winem. - Nie przekazałam ci ich wcześniej, żeby nie psuć ci apetytu. Otóż, Regeane, twój przyszły małżonek jest już w Rzymie.

Regeane omal się nie zakrztusiła. Spojrzała na trzymaną w ręce czarkę z winem, wykonaną z opalizującego szkła, które przypominało macicę perłową. Odstawiła ją na marmurowy stół. Dłonie jej drżały.

- No i? - spytała.
- Bardzo spokojnie to przyjmujesz - zdumiała się Lucilla.
- Nie zapominaj - przypomniała jej Regeane - że spodziewam się go już od jakiegoś czasu. Czego oczekiwałaś? Że będę krzyczeć? Że się rozplącę? Że zacznę rwać włosy z głowy i drapać sobie paznokciami twarz? Nie, Lucillo, ja taka nie jestem. A więc widziałaś go? Opowiedz mi, jak wygląda.

- Z twojego punktu widzenia sprawa gorzej już się przedstawiać nie może. Sama go jeszcze nie widziałam. Poprosiłam Augustę, żeby wyjechała mu na spotkanie do Ostii.

- Augustę?

- Tak. Wykręcała się, jak mogła, ale jest mi coś winna za konszachty z tym twoim nikczemnym wujem. Tak czy owak, okazuje się, że ten twój przyszły małżonek wcale nie jest stary. A tak na to liczyłam. Leciwi mężczyźni chrapią po nocach i bardzo się przejmują swoimi brzuchami i kiszki. Atrakcyjnej, młodej kobiecie łatwo wodzić ich za nos. Co gorsza, on nie jest również zniewieściały. Z takiego rodzaju mężczyznami też nietrudno sobie radzić. Wystarczy patrzeć przez palce na ich drobne przywary i oferować szczerą przyjaźń. Ale nic z tego. To dobrze zbudowany mężczyzna w kwiecie wieku. Według Augusty jest inteligentny, dobrze wychowany i elokwentny. Powiedziała, że masz szczęście. Że to całkiem udany, jak na

barbarzyńcę, kawaler.

Regeane odrzuciła do tyłu głowę i spojrzała w błękitne jesienne niebo. Potem przymknęła oczy i docisnęła palcami powieki. Po głowie tłukła jej się myśl: „Będziesz go musiała zabić”.

- Nie — wyszeptała. - Nie. Nie chcę.

Opuściła głowę, otworzyła oczy i spojrzała na Lucillę. Lucilla przyglądała jej się z uśmiechem.

- Tak - powiedziała, odczytując myśli Regeane. — Wiem, czego nie chcesz, ale im mniej tu zostanie powiedziane, tym lepiej. Nawet ściany mają uszy.

- Czy miał jakieś zastrzeżenia do kontraktu małżeńskiego? - zapytała Regeane.

- Nie - odparła Lucilla. — Kontrakt sporządzono na rozkaz Hadriana w kancelarii na Lateranie. Maeniel już go widział.

- To on umie czytać?

- Na to wygląda - powiedziała Lucilla - bo wiem od Hadriana, że zadał kilka pytań w związku z paroma klauzulami kontraktu, ale żadnych poważnych obiekcji nie zgłaszał.

Regeane kiwnęła głową.

- Dzięki Bogu.

- Twoje podziękowania są przedwczesne, moja droga - powiedziała Lucilla. - Kiedy opuścisz Rzym, ten kontrakt stanie się zwykłym świstkiem papieru. Tam, w górach, ani papież, ani król nie będą w stanie wyegzekwować przestrzegania jego postanowień.

- Czy ja wiem - mruknęła Regeane, przygryzając wargę. — On będzie się starał wykorzystać małżeństwo ze mną do umocnienia swojej pozycji, a król jest bardzo wrażliwy na punkcie honoru. Źle mnie traktując, ściągnąłby na swoją głowę królewski gniew.

- Tak - przyznała Lucilla. - I musisz wzbudzić w nim przekonanie, że poprzez ciebie wiedzie droga do królewskich łask. Mam nawet w związku z tym pewien plan. I tu dochodzimy do uczytary zarczynowej, która odbędzie się dzisiaj.

Lucilla wyłuskała z fałd sukni woskową tabliczkę i położyła ją na stole.

- Ubierzesz się na biało. W jedwab haftowany w delikatne złote stokrotki. W Rzymie bawi obecnie frankoński możnowładca. Tak się składa, że jego najemnicy strzegą teraz mojej willi. Zwie się Otho. Jest tłusty i ma świńskie oczka, ale rób do

niego słodkie oczy i dokładaj wszelkich starań, żeby oczarować tę ropuchę. Król Franków chyba nie bardzo mu ufa, ale często korzysta z jego usług. Jestem przekonana, że doniesie Karolowi, jaki skarb oddał temu Maenielowi. Przy odrobinie szczęścia zostaniesz może wezwana na dwór i to niefortunne małżeństwo nie potrwa długo.

- Sama nie wiem, Lucillo - odezwała się z wahaniem Regeane. — Bo przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że zdołam dojść jakoś do porozumienia z Maenielem, co wtedy?

- Tym będziemy się martwić w swoim czasie - odparła Lucilla. - Tak czy inaczej, Otho trzeba zaprosić na ucztę weselną. Warto go sobie zjednać, tak na wszelki wypadek. Ale to tylko margines mojego planu. Bo zastanów się, moje dziecko — ciągnęła. — Bez względu na to, jaki obrót przybiorą sprawy, spędzisz kilka lat sam na sam ze swoim mężem.

Regeane pokiwała głową.

- W związku z tym - ciągnęła Lucilla - planuję, by przydzielono ci oddział utworzony z pilnujących teraz mojej willi najemników, który zabierzesz ze sobą w góry. Nie sądzę, bym miała jakieś trudności z przekonaniem Otho, że to dobry pomysł. Napomknę mu, na przykład, że warto mieć oko na tego Maeniela.

- Rozumiem - powiedziała Regeane. - Będą pilnowali przestrzegania kontraktu małżeńskiego.

- Otóż to - przytaknęła Lucilla. - Ale tu wyłania się kolejna trudność.

- Gundabald - westchnęła Regeane.

Lucilla uniosła brwi i uśmiechnęła się do Regeane z zadowoleniem.

- Bystra dziewczyna - pochwaliła ją. - Jak to odgadłaś?

- Znam Gundabalda - odparła Regeane. - Postara się, żeby powierzono mu dowództwo nad tymi najemnikami i natychmiast zacznie ich sobie podporządkowywać. Kiedy skończy, będą lojalni wobec niego i tylko niego.

Lucilla roześmiała się, a potem odchyliła na oparcie krzesła i zapatrzyła w przestrzeń. Po jej wargach błąkał się enigmatyczny uśmiezek.

Regeane ciarki przeszły po plecach.

- Jakie masz plany względem Gundabalda? - spytała z niepokojem.

Lucilla sięgnęła po dzban, napełniła czarkę wonnym winem, a potem nachyliła się do Regeane.

- Każę go udusić - wycedziła cicho.

- Nie! — krzyknęła Regeane, zrywając się z krzesła.
- No właśnie - wysyczała Lucilla. — Ogłoś to całemu światu.

Regeane usiadła szybko.

- Nie — powtórzyła już ciszej.
- A co? - warknęła półgłosem Lucilla. - Tak bardzo go kochasz?

Regeane zacisnęła pięści i wbiła wzrok w blat marmurowego stołu.

- To morderstwo. Zwyczajne morderstwo.
- A widzisz inne rozwiązanie? - zapytała Lucilla.

Regeane nie odpowiedziała. Przed oczyma stanął jej duch z raną w piersi, którego spotkała nad ognistą rzeką.

- Wolfstan mu wybaczył - powiedziała.
- Kto?
- Mój ojciec. Spotkałam go w zaświatach. Wybaczył Gundabaldowi.

Lucilla zamachała ręką, tak jakby chciała odpędzić tę wizję od Regeane, i nachyliła się do dziewczyny, podpierając się pod brodę.

- Czy ja dobrze zrozumiałam? Powiadasz, że spotkałaś w zaświatach swego ojca. Kiedy? Jak to możliwe?

- Tej nocy, kiedy ocalałam Antoniusza - odparła Regeane. - Odbyłam podróż na tamten świat. Spotkałam tam ojca. Nadal miał ranę zadaną mu przez Gundabalda.

- Potrafisz rozmawiać z umarłymi? - wykrztusiła Lucilla.

- Tak. W klasztorze objawiła mi się przeorysza Hildegarda. Zakonnice bardzo to przestraszyło, bo ona od dawna nie żyje.

Lucilla odrzuciła do tyłu głowę i zaniósła się śmiechem.

- Zakonnice bardzo to przestraszyło. O Boże! O Matko Boska! O Chryste! Już to sobie wyobrażam. Nic dziwnego, że Emilia tak chciała się ciebie pozbyć. - Lucilla trzymała się za boki. - Tej nocy, kiedy stamtąd uciekałaś, dałam im znać, że jesteś tutaj. Nazajutrz poszły wszystkie do Hadriana. Przekonywały go, że najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz pod moją opieką. Próba otrucia, atak hysterii siostry Angeliki, wyliczały wszystkie argumenty, tylko nie ten decydujący.

Lucilla uspokoiła się i otarła zażawione oczy. Nagle coś przyszło jej do głowy. Rozejrzała się niespokojnie po ogrodzie.

- Ale tu chyba żadnego ducha nie widzisz? - spytała.
- Nie.

- Niebu niech będą dzięki. - Lucilla potrząsnęła głową.
- Ale często, widząc je, nie wiem, że patrzę na duchy - powiedziała z wahaniem Regeane. - Czasami wyglądają jak zwyczajni śmiertelnicy.

Lucilla całkiem już spoważniała. Spojrzała na Regeane.

- Widziałaś Adrastę?
- Tak. — Regeane odwróciła wzrok. - Jest w piekle.
- I niech tam gnije - wycedziła Lucilla i ujęła Regeane za nadgarstek. - Spójrz na mnie, dziewczyno. Nie wiem, czy twój ojciec wybaczył Gundabaldowi, czy nie. Zakładam, że mówisz prawdę i rzeczywiście spotkałaś go w jakimś świecie, do którego my, zwyczajni śmiertelnicy, nie mamy wstępu. Ale ciebie, w odróżnieniu od twojego ojca, nie stać na luksus takiej wspaniałości. Nie możesz sobie na nią pozwolić. On nie żyje i nic już nie może mu zaszkodzić. To szlachetne wybaczać krzywdy doznane w przeszłości, ale ty musisz myśleć o tych, jakie Gundabald może Ci jeszcze wyrządzić.

W ogrodzie robiło się coraz cieplej, nad kwiatami otaczającymi sadzawkę krążyły pszczoły. Regeane przymknęła oczy i oddychała głęboko. Otaczały ją słodkie wonie. Delikatny zapach kwiatów, cięższy aromat czystego ciała Lucilli. Samo powietrze zdawało się pachnieć białym winem. Każdy wdech sprawiał rozkosz. Niesamowicie było siedzieć pośród tego piękna i planować śmierć człowieka.

- Co się stało? - spytała Lucilla.
- To wilczyca - odparła Regeane. - Przychodzi czasami i chce się napawać światem.

- Odbiegasz od tematu - powiedziała Lucilla. - A wilczycy każ odejść. Żadne zwierzę nie jest w stanie pojąć obłudy, a już na pewno nie pojmie tego, co tu planujemy.

Wilczyca odeszła w mrok. Regeane powróciła do rzeczywistości.

- A co my planujemy? - spytała, unosząc brwi.
- Twój wuj lubi się zadawać z pospólstwem, prawda? Jest bywalcem podrzędnych domów uciech, gospod, spelunek i tym podobnych.

- Tak.
- To dobrze. Morderstwa najlepiej dokonać w taki sposób, by wyglądało na przypadkową śmierć, której winny był styl życia ofiary. Po drugie, twój wuj niechętnym okiem patrzy na zawierane przez ciebie znajomości. Znajomości z ludźmi, którzy mogliby ci się wydać bardziej przydatni niż on. Podejrzewam, iż twój

czarujący wujaszek zrozumie wkrótce, że źle cię traktował. Zrozumie, że jesteś inteligentniejsza i potężniejsza, niż myślał. Przybędzie do mojej willi skruszony, by naprawić stosunki między wami. - Lucilla zawiesiła głos i uśmiechnęła się złowroźnie.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała Regeane. - Kiedy ostatnio go widziałam, groził, że mnie zabije.

- I nadal zamierza to uczynić — powiedziała Lucilla — ale najpierw musi cię sobie zjednać. Bo jak inaczej dopnie swego i napełni kieszenie złotem Maeniela?

- Nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Sama jego bliskość przyprawia mnie o gęsią skórę. - Regeane wzdrygnęła się.

- Wierzę ci - odparła Lucilla. - Ale kiedy tu przyjdzie, musisz udawać, że przekonują cię jego słodkie słówka. Tylko pamiętaj, nie daj mu się udobruchać zbyt szybko, bo może powziąć jakieś podejrzenia. Bądź mu z początku bardzo niechętna. W tych sprawach trzeba wielkiej przebiegłości i delikatności. Radziłabym Ci nawet okazać przy pożegnaniu pewną dozę nieufności. Ale przede wszystkim musisz wzbudzić w nim wiarę, że dasz się w końcu przekonać, puścisz w niepamięć dawne urazy i pozwolisz sobą sterować. Niech wyjdzie stąd pewny swego. Ja wynajmę człowieka, który za nim podąży. Kiedy wyłowią Gundabalda z Tybru, odprowadzisz go do grobu w czarnym welonie na głowie, roniąc łzy. Tylko co z Hugo? Czy jego również mam objąć moim planem?

Regeane, dziwiąc się swemu spokojowi, sięgnęła po dzbanek i napełniła winem czarkę.

- Nie sądzę - rzekła z namysłem. - Kiedy zabraknie Gundabalda, Hugo będzie mi we wszystkim posłuszny. Boi się mnie.

- Wspaniale - powiedziała Lucilla. - Takie sprawy najlepiej rozgrywać najprostszymi środkami.

- Hugo się domyśli - zastanawiała się Regeane, spoglądając w bezchmurne niebo i unosząc do ust czarkę.

- Owszem, moja droga - odparła Lucilla. - Ale nikomu nie powie, prawda?

- Nie - przyznała Regeane. - Nie ma pieniędzy i będzie całkowicie uzależniony ode mnie. Obawiałby się, że mu nie uwierzą, a ja z zemsty odetnę go od szkatuły.

- Właśnie - przytaknęła Lucilla. - A poza tym wzbudzasz w nim strach, który jest czasami lepszą niż miłość gwarancją lojalności.

Niebo nad Forum było bezchmurne, wiał porywisty, przenikliwy wiatr. Maeniel zatrzymał się za olbrzymim kamiennym blokiem przy prowadzących donikąd marmurowych schodach. Na słońcu było jeszcze względnie ciepło, ale w cieniu chłód przejmował do szpiku kości.

- Jedźmy dalej - wymamrotał Gavin, szcękając zębami. - Przygnębiają mnie te ruiny, a poza tym nigdy nie wiadomo, kto tu się czai i czeka...

- Cicho bądź, Gavinie - wpadł mu w słowo Maeniel.

- Cicho bądź, Gavinie. Zamilcz, Gavinie. Nie pouczaj mnie, Gavinie. Wiem, co robię, Gavinie. Tylko to od ciebie słyszę, kiedy popadniesz w ten nastrój — poskarżył się Gavin. - Chcę tylko zauważyć, że mamy przy sobie dość złota, żeby kupić połowę tego zakazanego miasta, a tobie zachciewa się włóczyć po odludnych miejscach, gdzie...

- Gavinie! - Maeniel zsiadł z konia i wstąpił na marmurowe schody. - Czy widziałeś kiedy kogo, kto odebrałby mi coś wbrew mojej woli? No, widziałeś?

- Nie, ale...

- Żadnych ale, jeśli, może - przerwał mu Maeniel. — Nie było nikogo takiego. Poza tym jesteśmy tu sami. Gdyby tak nie było, widziałbym coś, coś bym czuł albo słyszał. A nie widzę, nie czuję ani nie słyszę.

Zatrzymał się i spuścił wzrok na marmurowe stopnie. Były pokruszone i spękane, porośnięte wiekowym mchem. W szczelinach pieniały się jakieś chwasty o żółtych kwiatkach.

Połowa schodów była w miarę czysta, druga połowa niknęła pod zielonym kożuchem dzikiej winorośli.

- Gdzie to było? - wymruczał pod nosem Maeniel. - Tak się tu zmieniło. August chwalił się, że zbudował potęgę tego miasta. A według mnie zastał coś żywego, a zostawił grobowiec.

- O czym ty, u diabła, mamroczesz, Maenieliu? - spytał Gavin.

- O cesarzu - odparł Maeniel.

- O którym?

Maeniel wspiął się na szczyt schodów i rozejrzał po ruinach Forum. Z tej wysokości przypominały park. Chociaż nocny przymrozek przygasił trochę zieleń bujnej roślinności, a nawet odarł z liści parę drzew, to większych szkód nie wyrządził.

- O pierwszym, Gavinie - powiedział Maeniel.
- O pierwszym — prychnął Gavin. - Też jest kogo wspominać! Prochu z jego kości nie zostało chyba nawet na dobre kichnięcie. - Mówiąc to, kichnął potężnie. - Będziesz mnie miał na sumieniu, Maenielu...

- Nie ma obawy — mruknął Maeniel i przyzymkając oczy, wytężył pamięć. Słońce przygrzewało mu kark. - Tamtego dnia, prawie... ile to już... z osiemset lat temu, było równie ciepło, I nie była to, jak teraz, zima, lecz wiosna... idy marcowe.

Stopy ślizgały się po wilgotnym od nocnej ulewy bruku. Widoki, dźwięki, zapachy niemal przytłaczały jego wilcze zmysły. Bo te obudziły się wbrew jego woli pod wpływem przeczucia, że ta noc może być jego ostatnią na ziemi.

Uliczni przekupnie zachwalali swój towar — kiełbaski, wino, ser — okrzykami, które raniły mu uszy. Otaczały go odziane w togi ciała, od których bił trudny do zniesienia zapach perfum i potu. A nade wszystko jego zmysł powonienia drażniły odory psującej się żywności i skwaśniałego wina przemieszane ze swędem spalonych kości ofiar, które złożono rankiem w świątyniach otaczających Senat.

Oddalił się od tłumu zapełniającego plac targowy i przystanął przy cokole jakiejś arabskiej boginki o tysiącu piersi. Stłumił w sobie wilcze zmysły i skierował wzrok na Juliusza Cezara zbliżającego się do schodów prowadzących do Senatu. Skrzyżowały się ich spojrzenia i młodego wówczas Maeniela uderzył straszny wyraz w oczach konsula. Miał przed sobą zachłanną, pożądliwą twarz. Ta twarz i oczy należały do kogoś, kto pragnął czegoś gorąco od tak dawna, że zapomniał już, czego pragnie. Była to twarz ożywiana jedynie nieokreślonymi, jałowymi żądzami trawiącymi ją od wewnątrz.

Jeszcze teraz, po tylu latach, pustka malująca się na tej twarzy odbierała Maenielowi siłę w ramionach i wsączała w duszę zniechęcenie. Dłoń, którą ścisnął rękojeść miecza, rozwarła się i opadła wzdłuż boku.

Z tych reminiscencji wyrwał go głos Gavina.

- Chcesz zostawić tak to złoto na koniu, Maenielu? – Gavin wskazywał na skórzaną torbę przytroczoną do siodła potężnego wierzchowca.

- Gavinie - powiedział powoli Maeniel. — Nie zwracaj mi głowy marną garścią monet.

- Garść monet, dobre sobie! — zachnął się Gavin. — Toż to majątek. Nie pamiętam już, ile lat ciężkiej wojaczki...

- To tylko garść monet - powtórzył z naciskiem Maeniel. - Tym, co

naprawdę zdobyliśmy przez lata wojaczki, jest nasza dolina, nasze góry, a przede wszystkim nasza wolność. Te trochę złota to w porównaniu z tym marność nad marnościami.

- Jedziemy na spotkanie z twoją narzeczoną, Maenielu - przypomniał mu Gavin. - Rad bym tam wreszcie dotrzeć. Chcę się przekonać, co z nią nie tak, zanim dojdzie co do czego. Widziałeś ten kontrakt małżeński? Ona żąda wszystkiego, praktycznie chce mieć swój własny, osobny dwór. Ta kobieta puści cię z torbami, Maenielu. Będzie nawet miała własnych żołnierzy. Co pocniemy, jeśli przyjdzie jej do głowy, żeby...

- Żeby co? — Maeniel spojrzał Gavinowi w oczy.

- Hmm. Sam nie wiem. - Gavin wyrzucił w górę ręce. — Ale jestem przekonany, że jeśli to małżeństwo przetrwa czas jakiś, ona już coś wrednego uknuje. Na Boga, bywa, że martwisz się o wszystko. O to przeklęte siano, o przeklęte żniwa, o przeklęte drewno na opał, nawet o pleśń na przeklętym serze. Ale kiedy w oczy zagłąda nam wszystkim śmiertelne zagrożenie, ty stajesz sobie po kolana w zielsku i mamroczesz coś pod nosem o Juliuszu Cezarze. Pytam ciebie: co, u diabła, ma tu do rzeczy Juliusz Cezar? Poza tym co ty możesz o nim wiedzieć? Nie jesteś przecież taki stary. Niemożliwe, żebyś był taki stary. Nikt nie jest taki stary.

- No właśnie - powiedział Maeniel. - Wierz mi albo nie, Gavinie, ale zapewniam cię, że mówię prawdę. Byłem chłopcem w twoim wieku, kiedy przybyłem tu z rozkazu mojego pana, by zabić Juliusza Cezara, który, nawiasem mówiąc, nie był wcale cesarzem, lecz jedynie konsulem. Tak naprawdę pierwszym cesarzem został dopiero August, zwany również Oktawianem. Ale mniejsza z tym.

- O, nie! - krzyknął Gavin, odwracając się do niego plecami. - Nie będę tego słuchał. To nie może być.

Maeniel roześmiał się chrapliwie. Gavin odwrócił się na pięcie.

- Mniejsza o to, kto był pierwszy. Ja dopiero dziś słyszę, że miałeś kiedyś jakiegoś pana. Kto to był i jak cię nakłonił do...

- Nie musiał mnie do niczego nakłaniać — przerwał mu Maeniel. - Sam chciałem, wprost się do tego paliłem. Cezar wytrzebił mój lud.

Poświst zrywającego się wiatru ogłuszył obu mężczyzn. Po ciele Gavina przeszły ciarki.

- Jaki on był, ten Cezar? Nic o nim nie wiem... pamiętam tylko imię z ksiąg o historii, które dawno temu kazali mi czytać księża.

- Nie potrafię ci go opisać - przyznał Maeniel. — Jestem tylko wilkiem w człowieczej skórze. Czasami nie mam pewności, czy tak do końca rozumiem ludzi.

Gavin wcisnął głowę w ramiona i popatrzył na rysujące się na horyzoncie ruiny Koloseum.

- Powiem tylko - ciągnął Maeniel - że on niszczył ludzi i ich tradycje, by płacić swoje długi. Zrujnował życie niezliczonym rzeszom. Setki tysięcy zabił, drugie tyle uczynił niewolnikami. Wiem to, bo ich tu widziałem. Tych nieszczęśników z cierpieniem w oczach, usiłujących dostosować się do obcego im stylu życia Rzymian, uczących się mozolnie obcej mowy. Paru z nich zorientowało się, kim jestem, kiedy mnie tu zobaczyli. Zagadywali mnie czasami, ale nigdy po to, by prosić o ratunek, czy choćby o słowo pocieszenia. Wydaje mi się, że po prostu chcieli po raz ostatni usłyszeć muzykę świata, o którym kazano im zapomnieć. Ale ja nie pochodziłem z ich świata, tak jak nie w pełni pochodzę z twojego. Niewiele więc mogłem dla nich zrobić. Zatrzymałem się tu dzisiaj, bo rozpoznałem to miejsce. Ale od tamtego czasu wszystko się tutaj zmieniło.

- A to tam? - spytał Gavin, wskazując na Koloseum.

- Tego jeszcze wtedy nie zbudowano - odparł Maeniel.

Gavina, kiedy uświadomił sobie, że Maeniel był tutaj, zanim wzniesiono budowlę, która teraz rozsypywała się w gruzy, przytłoczyło brzemię minionych stuleci.

- To jak długo ty żyjesz? - spytał.

- Nie wiem - przyznał Maeniel. - Liczenie ziarenek przesypującego się piasku czasu dobre jest dla takich jak Cezar. Ja jestem wilkiem i nigdy nie odczuwałem takiej potrzeby.

- A jak znalazłeś się w tym mieście i jak udało ci się podejść do niego na tyle blisko, żeby go zabić?

- Mój pan, Blaze... - zaczął Maeniel.

- Blaze był nauczycielem Merlina — przerwał mu Gavin. - A Merlin to tylko stara legenda.

- Może tak... może nie - mruknął Maeniel, odchodząc kilka kroków dalej.
- Zapomniałem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dziwne być starym i stwierdzić, że wydarzenia, które kiedyś wywarły taki katastrofalny wpływ na całe moje życie, dla ciebie są tylko suchymi kartami historii.

- No dobrze — powiedział Gavin — skoro już zacząłeś opowiadać, to

dociągnij swoją opowieść do końca. Zainteresowała mnie.

- Proszę bardzo - przystał Maeniel. - Mój pan, Blaze, cały rok przygotowywał mnie do roli Rzymianina. Uczyłem się wszystkiego o ich strojach, uczyłem się ich języka, ich manier i zwyczajów. Pod koniec tego roku mogłem już śmiało uchodzić za rodowitego rzymianina. Po przybyciu tutaj przekonałem się szybko, że niepotrzebnie zadałem sobie tyle trudu. To miasto było wtedy, podobnie jak teraz, starzejącą się ladaczną gotową zawsze się sprzedać, byle cena była odpowiednia.

Podając się za bogatego właściciela ziemskiego z Galii, szybko zebrałem wszystkie informacje potrzebne mi do osiągnięcia celu. Dowiedziałem się, gdzie znajduje się rezydencja Cezara, o jakich porach odwiedza on Senat, kim są jego przyjaciele i towarzysze.

Ale jego samego zobaczyłem dopiero wtedy, gdy przepchnąwszy się przez Forum do samych schodów prowadzących do Senatu, zająłem tam pozycję z ręką na mieczu.

- A jaki miałeś plan ucieczki, kiedy już go zabijesz?

- Nie miałem żadnego. — Maeniel odwrócił się i spojrzał na Gavina z półuśmiechem.

Gavin wytrzeszczył oczy. Miały one szczególny kolor, zależnie od warunków oświetlenia były stalowoniebieskie albo ciemne jak wzburzone morze, a teraz, w blasku słońca, ich barwa przywodziła na myśl gradową chmurę o zmierzchu.

- Dziwne - mruknął z sarkazmem. - Zawsze miałem cię za inteligentnego.

- Byłem wówczas młody - powiedział Maeniel - i ideału wojownika upatrywałem w straceńca.

- Gdyby mnie ktoś pytał... - zaczął Gavin.

- Ale nikt cię nie pyta — wpadł mu w słowo Maeniel.

Mimo to Gavin dokończył:

- Ci Galowie za dużo mieli straceńczej odwagi, a za mało zdrowego rozsądku. To dlatego Cezar tak łatwo się z nimi rozprawił.

- Być może - przyznał Maeniel. Patrzył znowu w zadumie na ciche ruiny skąpane w blasku jesiennego słońca. - Tak czy owak, czekałem na niego przy tych schodach. Kiedy nadchodził, skrzyżowały się nasze spojrzenia. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o zapadniętych policzkach, a jego głęboko osadzone oczy płonęły nienasyconym głodem.

- W tym miejscu wypada mi chyba spytać — wtrącił Gavin — głodem czego? - Próbował udawać znudzenie.

Maeniel spojrzał na niego. Po jego ustach znowu błąkał się blady uśmiezek. Po chwili przeniósł wzrok na przelatującego w górze gołębia.

- Nie wiem, czego - powiedział. - Ale widziałem ten głód w jego spojrzeniu. Patrzyłem z odrazą, jak wstępuje na schody. I naraz poczułem smród, w którym utonęły miriady innych unoszących się nad placem odorów. Zatykający smród ludzkiej wściekłości, ludzkiego strachu i desperacji. I uświadomiłem sobie, że źródłem tego smrodu są ludzie z jego otoczenia. Był to smród zaciskającej pierścien watahy. Do diabła, Gavinie, czy to możliwe, żeby on wiedział, iż ci, których uważa za braci, zamierzają go zabić? Czy stąd brał się ten głód w jego oczach? Teraz wydaje mi się, że on o to nie dbał. Był już zmęczony życiem. Może nawet wolałby, żebym to ja go zabił. Czysta śmierć z ręki zagorzałego wroga. Sam nie wiem. Wiem tylko, że orszak zatrzymał się u szczytu schodów. Wyglądało to tak, jakby chcieli złożyć na jego ręce jakąś petycję. W chwilę potem rzucili się nań ze sztyletami. Wśród nich i ten, który był podobno jego synem. Ludzie robią tyle szumu wokół śmierci. Wilk zostawiłby go po prostu padlinożercom. Odszedłem stamtąd szybko i zaniósłem wieść o losie Cezara jego żonie Kalpurnii, dostojnej, statecznej damie o postawie dawnej Rzymianki. Opowiedziałem jej, co widziałem, i przykazałem sługom, żeby mieli na nią baczenie. Bałem się, że rzymskim zwyczajem odbierze sobie życie. Potem opuściłem Rzym. Nocą gnałem już w kierunku gór pod postacią wilka.

Maeniel odwrócił się i ruszył w stronę koni.

- To był wielki człowiek — rzekł Gavin.

Maeniel zatrzymał się i obejrzał na ruiny.

- Nie, nie był wielki. Wielcy ludzie zawsze pozostawiają po sobie świat lepszym, niż go zastali. O nim nie można tego powiedzieć. On zniszczył państwo mogące stanowić bufor pomiędzy jego narodem a ludami zza Renu, które zalały ich potem jak potop. I zniszczył własny system sprawowania rządów.

- Może ci Rzymianie, powierzając mu władzę, wybierali między porządkiem a despotyzmem - powiedział Gavin.

Maeniel spojrzał na niego.

- To żaden wybór i dobrze o tym wiesz. Nie, rzymska elita władzy była skłócona, nieudolna i skorumpowana. Ale istniała jeszcze nadzieja na rozwój i zmiany. I nade wszystko w trakcie radzenia nad sprawami państwa można było

usłyszeć więcej niż jeden głos. Po jego śmierci decydowała już tylko wola jednego człowieka. To dlatego powiedziałem, że August zastał coś żywego, a pozostawił po sobie grobowiec. Cezar też zastał w Galii coś żywego, lud, który mógł stać się potężny i wspaniały, i pełnić rolę przedmurza broniącego cywilizowany świat przed dziczą zza Renu. Nie, on nie był wielkim człowiekiem. Był tylko utalentowanym małym człowieczkiem, którym kierowały zachłanność i żądza władzy. Ciesz się, że nie mamy już żadnych cesarzy i żadnych legionów, którymi oni się wysługiwali. — Maeniel odwrócił się do wierzchowca.

Gavin nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? - spytał, kiedy dosiedli koni i ruszyli w dalszą drogę do posiadłości Lucilli.

Maeniel ściągnął gwałtownie cugle.

- Bo nie życzę sobie - powiedział - żeby jakiś cesarz, czy będzie się zwał Karol, czy inaczej, niepokoił mnie w mojej górskiej dolinie i niszczył moich przyjaciół. Wyjaśniam ci, dlaczego to małżeństwo jest takie ważne. Poślubię tę dziewczynę, czymkolwiek ona jest. A wy będziecie ją w moim domu szanowali. Ale nie dopuścimy jej do naszych tajemnic. Mam nadzieję, że wczorajszej nocy za wszystkie czasy nacieszyłeś się na Kampanii wolnością, bo ta wolność ma się ku końcowi. Powtarzam: koniec z wolnością, Gavinie. Przez cały okres pobytu tej kobiety między nami będziemy ludźmi, nie wilkami. A gdy się znajdziemy u Lucilli, masz się zachowywać przyzwoicie.

Przez resztę drogi do domu Lucilli Gavin był potulny jak nigdy dotąd. Przed bramą Maeniel zdjął z konia ciężką torbę, a Gavin podał imiona jego i swoje dziewczynie, która im otworzyła. Choć była ładna, nie zrobił do niej nawet słodkich oczu.

Trzymał się w stosownej odległości za Maenielem, kiedy szli do ogrodu w atrium. Dziewczyna zatrzymała się przed wejściem, spojrzała na nich jeszcze raz, zachichotała i zniknęła w głębi domu.

Gavin przysiadł na marmurowej ławeczce nad sadzawką.

- Zakładam, że mamy się czuć jak u siebie - oznajmił.

- Nie przesadzałbym z tym - ostrzegł go Maeniel.

- O to bądź spokojny - odparł Gavin, starając się nadać swemu głosowi pokrzepiający ton.

Maeniel położył torbę na ławeczce obok Gavina, ale sam nie usiadł. Po kilku

minutach z triklinium wyszła Elfgifa wystrojona w sztywną, złoto-białą brokatową suknię, tę samą, którą miała na sobie podczas uczyty u papieża. W jej krótkich teraz, złotych włosach połyskiwały nanizane na sznur perły.

- Nie dasz mi buziaka? — spytała, spoglądając wyczekująco na Maeniela.

Zaskoczeni Maeniel i Gavin wybałuszyli na nią oczy. Trwało to kilka sekund. Gavin doszedł do siebie pierwszy i ryknął śmiechem.

Maeniel spiorunował go wzrokiem.

- Czy w tym liście... - krztusił się Gavin - ...czy w liście, który ci przysłali, było coś o wieku twojej przyszłej małżonki?

Maeniel odwrócił się i kopnął go bezceremonialnie w kostkę. Elfgifa wysunęła dolną wargę.

- Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak - ciągnął Gavin. - Wiedziałem, że coś musi być nie tak — zawył. - Teraz już wiem, co. Wargę Elfgify wysunęła się jeszcze bardziej.

- Ze mną wszystko jest w porządku - powiedziała, tupiąc nóżką. — Wszyscy mówią, że jestem bardzo ładna. Co w niego wstąpiło?

- Zamilcz, Gavinie - wycedził przez zęby Maeniel. - Tak - zwrócił się z wymuszonym uśmiechem do Elfgify -jesteś bardzo ładna. - Pochylił się i złożył delikatny pocałunek na czole dziewczynki.

- Biedny Maenielu - wykrztusił Gavin, ocierając łzy. — Bardzo długo będziesz się musiał obywać bez tego.

- Bez czego? - spytała niewinnie Elfgifa.

Gavin znowu zaniósł się śmiechem. Zza kotary w wejściu do triklinium doleciał stłumiony chichot. Maeniel nie wątpił, że świadkami tej scenki jest cała służba.

- Pani - powiedział do Elfgify. - Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, prosiłbym o czarę wina, a kiedy już uduszę mojego, obecnego tu, przyjaciela - zmierzył miażdżącym spojrzeniem Gavina - usiądziemy razem i porozmawiamy o przyszłości.

Elfgifa przyglądała się przez chwilę ponuro Maanielowi.

- Jeśli jest twoim przyjacielem, to dlaczego chcesz go udusić?

Gavin, choć praktycznie sparaliżowany paroksyzmami śmiechu, zdołał jednak podźwignąć się z ławki i odtoczyć na bezpieczną odległość od Maeniela.

- Zawsze myślałam - ciągnęła Elfgifa - że dusi się tych, których się nie

lubi.

Staniający się na nogach Gavin przytrzymał się jednej z kolumnienek podpierających daszek ganku.

- Cudowne będzie - wykrztusił zduszonym głosem - oczekiwanie na to skonsumowanie.

- Jakie znowu skonsumowanie? - zainteresowała się Elfgifa. - I dlaczego on się tak zachowuje? Czy dlatego, że usłyszał, iż chcesz go udusić? Będę mogła popatrzeć, jak go dusisz?

- Będziesz - wycedził Maeniel przez zaciśnięte zęby. – Ale jeszcze nie wiem, czy go uduszę. Może lepiej będzie, jeśli powoli utopię.

Gavin przestał się nagle śmiać i wlepił wzrok w dwie kobiety nadchodzące wzdłuż ganku z głębi ogrodu.

- Zobacz! - zawołała Elfgifa do Regeane, chwytając Maeniela za płaszcz.
- To ten mężczyzna, który przybył pojąć cię za żonę.

Regeane zatrzymała się jak wryta. Krew odpłynęła jej z twarzy i ta upodobniła się bladością do lilii kwitnących nad sadzawką.

- Wielkie nieba - wyszeptała Lucilla.

Zza kotary przesłaniającej wejście do triklinium dobiegł zduszony chóralny chichot.

- Co tu się dzieje? - zapytała Lucilla.

- To Maeniel - wyjaśniła podniecona Elfgifa, nie puszczając opończy Maeniela. - No wiesz, ten górski pan, który ma się żenić z Regeane. Służące poprosiły mnie, żebym go powitała i dotrzymała mu towarzystwa. Wysłałam więc, żeby zabawić go rozmową, a tamten rudzielec - tu wskazała na Gavina - zaczął się śmiać. Nie wiem, z czego. Bo chyba nie ze mnie. - Wskazała na Maeniela. - A ten powiedział, że go udusi, i obiecał, że da mi popatrzeć.

- Nie zrobi tego — powiedziała Lucilla - a nawet gdyby, to nie będziesz patrzeć. Dziękuję ci, straszliwe dziecko, za przybliżenie sytuacji.

Elfgifa nachmurzyła się i wysunęła dolną wargę.

- Nie jestem wcale straszliwa. Jestem bardzo miła. Regeane tak mówi. To ja po wiedziałam ci, gdzie ona jest, kiedy uciekła. To ja umożliwiłam jej ucieczkę, podpalając ubranie na Hugo...

- Dosyć! - krzyknęła Lucilla. - Poza tym, jeśli chcesz być służką...

- Nie będę żadną służką - pisnęła z oburzeniem Elfgifa. - Będę damą do

towarzystwa. Postumous mówi, że jako córka tana jestem zbyt wysokiego rodu, by zostać służką...

- Dosyć, powiedziałam - warknęła groźnie Lucilla, posyłając jednocześnie mordercze spojrzenie w kierunku kotary przesłaniającej wejście do triklinium. - Naśmiałyście się już z pana młodego? - spytała sztucznie słodkim tonem.

Reakcją na jej słowa był tupot umykających stóp. Elfgifa nie ruszyła się z miejsca. Szarpnęła Maeniela za płaszcz i spoglądając niespokojnie na Gavina, szepnęła:

- Pochyl się.

Posłuchał. Elfgifa przysunęła usta do jego ucha.

- Wiesz, co mój ojciec mówi o rudych?

- Nie - odszepnął Maeniel.

- Mówi, że Judasz był rudy - wyszeptała jednym tchem Elfgifa.

Maeniel omal nie parsknął śmiechem. Wyprostował się i położył dłoń na złotej główce dziewczynki.

- Owszem, Gavin jest rudy - powiedział, siląc się na powagę - ale wątpię, żeby miał coś wspólnego z tym apostołem.

- Mam taką nadzieję - powiedziała Elfgifa, zerkając znowu podejrzliwie na Gavina. - Mój ojciec mawia...

- Dosyć tego - przerwała jej Lucilla. - Ten twój ojciec nabił Ci głowę całym stekiem bzdur. Wejdz do środka i uwolnij nas od swojego towarzystwa. Natychmiast. - Klasnęła w dłonie.

Z triklinium wyszła służąca, która otwierała gościom bramę. Wzięła Elfgifę za rękę, by ją odprowadzić. Maeniel przykląkł obok Elfgify na jedno kolano i podniósł wzrok na Regeane. Z ulgą zauważył, że na policzki dziewczyny powrócił rumieniec.

- Będiesz dobrym panem dla Regeane, prawda? - spytała Elfgifa. — Ojciec powiedział mi, że mężczyzna jest głową domu, a kobieta jego sercem. A mężczyzna bez serca to zwyczajny trup. - Mówiła to szybko, ale wyraźnie, jakby chciała mieć pewność, że Maeniel zrozumie.

- Tak, będę dla niej dobrym panem - obiecał Maeniel. - Jak mógłbym źle traktować własne serce, mała! Możesz być spokojna. Powitamy cię w moim domu jako jedną z dam do towarzystwa.

Służąca pociągnęła za sobą Elfgifę i zniknęły obie we wnętrzu willi. Regeane stała naprzeciwko Maeniela. Miała przed sobą wysokiego, dobrze zbudowanego

mężczyznę w rajtuzach i kolczudze nałożonej na grubą, białą, lnianą koszulę długą jak tunika. Z ramienia zwisał mu brązowy płaszcz spięty złotą broszą w kształcie lwiego łba z wielkimi rubinowymi ślepiami.

Najbardziej uderzająca była jego twarz - zdecydowana, o dużym nosie, z dołkiem w brodzie, pozornie surowa. Ale głębokie zmarszczki wokół ust i kurze łapki w kącikach oczu świadczyły, że człowiek ten często się uśmiecha. Krótko mówiąc, była to twarz sympatyczna i o zdecydowanych rysach.

Włosy miał gęste, ciemne, falujące, krótko przycięte. Długie włosy były wojownikowi zawadą, przeszkadzałyby w noszeniu hełmu, a on wyraźnie był wojownikiem. Nosił długi, zupełnie zwyczajny miecz przytroczony do grubego pasa z wolej skóry.

Zafascynowany Maeniel zbliżył się do Regeane. Sprawiał takie wrażenie, jakby poza nią nikogo nie widział. Wracła z Lucilla z kuchennego ogrodu przepasana brązowym wełnianym fartuchem, w którym niosła kilka zerwanych z drzewa brzoskwiń.

Ściągnięte do tyłu włosy opadały jej swobodnie na plecy, srebrne końce lśniły w słońcu. Wilk ukryty w Maenielu ocknął się i zwiertzył zapach brzoskwiń, rozgrzanego słońcem ciała i czystego wiatru.

Raz, dawno temu, zostałem już usidlony - pomyślał Maeniel. Byłem wilkiem, a Blaze przemienił mnie w człowieka i wojownika. I w taki sam sposób jak wówczas on usidliła mnie teraz ta czarodziejka.

Postąpił jeszcze jeden krok i ujął ją za nadgarstki. Regeane ścisnęła kurczowo w dłoniach brzeg fartucha, po głowie tłukła jej się absurdalna myśl: „Nie mogę, puścić, bo brzoskwinie mi się wysypią”.

Pocałował ją pośpiesznie, właściwie musnął tylko wargami jej usta, ale była w tym pocałunku taka naturalność, że Regeane przeszedł dreszcz. Wspominając potem tę chwilę, nie potrafiła określić, czy był to dreszcz strachu, czy pożądania. Pocałowawszy ją, Maeniel puścił jej nadgarstki i cofnął się o krok. Czar prysł.

- Trafne są, zaiste, słowa poety — powiedział: — „Ona jest wspaniałym klejnotem z królestwa słońca i wiatru, kielichem miodu. Mężczyzna może utonąć w takiej słodyczy”. Mogę dostać brzoskwinie?

- Słucham? - spytała rozbawiona Regeane. Doszła już trochę do siebie. Podsunęła mu fartuch z brzoskwiniami. - Mróz je oszronił - ostrzegła.

- Tak jak twoje wyjątkowe włosy - odparł, wybierając jeden z aksamitnych

owoców. Zjadł go szybko, nie odrywając oczu od Regeane. Pestkę cisnął między kwiaty. - Soczysta, dojrzała i niepowtarzalna - powiedział. - Podobnie jak ta, która mnie nią poczęstowała. - Wargi lśniły mu, zwilżone sokiem brzoskwini.

Lucilla obserwowała ich z konsternacją. Gavin też gapił się z rozdziawioną gębą.

- Zamknij usta, Gavinie, bo rozum ci przez nie uleci – rzekł Maeniel. - I daj tu podarki, które przywieźliśmy.

Lucilla wyjęła brzoskwinię z fartucha Regeane.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko - przyznała.

- Właśnie — podchwyciła Regeane. - Myślałam, że zobaczymy się dopiero na wieczornej uczcie. - Spuściła wzrok na swój fartuch i na prostą białą suknię. - Chyba nie jestem stosownie ubrana. Przepraszam...

- Nie przepraszaj - odparł Maeniel. - To ja powinienem przeprosić za zbyt wczesne przybycie.

Gavin wysypał zawartość torby na blat marmurowego stołu.

Nawet Lucilla, przywykła do widoku bogactwa, wstrzymała oddech. Były tam naszyjniki, pierścienie, monety, pendanty, misternej roboty brosze ze złota i srebra. Pośród nich skrzyły się szlachetne i półszlachetne kamienie. Czerwone rubiny, niebieskie jak wieczorne niebo szafiry, czystej wody akwamaryny, topazy koloru słońca.

- To ślubny podarunek dla mojej przyszłej żony – oznajmił Maeniel.

Lucilla zerknęła na niego spod przymrużonych powiek.

- To wielkoduszne z twojej strony czynić żonę niezależną majątkowo przed dniem ślubu.

- Jest damą z królewskiego rodu - odparł Maeniel — a to zobowiązuje.

Regeane patrzyła bez słowa na piętrzący się przed nią skarb. Przygryzała wargę, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować. Spojrzała na Maeniela. Kiedy ją całował, miała wrażenie, że znają się od tysięcy lat, teraz jednak wydawał jej się obcy. Sympatyczny, ale mimo wszystko obcy. I nagle dotarło do niej, że pewnego dnia będzie musiała zabić tego człowieka.

Owszem, kobietę obsypie złotem. I kobieta znajdzie w jego ramionach szczęście graniczące z rozkoszą. Ale co będzie miał do zaoferowania łowczyni, srebrnej nocnej łowczyni? Nie, o wilczycy on się nigdy nie dowie.

Spojrzała na skarb piętrzący się na stole, i wilczycy skojarzył się on z

roziskrzoną taflą jeziora o świcie, z tęczą unoszącą się nad wodospadem oglądanym z chłodnego, zielonego półmroku lasu w letniej porze. A same klejnoty wydały jej się tanimi błyskotkami, którymi przekupnie kuszą dziewczki służebne na złodziejskim targu. Nie, wilczycy nie można tak łatwo kupić ani sprzedać.

Przyglądający się jej spod oka Maeniel zamieszał od niechcienia dłonią wzgórek klejnotów.

- Wybierz sobie z tego, proszę, coś na dzisiejszy wieczór - powiedział. - Zrób to dla mnie.

- Jak sobie życzysz - wybąkała mechanicznie Regeane.

Wziął ze stosu piękny naszyjnik z czystego złota. I Regeane, i Lucilla nie miały wątpliwości, że wyrób tak starożytny i tak misternej roboty musi być wart o wiele więcej niż lśniący metal, z którego został wykonany. Był to gruby, płaski łańcuch z rzędem maleńkich złotych łez na przemian z kwiatami z ametystu.

Regeane dotknęła naszyjnika, zacisnęła na nim dłoń i dzień zgasł tak samo jak w dniu, w którym poznała Lucillę, kiedy do tknęła brokatowej sukni. Znajdowała się w długiej, oświetlonej pochodniami sali. Wokół ucztowano. Goście spoczywali na sofach ciągnących się przez całą długość sali. Pośrodku popisywali się swoimi sztuczkami akrobaci. Jakiś chłopiec grał na podwójnym flecie. Melodia napełniała ją pożądaniem. Siedziała naprzeciwko swojego ukochanego.

Jakich dziwnych wyborów dokonuje serce! - pomyślała dziewczyna, która była Regeane, a jednocześnie nią nie była. Mężczyzna niczym szczególnym się nie wyróżniał. Miał krótką, kędzierzawą ciemną brodę i równie ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Był ogorzały jak żeglarz. To on podarował jej naszyjnik ze złota i ametystów. Przebierała ten naszyjnik w palcach, patrząc mu głęboko w oczy.

Mężczyzna uniósł piękną, czarno-czerwoną czarkę. Na jej spodzie wygrawerowana była scena przedstawiająca Wenus i Marsa splecionych w miłosnym uścisku, niepomyślnych sieci, którą zarzucił na nich zazdrosny Wulkan.

Mężczyzna wyciągnął rękę i przystawił czarkę do jej ust. Ona podsunęła mu swoją. Wypili. Wizja znikła. Regeane ledwie powstrzymała się od krzyku, kiedy jej umysł i ciało przeszył straszny ból.

Była teraz gdzie indziej. Leżała na marach. Przygotowywano ją do pochówku. Ale ona jeszcze nie umarła. Ubrana była w piękną białą suknię haftowaną w złote różyczki, jej szyję zdobił naszyjnik, we włosach miała diadem. Nie widziała tego diademu, ale wiedziała, jak wygląda. Kute misternie w złocie wierzbowe listki. Leżała

nieruchomo, bo instynkt podpowiadał jej, że najmniejszy ruch przyniesie niewyobrażalny ból. Spadając, musiała sobie połamać wszystkie kości.

Zza okna dolatywał grzmot piorunów i ryk fal rozbijających się o skalisty brzeg. Ale tutaj, w tej zacisznej komnacie, otaczała ją tylko ciemność. W tych ciemnościach ktoś odezwał się płacząco: - Ocknęła się. A miałam nadzieję, że już się nie obudzi. Dziewczyna, która była Regeane, a zarazem nią nie była, rozpoznała głos matki.

Kobieta wysunęła się z cienia. Była w czarnym welonie, twarz miała bladą. Obok niej stała kapłanka. Ona również była w czerni i wspierała się na lasce. Twarz przestaniała jej maska gorgony z wykrzywionymi wściekłością ustami i wijącymi się węzami zamiast włosów. Laskę wieńczyła głowa bogini o zamkniętych oczach, w koronie z maków.

- Kwiat snu - wyszeptała Regeane.
- Nie trzeba było spacerować tak blisko urwiska - załkała matka. - I to jeszcze w twoim stanie. Spadłaś.

- Ja nie spadłam - zaprzeczyła ledwie dosłyszalnie dziewczyna.
- Tak też myślałam - odezwała się kapłanka głosem stłumionym przez maskę. - Ale jest teraz, jak chciałaś. Nie ma już mężczyzny, którego kochałaś, nie ma dziecka, które nosiłaś, i wkrótce ciebie też nie będzie. - Podała Regeane czarkę, tę samą, czarno-czerwoną. Rysunek na bocznej ścianie przedstawiał pięknego uskrzydłonego młodzieńca z zamkniętymi oczami, symbolizującego sen.

- Wypij teraz wodę z Lete - powiedziała kapłanka - i odpoczywaj w pokoju.

Dziewczyna zamknęła oczy i zacisnęła usta.

- Zanieście mnie do ognia — powiedziała. — Nie umrę tutaj, mając w uszach szum morza. Morze mi go zabrało. Zmyło falami, zadławiło, zostawiło strzęp ciała miotany przybojem. Nie chcę słuchać jego triumfalnego ryku, odpływając w noc.

Przeniesiono ją na marach na środek sali o sklepieniu podpartym czerwonymi kolumnami. Palenisko było wysokie, koliste, powleczone na obwodzie gipsem i pomalowane. Płomienie strzelały ku otworowi w sklepieniu, barwiąc na czerwono twarze zgromadzonych wokół ludzi. Jedni szlochali, inni patrzyli z wyrzutem w oczach, ale wszyscy, jeden po drugim, unosili ręce w geście pożegnania.

Czarka dotknęła jej warg. Dym z paleniska wypełnił jej nozdrza, blask płomieni oślepił oczy.

Regeane patrzyła z oddali, jak kondukt pogrzebowy sunie krętą drogą wśród łanów zboża dojrzewającego pod błękitnym niebem. Szelest złotych kłosów przywodził na myśl żałobne szepty.

Ciemność... długa ciemność.

Sklepienie przebiła pochodnia rabusiów grobów. Po jej urodzie zostały tylko kości poczerńiałe w ciągu stu lat spędzonych pod ziemią. Ale zęby lśniły wciąż bielą i złodziejowi, który sięgał po złoty naszyjnik, przemknęło przez myśl, że musiała umrzeć młodo.

Szarpnął naszyjnik. Pociemniała czaszka oderwała się od kręgosłupa i potoczyła z grzechotem po posadzce, gubiąc białe zęby. Rabuś zachwiał się i żeby utrzymać równowagę, oparł się dłonią o pierś zmarłej. Ręka szkieletu uniosła się i chwyciła go za ramię, długie paznokcie rozorały ciało do kości. Regeane oderwała rękę od naszyjnika i cofnęła się, usiłując ukryć przed Lucillą i Maenieleм swój wstrząs i grozę. Krzyk nieszczęśnika wciąż rozbrzmiewał jej w uszach,

- To... chyba nie...

- Rozumiem - powiedział Maeniel, który trzymał wciąż naszyjnik. Rzucił go teraz z powrotem na stos złota.

Regeane dygotała przerażona swoją wizją. Zerknęła na Maeniela. On ją sprawdzał, wystawiał na próbę.

Wybrał teraz prostą, ale wykonaną z ciężkiego złota bransoletę z grubymi guzami na końcach.

- A może to? - spytał.

Regeane wzięła się w garść, wyciągnęła rękę i dotknęła bransolety.

Znowu otoczyła ją ciemność i usłyszała szum morza. Na cyplu płonął stos. Zewsząd dobiegało żałobne zawodzenie. Płomienie pochylły się na moment pod naporem wiatru i Regeane dostrzegła pośród nich ciemną sylwetkę, i wiedziała, że wraz ze śmiercią tej kobiety umrze jej świat. Że to koniec nie jednej kobiety, lecz całego ludu.

Cofnęła gwałtownie rękę.

- Nie - szepnęła z kamienną twarzą. - Co on ze mną wyprawia? — pomyślała.

- Może i masz rację - powiedział Maeniel, odkładając ostrożnie bransoletę. - Należała podobno do potężnej królowej, której nigdy nie pokonano w bitwie.

- Nie byłaby dla mnie odpowiednia - wybąkała Regeane.

Maeniel sięgnął znowu do stosu. Uniósł na zgiętym palcu inny naszyjnik ze złotych, splecionych ze sobą łańcuszków wykonanych z czerwonego, złotego i białego złota.

Regeane dotknęła go niepewnie, ciekawa, co też jej teraz podsuwa. Tym razem w swej wizji ujrzała poranek. Na kamieniu pośrodku kręgu menhirów leżał sam Maeniel. Był nagi. Łagodne światło omywało jego piękne, młodzieńcze ciało. Twarz miał o wiele młodszą, spał.

I znowu, tak jak na Kampanii, kiedy obserwowała śpiącego pasterza, Regeane uświadomiła sobie, jak jest w swym niewinnym śnie bezbronny. Obok niego siedziała kobieta. Miała na szyi naszyjnik, który trzymała teraz Regeane, poza tym była naga. Rozczesywała długie, ciemne włosy srebrnym grzebieniem. Patrzyła na pogrążonego we śnie Maeniela oczyma, w których malował się spokój i poczucie siły.

Regeane cofnęła rękę.

- Ten będzie chyba dobry - powiedziała.

Maeniel przełożył jej naszyjnik przez głowę, a potem pochylił się i pocałował w rękę.

- Pożegnam teraz panie. Do wieczoru - powiedział do Regeane i wyszedł z ogrodu. Gavin podążył za nim. Regeane i Lucillą zostały same przy stosie złota piętrzącym się na marmurowym stole.

Ledwie za wychodzącymi trzasnęła brama, Regeane zerwała naszyjnik z szyi i rzuciła go na stos złota.

- Czym on jest? — wykrztusiła, opadając ciężko na ławkę.

- Co ci się nie podobało w tych ozdobach? - spytała Lucilla. - Do czego on zmierzał? Miałaś jakieś wizje?

- Powiem ci tylko, że to nie jest zwyczajny człowiek. Ale kim jest? Jakimś magiem... sama nie wiem.

- Mówże do rzeczy, dziewczyno. — Lucilla zaczęła wrzucać piętrzące się na stole złoto z powrotem do torby. — Co się stało? Obserwowałam twoją twarz, kiedy dotykałaś tego pierwszego naszyjnika. Wyglądałaś, jakbyś ujrzała tabun duchów.

- Tak to można określić — przyznała Regeane. — Niektóre przedmioty, Lucillo, zachowują wspomnienie zdarzeń, czy to dobrych, czy złych, z którymi były związane. W jakimś sensie żyją. Pamiętasz tę suknię, którą wybrałam na targu z wózka przekupnia w dniu, kiedy się poznałyśmy?

- Pamiętam.

- Otóż w ten sam sposób żyją wszystkie te precjoza. Jestem przekonana, że on dobierał je z rozmysłem.

- Jeśli tak, to się zdradziłaś. Ukrywanie emocji nie leży w twojej naturze.

- To prawda - przyznała Regeane, wykręcając sobie palce. Łzy ciekły jej po policzkach.

- Przestań - warknęła Lucilla. - Nie czas na łzy. Trzeba to przemyśleć i coś zaplanować. Musimy obie postanowić, jakie kroki podjąć wobec tego człowieka. Teraz, póki przebywa w Rzymie. Mam dobre stosunki z Otho. Jeśli zdołam go przekonać, że Maeniel może zdradzić Franków...

Coś ciepłego i miękkiego wylądowało na podołku Regeane, czyjaś dłoń spoczęła na jej ramieniu. Dziewczyna zamrugała powiekami i spuściła wzrok. Na jej kolanach leżała opończa ojca. Przycisnęła ją do piersi i otarła łzy wełnianą tkaniną. Podniosła oczy. Obok stał uśmiechnięty Antoniusz.

Znowu był przystojnym mężczyzną. Jego szlachetną twarz szpeciło kilka ledwie widocznych blizn, ale poza tym wyglądał jak zupełnie zdrowy człowiek w kwiecie wieku. Miał na sobie długą haftowaną tunikę i zdobną togę rzymskiego

arystokraty. Dłoń spoczywająca na jej ramieniu była nietknięta i silna. Zwyciężyła. I świadomość tego zwycięstwa nad śmiercią rozpędziła na cztery wiatry demony wątpienia, niepewności i rozpacz, tak jak słońce rozprasza mgłę.

- Niech płacze, matko - powiedział łagodnie. - Wierz mi, że łyzy potrafią zaleczyć rany zadane sercu.

- Cicho bądź, Antoniuszu - fuknęła Lucilla. - Mam pewien pomysł. Jeśli uda nam się przekonać Otho, że...

- Wciąż intrygujesz, matko? - wpadł jej w słowo Antoniusz.

- Tak - odparła Lucilla. - Znasz mnie nie od dziś. Powiedz mi lepiej, jak przekonać Otho, że ten Maeniel jest niebezpieczny.

- Nie robiłbym tego - powiedział Antoniusz. - Przynajmniej na razie. Wracam właśnie od Otho. Przybył tu, by zbadać, czy prawdziwe są rozpuszczane przez Lombardczyków pogłoski o trądzie w rodzinie Hadriana. Poszedłem do niego, żeby zadać im kłam. Rozebrałem się nawet do naga w jego obecności,

- Nie próbował cię czasem uwieść? - spytała z nadzieją w głosie Lucilla. Antoniusz pokręcił głową.

- Nie posądzałbym go o tę słabość.

- Jaka szkoda! — zmartwiła się Lucilla. - To taka dobra karta przetargowa w negocjacjach z tymi barbarzyńcami. U nich zniewieściałość jest w pogardzie.

- Wiem - powiedział Antoniusz. - Obnażając się przed nim, również to miałem na względzie. Tak czy inaczej, udowodniłem mu, że oskarżenia Lombardczyków są wysane z palca, i poprosiłem, żeby mianował mnie dowódcą straży Regeane. Zgodził się.

Regeane odetchnęła z ulgą.

Lucilla złożyła dłonie i wzniosła oczy do nieba.

- Mistrzowskie posunięcie! - zawołała i porwała Antoniusza w objęcia. — Och, synku mój, mój najpiękniejszy, najmądrzejszy synku. — Łzy potoczyły się jej po policzkach. - Jak ja ci się za niego odwdzięczę, Regeane?

Antoniusz wyswobodził się delikatnie z objęć matki i pocałował ją w rękę.

- Na pewno coś już wymyślisz, matko - powiedział z czułą niemal ironią.

- Kochany chłopcze - roztkliwiła się Lucilla.

Regeane dostrzegła jednak w jej oczach subtelny iskierekę przewrotności.

- Twój ojciec byłby z ciebie dumny - ciągnęła Lucilla.

- Którego masz na myśli? - spytał niewinnie Antoniusz. - Tego muskularnego, pokrytego bliznami trackiego pirata z czarną brodą? Utonął, o ile pamiętam, podczas burzy. A może tego sycylijskiego poetę, który podbił twoje serce swoją pieśnią? On, zdaje się, trochę za bardzo gustował w winie. Podobno został zamordowany w jakiejś karczemnej burdzie?

Lucilla patrzyła na niego przez chwilę z goryczą.

- Ty zgłębiałeś już wtedy sztukę pisania. Nie masz pojęcia, jak trudno przymusić do nauki dorastającego młodzieńca. Przekonasz się, kiedy będziesz miał własne dzieci.

Antoniusz puścił oko do Regeane.

- Ta widmowa procesja ojców przez całe życie nie dawała mi spokoju. - Westchnął. - Najlepszy był chyba ten umbryjski poganiacz mułów, który cuchnął czosnkiem i cebulą. Zadałaś się z nim, kiedy poznałem Adrastę.

- Nie pochwalałam twojego związku z Adrastą, ale ty nic sobie z tego nie robiłeś - zauważyła Lucilla.

- To prawda - przyznał Antoniusz, sadowiąc się na ławce obok Regeane. - Dziękuję, że nie powiedziałaś: „A nie mówiłam”. Czy mój ojciec naprawdę byłby ze mnie dumny?

W twarzy Lucilli coś się zmieniło. W jej oczach pojawiło się zmęczenie. Przygarbiła się, jakby postarzała, ale trwało to tylko moment. Otrząsnęła się szybko, oczy znowu jej zabłyśły.

- Jestem tego pewna, mój drogi chłopcze - powiedziała. – Ale ja mam do ciebie ważniejsze pytanie. Czy zakochałeś się w Regeane?

- Lucillo! - krzyknęła oburzona Regeane.

Ale Antoniusz roześmiał się na całe gardło.

- Chcesz zapytać, matko, czy zamierzam wykorzystać moje subtelne uwodzicielskie talenty, swój urok osobisty, swoje arystokratyczne maniery, by zniszczyć zarówno ją, jak i siebie?

- Otóż to - warknęła Lucilla.

- Możesz być spokojna - odparł pogodnie Antoniusz i zaczął wyliczać na palcach powody: - Po pierwsze, zbyt wiele jej zawdzięczam, żeby narażać ją na tego rodzaju niebezpieczeństwo. Po drugie, ona nie jest w moim typie. Wiesz, jakie lubię — rozpustne, głupawe, bezwstydne, z pewnymi skłonnościami do okrucieństwa.

- Zapomniałeś wymienić zachłanność - dodała Lucilla.

- Właśnie — podchwycił Antoniusz. - To również. Wierz mi, matko, moje zachowanie wobec Regeane będzie nienaganne.

- Trzymam cię za słowo - powiedziała Lucilla. - Nie może na ciebie paść najmniejsze podejrzenie. I pamiętaj, że pozory potrafią mylić. Najniewinniejsze odruchy mogą zostać błędnie zinterpretowane. - Lucilla zgarnęła do torby resztę złota. - Weźcie to sobie oboje do serca.

To mówiąc, weszła z pełną torbą do willi.

Regeane została na ławeczce. Antoniusz milczał. Bajecznie kolorowy motyl usiadł na kolanie dziewczyny. Złożył na chwilę skrzydełka, potem ponownie je rozpostarł i odfrunął.

- Co myślisz o Maenielu? - odezwał się Antoniusz.

- Podoba mi się - odparła Regeane. - Kiedy mnie całował, chciałam być jego żoną.

- A teraz?

- Sama nie wiem - przyznała Regeane.

- Tak, rozumiem. Uspokajając matkę w kwestii przyszłych stosunków między mną a tobą, nie wspomniałem o jeszcze jednej przyczynie, dla której nigdy nie spojrzę na ciebie jak na ewentualną kochankę — ty nie jesteś człowiekiem.

- To prawda — przyznała cicho Regeane.

Ważka przeleciała jej przed samym nosem. Regeane poderwała błyskawicznie rękę i chwyciła owada w dwa palce. Wyrwał się i bzyczał głośno z oburzenia. Potrzymała go tak przez chwilę i wypuściła.

- Ilu znasz ludzi, którzy potrafiliby dokonać tego, co przed chwilą zrobiłam?

- Niewielu, może nawet żadnego — odparł Antoniusz. - Zamknij tę wilczycę w klatce, Regeane.

- Nie zrobię tego. Tamtej nocy, kiedy zostałeś uprowadzony przez Bazyla, on przybył tutaj, by mnie zabić. Wilczyca wyrwała się wtedy na wolność. Będę wolna albo umrę. Nic dodać, nic ująć. Nie mogę się jej wyprzeć. Jesteśmy jednym.

- A więc niebezpieczeństwo zawsze będzie nad tobą wisiło — powiedział Antoniusz.

- Wiem — odparła Regeane. — A ten Maeniel to groźny przeciwnik.

Antoniusz kiwnął głową.

- Zdażyłem się już zorientować. Jak myślisz, dlaczego zgłosiłem się na kapitana twojej straży? Uczyniłem to, żeby cię chronić i utrać w zarodku wszelkie mordercze zapędy mojej matki.

- Ktoś powinien powiedzieć twojej matce, że w pewnych kręgach morderstwo nie jest dobrze widziane.

- Kręgów, w które wkrótce oboje wejdziemy, Regeane, to nie dotyczy. W tych kręgach morderstwo jest uważane za narzędzie uprawiania polityki. Rozumiesz?

- Rozumiem - przytaknęła - a przynajmniej zaczynam. W moich żyłach razem z wilczą płynie krew królewska. Nigdy nie ucieknę przed niebezpieczeństwami, jakie to na mnie ściąga. Muszę się nauczyć z tym żyć.

- Co do mojej matki - powiedział Antoniusz - to nie będę tłumaczył jej postępowania ani za nie przeproszał. Ona tego nie potrzebuje. Ty nie wiesz, jak tu, w Rzymie, było, kiedy Lombardczycy kontrolowali papieżstwo. - Spuścił głowę. - Codziennie jakieś morderstwo, którego ofiarą padał zazwyczaj któryś z przyjaciół matki albo Hadriana. Hadrian cieszył się zbyt dużą popularnością zarówno wśród ludu, jak i szlachty, by przeciwko niemu występować otwarcie, ale podstępnych zamachów na jego życie było bez liku. Pamiętam, jak próbowano go kiedyś otruć - podczas kolacji w willi człowieka, którego uważał za najlepszego przyjaciela. Ja trzymałem miednicę, a matka podawała mu środek na wymioty. Zwrócił cały bardzo wykwintny posiłek, który zabiłby go, pozostając w żołądku. Przez wiele lat matka rzadko odważała się wychodzić z domu za dnia, a w nocy nigdy go nie opuszczała. Kiedyś napadł na nią oddział lombardzkich żołdaków. Przeżyła chyba tylko dzięki temu, że natchnęła swoich ludzi niemal nadludzką odwagą, chwytając za miecz i walcząc u ich boku. Jeśli chodzi o mnie, to przeprowiłem się przez Alpy i dotarłem na frankoński dwór, by w imieniu matki dokonać tam wyboru. Decyzję pozostawiła mnie.

- Jakiego wyboru? - spytała Regeane.

- Tego z frankońskich królów, Karola i Karlomana, który weźmie górę.

- Wychodzi na to, że postawiłeś na właściwego – zauważyła Regeane.

- Tak, na Karola. - Antoniusz kiwnął głową. - Dostałem od niego listy z poparciem kandydatury Hadriana na papieski tron. Kiedy lombardzki papież zaczął podupadać na zdrowiu...

- Mam nadzieję, że twoja matka nie przykładała do tego ręki! - wykrzyknęła Regeane.

Antoniusz zawiesił głos i ściągnął brwi. Uniósł powoli palec do ust.

- Matka — wyszeptał właściwie do siebie - jest bezsprzecznie kobietą bez żadnych skrupułów, ale nie sądzę... - Westchnął, odsłaniając rząd silnych, białych zębów. - Cóż - powiedział. — Nigdy o to nie zapytam. Tak czy inaczej, puściliśmy te listy w obieg wśród rzymskich księży i patrycjuszy, którzy mieli wybierać papieża. To praktycznie zagwarantowało Hadrianowi zwycięstwo. Ale mało brakowało, Regeane. Przyjaciółki matki, jej dziewczyny, wpadły w tym czasie na trop dwóch spisków na życie Hadriana. A raz Hadrian musiał uciekać z miasta i ukrywać się w posiadłości przyjaciela.

Regeane wzdrygnęła się, chociaż dzień był ciepły. Zachwycona wilczyca patrzyła jej oczami na zalany słońcem ogród. Ona była bezradna w obliczu intrygi, zdrady i obłudy. Rozumiała tylko prostotę dzikości. Jesteś głodny, polujesz. Jesteś rozgniewany, dajesz swemu gniewowi upust.

- Tak — mruknął Antoniusz - rozumiem tę pokusę ucieczki od świata.

Regeane drgnęła.

- Jak się domyśliłeś?

- Podejrzewam — odparł Antoniusz — że będąc podobnym do ciebie, też odczuwałbym taką pokusę.

- A ja odnoszę wrażenie, że ta gra cię bawi - zauważyła Regeane.

- Owszem - przyznał Antoniusz. - A i tobie radzę w niej zasmakować. Bo obawiam się, Lupo, że będziesz w nią grała do końca swych dni.

- Jak to?

- Widzisz - powiedział Antoniusz — tego króla Karola ludzie zaczynają już nazywać Karolem Wielkim, Charlemagne. Byłem z nim tamtej nocy, kiedy dyktował listy, które zapewniły Hadrianowi wybór na papieża. Listy te pisane były w tajemnicy, Regeane. Jego brat, Karloman, żył jeszcze. Charlemagne miał za żonę lombardzką księżniczkę i jego matka skłaniała się ku zawarciu przymierza z Lombardczykami. Ale Charlemagne kładł już podwaliny pod obecną politykę Franków. - Antoniusz uniósł rękę i odmalował Regeane słowami tę scenę: - Byliśmy w jego komnatach sami, nie licząc skryby. Bo, widzisz, Karol nie potrafi pisać. Czyta biegle w trzech czy czterech językach, ale pisać nie umie. Izbę oświetlało zaledwie kilka kaganków, przy których pracował skryba. Karol przechadzał się tam i z powrotem z założonymi do tyłu rękami. Musiał już od dawna nosić się z myślą o napisaniu tych listów i układać je sobie w głowie, bo dyktował bez zajknięcia. Skryba nie poprawił i nie skreślił ani jednego słowa przelanego na pergamin. Karol

dyktował nie tylko z pewnością siebie króla, ale z miną imperatora. Kiedy skończył i skryba pieczętował listy, które miałem zawieźć do Rzymu, zapytałem go, skąd jest taki pewien, że zdoła zrealizować swoje plany. Ujął to bardzo prosto. „Mój królewski brat Karloman jest chory. Pewnie zauważyłeś”. Zauważyłem. „Będzie cud, jeśli przeżyje następną zimę. Frankońscy panowie nie poprą jego żony ani jej dzieci. Nie opowiedzą się po jej stronie przeciwko mnie. Co zaś do sympatii, jakie przejawia moja matka wobec Lombardczyków, cóż - tu uśmiechnął się lekko - to jest to sprawa rodzinna i zajmę się nią w stosownym czasie”. I zajął się, Regeane. Ten Karol - Charlemagne - ma zadatki na bardzo silnego króla. Twoje koneksje z jego rodziną staną się z czasem jeszcze cenniejsze i być może bardzo dla ciebie ryzykowne. Musisz poznać kulisy sprawowania władzy, bo inaczej zginiesz.

Serce waliło Regeane jak młotem.

- Skoro nie chcesz okiełznać w sobie tej wilczycy, Regeane, to przynajmniej naucz się dyskrecji. — Antoniusz klepnął się otwartą dłonią po kolanie. - Zbyt wiele osób w Rzymie już wie.

Regeane zerwała się na równe nogi i zaciskając pięści, wlepiła w Antoniusza przerażony wzrok.

- Pasterz - wykrztusiła. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

Antoniusz uciszył ją uniesieniem ręki.

- Nie, Regeane. Ale ledwie udało mi się odwieść matkę od zamiaru usunięcia tego chłopca.

Roztrzęsiona Regeane odwróciła się.

- Co ze mną jest, że gdziekolwiek się ruszę, rozsiewam wokół siebie śmierć?

Antoniusz parsknął śmiechem.

- Uspokój się, dziewczyno. Śmierć to nieodłączna część tej gry. Śmierć zarówno tych wielkich, jak i maluczkich. Do końca życia będziesz widziała wokół siebie porażki, klęski i, tak, śmierć. Ten chłopiec ryzykował życie nie tylko dla ciebie i dla mnie, ale również dla pereł i srebra. Wystarczy mu tego na kupno własnego gospodarstwa. Będzie żył i gospodarzył na swojej ziemi. Dopilnuję tego. Oszczędź więc sobie łez i wyrzutów sumienia na stosowniejszą okazję.

Regeane podeszła do jednej z kolumniek podtrzymujących daszek nad gankiem i oparła się o nią plecami.

- Jakiś ty podobny do matki!

- Owszem — odparł ze śmiechem Antoniusz. - A przekonasz się z czasem, że nie tylko do niej podobny, lecz jeszcze gorszy. No, otrzyj łzy, bo dzisiejszego popołudnia musisz być czarująca.

Regeane przytknęła na moment oczy. Przypomniała sobie pocałunek Maeniela. Nie była to jeszcze miłość, ale coś się między nimi kłuło. Czy się rozwinie? Wilczyca wydała cichy pomruk zadowolenia. Regeane rozumiała w pełni jej nastrój. Czuła na twarzy słoneczne ciepło. Powietrze było chłodne, ale kamienie na dzikich polach za miastem nagrzały się pewnie w słońcu. Wilczyca najchętniej wyciągnęłaby się na tych kamieniach i przespała całe długie popołudnie. Śniłaby o wiosnie, o górskich potokach wezbranych topniejącym śniegiem, o łąkach, nad którymi unosi się delikatna woń wschodzącej trawy, a zapach wiosennych kwiatów doprowadza zmysły do ekstazy. O skąpanych w słońcu dolinach, gdzie słychać tylko śpiew ptaków, a i ten cichnie, kiedy niebieskie cienie zmierzchu przechodzą w rozgwieżdżoną noc.

Otworzyła oczy i spojrzała na uśmiechającego się Antoniusza.

Wilczyca sięgnęła w jego umysł. Poczwała chłodny, ale zasmucony intelekt. Ten człowiek wiedział, jaki jest świat, ale nie chlubił się swoją wiedzą. Pod przykrywką intelektu gorzał płomień trwałej, czulej miłości. Wilczyca zaufała mu.

- A kogo mam niby czarować? - zapytała Regeane.

- Po pierwsze, spotkasz się z ludźmi, którzy mają wejść w skład twojej przybocznej straży. Doradzałbym ci sięgnąć do tej torby złota, którą dostałaś od Maeniela, i dać każdemu z nich po prezencie. Muszą wiedzieć, kto ich opłaca. Nie zaszkodzi również napomknąć, jaka jesteś rada, że ci silni, rośli, dzielni mężczyźni będą stać na straży twojej urody i bezpieczeństwa.

Regeane uśmiechnęła się.

- O właśnie — powiedział Antoniusz. — Uśmiechu też im nie żałuj. Kupisz za niego więcej niż za złoto.

Regeane kiwnęła głową.

- Po tym spotkaniu przyjmiesz Rufusa.

- Rufusa? - powtórzyła Regeane, ściągając brwi. - Kto to...? - I nagle przypomniała sobie. - Tego Rufusa od Cecelii?! - wykrzyknęła.

- Tak - odparł Antoniusz. - Pamiętasz Cecelię.

- Oczywiście - wyszeptała Regeane. - Jak mogłabym zapomnieć? Ale skąd wiesz o Cecelii? Poznałam ją w klasztorze. Powiedziano mi, że nigdy go nie

opuszcza.

- Mówisz jak dziecko, Regeane. - Antoniusz pokręcił głową. — To prawda, że ona nigdy stamtąd nie wychodzi, ale wciąż ją ktoś odwiedza. Dodam, że często są to bardzo wysoko postawione osoby. Ty i Dulcina wywarłyście na niej korzystne wrażenie. O tobie mówi, że jesteś słodka, wrażliwa, namiętna, mądra i czarująca. No i, rzecz jasna, atrakcyjna.

- Tylko atrakcyjna? - W głosie Regeane pojawiło się rozczarowanie.

Antoniusz uniósł z gracją rękę i naśladując Cecelię, powiedział:

- Piękno, moja droga, to coś, co nie oszałamia, lecz zniewala. Co nie blaknie z upływem czasu, lecz rozwija się i dojrzewa.

Regeane skłoniła się i dygnęła.

- Tak czy inaczej - ciągnął Antoniusz - jej opinia dotarła do uszu Rufusa. Błaga, żebyś się u niej za nim wstawiła.

Regeane spojrzała na omszały posąg dziewczyny lejącej wodę do sadzawki. Lekki wietrzyk marszczył powierzchnię, krusząc odbicie słońca na świetlne rozbłyski. Karp wystawił pyszczek, połknął ślizgającego się wśród tych złotych lśnień owada i zanurkował z powrotem.

- To nic nie da — odparła.

- Wiem, Regeane, ale ty nie musisz go zapewniać, że Cecelia cię wysłucha, wystarczy, że do niej pójdziesz.

- No dobrze — przystała bez przekonania. - Pójdę.

- Dziękuję - powiedział Antoniusz. - Ziemie Rufusa leżą niedaleko Rzymu. Jak dotąd pozostaje on lojalny wobec lombardzkiego władcy. Ale jeśli zdołamy z matką nakłonić go do przejścia na naszą stronę, to Bazyl nie będzie mógł oblegać dłużej Rzymu. Zostanie odcięty od swoich i będzie działał na wrogim sobie terytorium. Rufus utrzymuje własną gwardię, a to doświadczeni i oddani mu bez reszty żołnierze. Nie zapominaj, Regeane, że chociaż w tym ogrodzie jest sielsko i zacisznie, to w mieście panuje chaos. W tej chwili ratuje nas tylko to, że Bazyl boi się zaatakować otwarcie Franków. Postaraj się więc zadowolić Rufusa i zjednać go sobie. Regeane pokiwała ze smutkiem głową.

- I, naturalnie, zostaje jeszcze Gundabald.

Regeane zacisnęła usta w wąską linię.

- Twoja matka już mnie pouczyła, jak mam z nim rozmawiać.

- Skoro tak... - Antoniusz spuścił wzrok. Po jego wargach błąkał się

wymuszony uśmiezek. Unikał wzroku wpatrzonej w niego Regeane. - Skoro tak - powtórzył - to im mniej zostanie tu powiedziane, tym lepiej.

- Nie zauważyłem, żeby było z nią coś nie tak – powiedział Gavin, kiedy dosiadłszy koni, oddalali się uliczką od posiadłości Lucilli. Mówił to jakby z zawodem.

- A właśnie że jest, i to zdecydowanie - mruknął Maeniel. - Tylko nie wiem, co.

- Maenieliu - warknął ostrzegawczo Gavin. - Znowu zaczynasz działać mi na nerwy.

- Nie patrzyłeś na nią, kiedy dotykała biżuterii, którą jej podsuwałem.

Gavin miał się już otrząsnąć, ale przypomniał sobie, że w tej chwili nie ma futra. Gest ten oznaczał wśród wilków zakłopotanie.

- Ujmę to inaczej - powiedział Maeniel. — Z tego, co wiem, ta dziewczyna jest biedna. Czy zachowywała się jak normalna kobieta otrzymująca wspaniały prezent?

- Niiieeee, zdecydowanie nie - przyznał Gavin. - Na twarzy miała wymalowane podejrzliwość i rezerwę.

- I miała ku temu powody — powiedział Maeniel. – Pierwszy naszyjnik, który jej podsunąłem, był przesycony złymi energiami. Nigdy nie mogłem utrzymać go dłużej niż kilka chwil. Ona musiała, podobnie jak ja, ujrzeć smutny los kobiety, która go nosiła. Bransoleta wywarła na niej takie samo wrażenie. Następny naszyjnik należał kiedyś do Ginewry.

- Do kogo? — zachnął się Gavin.

- Do Ginewry - powtórzył Maeniel.

- T e j Ginewry? - spytał Gavin.

- Nie innej.

- Wielka była z niej ladacznicą — orzekł Gavin.

W następnym momencie lądował już z głuchym łomotem w pyle uliczki. Nie od razu zdał sobie sprawę, że to Maeniel strącił go z konia. Kiedy to do niego dotarło, pozbierał się z ziemi i sięgnął do miecza.

Maeniel zatrzymał konia i roześmiał się.

- Chcesz popróbować na mnie swoich zębów, ciuro?

Oszołomiony Gavin potrząsnął głową.

- Nigdy cię takim nie widział - wymamrotał ogłupiały. – Co to miasto z

ciebie zrobiło? A tacy byliśmy szczęśliwi w górach. Co ja takiego powiedziałem? Tylko nie próbuj mi wmawiać, że znałeś Ginewrę.

- Znałem - powiedział Maeniel.

Gavin, rozsiewając wokół siebie aurę urażonej dumy, ruszył w stronę swojego konia.

- Nie! - krzyknął. — Nie będę się z tobą bił, boś dla mnie za dobry. Jeszcze mi życie miłe. Poza tym - ciągnął, zatrzymując się i spoglądając na Maeniela - zwycięstwo zaboloby mnie tak samo jak przegrana. Trwam przy tobie wiernie, od kiedy się spotkaliśmy w tamtej irlandzkiej puszczy.

Maeniel zauważył łzy kręcące się w oczach Gavina. Westchnął głęboko. Gavin zaczął się kręcić za koniem w kółko, usiłując go dosiąść. Zwierzę przewracało oczami i uparcie odskakiwało, ilekroć jeździec próbował je pochwycić.

- Stój, diabli pomocię! - wrzasnął Gavin.

Wokół nich zebrał się już tłumek gapiów. Pokpiwali sobie z nieporadności Gavina. Maenielowi żal się zrobiło towarzysza. Chwycił narowistego wierzchowca za uzdę i osadził w miejscu. Gavin wgramolił się na siodło.

- Rozumiem - mruknął wyniośle, kiedy udało mu się wreszcie odzyskać panowanie nad koniem. - Uważasz, jak mniemam, że ubliżyłem tej damie.

- Tak uważam — odparł Maeniel. — Była, jak już powiedziałem, potężną królową, której nikt nie pokonał w bitwie. Ale jak wyjaśnić ci świat, który dawno przeminął? Świat, który był jedynie mglistym wspomnieniem już w czasach przodków twoich przodków? Przepraszam, Gavinie, ale czasami nie mogę ścierpieć, że jestem człowiekiem. Teraz też mnie to naszło. Nie powinienem jednak wyładowywać swej frustracji na tobie.

Zostawiali za sobą ludne ulice i zagłębiali się w opuszczone ruiny. Niebo było bezchmurne, lekki wietrzyk swawolił w zielonych chaszczach.

- Nie przypuszczałem — podjął Maeniel - że kiedyś będę się tak zdręczał wspomnieniami. Masz rację, Gavinie. Góry to czystość. Tam możemy chadzać własnymi ścieżkami i popuszczać wodzy naszej naturze. Tutaj, pośród tego odwiecznego zepsucia, oblicze człowieczeństwa jawi mi się aż nadto wyraźnie.

- Ja byłem wpierw człowiekiem - wymruczał Gavin - ale ty, jeśli dobrze rozumiem... jeśli prawdę mówisz... ty na początku byłeś wilkiem. - Był wstrząśnięty, nie, gorzej niż wstrząśnięty, był niemal zdruzgotany tym, co sobie teraz uświadomił. — Pierwsze słyszę, żeby kiedyś do czegoś takiego doszło.

- W moim przypadku doszło — powiedział Maeniel. — O innych nic mi nie wiadomo. A tobie?

- Też nie. - Gavinowi drżał głos. - I wolę w to nie wnikać.

- Ja również — odparł Maeniel. - I wcale nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, mówiąc ci to. Ale jesteś przecież moim pierwszym od setek lat przyjacielem. Tak doskwierała mi... samotność.

Gavin milczał przez dłuższą chwilę.

- Cały wilk, ani krzty człowieka - odezwał się w końcu. - Wilk z przypadku, człowiek z wyboru.

- Nie, to nie tak - zaproponował Maeniel. - Nie z wyboru. Wyboru dokonał za mnie Blaze. Boże, jak ja czasami wami pogardzam, Gavinie.

- Maenielu! - obruszył się Gavin.

- Nie, nie tobą osobiście. - Maeniel zatoczył ręką szeroki łuk. — Całym twoim rodzajem. Nazywacie wilki bestialskimi zabójcami, a czyż wilk może wam dorównać w okrucieństwie i rozwiązłości? W tchórzostwie nikt was nie prześcignie, jako zabójcy nie macie sobie równych. A ty biegasz na czworakach tylko po to, by dać upust swoim chuciom. Wtykasz swoje przyrodzenie w co popadnie i skowyczysz z rozkoszy. Zmiana postaci jest dla ciebie sposobem na pozbycie się wszelkich zahamowań.

Gavin zeskoczył z konia, schylił się po odłamek marmuru i cisnął nim w Maeniela.

- Złaź i stawaj! - wrzasnął.

Maeniel wycofał się z koniem poza zasięg pocisków Gavina. Gavin dał za wygraną, opuścił ręce i stał zdyszany, patrząc spode łba na roześmianego Maeniela.

- Tak uważasz? - wysapał. - Patrzcie, znalazło się niewiniątko. Nareszcie wyjaśnia się to, co zawsze mnie dziwiło w twoim zachowaniu. Boże, pamiętam, jak się łąsiłeś do Riculfa. Chryste, frankoński król Martel wysłał nas z nim, żebyśmy trzymali przełęcz. Nie miał biedak pojęcia, kim dowodzi. — Głos Gavina narósł do krzyku. - A ty i cała reszta patrzyliście w niego jak w boga. Teraz rozumiem, dlaczego. Masz...

- Zamierzasz powiedzieć coś o psach? - przerwał mu Maeniel złowróżbnym tonem.

- Owszem - przytaknął Gavin.

- To lepiej przeformułuj to zdanie - poradził mu Maeniel. - Powiedz:

„Masz etykę wilka”.

Gavinowi zaschło nagle w ustach. Przełknął szybko ślinę. Maeniel odrzucił w tył głowę i roześmiał się na całe gardło.

- Zwierzęta. Nam, zwierzętom, niepotrzebna etyka. Nie jesteśmy zepsute. W odróżnieniu od was, ludzi.

Gavin chwycił konia za uzdę.

- Nie pojmuję, jak to możliwe, że tak długo żyjesz - powiedział, dosiadając wierzchowca.

Maeniel puścił wodze, położył dłonie na udach i zapatrzył się na porośnięte zielskiem ruiny.

- Sam tego do końca nie pojmuję - przyznał. - Pamiętam czasy, kiedy to miasto, wieczny Rzym, było jeszcze bardzo młode. Stanowiło centrum świata, roiło się od ludzi. Nienawidziłem go, ale uważałem za niepokonane. Teraz tam, gdzie panowali cesarze, gdzie szlachetni patrycjusze zdradzali jeden drugiego i walczyli o władzę, nie znajduję nic. Nic prócz wiatru i ciszy. To dla mnie wstrząs.

Gavin wzruszył ramionami.

- Wilki nie mają historii.

- Nie - powiedział Maeniel — uważam, że żadne słowa nie potrafią oddać drogi, którą razem przebyliśmy, dostosowując się do świata. Dawno już ułożyliśmy między sobą stosunki. My, wilki, mamy słowa - słowa na miłość, pościg, zabijanie, na walkę. Na śnieg, górę, trawę, ogień i gwiazdę. I na wiele innych pojęć. Ale nie mamy słów na grzech, zepsucie i zło. To wynalazki człowieka. Kiedy przemieniłem się po raz pierwszy, moja towarzyszka powiedziała mi, że jest przerażona. Przez długi czas nie zmieniałem potem postaci. Uczyniłem to ponownie dopiero na widok jakichś dziewcząt kąpiących się w strumieniu.

Gavin gwizdnął przez zęby.

- Księża mają rację. Kobiety to nasza zguba.

- Aleje lubisz - zauważył kwaśno Maeniel. — Nie wyrzekłbyś się ich. Przywarowałem w zaroślach i wstałem już jako mężczyzna.

- Pozwól, że zgadnę - wtrącił Gavin. — Uciekły wszystkie na twój widok.

- Wszystkie prócz jednej - powiedział cicho Maeniel.

- A ty przedzierzgnąłeś się z powrotem w wilka i pożarłeś ją? - zakpił Gavin.

- Nie byłem głodny - odparł Maeniel. - A poza tym — spojrzał chłodno na

Gavina - byłem wilkiem, a wilki nie zabijają tych, z którymi dzielimy nasze ciała. Była bezpieczna. Byłem nadal zwierzęciem. Nie zdążyłem sobie jeszcze przyswoić ludzkiego okrucieństwa i perwersji. Nie przyswoiłem sobie jeszcze ludzkiej żądy posiadania. Spółkowaliśmy delikatnie i namiętnie zarazem. Zostawiłem ją bezpieczną, zaspokojoną, śpiącą nad brzegiem strumienia. Krążyłem w pobliżu już pod swoją naturalną postacią i pilnowałem jej, dopóki o zmroku nie nadeszli z pochodniami jej ludzie.

- Spodobała ci się ludzka miłość?

- Tak - przyznał Maeniel. - I w ten sposób zostałem odciągnięty od zwierzęcej niewinności ku wielkiej tragedii człowieczeństwa. Jako wilk posłuszny byłem prawom mojego rodzaju. Łamiąc je, utraciłem duszę. Całe wieki próbowałem uciekać od człowieka, powracając do postaci wilka. Kilkakrotnie próbowałem też uciec od wilka między ludzi. Nic z tego. Teraz znowu stoję przed wyborem. I wsłuchuję się pilnie w prawa, które mną rządzą.

- Za dużo deliberujesz, Maenieli - powiedział Gavin. - O jakim wyborze mówisz?

- Przez wszystkie wieki, jakie żyję na tym świecie – odparł Maeniel - ani razu nie dostałem prezentu, który zaoferowała mi ta srebrzysta. Dziewczyna z willi rozpala me lędźwia, ale srebrzysta krzyczy w mojej krwi. Jakichkolwiek lubieżności dopuściła się jako kobieta, jako wilczyca jest dziewicą. Wiem to. Dziewicą gotową na ogień namiętności, który płonie zarówno w moim człowieczym, jak i wilczym ja.

- Jezu Chryste - mruknął Gavin - tyś chyba zmysły postradał. Nie znasz nawet jej imienia. Może to jakaś nierządnicą, ostatnia wywłoka. Może ma męża.

Maeniel wyszczerzył w uśmiechu zęby. Nie było w tym uśmiechu niczego ludzkiego.

- I co z tego? Myślisz, że będzie miał odwagę stawić mi czoło czy to jako człowiekowi, czy jako wilkowi?

- Nie sędzę - przyznał Gavin, popatrując spod oka na dziką twarz Maeniela. - Ja bym tego nie zrobił. Zwłaszcza gdybym cię zobaczył takim jak teraz. Do diabła, Maenieli, a dlaczego nie weźmiesz ich obu? To ludzka rzecz mieć wiele kobiet.

- W tym właśnie sęk — powiedział Maeniel, wybuchając nieprzyjemnym śmiechem. - Ja nie jestem człowiekiem. - Ujął wodze w dłonie, dźgnął konia ostrogami i ruszył galopem.

Regeane zastosowała się dokładnie do instrukcji Antoniusza i Lucilli. Grając rolę łaskawej patronki, przyjęła ludzi, którzy mieli wejść w skład jej straży. Uśmiechała się do każdego czarująco i niewinnie, podawała dłoń do pocałowania i rumieniła się na zawołanie.

Każdego spytała o imię i zadziwiając samą siebie, zapamiętała wszystkie. Na koniec tej pierwszej audiencji obdarowała każdego pierścieniem albo broszą ze skarbu, który dostała od Maeniela.

- No i co? — zwróciła się do Antoniusza, kiedy ostatni z żołnierzy wyszedł z komnaty gościnnej. - Jak się spisałam?

- Cudownie - pochwalił ją Antoniusz. - Paru wyglądało tak, jakby dostali obuchem w głowę, reszta też była wniebowzięta.

Regeane spuściła wzrok i wygładziła fałdy sukni. Była to suknia gustownie skromna, uszyta z delikatnego egipskiego płótna, haftowana złotą nicią przy dekolcie i u dołu, z długimi, głęboko rozciętymi rękawami, które sięgały niemal ziemi. Pod tą suknią miała jedwabną koszulę z długimi, obcisłymi rękawami, a pod nią lnianą koszulę bez rękawów. Strój ten pobudzał wyobraźnię. Działał na męskie zmysły.

- Wielkie nieba! - zawołała Regeane, kiedy Lucilla pokazała jej tę suknię. - Zbyt szykowna.

- Bzdury opowiadasz — ucięła Lucilla. — Musisz wyrzucić na swoich ludziach wrażenie panny bogatej, ale skromnej. Poza tym wszystkie twoje wydatki pokrywa od teraz Maeniel. Chyba jeszcze nie dotarło do ciebie, jak bogatą cię uczynił. Dał ci w tej torbie królewski skarb. Całe rzymskie rodziny utrzymują się przez lata za sumę, jaką warta jest jedna sztuka tych drogocенności.

To mówiąc, Lucilla chciała przepasać Regeane misternie kutym, grubym złotym łańcuchem, wyjaśniając, że to obecnie ostatni krzyk mody w Bizancjum.

- Mnie się nie podoba - skrzywiła się Elfgifa.

- Podoba się czy nie - rozsierdziła się Lucilla - jest teraz w modzie i ani myślę wysłuchiwać opinii przedstawicielki ludu, który za stosowny dworski strój uznaje koszulę naciągniętą na inną koszulę, długą dla kobiet, krótszą dla mężczyzn, i ściągniętą skórzany pasem. Zachowaj więc swoje zdanie dla siebie, młoda damo.

Antoniusz parsknął śmiechem.

- Matko - powiedział, ocierając zażawione oczy - ciebie nic nie przekona. Zapomnij choć na chwilę o modzie i daj dojść do głosu naturze.

Lucilla fuknęła gniewnie i odwróciła się, a Regeane spojrzała z wdzięcznością

na Antoniusza.

- Będę ci towarzyszył podczas tego spotkania - powiedział. - Jestem w końcu twoim szambelanem.

- Kto to jest szambelan? - zainteresowała się Elfgifa.

- Nie wiem - przyznała. Regeane - ale jestem pewna, że Antoniusz będzie dobrym. — Tu zwróciła się do Antoniusza: - Wiesz, Antoniuszu, ty pierwszy powiedziałeś mi, że jestem piękna.

- Doprawdy? - zdziwił się. - Cóż, piękno to skuteczna broń. Naucz się z niej korzystać.

- O czym innym myślałam - westchnęła Regeane.

- Wiem - odparł Antoniusz. — Ale zapomnij o tym. Najbardziej niewinny flirt byłby dla nas obojga niebezpieczny. Pójdę teraz po Rufusa.

- Nie - powstrzymała go Regeane. - Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaprowadź mnie do niego.

Antoniusz uśmiechnął się i podał jej ramię.

- Chodźmy zatem. Czeka nas dłuższy spacer.

Tak jak uprzedzał Antoniusz, droga była daleka. Zeszli po zniszczonych marmurowych schodach, przecięli zaorane, zalane słońcem pole i pokonawszy kolejne skrzydło schodów, znaleźli się w starym gaju cyprysowym. Spocona Regeane z lubością wstąpiła w chłodny cień drzew. Za tym gajem, na powierzchni większej od Forum, rozciągały się ruiny.

Rufus siedział na ławeczce przed stosem marmurowych płyt, ułożonych jedna na drugiej i tworzących małe urwisko. Z góry, do spękanej u podstawy fontanny, ściekały strumyczki wody imitujące miniaturowy wodospad.

Rufus, tak jak sugerowało to imię, był mężczyzną o bujnej rudej czuprynie przetykanej pasemkami siwizny. Kępki siwych włosów sterczały mu też z uszu. W pierwszej chwili wydał się Regeane szpetny. W oczy rzucał się wielki, haczykowaty nochal noszący ślady paru złamań. Przez czoło biegła cienka biała blizna od cięcia mieczem. Usta miał szerokie i mięsiste. Do tego wydatne kości policzkowe, wpadnięte policzki oraz jasną, niemal delikatną cerę, właściwą temu typowi urody.

Zupełnie nie wyglądał na romantycznego kochanka wartego poświęcenia Cecelii. Dopóki się nie uśmiechnął. Bo uśmiech miał zniewalający. Tak — pomyślała Regeane — tego mężczyznę każda by pokochała.

Na ich widok Rufus wstał szybko, odłożył pismo, które właśnie czytał, i schylił się do ręki Regeane.

- Pani - powiedział - że też zadałaś sobie trud tak dalekiej wyprawy! Wszak to ja miałem do ciebie przyjść.

- Wiem - odparła Regeane - ale chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. - Rozejrzała się po piętrzących się wokół stosach gruzów. Były zarośnięte pnączami i niskimi krzaczkami, z których tu i ówdzie sterczała sosna albo karłowaty dąb. - Co to za miejsce? - spytała zachwycona.

- Robi wrażenie, nieprawdaż, śliczna pani? - Rufus uśmiechnął się. - Powiadają, że to wszystko, co pozostało ze złotego domu Nerona, najświetniejszego niegdyś i najpiękniejszego na całym świecie pałacu. Lubię tu przychodzić i spacerować. Rozmyślam o dawnych rzymskich czasach i o naszych królestwach, które po nich nastały.

- „Tak przemija splendor świata” - zacytował Antoniusz. - Moi przodkowie paradowali w purpurze i koronowano ich laurowymi wieńcami. Oni władali światem, a my, ich potomkowie, musimy z pokorą przyznać - tu skłonił się przed Rufusem - że w potrzebie naszymi obrońcami są prymitywni, zuchwali barbarzyńcy.

- Raczysz żartować - powiedział Rufus i jego twarz rozjaśnił znowu ujmujący uśmiech. - Twoi akurat przodkowie raczej w pogardzie mieli purpurę i więcej ich łączyło z bodźcem na wołu niż ze złotym laurem. Co zaś do władania światem, to bardziej prawdopodobne, że służyli pokornie w legionach idących za pługiem. Chaos, który ogarnął teraz świat, choć nad nim bolejesz, stwarza nam obu mnóstwo możliwości. Przejdźmy więc może od razu do sedna sprawy.

Antoniuszowi zadrgały usta. Był wyraźnie rozbawiony.

- Rad jestem widzieć cię znowu, Rufusie.

- I nawzajem — odparł Rufus. — Nie wiem, co i dlaczego się stało, chłopcze, ale cieszę się, żeś znowu zdrów.

Uścisnęli sobie serdecznie ręce.

- Powiedz mi - zwrócił się Rufus do Regeane - jak tam moja Cecelia.

- Och! - Regeane chciała zyskać trochę na czasie, bo nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Odciągnęła dekolt sukni, by wpuścić pod nią trochę powietrza i ochłodzić wilgotną skórę. - Usiadłabym na chwilę w cieniu, jeśli wolno.

- Ależ proszę, moja pani — powiedział Rufus. — Może napijesz się wina? - spytał, prowadząc ją do ławeczki i siadając obok. — Przychodzę tu zawsze

zaopatrzony w prowiant na drugie śniadanie.

Regeane z wdzięcznością przyjęła poczęstunek. Wino było łagodne. Ser rozsmarowywał się na chlebie jak masło. Jadła, zachodząc w głowę, co też ma odpowiedzieć Rufusowi.

- Czy to naprawdę takie trudne, moja droga? - spytał w końcu Rufus, ujmując ją pod brodę.

- Tak — wymamrotała Regeane z ustami pełnymi chleba z serem.

Rufus cofnął rękę i złożył dłonie na kolanach.

- Czarująca - zwrócił się do Antoniusza, który stał oparty o pień rosnącego nieopodal cyprysowego drzewka. - Czy ona zawsze jest taka szczerą?

- Zazwyczaj - odparł Antoniusz. - Nie zdążyłem jej jeszcze wprowadzić w sztukę pozornego obiecywania wszystkiego bez zobowiązania się do czegokolwiek.

- A zatem powiedz mi przynajmniej, Regeane - podjął Rufus - czy mojej drogiej Cecelii dobrze z jej fochami.

- Z fochami?! — zawołali jednym głosem Regeane i Antoniusz.

- Tak, fochami - powtórzył Rufus. — Zawsze była na nie podatna. Jest bardzo humorzasta.

- Boże, Rufusie! - wykrzyknął Antoniusz. - Nazywasz fochami dziesięcioletni pobyt w klasztorze? A do tego ona obcięła...

- Wiem, co uczyniła - wpadł mu w słowo Rufus i twarz mu nagle sposepniała. - Nie trzeba mi tego przypominać. Zawsze uważałem, że gdyby ten głupi Maximus, jej mąż, okazał choć odrobinę taktu, odrobinę zwyczajnych ludzkich uczuć, ona w ciągu dwóch tygodni byłaby z powrotem w moich ramionach. Ale ten głupiec nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie upokorzyć, nie rozwścieczyć. Reszta była zwyczajnym działaniem pod wpływem chwili.

Regeane pociągnęła łyk wina i wzdrygnęła się. Pot na skórze wysechł już i w wydłużających się cieniach wieczoru, zapadającego nad ruinami, robiło się chłodno.

- Drogo zapłacił za swoje okrucieństwo - powiedziała. - Cecelia opowiedziała mi, jak skonał w nędzy na ulicy i deszcz zalewał jego otwarte, martwe oczy.

Ku jej zdumieniu Rufus ryknął śmiechem.

- Tak ci powiedziała? O, nie. O, trzymajcie mnie. Tej wersji jeszcze nie słyszałem.

- To nieprawda? - zapytała wstrząśnięta Regeane. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że kłamała?

- Nie do końca — przyznał Rufus. — Faktem jest, że kiedy nasza spółka uległa rozwiązaniu, Maximus nigdy już nie był taki bogaty jak wcześniej, ale umarł w domu, we własnym łóżku. Zdaje się, że na wątrobę. Powiadają, że na krótko przed śmiercią jego skóra przybrała kolor dojrzałej cytryny. Nie rozmawialiśmy już wtedy ze sobą. Zabiło go chyba przesadne zamiłowanie do wina. Tak czy owak, do jego śmierci na pewno nie przyczyniła się Cecelia. Wcale się jednak nie dziwię, że ona tak uważa. Zawsze miała skłonności do dramatyzowania...

- A te róże? - spytała Regeane.

- Jakie róże? — zdziwił się Rufus. - Ach tak, róże. Sprawiają jej przyjemność? Lubi je dostawać?

- Ha! - powiedziała Regeane. - Podejrzewam, że opuściłaby klasztorne mury, gdybyś przestał je przysyłać.

Rufus pokręcił głową.

- Nie, nigdy nie przestanę ich przysyłać. Nie potrafiłbym. Widzisz, moja droga, nie mogę znieść myśli, że ona mogłaby zostać publicznie upokorzona albo dojść do wniosku, iż dawny kochanek zapomniał o niej i już nie cierpi. Zbyt wiele rzymskich matron opłakiwało nasz smutny los, bym przestał je teraz przysyłać. Czy bez nich mogłaby nadal pozostawać bohaterką, postacią z antycznej tragedii? Wyjawię ci pewien sekret, Regeane. Jeśli nawet umrę, ona nadal będzie dostawała te róże. Zapisalem to w mojej ostatniej woli. Do ostatniego tchnienia zapach róż będzie ją otaczał... w moim imieniu.

Regeane odstawiała powoli czarękę z winem na ławkę, podniosła się i stanęła przed Rufusem.

- Jesteś tak samo zły jak ona - oznajmiła.

- Regeane! — zawołał z oburzeniem Antoniusz.

- Nie - powiedział Rufus. — Na Boga, ta dziewczyna ma rację. Jestem zły. Te kłamstwa, te róże, te puste gesty i w ogóle, ale... -Wstał z ławki i spojrzał z góry na Regeane. — Jestem szczęśliwym człowiekiem, Regeane. Nie mógłbym więcej od życia wymagać. Majątek, wolny czas, dobre zdrowie i przyjemności. Nie mogę powiedzieć, żeby Cecelia coś z tego zniszczyła. - Uniósł palec. -Ale jest coś, co uczyniłoby mnie jeszcze szczęśliwszym.

- Cecelia — domyśliła się Regeane.

- Gdyby nadeszła teraz tą ścieżką. — Rufus odwrócił się od Regeane i spojrzał na ścieżkę, jakby widział na niej coś, czego ona nie dostrzegała. - Usiedlibyśmy obok siebie. Ona czytałaby mi Swetoniusza albo Tacyty. Snulibyśmy razem wspaniałe fantazje o Rzymie z czasów maszerujących legionów. Z czasów, kiedy Neron mieszkał tutaj w swoim złotym domu z piękną cesarzową Poppeą u boku. Opowiadalibyśmy sobie historie o strasznych starożytnych zbrodniach, torturach, intrygach i o ostatecznej karze, jaka spotkała tamtych pozłacanych, fascynujących grzeszników. A zakończywszy naszą podróż w czasie, poszlibyśmy, trzymając się za ręce, nad pewien znany mi staw, gdzie księżyc jest jasny, a trawa miękka i wysoka. Bywały noce, kiedy kazałem swoim ludziom przygotowywać ucztę na łące i ogrzewać powietrze ogniskami, byśmy mogli leżeć w objęciach pod gołym niebem. To samo zrobiłbym dla niej dzisiaj, i jutro, i kiedy tylko by tego zapragnęła. I nigdy byśmy się już nie rozstali.

- Nie myślałam, że miłość może być wieczna – powiedziała Regeane. - Wydawało mi się, że to niemożliwe. - Zaskoczyły ją, a nawet trochę przestraszyły własne słowa.

Rufus, nie spoglądając na nią, podszedł do kępy nawłoci pławiących się w blasku popołudniowego słońca.

- Oczywiście - odparł. - Jesteś jeszcze młoda. Zapomniałem o tym. Otóż wiedz, że miłość jest wieczna. To właśnie jej terror i jej ostateczne piękno. Miłość nigdy nie przemija. Wystarczy, byś raz się zakochała, a ta miłość towarzyszyć ci już będzie w każdym momencie życia. Nie ma dnia, żebym nie pomyślał: „Jaka szkoda, że nie ma teraz przy mnie Cecelii”. Myślę o niej rankami i wieczorami, myślę wiosną, kiedy przyroda budzi się do życia, śnię o niej w parne letnie noce. Widzę ją przy sobie jesienią w porze żniw. Jest moją Demeter i Afrodytą. W mroźne, rozgwieżdżone zimowe noce, kiedy wiatr tłucze okiennicami, budzę się, wyciągam rękę, by jej dotknąć, i uświadamiam sobie, że Cecelii nie ma, że być może odeszła na zawsze. Że może nigdy już nie wróci.

Rufus zamilkł. Gasnące słońce barwiło jego włosy płomienną czerwienią.

Regeane stała z zaciśniętymi pięściami; łzy kręciły jej się w oczach. Rufus wrócił w cień cyprysów.

- Nie mogę ci obiecać, że Cecelia mnie wysłucha – odezwała się Regeane - ale pójdę do niej i wstawię się za tobą.

Rufus uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Nie liczę wcale, że uda ci się ją przekonać - powiedział. - Dobrze znam Cecelię. Chcę tylko, żebyś podsunęła jej pretekst.

- Tak - podchwycił Antoniusz. - Pretekst, który pomoże jej zachować twarz, a ściślej to, co z niej jeszcze zostało.

Rufus drgnął.

- Na miłość boską, Antoniuszu! - zachnęła się Regeane.

Ale Rufus zapanował już nad sobą i roześmiał się.

- Czy mężczyzna zakochuje się w twarzy kobiety, Antoniuszu? Tylko to widziałeś w Adraście? Ładną buzię?

- Muszę sobie zapamiętać, by w przyszłości nie krzyżować z tobą mieczy - powiedział Antoniusz. - Celna to była riposta.

- Rad jestem, że ją poczułeś — odparł Rufus.

- Mam nadzieję, że Cećelia uzna moje wstawiennictwo za wystarczający pretekst do powrotu - powiedziała Regeane. — Może chce wrócić, ale nie jest pewna... czy zostanie dobrze przyjęta.

Rufus uniósł dłoń Regeane do ust i złożył na niej pocałunek.

- Zapewnij ją o tym — poprosił.

- Chodźmy, Regeane - ponaglił ją Antoniusz. - Późno już, cyprysy rzucają długie cienie. Musisz się jeszcze przebrać przed wieczorną ucztą.

- Te ruiny nie są bezpieczne po zmroku — powiedział Rufus. — Mam tu swoich ludzi. Odprowadzą was do willi, w której mieszka Lucilla.

Lucilla czekała na nich przy bramie na tyłach willi.

- Gundabald i Hugo już tu są - oznajmiła. - Gdzie chcesz ich przyjąć? W domu czy w ogrodzie?

Regeane zaschło w ustach, a serce zaczęło walić jak młotem. Wygładziła suknię i spojrzała pytająco na Lucillę.

- Jak wyglądam?

Lucilla poprawiła jej włosy.

- Nieźle - orzekła. — Jesteś trochę zarumieniona po tym długim spacerze, ale na szczęście zbytnio się nie spociłaś. Kiedy się przebierzesz i założysz biżuterię, efekt będzie zadowalający.

- To dobrze — odetchnęła Regeane.

- Tylko bez zbytniej uległości! - ostrzegła ją Lucilla. - Mogłabyś obudzić ich podejrzenia. Daj od razu do zrozumienia, że chcesz pojednania, ale zamierzasz być panią we własnym domu. Udawaj, że liczysz na ich pomoc w budowaniu swojej pozycji w domostwie męża.

Regeane pokiwała machinalnie głową.

- Mam ci towarzyszyć? — spytał Antoniusz.

- Nie - odparła Regeane. - Wuj spłoszyłby się, gdybym nie wyszła do niego sama. Nie mówiłby szczerze. - Z tymi słowami ruszyła w stronę kotary odgradzającej pograżony w ciemnościach dom od atrium.

Gundabald i Hugo czekali w atrium. Siedzieli na kamiennej ławeczce. Gundabald gapił się ponuro w sadzawkę, Hugo rozglądał się nerwowo, wyraźnie onieśmielony otaczającym go luksusem. On pierwszy dostrzegł nadchodzącą Regeane. Zerwał się na równe nogi. Gundabald podniósł się z ławeczki wolniej. Obaj spoglądali na dziewczynę wyczekująco.

Regeane zatrzymała się dobre trzy kroki przed nimi trochę zdezorientowana. Szła do nich z duszą na ramieniu, ale teraz widok krewniaków wzbudzał w niej politowanie.

Boże, ależ żalosną parę stanowili! Wyświechtana koszula i opończa Hugo rozłaziły się na szwach, pod pachami czerniały zacieki potu. Haftowana złotem opończa Gundabalda, która jeszcze nie tak dawno wydawała jej się wielce szykowna, lepiła się od brudu, płócienne rajtuzy wuja były wypchane na kolanach.

Obaj byli w ubłoconych, zdartych, niemiłosiernie znoszonych butach. I, Boże, jakżeż śmierdzieli! Zwietryła ich w ciemnościach z daleka, jeszcze przed wilczycą, i po raz pierwszy uświadomiła sobie, że źródłem fetoru, który zawsze wokół siebie rozsiewali, są niemyte ciała oraz przetłuszczone włosy i brody. Gundabald spozierał na nią ponuro, oczy miał podkrążone i nabiegłe krwią z niewyspania i opilstwa.

Przemknęło jej przez myśl pytanie, po co w ogóle Lucilla rozważa zabicie któregoś z nich. Szkoda fatygi. Gundabald uśmiechnął się. I widok jego tępych, pożółkłych zębów sprawił, że powróciło widmo strachu, jakim ją kiedyś napawał.

- No co? — zapytał. — Nie cmokniesz wuja w policzek?

Wilczyca podwinęła górną wargę. Regeane gotowa była przysiąc, że zrobiła to wilczyca, dopóki nie ujrzała spazmu wściekłości, który przemknął przez twarz Gundabalda, i panicznego przerażenia w oczach Hugo.

- Śmiesz szczerzyć na mnie zęby, ty głupia wywłoko? - wycedził cicho Gundabald. - Wiem, wydaje ci się, żeś znalazła potężnych znajomków. Znajomków, którzy staną za tobą murem i będą tak stać, dopóki nie wyjdiesz za mąż i nie przeniesiesz się do górskiej twierdzy tego swojego nowego pana. Ale co będzie, kiedy już zostaniesz z nim sam na sam?

- Nie strasz mnie, Gundabaldzie - powiedziała Regeane.

Gundabald postąpił krok w jej stronę.

- Nie zbliżaj się - ostrzegła cicho.

Gundabald zawahał się i cofnął. Hugo najwyraźniej czmychnąłby gdzie pieprz rośnie. Z jego krtani dobywało się ciche skamlenie.

- Nie rób z siebie durnia - warknął na niego Gundabald. — Toż to jasny dzień.

- Dzień już was przede mną nie chroni, Gundabaldzie - powiedziała Regeane, kręcąc powoli głową. - Zmieniłam się.

Hugo schował się za ojca.

- Też mi nowina! - prychnął Gundabald. - Nie od dziś się zmieniasz.

- Tak, ale teraz zdarza mi się to częściej i o wiele łatwiej przychodzi. Ostrzegam cię więc: nie licz na słońce. — Wilczyca przyczajona głęboko w Regeane powstała. Rozwarła szczęki w szerokim psim uśmiechu, długi, czerwony jęzor oparł się o potężne kły. Śmiała się całym pyskiem. Był to śmiech zwycięzcy w śmiertelnym pojedynku o psychiczną dominację nad przeciwnikiem. I Regeane uświadomiła sobie, że to, co przed chwilą powiedziała Gundabaldowi, choć miało być

blefem, jest jednak prawdą.

Gdzieś tam, w ciemnościach Kampanii, w świecie pomiędzy życiem a śmiercią, podczas walki o życie Antoniusza, wilczyca stała się panią samej siebie. Regeane mogła teraz wzywać tę wspaniałą zabójczynię o każdej porze dnia i nocy. Wygrała.

- Ojciec... - zaszlochał Hugo.
- Stul głowę, durniu - warknął Gundabald.
- Właśnie - podchwyciła Regeane. - Każ mu zamilknąć. Nie mam ochoty słuchać jego skamlania. A teraz mów, po coś przyszedł. Zresztą wiem, po co. Zaraz ci pokażę.

Regeane odwróciła się i odgarnęła kotarę przesłaniającą wejście do triklinium. Oczom Gundabalda ukazał się stół, na którym leżała część skarbu Maeniela - rozrzucone bezładnie złote monety, szlachetne kamienie, pierścienie, brosze.

- Nieźle — mruknął Gundabald. - Trafiło ci się jak ślepej kurze ziarno.
- To nawet nie dziesiąta część tego, co dostałam - powiedziała Regeane.

- Cenniejsze okazy są pod kluczem.

Gundabald wszedł do triklinium, zbliżył się do stołu i zgarnął z niego kupkę złotych monet. Zabrzęczały mu w garści.

- Dziesiąta część, powiadasz? - Oczy świeciły mu się chciwie.
- Mniej - odparła Regeane. Ogarnęło ją nagle znużenie. Znużenie i gniew. Zwyciężyła. Teraz wystarczyło tylko zdobyć zaufanie tej pary głupców, a resztę załatwi zabójca wynajęty przez Lucillę.

Obserwowała przez chwilę krewniaków wlepiających wzrok w przynętę Lucilli. Potem wzięła ze stołu celtyckiej roboty pierścień ze wspaniałym rubinem i włożyła go w podstawioną dłoń Hugo.

- Kupisz sobie za to świecidełko tabun kobiet i morze wina. Dobrze mówię, Hugo? - spytała.

- Z waszą pomocą będę go zwodziła, jak długo zechcę — powiedziała Regeane, próbując nadać swemu głosowi twardy ton.

Gundabald obrzucił ją przeciągłym, taksującym spojrzeniem. Potem podszedł do drzwi i zapatrzył się na ogród.

- To pociąga za sobą trochę komplikacji - powiedział. - Musisz przyznać, że mój plan był o wiele prostszy. Zagarnąć, ile się da, upozorować wypadek na polowaniu, a potem jako pogrążona w żałobie dziedziczka i bardzo religijna wdowa

— pozując na bogobojną niewiastę, moja droga, odwróciłabyś od siebie wszelkie podejrzenia — spędziłabyś resztę życia pod troskliwą opieką wuja i kuzyna.

- Tak - mruknęła z przekąsem Regeane - w wąskiej kamiennej celi, przykuta za szyję do ściany. To miałeś na myśli?

- Ależ skąd! - wymamrotał Hugo. - Nawet do głowy by nam nie przyszło...

- Diabła tam by nie przyszło! - wpadła mu w słowo Regeane. - Nie od dziś was znam.

- No dobrze. - Gundabald potrząsnął garścią rubinów. - Pogadaliśmy sobie, przejdźmy teraz do interesów.

Regeane kiwnęła głową.

- Albo przystajecie na moje warunki, albo żadnego interesu nie będzie, bo nie zamierzam spędzić ani jednego dnia pod waszą „troskliwą opieką”.

Gundabald odwrócił się od drzwi i oparł o ścianę.

- Twój plan jest do niczego - orzekł.

- Do niczego? - Regeane roześmiała się. - Zamordowałeś mojego ojca, ograbiłeś do cna matkę, a moje dzieciństwo zamieniłeś w koszmar. Podaj mi chociaż jeden powód, dla którego miałabym ci w czymkolwiek zaufać.

Gundabald oderwał się od ściany.

- Znamy twoją tajemnicę! - ryknął.

Pochylił się nad stołem do stojącej po drugiej stronie Regeane. Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali.

- Odsuń się, Gundabaldzie - wyszeptała chrapliwie Regeane - i nie ziej mi swoim cuchnącym oddechem w twarz, bo zapoznasz się z moją tajemnicą bliżej, niżbyś sobie tego życzył. No!

Gundabald posłuchał. Oczy płonęły mu nienawiścią.

- Nadal twierdzę, że twój plan jest do niczego. Wcześniej czy później ten człowiek przejrzy twój sekret i zabije cię.

Regeane usiłowała zachować spokój. Z trudem jej to przychodziło.

- Może nie przejrzy - powiedziała — albo przejrzy, ale mnie nie zabije. Jedno jest pewne - nie będzie żadnych wypadków podczas polowania! To małżeństwo jest ważne z powodów, których wy nie rozumiecie. Wasze intrygi pogrążyłyby mnie, a bądźcie pewni, że idąc na dno, pociągnęłabym za sobą i was. Ocknij się, Gundabaldzie. Nie masz już nade mną władzy. A skoro nie odpowiada Ci moja propozycja, to jest jeszcze jedno wyjście. Jeśli nie chcecie mi się

podporządkować, droga wolna. Tylko pamiętajcie: bez moich pieniędzy skończycie w rynsztoku. Czy wyrażam się jasno?

Jednym niedbałym ruchem ręki strąciła ze stołu kilka sztuk złota i klejnotów. Rozsypały się z brzękiem po posadzce. Hugo, padłszy na czworaki, zaczął je gorączkowo zbierać i upychać do sakiewki.

Gundabald nie schylił się nawet. Pierś unosiła mu się i opadała, rozsadzana wściekłością.

- Chyba się rozumiemy - wycedził.

- Nie wiem, jak ty, Gundabaldzie, ale ja rozumiem cię bardzo dobrze. Masz nade mną tylko tę przewagę, że możesz wyjawić moją tajemnicę świata. I co byś przez to osiągnął? No, powiedz!

Gundabald odwrócił wzrok.

- Nic - mruknął.

- O nie, mylisz się, Gundabaldzie. Osiągnąłbyś coś gorszego niż nic. Mój nowy pan i przyszły małżonek jest wielce rad, że trafia mu się dama z królewskiego rodu. Mógłby uznać cię za obłąkanego albo za kłamcę i kazać uciszyć. Również papież, który bardzo popiera to małżeństwo, mógłby ujrzeć w tobie niebezpiecznego wichrzyciela. Zastanów się, gotów jesteś podjąć takie ryzyko?

Gundabald parsknął i uśmiechnął się, ale gniew wciąż tlił się w jego oczach.

- Moja droga siostrzenico - wycedził przez zaciśnięte zęby - sprytna z ciebie kobieta. O wiele sprytniejsza, niż myślałem. Teraz rozumiem, że jeśli mam skorzystać na łączących nas więzach krwi, to muszę przyjąć twoje warunki.

Hugo podźwignął się z kolan z wypchaną sakiewką i popatrywał to na Gundabalda, to na Regeane.

- Ojciec - odezwał się niepewnie. - Chyba lepiej będzie, jeśli zrobimy, jak ona mówi.

Gundabald posłał mu wściekłe spojrzenie.

- Niech będzie — powiedział cicho, przenosząc wzrok z powrotem na Regeane. — Co mamy robić?

Regeane odprężyła się. Była już pewna, że połknęli haczyk. Własna chciwość pchała ich w zastawioną pułapkę.

Wilczyca zapamiętała tę chwilę. Dobrze zapamiętała. Były to wspomnienia łowczyni. Patrzyła na Hugo i Gundabalda zimnymi, beznamiętnymi oczyma zabójczyni.

Hugo cofnął się kilka kroków, na policzku Gundabalda zadrgał mięsień.

- Co mamy robić? - wykrztusił Hugo.

- Po pierwsze, wykąpcie się — warknęła Regeane. — Wszystkie pieniądze, które zostały na stole, są wasze.

Hugo zapomniał o strachu i rzucił się gorliwie do zbierania monet.

- Kupcie sobie nowe odzienie, byście mogli się godnie zaprezentować mojemu panu. Ty, Gundabaldzie, masz nadal znajomości na dworze Karola, prawda?

- Mam - przyznał powoli Gundabald.

- Bardzo dobrze. Przydadzą się. - Regeane wzięła głęboki oddech. - Bardzo się przydadzą. Sama nie zdołam zrobić z tego Maeniela wielkiego pana. Potrzebna mi będzie pomoc takiego doświadczonego, bywałego w świecie człowieka, jak ty. Ja nigdy nie interesowałam się polityką.

Gundabald nie wytrzymał i kiwając głową, też zaczął zbierać złoto ze stołu.

- Słudzy Lucilli odprowadzą was teraz do bramy — ciągnęła Regeane. — Wróćcie tu za kilka dni. Zjemy razem wieczerzę i porozmawiamy o przyszłości.

- Wieczerza w miłej, rodzinnej atmosferze - wymruczał Gundabald.

- Tak - powiedziała ze znużeniem Regeane. Wilczyca rwała się do zabijania. Właściwie wszystko zostało już powiedziane i Regeane pragnęła pozbyć się ich jak najszybciej.

Przy bramie Gundabald odwrócił się jeszcze i spojrzał na nią.

- Jestem przekonany, że teraz, kiedy wreszcie należycie cię oceniliśmy - powiedział dwornie - nie będzie już między nami niesnasek.

- Na pewno - odparła Regeane. - Współpraca będzie o wiele bardziej owocna niż waśnie.

Kiedy wyszli, Regeane wróciła do ogrodu, gdzie czekali już Lucilla z Antoniuszem. Opadła na ławeczkę nad sadzawką i zapatrzyła się w ciemną wodę.

- Słuchaliście? - zapytała, nie podnosząc na nich wzroku.

- Jakżeby inaczej! - zachnęła się Lucilla. - Nie umknęło nam ani jedno słowo. Za kogo mnie masz? Jesteś przecież moją protegowaną.

- Dobrze wypadłam? - spytała Regeane.

- Sam nie wiem - odezwał się Antoniusz. - Moim zdaniem mogłaś być trochę mniej... szczerą.

- To było silniejsze ode mnie — przyznała Regeane. — Czuję do nich głęboką pogardę.

- To było widać - powiedział Antoniusz, rzucając zafrasowane spojrzenie na portyk, przez który wyszli Gundabald z Hugo.

- Nieważne, co oni sobie pomyśleli — wtrąciła Lucilla. — Ja osiągnęłam swój cel. Widziano, że przyjęła ich w cywilizowany sposób. Dostali od niej cenne prezenty. Podejrzewam, że ta para łajdaków przetrwoni przynajmniej część pieniędzy na pijatykę w najpodlejszych spelunkach i domach uciech Rzymu. Mój człowiek zajmie się nimi jeszcze dzisiejszej nocy, a najdalej jutro.

Regeane podniosła na Lucillę wzburzony wzrok.

- Tobie było właściwie wszystko jedno, co im powiem, prawda?

Antoniusz wzruszył ramionami i oddalił się z uśmiechem na ustach.

Regeane zerwała się z ławki, stanęła przed Lucilla i tupnęła nogą.

- Zaplanowałaś to wszystko.

- Tak - przyznała Lucilla z niewzruszonym spokojem.

- Dziwię się, że w ogóle raczyłaś się ze mną konsultować - powiedziała z goryczą Regeane.

- Mało brakowało, a nie uczyniłabym tego - odparowała Lucilla. — Doszłam jednak do wniosku, że trzeba ci pokazać, jak i dlaczego załatwia się takie sprawy. Ale wiedz, moja droga, że wydałam wyrok na tego śmiecia, gdy tylko poznałam twój sekret.

- Dlaczego? - spytała Regeane. - Przecież nawet go wtedy nie znałaś.

- A po co miałam go znać? - fuknęła Lucilla. — Wystarczyło mi, że obejrzałam sobie tę upiorną ruderę, w której się gnieździliście. Ten cuchnący chlew, w którym cię trzymali. Pręgi na twym grzbiecie. Czego jeszcze było mi trzeba? No, powiedz.

Antoniusz zawrótł.

- Regeane — powiedział, zbliżając się - zapytaj wilczycę. Ciekawym, co o tym wszystkim myśli.

Regeane zmieszła się.

- Już to zrobiłam — wyszeptała. — Wiem, co myśli. Wilczycy...to obojętne.

- Jest chyba twoją lepszą połową - orzekł Antoniusz - a przynajmniej tą mądrzejszą. Posłuchaj, dziewczyno, wszędzie, między wszystkimi ludami mężowie z

mocy prawa dominują nad żonami. My... nasza trójka... poczyniliśmy już kroki, które mają uniezależnić cię od męża.

- Wiem - bąknęła Regeane.

- Świetnie. - Antoniusz mówił powoli, jaby tłumaczył coś dziecku. - Na tym nie koniec. Prawo do narzucania swej woli kobiecie mają też spokrewnieni z nią mężczyźni.

Regeane kiwnęła głową.

- Ilu krewnych ci pozostanie, kiedy zabraknie już Gundabalda i Hugo?

- Żaden, a jeśli nawet, to bardzo dalecy — odparła. — Rozumiem. Będę wolna.

Antoniusz i Lucilla wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- To jeszcze nie wszystko, prawda? - spytała Regeane.

- Można powiedzieć, że Gundabald jest w pewnym sensie moim prezentem ślubnym dla ciebie - odezwała się Lucilla. — Jeśli chodzi o Hugo, to sprawa jest jeszcze otwarta.

- Nie zgodziłbym się z tobą co do Hugo, matko - odezwał się Antoniusz. - Moim zdaniem Hugo jest tępym gamoniem, gadułą gotową wypaplać wszystko, co wie, w pierwszej lepszej rzymskiej speluncie czy lunaparze. I jego pijacki bełkot dotrze wcześniej czy później do niepowołanych uszu. Trzeba go również usunąć. Regeane dobrze to ujęła. Obu tym łotrom przydałaby się długa kąpiel. Urządź im ją... w Tybrze.

- Nie! — krzyknęła Regeane. - Zmieniłam zdanie.

- Spójrz w oczy faktom, dziewczyno — zwrócił się do niej Antoniusz. - Po żadnym z nich nie możesz się spodziewać niczego dobrego, a każdy gotów ci bardzo zaszkodzić.

- Mam spojrzeć w oczy faktom! Boże, Antoniuszu! - wybuchnęła Regeane. - Czy wiesz, że to samo powiedział mi kiedyś Gundabald, nakłaniając mnie do zamordowania mojego przyszłego męża. Powiedziałam dzisiaj Gundabaldowi, że nie zamierzam spędzić ani jednego dnia pod jego opieką. Wiedz, że waszej też nie chcę. Nie - zaszlochała. — Nie chcę brać udziału w tym ohydny spisku. Widzieliście, jak oczy im się zaświeciły na widok złota? Można ich kupić. Jestem pewna.

Antoniusz wyrzucił w górę ręce i odwrócił się. Lucilla westchnęła głęboko.

- Masz bardzo wysublimowane poczucie moralności - powiedziała. - Ja

też jestem pewna, że można ich kupić... na jakiś czas. Ale co będzie, kiedy skończy ci się złoto?

Regeane płakała cicho. Łzy płynęły jej po policzkach.

- Nie mogłabym z tym żyć - wyszeptała łamiącym się głosem. — Nie zabijajcie ich. Gundabalda nienawidzę, ale Hugo mi żal. Do niego nigdy nie czułam nienawiści...

Lucilla objęła Regeane i złożyła głowę na jej ramieniu.

- Nie zabijajcie ich — powtórzyła Regeane.

Lucilla odsunęła od siebie dziewczynę na długość wyciągniętych ramion i przyjrzała się jej zalanej łzami twarzy.

- Jak to? - odezwała się ze smutkiem. - Przecież wszystko już ustaliliśmy

- Darujcie im życie - wyszlochała Regeane.

- Matko - wtrącił się Antoniusz - pozwól jej samej decydować. Nie możemy robić tego za nią.

Lucilla spojrzała na Antoniusza ponad głową Regeane i westchnęła głęboko.

- Chyba masz rację, synu. Dobrze, Regeane, nie uczyniłabym tego dla nikogo, nawet dla Antoniusza, ale dla ciebie oszczędzę ich. Wiedz jednak jedno. - Uniosła palec. Regeane otarła łzy i podniosła na Lucillę wzrok. - Otóż, moja droga - ciągnęła Lucilla — niegdyś we wspaniałym królestwie stworzonym przez Rzymian ludzie mogli sobie wykuwać własne nisze i wieść w nich niezależne życie. Teraz nie jest to już możliwe. W tym chaotycznym, rozbitym świecie istnieją tylko rządzący i rządzeni. Musisz sama zdecydować, do której z tych kategorii wolisz się zaliczać.

Kilka godzin później Regeane zdążyła już zaprzężonym w muły powozem na swoją zaręczynową ucztę. Głowę miała pełną rad, których przed wyjazdem udzielili jej Lucilla i Antoniusz.

Lucilla chciała jechać z nią, ale Antoniusz stanowczo się temu sprzeciwił:

- Nie, matko - powiedział — ona potrzebuje samotności, żeby nastawić się psychicznie na tę uroczystość.

Tak więc jechała sama. Za oknem po prawej przesuwały się ruiny Koloseum. Domów i sklepów było tu niewiele, ulice świeciły pustkami w zapadającym zmroku. Gdzieś w oddali zawył pies.

Wilczyca uniosła łeb i powęszyła. Gry władzy. Antoniusz i Lucilla uczyli ją, jak

je prowadzić. Większość ich rad dotyczyła tego, co robić, by dobrze wypaść w oczach Maeniela.

Regeane porozumiała się z wilczycą. Jej nocna siostra nie obawiała się go. Wyczuwała, że Maeniel nigdy by jej nie skrzywdził. Ale czy go chciała? Przed oczyma stanął jej szary wilk. Kim i czym był pod ludzką postacią? Nie miała pojęcia. Na pewno nie młodzieńcem. Jego młodość już przeminęła. Starcem też na pewno nie. Bezsprzecznie był przywódcą watahy. Ale w swoim drugim wcieleniu mógł być całkiem zwyczajnym człowiekiem -karczmarzem, księdzem, przekupniem...

Ciekawe, jak by się czuła w roli żony człowieka z gminu. Mieszkając w małej izdebce nad jego sklepikiem, wychowując gromadkę dzieci. Gotując codziennie i sprząając. Piorąc ubrania w balii na podwórku i rozwieszając je na sznurku przeciągniętym w poprzek uliczki.

Proste, monotonne życie — borykanie się z małymi problemami, ząbkujące dzieci, przygotowywanie na czas posiłków, prowadzenie domowej buchalterii. Ale przy tym życie szczęśliwe, życie u boku mężczyzny, któremu mogłaby powierzyć swoją nagłębiej skrywaną tajemnicę. Mężczyzny, którego nigdy by się nie bała.

Wilczyca czekała w ciemnościach z postawionymi czujnie uszami. Gotowa jej służyć. Przemień się, zeskocz na kocie łby, po których toczą się z turkotem koła powozu. Uciekaj. Odszukaj tego szarego i zostań z nim. Moglibyście razem umknąć do Bizancjum albo do kraju Franków, gdzie nikt by was nie znalazł.

Ale powstrzymywała ją przed tym chłodna refleksja kobiety, że mogłaby nie pokochać mężczyzny, którym stawał się za dnia szary wilk. Mogła go sobie wyobrazić, ale były to tylko spekulacje. Wiązanie się z kimś, kto jest taką wielką niewiadomą, byłoby szczytem nierozwagi.

Usłyszała stukot kopyt konia zbliżającego się do powozu. W chwilę potem przez okno zajrzał dowódca eskorty towarzyszącej jej do willi Maeniela. Miał siwiejącą brodę i szpakowate, opadające na ramiona włosy.

- Pani... — rzucił szorstko.

Wilczyca spojrzała na niego oczyma Regeane. Nie wzywałam jej przecież - pomyślała zaskoczona Regeane. Zepchnęła szybko towarzyszkę z powrotem w głęb siebie.

Jeździec sprawiał wrażenie skonsternowanego. Tak jakby instynktownie wyczuł obecność kogoś jeszcze.

- Pani - powtórzył już ciszej — proszę zaciągnąć zasłonki. Z całym

szacunkiem... gdyby ktoś cię zobaczył... wolelibyśmy uniknąć rozlewu krwi w twojej obronie. Tak rzadka jak ty zdobycz może skusić nawet najbardziej tchórzliwego łotrzyka.

Regeane uśmiechnęła się z przymusem.

- Przepraszam - powiedziała. — Nie pomyślałam. - Zaciągnęła zasłonki i opadła na oparcie.

W powozie zrobiło się mroczno i duszno. Woń jej perfum mieszająca się z ciężkim zapachem miękkich jedwabnych obić przyprawiła ją o mdłości. Świadczyło to, że wilczyca nadal w niej jest.

Spojrzały sobie w oczy. Wilczyca wyszczerzyła zęby. Regeane odniosła wrażenie, że nigdy dotąd nie uświadamiała sobie do tego stopnia jej siły. Zagryzając ogiera, działała instynktownie. W przytułku zdała się całkowicie na odruchy zwierzęcia. Ale teraz były znowu same. Uświadomiła sobie, że zwierzę buntuje się przeciwko tej grze kłamstw i obłudy, jaką prowadziła. Wilczyca namawiała ją do wybrania wolności.

- Nie - powiedziała cicho Regeane. - Ty masz swój rozum, a ja, kobieta, swój. Gdybym popuściła ci wodzy, mogłybyśmy obie zginąć. Dostyc! Nie nagabuj mnie podczas uczyty ani potem, w małżeńskim łóżu. Siedź dzisiaj cicho, nawet kiedy księżyc wypłynie na niebo. Czeka! Sama zrobię, co trzeba, by uwolnić nas obie.

Zwierzę nawiedziło Maeniela we śnie, nie wzywane. Za dnia człowiek trzymał je w ryzach. Ale we snach wracało, zawsze pamiętane, kochane.

Wilk Maeniel uniósł łeb i powęszył pod wiatr dmący od lodowca. Czuł w powietrzu wiosnę. Góry sięgały śnieżnobiałymi wierzchołkami w krystalicznie lazurowe niebo.

Ta czystość powietrza i światła smakowała wilkowi największą z wolności — wolnością zwyczajnego bycia. Wolnością zwyczajnego istnienia, bez myślenia, bez martwienia się o przyszłość, bez wspomniania. Bez tego jarzma, które ciąży człowiekowi od narodzin aż po śmierć. W tym świecie wilk po prostu był i każda chwila życia przepętniała go radością.

Napił się wody z kałuży tającego śniegu. Otrząsnął się i popatrzał na górską łąkę, którą miał przed sobą.

Stada górskich kozic i turów, ośmielone wzrastającą temperaturą i topnieniem śniegu, ściągały z nizin na letnie pastwiska.

Wilk wskoczył lekko na szczyt płaskiego głazu. Przywarł do kamienia, złożył łeb na wyciągniętych przednich łapach i obserwował przechodzącą obok małą grupkę dzikiego bydła o rogach niemal tak długich jak jego ciało. Spoglądały na niego niespokojnie, ale bez lęku.

Bynajmniej ich nie lekceważył. Jeden cios racicy mógł mu strzaskać czaszkę albo przetrącić kręgosłup. Te gigantyczne rogi wyprułyby wnętrzości najsilniejszemu wilkowi.

Nie były łatwym łupem. Jedna z krów zatrzymała się, grzebnęła racicą ziemię i parsknęła jak na urągowisko.

Wilk leżał nieruchomo, zdawał się drzemać, ale mięśnie brzucha lekko mu się napięły. Nie, nie da się jej sprowokować. Krowa ruszyła dalej, odpędzając niedbałym machnięciem ogona parę much.

Za nią nadszedł stary byk. Był ciemnej maści, piersi i kłęb porastała mu bujna, gęsta grzywa jaśniejszych włosów. Był jeszcze silny, ale pysk miał siwy ze starości. Dostrzegłszy wilka przycajonego na głazie, zakołysał się na boki.

Wilk położył uszy po sobie i znowu je postawił.

Byk szedł dalej, posapując ciężko po wspinaczkce. Zatrzymał się nad tą samą kałużą, z której niedawno pił wilk, i zanurzył pysk w wodzie, by ugasić pragnienie.

Potem odgrzebał racicą spod śniegu splechetek zmrożonej trawy. Jął ja skubać.

Wiosenne słońce grzało wilkowi grzbiet. Ziewnął powoli i usiadł. Usłyszał szmery między głazami za sobą. Wataha, widząc, że się poruszył, biegła już ku niemu.

Szary wilk zeskoczył z głazu i ruszył truchtem w stronę byka.

Spotkały się ich oczy.

No, chodź - mówiły oczy tura. Chodź, jeśli chcesz. Chodź, jeśli taka twoja wola. Spotykaliśmy się już. Dotąd zawsze byłem górą. Jeśli i dzisiaj przeważę, stratuję cię na miazgę. Jeśli nie, to niech będzie, co ma być.

Szary wilk przyśpieszył.

Tur poderwał łeb, parsknął wściekle i rzucił się do ucieczki.

Wataha wypadła spomiędzy głazów i prowadzona przez szarego gnała za starym bykiem, rozpraszając się w biegu w półkolistą tyralierę.

Tur cwałował z początku wolno, ale z każdym skokiem nabierał szybkości, zostawiając Maeniela coraz bardziej w tyle.

Pogoń odbywała się w złowróżnej ciszy. Stary tur nie tracił sił na ostrzegawczy ryk. Dawno minęły czasy, kiedy miał pod opieką stadko swoich krów. Tę ciszę rozpraszał jedynie głuchy tętent jego racic, szelest wilczych łap na śniegu oraz ciężkie oddechy myśliwych i ofiary. Inni rozproszeni po łące roślinożerco unosili tylko łby i patrzyli obojętnie na dramat rozgrywający się zbyt daleko, by wzbudzać w nich niepokój.

Młode samice bez trudu wysforowały się przed Maeniela. Były szybkie jak charty. Zachodziły tura z obu stron, rzucając się na niego jedna po drugiej i kąsając zajadle. Śnieg zaczął się barwić na czerwono posoką ściekającą strumieniami z zadu i boków byka.

Maeniel zwolnił. Przejrzał strategię byka. Tur kierował się ku skalnemu rumowisku pośrodku łąki. Głazy były mokre, upstrzone białymi łatami niestającego jeszcze śniegu.

Dotarłszy tam, byk zawrócił z niebywałą zwinnością i pochylił łeb, stawiając czoło prześladowczyniom. Samice rozproszyły się błyskawicznie. Tylko jeden młody wilczek nie zdążył w porę uskoczyć i z całym impetem nadział się na nastawiony róg. Dał się słyszeć trzask pękającego kręgosłupa; bezwładne zwłoki zatoczyły łuk w powietrzu i spadły kilka jardów dalej w śnieg.

Reszta wilków cofnęła się skonfundowana. Ale Maeniel przyśpieszył, biegł

coraz szybciej.

Tur opuścił łeb jeszcze niżej i po raz pierwszy ryknął wyzywająco.

Maeniel odbił się od ziemi i przeskoczył nad innymi niezdecydowanymi wilkami. Leciał wprost na rogi tura. W ostatniej chwili przypadł na płask do ziemi. Poczuł, jak róg szoruje mu po grzbiecie i włacza w śnieg. Podciągnął pod siebie tylne łapy i prostując je gwałtownie, wystrzelił jak z katapulty do gardła byka.

Śmiertelny ryk zwierzęcia ogłuszył go... ale urwał się nagle, kiedy pod zwierającymi się szczękami trzasnęła tchawica. Stary byk wspiął się na zadnie nogi jak stający dęba koń, podrywając w górę wczepionego w szyję Maeniela, a potem runął w śnieg. Zakotłowało się, powietrze uchodziło z tura między zaciśniętymi mocno zębami wilka. Trzasnęła pękająca kość. Moja czy jego? — przemknęło przez myśl Maenielowi. Przepęłniało go niepojęte dla człowieka nieomylnie poczucie, że wszystko jest, jak być powinno. Tylko po to się żyje i tak umiera. Pulsowanie arterii w szyi, do których dostępu broniły wilczym zębom zwały mięśni i ścięgien, gubiło rytm, słabło i w końcu... ustało.

Wilc Maeniel podniósł się na cztery łapy i otrząsnął, gotując na przyjęcie hołdu od swojej watahy. Towarzysze tłoczyli się wokół niego, napierali ciałami, obsypywali pysk i szczęki wilczymi pocałunkami.

Zaczął nieswojo czuć się w swoim ciele. Walczył z tą obcą wilkowi sensacją. Chciał wracać, jeść, spać, a potem śpiewać księżycowi z resztą watahy.

Opierał się, ale coś go coraz szybciej odciągało. To nie dzieje się naprawdę - szeptał mu jakiś głos wewnętrzny. To tylko wspomnienia.

Obudził się człowiekiem na sofie w willi, którą wynajął w Rzymie. Cały był zlany potem, ciało mu ciążyło. Przez uchylone drzwi widział, jak służba zapala pochodnie w ogrodzie perystylu. Usiadł, spuścił nogi na posadzkę i przeczesał palcami zmierzwione, ciemne włosy.

Do komnaty weszła Matrona. Nie przyświecała sobie ani lampą, ani świecą. Widziała w ciemnościach tak samo dobrze jak on.

- Pora wstawać - powiedziała. W jej oczach odbijał się blask płonących na zewnątrz pochodni. - Musisz się wykapać i ubrać przed ucztą.

Maeniel podniósł się z sofy.

- Kto jest najsilniejszy, Matrono?
- Ty - odparła bez wahania.
- Czy ktoś ważyłby się rzucić mi wyzwanie?

- Nikt - orzekła. — Najbliższy tego jest chyba Gavin, ale on do pięt ci nie dorasta. Jesteś najstarszy, najmądrzejszy, najdzielniejszy, najlepszy.

- Muszę poślubić tę kobietę - powiedział Maeniel.

- Jesteś przywódcą. — Matrona pokiwała posępnie głową. — Przywódca płaci czasami za swe męstwo tym, że pierwszy umiera.

- Ślub to nie śmierć — zauważył Maeniel.

- Nie oszukuj się, przywódcu - powiedziała Matrona. — Ta dziewczyna cuchnie na miłą zdradą. Spójrz na jej przyjaciół. Po pierwsze, ma poparcie papieża.

- Skąd to wszystko wiesz? — zdziwił się Maeniel.

Matrona zachichotała.

- Od Augusty - powiedziała. - Ta koścista dziwka miała jakąś urazę do Lucilli i szukała przyjaznego ucha, żeby się wyżalić.

Maeniel ruszył do łazienki, zrzucając po drodze ubranie. Matrona nie zwracała na to uwagi. Nieraz widziała go nagiego.

- Kontrakt małżeński sporządził sam papież — powiedział Maeniel, zanurzając się w kąpiel.

- Tak - przyznała Matrona. - Dziewczyna zrobiła afront krewniakom. Augusta jest oburzona, ale ja uważam to posunięcie za przejaw inteligencji. To szumowiny.

- Szumowiny? - Maeniel tarł twarz i ciało szorstką gąbką.

- Tak. Ona zaś jest w bardzo dobrych stosunkach z Lucillą, nałożnicą papieża. A Antoniusz, ukochany syn Lucilli, jest, jak słyszałam, jej szambelanem. Otoczyli cię ze wszystkich stron.

Maeniel wyszedł z wody i zaczął się wycierać. Rozważał coś w myślach, ściągając brwi.

- A co wiesz o tym frankońskim dostojniku Otho, który ma tu być dziś wieczorem? — spytał.

- On może się okazać najgorszy z nich wszystkich — odparła Matrona. - Jest podobno głęboko oddany Karolowi, ale z drugiej strony to bezwzględny łotr, bez żadnych zasad.

- A dlaczego tak się interesuje moim małżeństwem?

- Ten Karol - powiedziała Matrona — ma zadatki na bardzo silnego króla. Trzyma swoją szlachtę twardą ręką.

- Ja też mu się podporządkuję - mruknął Maeniel.

- Może tak się z tym nie śpiesz - poradziła mu Matrona. - Długo by szukać takiej fortecy jak nasza. Obsadzić ją męzną załogą, a nikt jej nie zdobędzie.

Maeniel zaczął się ubierać. Włożył białe lniane kalesony, haftowane, bawełniane skarpety, spodnie, koszulę, a na nią białą jedwabną dalmatykę wyszywaną złotą nicią na końcach rękawów, przy szyi i na kraju.

- Czapki z głów, pan młody idzie — zachichotała Matrona. -Zobaczymy, co na to oblubienica.

- Jesteś wstrętą, złośliwą jędzą- burknął Maeniel.

- Dziękuję za komplement - odparowała Matrona. - Jak myślisz, jest jeszcze dziewicą?

- Prawie na pewno - odparł Maeniel. - Nie chce mi się wierzyć, żeby tanio przehandlowała coś tak cennego jak niewinność.

- Co innego twoja forteca - mruknęła Matrona. Maeniel rozczesywał włosy. - Sam Karol by jej nie zdobył – dorzuciła Matrona.

- Co ty wiesz o potędze armii! - fuknął Maeniel.

- Jesteś przywódcą - powiedziała Matrona — ale strzeż się. Wilki nie są zdradzieckie... w odróżnieniu od ludzi.

Wkrótce potem Maeniel oglądał już salę jadalną. Była olbrzymia. Miała z założenia kłuć gościa w oczy bogactwem i pozycją gospodarza, ale była trochę zaniedbana. Freski na ścianach wyblakły i łuszczyły się gdzieśgdzie. Brązowe lampy zawieszane u sufitu wyglądały tak, jakby od lat ich nie czyszczono. Purpurowy aksamit, którym obito sofy stołowe, był spłowiały i mocno wytarty. Ale przy świetle lamp te niedostatki nie powinny się rzucać w oczy.

Po sali krzątało się paru służących przykrywających zniszczone stoły adamaszkowymi obrusami. Z łaźni dobiegały wesołe piski i pokrzykiwania ludzi Maeniela.

- Mężczyźni z kobietami - burknął jeden ze służących do drugiego. - Obleśni barbarzyńcy.

Maeniel wszedł do gwarnej, zaparowanej łaźni i klasnął w dłonie. Zapadła cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na niego.

- Mam wam coś do powiedzenia — zaczął.

- To widać - prychnęła Matrona. W ubraniu była krępa, nago - zmysłowa. Gavin, pożerając ją wzrokiem, przysunął się bliżej.

- Ci Rzymianie to ludzie kulturalni, o wiele kulturalniejsi od Franków, i

chcę, żebyście na mojej zaręczynowej uczcie odpowiednio się zachowywali - podjął Maeniel. - Służący już są zgorszani, że kąpiecie się razem.

- Niby co ich tak gorszy? - spytał zwalisty Józef, drapiąc się po głowie.

Maeniel puścił to pytanie mimo uszu.

- Po pierwsze — ciągnął - nie ważcie się przy stole dłubać w nosie ani drapać po przyrodzeniu. Oba te nawyki są odrażające.

- Pewnie zaraz powiesz, żebyśmy się nie upili – zaprotestował Józef.

- Tego nie powiem - zaprzeczył Maeniel. - Ale żadnego sikania pod stół ani po kątach. Noce są tu ciepłe, wychodźcie za potrzebą na zewnątrz. To samo odnosi się do rzygania.

Jeśli zagadniecie jakąś damę i ona powie „tak”, prowadźcie ją do sypialni. Mamy ich tu pod dostatkiem. Żadnego kotłowania się na posadzce pod stołem.

- A jeśli któraś powie „tak” więcej niż jednemu? – zapytała Matrona.

- Wtedy każdy czeka na swoją kolej; żadnych bijatyk o pierwszeństwo — odparł Maeniel. — I żadnych pijackich ryków. To by chyba było wszystko. W sytuacjach, o których nie wspomniałem, kierujcie się po prostu zdrowym rozsądkiem.

Przypuszczenie Maeniela sprawdziło się. W blasku lamp sala jadalna prezentowała się o wiele atrakcyjniej niż za dnia. Żółte płomienie przydawały elegancji przykrytym obrusami stołom, wystrzępionym kotarom i łuszczącym się freskom.

Pierwszy przybył Otho. Był to mężczyzna korpulentny, o cieńkich, prawie niewidocznych ustach i haczykowatym nosie. Głęboko osadzone oczy popatrywały ponuro. Wyglądał na takiego, który bez drgnienia powieki potrafi nie tylko wydać wyrok śmierci na człowieka, ale sprzedać także własną żonę i dzieci.

Maeniel skłonił mu się nisko. Otho omiół jednym spojrzeniem salę. Oczy mu się zaświeciły na widok tego, co było w niej najcenniejsze - masywnej srebrnej zastawy.

Ludzie Maeniela siedzieli już za stołem, wyszorowani, starannie uczesani, trzeźwi, cisi jak trusie.

Otho, zaabsorbowany srebrami, nie zwracał na nich uwagi. — To twoja własność - zwrócił się do Maeniela - czy tylko wypożyczone na tę okazję?

- Mówisz o willi? — spytał niewinnie Maeniel.

Otho spojrzał mu w oczy.

- Nie udawaj głupiego - warknął.

- Moje - odparł Maeniel. - Jestem majątnym człowiekiem. Wyrazy uszanowania dla jego wysokości Karola, króla Franków. Ma we mnie najposłusznieszego, najpokorniejszego i najlojalniejszego sługę.

Otho odchrząknął.

Maeniel wziął ze stołu ciężki srebrny kielich. Srebro było tak czystej próby, że gięło się pod naciskiem paznokcia. Wręczył go Otho, który nadgryzł lekko brzeg i zważył kielich w dłoni. Na jego twarzy odmalowało się zadowolenie.

- Szczodry z ciebie człowiek.

- Jeśli przekażesz moje pozdrowienia królowi – powiedział Maeniel - przekonasz się, że potrafię być jeszcze szcudrzejszy.

- A cechą, na którą mam położyć szczególny nacisk, jest, jak mniemam, twoja lojalność? - wymruczał Otho, oglądając z uznaniem kielich.

- Otóż to - przytaknął Maeniel. — Nie utrzymuję własnej armii i wolę, żeby ta frankońska nie zastukała do moich wrót.

- To mi się podoba - powiedział Otho. - Bądź pewien, że przedstawię cię królowi w jak najkorzystniejszym świetle.

Przerwało im zamieszanie przy bramie.

Regeane wysiadła z powozu i w otoczeniu swojej straży przybocznej ruszyła szeroką, wyłożoną kamiennymi płytami alejką w stronę triklinium.

Wyglądała prześlicznie. Nocny wietrzyk opinał długą jedwabną suknię na jej dziewiczym ciele. Nie spuszczała oczu, jak przystało cnotliwej pannie, lecz szła z uniesioną głową. Spod cienkiej woalki prześwitywała twarz o regularnych rysach, w kruczoczarne włosy wpięte miała kwiaty. Wszystko to podkreślało jej dziewczęcość u samego progu kobiecości. Weszła do triklinium i wyciągnęła rękę.

Maeniel ujął ją, uniósł do ust i pocałował.

- Witaj, pani. Zechcesz dzielić ze mną sofę?

Iskierka, która zapaliła się w oczach dziewczyny, powiedziała mu, że nie umknęła jej dwuznaczność tej propozycji.

Wilk ukryty w Maenielu zjeżył się. Ona jest niebezpieczna - ostrzegł człowieka, a potem wycofał się. Maeniel człowiek przy jął to ostrzeżenie z niedowierzaniem. Jakie zagrożenie mogła stanowić dla niego ta krucha, śliczna dziewczyna?

Wziął Regeane ze rękę i poprowadził do honorowej, ustawionej na

podwyższeniu sofy. Usiedli na niej ramię w ramię.

Było to dla pozostałych sygnałem do zajęcia miejsc.

Złożona z kilku muzyków orkiestra zaczęła grać. Otho z zainteresowaniem oglądał stojące przed nim, podobnie jak kielich, wykonane z litego srebra talerze. Maenielowi przemknęło przez myśl, że ten człowiek będzie go jeszcze sporo kosztował.

Na stole, przed każdym gościem, połyskiwały srebrne kielichy i talerze, patery z późnojesiennymi owocami, dzbany ze schłodzonym białym winem, ale jedzenie wciąż się nie pojawiało.

Wszyscy spoglądali wyczekująco na Maeniela i Regeane.

- I co teraz? - zwróciła się Regeane do Maeniela.

- Czekamy — szepnął Maaniel. - Mam nadzieję, że służba nie popiła się w kuchni.

- Kłaśnij w dłonie - syknęła siedząca nieopodal Matrona.

Maaniel klasnął.

Na salę wkroczyli gęsiego sładzy z półmiskami. Inni sładzy chwycili za dzbany i zaczęli napełniać gościom kielichy.

Regeane patrzyła podejrzliwie na przystawki. Nie przypominały jej niczego, co do tej pory jadła, doszła jednak do wniosku, że skoro była w stanie przełknąć mysz, to i one nie powinny stanowić dla niej wielkiego wyzwania.

Atmosfera przy stole była chłodna. Ludzie Maeniela, zajmujący miejsca po prawej, siedzieli skrupowani, trzeźwi i przygaszeni. Lucilla, Antoniusz i reszta Rzymian po lewej sprawiali wrażenie usztywnionych i napuszonych. Tylko Otho zachowywał się swobodnie. Chyba podliczał sobie w głowie wartość srebrnej zastawy Maeniela.

Maaniel westchnął. Otho robił na nim wrażenie człowieka, który najbliższą przyszłość widzi w różowych kolorach.

Sprzątnięto ze stołów przystawki. Otho, wyraźnie zadowolony z sumy, jaka wyszła mu po podliczeniu wartości sreber, zaczął się taksujące przyglądać Regeane.

- Piękna — orzekł, zwracając się do siedzących obok Lucilli i Antoniusza.

Sładzy zaczęli rozlewać drogie, ale mdło-słodkie czerwone wino.

Antoniusz uśmiechnął się.

- Zauważyłem - mruknął.

- Niezbyt gustuję w pięknych kobietach — powiedział Otho. - Są

zazwyczaj bezdennie głupie, zapatrzone w siebie i niewypowiedzianie próżne. Ktoś z takimi wadami charakteru to chodząca recepta na kłopoty.

- Nie sędzę, żeby głupota, próżność czy samolubność były w naturze Regeane - odparł Antoniusz. - U niej te przywary raczej się nie rozwinęły.

- To co jest z nią nie tak?

- Nic — wtrąciła urażonym tonem Lucilla.

- Bzdura — warknął Otho. — Coś musi być nie tak. Taka atrakcyjna dziewczyna z królewskiego rodu już dawno powinna być mężatką.

- O ile mi wiadomo - wyjaśnił Antoniusz — pochodzi ona z bardzo ubogiej rodziny, a jej matka była kobietą zaborczą, nieskorą do rezygnacji z towarzystwa córki.

- Też mi coś! — wyszeptał Otho. — Jej uroda będzie przyciągała kochanków jak płomień świecy ćmy. Szkoda mi tego Maeniela.

- Ten Maeniel, jak go nazywasz, wygląda mi na mężczyznę, który potrafi utrzymać porządek w swoim domu - zauważył Antoniusz.

- Jest bogaty — warknął Otho - a ona go zrujnuje. Roztrwoni cały majątek na stroje i błyskotki.

- Bzdura - zachnęła się Lucilla. — Ta dziewczyna nie wykazuje żadnych skłonności do rozrzutności, powiedziałabym nawet, że wprost przeciwnie. Ma niewyrafmowany gust i jest bardzo skromna.

- Hmmm - mruknął Otho. — Cnotliwa, dyskretna, skromna. O co tu chodzi? Może jest bezpłodna?

Lucilla wyprostowała się i spojrzała na Otho z oburzeniem.

- Co takiego?! To zdrowa, nietknięta dziewczyna i niczego jej nie brakuje. Takie są płodne jak dobrze nawodniona dolina w maju. Wiadomo powszechnie, że...

Antoniusz kopnął Lucillę w kostkę.

- Dostyc, matko. Zbyt łatwo dajesz się prowokować.

Otho roześmiał się.

Lucilla zamilkła.

- Albo coś jest nie w porządku - wymruczał Otho - albo ona zmarnuje się przy tym Maenielu.

- Wszystko jest w porządku — powtórzył cierpliwie Antoniusz.

Otho zachichotał.

- To może jest głupia?

Lucilla sączyła wino, policzki jej płonęły. Antoniusz parsknął.

- A co, według ciebie, jest bardziej niebezpieczne – głupota czy inteligencja?

Otho upił łyżek gęstego, słodkiego wina.

- Fe, obrzydliwość.

- Ale snob mógłby w nim zasmakować - mruknęła Lucilla.

- Zdecydowanie — przyznał Otho. — Zrobiłoby furorę na frankońskim dworze. Ciekawym, czy Maeniel w swej szczodrości nie podarowałby mi kilku amfor, bym mógł je zawieźć do skosztowania mojemu królowi.

- Ależ naturalnie, że je dostaniesz — powiedział Antoniusz. — Jeśli nie od niego, to od pięknej Regeane.

- Jesteś podobno jej szambelanem? - spytał Otho.

- Tak — przyznał Antoniusz.

- A odpowiadając na twoje pytanie, uważam, że bardziej niebezpieczna jest głupota. Głupi ludzie nie potrafią spoglądać faktom w oczy, zasłaniają się jakimiś mętnymi uregulowaniami prawnymi albo własnym naiwnym poczuciem przyzwoitości. A co gorsza, zwlekają z podejmowaniem decyzji do czasu, kiedy jest już za późno. Natomiast człowieka inteligentnego można przekonać do kierowania się realizmem i brania świata takim, jakim jest.

- Ona jest inteligentna - powiedział Antoniusz.

- Najwyraźniej - przyznał Otho. - Dała temu świadectwo, wybierając cię na swojego szambelana. A oboje wiecie, że nie ma nic...

- Tak - westchnął Antoniusz i dokończył za niego: - Za darmo.

Regeane siedziała sztywno obok Maeniela na ustawionej na podwyższeniu sofie. Jej wyostrzone wilcze zmysły wyczuwały jego bliskość. Czuła zdrowe ciepło promieniujące od jego ciała. Czuła jego zapach. Pomadę, którą natarł sobie włosy. Woń mydła i leciutki swąd dymu, który przywarł doń pewnie, kiedy zaglądał do kuchni, by sprawdzić, jak idzie przygotowywanie posiłku.

- I co stwierdziłeś w kuchni?

- Skąd wiesz, że tam byłem? - zdziwił się Maeniel.

- Po zapachu dymu.

- Mhmm — mruknął Maeniel. - Dania są odpychająco wyszukane, ale nawet smaczne.

- Miło to słyszeć.

- Musiałem powściągnąć zapędy kucharza - ciągnął Maeniel. — Chciał do wszystkiego dolewać wina. Szafranu i pieprzu użył tyle, że można by nimi zabarwić na żółto połowę Rzymu i popalić żołądki trzem czwartym jego mieszkańców. A zapach goździków i cynamonu przy sprzyjającym wietrze byłoby czuć w Atenach. Widziałem tam wspaniałego białego pawia. Chyba był martwy, ale pewności nie mam. Widziałem też dzikiego niedźwiedzia, który wyglądałby przerażająco, gdyby nie jabłko tkwiące w jego pysku, poza tym bażanta w karczochach i wielkie karczochy z bażancim mięsem. Nic nie wygląda na to, czym jest, ani nie smakuje, jak powinno. Mam nadzieję, że twoi rzymscy przyjaciele będą ukontentowani.

Regeane zachichotała mimo woli.

- Czy oprócz willi wynająłeś też tego kucharza?

- O, tak — odparł Maeniel. - Ale do siebie w góry go nie zabiorę. Tam wolimy jadać prościej.

Regeane znowu poczuła zapach dymu. Skóra Maeniela zdawała się nim przesiąknięta. Ujrzała go stojącego o świecie przy małym ognisku. Poprzez mgiełkę dymu przebijały się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Nieopodal przestępował z nogi na nogę koń. Było zimno.

Wiedziała, że znowu śni na jawie. Tak samo jak wtedy, kiedy Gundabald przykuł ją za szyję do ściany. I jak wtedy, kiedy dotykała sukni i naszyjnika. Różnica polegała na tym, że nie chciała, by ten sen się skończył.

Maeniel opierał nogę o pień powalonego dębu. Miał na sobie prostą, zieloną tunikę, brązowe rajtuzy i buty. W ręce trzymał skórzany bukłak. Pociągnął z niego łyk, oblizał wargi i odwrócił się do niej: „Pojedziesz ze mną, pani?”

Regeane ruszyła ku niemu. „Tak, o, tak” - wyszeptała. Za jego plecami przesuwali się jacyś ludzie, ledwie widoczni w porannej mgle. Prowadzili konie, dwa wspaniałe rumaki - gniadosza i stalowoszarego konia berberyjskiego - oraz wielkie rude psy szarpiące się na smyczach.

Patrzył na nią zachłannie, pożerał wprost wzrokiem. Należała do niego. Walczyłby o nią z samym diabłem, gdyby ten chciał mu ją kiedykolwiek odebrać.

Zatrzymała się tuż przed nim. Z jego ust przy każdym wydechu wydobywał się obłoczek pary. Czowała bijące od niego ciepło. Dotknęła jego dłoni, tej, w której trzymał bukłak. „To piwo?” — spytała.

„Nie, wino”.

„Daj mi się napić”.

Uniósł bukłak do jej ust.

Pociągnęła łyk. Sam smak tego wina uderzał do głowy. Było lekko ciepłe, słodkie i pachniało zielonymi jabłkami. „Achhh” -westchnęła.

Objął ją wolną ręką w tali: „Pojedziemy w wyższe partie gór. Znam takie miejsce ponad chmurami, z którego widać cały świat. Tam się zatrzymamy i odpoczniemy”. Pochylił głowę i zaczął scałowywać, jedną po drugiej, kropelki wina z jej warg. Och, jak delikatnie to robił!

Westchnęła znowu i powoli zamknęła oczy. Jak to bywa przy przekraczaniu granicy między jawą a snem, wydało się jej, że leci w przepaść. Wzdrygnęła się i ocknęła przerażona.

- Tak cię znudziłem, że przysypiasz? - roześmiał się Maeniel.

Splonęła rumieńcem.

- Nie.

- Doprawdy? - Uniósł pytająco brwi.

Regeane poprawiła się na sofie. Suknia naciągnęła się jej na udzie, opięła pierś i brzuch.

Maeniel wziął głęboki oddech. Nozdrza rozszerzyły mu się jak pobudzonemu ogierowi. Szybko odwrócił wzrok. Kiedy znowu na nią spojrzął, w jego oczach było już coś nowego. Wyciągnął rękę i dotknął naszyjnika na jej szyi.

I znowu ujrzała go takim, jakim musiał być za młodu, śpiącego beztrosko na wygrzonym w słońcu gładzie, przy którym siedziała piękna kobieta rozczesująca sobie włosy. Wizja ta zbladła i zniknęła, kiedy opuścił nieco rękę, muskając opuszkami palców jej szyję. Regeane zadźwięczały w uszach obelżywe słowa Gundabalda.

- Powiadają - wykrztusiła - że mój posag jest pożałowania godny.

- Potwarz - zachnął się Maeniel. - Jesteś; wspinała pod każdym względem. Świeża jak dzikie kwiaty, co kwitnąc w zimie, przebijają się przez śnieg; czysta jak górskie powietrze na przełęczach; wonna i upajająca jak świeżo skoszona łąka w parny letni wieczór.

Jego palce przesunęły się powoli na kark Regeane, spoczęły tam w szczególnie wrażliwym punkcie. Zadrzała, oblała się rumieńcem. Wargi zaczęły jej nabrzmiwać. Zażenowana spuściła głowę.

Antoniusz obserwował ich bacznie.

- On gotów pożreć ją żywcem - mruknął do matki.

- Tak - przyznała Lucilla - a po niej widać, że nie miałyby nic przeciwko temu. Mam nadzieję, że wiedzą oboje, co czynią.

- Obawiam się, że próżna to nadzieja, matko - westchnął Antoniusz.

- Zachwycająca - wymruczał Maeniel, gładząc Regeane po włosach. - Wprost zachwycająca.

Regeane dopiero teraz uświadomiła sobie, że czołem dotyka niemal jego barku. Był tak blisko.

- Koneser z ciebie - szepnęła, usiłując otrząsnąć się z czaru, który na nią rzucał.

Pogładził ją po policzku, ujął pod brodę i zmusił, by nań spojrzała. Jeszcze przed chwilą siedzieli kilka stóp od siebie. Teraz ich twarze niemal się stykały.

- Śliczna panienko - wyszeptał - nie masz nawet pojęcia, jak wytrawnym koneserem. — Dotknął wargami jej czoła i odsunął się.

Regeane odetchnęła z ulgą.

- Czy nazbyt śmiało sobie poczynam? - zapytał Maeniel.

- Nie - zaprzeczyła cicho Regeane. - Tylko ogarnia mnie szaleństwo zmysłów, którego wcześniej nie doświadczałam. A ludzie patrzą.

- Och! — Maeniel uniósł teatralnym gestem rękę i grzbietem dłoni dotknął czoła. - Cóż to? Wstydzisz się?

- Nie — powiedziała Regeane — ale nie chcę się stać obiektem plotek. Nie uwierzyłbyś, jak szybko się rozchodzą wśród rzymskiej arystokracji, zwłaszcza wśród kobiet. — Skrzywiła się. - „Och, trzeba to było widzieć. Nie mogła się doczekać, kiedy ją pocałuje. A on... on też nie był lepszy, wprost rozbierał ją wzrokiem na oczach wszystkich gości... gorszące, moja droga”.

Lucilla i Antoniusz obserwowali ich ze swoich miejsc.

- Cóż - mruknęła Lucilla - mężczyzna to papier, kobieta ogień, a żądze to silny wicher. I ten wicher, mój synu, z pewnością tu dmie.

Antoniusz westchnął.

- Podjęłaś jakieś środki ostrożności?.

- Oczywiście. - Lucilla machnęła ręką, omal nie przewracając ogromnej srebrnej urny udekorowanej czerwonymi i białymi winogronami.

Wosk? - przemknęło przez myśl Antoniuszowi. Trudno to było stwierdzić. Tak czy owak, winogrona z pewnością nie były naturalne.

- Gdzie twoi najemnicy? - spytał matkę.

- Rozstawieni wokół willi - odparła Lucilla. — Tak na wszelki wypadek.

Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Jeden ze służących chciał dolać Antoniuszowi wina, ale ten nakrył kielich dłonią i pokręcił głową. Gwar narastał. Biesiadnikom szkliły się oczy. Muzykanci też sobie już trochę podochocili. Zaczynali fałszować.

Maeniel zauważył z niepokojem, że Gavin przeniósł się do drugiego stołu i siedzi teraz obok Augusty, najatrakcyjniejszej zaraz po pannie młodej kobiety na sali.

- Kupiłeś to wino? - szepnęła Regeane do Maeniela.

- Nie, czemu pytasz?

- Nigdy nie wiadomo, co do niego dodadzą - mruknęła.

- O czym ty mówisz? Czego niby mieliby dodawać?

- Opium, piołunu, cykuty...

- Chryste! - Maeniel otrząsnął się. - Gdzie to przeklęte jedzenie? Może kiedy napełnią sobie żołądki...

Atmosfera na sali wyraźnie się rozluźniła. Gavin szeptał coś Augustynie na ucho. Augusta słuchała ze spuszczonego wzrokiem.

Silvia przysiadła się do Józefa i Gordo. Miała na sobie połyskliwą złotą, mieniącą się w blasku lamp suknię i wyglądała w niej jak miniaturowe słońce. Ktoś ją uszczypnął. Poderwała się z piskiem. Sofa zakołysała się niebezpiecznie. Gordo i Józef siedzieli dalej z minami niewiniątek.

Maeniel pocierał dłonią twarz.

- Gdzie to przeklęte...

W tym momencie przy wejściu wrzasnęła przeraźliwie trąbka. Na salę wkroczyli służby z półmiskami i dzbanami wina. Goście powitali ich aplauzem i przystąpili ochoczo do konsumpcji.

Regeane wzniosła do Maeniela toast białym winem, Maeniel do niej czerwonym. Ci z biesiadników, którzy nie zachowali umiaru w jedzeniu i picciu, odpływali w objęcia morfeusza. Niektórzy podochoceni trunkiem wylegli do ogrodu i zataczali się nad basenem. Ktoś wpadł do wody, kompani wyławiali go przy wtórze śmiechów i pohukiwań.

Gavin prawił Augustynie coraz bardziej wyrafinowane komplementy, nie zważając na jej męża Eugeniusza, który siedział obok i był trzeźwy. Ilekroć Gavin składał pocałunek na obnażonym kremowym ramieniu Augusty, Eugeniusz chwycił ostentacyjnie za rękę sztyletu. Augusta była kompletnie pijana, język się jej plątał

i bezustannie chichotała.

Antoniusz i Lucilla siedzieli trzeźwi, trzeźwa była również Matrona. Cała trójka popatrywała ponuro na Maeniela i Regeane.

A Maeniel i Regeane trzeźwi nie byli. Osiągnęli to ekstatyczne stadium alkoholowego odurzenia, w którym wszystkie kobiety wydają się piękne, a mężczyźni przystojni, w którym światło wydaje się jaśniejsze, muzyka skoczniejsza i w którym zanikają wszelkie hamulce.

Wilczyca przyczajona w Regeane była niespokojna, ale Regeane nie zwracała na nią uwagi. Była pijana, ale nie tylko winem. Płonęła pożądaniem, jakiego nigdy dotąd nie doświadczała. Bo też nie było to pożądanie zwyczajne. Była to niepohamowana chuć, która tłumiała nie tylko lęk, ale i zdrowy rozsądek. Musiała mieć tego mężczyznę.

Maeniel wstał z sofy i wyciągnął rękę. Patrzył na nią jak wielki drapieżca na sarnę i Regeane czytała w jego oczach, że odczuwa to samo, co ona. Podniosła się i ruszyła za nim posłusznie. Opamiętała się, kiedy wyprowadził ją z sali. Zatrzymała się.

- Wszystko w porządku — wymruczał Maeniel. - Jesteśmy małżeństwem.

Wilczyca spojrzała na Regeane z pierwotnego mroku. Była zgorziona. Jak jej ludzka połowa mogła do tego stopnia otumanić swój umysł trunkiem? Instynkt podpowiadał jej, że coś tu jest nie tak. Podobnie jak podczas uczyty u papieża.

Maeniel otoczył Regeane ramieniem i odgarnął kotarę przesłaniającą wejście do pustej izby. Mrok rozjaśniała tam tylko jedna świeczka osadzona w lichtarzu. Weszli do środka. Maeniel zasunął z powrotem kotarę i przyciągnął do siebie Regeane.

Nie odwzajemniła jego pocałunku. Rozpraszał ją jakiś nieokreślony niepokój.

Maeniel cofnął się i odsunął ją od siebie na długość wyciągniętych ramion.

- Nie jesteś jeszcze gotowa, prawda? - wyszeptał. - Chodź, napij się.

Podprowadził ją do stolika, na którym stał dzban i srebrna czarka.

- To cenne przedmioty - powiedział - i bardzo stare. Podobno Liwia, siostra cesarza Augusta, kazała je wykonać dla swojego kochanka i sama pozowała do postaci kobiety.

Relief na dzbanie przedstawiał mężczyznę, który całuje piersi kobiety, zsuwając z niej tunikę.

Czarka wysadzana była na obwodzie krwistoczerwonymi rubinami. Relief na

spodzie przedstawiał parę splecioną w miłosnym uścisku. Kobieta głowę miała lekko odchyloną, na jej twarzy malowała się niewypowiedziana ekstaza.

Na widok tej kulminacji pożądania Regeane zakręciło się w głowie. Miała wrażenie, że spada. W przesłaniu wilczycy wibrował głęboki niepokój: „To się nie skończy tak, jak tego pragniesz”.

Ale Maeniel wziął ją w ramiona i podniecenie znowu zaczęło narastać.

Ten pocałunek nie był już tak zachłanny jak pierwszy, ale pieszczoty ruchliwych dłoni Maeniela rozpały w niej żar namiętności.

Wypuścił ją niespodziewanie z objęć i napełnił czarkę winem.

- Wypij — szepnął.

- Nie wiem, czy powinnam - wykrztusiła Regeane. – Chcesz upić oblubienicę do nieprzytomności? Bardzo dużo już wypiłam.

- Pij. - Głos miał łagodny, hipnotyzujący, zniewalający. — To wino pożądania. Wiosenny miód. Pszczoły zbierają go wiosną z białych maków omywanych marcowymi wiatrami. Pierwszy wonny nektar z polnych kwiatów zdobiących łąki przykryte jeszcze śniegami. Wino miłości. Przeznaczone tylko dla kochanków.

Regeane wypła. Miód był niewypowiedzianie słodką esencją wiosny. Rozpływał się na języku. Wywoływał w sercu mrowienie, które promieniowało do opuszków palców. Usnęły wszystkie lęki. Przepęłniła ją ślepa żądza.

Znowu ją pocałował. Czowała miód na jego wargach.

Wziął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Czyja jesteś? - spytał.

- Twoja.

- Zdejmij suknię — powiedział.

Posłusznie ściągnęła suknię przez głowę i odrzuciła ją w kąt. Pod spodem miała płócienną koszulę.

Pocałował ją znowu. Ciało miała niemal odrętwiałe z rozkoszy, pod dotykiem jego palców zdawało się buchać płomieniem. Pragnęła go do bólu. Wiedziała, że umrze, jeśli on jej nie posiadzie.

- Zrobisz dla mnie wszystko? - wyszeptał.

- Tak.

- Zdejmij koszulę.

W następnej chwili płócienna koszula leżała już na podłodze. Pod spodem

miała drugą, jedwabną, bez rękawów.

Maeniel wsunął pod nią rękę. Opadł pasek płótna zakrywający krocze. Dłoń Maeniela sunęła w górę, wraz z nią unosila się koszula. Spuścił wzrok na puszystą, kędzierzawą deltę Wenus. Regeane splonęła rumieńcem. Poczuł na skórze bijący od niej żar.

Podsunał koszulę jeszcze wyżej i odpiął strofium podtrzymujące piersi. Sfrunęło na podłogę. Cofnął na chwilę rękę i koszula opadła, osłaniając z powrotem nagość dziewczyny. Jął znowu pieścić jej ciało poprzez lejący się jedwab.

- Jesteś pijana? — zapytał szeptem.
- Tak.
- Jesteś dziewicą?
- Tak - padła ledwie dosłyszalna odpowiedź.
- Wiesz, do czego służy męski organ? - spytał Maeniel, rozpościerając

swoją tunikę na długim stole.

Kiwnęła głową.

- Dobrze — powiedział. - A zatem wiesz, do czego użyję swojego.
- Ochooo...
- Uznaję to za odpowiedź twierdzącą.

Znowu wziął ją w objęcia. Pod jego pieścotami Regeane czuła się jak w ogrodzie rozkoszy, z tym, że to on zrywał w nim kwiaty. Duch, który opowiadał jej zawsze szeptem o zamierzchłej przeszłości i czasami uchylał rąbka zasłony skrywającej przyszłość, podsunał jej teraz wizję.

Stała z Maenilem po kolana w górskim jeziorze pośród sosnowego lasu. Brzegi porośnięte były gęsto paprociami i różami. Z omszałej urwistej skały walił w dół wodospadem wąski potok. Wodna mgiełka unosząca się nad miejscem, gdzie przebijał toń jeziora, rosła jej usta i osiadała szronem na rzęsach.

Stali w głębokim, niemal bolesnym zespoleniu. Była pod urokiem mężczyzny, który trzymał ją w ramionach.

Skórę miał wilgotną. Jego głowę zdobiła korona z żółtych wodnych lilii, barki i ramiona oplatały mu wodorosty wypuszczające białe, wonne kwiatki. Czym on jest? — myślała gorączkowo. Pamiętała legendy o dziewicach uwodzonych przez bogów, którzy pragnęli nie tylko adoracji, ale również miłości, którzy dążyli do absolutnego zawładnięcia nie tylko duszą, ale i ciałem. Czy nie była aby jedną z tych dziewic, a on kimś w rodzaju boga? Jeśli tak, to czyjej śmiertelne ciało zniesie nieśmiertelny

ogień?

Poruszył się i przepłynęły przez nią fale odurzającej rozkoszy. Poruszył się znowu. Myśli i wspomnienia rozwiały się w potęgde tego, co jedno ciało czyniło drugiemu.

Znalazła się z powrotem w ciemnej izbie, w jego ramionach. Czy to, co przed chwilą widziała, było wspomnieniem? Snem? Przyszłością? Nieważne. W każdym razie nie była to rzeczywistość, rzeczywiste będzie to, do czego za chwilę dojdzie tutaj.

Ściągnął jej przez głowę koszulę. Została naga.

- Wiesz, co chcę zrobić? - powtórzył.
- Tak. — Drżała na całym ciele. - I umrę, jeśli tego nie zrobisz.
- Niech się więc stanie - wyszeptał i podsadził ją na blat stołu.

Nad jego ramieniem błysnęło ostrze uniesionego do ciosu noża.

Wilczyca przyczajona głęboko w duszy Regeane warknęła ostrzegawczo. Pożądanie zgasło jak zdmuchnięta świeca.

Lewa ręka Regeane wystrzeliła błyskawicznie w górę i pochwyciła nadgarstek nożownika. Próbował wyszarpnąć rękę z tego uścisku, ale nie miał przecież do czynienia ze śmiertelną kobietą. Znieruchomiał na chwilę, zaskoczony bólem, jaki mu zadawała. Potem, zapierając się łokciem o plecy Maeniela, gwałtownym szarpnięciem wyrwał rękę.

Maeniel odepchnął od siebie Regeane i obrócił się na pięcie z szybkością atakującego węża. Nóż napastnika zadrasnął mu bark.

Ktoś odgarnął zasłonę. W wejściu stał Antoniusz z pochodnią w jednej ręce i krótkim rzymskim mieczem w drugiej. Pchnął mężczyznę mieczem pod łopatkę, unieruchamiając mu prawe ramię, ale ten mierzył już trzymanym w lewej dłoni sztyletem w serce Maeniela.

Maeniel bez wahania chwycił go za ramię i za szczękę i zdecydowanym ruchem obrócił mu głowę w prawo, skręcając nieszczęśnikowi kark.

Dał się słyszeć suchy trzask. Jak pękająca gałązka - przemknęło przez myśl Regeane. Odepchnięta przez Maeniela, uderzyła głową o stół, co na chwilę odebrało jej władzę w członkach. Teraz wilczyca próbowała przejąć nad nią kontrolę, ale powstrzymywał ją blask pochodni trzymanej przez Antoniusza. Patrzyła, jak ciało napastnika osuwa się bezwładnie na posadzkę. Kiedy jego głowa uderzała o marmurowe płyty, był już martwy.

- Do diabła, zabiłeś go! - krzyknął Antoniusz.
- Nie miałem wyboru - odparł Maeniel, pokazując na sztylet w dłoni niedoszłego zabójcy.

Regeane usiadła na stole i pomacała stłuczoną głowę.

Nadbiegła Lucilla. Przystanęła w wejściu jak wryta. Kotara, której się chwyciła dla zachowania równowagi, urwała się i Lucilla byłaby upadła, gdyby w porę nie podtrzymał jej Maeniel. Pochyliła się nad napastnikiem.

- O, bogowie -jęknęła. - To Petrus.
- Widzę, że go znasz — wycodził cicho Maeniel. W jego głosie pobrzmiwało coś złowróbnego.

Antoniusz rzucił Regeane swoją opończę.

- Jesteś naga, kobieto! Okryj się!

Regeane skwapliwie owinęła się opończą i zaczęła pośpiesznie zbierać porzucane po posadzce części swojej garderoby. W wejściu stała grupka trzeźwych jeszcze gości.

- Matka zna wielu ludzi - zwrócił się Antoniusz do Maeniela. - Nie wszyscy z nich to osoby powszechnie szanowane.

Regeane wyslizgnęła się do sąsiedniego pomieszczenia. Było tam bardzo ciemno, przez małe zakratowane okienko wpływało do środka zimne nocne powietrze.

Przypomniała sobie fragment Biblii. Czytała kiedyś w Genesis, że kiedy Bóg cofa swoją łaskę, nagości zaczyna towarzyszyć wstyd. To była prawda. Szczyciła się swą nagością przed Maenielem. Czowała się ubrana, promieniowała pożądaniem. Pod jego dotykiem wyzbywała się wszelkich lęków i hamulców.

Wilczyca patrzyła w milczeniu na czarne, rozgwieżdżone niebo za zakratowanym okienkiem.

Wspominała szarego wilka i czysty górski wiatr. Wspominała zastygłe rysy Maeniela - jego wyszczerzone zęby, kiedy powalał napastnika. Chociaż tak ją pociągał, to noc, wilczyca i własny, ludzki rozsądek podpowiadały jej, że postąpiłaby nierozważnie, zwracając mu się ze swojej tajemnicy. Widziała przed chwilą, jak gołymi rękami uśmierca człowieka.

Przewodził swojej zbójeckiej zgrai nie z mocy prawa, czy to ludzkiego, czy boskiego, lecz dlatego, że był z nich najsilniejszy i potrafił pięścią i mieczem stłumić w zarodku każdą rewoltę. Respektowali go nie za to, że był najlepszy, lecz dlatego,

że był z nich wszystkich najgorszy. Wcześniej czy później wilczyca będzie musiała walczyć o życie.

Teraz po pożądaniu nie pozostał już ślad. Czuła tylko przenikliwie zimny wiatr wpadający przez okienko i wstyd, głęboki wstyd i zażenowanie swoją nagością. Była naga i osamotniona.

I nagle z przyległej izby doleciał kobiecy krzyk.

Regeane ocknęła się, gdy świtało. Leżała na jednej z sof w triklinium, ubrana w miękką płócienną suknię. Bolała ją głowa. Uniosła rękę i namacała stłuczenie nad lewym uchem. Przekręciła się na bok, żeby usiąść, i zamarła. Sala usiana była trupami.

Jeden leżał w poprzek stołu z poderzniętym gardłem. Inny w wejściu do triklinium z głową w kałuży krwi. Jeszcze inny, przebity włócznią, wśród przewracanych krzeseł muzyków.

Wilczyca momentalnie poderwała Regeane na równe nogi. Jak długo była nieprzytomna? Niedługo. W ogrodzie perystylu dopiero szarzało. Co tu się wydarzyło?

Powłócząc nogami, opuściła triklinium i weszła do izby, w której przeżyła z Maenilem chwilę namiętności. Prócz trupa skrytobójcy nikogo tam nie było.

Na wprost znajdowały się drugie przesłonięte kotarą drzwi. Odgarnęła kotarę i wkroczyła do wąskiej rzymskiej sypialni. Na małej toaletce przy łożu spoczywało metalowe lustro. Wzięła je i przejrzała się. Zmatowiała ze starości powierzchnia rozmazywała rysy twarzy, ale oczy widziała wyraźnie. Nie miała we włosach krwi, tylko policzek był trochę opuchnięty.

Na jej oczach odbicie jeszcze bardziej się rozmyło. Wydało jej się, że czuje swąd dymu. Oczy z lusterka patrzyły na nią jeszcze przez chwilę poprzez całun buchającego płomienia, potem przesłonił je dym. Metal parzył dłoń.

Miała na tyle przytomności umysłu, by odrzucić lustro na łożo odbijającą powierzchnią do dołu.

Poczuła na sobie czyjś wzrok i odwróciła się na pięcie.

Sypialnia, jak to było w zwyczaju w rzymskich domach, miała dwoje drzwi. Jedne prowadziły do przylegającej izby, drugie do perystylu.

W tych drugich stała Matrona.

- Co tu się stało? - spytała Regeane.

- Dużo by opowiadać - odparła Matrona. - W każdym razie nic dobrego. Kiedy poszłaś się ubrać do drugiej izby, zaatakowali nas ludzie Bazyla. A ty, głupia, słysząc krzyk Lucilli, otworzyłaś drzwi. Dostałaś pałką. Musisz mieć bardzo twardą głowę. Z początku myśleliśmy, że nie żyjesz, ale sami uwikłani w walkę, nie mogliśmy przyjść ci z pomocą.

- Wygląda na to, że odparliście atak - powiedziała Regeane.

Matrona puściła tę uwagę mimo uszu.

- Co zobaczyłaś w lusterku? - zapytała. Oczy miała jak dwa mroczne stawy, patrzyła nimi na Regeane jakby z bezdennej otchłani czasu.

- Swoją twarz - odparła Regeane.

- O, nie - zachichotała Matrona. - Zobaczyłaś tam coś więcej. Wiem, bo to moje lusterko, a kiedyś należało do księżniczki wielkiego ludu, który żył tu na długo przedtem, zanim Rzymianie uczynili z Tybru cuchnący ściek - ludu z malowanych grobowców. Co widziałaś? Jeśli mi powiesz, będę ci mogła pomóc.

Regeane zaschło w ustach.

- Widziałam tylko swoją twarz - powtórzyła.

- Jak chcesz - powiedziała Matrona, wzruszając ramionami. Zbliżyła się do Regeane i obejrzała siniec na skroni. - Nic wielkiego - orzekła. - Widziałam, jak padasz bez czucia, dzielona przez tego żołdaka. Wyglądało na to, że odniosłaś poważniejszą ranę.

- Ale nie odniosłam — burknęła niecierpliwie Regeane. — Gdzie Antoniusz?

- W ogrodzie z moim panem.

Regeane ominęła ją i wyszła do ogrodu.

Matrona zbliżyła się do łoża, podniosła lusterko i spojrzała w nie. Po chwili ściągnęła brwi i ze smutkiem na twarzy odłożyła lusterko z powrotem na toaletkę odbijającą stroną do dołu.

Na tylnej ścianie lusterka wygrawerowana była postać smukłej, pięknej bogini. Siedziała na krześle z papirusowym zwojem na kolanach, przed nią płaśał chłopiec grający na podwójnym flecie. Matrona musnęła palcami ten wizerunek.

- O, bogini - wyszeptała. - Nazywano cię niegdyś królową niebios, a ja teraz nie pamiętam nawet twojego imienia.

Regeane zastała Maeniela i Antoniusza pogrążonych w rozmowie. Obaj byli obszarpani i pokrwawieni. Antoniusz miał zabandażowane ramię. Maeniel nie krył zaskoczenia jej widokiem. Antoniusz nie okazywał zdziwienia.

- Pani - powiedział Maeniel, kłaniając się - myśleliśmy, że źle z tobą. Zastanawialiśmy się właśnie, skąd wziąć medyka. – Dobry stan jej zdrowia wyraźnie zbił go z tropu.

Podmuch wiatru szarpnął długą szarą szatą Regeane. Stali pod rzeźbą wyobrażającą jakiegoś boga, którego Regeane nie rozpoznawała. Był piękny, ale nie miał jednej ręki. Pewnie tej - pomyślała Regeane — w której trzymał swoje rytualne insygnia. Twarz bożka była niemal kobieco urodziwa. Stał z uniesioną głową, zapatrzony w jaśniejące niebo na wschodzie.

Regeane poczuła ucisk w żołądku i w tej samej chwili owładnęła nią straszna pewność, że przed końcem tego wstającego dnia wiele spraw zostanie raz na zawsze ustalonych.

- Dzisiaj zbiera się synod, prawda? - zwróciła się do Antoniusza.
- Tak — odparł.
- Czy to jakieś ważne wydarzenie? - spytał Maeniel.
- To dzień decydujący nie tylko dla papieża Rzymu, ale również dla

otaczającej go magnaterii - wyjaśnił Antoniusz. - Dezyderiusz, król Longobardów władający Lombardią, od dawna pragnie przejąć kontrolę nad papieskim tronem i wykorzystać go przeciwko swojemu wrogowi Karolowi Wielkiemu. Chce obalić obecnego papieża i wybrać na jego miejsce jakiegoś lombardzkiego prałata, który będzie mu powolny i ogłosi Karola uzurpatorem. Rzymski lud i magnaci, wielcy panowie i właściciele ziemscy z okolic Rzymu muszą dokonać wyboru pomiędzy Dezyderiuszem, Lombardczykami, a Karolem i Frankami. Jest więcej niż pewne, że Dezyderiusz, jeśli to na niego padnie wybór, zniszczy to niewielkie państwo, które należy teraz do papieża i rzymskiego ludu. Włączy je do księstwa Lombardii i uczyni papieskich namiestników Chrystusa kapelanami przy swoim dworze. Nie jest to pożądane ani z punktu widzenia Karola, ani z naszego, ludzi żyjących na tym skrawku pozostałym z największego niegdyś imperium na ziemi.

Urwał. Stali w milczeniu. Antoniusz potrafił być nieszczerzy, potrafił prawić półprawdy, kłamać w żywe oczy, ale zarówno Regeane, jak i Maeniela poruszała w tej chwili jego szczerłość. Wiedzieli, że ten człowiek mówi to, co naprawdę myśli.

I nagle, ku zaskoczeniu Regeane i Maeniela, Antoniusz rozplakał się.

- Pojmali matkę i na pewno ją teraz torturują.
- O Boże! - krzyknęła Regeane i objęła go. — Jak to się stało?
- Siedzimy z Antoniuszem - odezwał się Maeniel — że powierzyła

zadanie... nazwijmy to... usunięcia twego wuja Petrusowi. Wygląda na to, że w takich sprawach często się nim wyręczała. Antoniusz podejrzewa, że Petrus został przekupiony i przeszedł na stronę Bazyla i Dezyderiusza.

Regeane wymruczała pod nosem frankońskie przekleństwo.

- Wiedziałam, że za dużo im dałam pieniędzy.

- Nie - zaprzeczył Maeniel. — Nie wydaje mi się, żeby przekupiono go twoimi pieniędzmi. Prawdopodobnie twój wuj tak bardzo chciał zdobyć nad tobą kontrolę i poprzez ciebie wywierać naciski na mnie, że sprzymierzył się z Bazylem i lombardzkim królem. Celem tej nocnej napaści było pojmanie ciebie i Lucilli. Lucilli zarzucano już praktykowanie czarnej magii. Krążą pogłoski, że aby osadzić obecnego papieża na Tronie Piotrowym, weszła w konszachty z panem ciemności, wrogiem człowieka.

- A co... - Regeane chciała zapytać o podejrzenie o trąd, ale Antoniusz szybko otarł oczy i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Wypuściła go z objęć i odsunęła się. Nawet wielka dama nie mogła sobie pozwolić na poufałość z mężczyzną nie będącym jej mężem. Maeniel obserwował ich z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Nie ma znaczenia, jaki konkretnie zarzut zostanie postawiony, dobrze mówię? - zapytał. - Chodzi tylko o pretekst wystarczający, by obalić Hadriana. I dlatego król Franków przysłał tu Otho i jego ludzi. Mają umocnić Rzymian w ich zamiarze pozostawienia Hadriana.

- Tak - powiedział z goryczą Antoniusz. - A teraz matka powie tym, którzy ją uprowadzili, wszystko, cokolwiek będą chcieli od niej usłyszeć. I nie sposób przewidzieć, czy Rzymianie opowiedzą się za Hadrianem, czy nie.

- Idziesz na synod? - spytała Regeane.

- Tak - odparł Antoniusz. - Kiedy wprowadzą matkę, spróbujemy z przyjaciółmi uwolnić ją z łap Bazyla bez względu na to, co będzie mówiła i w jakim będzie stanie. A ty, Maenieliu, bierz Regeane i uciekajcie. Jeśli wyruszyacie zaraz, będziecie przed zmierzchem w Ostii. Wystarczy wam złota na wynajęcie statku, który przewiezie was do Franków. Za kilka tygodni będziecie już bezpieczni w swoich górach.

Regeane odeszła kilka kroków od obu mężczyzn. Robiło się coraz jaśniej, ale ogród wypełniała gęsta mgła, przesłaniająca wschodzące słońce.

- Nie - powiedziała. - Nigdzie się stąd nie ruszę. Ty i twoja matka byliście mi przyjaciółmi. Więcej niż przyjaciółmi, doradzaliście mi mądrze i chroniliście. Raz już wam się za to odwdzięczyłam i może w tej potrzebie też mi się to uda. Zostaję.

Zawisło między nimi pewne niedopowiedzenie. Regeane była teraz żoną

Maeniela. Kontrakt małżeński został podpisany. Byli ze sobą sam na sam. Rodziło się domniemanie, że doszło do skonsumowania małżeństwa.

- Użyj siły - zwrócił się Antoniusz do Maeniela.
- To nic nie da - powiedziała spokojnie Regeane.

Maeniel spojrział na swoje dłonie. Były to duże, silne dłonie wojownika. W nocy skręcił nimi kark człowiekowi, który do ułomków się nie zaliczał. Podniósł wzrok.

- Żadnej siły! - potwierdził. - Nie wydaje mi się, abym stosując ją wobec tej damy, osiągnął coś więcej niż jej wuj i kuzyn. Nie chcę kłaść się potem do łóżka z wrogą sobie kobietą ani zasiadać z nią przy jednym stole do wieczerzy. Poza tym jestem z moją panią jednej myśli. Przynależę lojalność królowi Franków, Karolowi zwanemu Charlemagne. Nie rzucam słów na wiatr. Nawet jeśli dałem je takiej gnidzie jak Otho. Poprę kandydata, którego Karol wysuwa na papieża. I jako wasal Karola nie opuszczę go w potrzebie.

Regeane przypomniała sobie obawy, jakie wzbudzał w niej poprzedniego wieczoru Maeniel. Miała go do wczoraj za lekkoducha i zbójcę bez żadnych zasad. Teraz zrozumiała, że się myliła. Wyciągnęła do niego rękę.

- Widzę, mój panie, żeś człowiekiem honoru. Mam nadzieję, że będziesz takim również wobec mnie.

Ujął jej rękę i popatrzył w oczy. Zobaczył w nich rozpacz ocierającą się niemal o szaleństwo.

- A ja mam nadzieję... wierzę... że taki, jakim mnie opisujesz, pani, jestem we wszystkim - odparł i złożył pocałunek na jej dłoni.

Antoniusz otarł rogiem opończy łzy.

- Zwariowani... zwariowani... zwariowani barbarzyńcy - wyszeptał.

- Znajdę ci inną suknię - dobiegł zza pleców Regeane głos Matrony. - Ta, którą nosisz, należy do Silvii. Idź się tymczasem wykąpać. Ty, Antoniuszu, też. Są tu osobne łazienki dla mężczyzn i dla kobiet. Kazałam sługom podgrzewać wodę. — Klasnęła w ręce. - Rób, co mówię. Biskupi i kardynałowie ściągają już na Lateran. Niedługo zaczyna się msza. Musimy się pośpieszyć. Zaraz po niej zbiera się synod.

Regeane i Antoniusz wbiegli do domu. Maeniel chciał pójść w ich ślady, ale Matrona zastąpiła mu drogę.

- Zaczekaj - powiedziała. — Chcę z tobą porozmawiać.
- O czym? — Maeniel uniósł pytająco brwi.
- Chodź za mną - mruknęła Matrona. - Odkryłam coś bardzo ważnego.

Zaprowadziła go do izby, w której o mało co nie zginął. Niedoszły zabójca leżał na posadzce tam, gdzie wyzionął ducha. Izbę zalewało teraz dzienne światło wpadające przez oszklony otwór w suficie. Matrona pochyliła się nad trupem i uniosła jego prawą rękę. Pokazała Maenielowi nadgarstek, za który chwyciła Regeane, ratując mu życie. Dłoń zwisała bezwładnie.

- Połamane kości - zdumiał się Maeniel.

- Jedna tak, druga nie - odparła Matrona - ale ścięgnięta są pozrywane. Nie zawdzięczasz życia zwyczajnej kobiecie. Gdyby taką była, napastnik wyrwałby się jej bez trudu i ugodził cię nożem w plecy.

Maeniel przykląkł naprzeciwko niej.

- No i... co? — spytał.

- Ona jest tą srebrną wilczycą - odparła Matrona.

Maeniel wstał gwałtownie.

- Nie wierzę - warknął.

Matrona odchrząknęła znacząco i wyszła z powrotem do ogrodu. Maeniel podążył za nią.

- Słyszałam od Gavina, że uważasz się za starego, bo widziałeś kilku cesarzy - odezwała się, siadając na ławeczce nad sadzawką. Mgła rozwiewała się już, odsłaniając turkusowe niebo, po którym sunęły białe i szare obłoki. - Przed bogami, którzy stworzyli bogów, byłam ja — podjęła. - Nie potrafię ci powiedzieć, ile mam lat, bo kiedy się urodziłam, nie dzieliliśmy jeszcze roku na cztery pory. Każda zima była dla nas czymś w rodzaju śmierci i z jej nadejściem opłakiwaliśmy przemijanie życia i piękna. Każdej wiosny wyczekiwaliśmy z zapartym tchem — baliśmy się, że może nie nadejść — a kiedy nadchodziła, szaleliśmy ze szczęścia, że oto świat się odradza. Długo przebywałam wśród swojego ludu. Przypłynęłam z nim na statkach do Grecji przez pławiące się w słońcu, ciemne jak wino morze. Siedziałam przy palenisku w pewnej zadymionej sali i słuchałam ślepego śpiewaka, który nazywał te wody jasnymi i błękitnymi. Byłam Latynom wyrocznią w czasie, kiedy wyzwali się spod jarzma ludu malowanych grobowców. Moja umiejętność zmiany postaci wzbudzała u tych dawnych Rzymian podziw i lęk. W końcu lęk przeważał. Przegnano mnie płonącymi pochodniami i klątwami. Uszłam w góry i tam przyłączyłam się do innego ludu. Gladiusa — miecz w kształcie tego, który nosi Antoniusz - zobaczyłam po raz pierwszy, kiedy rzymskie legiony pokonały góry i wkroczyły do Galii. Obserwowałam tych żołnierzy poprzez śnieżne zadymki.

Odpędzałam najeźdźców swoim głosem od mojego ludu. I żywiłam się ciałami tych zabójców, kiedy zgubili drogę i zginęli z zimna. — Uśmiechnęła się ponuro.

- Co się stało z twoim ludem?

Matrona wzruszyła ramionami.

- Byli jak cała reszta. Ludzie nie potrafią się pogodzić ze zwierzchnictwem zwierzęcia. Nigdy nie uwierzą, że są naszymi krewniakami. Nie uwierzą, że wyrosliśmy z tego samego korzenia i jesteśmy częścią tego samego drzewa, i że kiedy to drzewo upadnie, razem zгинiemy. Mój lud był szczęśliwy i wolny. Chciałam go poprowadzić na górskie łąki, w doliny, tam gdzie Rzymianie nigdy by nie przyszli. Ale oni marzyli o rzymskim złocie, o rzymskich luksusach. O talerzach i kielichach ze srebra i złota. O czerwonym i białym winie. O delikatnych, pięknych kobietach ubranych w aksamit i jedwab. Rzymianie najpierw omamili ich swoim bogactwem, a potem podbili. I znowu zostałam sama. Nie mówię ci tego, żeby się chełpić albo wzbudzić w tobie współczucie. Chcę ci tylko uświadomić, że wiele w życiu widziałam i wiele wiem. Ta dziewczyna jest jedną z nas, bo tylko któreś z nas potrafiłoby w ten sposób zmiążyć człowiekowi nadgarstek. Widziałam, jak patrzyła w moje lusterko. Nie wiem, co w nim ujrzała, ale na pewno potrafi to samo, co ja. Używaliśmy tego lusterka do zaglądania w zaświaty. Powtarzam, ona jest jedną z nas.

- Nie wiem... — zaczął Maeniel.

- Wielki, szary wilku - przerwała mu Matrona - nie irytuj mnie swoim sceptycyzmem. Teraz przynajmniej wiesz, jaki wydajesz się Gavinowi. Potrzebujecie powozu, żeby pojechać na Lateran. Każę zaprzęgać muły. - To mówiąc, odeszła do stajni.

Oszołomiony Maeniel odprowadzał ją wzrokiem. To, co powiedziała, wyjaśniało wiele zagadek związanych tak z Regeane, jak i z nią samą. Od dawna uważał Matronę za najsilniejszą, najbardziej niezawodną w swojej bandzie. Jeśli rzeczywiście widziała zaranie świata, to nic dziwnego, że odznacza się taką siłą i żelazną wolą. Byli oboje istotami, których czas się nie ima.

Kiedy Regeane wyszła znowu do ogrodu, zaprzężony w muły powóz czekał już przy bramie z kutego żelaza. Zatrzymała się przy Maenielu. Matrona wyszukała jej starą, ale szykowną suknię.

- Panie - powiedziała, skłaniając lekko głowę.

- Pani - odparł, całując ją w rękę. Przed oczyma stanęła mu płynąca nad

trawą srebrna wilczyca o sierści lśniącej lodowym połyskiem cennego metalu, przechodzącej w czerń na krecie, brzuchu i wewnętrznych powierzchniach łap.

Boże, jakaż jest piękna w obu wcieleniach! - pomyślał. Wyprostował się, ale nie puszczał jej dłoni. Przypomniawszy sobie zmiażdżony nadgarstek skrytobójcy. Jeśli wierzyć Matronie, ta dziewczyna ocalała mu życie.

Regeane delikatnie, ale stanowczo cofnęła rękę.

- Muszę już jechać, ale dziękuję za wszystko. – Zawahała się. - Jestem tego samego zdania, co Antoniusz. Wracaj w swoje góry. Ciesz się wolnością.

- Życie jest tylko monetą do wydania - odparł cicho. — Nie po to obdarzono nas oddechem, nie po to dano nam oczy, którymi podziwiamy piękno tego świata... byśmy uciekali tchórzliwie od jego cierpień i problemów. Jestem na twoje rozkazy. Będę eskortował ciebie i Antoniusza ze swoimi ludźmi.

- Uważaj - powiedziała Regeane. - Będę cię trzymała za słowo.

Maeniel skłonił się i poprowadził ją w stronę czekającego przy bramie powozu.

Maeniel prowadził cztery muły ciągnące powóz, utrzymując tempo zapewniające wygodną jazdę pasażerze.

Jadący obok Gavin zasypywał Maeniela oskarżeniami, prośbami, pogroźkami, ostrzeżeniami, aż w końcu uderzył w ton błagalny.

- Czyś ty rozum postradał? Czy robaki mózg ci stoczyły? Wzięłeś rozbrat ze zdrowym rozsądkiem? Boże, zastanów się, co czynisz! Zginiesz przez tę frankońską dziewczynę! - zadręczał tak Maeniela aż do samego Lateranu.

Maeniel słuchał w milczeniu. Nie chciało mu się droczyć z Gavinem. Szukał tej dziewczyny od tysiąca lat, a teraz mógł ją w jednej chwili stracić.

- Nigdy dotąd nie byłeś zakochany - warknął Gavin.

- Tak myślisz? — mruknął Maeniel. - To wiedz, że nie raz. Choć wszystkie moje miłości w proch się już obróciły.

Odżyły wspomnienia.

Morgana, brzydka, ale pociągająca. Kremowa, upstrzona piegami skóra, wielkie, jędrne piersi, pełne usta zawsze gotowe śmiać się i całować. Rozłożyste biodra. Płomienne włosy...

Ginewra. Do tej pory wyzywał na pojedynki ludzi, którzy źle o niej mówili. Wzdrygnął się i spojrzał na postrzępioną chmurę sunącą po niebie. Jej ciało było

tylko kruchą lampą dla ognia zbyt jasnego dla śmiertelnej powłoki. Kiedy położyli ją na stosie, gwiazdy pospadały z nieba. Płakały nad nią same niebiosy...

Zatrzymali się w jednej z bocznych uliczek niedaleko Lateranu. Plac był zatłoczony. Tłum kłębił się przed schodami Bazyliki.

- Będiesz mi posłuszny? — zwrócił się Maeniel do Gavina.

Gavin minę miał zrezygnowaną i zde gustowaną zarazem.

- Oczywiście, i oddam za ciebie życie - burknął, zeskakując z konia.

Regeane udawała, że niczego nie dostrzega.

- Pani - powiedział Maeniel, pomagając jej wysiąść z powozu.

- Pani od siedmiu boleści - wymruczał pod nosem stojący tuż za nim Gavin.

W następnej chwili Gavin leżał już rozciągnięty na kocich łbach. Popatrzył w niebo, a potem na plecy oddalających się Regeane i Maeniela. Nie bardzo wiedział, jak to się stało.

Matrona pomogła mu pozbierać się z ziemi. Nie śmiała się z niego.

- Może i masz rację - powiedziała. - Może źle się to dla nas skończy. - Podeszli do nich zwalisty Józef i Gordo. - Ale teraz jesteśmy jednym. - Dogonili Regeane i Maeniela, przepychających się ku schodom, i wzięli ich między siebie. - Takie jest prawo - ciągnęła Matrona. - On przewodzi, my idziemy za nim... w bój.

Nadciągnęła reszta ludzi Maeniela. Regeane zauważyła z zaskoczeniem, że są wśród nich również kobiety. Tłum rozstępował się bez szemrania przed taką masą zbrojnych. Po chwili stali już przed Bazyliką. Wstępu do świątyni strzegła gwardia papieska pod wodzą ubranego na biało Antoniusza. Antoniusz wyglądał jak dawny Rzymianin, chociaż zamiast togi miał na sobie grubą opończę i tunikę ściągniętą ciężkim złotym pasem. Szyję zdobił mu złoty łańcuch.

Na jego znak ludzie papieża otworzyli przed nimi masywne brązowe drzwi. Ciżba rozstąpiła się, by ich przepuścić, a potem na nowo złała.

- Chodzą słuchy - mruknął Antoniusz, kiedy go mijali - że zostanie tu wysunięte przeciwko nam wszystkim jakieś ohydne oskarżenie.

Przy ołtarzu dobiegała końca msza. Biskupi i kardynałowie zajmowali wysokie drewniane stalle ciągnące się wzdłuż ścian. Szlachetnie urodzeni obojga płci zapelniali środek kościoła.

Regeane uderzyła w oczy feeria barw. Nigdy nie widziała tylu gatunków wspaniałych tkanin naraz. Ich kolory śpiewały. Ciepłe jak letnie niebo błękity

kontrastowały z aksamitnym granatem zimowej nocy. Szkarłaty soczyste jak kwiat róży przechodziły w cesarską purpurę, delikatny wiosenny fiolet albo krystaliczny ametyst. Oko przyciągały połyskliwe zielenie i brązy. Na szyjach, przegubach i palcach skrzyły się klejnoty. Twarze kobiet przesłaniały muślinowe i koronkowe woalki.

Ten barwny, błyszczący tłum stanowili zwolennicy i przyjaciele papieża. Byli, podobnie jak siedzący pod ścianami kapłani, jego wyborcami. Oni ucierpią najbardziej, jeśli zawiedzie frankońska polityka papieża. Oni najwięcej zyskają, jeśli ta polityka odniesie sukces.

Regeane spojrzała w górę. Poprzez tafle matowego szkła osadzone w sklepieniu laterańskiego kościoła na zgromadzony tłum spływało ciepłe, błękitnawe światło.

Przestrzeń przed samym ołtarzem pozostawała wolna. Białe płyty marmurowej posadzki były tam upstrzone barwnymi cieniami rzucanymi przez witraże w ścianach i skąpane w błękitnej poświacie wpadającej przez świetliki w sklepieniu.

Regeane przesunęła wzrokiem po twarzach osób stojących półkolem przed ołtarzem.

Dostrzegła tam Gundabalda i Hugo. Kazała się im wykapać i chyba posłuchali. Włosy i brody mieli umyte i przystrzyżone, lśniące pomadą, szaty nowe i schludne. Silve uwieszona ramienia Hugo miała na sobie czystą suknię z granatowego aksamitu, a na jej palcu połyskiwała ślubna obrączka.

Regeane wyrwało się szydercze parsknięcie. Spróbowała pokryć je kaszlem, ale Hugo nie dał się zwieść. Wiedział, że się z niego śmieje. Poczzerwieniał jak burak. Gundabald przeszył Regeane spojrzeniem pełnym nienawiści. Nieopodal nich stał Bazyl w asyście licznego oddziału żołnierzy. Oczy Gundabalda mówiły wyraźnie: „Niedługo nie będzie ci do śmiechu”. Regeane spoważniała, przeszedł ją dreszcz.

Elfgifa stała w towarzystwie Barbary i Emilii. Kiedy zobaczyła Regeane, chciała się wyrwać opiekunkom i podbiec do niej, ale zakonnice mocno trzymały ją za ręce. Po krótkiej szarpaninie dała w końcu za wygraną. Wśród gromadki sióstr zakonnych stała też starucha z noclegowni. Trzymała za rękę wyrostka. Regeane rozpoznała w nim Postumousa i uświadomiła sobie, że ta kobieta, którą zawsze uważała za posuniętą w latach, jest matką chłopca. Była tu nawet Cecelia w gęstym welonie. Rufus stał w otoczeniu swoich ludzi po tej samej stronie Bazyliki, co

Regeane. Towarzyszyli mu nie tylko żołnierze, ale i szlachta, przypuszczalnie jego wasale. Regeane nie przypuszczała, że ten człowiek jest tak potężny. Obok niego stała grupka służących Lucilli. Regeane rozpoznała wśród nich Faustę i Susannę. Najwyraźniej znajdowały się pod opieką Rufusa.

Msza dobiegła końca. Akolici Hadriana odebrali od niego zdobny ornat. Został w prostej białej szacie Namiestnika Chrystusa. Wystąpił z oświetlonego świecami sanktuarium w czyste światło spływające ze sklepienia świątyni.

Bazył zaczął się przeciskać między swoimi ludźmi w stronę Gundabalda i Hugo. Ubrany był wytwornie, jak szlachcic, ale na czarno-złotą tunikę miał nałożoną kolczugę. Hełm trzymał pod pachą. U pasa zwiisał miecz. Stanąwszy obok Gundabalda, uniósł rękę i oskarżycielsko wymierzył palec w Hadriana.

- Fałszywy kapłanie, jesteś papieżem nie z wyboru prawych chrześcijan, lecz z nadania samego złego! Jesteś sługą Szatana, i to on w swej bluźnierczej przewrotności osadził cię na Tronie Piotrowym.

W kościele zrobiło się cicho, jak makiem zasiał.

- Gdzie ona jest, Bazylu? - spytał Hadrian.

Bazył zdębiał. Dał się słyszeć tupot. Do Bazyliki wbiegli papiescy gwardziści, odpychając ludzi od wejścia i wypełniając boczne nawy. Zablokowali brązowe podwoje ciężką żelazną sztabą.

Tłum magnatów zgromadzonych w świątyni zafalował. Zakonnice zbiły się w ciasne stadko. Kilka przeżegnało się znakiem krzyża, ale Barbara tylko westchnęła. Chłonącej to wszystko Elfgifie oczy płonęły z podniecenia. Jednak dorośli z niepokojem śledzili rozwój wypadków.

- Gdzie ona jest? — powtórzył Hadrian.

Tłumiona furia pobrzmiewająca w jego głosie wystarczyła, by uśmierzyć rodzącą się panikę. Tylko papież albo król potrafiały przemawiać takim tonem - przemknęło przez myśl Regeane. Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, ujrzała na twarzy Bazyla lęk.

- Twoje życie wisi na włosku, Bazylu — podjął Hadrian. - Gdzie ona jest?

Bazył rozejrzał się niespokojnie. Na placu przed Bazyliką czekało wielu jego popieczników, ale tutaj, w środku, ludzie papieża mieli przewagę liczebną. Hadrian schwytał go w potrzask.

Regeane wyczuła poruszenie po lewej. To Antoniusz odgarniał opończę, odsłaniając rękojeść miecza. To samo czynił Maeniel stojący po jej prawej ręce. Obaj

przysunęli się bliżej. Ich gest powtarzali już mężczyźni w całym kościele.

- Przyznała się! — krzyknął Bazyl.

- Bazylu — odparł Hadrian - stosując odpowiednie środki nacisku, na każdym można wymusić przyznanie się do czegokolwiek. Chcę ją tu widzieć. I to natychmiast.

Regeane usłyszała serię poskrzypywań, zewsząd dobiegały stłumione okrzyki zgrozy.

Maeniel otoczył ją ramieniem, pociągnął na ziemię i przykrył własnym ciałem. Uniosła głowę i wyjrzała znad jego barku. Wśród ludzi papieża byli łucznicy. Skrzypienie, które słyszała, wydawały napinane łuki. Większość mężczyzn poszła za przykładem Maeniela, przypadając do ziemi i pociągając za sobą swoje kobiety.

Bazyl i jego ludzie nadal stali.

- O to chodzi? - powiedział Hadrian. - Nie ruszaj się, Bazylu. Jeśli padniesz na posadzkę, moi ludzie uznają to za znak do wypuszczenia strzał.

Bazyl skinął na jednego ze swoich ludzi. Kiedy ten podszedł, szepnął mu coś szybko na ucho. Spojrzeli obaj pytająco na Hadriana.

Hadrian kiwnął głową. Żołnierz wybiegł z kościoła przez zakrystię.

Bum! Bum! Bum!

Regeane zapomniała o biskupach i kardynałach. Siedzieli w milczeniu pod ścianami Bazyliki na ustawionych na podwyższeniu krzesłach. Nie zagrażały im strzały papieskich łuczników, bo ci stali do nich tyłem.

Bum! Bum! Bum!

- Co to za łomot? - spytała Regeane, wierząc się pod leżącym na niej Maenielem. - Daj mi wstać. Duszę się. Nie widzę, co się dzieje.

Maeniel zachichotał i uniósł się lekko.

Bum! Bum! Bum!

- Co to? - powtórzyła Regeane.

- Cicho - szepnął Antoniusz. - To jeden z biskupów. Nie podoba mu się postępowanie Hadriana. Stuka swoim pastorałem o drewnianą podłogę stali.

- I co to da? — spytał Maeniel.

- Nic - odparł Antoniusz - chyba że inni się do niego przyłączą.

Ledwie Antoniusz wypowiedział te słowa, tak się stało. Cała Bazylika rozbrzmiała grzmotem stukających pastorałów. Kościelni dostojnicy wyrażali w ten sposób swoją dezaprobatę.

- Do diabła! - zaklął pod nosem Antoniusz.
 - Jak rozumiem, sprawy przyjmują niepomysłny obrót - mruknął Maeniel.
- Hadrian uniósł lewą rękę, dając znak łucznikom. Opuścili łuki, zwolnili cięciwy.

Łomot ścichł.

Szlachta zgromadzona pośrodku kościoła zaczęła podnosić się z ziemi, dziękując Bogu szmerem cichych modlitw.

Ludzie Bazyla, zbici w ciasną gromadkę, usiłujący kryć się jeden za plecami drugiego, odetchnęli i rozluźnili szyki.

Na twarz Bazyla powrócił rumieniec.

- Mamy dowód! — wrzasnął.

- Dowód! - krzyknął ktoś. - Piekło, śmierć i potępienie! Dowód na co? Jaką to zbrodnię popełnił Jego Świątobliwość? - Mówca wystąpił naprzód. Był to Rufus. Twarz pałała mu rumieńcem furii.

Bazyl skinął na... Gundabalda!

Gundabald wyszedł powoli na wolną przestrzeń przed ołtarzem i stanął między Hadrianem a Bazylem. Wskazał palcem na Regeane.

- Tam stoi! To córka samego Szatana! - Opuścił rękę. — Powiadają - ciągnął — że demon potrafi przybrać postać anioła światłości. Takim też objawił się mojej nieszczęsnej siostrze Gizeli. Skusił ją swoimi worami złota, swoim cielesnym pięknem. Omamił obietnicą ślubu... małżeństwa. - Gundabald znowu uniósł rękę i wskazał na Regeane. - Spłodził z nią ten diabelski pomiot. - Opuszczając rękę, zwrócił się teraz do rzymskiej szlachty: — Na szczęście zdołaliśmy wyrwać moją siostrę ze szponów tego zalotnika z królestwa ciemności. Jakież było jednak nasze przerażenie, kiedy okazało się, że nosi w sobie jego dziecko!

Regeane dech zaparło. Wargi, twarz, palce miała odrętwiałe. Nie wiedziała, że można bać się aż tak. W kościele zaległa kompletna cisza. Ludzie chłonęli każde słowo Gundabalda.

- Niestety - podjął - moja siostra była świętą kobietą. Radziliśmy jej, żeby udusiła to dziecko zaraz po wydaniu go na świat. Niech zasili szeregi legionów potępionych. Nie posłuchała i gorzko tego później żałowała. Całe życie upłynęło jej na pokucie, żalu za grzechy i próbach wyrwania... - tu podniósł głos, spojrzał znowu na Regeane i wytknął ją palcem — ...swej córki spod władzy sił ciemności. Ona ma moc! — ryknął i jego głos odbił się echem od sklepienia. - Potrafi chodzić na dwóch nogach i biegać na czterech. Nie powstrzyma jej żaden zamek ani rygiel. Nocą staje

się jak mgła i razem z lotnymi wyziewami przenika przez szpary w okiennicach albo pod drzwiami. Potrafi przybrać postać nietoperza i przelatywać tam i z powrotem przez bramy piekieł. Potrafi przedzierzgnąć się w wilczycę i parzyć się bezwstydnie czy to z człekiem, czy ze zwierzem. W noc śmierci swej matki uciekła na czworakach i przy świetle księżyca dopuszczała do siebie zwierzęcych kochanków - wszystkich, co ją chcieli.

Stojąca między zakonnicami siostra Angelica wydała przeszywający pisk, od którego zadrżały dachówki.

- Wiedziałam! - zawyła histerycznie. - Wiedziałam od chwili, kiedy ta dziewczyna ujrzała Hildegardę. Umarli są dla niej jak żywi. To piekielnica naznaczona piętnem grobu. Wysłać ją tam! Nie ma dla niej miejsca wśród żywych.

Gundabald podszedł do Regeane i zatrzymał się przed nią na długość wyciągniętej ręki. Wyglądał na trzeźwego. Białka oczu nadal miał zaólczone, ale nie oplatała ich siateczka popękanych naczyń krwionośnych. Patrzył przez chwilę na siostrzenicę z ponurą satysfakcją.

- Jesteś już martwa, dziewczyno - powiedział cicho. — Nie dożyjesz zachodu słońca. - Odwrócił się i dołączył do Bazyla.

Teraz z tłumu wystąpił Bazyl.

- Antoniuszu! - krzyknął. - Pokaż się!

Antoniusz z dłonią na rękojeści miecza wyszedł śmiało na środek wolnej przestrzeni.

Bazyl popatrzył na niego lękliwie.

- Antoniuszu... jak to możliwe... że żyjesz. Kiedy cię ostatnio widziałem, cuchnąłeś mogiłą. Twarz miałeś tak zżartą, że... że musiałeś ją zakrywać, a i tak najmężniejsi odwracali się od ciebie ze wstrętem. Dłonie miałeś jak szpony, kości przebijały ci skórę. Nosileś na sobie diabelskie piętno. Wszyscy tu zgromadzeni wiedzą, że było już po tobie... że toczyła cię zgnilizna, a ty wciąż żyjesz. - Bazyl odwrócił się do stłoczonej pośrodku kościoła szlachty. - Wszyscy wiedzą, powiadam ci. - Jego głos narósł do wrzasku. - Wiecie... Nikt, stojąc przed ołtarzem Boga, nie odważy się zarzucić mi kłamstwa. Nikt z was nie śmie zaprzeczyć moim słowom. Wiecie!

Nikt się nie odezwał, ale też nikt nie spojrzał mu w oczy.

Bazyl odwrócił się plecami do zebranych i spojrzał na Hadriana.

- A teraz... teraz go widzę. Stoi przede mną... zdrowy człowiek w pełni sił.

Podczas gdy nie dalej jak przed miesiącem nosił jeszcze znamiona boskiej klątwy... rzuconej na ciebie za zadawanie się z wiedźmą i - tu Bazyl wskazał palcem na Antoniusza - z czarownikiem. Ta dziewczyna, której wypierają się jej własni krewni... ta dziewczyna odziana w jedwabie i pozłoty... nie jest bynajmniej świętą obdarzoną mocą uzdrawiania. Jaki przeklęty i potępiony pomiot sił ciemności musiała wezwać na pomoc, by odciągnąć twojego pupila od skraju nicości? Skoro udało jej się tego dokonać, musi stać blisko samego władcy piekieł. Ty zaś... - Bazyl już nie mówił, ryczał. — Ty złożyłeś pewnie królowi diabłów przysięgę na wierność, bo inaczej nie przysłałby ci takiej pomocnicy.

Nikt się nie odzywał. Bazyl, krocząc sztywno, wrócił do swoich ludzi.

- Brednie - powiedział głośno Antoniusz. - Brednie! - powtórzył głośniejszym głosem. - Spójrzcie na twarz tej słodkiej dziewicy - wskazał na Regeane. - Ma na niej wypisane, że panna z niej niewinna i cnotliwa.

- Wieczny wróg człowieka - krzyknął Bazyl - potrafi objawiać się tym, których chce zwieść na pokuszenie... pod postacią anioła światłości!

- Wiem, Bazylu, żeś wytrawnym znawcą diabelskich sprawek - odparował Antoniusz. - Wszak starożytni panowie otchłani to twoi serdeczni przyjaciele, jeśli nie krewniacy.

- Dosyć - wtrącił się Hadrian. — Dzieje się tu coś dziwnego. Padają straszne oskarżenia. Widzę, że nie obejdzie się bez wyjaśnień...

Nie dokończył, bo w tym momencie przez zakrystię weszło do kościoła trzech mężczyzn. Na wprost prowadzili, na wprost nieśli kogoś spowitego w czarny habit z kapturem. Nawet z tej odległości Regeane poczuła zapach krwi. Starej krwi, zgęstniałej i rozkładającej się, odór żywego mięsa i krwi świeżej, a co najgorsze, swąd przypalonego ciała.

To Lucilla - pomyślała.

Siostra Angelica zawyła. Niegłośno. Jedna kobieta nie była w stanie wypełnić swoim głosem gigantycznej Bazyliki, ale wśród szlachty nastąpiło poruszenie. Mężczyźni klęli, kobiety szlochały.

Ludzie prowadzący Lucillę zatrzymali się. Jako tako utrzymywała się do tej pory na nogach tylko dzięki temu, że ją podtrzymywali. Teraz, puszczona, osunęła się powoli na posadzkę. Habit okrywał jej ciało, kaptur głowę. Żołnierze zostawili ją tak i dołączyli do grupy Bazyla.

Leżąc nieruchomo pośrodku wolnej przestrzeni przed ołtarzem, przypominała

plamę czarnego inkaustu rozlanego na jasnym marmurze zabarwianym przez spływające z góry, niesamowite błękitnawe światło.

Hadrian stał u szczytu stopni sanktuarium i patrzył na nią, zaciskając i rozprostowując pięści.

Ludzki strzęp poruszył się. Spod habitu wysunęła się zakrwawiona dłoń; tam, gdzie powinny być paznokcie, różowiło się surowe mięso pokryte gęstą wydzieliną. Okaleczona dłoń szukała niezdarnie punktu oparcia na śliskim marmurze. Ciemna postać próbowała przekręcić się na bok.

Tłum z pełnym grozy pomrukiem cofnął się jak przed psem, który ma przetrącony grzbiet, ale rusza się jeszcze i błaga wzrokiem o dobiecie.

Regeane ogarnęło poczucie straszego osamotnienia. Odżyły wilcze wspomnienia. Przed oczyma stanął jej wilk powieszony na szubienicy jak człowiek. Inny płonął żywcem na stosie. Jeszcze innego rozrywali na sztuki dwaj jeźdźcy pędzący w przeciwnych kierunkach z linami, którymi spętano mu przednie i tylne łapy.

Okrucieństwa, jakie zadają sobie nawzajem ludzie, znajdują swe odbicie w traktowaniu przez nich innych, niewinnych stworzeń bożych.

- Nie bój się. - Maeniel chwycił Regeane za ramię. – Kiedy otworzą się te drzwi, wychodzimy stąd, zbieram swoich ludzi i ruszamy do Ostii. Zabijemy każdego, kto spróbuje nas zatrzymać. Za tydzień będziemy w górach. W mojej warowni nikt ci krzywdy nie wyrządzi.

Zerknęła na niego, potem na Gavina, który gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

- Wilczyca... - wykrztusił — nietoperz, mgła?

Maeniel trzepnął go wprawnie w ucho.

- Cicho, Gavinie.

Gavin zamilkł.

- A jeśli w tym, co mówią, jest ziarenko prawdy? — spytała Regeane.

- Nic nie może być gorsze od tego, czego tu jesteśmy świadkami - odparł Maeniel.

Regeane wyzwoliła ramię z jego uścisku i pobiegła w stronę Lucilli. Antoniusz ruszył za nią.

Lucilla poruszała się. Zdołała wreszcie przekręcić się na bok. Jej prawa dłoń nie była tak okaleczona jak lewa. Podpierając się na niej, wywindowała się do pozycji

siedzącej.

Regeane padła przy niej na kolana. Kaptur zsunął się Lucilli z głowy. Jedno oko miała zamknięte i zalepione strupem zakrzepłej krwi, drugie otwarte. Usta stanowiły krwawą miazgę. Cała twarz była w sińcach. Regeane zajrzała, pod opończę. Koszula Lucilli przesiąknięta była krwią. Wyrwano jej trzy paznokcie z lewej dłoni. Palce prawej były opuchnięte.

- Łotry — szepnęła Lucilla. - Czy wyłupili mi prawe oko, Regeane? Powiedz. Nic na nie nie widzę.

Antoniusz zaczął ocierać rąbkiem swojej opończy krew i strup. Oko otworzyło się. Biało było szkarłatne, ale na twarzy Lucilli pojawiła się niewysłowioną ulgą.

- Mniejsza z tym, co jeszcze ze mną robili — wyjęczała. - Najważniejsze, że widzę. Oby ich piekło pochłonęło! - Chwyciła się prawą ręką ramienia Antoniusza i podźwignęła na nogi. - Wiesz, co masz robić — szepnęła mu na ucho.

- Nie wiem, matko, czy zdążymy. Ale kiedy zniknęłaś, rozpuściłem wieść po mieście.

Lucilla odwróciła się do Regeane.

- Potrzeba mi czasu.

Dwa pozostałe na lewej dłoni paznokcie wbiły się w rękę Regeane.

- Dobrze. Dam ci go.

Pod Lucilla ugięły się nogi. Zwiła bezwładnie w ramionach syna. Antoniusz wziął ją na ręce i wyniósł przez zakrystię do pałacu Laterańskiego.

Regeane usłyszała dziecięcy płacz. Obejrzała się. Elfgifa tuliła się do ciotki Emilii i szlochała.

Bum! Bum! Bum!

Po całym kościele rozszedł się echem stukot pastorałów w stallach elektorów. Hadrian uniósł rękę i stukot ucichł.

Hierarchowie Kościoła zajęli z powrotem swoje miejsca, ale jeden stary biskup stał nadal.

- To poważne oskarżenia - powiedział do Hadriana — i albo je obalisz, albo będziesz musiał ustąpić. Nie załatwisz tego zbrojną siłą.

Hadrian przyglądał się przez dłuższą chwilę Regeane czystymi, szarymi oczyma. Przypominały jej sztormową falę na zimowym morzu.

- Czy są jeszcze jacyś świadkowie? - zapytał.

Gundabald wypchnął naprzód Silve.

- Żona mojego syna.

Silve sprawiała wrażenie całkowicie sparaliżowanej z przerażenia.

- Co nam powiesz, dziewczyno? Czy Regeane jest taka, jak mówi jej wuj? - spytał Hadrian.

Regeane zadarła brodę i przeszyła Silve wściekłym spojrzeniem.

Silve nie wiedziała, gdzie uciec z oczami. Patrzyła to na Hadriana, to w posadzkę, to na sklepienie, to znów wodziła wzrokiem po tłumie, tylko na Regeane nie spojrzała. Gundabald uniósł zaciśniętą pięść.

- Tak! — zapiszczała pośpiesznie Silve. — Tak! Tak! Tak!

Regeane podeszła do niej.

- Ty ladacznico! Pomagałam ci. Chroniłam cię, a ty nazywasz mnie wiedźmą. Jak śmiesz?

Z krtani Silve wydobył się zduszony charkot.

- Nie, nie, nie... - zaskamlała i odskoczyła od Regeane, by szukać ratunku u Gundabalda. Zatrzymała się jak wryta na widok jego wykrzywionej wściekłością twarzy.

- Podejź tu, dziewczyno - odezwał się Hadrian. Silve posłuchała. - A teraz, na zbawienie twej duszy, powiedz prawdę. Czy ona jest taka, jak mówi jej wuj?

Silve odwróciła się powoli. Pochlipywała, oczy miała zaczerwienione i smutne, ale tym razem spojrzała na Regeane.

- Nie chcę jej oskarżać - powiedziała z jakąś żalosną godnością. - I ona ma rację. Jestem ladacznicą najgorszego rodzaju. Nie wiem, czy jest córką złego, ale tak, widuje umarłych i potrafi z nimi rozmawiać. Widziałam na własne oczy, jak zmieniała się z człowieka w zwierzę i z powrotem w człowieka.

Zgromadzony tłum zafalował i kościół rozbrzmiał gwarem podnieconych głosów.

Silve spuściła głowę i powłócząc nogami, wróciła na swoje miejsce u boku Hugo. Kiedy ten próbował wziąć ją pod rękę, wyrwała się mu, sycząc jak żmija.

Regeane zauważyła, że ludzie Maeniela formują za nią półkole. Zrozumiała, że gotują się do walki. Hadrian znowu na nią patrzył.

- I co ty na to? - zapytał.

Bum! Bum! Bum! - odezwały się znowu pastorały biskupów i kardynałów. Ale trwało to tylko chwilę. Potem zapadła cisza. Głos zabrał stary biskup.

- Czymkolwiek zawiniła kobieta imieniem Lucilla, poniosła za to surową

karę. Dziewczyna imieniem Regeane musi odpowiedzieć na zarzuty. Jeśli puścisz ją wolno, Hadrianie, uznamy cię za jej współnika. - Bum! Stuknął w deski swoim pastorałem i pozostali hierarchowie w ten sam sposób wyrazili swoje poparcie. Bazylika zdawała się drżeć w posadach.

Hadrian uniósł rękę. Zapadła cisza. Cisza tak głęboka, że Regeane słyszała pomruk tłumu zebranego na placu przed świątynią i poszum zachodniego wiatru nacierającego na jej mury.

Była gotowa.

- Jestem z królewskiego rodu — zaczęła. — W moich żyłach płynie krew frankońskich królów. - Urwała, zdumiona siłą własnego głosu i dźwięczącą w nim pewnością siebie. Odetchnęła głęboko i podjęła: — Moim ojcem był saski wódz, który na czele swojego ludu bronił północnych puszczy i nie uległ nawet rzymskim legionom. Tych wyssanych z palca pomówień o konszachty z diabłem słucham z zażenowaniem tym większym, że padają z ust zapijaczzonego nicponia i przesiąkniętej winem ladaczniczy. Nie poddam się też osądowi żadnego zwyczajnego człowieka — jeszcze bardziej podniosła głos. - Jestem królewską córką. Moim jedynym sędzią jest Bóg i tylko przed Nim będę składała wyjaśnienia. Powołuję się na przysługujące mi prawo do obrony przez walkę... żądam sądu bożego.

- Dobrze - odparł Hadrian. - Obu stronom pozostaje zatem wystawić swoich reprezentantów.

Bum! Kościół rozbrzmiał stukotem pastorałów i jednocześnie z piersi zgromadzonej szlachty wyrwał się grzmiący okrzyk. Kiedy wrzawa ścichła, z tłumu wystąpił Maeniel.

- Jako mąż tej damy i człowiek wprawiony we władaniu bronią jestem jedynym, który może ją reprezentować.

Korzystając z zamieszania, papiescy gwardziści wyprowadzili Regeane do nie wykończonej zakrystii obok wejścia do Bazyliki. Kiedy wpychano ją do małego, wyłożonego marmurem pomieszczenia, dał się słyszeć zgrzyt odsuwanych rygli w drzwiach. Przez otwierające się podwoje do środka wdarł się ryk zebranej przed świątynią gawiedzi.

Jeden z opuszczających zakrystię gwardzistów zatrzymał się w progu. Ściągnął z głowy hełm i spojrzał ponuro na Regeane. Rozpoznała w nim jednego z ludzi usługujących do stołu na ucztach u papieża, tego, który dał Elfgifie czarękę.

- Pani - odezwał się cicho — powierz lepiej swoją duszę Bogu, bo

widziałem człowieka, którego wystawi Bazyl. On jeszcze nigdy nie przegrał.

- Dziękuję — szepnęła Regeane. Wargi miała zdrętwiałe.

W drzwiach zakrystii stanął Maeniel. Położył dłonie na ramionach zagradzającego mu drogę gwardzisty i odwrócił go twarzą do siebie.

- Ta dama i tak ma już duszę na ramieniu - powiedział. — Nie straszmy jej bardziej. Ja też widziałem człowieka Bazyla i wydaje mi się, że potrafię dać mu radę. A teraz idź już. Chcę porozmawiać na osobności ze swoją panią. - To mówiąc, wypchnął lekko młodego człowieka z zakrystii.

Regeane usiadła na marmurowej ławeczce pod ścianą. Nie patrzyła na Maeniela. Wbijała wzrok w swoje dłonie złożone na podołku.

- Lepiej uciekaj - powiedziała.

- Dlaczego? - prychnął. - Dlatego, że człowiek Bazyla jest spasionym potworem? Coś ci powiem, dziewczyno, tacy ludzie są często mniej sprawni w obronie...

- Nie! - przerwała mu. - Dlatego, że te oskarżenia są prawdziwe.

- Doprawdy? Potrafisz zamieniać się w mgłę? - spytał Maeniel.

Regeane roześmiała się. Nie był to śmiech beztroski.

- Skąd! Jak można zamienić się w mgłę? To bzdura - powiedziała, wreszcie podnosząc na niego oczy.

- Też tak sędzę. A w nietoperza?

Regeane odwróciła z irytacją wzrok.

- Brednie. Nietoperz to małe stworzonko. Jak mogłabym się w niego przemienić?

- Tak, nie byłoby to proste. A w wilczycę? Wilczyca jest... - zawiesił głos. — W wilczycę najprędzej bym uwierzył.

Regeane łyż potoczyły się po policzkach. Maeniel usiadł obok niej. Zaciskała mocno pięści złożone na kolanach. Poglądził ją grzbietem dłoni po policzku.

- Regeane — powiedział cicho - moja śliczna, możesz opowiadać te bajki mnie oraz w obecności moich ludzi. My nie takie rzeczy już słyszeliśmy. Ale nie radziłbym ci rozmawiać na ten temat z obcymi. Mogliby cię opacznie zrozumieć.

Odwróciła głowę i spojrzała mu z niedowierzaniem w oczy.

- Masz mnie za niespełna rozumu — wykrztusiła.

- Nie, nie, nie. Uspokój się - wyszeptał. Objął ją i przyciągnął głowę do piersi. — Nie, nie mam cię za obłąkaną, ale nie wierzę temu twojemu wujowi. Do

czego on chciał cię nakłonić?

Nie zamierzała już niczego przed nim ukrywać.

- Chciał, żebym mu pomogła zabić cię i zagarnąć twoje złoto.
- Rozumiem — mruknął Maeniel — a ty odmówiłaś. Teraz mści się za to i

chce cię pozbawić życia. Kiedy rozprawię się z człowiekiem Bazyla, wezmę się za niego. A jego ścierwo zostawię, żeby zgniło. Nie nakarmiłbym jego kośćmi swoich psów ani pasami jego skóry swoich sokołów. Co do pozostałej dwójki, twojego kuzyna i tej sprzedajnej dziwki, to oni niewarci są splunięcia.

Regeane odetchnęła głęboko i roześmiała się.

- Niemal uwierzyłam, że wszystko ci jedno, jaką postać przyjmę, byleby ci była dobrą żoną.

- Wiem, że taką mi będziesz — powiedział, gładząc ją po głowie. - Kiedy znajdziemy się w moich górach, w ciepłej, przytulnej sali mojej warowni, i najesz się tam do syta naszymi serami — zachwyci cię ich różnorodność i smak - oraz naszym wspaniałym ciemnym chlebem — Matrona na każdy dzień roku piecze inny bochen - i kiedy napijesz się naszego bursztynowego piwa, odejdą cię te chore, smutne rojenia zrodzone z okrucieństwa i przewrotności twojego wuja.

- A jeśli nie odejdą? - spytała przez łyżę.

- Cóż, wprowadzimy pewne zasady — odparł. - Nie wolno Ci będzie zagryzać czy choćby straszyć naszych owiec, baranów, bydła ani koni. Bo one są naszym największym bogactwem. Poza tym nie chcę żony, która będzie siedziała w kucki na kobierczyku przed kominkiem i kruszyła zębami kości, żeby dobrać się do szpiku. Nie wpuszczam psów do mojej sypialni. Liniejącej żony też nie będę tolerował. Mam tam perskie kobierce. Prześcieradła są z najlepszego egipskiego płótna. Sprzęty sporządzili najwytrawniejsi górscy rzemieślnicy. Zasłony u łoża są z grubego brokatu, a na wypchanym gęsim pierzem materacu śpi się jak w chmurach. Pchły nie mają tam wstępu.

Regeane nie mogła już powstrzymać śmiechu. Pochylił się i pocałował ją. Poczuł na wargach słony smak jej łez.

- Już lepiej? — spytał.

- Tak — odparła.

- No dobrze. - Wstał. - A Bazylowego wojownika zostaw mnie.

Otworzyły się drzwi. Weszli Barbara, Antoniusz, Elfgifa i Postumous. Elfgifa chciała podbiec do Regeane, ale Barbara przytrzymała ją za rękę. Podeszły razem

powoli i Elfgifa złożyła na policzku Regeane uroczysty pocałunek, ale zaraz potem straciła nad sobą kontrolę i rzuciła się jej na szyję. Regeane wzięła dziewczynkę na kolana.

- I co teraz będzie? - zapytała płacząco Elfgifa.
- Nic - odparła Regeane, ale wyczuła, że mała jej nie wierzy.

Postumous podszedł i jak dorosły pocałował ją w rękę. W oczach chłopca zobaczyła strach.

Oddała Elfgifę Barbarze. Twarz zakonnicy ściągał niepokój.

- Zabierz stąd dzieci, Barbaro. Cokolwiek się wydarzy, nie powinny tego oglądać.

- Nie martw się - powiedziała Barbara. - Emilia wyrusza z nimi jutro do Wessex. Dostała list od ojca Elfgify. Píše, że przyjmie chłopca i usynowi go. Matka nie chce się z nim rozstawać, ale zdaje sobie sprawę, że tam czeka go lepsza przyszłość niż tutaj, zwłaszcza jeśli zwyciężą Lombardczycy. Bazyl zabiłby jego i ją jak muchy.

Elfgifa wyrwała się Barbarze i znowu podbiegła do Regeane. Regeane wzięła ją za rękę.

- Ojciec mawia, że nie należy opuszczać przyjaciół w biedzie — powiedziała dziewczynka.

Regeane pocałowała ją w czoło.

- Przyjaciele szanują nawzajem swoją wolę, a ja byłabym jeszcze bardziej nieszczęśliwa, niż jestem, gdybyś została i coś ci się przytrafiło. Idź już. Musisz się zaopiekować Postumousem. Ma Ci towarzyszyć do anglosaskiego królestwa twojego ojca. Nie zna języka i nie ma tam żadnych przyjaciół. On pomagał ci tutaj, ty musisz pomóc mu tam.

Elfgifa cofnęła się i popatrzyła jej ze smutkiem w oczy. Potem odwróciła się, wzięła Postumousa za rękę i wyszli razem z zakrystii. Barbara podreptała za nimi.

- Żegnaj i szczęśliwej podróży! - wyszeptła Regeane. - Niech Bóg wam towarzyszy i chroni was zawsze od wszelkiego złego.

Tłum na zewnątrz ryknął wielkim głosem. Regeane drgnęła. Zobaczyli wojownika wystawionego przez Bazyla.

- O, teraz pewnie wyszedł Maeniel - powiedział Antoniusz. — Masz pojęcie, Regeane, jaki okrutny los sobie zgotowałaś?

- Co masz na myśli? - spytała.

- Będziesz musiała oglądać walkę swojego orędownika przywiązana do pala otoczonego wiązkami chrustu. Jeśli on przegra - uzna się za pokonanego albo zginie, podłożą pod chrust ogień. Zdejmij teraz swoją suknię i załóż to. — Podał jej zgrzebny wór pokutny. — Koszulę zostaw, bo obetrzesz sobie skórę do krwi, jeśli nie będziesz miała czegoś pod spodem. Wyjdę teraz, a ty się przebierz. - To mówiąc, wybiegł z zakrystii.

Regeane ściągnęła szybko suknię i rzuciła ją na ławę. Potem wdziała przez głowę wór pokutny. Okrył ją od szyi do stóp i włókł się jeszcze po ziemi. Rękawy sięgały poniżej łokci.

Podmuch wiatru natarł znowu na budowlę. Brązowe podwoje zatrzęsnęły się z hukiem. Wrzawa na zewnątrz ścieliła do pomruku.

Regeane spojrzała w górę. Przez trzy wąskie okienka u sufitu widać było tylko błękitne niebo i kilka obłoczków gnanych zachodnim wiatrem.

Była sama. Skąd wziąć odwagę? Spotkała się z wilczycą w swej duszy. Wilczyca odpoczywała. Spojrzała Regeane w oczy, jakby chciała powiedzieć: „Dobrze wiesz, że to jeszcze nie koniec”. Ale to nie uspokoilo Regeane. Co zrobię, kiedy podpalę stos? - pomyślała. A podpalę. Była przekonana, że Maeniel uważa ją za obłąkaną. Czy występując w imieniu wariatki, będzie walczył z całym zaangażowaniem? Nie, była pewna, że jest zgubiona. Przeszedł ją dreszcz. Opanowała się szybko i wyprostowała. Nie przyniesie wstydu swojemu królewskiemu rodowi, okazując strach przed tą tłuszcą kłębiącą się na placu.

Do zakrystii wszedł Antoniusz z czterema papieskimi gwardzistami. Wspomnienia Regeane z drogi na stos były tylko fragmentaryczne. Próbowali ją zmusić do zdjęcia butów, tłumacząc, że pokutniczka powinna być bosa. Odparła, że nie jest pokutniczką.

- Nie zrobiłam niczego, za co musiałabym pokutować. Zdołali ją nakłonić do zdjęcia siateczki przytrzymującej włosy. Antoniusz prowadził ją za rękę. Papiescy gwardziści torowali drogę przez tłum.

Nie było tak źle, jak się spodziewała. Bała się kamieni i obelg, ale motłoch przed Bazyliką nie przejawiał agresji. Patrzyli na nią jak na rzadkiego ptaka albo zwierzę, jak na tygrysa czy małpę prowadzoną na rzeź ku ich uciechu.

Dotarli do stosu. Był to kamienny słup na sześć stóp wysoki i na stopę szeroki, z żelaznym pierścieniem przytwierdzonym na wysokości pasa. Prowadziły do niego cztery stopnie.

Czekali tam na koniach Gundabald i Bazyl. Kiedy kat przywiązał ją za nadgarstki do żelaznego pierścienia, zażądali jeszcze przykucia jej do pierścienia łańcuchem biegnącym od założonej na szyję obroży z brązu. Kat wykonał polecenie.

Regeane potoczyła wzrokiem po falującym tłumie. W ustach miała sucho.

- Jestem spragniona - powiedziała do stojącego przy schodkach Antoniusza. - Daj mi pić.

Ktoś podał glinianą flaszkę z resztką mętnego, skwaśniałego wina na dnie. Było okropne w smaku, ale nabrała go pełne usta. Gundabald i Bazyl śmiali się.

- Jej matka była rozmazaną szmatą, wciąż płakała, ale ojciec... — Gundabald spojrzał na Regeane. Plunęła mu prosto w oczy nie przelkniętym winem. Wrzasnął zaskoczony. Koń spłoszył się i poniósł, omal nie zrzucając go na ziemię.

- Śmieciu! - krzyknęła za nim Regeane. - Jak śmiesz kłaść swoimi ustami pamięć moich rodziców!

Tłum ryknął z zachwytu, rozstępując się przed galopującym koniem Gundabalda. Bazyl szarpnął za uzdę i podjechał do Regeane, unosząc pięść do ciosu. Szykowała się do uniku, ale krępowała ją żelazna obroża. W ostatniej chwili ktoś wjechał między nich. Poznała Rufusa.

- Odstap! - ryknął na Bazyla. - Twoje okrucieństwo przekracza wszelkie granice.

Gundabald, nie mający jeździeckiego doświadczenia, dopiero w połowie placu zdołał opanować wierzchowca. Ludzie Rufusa otoczyli słupek i odepchnęli gawieź. Utworzyli za Regeane ochronny półpierścień, pozostawiając jej widok na Lateran, gdzie miał się odbyć pojedynek.

- Ostrzegam: niech nikt się nie waży ubliżyć ani naprzykrzać tej damie! — krzyknął Rufus, zwracając się do Bazyla i tłumu. — Jej życie wisi na włosku, to wystarczy. Kto od tej pory spróbuje się do niej zbliżyć, zginie.

- Panie - zaprotestował kat - muszę ją obłożyć wiązkami chrustu. Takie jest prawo.

- A jakże - westchnął Rufus. — Rób swoje.

Kat, niski, siwy człowieczek o wodnistych oczach, i dwaj chłopcy, najprawdopodobniej jego synowie, zabrali się do rozładowywania stojącego nieopodal wozu z chrustem. Wiązki rzucali na stopnie prowadzące do słupa.

Regeane spojrzała na kamienie pod stopami. Były to granitowe, osmalone bloki, w szparach między nimi tkwiła gęsta sadza. Nawet swoim ludzkim zmysłem

powonienia czuła zastarzały swąd dymu. Włosy powiewały jej na silnym wietrze, luźny wór pokutny furkotał.

Hadrian ze swoją świtą zajął miejsce u szczytu schodów prowadzących do Bazyliki Laterańskiej. Rzymscy notable rozsiedli się wygodnie na składanych stołkach i krzesłach wyniesionych z pałacu.

Tylko Hadrian stał.

- Chciał cię pobłogosławić — powiedział Rufus do Regeane - ale mu nie pozwoliliśmy. Jak moglibyśmy orzec o twojej winie, gdyby to zrobił?

Regeane kiwnęła głową.

- Dziewczyno, wybrałaś formę sądu, od którego nie ma żadnej apelacji. Jeśli twój orędownik zostanie pokonany, to będziemy musieli cię spalić, nawet gdyby anioły sfrunęły z nieba, by zaświadczyć o twojej niewinności.

Hadrian patrzył na nią z wyżyn schodów. Była pewna, że podzieli jej los, jeśli Maeniel przegra.

Na zaimprovizowaną arenę przed Bazyliką wstąpił wojownik Bazyla i tłum wydał pomruk uznania. Takiego olbrzyma Regeane jeszcze nie widziała. Wszystko w nim było gigantyczne, niemal groteskowe. Nogi, ramiona, dłonie, stopy, tors i bary. Przerastał Maeniela o głowę.

Maeniel stał spokojnie na stopniach Lateranu. Był w hełmie, kolczudze i nagolennikach. Oglądał miecze podsuwane mu przez jego ludzi.

Wziął do ręki kolejny, podany mu przez Matronę. Pochwa była stara, ze spękanej, złuszczonej skóry, ale miecz, kiedy go z niej wyciągnął, zalśnił zimnym blaskiem księżycy odbijającego się w stojącej wodzie. Kiedy Maeniel uniósł go pod słońce, błyszczącą główką popłynęły tęcze, rozpalając stal feerią czerwonych, żółtych, niebieskich, purpurowych i zielonych ogni.

Rufus wydał cichy okrzyk zachwytu.

- Co się stało? - spytała Regeane.

- Ten miecz — odparł. - Myślałem, że to tylko legendy.

Regeane wzruszyła ramionami, na ile pozwalała jej na to obroża.

- Ładny, ale...

- Ładny? — parsknął Rufus. - No, ale trzeba przecież wojownika, żeby poznać się na takiej broni, a ty jesteś tylko kobietą. Po raz pierwszy tego dnia rodzi się we mnie podejrzenie, że nie wszystko układa się po myśli Bazyla. Nie mam pojęcia, pani, gdzie znaleźć taką broń, ale nawet gdybym ją miał, to nie starczyłoby

mi chyba odwagi, by się nią posłużyć.

Człowiek Bazyla stał na arenie z obnażonym orężem w dłoni.

Miecz, tak jak wszystko u niego, był olbrzymi, większy od broni innych żołnierzy, dłuższy od Maenielowego o dobrą stopę. Wielkolud mierzył Maeniela z rozbawieniem w brutalnych oczach, na które opadały ciężkie powieki.

- Jak on ma na imię? - spytała Rufusa Regeane.

- Scapthar - odparł Rufus. - I dodam, że to od dawna najlepszy żołnierz Bazyla. Ma już na sumieniu śmierć dwudziestu siedmiu ludzi. Zaczynał od prowokowania i wyzywania na pojedynki ubogich chłopów. Zabijał ich, a potem zagarniał i sprzedawał ich ziemie. Jego zła sława dotarła do uszu Bazyla. Zwerbował go. Od tamtego czasu są nierozłączni.

Scapthar krzyknął coś do Maeniela.

Maeniel dopijający czarkę wina nie zwrócił na niego uwagi.

Scapthar ruszył na Maeniela z uniesionym mieczem. Maeniel obserwował go sponad brzegu czarki. Scapthar ciął i głównia zadźwiewała, krzesząc skry na kamieniach w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem stał Maeniel.

Maeniel, który nie wiadomo jak i kiedy znalazł się kilka stóp dalej, oddał pustą czarkę Gavinowi i dobył własnego miecza. Scapthar obrócił się ociężale i wyprowadził kolejny cios. Maeniel sparował uderzenie. Jego miecz wydał śpiwny dźwięk przywodzący na myśl okrzyk radości. Tłum wstrzymał oddech. Regeane dostrzegła kątem oka, że Rufus żegna się znakiem krzyża.

Walczący nie mieli tarcz. Scapthar wolał najwyraźniej trzymać swój miecz oburącz. Zaczął metodycznie polować na Maeniela. Ilekroć zadawał cios, Regeane serce podchodziło do gardła. Czasami olbrzymie ostrze spadało tak blisko, że była pewna, iż jeśli nie przepołowi Maeniela, to co najmniej obetnie mu rękę albo nogę. Ale jakoś do tego nie dochodziło. Nawet żmija mogłaby pozazdrościć Maenielowi zwinności. Z tym że on, w odróżnieniu od żmii, cofając się, potrafił się odgryzać.

Z początku wydawało się, że Scapthar, choć jego cięcia nie dochodziły celu, ma przewagę. On nacierał, Maeniel się bronił. Tłum rozstępował się, robiąc im miejsce. Regeane słyszała, jak ludzie zakładają się o to, ile czasu zajmie Scaptharowi położenie trupem przeciwnika.

Walczący to oddalali się od niej ku drugiemu końcowi placu, to znów przybliżali się niemal pod sam stos. Maenielowi wciąż udawało się unikać miecza Scapthara. Nadal wiał silny wiatr, słońce stało już wysoko na niebie. Przypiekało

Regeane twarz, ramiona i plecy.

Maeniel trzymał się dobrze. Wyglądał świeżo, podczas gdy Scaptharowi pot zalewał oczy i przesiąkał przez koszulę. Mimo to Regeane nie była pewna wyniku walki.

Słońce dotarło do zenitu i Regeane z ciężkim sercem musiała przyznać, że ruchy Maeniela stają się powolniejsze. Nie uskakiwał już tak zręcznie przed ciosami Scapthara, jednak za każdym razem, kiedy wydawało się, że nic nie uchroni go przed śmiercią lub okaleczeniem, parował uderzenie swoim cudownym mieczem, który wydawał śpiewny dźwięk, jakby na urągowisko Scaptharowi. I po każdym takim sparowaniu natychmiast skutecznie się odgryzał. Były to z pozoru zadraśnięcia, których człowiek postury Scapthara nie powinien nawet poczuć, ale swoje robiły. Olbrzym krwawił coraz obficie.

Regeane oderwała na chwilę wzrok od walczących. Słońce przygrzewało coraz mocniej. Na placu panował nieopisany ścisk. Wśród stłoczonej gawiedzi przeciskali się przekupnie sprzedający wino, smażony chleb i nadziewane paszteciki. Gapie okupowali dachy okolicznych domów, ze stromym dachem Bazyliki włącznie. Pełne były wszystkie ganki i balkony, z każdego okna wychylało się kilka głów.

- Regeane! — Antoniusz przepchnął się do kamiennego słupa najbliższej jak mógł. Drogę zagroziły mu w końcu wiązki chrustu.

- Gdzie się podziewałeś? — spytała. - Rano ludzi było tu jakby mniej. Co się dzieje?

- Matka prosiła cię o trochę czasu - odparł. - I dałaś go jej. Jest nas czworo - Hadrian, matka, ty i ja.

- Pięcioro — poprawiła go Regeane, wskazując ruchem głowy na Maeniela, nadal potykającego się ze Scaptharem.

- Dobrze, pięcioro - przystał Antoniusz. — I żadne z nas nie może mieć pewności, czy doczeka jutrzejszego wschodu słońca, ale wierz mi, że w takiej samej sytuacji jest Bazyl.

Głośny okrzyk tłumu odciągnął uwagę Regeane od Antoniusza. Ktoś podstawił Maenielowi nogę i ten upadł. Scapthar doskoczył z uniesionym do ostatniego cięcia mieczem, ale Maeniel zdążył odtoczyć się po bruku poza jego zasięg. Zerwał się na nogi. Znowu się starli.

Słońce przesuwało się po niebie. Nadciągały gęste, ciemne, jaśniejsze po brzegach chmury. Zerwał się wiatr, tarosząc ubrania tłumu. Wilczy nos Regeane

wyczuł w powietrzu zapach deszczu.

Ludzie nie mieli już sił wrzeszczeć ani judzić na siebie przeciwników. W milczeniu obserwowali walkę.

Scapthar następował, Maeniel się cofał. Już kilka razy okrążyli plac. Za każdym Maeniel bezlitośnie zadawał Scaptharowi nową ranę. Znaleźli się w końcu tam, gdzie zaczęli — przed schodami Bazyliki Laterańskiej.

Scapthar broczył krwią z licznych ran. Aż trudno było uwierzyć, że jeszcze żyje. Ale Maeniel też był zmęczony. Twarz miał szarą jak popiół z wyczerpania, był lekko ranny w nogę. Krew chlupotała mu w bucie przy każdym stąpięciu. Z coraz większym trudem parował ciosy Scapthara.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, zalewając złocistym światłem uliczki prowadzące na plac.

Przykuta do słupa Regeane była u kresu wytrzymałości. Ręce jej zdrętwiały. Próbowła przywrócić w nich krążenie, przebierając energiczne palcami, ale z miernym rezultatem. Obroża obtarła jej szyję. Od rana nic nie jadła i nie piła. Wargi miała spękane, język wysuszony na wiór.

Maeniel i Scapthar krążyli teraz wokół siebie, zachowując bezpieczną odległość. Obaj byli już zbyt zmęczeni, by atakować. Na placu zaległa głęboka cisza. W pewnej chwili Scapthar postąpił krok w tył i rycząc jak rozwścieczony byk, cisnął mieczem w Maeniela.

Maeniel odskoczył w bok i wprawnie odbił lecący oręż.

Regeane krzyknęła. Zrozumiała, co Scapthar chciał w ten sposób osiągnąć. Maeniel, robiąc unik, znalazł się w zasięgu jego wielkich jak bochny łap. W następnej chwili Scapthar ścisnął go już jedną dłonią za gardło, a drugą za nadgarstek ręki trzymającej miecz.

Obaj runęli na ziemię i Regeane znowu krzyknęła. Nie chciała patrzeć, jak Maeniel umiera, odwróciła wzrok i zobaczyła kata z płonąca pochodnią. Nie - pomyślała. Nie. Tak! Przygryzła dolną wargę. Krew wypełniła jej usta i pociekła wąskim strumyczkiem po brodzie. Napotkała wzrok Rufusa. Odwrócił szybko oczy.

Kat uniósł pochodnię.

Rufus skierował w jego pierś czubek miecza. Mężczyzna cofnął się zmieszany, wypuszczając pochodnię z ręki. Jeden z ludzi Bazyla podniósł ją i rzucił na wiązki chrustu. Suche drewno zajęło się momentalnie. Regeane szarpnęła się. Sznury, którymi była przywiązana do słupa, wpiły się jej w przeguby, obroża ucisnęła

szyję. Znieruchomiła. Za chwilę poczuje na skórze żar pożogi.

- Oszczędzę ci męczeńskiej śmierci w płomieniach — usłyszała głos stojącego po jej lewej ręce Rufusa. Błysnął unoszony miecz. Zachodzące słońce świeciło jej prosto w oczy.

W niebo wleciał nieziemski ryk tłumu. Był to wrzask wściekłości i triumfu tak straszny, że wstrząsnął nią, choć zegnała się już z życiem. Przez buzujące płomienie dostrzegła wstającego Maeniela. Lewą rękę miał czerwoną po łokieć, z palców skapywała krew. Trzymał coś w dłoni. Cisnął to coś w twarz Bazylowi.

- Zwyciężył! - krzyknął Rufus. - Boże, on zwyciężył! Zgasić ten ogień.

I stał się cud. Dziesiątki rąk jęły chlustać wodą na płonący stos, rozwłóczyć otaczający Regeane wał chrustu.

Już wiedziała, że nie umrze. O Boże! - pomyślała. Dzięki Ci, Boże...

Scapthar żył jeszcze. Tłum cofnął się. Olbrzym leżał na bruku, pulsująca rytmicznie fontanna krwi tryskała mu spomiędzy nóg. Wrzasnął przeraźliwie. Wrzasnął jeszcze raz... otworzył usta do kolejnego wrzasku... i skonał.

Bazyl zawrócił konia, żeby wycofać się do swoich ludzi. Ktoś próbował rozkuć obrozę ściskającą Regeane szyję, ale ona nie zwracała na to uwagi. Obserwowała ostatnie chwile Bazyla. Jak spod ziemi wyrósł obok niego Antoniusz i zatopił miecz w szyi konia. Zdychające zwierzę osunęło się na ziemię. Kilka par rąk ściągnęło Bazyla z siodła. Z odgłosów, jakie stamtąd dolatywały, wynikało, że nie żył już, kiedy jego ciało dotknęło bruku.

Ludzie Bazyla próbowali podjąć obronę. Gdyby mieli przeciwko sobie tylko nieuzbrojonych mieszczan, może by im się to udało, ale Rzymian wsparli Rufus ze swoimi żołnierzami oraz banda Maeniela. Rozprawiono się z nimi w okamgnieniu.

Ktoś podał Regeane flaszkę dosyć przyzwoitego wina. Opróżniła ją duszkiem. Wino szybko uderzyło jej do głowy, nie protestowała więc, kiedy Maeniel brał ją na rękę.

Posadził ją na siodle przed sobą i otoczył ramionami. Wsparła głowę na jego ramieniu. Słońce chowało się już za horyzontem.

Nad miastem wisiała czarna chmura, rozjarzająca się co chwila zygzakami błyskawic.

Lunęło, zanim dotarli do willi. Maeniel zatrzymał konia. Stali pośrodku ciemnej, wyludnionej uliczki, a potoki deszczu splukiwały pot strachu z jej skóry i przelaną krew z jego ciała. Jego rany, przemywane lodowatą deszczówką, zaczynały

się goić. Mokre włosy przylegały jej do głowy. Otwierali usta i pili łąpczywie ze strumienia niebios.

Dotarli do willi przemoczeni do suchej nitki. Maeniel wprowadził ją do bocznej, oświetlanej jedną świecą izby. Zrzucili tam ubrania i wytarli się do sucha. Potem Maeniel wyszedł i po chwili wrócił w suchej, czystej tunice. Wręczył Regeane jedwabną białą suknię wyszywaną złotą nicią. Włożyła ją przez głowę.

Maeniel pocałował ją delikatnie, z ogromną czułością, wziął za rękę i zaprowadził do triklinium. Czekał tam na nich obfity posiłek. Stół ugiął się pod szynkami, białymi, żółtymi i zielonymi serami, winem w glinianych flaszach, półmiskami z wołowiną, wieprzowiną i cielęciną, i koszami rozmaitych gatunków chleba.

Ludzie Maeniela już ucztowali. Wszyscy byli w pancerzach i uzbrojeni. Niektórzy nosili ślady walki.

Salę oświetlały pochodnie, sofy zastąpiono ławami, u szczytu stołu stały dwa krzesła. Maeniel podprowadził do nich Regeane. Biesiadnicy powstali z miejsc i z głośnym okrzykiem wznieśli toast do Regeane.

Kotary oddzielające triklinium od ogrodu wyduły się i zatrzepotały na wietrze. Regeane przeszedł dreszcz.

Wilczyca obudziła się i wypłynęła z nieprzeniknionych mroków. Jak zwykle nie odezwała się, ale Regeane wyczuła, że kobieta i zwierzę nie zgadzają się ze sobą.

Krzesła stały tak blisko siebie, że stykali się ramionami z Maenilem.

Wilczyca odciągnęła jej uwagę. Regeane ujrzała wielkiego szarego wilka. Wizja była wyrazista. Czuła w nozdrzach zapach czystego górskiego wiatru, który spływa ze skutych wiecznym lodem, zaśnieżonych szczytów tak wysokich, że przebijają cienką warstwę powietrza opatulającą ziemię.

Szary wilk wspiął się już poza granicę drzew i traw, wyżej, niż docierają kozice. Powietrze było tu rozrzedzone, a zimno tak przenikliwe, że nie chroniło przed nim nawet grube futro.

Piął się wyżej i wyżej po pokrytym śniegiem lodzie, przeskakując szczeliny przypominające rozdziawione bezzębne paszcze, dyszące atramentową, milczącą, mroźną śmiercią. Nad nim, na tle czarnego jak smoła nieba, rysowała się skąpana w blasku księżycy grań.

Szary wilk piął się dalej, nie zważając na palący ból w płucach, na ostre rwanie w mięśniach i ścięgnach jakby gotowych do oderwania się od kości przy

następnym kroku. W górę, w górę, ku czemuś, co niewprawnemu oku kobiety wydawało się dachem świata.

Ktoś dotknął jej policzka. Wizja rozplynęła się. Maeniel nachylał się do niej, trzymając za rękę.

- Dobrze się czujesz, pani? - spytał.

Matrona głaskała ją po policzku.

- Przestańcie chlać, opoje! Dawać tu talerz zjadłem dla waszej młodszej siostry! Trzeba ją nakarmić. I wina, nie, nie tego czerwonego z Kampanii, białego, schłodzonego w śniegu.

Po chwili przed Regeane stały już czubaty talerz z najprzeróżniejszym mięsiwem i puchar wina. Każdy kęs przynosił rozkosz. Nie, więcej niż rozkosz, ekstazę.

Wymiotła talerz do czysta, osuszyła puchar. Maeniel otoczył ją ramieniem.

- Teraz lepiej? - spytał.

- Tak. - Odetchnęła nasycona.

Przytulił ją do siebie i pogładził wolną ręką po policzku.

Wilczyca warknęła ze strachu i wściekłości. Wstań i wyjdź - brzmiało wyraźne przesłanie.

Nie - odpowiedziała kobieta swojej mrocznej towarzyszce. Nie dla nas tamten szary wilk. Rozdziela nas wola króla i papieża, prawo i Bóg... I nagle ogarnął ją straszliwy smutek, bo zdała sobie sprawę, że srebrna wilczyca ma rację, i wcześniej czy później opuści łóżce tego mężczyzny i wyruszy na poszukiwanie ostatecznej wolności w księżycowej poświacie. Tak było na początku, tak jest teraz i tak zawsze będzie, świat bez końca. Amen. Ta parodia modlitwy przypieczętowała jej zwycięstwo i jej przeznaczenie.

Odchyliła się kotara i do triklinium wszedł Gundabald. Towarzyszyło mu sześciu najemników Bazyla. Uzbrojeni byli w napięte kusze z nałożonymi na cięciwy bełtami. W oczach Gundabalda płonęło szaleństwo. Mierzył z kuszy w pierś Maeniela.

Wszyscy zamarli.

- Po coś przyszedł, Gundabaldzie? - spytał Maeniel.

Gundabald zarechotał szpetnie.

- Runęły wszystkie moje plany - powiedział. - Tłum na mnie poluje. Ale ja i moi przyjaciele nie czujemy się dobrze w roli zbiegów. Zwłaszcza że to, co znajduje

się na tym stole, może nas uczynić bogaczami do końca życia.

Regeane przesunęła wzrokiem po złotych i srebrnych talerzach, spojrzała na wysadzaną rubinami czarkę Maeniela. Maeniel wzruszył ramionami.

- Daj im, czego chcą, Matrono. W końcu to tylko złoto i srebro.

Matrona mruknęła coś pod nosem i wstała. Zaczęła zbierać ze stołu kubki i talerze i wrzucać je do trzymanej za kraj sukni. Zbliżała się coraz bardziej do stojących w wejściu intruzów.

Nie! - pomyślała Regeane. Nie! Bełt wymierzony był prosto w pierś Maeniela. Przypomniał jej się ojciec i rana, która przecięła nić jego życia. Różowe i białe róże, płatki zbryzgane krwią. Wiedziała, co chce zrobić Gundabald. Wilczyca też to wiedziała. Wiatr, który zapamiętała z mrocznej klasztornej celi, wiatr z zaświatów, znów się zrywał. I nagle salę wypełniła woń krwi i róż.

Regeane odtrąciła obejmujące ją ramię Maeniela i przewracając krzesło, zerwała się z miejsca.

- Moja słodka siostrzenico - powiedział Gundabald – jeśli masz trochę oleju w głowie...

Ale wiatr dał coraz silniej, kotara łopotała gwałtownie. Regeane zrozumiała. To ona go wezwała. Wezwało go jej życie i, być może, śmierć.

- Wyjdź stąd, wuju - ostrzegła. - Wyjdź! Wyjdź natychmiast, bo inaczej zginiesz.

Grot bełta przesunął się z Maeniela na nią. Świat zawirował jej przed oczami.

Była srebrną wilczycą. Przez chwilę szamotała się z suknią, ale szybko wyzwoliła się z jej fałdów i sprężyła do skoku. Niczym srebrna błyskawica wystrzeliła z wyszczerzonymi zębami do gardła Gundabalda. Spodziewała się, że przeszyta bełtem zginie, nie osiągając celu... ale tak się nie stało.

Gundabald był brutalem i tchórzem, ale nie głupcem. Przygotował się na taką okoliczność.

Na spotkanie wybiegła jej jakaś czarna chmura. Wilczyca miotła się po posadzce u stóp Gundabalda, zaplątana w sieć z metalowych kólek.

Gundabald wrzasnął triumfalnie.

- Patrz! - krzyknął do Maeniela. - Patrz! Patrz, coś pojął za żonę!

Najemnicy szturchali Regeane pochodniami, oślepiając wilczycę.

Przedzierzgnęła się z powrotem w kobietę. Wszystkie kusze skierowane były na nią.

- Teraz - krzyknął Gundabald - chętnie mi pewnie zapłacisz za to, żebym zabrał ci ją z oczu!

Regeane westchnęła. Było to westchnienie straszne w swej wymowie. Długo opierała się śmierci, teraz pragnęła znaleźć ukojenie w jej chłodnych objęciach.

Ból zawarty w tym westchnieniu wyczuł każdy obecny w sali, nawet Gundabald.

- Nie pojmuję, skąd u niej tyle wyższych uczuć — powiedział, mierząc z kuszy w serce siostrzenicy.

- Gundabaldzie! - Głos należał do Maeniela, ale jego już za stołem nie było. Na krześle, wsparty przednimi łapami o blat, stał szary wilk.

Gundabaldowi oczy wyszły z orbit i opadła szczeka. Wyglądał jak ktoś, kto widzi, jak oto ziszcza się jego największy koszmar.

Przerażeni najemnicy pobledli. Do sali jadalnej wdarł się potężny podmuch wiatru. Płomienie pochodni przygasły i zmieniły barwę na błękitną.

Sierść Maeniela była szara jak burzowa chmura, jak cień głazu na śniegu. Jednym skokiem pokonał odległość dzielącą go od Gundabalda. I znowu stał się człowiekiem. Lewą ręką wyrwał Gundabaldowi kuszę, prawą chwycił go za gardło.

Od stołu, wyzbywszy się broni, ubrań i pancerzy, runęła na najemników cała futrzasta, zębata, rozjuszona wilcza wataha. W mroku jarzyły się ślepie.

Wiatr hulał z poświstem po sali. Brzęczała strącana ze stołu zastawa, tłukły się z hukiem flaszki wina. Zaślepienie furją bestie nie zważały na nic.

Maeniel dusił Gundabalda, trzymając go w powietrzu za gardło. Siniejący Gundabald szamotał się rozpaczliwie, wierzgał nogami, drapał Maenielowi twarz.

Z zewnątrz dobiegał koszmarny chór wrzasków i powarkiwań watahy rozprawiającej się z ludźmi Gundabalda.

- Przysięgam - ryknął Gundabaldowi w twarz Maeniel - że zabiję jej prześladowcę gołymi rękami. - Ciało Gundabalda zwiotczało. Zwiśł w uścisku Maeniela jak szmaciana kukła. - I tak też uczyniłem - dokończył Maeniel, opuszczając martwe ciało na posadzkę.

Wiatr ścichł, pochodnie rozpały się nowym blaskiem. Maeniel ukląkł i drżącymi rękami pomógł Regeane wypłatać się z sieci.

- Boże - wyszeptał - Boże, czemu to zrobiłaś? Dlaczego nie zostawiłaś tego mnie? Za progiem tego domu czekała ich śmierć.

- Ani myślał wyjść stąd, pozostawiając cię przy życiu - odparła Regeane.

- Tak właśnie zabił mojego ojca — strzelając mu z kuszy w serce.

Maeniel zerknął na leżącego obok trupa.

- Skoro tak mówisz. Nic ci nie jest?

- Nic - wyszeptała, objęła go, przymknęła oczy i złożyła głowę na jego ramieniu. I poczuła, jak na tym samym ramieniu z miłością i pełnym zaufaniem kładzie łeb uspokojona wilczyca. Były jednym.

Maeniel przytulił ją. Dopiero po dłuższej chwili uświadomili sobie, że kamienna posadzka, na której klęczą, jest twarda, a nocne powietrze chłodne.

Maeniel podniósł się z klęczek, podszedł do stołu i włożył przez głowę tunikę. Potem wytarł dokładnie ręce i podał Regeane jej suknię.

- Nie powiedziałaś mi — odezwała się cicho - a kiedy próbowałam ci się zwierzyć... - Podniosła głos. - Potraktowałeś mnie jak... wariatkę.

- Regeane, byliśmy oboje głównymi aktorami w jednym z najwspanialszych dramatów, jakie zostały wystawione w tym mieście od czasu, kiedy stolicę imperium przeniesiono do Konstantynopola. Jak myślisz, ile par uszu nasłuchiwało pod tamtymi drzwiami? Pięć, dziesięć, dwa tuziny, a może więcej. Poza tym znajdowałaś się w stanie silnego wzburzenia. Bałem się o ciebie. Bałem się, że prawda może ci pomieszać w głowie. Kiedy rzuciłaś się na Gundabalda, przestraszyłem się, że moje obawy się spełniły. Zadawałem mu śmierć z bezlitosną powolnością. Cierpiał tak-jak-sobie-na-to-zasłużył. — Ostatnie słowa Maeniel wycedził przez zaciśnięte zęby.

Potem wyciągnął do Regeane ręce, a ona przywarła do niego całym ciałem. Tak zastały ich powracające wilki.

Pierwszy wszedł nagi i zirytowany Gavin. Na widok przyglądającej mu się Regeane zanurkował pod ławę po porzucone tam odzienie.

- Pozostało mu wiele ludzkich odruchów – skomentował to Maeniel. - Między innymi wstyd.

Następna zjawiła się Matrona. Ona czuła się we własnej skórze swobodnie.

- Nie żyją - oznajmiła. - Ciało pozbędziemy się później. Nie byliśmy głodni. A przynajmniej nie aż tak. - Chwyliła trupa Gundabalda za nogi i wywlokła do ogrodu.

Stopniowo wracali inni. Ubierali się i zasiadali do stołu, by dalej jeść i pić, zwłaszcza pić. Ale zanim zaczęli, Gavin podniósł w górę jedną ze schłodzonych w śniegu amfor. Podstawiali kolejno czarki, a on napełniał je słodkawym winem, w

którego bukicie wyczuwało się ślad miodu.

Regeane wzięła Maeniela za rękę. Ze zmęczenia padała z nóg, ale przepęłniał ją spokój, jakiego jeszcze nie zaznała. Stała, patrząc na biesiadników wznoszących do niej swoje czarki.

Boże, miała przed sobą dziką, nieustraszoną załogę górskiej twierdzy. Będzie im panią. Fascynujące to i czasami niebezpieczne zadanie. Ciekawe, czy mu sprostą.

- Bracia moi - zabrał głos Maeniel - przyjaciele, towarzysze broni, a przede wszystkim wy, którzy przemierzacie ze mną bezdroża księżycowej poświaty. Przedstawiam wam Regeane, waszą panią. Srebrną wilczycę i moją małżonkę.

KONIEC